This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav. 5690.7

Bound
NOV 27 1895

THE SLAVIC COLLECTION

Harvard College Library

BOUGHT WITH THE GIFT OF

Archibald Cary Coolidge, Ph.D.

(Class of 1887)

ASSISTANT PROFESSOR OF HISTORY

Received 31 Oct. 1895

Slav 5690.7

Biblioteka Polska
ed. K. J. Tarnows
Cracow 18

~~Recolle~~ Reminiscences of the (
of light cavalry of the ~~bod~~ g
of Napoleon I.
From the time of its origin in 18
yr to ~~the~~ its end in 1814.

by Józef Załuski,
former brigadier general in
Chief Staff of the Polish arm
formerly officer & chief of ~~the~~ com
of the above mentioned guard of the em

(Polish)

WSPOMNIENIA

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA I.

Przez cały czas od zawiązania pułku w r. 1807, aż do końca w roku 1814.

Przez

Józefa Załuskiego,

byłego jenerała brygady w głównym sztabie wojska polskiego; niegdyś oficera i szefa szwadronu rzeczonej gwardyi cesarza Francuzów.

Wydanie „Biblioteki Polskiej".

W KRAKOWIE.

NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU" W. KIRCHMAYERA.

1865.

WSPOMNIENIA
O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM
GWARDYI NAPOLEONA I,

przez cały czas od zawiązania pułku w r. 1807, aż do końca w roku 1814.

przez

Józefa Załuskiego,

byłego jenerała brygady w głównym sztabie wojska polskiego; niegdyś oficera i szefa szwadronu rzeczonej gwardyi cesarza Francuzów.

Wydanie „Biblioteki Polskiej".

W KRAKOWIE.

NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU„ W. KIRCHMAYERA.

1865.

999.81 Slav 5690.7

Harvard College Library

Archibald Cary Coolidge, Ph. D.
October 31, 1895.

SŁOWO WYDAWCY.

Pamiętniki narodowe w każdym kierunku nietylko są pożądane, ale nadto były i będą pożytecznemi. Tak widząc rzecz, staram się i o pamiętniki czynów wojskowych, a wydawszy poprzednio w Bibliotece Polskiej pismo jenerała Mrozińskiego, dzisiaj pospieszam z wydaniem pisma jenerała Załuskiego, chwała Bogu! między nami żyjącego jeszcze.

Zamiarem moim było to pismo umieścić w zbiorze B. P.; lecz gdy pokazały się

trudności .... osobno je wydaję .... prosząc każdego, kto ma B. P., aby dla jej uzupełnienia nabył: Wspomnienia o Pułku Lekkokonnym Polskim.

W Krakowie d. 6 Lipca 1862 r.

K. J. Turowski.

PRZEDSŁOWIE.

Szanowny Wydawca Biblioteki Polskiej wezwał mnie żebym mu dostarczył Wspomnień moich, o pułku lekkokonnym polskim gwardyi Napoleona I, rozrzuconych po różnych Dodatkach miesięcznych dziennika krakowskiego „Czas.“ — Lubo nie było zamiarem moim wydać więcej tych Wspomnień, jak tylko pierwsze ogółowe *w roku 1856 w miesiącu grudniu ogłoszone; gdy jednak ten obrazek naszej chlubnej przeszłości łaskawie był przyjęty od powszechności, zostałem powodowany uzupełnić dzieje i przygody rzeczonego pułku, w ciągu lat siedmiu jego bytu, od wiosny r. 1807 do jesieni r. 1814.*

Chociaż więc te siedm pisemek moich, dalekie są od zasługiwania na miano dziejów militarnych, i będąc dorywkowo pisane, mogą zawierać gdzie niegdzie powtarzania się: gdy wszakże epoka jest świetna, zasługa młodzieży cisnącej się ze wszech ścian Polski do straży Bohatera godną pamięci, gdy ten pułk tworzył istną, nieodstępną i najwymowniejszą przy Wskrzesicielu naszym reprezentacyą narodową, gdy wreszcie szczegóły w tych Wspomnieniach zawarte, mogą zachowywać pamiątki dla wielu rodzin drogie:

Ośmieliłem się zezwolić na umieszczenie onych w Bibliotece Polskiej, pod tem hasłem, żołnierzowi polskiemu

właściwem: „jak kto może, niech poczciwej sprawie dopomoże.“ Ale zatrudnienia moje i wiek podeszły, nie dozwalają mi przerobić, poprawić i dopełnić tych Wspomnień — pocieszam się atoli wiadomością: że wyjść ma o tym samym naszym pułku dzieło w Paryżu, w języku francuskim przez jenerała Dautancourt ułożone, a nakładem nieodżałowanego Zygmunta Krasińskiego wydawane; a tak, z tych dwojga materyałów, badacze dziejów naszych będą mogli kiedyś czerpać ciekawe zasoby z czasów byłego Księstwa Warszawskiego, owej kolebki odrodzenia się naszego.

Z tego więc względu, dorywkowe moje Wspomnienia mogą być Czytelnikom Biblioteki Polskiej pożytecznemi.

Pisałem w Krakowie d. 17 kwietnia 1861.

Józef Załuski,
były jenerał brygady w. p.

WSPOMNIENIE I

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA PIERWSZEGO.

Odległe czasy istnienia pułku *Lisowskiego* i powstałych z niego pułków Lisowczyków, aczkolwiek czasy świetne, zostawiły nam mało podań o tych sławnych pułkach, tak dalece, że pomimo poszukiwań znakomitego pisarza Żywotów Skargi i Oleśnickiego, tudzież niespracowanego Wójcickiego i ich poprzedników, nie wiemy nic stanowczego o *Lisowskim* i jego następcach; a nawet nie mamy dokładnego wyobrażenia o stroju i uzbrojeniu tej sławnej jazdy polskiej. Dzieje nasze a raczej ułamki mogące dostarczyć zasobu do dziejów, rzadko były pisane przez ludzi wojskowych; najwięcej mamy pisarzy duchownych, którym uzbrojenie i umundurowanie wojsk, nietylko było obcem, ale ta nieszczęśliwa niechęć, jaką wywoływały *leże* wojska i *żołd*, zapełnia dzieje nasze przesadnem wystawianiem rabunków i nadużyć stanu wojskowego; która to zawiść i na pułki Lissowczyków ściągnęła osławienie tak dalece, że teraz trudno jest oznaczyć: jakie istotnie położył zasługi *Alexander Lisowski*? a przez jakie zbytki ostatni

z Lisowczyków znieważyli jego nazwisko? Jeżeli zaś mowa do cesarza Ferdynanda, jakoby od dowódzcy Lisowczyków miana, nie była istotnie nigdy powiedzianą, ale przez szpetną igraszkę, na pośmiewisko przechwałek Lisowczyków przez jakiegoś jowialistę napisaną, a nawet w tomach „Mowcy polskiego“ drukowaną, *) czegóż się nie mają obawiać ludzie rycerscy, co krwią znaczyli obce ziemie, jeżeli lada pisarkowi wolno plugawić ich pamięć atramentem, tak, że po dwóch wiekach, nie możemy rozeznać prawdziwej zasługi od łotrostwa, bo takie jest imie w końcu dawane rycerskim niegdyś pułkom Lisowskiego.

Atoli kiedy widzimy, że pracowici pisarze zajmują się odszukiwaniem szczegółów o przedwiecznych Lisowczykach, zdarza nam się czytać pojedyncze urywki o niedawno, bo za księstwa warszawskiego istniejącym pułku polskim gwardyi Napoleona, które nietylko należnej sprawiedliwości temu pułkowi nie oddają, ale jeszcze przekazują potomności mylne i szkodliwe dla sławy tego pułku wyobrażenia. Żyjemy w czasach gdzie nie na niedostatek, ale raczej na zbytek pisma i druku narzekać można. Widzimy z radością, że ziomkowie zajmują się coraz więcej wyszukiwaniem i przechowywaniem pamiątek: mamy sobie więc za obowiązek, wezwać naszych dawnych towarzyszów broni, żeby uzupełnili niniejszy obrazek, jaki tu z pamięci bez dawniejszych notatek niestety! przynosimy w hołdzie zasługom braci naszych, z okresu dziejów narodu, niepomyślnego wprawdzie, ale nader świetnego.

Pułki: lekkokonny gwardyi Napoleona, i ułanów nadwiślańskiemi zwanych, Nrem 7 w armii francuskiej oznaczony, pułki te są następcami owych sławnych Lisowczyków; równie jak oni, rozniosły te pułki daleko i szeroko sławę jazdy polskiej z tą chlubną dla siebie różnicą, że żadnym zakałem nie obarczyły swego i Polski imienia.

---

*) Kto tej mowy nie czytał, niech ją przeczytać zechce dla lepszego zrozumienia naszej uwagi.

Pułk ułanów nadwiślańskich wsławiony we Włoszech i w Hiszpanii, powstały w legionach, posiada bezwątpienia przekaz zasług swoich w pamiętnikach jenerała Klickiego, jednego z dowódzców tego pułku, a męża pod każdym względem należącego do najznakomitszych wychowańców Kościuszki.

Pułk zaś gwardyi polskiej Napoleona dotąd z powodu nieszczęśliwych okoliczności, z przyczyny rozproszenia jego żyjących jeszcze towarzyszy, nietylko nie doczekał się ogłoszenia swych dziejów, ale jak się wyżej powiedziało, doznaje uszczerbku swej sławy. Wszelako nie doświadczy ten pułk świetny niepomyślnego losu Lisowczyków: uzbrojenie i umundurowanie jego przekazane są potomności w zbiorach pomników francuskich gwardyi Napoleona, a mianowicie w nieśmiertelnych obrazach Verneta i w dziele jenerała Wincentego Krasińskiego przypisanem cesarzowi Napoleonowi: „O nauce robienia kopią, czyli lancą“ *); nie wspominając o licznych obrazach artystów polskich i francuskich; a dzieje pułku tego opisał we francuskim języku jenerał Dautancourt, jeden z majorów i organizator pułku. Pani Dautancourt, wdowa, żyje jeszcze w Paryżu i może dać najlepszą wiadomość o rękopiśmie swego męża.

Sławny dziejopis Thiers rzadko wzmiankuje o tym pułku, gdy jednak podobało się temu pisarzowi wyrzec w niedokładnym opisie bitwy pod Somo-sierra te boleśnie zadziwiające słowa: *Chevau-Légers polonais, que Napoléon avait formé à Varsovie, pour qu' il y eut de toutes les nations et de tous les costumesd ans sa garde,*— to jest: „Lekkokonny pułk polski sformowany w Warszawie przez Napoleona, ażeby mieć w swojej gwardyi wszystkie narody i ich stroje“ — przeto żeby zbić ten gruby zarzut Napoleonowi i pułkowi naszemu przez namiętnego dziejopisa uczyniony, zaczynamy pracę naszą od

*) *Essai sur le Maniement de la Lance par le Comte Corvin Krasiński, Colonel commandant le Ier Régiment de Chevaulégers Lanciers de la Garde Impériale, à Paris de l' imprimerie de Cordier, rue et maison des Mathurins Saint Jacques n. 10, 1811.*

podania pamięci rodaków dekretu Napoleona stanowiącego utworzenie i skład tego pułku. Oto jest ten dekret w tłómaczeniu:

„W obozie naszym cesarskim w Finkenstein d. 6go kwietnia 1807: Napoleon cesarz Francuzów i król włoski, postanowiliśmy i stanowimy co następuje:

„Artykuł 1szy. Utworzony będzie pułk Lekkokonny polski Gwardyi.

„Artykuł 2gi Pułk ten składać się będzie z czterech szwadronów, każdy o dwóch kompaniach.

„Artykuł 3ci. Każda kompania składać się będzie
Z jednego kapitana,
„ dwóch poruczników Iszej klasy,
„ dwóch poruczników IIej klasy,
„ jednego wachmistrza szefa,
„ sześciu wachmistrzów,
„ jednego furyera,
„ dziesięciu brygadyerów,
„ dziewięćdziesiąt siedmiu szwoleżerów,
„ trzech trębaczy,
„ dwóch kowali.

„Artykuł 4ty. Sztab pułku będzie złożony:
Z jednego pułkownika dowódzcy,
„ dwóch majorów Francuzów wziętych z Gwardyi,
„ czterech szefów szwadronu,
„ jednego kwatermistrza podskarbiego,
„ jednego kapitana instruktora wziętego z Gwardyi,
„ dwóch adjutantów majorów wziętych z Gwardyi,
„ czterech podadjutantów majorów wziętych z pomiędzy Polaków co służyli w legionach we Francyi,
„ jednego podchorążego sztandarowego,

„ z czterech oficerów zdrowia, z których dwóch Iej klasy, a dwóch z IIej lub IIIej klasy.
„ jednego podinstruktora w randze wachmistrza-szefa,
„ jednego artysty konowała,
„ dwóch pomocników artystów konowałów,
„ jednego sztabs trębacza,
„ dwóch trębaczów brygadyerów,
„ jednego mistrza krawca,
„ jednego mistrza rajtuźnika,
„ jednego mistrza szewca,
„ jednego mistrza do wyrobów broni,
„ jednego mistrza siedlarza,
„ jednego mistrza do ostrych wyrobów *(épérronier)* (płatnerz),
„ dwóch mistrzów kowalskiego rzemiosła.

„Artykuł 5ty. Żeby być przypuszczonym do korpusu Szwoleżerów, trzeba być właścicielem lub synem właściciela, nie mieć mniej od lat 18tu, a nie więcej nad 40 lat wieku, i opatrzyć się o własnym koszcie w konia, mundur, w rzęd i rynsztunek kompletne, stósownie do wydanego wzoru; co się zaś tyczy osób, któreby nie były w stanie sprawić sobie zaraz konia, munduru, rzędu i rynsztunku, tym dana będzie zaliczka. Koń będzie mieć miary 4 stóp i 9 cali najwięcej, a 4 stóp 6 cali najmniej.

„Artykuł 6ty. Szwoleżery polskie Gwardyi, będą mieć tę samą płacę co strzelcy konne Gwardyi. Pobierać będą żywność, furaże, i będą mieć massy, stósownie do taryffy oznaczonej przez pułkownika jeneralnego, dowódzcę całej jazdy Gwardyi

„Artykuł 7my. Koszt pierwszego ekwipowania, jaki będzie zaliczony przez Radę Administracyjną tym coby nie mieli dostatecznych funduszów własnych, potrącany będzie aż do umorzenia z żołdu, licząc po 15 soldów dziennie.

„Artykuł 8my. Rada administracyjna, rachunkowość, rejestra, urządzone będą w taki sam sposób, jak w innych pułkach Gwardyi konnej.

„Artykuł 9ty. Osoby chcące się zaciągnąć do Szwoleżerów Gwardyi, mają się przedstawiać bezzwłocznie księciu Poniatowskiemu dyrektorowi wydziału wojny, przed którym usprawiedliwią się z przymiotów i warunków wymaganych przez artykuł 5ty powyższy. Następnie przedstawią się majorowi wyznaczonemu do organizacyi pułku, który zrobiwszy ich przegląd, wcieli takowych do pułku i zapisze w kontrolę ich wiek, opis osoby, kraj urodzenia, nazwisko ojca i matki. *Kontrola ta podaną nam będzie do naszego podpisu.*

„Artykuł 10ty. Nasz major jeneralny, minister wojny, ma sobie poleconem wykonanie tego naszego dekretu.“

Pochlebiamy sobie, że czytelnicy nasi z przyjemnością ujrzą dekret ten cesarski obejmujący tak widocznie troskliwość o naszą młodzież i tę przezorność znawcy w całem urządzeniu nowego pułku, *na wzór Strzelców konnych Gwardyi,* owego regimentu powstałego z dawnych Guidów jenerała Bonapartego, jemu ulubionego, i którego mundur zwykle nosił. Dodajemy nawiasem: że Napoleon przeznaczył nam na garnizon Chantilly, gdzie są sławne stajnie Kondeuszów, stajnie najwspanialsze we Francyi, a jakich może i w Anglii podobnych niema. To pewna, że Napoleon miał w nas wielkie upodobanie;

pod Somo-sierrą powtarzał: *sont-ils braves ces Polonais!* a w inszej okoliczności: *ces Polonais! c'est tout honneur!*

Stósownie do dekretu i do woli cesarskiej jeszcze uprzednio objawionej, rada administracyjna warszawska ogłosiła była pierwej następujące postanowienie:

Dekret utworzenia Gwardyi polskiej.

Komisya administracyjna warszawska.

Wolą jest najjaśniejszego cesarza Francuzów i króla włoskiego, żeby był utworzony pułk lekkokonny polski o czterech szwadronach, który będzie wcielonym do gwardyi cesarskiej, i pełnić służbę w tych samych obowiązkach przy najjaśniejszym Napoleonie.

Pospieszamy oznajmić publiczności ten nowy zaszczyt, który j. c. m. udziela narodowi polskiemu, powierzając młodym ochotnikom polskim straż swojej uświęconej osoby. Pole otwierające się nauce, zasługom i sławie, jest nadto szerokiem, zaszczyt nadto pociągający, ażebyśmy potrzebowali namawiać tam, gdzie zapał i atryotyzm powołują pod sztandary narodowe większą liczbę ochotników, nad liczbę postanowioną przez nas, przez wzgląd na szczupłość funduszów. Nie przypuszczamy więc zalecań, któreby mogły ubliżać szlachetnemu zapałowi i gorliwości znanej narodu: polecamy tylko izbom administracyjnym departamentów, żeby założyły wpisy młodzieńców do tej gwardyi, którzy się tłumnie zgłaszają do służby wojskowej, i żeby rozpoznawszy ich usposobienie, ich moralność, ich stan zdrowia, ich wiek, wzrost i siły do ich zawodu odpowiedne, odsyłały tych ochotników do j. o. księcia Poniatowskiego, naszego dyrektora wojny.

Każdy ma wolny przystęp do tej gwardyi, bądź szlachcic, mieszczanin czyli wieśniak; tylko złe obyczaje, nałogi, podłe rzemiosła, brak wychowania i wady ciała, mogą do tej służby niedopuszczać. Wszelako każdy pragnący mieć przystęp do tej gwardyi, powinien być właścicielem lub synem właściciela, albo mieć ręczyciela swojej wierności. Gwardya ta będzie opatrzona w mundury, w konie, w rynsztunek, i utrzymywana kosztem skarbu cesarskiego.

Ponieważ w wojsku ludzie luźni przeszkadzają ru-

chom wojennym, każdy gwardzista będzie obowiązany sam opatrywać swego konia, tego wiernego towarzysza swoich trudów.

Pospieszajcie młodzi ochotnicy, stawiać się i zasłużyć pod opieką Napoleona wielkiego, na imie wojowników, i dowieść waszem męstwem, wytrwałością w pracy, i cnotami Polakom wrodzonemi, że zasługujecie być wcielonymi do korpusu wyborczego, narodu i wojska zwycięskich; wywdzięczcie się krajowi, przyczyniając się do jego chwały i zasługując na pochwałę bohatera, odnowiciela i pokojodawcy świata.

Kraj tego po was żąda, odwaga wasza tego pragnie, sława i cesarz czekają na was.

Odezwa ta ogłoszoną będzie przez księcia dyrektora wojny.

Działo się w Warszawie na posiedzeniu 19 lutego 1807.

Stanisław Małachowski,
prezes.
Józef książę Poniatowski,
dyrektor wojny.
Jan Łuszczewski,
sekretarz jeneralny komisyi administracyjnej.

Z takich to więc ochotników złożony był pułk gwardyi polskiej. Nie nam sądzić, z jakich powodów utworzył go Napoleon; ale i panu Thiersowi — aczkolwiek ex-ministrowi, mowcy i pisarzowi głośnemu, nie jest dano orzekać: że Napoleon zwerbował sobie *pułczek* w Warszawie, dla pokazania Paryżanom *kurtek* i *czapek* polskich.

Pułk nasz był złożony nietylko z ochotników, ale z kwiatu młodzieży całego kraju; dość jest przejrzeć pobieżnie nazwiska, które nam się nawet w tym szczupłym artykule nasuną, żeby się przekonać, iż ten pułk nie składał się z synów kraju, który zwano *Prusami południowemi*, ale że złożony był z młodzieży przybywającej od Czarnego i Baltyckiego morza, od Dniepru i od Karpat, słowem, ze wszystkich zakątków dawnej Polski. Byli to po największej części studenci, ale i wiele było takich, co w obcych wojskach naukę i doświadczenie wojskowe pobierali; byli to w ogólności

tacy, którzy nie dla utworu księstwa warszawskiego domy ojcowskie opuścili, lecz byli ożywieni tym duchem, jakim tchnie dekret rady administracyjnej, rządu zawiązanego w Warszawie.

Istotnie pułk ten, był rodzajem reprezentacyi krajowej przy Napoleonie, mającej połączyć cnoty odziedziczone z wykształceniem jakiego położyły zaród komisya edukacyjna i sejm czteroletni, a które miał uzupełnić twórca kodexu ustawy dla kraju. Dla tego w pułku naszym nie znano innej różnicy między towarzyszami broni, tylko tę, jaką daje: odznaczenie, zasługa, zdatność, nauka; lubo w sztabie pułku nie było księdza kapelana, nie brakowało na uczuciach religijnych, jakie kto przyniósł z rodzinnego domu; zresztą nie pytano się o wyznanie, o ród, o majątek i tym podobne przedziały klas towarzystwa ludzkiego; śpiew ulubiony pułku, zawierał tę zasadę: Wszyscy bracia, bo Polacy, kochajmy się wszyscy razem! — I tak w korpusie oficerów, widziano obok Radziwiłłów, Giedrojciów, Kilińskiego, *) Kocha i innych synów miasta Warszawy; a w szeregach znaleść można było starozakonnych ożywionych przykładem Berka majora, i Tatarów Mahometanów, których po wyprawie r. 1812 była cała kompania, stanowiąca szwadronik bojowy ubrany po tatarsku.

Z przytoczonego dekretu Napoleona, przekonają się nasi czytelnicy, że Szwoleżery polskie były *starą gwardyą od początku formacyi*, całkiem assymilowani do strzelców konnych gwardyi. Jeżeli po pamiętnem natarciu pod Somo-sierrą, buletyn urzędowy Nr. 13 z d. 2 grudnia 1808, zawiera te słowa: *ce régiment s'est couvert de gloire et a montré qu' il était digne de faire partie de la Garde Impériale*, to jest: „pułk ten okrył się sławą, i dowiódł, że jest *godzien* być częścią gwardyi cesarskiej“ — to bynajmniej nie ma znaczyć: że dopiero za ten czyn był przyjęty do gwardyi, ale że: będąc pułkiem młodym, obcym, którego tylko jeden oddział był pierwej odznaczył się pod Rioseco, okazał się w o-

*) Syn sławnego szewca pułkownika.

czach cesarza *godnym* tej łaski, do której go powołał jeszcze w Warszawie i w Finkenstein.

Równie błędnie niektórzy przyjaciele nasi mniemali, jak Niegolewski pisze, że dopiero za bitwę pod Somosierrą przeszliśmy z młodej na starą gwardyą. — Kiedy Napoleon podpisał dekret naszej formacyi, nie było jeszcze młodej gwardyi, a przynajmniej nie było jej z pewnością w jeździe. — W naszym zaś dekrecie wyraźnie stoi, że mamy żołd i całą organizacyą na wzór najdawniejszego pułku gwardyi konnej, strzelców konnych.

Inni twierdzili: że za nagrodę nadzwyczajnego natarcia pod Somo-sierrą, otrzymaliśmy zaszczyt tworzenia czoła kolumny gwardyi konnej francuskiej. Rzecz się ma inaczej: zawsze najlżejszy i najmłodszy oddział, jakiejkolwiek broni, *we wszystkich wojskach*, postępuje przodem. Póki pułk polski był najmłodszym w jeździe gwardyi cesarskiej, szedł na czele; gdy później cesarz utworzył pułk ułanów holenderskich, ci zajęli czoło kolumny, a ustąpili go znowu pułkom *de gardes d' honneur*, i *des Eclaireurs*, jakie w ostatnich czasach napoleońskich nastały.

Dodać jeszcze musimy, dla sprostowania licznych w tem pomyłek: że do końca roku 1809 nie byliśmy uzbrojeni w kopije, czyli lance; mieliśmy karabinki, pistolety i pałasze, byliśmy *czysto Szwoleżerami*; dopiero dostawszy do powyższej broni jeszcze kopije w obu szeregach, zostaliśmy przezwani: *Chevau-Legèrs Lanciers polonais de la Garde;* gdy jednak to uzbrojenie okazało się uciążliwem i niestósownem, wróciliśmy się do przyjętego przez sławnych usarzów polskich zwyczaju: że tylko pierwszy szereg był uzbrojony w kopije czyli lance, a drugi szereg został przy karabinkach, ma się rozumieć i pałaszach. Takie uzbrojenie jazdy polskiej okazało się najskuteczniejszem; lecz nie tu jest miejsce rozpisywać się nad temi szczegółami, należącemi do taktyki jazdy.

Lubo umundurowanie pułku jest znane z wielu obrazów, i szczegóły tego umundurowania nie dadzą się tak opisać jak wyobrazić, nie zawadzi podać i o tem ja-

kąkolwiek wiadomość czytelnikom, a pamiątkę synom naszym.

Z początku, gdy ochotnicy więcej mieli upodobania w mundurach, niż doświadczenia wojskowego, postanowiono dwie barwy mundurów: paradny biały, służbowy granatowy; a te dla oficerów znowu podzielono: na wielki i mały mundur; wielki był polski, to jest kurtka, mały francuski, to jest frak; prócz jeszcze surdutów dla oficerów, szpencerów dla szeregowych, płaszczów i różnych dodatków. Sądziły zapewne wnuki dawnych usarzy, że kolebki i skarbniki czterokonne będą za niemi ciągnąć. Miał więc cały pułk jednostajne polskie czapki, karmazynowe sukienne pikowane, z przodu metalowem złoconem pół-słońcem ozdobione, a w środku tego promienistego pół-słońca, była na białem dnie litera N złocista, z podobnąż koroną cesarską. Potrzeby wszelkie u czapki, były u oficerów srebrne; u pod-oficerów półsrebrne, półjedwabne karmazynowe; u brygadyerów i szeregowych białe; toż ma się rozumieć o szlifach i axelbantach, które ostatnie, w wojsku francuskiem były oznaką gwardyi lub żandarmeryi. Okucie daszka czapki, łańcuszek do podpinania, i inne metalowe przybory, u oficerów srebrne, u reszty posrebrzane. W paradzie zakładali wszyscy do czapek pióra białe, wykwintne, strusie lub kapłonie. Oficerowie starsi aż do szefa szwadronu włącznie, mieli czapki karmazynowe axamitne pikowane srebrem, i kity z piór czaplich. — W marszu chowały się wszelkie ozdoby, lub pokrywały pokrowcami — prócz szlif i axelbantów — a czapki osłaniały się ceratą czarną.

Atoli oprócz czapek jednostajnych, miały być od parady, kurtki białe z wyłogami karmazynowemi bogato srebrem haftowanemi, i spodnie karmazynowe z lampasami srebrnemi; — zaś balowe fraki, podobnież białe, z wyłogami karmazynowemi i takim samym haftem jak kurtki. Kiedy te paradne mundury białe postanowiono, nie spodziewano się zapewne, że nim połowa pułku opuści Warszawę, pierwsze oddziały będą się już biły w Hiszpanii, w Madrycie d. 2 maja, i pod Rioseco d. 14 lipca 1808. Gdy więc wkrótce okazało się, że nasza gwar-

dya nie do salonów dworskich, ale do obozów i wojny stworzona, i że przy pułku nikt prócz starszych oficerów sztabowych, bryczki mieć nie może, przeto wkrótce zaniechano tych mundurów paradnych białych, i przyjęto jednostajne kurtki granatowe z wyłogami karmazynowemi rozpiętemi, a spodnie granatowe z lampasami karmazynowemi, za strój od parady; wyłogi miały u oficerów wszelkiego stopnia lekki haft srebrny nakształt łańcuszka; zaś u pod-oficerów i szeregowych, galonki srebrne;— na paradę były wyłogi rozpięte, kurtki na haftki zapinane, a oficerów szarfy srebrne, karmazynem przerabiane; na służbę i marsz, były kurtki na krzyż zapięte i rajtuzy skórą podszyte. Spodnie karmazynowe, pozostały tylko u sztabsoficerów do ich woli. Rzemienie, to jest: pasy do pałasza, na klamrę z orłem francuskim, pas do ładownicy, owo zgoła wszystkie rzemienie białe, starannie czyszczone; to samo wszystko u oficerów srebrne, safianem czerwonym podszyte. Płaszcze były u oficerów granatowe, surduty takież, furażerki oficerskie były to konfederatki karmazynowe z barankiem czarnym. Podoficerowie i szeregowi mieli płaszcze białe z kołnierzem karmazynowym, furażerki zaś kroju francuskiego, o trzech kolorach polskich. — Trębacze byli zrazu ubrani całkiem karmazynowo, z wyszywaniami srebrnemi i białemi, lecz później przybrali czapki białe z piórami czerwonemi, i kurtki białe z wyłogami karmazynowemi, zresztą podzielali ozdoby właściwe całemu pułkowi, — siedzieli na koniach siwych, czapraki mieli karmazynowe. Zaś czapraki w całym pułku były granatowe, ozdobne z frontu po obu bokach literą N. z koroną, a po tylnych końcach orłem cesarskim także z koroną; to wszystko u oficerów srebrem, u niższych rang i szeregowych suknem białem i sznurkiem karmazynowym wyszywane; rzęd na konie ozdobny, mantelzaki karmazynowe. — To wszystko, jakkolwiek tylko w skróceniu opisane, sprawiało i z osobna, a więcej jeszcze w masie, widok zajmujący; żaden pułk gwardyi francuskiej konnej nie miał tyle i tak gustownego blasku; te pióra strusie na śklniących karmazynowych czapkach, te barwy, niegdyś mundur Igo województwa krakowskiego stanowiące, tak pię-

knie dobrane, biała, granatowa i karmazynowa, sprawiały nietylko w paradzie, ale nawet i w marszu, widok ujmujący; gdy do tego przybyły jeszcze proporce, pół-białe, pół-karmazynowe, postawa pułku stała się jeszcze bardziej zachwycającą.

Wszakże był ten mundur naśladowaniem, lecz o dużo wydoskonalonem dawnej kawaleryi narodowej, i gdy książę Józef Poniatowski lustrował pierwszy oddział pułku, wyruszający z Warszawy na bitwę pod Friedland, wyrzekł: „Ach! jak mi to przypomina kawaleryą narodową! to jest istna kawalerya narodowa“... Było w tem zdaniu i trochę urągania; książę nie miał dobrego wyobrażenia o naszej karności... nie przewidywał książę, jak się prędko wykształcimy przy wzorach starej gwardyi francuskiej... a gdy w r. 1813 na rewii pod Dreznem, piętnaście szwadronów bojowych naszego pułku przed Napoleonem galopem przeciągało, przywołał cesarz księcia Poniatowskiego, który świeżo z Krakowa był przyciągnął, i spytał go Napoleon: „A co książę! czy masz co podobnego?“ Na to książę Józef odrzekł: „Co do powierzchowności, nie mam, ale mam równe co do wewnętrznej wartości.“

Jakkolwiek bądź, nie ubliżając bynajmniej męstwu i karności pułków jazdy polskiej, nikt nam nie zaprzeczy, że skład pułku, z którego szeregowi wychodzili na oficerów do innych pułków różnej broni, musiał stać moralnie wyżej od wszelkich innych; jakoż był gwardyą Napoleona. Widzieliśmy z dekretu formacyi, jaki był skład pułku naszego przy jego tworzeniu się; później po pierwszej wyprawie hiszpańskiej w r. 1808, gdy ubytek w pułku był znaczny, tak przez straty w boju jak i przez awans naszych szeregowych i pod-oficerów niektórych na oficerów do pułku konnego i pieszych legii nadwiślańskiej, zaczęto wybierać ochotników do skompletowania naszej gwardyi z całego wojska polskiego pozostałego w księstwie warszawskiem, bez różnicy broni. Ochotnicy ci, tak oficerowie, pod-oficerowie i bardzo odznaczeni szeregowi, podawali się sami, a komisya na to wyznaczona rozpatrywała ich usposobienia; byli oficerowie co przybywali w równej randze do gwardyi, ale

byli i tacy, co przybywali na prostych szwoleżerów, z zapału do walczenia blisko pod okiem wielkiego bohatera, i zachwyceni wiadomością o sławie pułku, a mianowicie u Somo-sierry. Później jeszcze, po roku 1809, utworzono w Warszawie zakład pułku dla trudnienia się wybieraniem ochotników z pułków na dopełnienie gwardyi, i skupowaniem koni. — Zakład ten istniał w Warszawie, aż do końca r. 1812, potem przeniósł się do Krakowa, i z księciem Poniatowskim przybył do Drezna w r. 1813.

Musimy jeszcze czytelnikom naszym objaśnić, jak to na rewii pod Dreznem wyżej cytowanej, pułk nasz mógł mieć pietnaście szwadronów?... Według dekretu cesarskiego pierwotnego, pułk składał się z czterech szwadronów, a z ośmiu kompanij, — lecz gdy w wojsku francuskiem ówczesnem, szwadron manewrowy czyli bojowy, składał się z czterech plutonów po dwanaście rot, więc rozróżnić trzeba: Szwadron „etatowy“ — *escadron de comptabilité* — od szwadronu „w boju“ lub na „mustrze“ *escadron de manoeuvre et de guèrre;* miał więc pułk zrazu cztery szwadrony etatowe po 250 koni, co tworzyło dwa małe szwadrony na mustrze i w boju; a zatem miał pułk w początkach, gdy się złączył w Hiszpanii w r. 1808, szwadronów bojowych ośm.

Ale później przybyły szwadrony etatowe: piąty, szósty, siódmy, po 250 koni każdy, i jeszcze w r. 1813 kompania czyli szwadronik Tatarów, tak, że pułk nasz podczas zawieszenia broni, występował w roku 1813 w Dreźnie, w piętnaście szwadronów, to jest przeszło 1500 koni. Trzeba albowiem wiedzieć, że w r. 1812 w Wilnie, cesarz dekretował utworzenie pułku gwardyi litewskiej, zupełnie do naszego asymilowanej, z tą dawną w Polsce używaną różnicą, że pułk litewski zamiast ozdób srebrnych i białych, miał ozdoby złote i żółte. Ten pułk miał szwadronów cztery — nie wiem jak licznych? — formował się w Warszawie, pod dowództwem jenerała Konopki, który będąc majorem w naszym pułku, postąpił w Wilnie na dowódzcę gwardyi litewskiej i kadry do niej z naszego pułku dostał. Gdy zaś ten pułk został w Słonimiu rozbity przez jenerała rosyjskiego

Czaplica (Polaka), więc co uszło z tej nieszczęśliwej porażki, lub co z tego pułku pozostało w Warszawie, to wszystko zostało wcielone do naszego pułku; szwadron piąty został sformowany w Gdańsku przez Seweryna Fredrę, z ochotników wileńskich; szwadron szósty z reszty gwardyi litewskiej, przez Ambrożego Skarzyńskiego; szwadron siódmy z ochotników krakowskich, przez Stanisława Roztworowskiego.

Tyle dajemy szczegółów czytelnikom naszym, pobieżnie, o pułku gwardyi polskiej Napoleona. — Okazały się w latach 1854 i 1855 dwa dzieła, z których ciekawi, mogą więcej zasięgnąć wiadomości o naszym pułku: jedno w Poznaniu przez pułkownika Niegolewskiego, drugie w Paryżu bezimiennie. Do tych źródeł odsyłając naszych czytelników, przystępujemy do sprostowania zdań i powieści o naszym pułku, jakie nam się w różnych pismach polskich, a mianowicie w „Czasie“ czytać zdarzyło, i dodając niektóre uwagi nasze o zasługach tego pułku względem kraju.

Pierwszy zarzut był naszemu pułkowi uczyniony, o ile nam jest wiadomo, w r. 1853 w nrze 8ym „Czasu“ z dnia 12 stycznia.

Referent czyli raczej korespondent „Czasu“ paryski, z lekceważeniem wspomniał, jakoby o czynie naszego pułku, kiedy mu się nawinęła potrzeba wzmiankowania o mieście Chatellerault. Odpowiedzieliśmy na ten lekkomyślny niby żart w nrze „Czasu“ 22 z dnia 28 stycznia, że cała ta anegdota jest albo zmyślona, albo zaraz w początkach tej wieści przesadzona, jednakże przez złośliwie żartobliwych Francuzów coraz bardziej wzrasta, tak dalece, iż obecnie córki tego miasta, Polkami nazywają. Odsyłamy czytelników do wyż cytowanych nrów „Czasu,“ nie powtarzając tu, cośmy tam powiedzieli o mylności tego zarzutu uczynionego statkowi naszego pułku; gdyż jeżeli się co podobnego w małej mierze przytrafiło, to nie w pułku jazdy, a tem mniej w gwardyi polskiej.

Drugi pomysł obrażający pamiątkę naszego pułku, a mianowicie zasłużonego pułkownika Kozietulskiego, był to obraz na wystawie sztuk pięknych w Krakowie w r. 1855 zamieszczony. Obraz ten olejno malowany, jakoby

bitwy pod Somo-sierrą, wystawia Kozietulskiego rąbiącego z zawziętością dwóch księży Dominikanów. Umieściliśmy w „Czasie“ z dnia 27 miesiąca kwietnia z r. 1855 nr. 95 artykuł na ten obraz, ubliżający prawdzie i uczuciom religii, tak samego Kozietulskiego, jak i naszego pułku w ogólności; powiedzieliśmy, że natarcie pod Somð-sierrą odbyło się na artyleryą i regularne wojsko hiszpańskie, że tam żadnego duchownego widać nie było, i że walka szefa szwadronu dowódzcy całego natarcia, z bezbronnymi mnichami, jest ubliżającą jego pamięci i pamięci pułku gwardyi polskiej, a zatem i imieniowi polskiemu; do tego więc naszego artykułu w „Czasie“ czytelników odsyłamy.

Później, napotkaliśmy w kalendarzu krakowskim p. Józefa Czecha na r. 1856 powieść, niby starego majora, zresztą z niepospolitym talentem napisaną, jakoby tenże weteran opowiadał, dla zbudowania młodych słuchaczy przygodę bitwy pod Somo-sierrą, na przykład i naukę, jak to bezbożność w wojnie karaną bywa; a zatem powieść ta ma za przedmiot brak religii w pułku gwardyi polskiej. Autor wystawia nietylko rabunek miasta Lermy przez wojsko francuskie, ale rabunek kościoła katolickiego przez szwoleżerów polskich gwardyi, co więcej, przez oficera Polaka! Następuje zanotowanie sobie przez opowiadającego nazwisk wszystkich tych bezbożników; aż wkrótce pokazało się, że ci co polegli pod Somo-sierrą, w liczbie pięciudziesiąt siedmiu, byli ci sami, których nazwiska ów weteran, wówczas wachmistrz starszy w szwoleżerach gwardyi, naznaczył był sobie krzyżykami!!... Niema potrzeby zajmować czytelników poszczególnym rozbiorem i zbijaniem tej powieści; żyje nas, między innymi trzech kolegów z pod Somo-sierry w Galicyi; prócz mnie piszącego, pułkownicy Piotr Krasiński i Gabryel Siemoński, a czwarty kolega, pułkownik Jędrzej Niegolewski w poznańskiem. Pytałem się tych wszystkich, czy wiedzą co o rabunku miasta Lermy w pochodzie od Burgos pod Somo-sierrę, a mianowicie o rabunku tamecznego kościoła przez gwardyą polską,—albowiem ja, który przez dni kilka bawiłem w Lermie, i co wiele szczegółów tamecznych pamiętam, nic podobnego

ani widziałem, ani przypuścić mogę. Koledzy, odpowiedzieli mi wszyscy mniej więcej z oburzeniem, a najmocniej Niegolewski: ta cała powieść jest nam niezrozumiałą, bo w jednych miejscach ukazuje ślady, jakoby opowiadacz miał jakie takie wyobrażenie o kraju hiszpańskim i o składzie pułku gwardyi polskiej; w innych zaś miejscach, objawia najzupełniejszą niewiadomość, i sam z sobą jest częstokroć w sprzeczności, jako to: Pan major popisywał się pod Rioseco i wytrzepawszy tam porządnie Hiszpanów, jak się wyraża, wszedł z tryumfem do Madrytu ... zapomina więc pan major, że szwadron Wincentego Radzimińskiego, co walczył 14 lipca pod Rioseco, nie był w Madrycie wcale, aż dopiero po zajęciu tej stolicy przez Napoleona w grudniu. Zapomina równie, że szwadrony co wkroczyły do Madrytu na wiosnę jeszcze z Muratem, pod dowództwem samego pułkownika Wincentego Krasińskiego, i szefów szwadronu Tomasza Łubieńskiego i Jana Kozietulskiego, wyszły z Madrytu także właśnie tego samego dnia 14 lipca, którego Radzimiński walczył pod Rioseco; szwadrony te szły w pomoc marszałkowi Bessières i złączyły się z nim pod Rioseco, ale już po bitwie; zapomniał więc opowiadacz, że cały oddział gwardyi polskiej, jaki był w Madrycie, opuścił to miasto, nie doczekawszy się mizernego wejścia króla Józefa do nie swojej stolicy, ani sromotnej jego z niej ucieczki. — To znowu opowiadacz robi Kozietulskiego swoim rotmistrzem; ten każe mu ludzi wołać do apelu; jakiś adjutant cesarski daje Kozietulskiemu rozkaz *mon capitaine! faites charger ces coquins là*... same szczegóły mylne. Kozietulski nigdy nie był w naszym pułku rotmistrzem czyli kapitanem; żaden wachmistrz szef czyli wachmistrz starszy, nie czytał przed nim apelu; ... Kozietulski był szefem szwadronu, t. j. miał rangę pułkownika; żaden adjutant cesarski nie byłby się ważył przemówić do niego, inaczej jak: *mon colonel!* — bo marszałkowie, sam Napoleon nawet, dawali szefom szwadronu i batalionu gwardyi tytuł pułkowników. Kozietulski był dowódzcą drugiego szwadronu, składającego się z 2giej kompanii kapitana Jerzmanowskiego, i 6tej kapitana Radzimińskiego, które to dwie

kompanie, były się już dawno przed Somo-sierrą połączyły, to jest: oddziały z Madrytu i z pod Rioseco; bo cały pułk czyli wszystkie ośm kompanij, i te co były już dawniej w Hiszpanii, i te co nadciągnęły z Polski, były się zeszły między Pancorbo i Briwieską, i stały obozem podzielone na dwa regimenta, każdy o czterech szwadronach bojowych; Iszy regiment pod pułkownikiem Krasińskim stał pod Santa Maria de Cobo, IIgi pod majorem Dautancourt przy Briwiesce. — Kozietulski pod Somo-sierrą nie nacierał ze swoim 2gim szwadronem, ale z 3cim składającym się z kompanij: 3ciej kapitana Dziewanowskiego i 7ej kapitana Piotra Krasińskiego; — szefem szwadronu 3go, był Ignacy Stokowski; ten nie był jeszcze osobiście zdążył do Hiszpanii, i dla tego adjutant major kapitan Duvivier, — jak to dobrze pamiętam, — o brzasku dnia pod Bocequillas, komenderował na służbę *z kolei* szefa szwadronu Kozietulskiego; i tym to sposobem, ten znakomity oficer prowadził do boju 3ci szwadron. — Jeszcze jednę, a to grubą militarną pomyłkę popełnił opowiadacz pan major mówiąc: „Z tem wszystkiem, gdyby Hiszpanie byli choć jeden zasiek zrobili na gościeńcu, i djabły nic by nie wskórali.“ Najpierwej niech daruje pan major, ale to wyraz niereligijny, a powtóre, myli się, bo był zasiek, czyli raczej rów przez gościeniec przekopany; i właśnie póty Napoleon jazdy nie wysłał, póki piechota rowu tego chrustem i kamieniami nie zasypała.

To są szczegóły, może mało czytelnika obchodzące, ale dające poznać: że nie każdemu wolno bawić się powieścią z czasów tak bliskich, gdzie jeszcze uczestnicy czynu opowiadanego żyją, a które są tak ważne dla imienia polskiego. Podobne sceny: rabunku, mordów bezowocnych i bezbożności, może niestety! godzi się wydobywać z zapadłych pamiątek Lisowczyków, ale nie z szeregów gwardyi Napoleona, której reprezentanci czuwają jeszcze nad jej sławą, lubo rozproszeni po szerokim kraju, który ich za szlachetniejszem przeznaczeniem powołał z ojczystych progów do boju. Z jakiego czasu i opowiadacza pochodzi ta krzywdząca nasz pułk i pamięć bohaterów Somo-sierry anegdota, okazuje najlepiej

włożona w usta Kozietulskiemu komenda: *En avant marche, marche!* Ten rodzaj komendy podwójnego marszu, nie istniał w regulaminie francuskim, ani w piechocie, tem mniej w jeździe; pierwszy raz taką komendę usłyszeliśmy z chrapliwych ust w. księcia Konstantego.

Jakkolwiek bolesno nam jest czytać tę potwarz, rozpowszechnioną przez kalendarz krakowski, stósujemy się do zdania kolegi Niegolewskiego, że ta plotka nie zasługuje na odpowiedź, i opuszczamy ją, gotowi każdego czasu podnieść rękawicę w obronie moralności i religijności naszego pułku, gdyby tego zdarzyła się potrzeba.

Wszelako przychodzi nam na pamięć wypadek zdarzony przed frontem tego samego 3go szwadronu, o którym dotąd była mowa. W jednej wielkiej bitwie, gdy kule armatnie ostro grały, zdarzyło się, że szwoleżer młody uchylił głowy przed przelatującą nad nim kulą armatnią; żołnierze sąsiedzi zaczęli na niego powstawać, i chcieli, żeby ustąpił z szeregu. Szef szwadronu 3go Ignacy Stokowski, dawny legionista, słysząc to, odwrócił się do frontu i rzekł mniej więcej te słowa: „Koledzy, nie miejcie za złe młodemu wrażenia, jakie na nim pierwszy ogień robi, ja wiem, że on się przy bliskiej sposobności odznaczy; a ty młodzieńcze przeżegnaj się, w Imie Ojca i Syna i Ducha świętego! i bądź przekonany, że ci się nic nie stanie bez boskiej woli.“ Jakoż wkrótce po kanonadzie, nastąpiły kilkakrotne natarcia jazdy, i młody szwoleżer istotnie się odznaczył.

Jakkolwiek szkoda było talentu autora powieści o owej bezbożności ziomków i karze zań, była to wszelako tylko powieść; coś nakształt owych z tysiąca nocy i jednej; fikcya, pogadanka przy kominku, bez pretensyi do prawdy; ... ale kiedy się cytuje po imieniu i nazwisku żyjących działaczów, nie wolno jest pisać o nich, bez ich osobistego zezwolenia.

W Tygodniku warszawskim nr. XV, w „Czasie“ z d. 19 kwietnia 1855, czytamy relacyą o bitwie pod Somo-sierra, jakoby pochodzącą wprost od kapitana Wincentego Tedwena. Znamy tego zacnego kolegę, znamy jego dzielność, możemy powiedzieć jego cnoty, i dla tego właśnie pokładamy zdanie, że relacya o Somo-sie-

rze, tak jak jest wydrukowaną w Tygodniku warszawskim, nie jest wierną opowiadaniu kapitana Tedwena. Jakoż i autor Tygodnika sam pisze: „Tedwen jeden z naocznych świadków tej sławnej rozprawy, żyje do dnia dzisiejszego, a będąc w miesiącu grudniu 1853 w Warszawie, opowiadał sam ciekawe szczegóły dotyczące tej bitwy, które jeden z obecnych skreślił do swych notat i nawet odczytał je w pewnem literackiem gronie; zrobiłem za pozwoleniem właściciela tych notat, wyjątek z tychże, i podaję tak jak wyszły z ust starego wojaka.“ — Otóż to tej autentyczności opowiadania Tedwena, zaprzeczamy; mała okoliczność, ale Tedwen nie mówiłby: „Napoleon widząc leżących zabitych ułanów naszych“, bo dobrze wiedział, że wtenczas ułanami nie byliśmy; powtóre, choćby Tedwen i miał był kontrolę w czapce, to chyba swego plutonu, bo nigdy nie był wachmistrzem szefem, a choćby i był, to by był tylko jednej kompanii, a w texcie Tygodnika stoi: „kontrola szwadronu, którą miałem w kaszkiecie“; i tego wyrazu kaszkiet nie byłby Tedwen użył, bośmy kaszkietów nie mieli; a to tem mniej, że tej kontroli nie mógłby użyć, chyba dla przypomnienia o stu naszych — ma się rozumieć poległych — braciach, bo w całym szwadronie złożonym z dwóch kompanij, 3ciej i 7mej, nie zginęło tylko 57 ludzi, a więc z jednej kompanii nie mogło ich zginąć sto.

Lubo pamięć nasza o naturze wąwozu Somo-sierry, aczkolwiek go po dwakroć przebywaliśmy, po 48 leciech trochę mgłą zaszła; nie można, — nawet militarnie — na to przystać, żeby wąwóz Somo-sierry nie miał długości, „wiele więcej nad pół wersty.“ — Prawda że w r. 1808 ani piszący, ani Tedwen nie mierzyliśmy drogi do sławy na wersty, w tej więc mierze, nam obu nowej, możemy się obadwa mylić, ale nam się zdaje, że wąwóz był znacznie dłuższy.

Twierdzić zaś, że wszelkie usiłowania Francuzów o zdobycie tej pozycyi spełzły na niczem ... to jest zapominać, czem był obecny Napoleon, i czem był cały korpus pierwszy wojska marszałka Viktor; wreszcie, któżby był zabronił Napoleonowi obejść tę pozycyą, lub maszerować na Madryt, z Burgos głównym traktem? —

Bardzo dobrze w tym punkcie odpowiada za nas literatowi warszawskiemu dziejopis Thiers. Oto są jego słowa: *Napoleon voulant apprendre à ses soldats qu' il fallait avec les Espagnols ne pas regarder au danger, et leur passer sur le corps, quand on les rencontrait, ordonna à la cavalerie lègère de la Garde, d' enlever au galop tout ce qu'l y avait devant elle,* — a po dokonaniu zdobycia wąwozu, tak się pan Thiers wyraża: *Napoleon fut enchanté d'avoir prouvé à ses généraux ce qui etaient les insurgés Espagnols, ce qu'etaient ses soldats, le cas qu'il fallait faire des uns et des autres et d' avoir franchi un obstacle qu'on avait paru croire très redoutable* *).

My do tego dodajemy: że cesarz byłby niezawodnie zdobył wąwóz Somo-sierry piechotą, aleby to kosztowało kilka tysięcy zabitych i rannych, wtenczas kiedy zdobycie impetyczne przez jazdę, nie poniosło i stu ludzi straty; to jest tą zagadką militarną, na której rozwiązanie posłał Napoleon Polaków; bo znał skład tego pułku, że każdy gotów był lecieć oślep na śmierć, dla sławy kraju, dla honoru pułku, a zwłaszcza w oczach jego samego.

Nie przypuszczamy więc, żeby uwagi nad trudnością zdobycia Somo-sierry pochodziły od kolegi starszego Tedwena,— było albowiem dwóch tego imienia oficerów w pułku, — a jakkolwiek szacujemy osobę i pamięć kapitana, nie możemy pozwolić na to pod żadnym względem, żeby marszałek Berthier miał przedstawiać cesarzowi, że to natarcie jazdy na armaty hiszpańskie było niepodobieństwem; również nie wypada nam zaprzeczać zupełnej możności, żeby kolega Tedwen, który naówczas był tylko wachmistrzem, nie miał w kilka dni potem,

---

*) Napoleon, chcąc nauczyć swych żołnierzy, że spotkawszy się z Hiszpanami nietrzeba zważać na niebezpieczeństwo, ale iść na przebój, dał rozkaz lekkiej kawaleryi gwardyi, aby galopem zdobyła wszystko co przed sobą znajdzie.... Napoleon kontent był bardzo, że dowiódł swym jenerałom, co to byli powstańcy hiszpańscy, co to byli jego żołnierze, jak trzeba się obchodzić z jednymi a jak używać drugich; że przebył zaporę którą uważano za straszną przeszkodę...

rozmowy z majorem jeneralnym, marszałkiem Berthier księciem de Neufchatel, ale byłoby to szczęście osobliwsze dla wachmistrza, bo Berthier był arcy-małomownym, suchym i niekoniecznie sprzyjającym sprawie Polaków. Wszakże niema w takowem rozmawianiu majora jeneralnego jeszcze niepodobieństwa,— lecz pomnożenie istotnych ran Niegolewskiego jedenastu, aż do liczby trzydziestu dwóch! czyni podejrzanym o przechwałkę niejeden szczegół tej relacyi o Somo-sierze, przypisanej Tedwenowi. To tylko z tej relacyi z upodobaniem uważamy, że oprócz wiadomych nazwisk oficerów co polegli pod Somo-sierrą, czytamy nazwiska: Benedykta Zielonki i Wincentego Dobieckiego, jako oficerów 3go szwadronu, i że ta relacya podaje siłę nacierającego szwadronu: sto dwadzieścia pięć koni. W tych obu szczegółach zgadzamy się, lubo szanowny kolega Niegolewski w obu tych przedmiotach jest innego zdania. Każdy z nas może się mylić, bo jest temu, jak się już powiedziało, lat 48; ale ja wiem dowodnie, kiedy Zielonka i Rudowski — między innymi — zostali oficerami, bo w tej samej nominacyi ja awansowałem na porucznika 1szej klasy, a Zielonce darowałem szlify i axelbanty oficerskie, w których odbył bitwę pod Somo-sierrą, ale w kurtce wachmistrzowskiej; zaś Rudowski poległ w kurtce niby oficerskiej, ale jeszcze niehaftowanej; nie tyle pamiętam: czy natenczas także Wincenty Dobiecki został oficerem, lecz to wiem, że był pierwej wachmistrzem szefem w kompanii 7ej, zaś Zielonka nigdy nie był wachmistrzem szefem, choć tak stoi w opisie Somosierry przez jenerała Łubieńskiego, o którym będzie mowa później.

Wrócimy jeszcze do opisu osnowanego na opowiadaniu kapitana Tedwena, ale teraz przejdziemy za przewodnictwem tego samego Tygodnika warszawskiego do nekrologu kapitana naszego Romana, w zeszycie IIIcim cmentarza Powązkowskiego, wydanego w Warszawie r. 1855 przez czcigodnego Kazimierza Władysława Wójcickiego; który to nekrolog i przypisy do niego powodowały autora Tygodnika warszawskiego w „Czasie“ ująć się za — jakoby zapomnianym — kapitanem Tedwe-

nem, i umieścić poprzednio rozebrany przez nas artykuł o nim.

Otóż względem pochwały walecznego kapitana Romana, jesteśmy tego samego zdania co względem Tedwena, że oni oba: co innego, albo inaczej opowiadali, a przyjaciele inaczej opisali, nie pomni na tę przestrogę: że niema nic gorszego, jak niezręczny przyjaciel.

Oba koledzy byli wachmistrzami pod Somo-sierrą, oba byli w nacierającym szwadronie, oba się odznaczyli, obu znaliśmy, kochaliśmy, poważaliśmy, ale gdy nie byli oficerami w czasie natarcia, a przeciwnie kilku oficerów nacierających zostało przy życiu, bo był jeszcze porucznik Iszej klasy Wincenty Szeptycki z kompanii 7ej, którego artykuł o Tedwenie nie wspomina, więc naprożno przyjaciele Wincentego Tedwena i Wiktora Romana twierdzą z sobą sprzecznie, jakoby każdy z nich pozostał najstarszym przy końcu natarcia. Autor Tygodnika zadziwia się: dla czego nekrolog Romana ani razu nie wspomina o Tedwenie,—a sam podając nam jakoby relacyą z ust Tedwena, znowu w njej o Romanie ani słowa nie zamieszcza. Dla czego? bo oba byli tylko wachmistrzami, a starsi od nich oficerowie żyli. My wszyscy zaś dotąd przyznajemy to Niegolewskiemu jednemu, co przyjaciele Tedwena i Romana chcą w niepojęty sposób im obudwom przypisać. Tem boleśniej jest dla piszącego czytać dalej: jakoby Napoleon miał gdzieś w jakiejś niedopytanej twierdzy przez Romana zdobytej, gdy go ten w bramie przyjmował, poklepać go po ramieniu i wyrzec: „Tu cię poznaję ostatni dowódzco szarży na Somo-sierra“!?

Co się tyczy obrony kapitana Brockiego od niewoli, to się działo w okolicach Moskwy; nie zaprzeczamy, że Roman zrobił co mógł dla obrony swego starszego, ale nie w sposób tak niezrozumiały, i że szanowny Alexander Brocki kolega nasz ukochany, późniejszy radzca komisyi skarbu królestwa polskiego, nie uszedł wówczas niewoli, i nie wrócił do Warszawy aż po ukończonej wojnie. Nie słyszeliśmy nigdy o zakładzie z oficerami jazdy nieprzyjacielskiej, jakoby ich Roman czterech uzbrojonych w pałasze pobić miał sam jeden lancą, i że sku-

tkiem tego, odbył z temi czteremi oficerami nieprzyjacielskiemi pomyślnie cztery pojedynki na pałasze.

Nie wiem kto redagował text nekrologu kapitana Wiktora Romana, ale na str. 124 wymknęły mu się te wyrazy: „dzisiejsze pokolenie nie zechce wierzyć temu i jako bajkę przyjmie.“

Otóż na nieszczęście nie dzisiejsze pokolenie, ale siedmioletni koledzy wojny, zaprzeczają tym exageracyom, i poczytują takowe za złe w imieniu rycerza samego, któremu te przechwałki ubliżają, równie jak pułkowi w którym on położył zasługi.

Dla czegóż czytamy w tym samym zeszycie Cmentarza Powązkowskiego nekrologi pułkownika piechoty Cypryana Godebskiego i majora Luxa, pełne powagi, prawdy i prostoty, tak jak przystało na bohatera z pod Raszyna i rycerza z San Domingo? Dla czegóż musimy czytać przeciwnie w Tygodniku warszawskim, w owej pogadance przypisywanej Tedwenowi, że: „kontrola szwadronu“ (?) w kaszkiecie jego, tak była posiekana kulami, że nie można jej było użyć do apelu! Te i tym podobne anegdoty są z rodzaju tych osławionych, które niestety, zwłaszcza od niejakiego czasu, przypisują Radziwiłłowi panie kochanku, a które może nie jeden pisarz tak podrabia, jak ów jowialista wyż cytowany podrobił mowę Lisowczyka Kleczkowskiego.

Nietrzeba, żeby świetne, czyste, wzorowe zasługi naszej gwardyi przechodziły przez obłąkane pióra, na pole owych pamiętników Dmóchowskiego z Przemyśla, które wydał Jędrzej Koźmian, a w którem dziele, prócz przemowy Koźmiana, niema nic coby krytykę wytrzymało.. I tam są twierdze zdobywane, o których nikt nigdy nie słyszał, i epizody romantyczne o ognistych oczach, o ostrych sztyletach, o zabójczych truciznach, tak jak w nekrologu kapitana Romana, co bardzo może być piękne w melodramacie, ale bardzo nudne dla tych, co przebyli trzy lata w Hiszpanii prawie w ciągłej wojnie.

I tak co do romantycznych przygód kolegi Romana, musimy już aż do znużenia powtarzać, żeśmy w latach 1807, 8, 9 nie byli ułanami; dodajemy uwagę, że Roman Wiktor nigdy nie był kapralem, ani żaden z imien-

ników jego kilku w pułku gwardyi polskiej; bo kaprale byli tylko w piechocie, a nasz pierwszy stopień, jak to widać z dekretu formacyi, miał nazwę brygadyera; że przez trzy lata pobytu w Hiszpanii nie doznaliśmy ani owych sztyletów, ani owych zabójczych trucizn od pięknych Hiszpanek; że przeciwnie bardzo wielu oficerów polskich pożeniło się w tym kraju z córkami znakomitych rodzin, jak jenerał Estko, jak pułkownik Chłussowicz i wielu innych; że nigdy nie słyszeliśmy o jakiejś przeprawie brygadyera Romana przez morze, w którem konie musiały pływać; że tenże kolega nie mógł dostać warkocza od pięknej branki, udając się na bitwę pod Burgos, bo to się sprzeciwia chronologii ruchów naszego pułku. Nie przypuszczamy także, żeby Napoleon sam podpisywał nominacye podporuczników, czyli raczej poruczników II klasy, bośmy w żadnym stopniu takiej z podpisem jego nie odebrali; a tem mniej pojmujemy, żeby cesarz był napisał lub podpisał te wyrazy: *il commanda le premier peloton de l' escadron, qui chargea Somo-sierra, et donna l' exemple de cette témérité et bravoure, qui lui merita mon estime* — „dowodził pierwszym plutonem szwadronu, który szarżował pod Samo-sierra, i dał przykład owej śmiałości i męstwa, co mu zjednało mój szacunek.“

Ponieważ zaś nekrolog kolegi Romana zaczepił charakter narodu hiszpańskiego, zarzucając mu sztylety i trucizny, nie chcemy opuścić sposobności oddania naszego świadectwa narodowi hiszpańskiemu, iż jeżeli się lubi sam nazywać: *heroica nacion*, to jest takim istotnie. Nic w Hiszpanii nie znaleźliśmy podłego; wiele, bardzo wiele, do naśladowania. Cóż tam cudzoziemcowi nachodzącemu kraj ich, narzekać na sztylety, kiedy tam nikt nie chodzi bez sztyletu, to jest bez noża kończystego, obosiecznego, *cuchillo* zwanego, kiedy tam codziennie chłopi pojedynkują się na takie noże. Palafox gdy go wezwano do poddania Saragossy, wystawiając mu, że ulegnie przemocy, odpowiedział: „Dobrze, to pójdziemy na noże“ *a cuchillo!* to jest będziemy się bronić do ostatniego... A co do trucizny — nie słyszałem o niej, lecz widziałem ją w piwnicach wina, z których mnóstwo Fran-

cuzów i naszych Polaków ginęło. Jeżeli nam się godzi śpiewać: Cześć polskiej ziemi, cześć! to niech mi wolno będzie powiedzieć, że te same słowa zastósuję do tej samej Hiszpanii, którąśmy wojowali tak niechętnie, tak niewinnie. To jednak wyczytaliśmy z wielką przyjemnością w przypiskach do nekrologu podpułkownika Romana, że ś. p. jenerał Wincenty Szeptycki pozostawił pamiętniki, które nam są dotąd nieznane; równie czytamy w tych przypiskach z udziałem, nekrolog Kozietulskiego i zdanie sprawy o Somo-sierze jenerała Tomasza Łubieńskiego; ale gdy każdemu z nas po przeciągu blisko połowy stólecia, zdarza się mylić, a nas jest jeszcze dzięki Bogu! znaczna liczba przy życiu dawnych towarzyszy broni, oprócz tu wyżej już wymienionych i za granicami kraju polskiego będących, jako to: jenerał Dezydery Chłapowski, jenerał Ambroży Skarzyński, jenerał Wincenty Dobiecki, pułkownik Wincenty Mikułowski, kapitan Dominik Kiełkiewicz, kapitan Joachim Hempel, kapitan Horaczko, a może i wielu innych kolegów, o których nam niewiadomo — przeto życzyćby wypadało, żeby się kiedy mogło zjechać grono dawnych kolegów dla sprawdzenia i sprostowania relacyi o znaczniejszych czynnościach pułku; żeby przejrzeć dzieło jenerała Dautancourt, takowe uzupełnić, i w polskim języku wydać na pamiątkę tylu osób, rodów, i imie polskie obchodzącą.

Zanim wyjdzie co obszerniejszego i dokładniejszego o gwardyi polskiej Napoleona, podajemy tu nazwiska oficerów starszych czyli sztabowych tego pułku, według porządku nominacyj — i oficerów w boju poległych, albo takich, co życie ponieśli w ofierze z ran lub trudów wojny. Wypisy te czynimy — z żalem wyznać przychodzi — bez żadnych notat, tylko z pamięci, lecz jeżeli koledzy znajdą w tym spisie pomyłki lub opuszczenia, to właśnie powinno ich zachęcić do uzupełnienia naszej drobnej pracy.

Pułkownikiem dowódzcą mianował Napoleon Wincentego Krasińskiego, który był pierwej pułkownikiem regimentu tworzącej się jazdy liniowej, a później został jenerałem brygady, hrabią na Opinogórze, jenerałem dywizyi, a w Fontainebleau naczelnym dowódzcą wszyst-

kich Polaków we Francyi w r. 1814 przy Napoleonie, aż do jego abdykacyi wiernie walczących. — Majorami byli: Karol Delaitre dawniej adjutant jenerała Klebera w Egipcie, potem szef szwadronu Mameluków Napoleona, wystąpił na jenerała brygady w wojsku francuskiem.— Dautancourt były szef szwadronu żandarmeryi wyborowej, organizator pułku naszego.— Jenerał Konopka były dowódzca sławnego pułku ułanów nadwiślańskich, wystąpił na dowódzcę pułku gwardyi konnej litewskiej. — Książę Dominik Radziwiłł ordynat, były pułkownik 8go pułku ułanów księstwa warszawskiego. — Jan Kozietulski były szef szwadronu w pułku.— Paweł Jerzmanowski były adjutant marszałka Duroc, a później kapitan w pułku, był z Napoleonem na wyspie Elbie i pod Waterloo. — Szefami szwadronu byli: Tadeusz Tyszkiewicz, wystąpił na pułkownika 2go pułku ułanów księstwa warszawskiego, później jenerał brygady i senator kasztelan. — Ludwik Małachowski. — Tomasz Łubieński, wystąpił na pułkownika 8go pułku ułanów francuskich, złożonego z Polaków, później jenerał brygady i dywizyi. — Jan Kozietulski, jak wyżej. — Ignacy Stokowski wystąpił na dowódzcę pułku ułanów nadwiślańskich. — Henryk Kamieński wystąpił na dowódzcę pułku piechoty księstwa warszawskiego, później jenerał brygady i dywizyi, poległ pod Ostrołęką. — Pac, były szef szwadronu w sztabie marszałka Bessières, wystąpił na pułkownika jazdy w wojsku księstwa warszawskiego, później jenerał brygady w sztabie Napoleona, i jenerał dywizyi zmarły w Smyrnie. — Dezydery Chłapowski były oficer ordynansowy Napoleona, później jenerał brygady. — Paweł Jerzmanowski, jak wyżej. — Piotr Krasiński. — Stanisław Roztworowski były kapitan pułku. — Seweryn Fredro były kapitan pułku. — Wincenty Szeptycki były kapitan pułku, a następnie pułkownik ułanów gwardyi królestwa kongresowego, później jenerał brygady.— Ambroży Skarżyński były kapitan pułku, później szef szwadronu w gwardyi litewskiej. — Stanisław Wąsowicz odkomenderowany z pułku do sztabu cesarza Napoleona, później pułkownik *officier d'ordonnance* jego. — Jędrzej Niegolewski odkomenderowany do głównego sztabu księcia neufchatelskiego.

Książę Woroniecki były szef szwadronu gwardyi litewskiej.— Józef Załuski były kapitan pułku, później pułkownik w strzelcach konnych gwardyi król. kongres., później jenerał brygady. — Antoni Jankowski były kapitan w pułku, później pułkownik Igo pułku strzelców konnych w jeździe krol. kongres., następnie jenerał brygady i dywizyi. — Wincenty Dobiecki były kapitan pułku, później jenerał brygady. — Benedykt Zielonka były kapitan w pułku, później pułkownik w strzelcach konnych gwardyi król. kongresowego.

Oficerowie zaś polegli w boju, lub co zeszli z ran albo trudów, chronologicznie, lecz tylko z pamięci spisani, są:

Kasper Dembiński porucznik II klasy krakowianin zmarł szwankując z konia w okolicy Królewca r. 1807.— Kapitan Dziewanowski poległ z ran. — Porucznik I klasy Krzyżanowski zabity — obaj z poznańskiego. — Porucznik II klasy Rowicki mazowianin; — Porucznik II klasy Rudowski krakowianin, obaj zabici — wszyscy czterej pod Somo-sierrą 30 listopada 1808. — Bogucki porucznik II klasy zabity pod Valladolid w końcu r. 1808.— Kapitan instruktor Peleretzki, z rodziny węgierskiej we Francyi przebywającej, i Zawidzki porucznik II klasy, oba zmarli z trudów wojny w Chantilly w r. 1809. — Kozicki kapitan poległ. — Olszewski z lubelskiego, porucznik I klasy stał się kaleką—oba pod Essling r. 1809.— Mogielnicki i Marczewski (sic?) oba poruczniki II klasy polegli pod Wagram. — Stanisław Gorajski kapitan z trudów wojny pod Wiedniem 1809. — Doktor Deplace zabity w Hiszpanii r. 1810. — Adam Załuski porucznik II klasy zginął w odwrocie z Moskwy r. 1812. — Julian Krasiński porucznik II klasy poległ pod Dreznem r. 1813. — Giełgud porucznik II klasy pod Hanau.— Dominik książę Radziwiłł major pułku z kontuzyi działowej w głowę odniesionej pod Hanau, umarł w Lauterecken. — Polegli: Grotus porucznik II klasy. Malinowski kapitan adjutant major warszawianin. Gótartowski Marcel z Prus porucznik II klasy. Fichnowski porucznik II klasy z chęcińskiego, doktor baron Girardot pozbawiony uda. Gadon porucznik II klasy ze Żmudzi... Ci wszys-

cy we Francyi r. 1814. Nie możemy sobie przypomieć, gdzie i kiedy postradał życie Wybicki porucznik I klasy, syn sławnego wojewody Wybickiego.

Podawszy tak, acz niedokładnie, pamięci ziomków imiona rodaków, co w wyższych stopniach groby lub kalectwo na obcej ziemi znaleźli, mamy sobie za obowiązek zakończyć to pobieżne wspomnienie o pułku gwardyi polskiej Napoleona, kilku słowami skierowanemi do tak zasłużonego i pracowitego wydawcy Obrazów starodawnych Polski, Kazimierza Władysława Wojcickiego.

Szacowny ten pisarz rzeczy narodowych, wpodaje nam zbiór ciekawych przypomnień o tych sła nych husarzach — przodkach naszych — których, między niezliczonemi innemi, dwa natarcia: pod Kirchholmem i pod Wiedniem, całą Europę rozgłosem sławy polskiej napełniły.

Szanowaliśmy w młodości naszej wszyscy, równie z autorem, pamięć tych dzielnych jeźdźców, i młodzież brała ich sobie za wzór, a możemy z pociechą dla przyszłych pokoleń wyrzec: iż gdy kto przejrzy czynności ułanów nadwiślańskich i gwardyi polskiej Napoleona, będzie musiał przyznać: że nie pozostali za wzorami w tyle pod względem odwagi — a pod względem karności, daleko ich wyprzedzili.

Piechota angielska, ów mur nieprzełamany pod Waterloo, niech powie co wycierpiała od ułanów nadwiślańskich w Hiszpanii, mianowicie pod Albuerą — pełne były w czasie swoim dzienniki angielskie opisów o tych natarciach kopij polskich. Zaś co do pułku gwardyi polskiej, wzywamy przeciwników: żeby wskazali jednę porażkę tego pułku. Niema tu mowy o bitwach walnych przegranych, jak n. p. pod Lipskiem... ale i w takich, a mianowicie w lipskiej, bardzo się pułkowi gwardyi polskiej szczęściło.

To co szanowny Wojcicki mówi: „ze pierwszy szereg łamał kopijami, a drugi wycinał szablą“... ten sposób uzbrojenia przyjęła gwardya polska Napoleona, jak się wyżej powiedziało; a że był dobrze naśladowany, dowiódł — między innemi — szef szwadronu Seweryn

Fredro, nacierając pod Peterswalde w r. 1813, w dwieście koni, na pułk huzarów pruskich o pięciu szwadronach, rozbiwszy ten cały regiment i wziąwszy w niewolę samego pułkownika dowódzcę, syna feldmarszałka Blüchera. — Okazał tam prawnuk, że miał w pamięci słowo Maxymiliana Fredry: „że póki kopij stanie, będzie Polak panem w polu.“ Nie twierdzę tego — bo nie pamiętam dobrze — ale mi się zdaje, że Fredro uchwycił własnoręcznie pułkownika Blüchera; przywiódł go brygadyer Wojciechowski.

Ale p. Wojcicki powtarza za innymi: „Porzuciliście kopije, a obróciliście się w rajtary i karabiniery; bez zbroi, bez szyszaków, bez tarcz, bez rohatyn, bez koncerzy i pałaszów, samemi tylko koletami skórzanemi a przepasaniem kitajczanem chcecie nieprzyjaciela ustraszyć.“ — Tu autor uniósł się; bo rohatyny a kopije, to zdaje mi się być jedno; zaś bez koncerzy i pałaszów, toby i nasza jazda nowa nic nie dokazała... Ale niech panowie pisarze niewojskowi darują: nie zbroja, ani broń bije, tylko męże, którzy, i iak ich używają. — Pułk gwardyi polskiej Napoleona, tak bez kopij, jak i z kopijami, bił ułanów *wszelkich*, jacy mu się nawinęli: skromność nie pozwala nam przykładów wymieniać, ale są powszechnie wiadome.

Każdy żołnierz powinien obstawać namiętnie za swoją bronią: Huzar za huzarską, ułan za ułańską, tak strzelec konny, tak kirysyer;... a każdy z nich powinien być mniemania: że na każdą z tych broni zwycięsko uderzy; bo i kirysyer teraz nie ma zakrytych żelazem twarzy i lewej ręki.

Co się zaś tyczy winy jaką autor Obrazów starodawnych rzuca na hetmanów: Jabłonowskiego i Sieniawskiego, że poczęli zarzucać kopije, a zaprowadzać karabinki, to nie w tem jest ich wina, ale w dopuszczeniu zmniejszenia liczby wojska do ilości aż śmiesznej; bo nie darmo jest dawne przysłowie: *nec Hercules contra plures!* Nie było wojsko polskie tak dalece źle uzbrojone, ale 18tysięcy na koronę i Litwę! i to jeszcze nigdy w komplecie, cóż tu o takiej przewrotności militarnie pisać? — Zresztą jazda, jakkolwiekby była uzbrojoną,

powinna strzelanie zostawić piechocie; cała siła jazdy jest w natarciu; strzelba tylko do flankierskich potyczek, i do pilnowania się służyć powinna. Trzeba zaś wiedzieć: że nie każdy może być ułanem, czyli używać kopii; na ułana trzeba jeźdźca wyborowego, a bardzo silnego i zręcznego; widzieliśmy będąc jeszcze szwoleżarami gwardyi, jak ułani przeciwni, bacząc nas z pałaszami ostro nacierających, piki swoje rzucali, a sięgali po pałasze... można się domyślić, że od tego czynu do ucieczki nie było daleko.

Czem zaś wojsko Bonapartego miało górę nad wszelkiemi wojskami, i czego się od niego nauczyliśmy, było to: że oficer piechoty niósł cały swój bagaż na plecach i maszerował pieszo, tak jak każdy żołnierz: tylko szef batalionu, sztabs-oficerowie, adjutanci, mieli i musieli mieć konie, a to dla komendy, i roznoszenia rozkazów. A oficer od jazdy miał jeden mantelzak szczupły na swoim, a drugi na luźnym koniu; bagażów żadnych, namiotów żadnych, obóz pod gołem niebem, koczowanie.

Dalekie są od nas przykłady, jakie nam autor Obrazów starodawnych przedstawia, ale z nich nie można się czego innego nauczyć, jak tylko czego unikać potrzeba, to jest: zbytków, niekarności, zarozumiałości... Owo zgoła, dobry żołnierz powinien być śmiały, zawsze gotowy na śmierć, niezmordowany, wytrwały, trzeźwy, na głód wytrzymały, bezżenny... a co więcej cnotliwy, nie samolub, nie chciwy żołdu i zdobyczy, jeżeli można religijny... Niech daruje autor powieści w kalendarzu krakowskim o wąwozie Somo-sierry; ktokolwiek on jest, ja mu odpowiem: że gdyby trzeci szwadron szwoleżerów gwardyi był zrabował kościół w Lermie, tak jak on to opisał, nie byłby zdobył 16 armat i wąwozu.

Żeby zaś pocieszyć szanownego p. Wojcickiego, że potomkowie dawnych husarzy nie tak bardzo odrodzili się od nich, jak się to może komu zdaje, odwołujemy się do natarcia kirysyerów Stanisława Małachowskiego pod Możajskiem. Wreszcie niech panowie pisarze niewojskowi dopytują się, ale tylko prawdy, zawsze prawdy, bez śmiesznych przydatków, bez chwalby; bo mundury nasze narodowe są czyste, nie znają plamy, i nie potrze-

bują przyozdobienia; dość będzie na tem, żeby im wich godności nie ubliżać, nie uwłaczać.

Dodam jeszcze na pocieszenie czytelników, i samego p. Wojcickiego, że nie mamy wcale przyczyny poczytywać się za odrodzonych od owych przodków, których nam przedstawia, jakobyśmy: „za zmianą życia, przy napływie cudzoziemszczyzny, zarzucenia łaźni, ćwiczeń ciała, hartowania; ze zmianą pokarmów, przy pieskliwem wychowaniu, gdy wśród miękkości ciało więcej wygód potrzebowało, a puszcze i bory nasze wytrzebione nie dawały już sposobności łowów pracowitych na grubego zwierza, znikała zwolna ich siła, tak i wzrost dwany.“

Nim przystąpię do przykładów siły, jakie widziałem w pułku gwardyi polskiej Napoleona, zwracam uwagę czytelników na piechotę zwaną nadwiślańską, utworzoną z ostatków legionów, i zapytuję się śmiało p. Wojcickiego i każdego, co go ta rzecz obchodzić może: „czy kiedy Polska miała podobną piechotę?“ piechotę, którą Napoleon w r. 1812 przyłączył całą do swej gwardyi. Ale i piechota księstwa warszawskiego, i piechota królestwa kongresowego nawet, niewątpliwie przechodziła, wyćwiczeniem, karnością, bitnością wszelkie piechoty polskie, jakie były aż do sejmu zaczętego 1788 roku. A w dowód tego, niech tu ma miejsce wspomnienie, że Napoleon w bitwie pod *Arcis sur Aube* w r. 1814 szukał schronienia w środku czworoboku szefa batalionu Skrzyneckiego.

Czy zaś wychowanie nasze tak dalece zniewieściało? mogą inni wojskowi polscy, jeszcze żyjący, odpowiedzieć; ja tylko kilka przykładów z pułku gwardyi polskiej Napoleona przytoczę:

Józef Stadnicki, brat rodzony Jana hrabi Stadnickiego prezesa stanów galicyjskich, będąc szeregowym, a potem brygadierem w gwardyi, jedną ręką podnosił zad każdego konia; a gdy się koń nie dawał kuć, to jak go ujął za ucho, obalał konia na ziemię. Te dwie czynności były u niego codzienne, nie robił tego dla chwalby, albo jakby co szczególnego, on to sobie miał za nic. Był nadzwyczajnej siły i zręczności, przytem postać i uroda, które niezawodnie mogły stanąć obok owego hu-

sarza Krajewskiego, co to na wieczerzy imponował wodzom szwedzkim przed rozprawą kirchholmską. Zdarzyło się w r. 1807, że w Frankfurcie nad Menem mieszczanin tameczny obraził szwoleżera, szkalując go jako Polaka; w skutek tego dom jego w okamgnieniu stał się ofiarą... mieszkańcy ledwie pouciekali, a lekkokonna jazda polska potłukła i powyrzucała przez okna na ulicę wszystko... aż do pieców — (*Uwaga:* nie był to rabunek chciwości, było to uniesienie gniewu, za znieważenie imienia polskiego) przyszła kolej na małe dzieci w kolebkach .... Brygadier Stadnicki słysząc hałas, nadbiegł, nie dopuścił okrucieństwa, skarcił i uspokoił towarzyszów ... lecz wtem nadchodzi silny patrol żołnierzy arcybiskupa księcia würzburgskiego, a zastawszy tam Stadnickiego, chce go aresztować ... Stadnicki się tłómaczy, że nie on był sprawcą zgiełku, ale że go owszem uśmierzył... gdy to nie pomagało— chociaż Stadnicki doskonale po niemiecku mówił — wyrwał następującym na niego żołnierzom dwa karabiny, a uchwyciwszy każdy jedną ręką za koniec lufy, tak zaczął gromić kolbami, zamiatając ulicę od muru do muru, że cały patrol liczny pędził przed sobą. Jednakże, gdy dwóch żandarmów francuskich wystąpiło by go aresztować: „A to co innego!“ rzekł do nich: „was uznaję za moich kolegów, i słucham prawa“ i udał się z nimi najspokojniej do aresztu. — Nazajutrz marszałek Kellermann, co był służył w konfederacyi barskiej i znał nazwisko Stadnickiego, kazał go uwolnić; śmiał się bardzo z tej przygody, gdzie jeden pędził dwudziestu, i przepowiedział: że to będzie dzielny oficer jazdy ... Jakoż wkrótce, jeszcze znacznie przed bitwą pod Somo-sierrą, przeszedł Stadnicki na oficera do sławnego pułku ułanów nadwiślańskich; tam miał sobie za przyjemną powinność: przyprowadzać obce placówki za kark, obraniać i odbijać jenerałów, komendantów, kolegów z rąk nieprzyjaciół — jakoż postępował w awansie, został kapitanem, i byłby wyszedł niezawodnie nierównie wyżej, gdyby wojna była potrwała. Gdy po zapadłym pokoju wrócił do kraju, okryty ranami i zwątlony na zdrowiu, był jeszcze takiej siły, że był

w stanie zgruchotać rękę, nieproszenie mu podaną, jednem ściśnieniem.

Podobnie jak Stadnicki z karabinami, postępował sobie Piotr Wasilewski z proporcami czyli lancami. Był on jako brygadyer jednym z bohaterów Somo-sierry, cudownym sposobem ani tknięty z tej szarży — był później oficerem w pułku i kapitanem strzelców konnych gwardyi królestwa kongresowego, i wystąpił jako podpułkownik. On kładł dwie lance na ziemi. — Lance te były z drzewa twardego, podwójnie okute od grotu aż do połowy drzewa, którego tylec był także grubo okuty. Wasilewski ujmował każdą ręką po jednej lancy za tylec, podnosił obie na raz, i wywijał obiema z największą łatwością. Można sobie z tego wystawić jakiej był siły. Postawy był wysokiej, wysmukłej, twarzy męskiej, oficer wzorowy w służbie, męstwa, jak Francuzi mówią: *„à toute épreuve“* to jest niezawodnego, skromności panieńskiej.

Ambroży Skarżyński, od porucznika I klasy aż do szefa szwadronu w pułku, później jenerał brygady w wojsku polskiem, był podobnie nadzwyczajnej siły i zręczności .... między innemi miał dar rzucania proporcem, jak Turcy rzucają dzirytem — trafiał w cel i był w stanie przeszyć tym sposobem nieprzyjaciela, czego nie widziałem na własne oczy, ale słyszałem, że tego dawał dowody nawet już będąc jenerałem; żyje jeszcze, może się p. Wojcicki przekonać. Seweryn Fredro, oficer, później szef szwadronu, był także niepospolitej siły, zręczności i lekkości, a każdego konia przeskakiwał z największą łatwością; przytem był postaci wspaniałej; mało kto, albo raczej nikt nie mógł się odważyć iść z nim w zapasy na siłę. Gdy dowodził szwadronem strzelców konnych gwardyi francuskiej i polskim, przy boku króla neapolitańskiego pod Połockiem, gdzie Napoleon był się z Wilna obiecał, ale w inny kierunek się udał, oficerowie francuscy obiadując u stołu szefa Fredry, według możności czasu i miejsca, ganili chleb żytni razowy litewski, jakiego nam obywatele z gościnności do obozu dostarczali, i twierdzili ci oficerowie: że chleb żytni sprawia w żołądku kwasy, że pszenny jest o wiele zdrow-

szy, że oni wychowali się na pszennem pieczywie, — a byli to oficerowie nie z markizów i vicomtów, ale z prostych guidów Bonapartego awansowani, okazałych postaci, jak to mówią: „chłop w chłopa.“ Znudzony Fredro tem kazaniem cudzoziemskiem, ozwał się z wrodzoną sobie żywością: „No, moi panowie! kiedyście wychowani na białym chlebie pszennym, to ja wam powiadam: żem się wychował na żytnim, a jak mnie widzicie, nie jestem ułomek... więc spróbujmy się, kto z nas mocniejszy? a który chleb daje więcej siły?“ ... Francuzi znając olbrzymią siłę pułkownika i przeważną jego postać, przy której oni schodzili na miarę zwyczajną.... ustąpili z uśmiechem i przyznali — bez próby — że i chleb żytni może tak dobrze, i lepiej nawet wychować, jak pszenny.

Benedykt Zielonka pułkownik był nadzwyczajnej siły i postawy, lecz tu wzmianka się o nim czyni z powodu, że nigdy nic nie pijał prócz wody, co zaprzecza owej miękkości i zbytkom, jakie nam wydawca „Obrazów starodawnych“ zarzuca.

Dominik książe Radziwiłł ordynat kilku ordynacyj, najmajętniejszy z Polaków, urodzony z księżniczki Turn-Taxis, a zatem panicz, delikatnej postaci, tak jeździł na koniu, przesadzając najszersze rowy i najwyższe płoty, i tak się rzucał na nieprzyjaciela, wyprzedzając swój pułk 8my ułanów, że ściągnął podziwienie samego Napoleona, a nawet Murata; podobnież postępował będąc majorem gwardyi, z podziwem Drezna, króla i królewskiej familii; o nim można było powiedzieć: że nie znał przeszkód.

A jeżeli szanowny autor „Obrazów starodawnych,“ chce wiedzieć: jaki wpływ demoralizacyi wywiera na nas cudzoziemszczyzna i pieskliwe wychowanie? niech się raczy zapytać świadków: jak Michał Mycielski i w jakim stanie zdrowia nacierał na czele 2go pułku ułanów, i choć niepoprawnie mówił po polsku, jak myślał?

W r. 1810 poznałem w Hiszpanii szeregowego z pułku naszego nazwiskiem Kłoczewskiego, który nie miał jak około 20 lat mniej więcej; atletycznej postaci, był tak silny, że przy pobieraniu obroku, jeden wór jęczmie-

nia brał i zarzucał na jedno, a inny na drugie ramie— trzeba wiedzieć, że w Hiszpanii nie karmią koni owsem i sianem, ale jęczmieniem i słomą na grubą sieczkę w młóceniu mułami startą. Kiedy była budowla stajen dla jazdy w Castroxeriz, brał belki na ramie i niósł z łatwością; zdarzyło się, że go Mamelucy wyzwali na różne próby siły; on wyszedł na belkę wysoko umieszczoną, i spuścił im linę, kazał im czepiać się tej liny, a że on będzie ich podnosił; Mameluków przeciwnie chwyciło się jedenastu liny, i usiłowali go z tamtego miejsca sciągnąć, co gdy się im nie udawało, wezwał ich, żeby się teraz mocno liny trzymali, i wszystkich jedenastu podniósł. Ten Herkules miał te wady na wojskowego, że dużo jadł i musiano mu dostarczać podwójne racye mięsa i chleba, a był tak ciężki, że nie można było dobrać pod niego konia, każdego odpsuł; jakoż — o ile pamiętam — w jakiejś potyczce przewrócił się pod nim koń, i Hiszpany zakłuły tego mocarza.

W roku 1831 powiadał mi pułkownik Antoni Kuszell, dowódzca jazdy podlaskiej, że był z jego pułku niejaki Załuski takiej siły, że w boju nie chciał używać broni, tylko pięścią zabijał... cóż potem? pod Rożanem został od Kozaków zakłuty.

To niech służy szanownemu autorowi Obrazów starodawnych za dowód, że i w nowych czasach nie zbywało wojsku naszemu na mężach o sile nadzwyczajnej. Pisząc pobieżnie i z pamięci, nie podaliśmy jak tylko mało przykładów — lecz czynimy tę uwagę, iż w sztuce wojennej nie wszystko zależy od siły i rodzaju broni; znałem w r. 1831 jenerała znakomitego, który raz tylko na dwie doby jadał, a sam sobie lubił konia kulbaczyć; był postaci i sił wątłych, ale talentem, a mianowicie nauką, niemal wszystkim jenerałom przodkował.

Jeszcze jedna okoliczność: między innemi, jakoby zatraconemi zwyczajami, żałuje autor „Obrazów starodawnych“ zarzucenia łaźni! — Przecież tu nie o tej musi być mowa, którą dziegciem czuć?...

Nam się w militarnych wspomnieniach przedwiecznych, najbardziej podoba sposób używania łaźni Ste-

fana Czarnieckiego, to jest: przebywanie jego wpław Wisły i morza nawet. I nasi w czasach niedawnych, tak ułani nadwiślańscy, jak i gwardya Napoleona, nie zostawali za wodą, gdy tego była potrzeba — jednakże, sądzimy, że jazda nie może się dość ćwiczyć w tym sposobie używania łaźni, któraby ją wprawiła każdą rzekę, jakkolwiek bystrą i szeroką, z łatwością wpław przebywać;— wszakże i tu trzeba szczęścia: Książę Józef Poniatowski skoczył szczęśliwie z mostu w Dunaj i przebył go dla żartu ... a w małej rzece Elster utonął!

Jeszcze jedna okoliczność, acz może podlegająca z pewnej strony naganie, jest to punkt honoru, jaki ożywiał naszych gwardzistów i innych rodaków służących pod Napoleonem, były to częste przykłady samobójstwa, ale nie pochodzące z nikczemnej desperacyi, lecz jedynie ze zbyt wygórowanego punktu honoru; o takich to Napoleon słysząc, wyrzekł te wyżej już przytoczone słowa: *Ces Polonais! c' est tout honneur.* Szkoda takich młodzieńców! religia ich potępia .... ale z takiem uczuciem honoru, żołnierz nie zna ucieczki, i tacy to zdobywają baterye, jak pod Somo-sierrą, jak pod Mozajskiem.

Piękne są przykłady zaiste, które nam autor obrazów starodawnych stawia: ale my nie ubliżając w niczem pamięci przodków, możemy się pocieszyć, że dowiedliśmy w tych krótkich notatach, iż pułk lekkokonny polski gwardyi Napoleona i inne pułki wojska polskiego, od czasów sejmu roku 1788, ciągle miały na pamięci te nauki i przykłady, jakie nam pisarze nasi niewojskowi podawają, i że w wojsku polskiem zawsze wysoko cenione i za podnietę służące pamiętne było to słowo, którem Kościuszko przemawiał do swego wojska: „Lepsza od ojców swych młodzi!“

Pisałem w Feslau pod Baden w miesiącu wrześniu 1856.

WSPOMNIENIE II

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA PIERWSZEGO.

Między wspomnieniami wypraw naszych do Hiszpanii w latach 1808, 1810 i 1811, niepoślednie zajmuje miejsce książka czyli dzieło hiszpańskie trzech - tomowe: *El hombre feliz*, o którem właśnie mieliśmy zawiadomić współziomków, kiedy oto p. Ignacy Domejko w liście swoim do Adama Mickiewicza, z Val-paraiso, z d. 9go kwietnia 1842, w *Dodatku miesięcznym Czasu* w zeszycie 17tym na miesiąc maj z r. 1856 na stronnicy 289, tak się wyraża o jednym znakomitym duchownym katolickim: „Zna on doskonale historyą naszę i historyą świętych naszych. Zalecał mi czytanie jakiegoś dzieła Portugalczyka Almeida, w którem główna osoba, wzór szczególniejszej cnoty, jest nasz Władysław III, i dzieło to ma być wielkiej wziętości między klerem amerykańskim, i bardzo pożytecznem dla ludzi szukających prawdy i pobożności.“ Otóż właśnie to dzieło sciągnęło na siebie uwagę naszych oficerów, tak już w roku 1808, jak więcej jeszcze w latach 1810 i 1811; nietylko albowiem znachodziliśmy po kwaterach w Hiszpanii rzeczone dzie-

ło, ale księża hiszpańscy witali nas częstokroć z tem dziełem w ręku, jako całkowicie z historyi polskiej czerpanem. Jakkolwiek jednak byliśmy mniej więcej obeznani z tem dziełem w Hiszpanii, dowiedziałem się dopiero o jego portugalskiem pochodzeniu, sprowadziwszy w roku 1856 z Madrytu dwunaste wydanie tego dzieła, celem postarania się o przełożenie onego na język polski. Oto jest tytuł tej książki: *El hombre feliz, independiente del Mundo y de la Fortuna ôarte de vivir contento en cualesquier trabajos de la vida. Escrita en Portuguez por el padre Don Teodoro de Almeida, de la Congregacion del Oratorio, y de la Academia de las Ciencias de Lisboa etc. Traducida à nuestro idioma por D. Benito Estevan de Riol, la tomé de dicha segunda edicion original, y anadio para mayor adorno de la obra un Compendeo Historico y Genealógico de los Soberanos de Polonia. Duodecima Impression Madrid 1842. Impresta Calle del Humilladero. Nr. 14. Tomo primero, segundo, tercero.*

Takowego tytułu polski przekład:

Człowiek szczęśliwy, niezawisły od świata i doli, czyli: nauka jak żyć spokojnie w jakichkolwiek przygodach życia. Napisana po portugalsku, przez ojca szlachetnego Don Teodora de Almeida, z towarzystwa bogomodlców i z akademii umiejętności lizbońskiej etc. Przetłómaczona na mowę hiszpańską przez szlachetnego Don Benedykta Szczepana de Riol z wydania drugiego oryginalnego, ozdobiona dodanym przez tłómacza krótkim zbiorem historycznym i genealogicznym panujących Polski. Dwunaste wydanie w Madrycie r. 1842, wybite przy ulicy del Humilladero. Nr. 14. Tom pierwszy, drugi, trzeci.

To więc dzieło w hiszpańskim języku, w Hiszpanii rozpowszechnione, daje poznać: dla czego w tym dalekim kraju, znaleźliśmy po wsiach dzieje narodu polskiego więcej znane niż we Francyi, i dla czego po wsiach i miasteczkach hiszpańskich, my Polacy doznawaliśmy nierównie mniej nieprzyjaznego podejmowania, niżeli Francuzi.

Przy tej sposobności zamieszczamy uwagę, że jak się nam w licznych marszach i stanowiskach po wsiach i miasteczkach uważać zdarzało, rzeczy polskie daleko więcej znane były w krajach niemieckich, aniżeli we Francyi. Naród ten wielki, zajęty sobą samym, nie rozróżnia nawet położenia innych ludów.... wszystko co leży za Renem, ma za obce, i sądzi być wszystko Niemcami: *Allemagne*; może to teraz skutkiem tułactwa tylu Polaków jest inaczej, ale tak było w r. 1806, gdy Francuzi dziwili się w Wielkiej Polsce, że wieśniacy nie rozumieli po niemiecku..... Tak było jeszcze kiedyśmy w latach 1807, 8, 9 i 10 przez kraje niemieckie i francuskie przechodzili kilkakrotnie do Hiszpanii.

Dzieło o którem mowa: *El hombre feliz*, będąc przepełnionem rozprawami, niemal teologicznemi, i wierszami przytrudnemi do zrozumienia; przytem my oficerowie w Hiszpanii, zostając w nieustannych bojowych pochodach, jak w roku 1808, albo w ciągłych podjazdach i pilnowaniu się od tak zwanych *Guerillasów*, w latach 1810 i 1811, nie mieliśmy chwil wolnych do przewartowania tego trzech-tomowego dzieła, i nie mogliśmy takowego zrozumieć dostatecznie, tak dalece, że naszego uszło baczenia, iż dzieła tego pierwotwór był portugalski .. Widzieliśmy tylko: że Władysław III, u nas zwany Laskonogim, jest bohaterem tego religijno-moralnego romansu, w którym o Leszku Białym i o Goworku dały się dośledzić wzmianki; i że przebijającem było życzliwe uczucie, a raczej zamiłowanie narodowości polskiej, pochodzące bezwątpienia z uwielbienia autora dla katolicyzmu polskiego, którym się nasz kraj i rząd, w pośród Europy szczególniej odznaczał.

Jakoż mamy powody mniemania, że ks. Almeida pierwszy autor dzieła, przebywał w Polsce. Czytamy w *Biografie Universelle, Paris 1811*, tom 1, str. 601, że Teodor Almeida urodził się w Lizbonie r. 1722; że wydawszy wiele dzieł wsławionych, prześladowany był przez ministra portugalskiego Pombala i musiał emigrować przez dłuższy czas, a że powróciwszy po długiej niebytności do Lizbony, wydał romans pod tytułem: *l' Heureux Indèpendant*, co widocznie jest naszym: *Hombre*

feliz y independiente, i że umarł w Lizbonie r. 1803. Osoby duchowne krajowe, zechcą dostarczyć nam bliższych wiadomości o księdzu Teodorze Almeida, z których wyniknie bezwątpienia, jakie okoliczności spowodowały go, szukać bohatera swego poematu w Polsce.

Pamiętny wrażenia jakie na mnie zrobił w Hiszpanii częsty widok książki tak sprzyjającej narodowi polskiemu, sądziłem, że przy spokojniejszej chwili zdołam nabyć rzeczone dzieło, sprowadzić do kraju i przeczytać za pomocą słownika akademii madryckiej. Ale od roku 1811 w którym podziwiałem z kolegą Hermolausem Jordanem pod katedrą w Valladolid owego sławnego kometę, o którym przypomniałem sobie w przeszłym roku, wieleż to przygód przebyło się do chwili teraźniejszej! Dopiero w r. 1856 i to z wielką trudnością, zdołałem sprowadzić sobie z Madrytu upragnione dzieło, a przekonawszy się z żalem, iż jeżeli w Hiszpanii nie byłem w stanie czytać i rozumieć książki *El hombre feliz*, to tem mniej po blisko pół wieku nieużywania tego pięknego języka, przyswojonego sobie tylko poniekąd z łaciny i literatury włoskiej; musiałem się więc starać o słownik akademii madryckiej, i teraz w r. 1857 dostałem takowego w Berlinie od nauczyciela języka hiszpańskiego p. Mahn. Jest więc mojem upragnionem życzeniem, żeby kto z młodych literatów, zwłaszcza kto z duchownych, podjął się przepolszczenia hiszpańskiego dzieła: *El hombre feliz*, które jest tyle zaszczytnem, a może być, zwłaszcza w obecnych czasach, arcy pożytecznem w naszym kraju. Dzieło zagraniczne z tak dalekich stron dla znajomości i czytania ziomków uzyskane, bodaj się stało dla późnych pokoleń świadkiem pamiętnego pobytu zbrojnych rodaków w Hiszpanii; w tym celu i zamiarze, rozpoczynam dalsze wspomnienia moje o pułku gwardyi polskiej, mianowicie o pobycie w Hiszpanii, tym przedmiotem, który miał służyć za ustęp w mojem opowiadaniu, ale stał się wstępem, z przyczyny korespondencyi p. Domejki z naszym, także już zgasłym, Adamem Mickiewiczem.

Od czasu kiedyśmy pisali nasze pierwsze wspomnienie o pułku gwardyi polskiej Napoleona I, straciliśmy zacnego Jędrzeja Niegolewskiego, jednego z naszych najodznaczeńszych współtowarzyszów broni; straciliśmy świeżo i drugiego zacnego kolegę: Gabryela Siemońskiego zmarłego w Tarnowie, który wyszedłszy z awansem z gwardyi Napoleona do legii nadwiślańskiej, odznaczył się pod Saragossą, był potem adjutantem majorem w tejże legii przy jej dowódcy w wyprawie 1812 roku przy jenerale Claparède, a w r. 1831 dowodził pułkiem 8 strzelców pieszych; te straty dawnych towarzyszy broni pobudzając nas do dalszego spisania, acz dorywkowem piórem z pamięci, krótką wiadomość o niektórych oddziałach naszego pułku, który, gdy rzadko działał razem, koledzy żyją jeszcze, nie wszyscy mogą wiedzieć o różnych szczegółach, tak jak i my nie jedno zapomnieć mogliśmy, albo niewiedzieć o wypadkach, w których nie mieliśmy udziału. Powtórnie więc do jeszcze żyjących dawnych współtowarzyszów broni odzywamy się, żeby póki czas, starali się przejrzeć dzieło jenerała Dautancourt, takowe uzupełnić i w polskim języku wydać, a przynajmiej dopełnić, poprawić lub potwierdzić to cośmy dotąd napisali, a co się nie zgadza z opisaniem różnych może bardzo życzliwych osób, lecz które do naszego pułku nie należały, a tem mniej do wypraw jego wojennych.

Wiadomo już jest czytelnikom poprzedniego „Wspomnienia," że pułk lekkokonny polskiej gwardyi Napoleona, był postanowiony dekretem jego z dnia 6go kwietnia 1807 w głównej kwaterze Finkenstein podpisanym, a który dekret w powołanym artykule zamieściliśmy jako pamiątkę historyczną.

Pułk ten w skutek rzeczonego postanowienia tworzył się w Warszawie w koszarach Mirowskiemi zwanych, które już za dynastyi Sasów służyły straży królów polskich przybocznej ciężkiej jazdy, a nazwisko tej straży pochodziło od jenerała Wilhelma Miera jenerała wojsk polskich, który był ze Szkocyi rodem.

Pułk nasz tworzył się pół kompaniami, dwie kompanie po 125 ludzi każda, składały szwadron etatowy 250 ludzi liczący; szwadron zaś bojowy składał się z czte-

rech plutonów po dwanaście rot, a zatem 96 ludzi w szeregu stojących, z podoficerami i oficerami mniej więcej ze stu ludzi. Skoro taki szwadronik czyli oddział, dwie kompanie, pierwsza i piąta, zdołały wystawić, opuścił takowy Warszawę najpierwszy 16go czerwca 1807, pod dowództwem szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, pełen nadziei, że jeszcze zdąży do głównej kwatery cesarskiej przed skończeniem wojny; atoli nie mógł już stanąć do boju, bo bitwa pod Frydland stoczoną i wygraną było 14go czerwca. Mało wiemy o tym oddziale, który pierwszy opuścił Warszawę, to tylko tu możemy powtórzyć: że Kasper Dembiński krakowianin, porucznik drugiej klasy, postradał w nim życie szwankując z konia w okolicach Królewca: był to drugi z pięciu synów chorążyny krakowskiej z Moszyńskich Dembińskiej, którzy wszyscy pięciu służyli w wojsku księstwa warszawskiego, a jeden z nich Jan, oficer wyższego usposobienia, poległ pod Smoleńskiem w r. 1812.

W miarę jak tworzenie się pułku mogło wysłać z Warszawy po sto koni, oddziały takowe wyruszały co miesiąc. Drugi oddział wyruszył pod dowództwem szefa szwadronu Kozietulskiego. O tym oddziale tyle tylko pamiętam, że w Berlinie był insultowany, z czego się wszczęła bójka tamecznych mieszczan z naszymi szwoleżerami, dla niektórych z pierwszych bezwątpienia długo i boleśnie pamiętna. — Trzeci oddział, z kompanii 2giej i 6tej po połowie złożony, wyszedł z Warszawy pod dowództwem kapitana drugiej kompanii Pawła Jerzmanowskiego oficera znakomitego, który był pierwej adjutantem marszałka pałacu cesarskiego jenerała Duroc, temuż przez Tadeusza Kościuszkę osobiście polecony. — Czwarty oddział, do którego należał piszący, opuścił Warszawę pod dowództwem kapitana 6tej kompanii, Wincentego Radzimińskiego, ostatnich dni września 1807 roku. Tak więc dwa pierwsze etatowe szwadrony, składające się: z kompanii 1szej, 5tej, tudzież z 2giej i 6tej, razem 500 koni wynoszące, opuściły Warszawę i Polskę przed jesienią 1807 r. Te cztery szwadrony bojowe, tworzące pierwszy regiment naszego pułku gwardyi pod bezpośrednim dowództwem majora Delaitre, wyprzedziły o

dużo cztery szwadrony bojowe, składające drugi regiment, pod dowództwem majora Dautancourt, jak to się już powiedziało w pierwszym artykule i na dalszem miejscu się powtórzy.

Oddział IVty do którego ja należałem, przechodził z Warszawy do Szląska przez Sochaczew, Łowicz, Łęczycę, Kalisz, wszędzie witany i żegnany z uniesieniem. Towarzyszyły nam życzenia ziomków, ażebyśmy zaszczytnie przedstawiali narodowość naszę za granicą, i żebyśmy umieli dla kraju zasługiwać na szacunek bohatera, w którym spoczywały nadzieje wszelkie. W tak niedawnym, a już dla obecnego pokolenia oddalonym czasie, godzi się wspomnieć i niektóre drobne okoliczności, ażeby się sprawdziło kiedyś po naszej śmierci owo dawne Wirgiliusza godło: *forsan et haec olim meminisse juvabit!* Otóż do Błonia, pierwszego naszego noclegu, odprowadzało nas mnóstwo Warszawian; byli tacy co i z okolic oddalonych od Warszawy przybywszy, żegnali znajomych i krewnych, ciągnących — jak było mniemanie powszechne— na festyny i wykwintności Paryża, mianego wówczas za stolicę świata, za nowy Rzym. Tak więc można mówić, dopiero z Błonia zaczęliśmy marsz istotny, z ułudy stolicy obrany.

Odbywając pochód przez okolice zajęte leżami wojska francuskiego, musieliśmy częstokroć zbaczać od traktu, dla ominięcia osad już przepełnionych piechotą francuską; było nam zaś podziwem, że wieśniacy nigdzie na pobyt Francuzów nie narzekali, owszem żołnierz francuski nie tylko groszem wspomagał swego gospodarza, ale mu w polu pomagał. Czynność tego narodu jest taka, że nie mogą się Francuzi przypatrywać obojętnie jakiej robocie, żeby w niéj udziału mieć nie chcieli. Jak zaś dziwnie nam się wydawało w niedzielę widzieć grenadyerów i woltyżerów podających ramie wieśniaczkom i prowadzących je etykietalnie do kościoła, to czytelnicy nasi i teraz jeszcze pojąć mogą.

Przybywszy do Kozłowa, między Sochaczewem a Łowiczem, zostaliśmy w tamtejszym dworze p. podkomorzego Skarżyńskiego. Wszyscy oficerowie oddziału gościnnie przyjęci byli. Tam poznaliśmy synów obecnych

szanownego gospodarza, który później był prezesem sądu apelacyjnego i kasztelanem w Warszawie; Kazimierz już był w wojsku polskiem, starszy Ambroży właśnie co wrócił z pruskiego; zapoznawszy się z nami i z trybem służby naszej, zaraz przedsięwziął zaciągnąć się do naszego pułku, co też i niebawem uskutecznił; a brat jego młodszy Felix, poszedł za starszego brata przykładem skoro mu wiek i rodzic na to pozwolił.

Ja w tym marszu miałem tę szczególną pociechę, że w Nerze wsi nad rzeką tego nazwiska, u stryja mego, cały oddział doznał dnia wypoczynku. Dobra Ner po jednej, a Gostków po drugiej stronie rzeki, były od dawna siedliskiem rodziny Załuskich; wówczas mój stryj Bogumił, stroju dawnego zwolennik, utrzymujący znakomite stado koni, posiadał i zamieszkiwał te dobra, ożeniony z Agnieszką Jabłkowską, której brat był adjutantem jenerała Zajączka. Nie potrzebowaliśmy tej poręki, żeby być dobrze przyjętemi przez tego weterana sprawy polskiej i wojska narodowego, miał on przytem w pułku naszym synowca kapitanem. Jenerał Zajączek dowodzący w Kaliszu, podejmował nas oficerów obiadem i świetnym wieczorem. Jakkolwiek opuszczaliśmy kraj rodzinny nie bez pewnej tęsknoty, wzniecił w nas uczucie zazdrości widok Szląska, lepiej zabudowanego i zagospodarowanego od naszych stron, a razem żalu, że ta piękna kraina, niemal kolebka Polski, tak niezgrabnie została przez naszych przodków utraconą.

W Wrocławiu marszałek Mortier, odbywszy przegląd nasz na dworcu Tauenziehna, wezwał oficerów do stołu i na bal, którym obchodził pierwszą rocznicę 14 października, bitwy pod Jena i Auerstädt, owego zarodu naszych nadziei.

Jakkolwiek krainy Szląsk i Saxonia zdają się być nam obcemi, nie możemy się skarżyć na jaką odrazę do nas ze strony tamecznych mieszkańców; przeciwnie zdawało nam się, że nieszczęścia naszego kraju i nasza ochoczość zasługiwania się dla niego, wzbudzały sympatyą, której doznawaliśmy prawie wszędzie. Nie mało do tego uczucia przyczyniała się nasza umiejętność języka niemieckiego, pozwalająca nam oświecać o na-

szym kraju, bronić jego zasług i przekonywać; jakoż dawne zabytki w Szląsku, świeże pamiątki królów polskich w Saxonii, a cuda dziejące się w ówczesnej polityce, nie czyniły wstrętnem wiekowe braterstwo Wisły, Odry i Elby.

Przyjęcie nasze w Dreznie było świetne; świeżo utworzone królestwo cieszyło się księstwem warszawskiem; schlebiało to Sasom; z dumą pokazywali nam posąg Augusta II, oswobodziciela Kamieńca podolskiego. Nie doznawaliśmy nigdzie nieprzyjaznego obchodzenia w Niemczech, owszem oprócz powszechnej uprzejmości, podziwialiśmy jakieś współczucie dla nas i powszechną znajomość naszych krajowych przygód i stosunków, i mogliśmy sobie powtarzać: *Quis jam locus, quae regio in terris nostri non plena laboris!* Dopiero w Frankfurcie nad Menem zdarzył się wypadek obelgi narodowości naszej, a ztąd zajście z naszymi szwoleżerami już opisane poprzednio między przykładami nadzwyczajnej siły w wojsku polskiem w naszych czasach.

Maszerując bez przerwy w czasie zimowym i doszedłszy przed nowym rokiem 1808 do Chantilly, już tam nie zastaliśmy trzech oddziałów pułku, nasz oddział poprzedzających; już były ruszyły ku Hiszpanii, zastaliśmy tylko adjutanta majora Polereczkiego *), który na spotkanie nasze wyjechał i przyjął nas w tej dawnej rezydencyi Kondeuszów, gdzie zajęliśmy stajnie, jakich może podobnej wspaniałości w całym świecie niema. Była to widoczna względność Napoleona, który młodzież jazdę polską składającą, chciał przywitać we Francyi w budowlach stajen, podobnych do pałaców, bo nie wypada powiedzieć do świątyń. Kapitan Polereczki, a wkrótce i major Delaitre, oznajmili nam, że bezzwłocznie pociągniemy za poprzedniemi oddziałami, i nie zostaniemy

*) Emigranci dawni węgierscy: Bercseni, Polereczki i Esterhazy, byli we Francyi dowódzcami pierwszych trzech pułków huzarów; te pułki długo nosiły te nazwiska, drugi pułk zwał się później Chamboran — kapitan nasz Polereczki pochodził z tego odu węgierskiego.

w naszym garnizonie tylko czas potrzebny do wypoczęcia koniom po marszu z Warszawy i do poprawienia przyrządów tak ludzi jak i koni. Oficerowie po kolei dostawali pozwolenie zwiedzenia stolicy. Major Delaitre zawiózł mnie do Paryża i wskazał mi oberżę w domu, w którym mieszkał niegdyś zwycięzca Włoch, Bonaparte. Stanąłem więc przy *place des Victoires*, *Rue des Victoires* i *Hotel des Victoires!* Ten dom zajezdny, był odtąd wyłączną posadą dla oficerów naszego pułku, Paryż za pozwoleniem zwiedzających. Zaraz przy wstępie do tej stolicy, największe na mnie zrobił wrażenie sztandar trójbarwny ogromnego rozmiaru powiewający nad Tulleryami, ową dawną rezydencyą Burbonów. Drugim przedmiotem ciekawości mojej był *le passage Radziwill*, jako pamiątka, jeżeli nie chwały, to zbytku polskiego. Szczególniej zajęła mnie w Paryżu widownia, nazwana: *le Thèatre Français.* Panny: Mars, Duchesnois, Rocourt, były niezrównane; a cóż powiedzieć oficerowi polskiemu o Talmie grającym w kontuszu, w stroju polskim, za staraniem dam polskich najstaranniej zachowanym, w trajedyi: Wacław: *(Venceslas)* autora Rotrou. Wrażenie jakie *Thèatre Franęais* zrobił na mnie, było to, że trajedya i deklamacya tragiczna, nie są jednostajnemi w różnych narodach; że trudno jest, ażeby kilka narodów na jeden wzór tragiczności się zgodziły; że zaś wyższa komedya, gra dowcipu i wykształcenia towarzystwa, jest we Francyi na stopniu niezrównanym, i że wszyscy cudzoziemcy, byle po francusku dobrze rozumieli, z upodobaniem i podziwem uczęszczać będą na komedyą francuską.

Wkrótce udaliśmy się w marsz z Chantilly ku Bordeaux. Bo z razu nie mówiono nic o tem, że to wyprawa zamierzona do Hiszpanii, dopiero w ciągu pochodu zaczęły krążyć wieści o tem przeznaczeniu, a razem różne opowiadania niekorzystne o kraju hiszpańskim, jakiej tam nędzy doznawać będą ludzie i konie.

Obeszliśmy więc Paryż na Versailles. Napoleon nie chciał ruchu wojska pokazywać na placu karuzelu, zwłaszcza, że już poprzednie oddziały gwardyi i pułku naszego były się tam pokazały. — Widok Wersalu spra-

wił na nas odmienne, zupełnie przeciwne wrażenie, niżeli widok Tulleryów ozdobionych chorągwią zwycięstwa, przypominając nam gnuśne i nienawistne rządy: Pompadury, Dubarry i owych Markizów o czerwonych korkach— *à talons rouges* — którzy usunęli od wpływu i władzy Stefana Franciszka Choiseuil, ostatniego ministra królewskiej Francyi, którego zwać można tym zaszczytnym urzędem.

Pod Versailles połączyły się różne oddziały konnej gwardyi: żandarmów wyborczych *(d' Elite)*, grenadyerów konnych, dragonów i strzelców konnych, z naszym szwadronem, i tym sposobem złożył się pułk pochodowy *(regiment de marche)* z kilku set koni, którego dowództwo objął podpułkownik żandarmeryi wyborczej, a to tak dalece, że adjutant major, oficer płatnik, jednem słowem sztab tego marszowego pułku składał się z samych oficerów żandarmeryi. Zdawało się, że ten rodzaj komendy miał na celu wybadać jak też młodzież polska, z tylu różnorodnych rządów pochodząca, jest usposobioną? Ale gdy się szanowny nasz dowódzca, z pod naczelnictwa jenerała Savary naznaczony, przekonał, żeśmy byli fanatycznymi Napoleonistami, nierównie więcej od Francuzów, zaniechał z nami pogadanek wyrozumiewających i pokochał nas czułością starego żołnierza. — Wiele bardzo zyskał nasz oddział w tym pochodzie od Versailles do Bajonny; bo codzienna i całodzienna styczność z tymi weteranami, ten wzorowy porządek od niepamiętnych lat zaprowadzony w jeździe francuskiej, a zwłaszcza w tych wyborczych pułkach, które zwano: starą gwardzą, wpływały czynnie i bez przerwy na nasze młode i gorliwe umysły. Staraliśmy się okazać równymi tak doświadczonym kawalerzystom we wszystkich szczegółach służby; a czuliśmy znowu nad nimi, po większej części, wyższość moralną, przez nauki, jakie podają wyższe szkoły i troskliwe domowe wychowanie w rodzinach naszych polskich, które, skoro im niedostatek nie zabrania, mają ten z ojców przejęty chwalebny zwyczaj, nieszczędzenia na kształcenie swych dzieci. Tworzyło to, chwalebne z naszej strony współubieganie się, z owymi tyle starszymi towarzyszami broni, zwanymi po żołniersku; *nos anciens*;

a że do tej gorliwości, umieliśmy zawsze dołączyć uprzejmość i grzeczność lepszego wychowania, więc staliśmy się ulubieńcami tak szeregowych, jak i korpusu oficerów. Ale nie mniej i od mieszkańców Francyi doznawaliśmy uprzejmości. Oddziały nasze pierwsze stały były niejaki czas w Bordeaux pod naczelnictwem szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, gdzie ten dowódzca i cała jego komenda umieli sobie pozyskać poklask powszechny tego wielkiego miasta; czego dowodów doświadczyliśmy i my zwiedziwszy tę stolicę zachodniej Francyi, po nich.

Dopiero w Bordeaux powzięliśmy wiadomość stanowczą, że książę Bergu i Kliwii, Joachim Murat, na czele znacznego zastępu gwardyi, w którym było naszych przeszło trzysta koni, już wkroczył do Hiszpanii.

W Bajonnie zatrzymał się nasz pułk pochodowy dowództwa podpułkownika żandarmeryi wyborczej, aż do przybycia marszałka Bessières, *duc d' Istrie*, komendanta całej gwardyi cesarskiej. Gdy tak nasz oddział przez dni kilkanaście odpoczywał, zdarzyło się, iż gdy byłem na służbie w szwadronie, konie nasze potrzebowały przejażdżki; poprowadziłem je po za Bajonnę nad ocean, gdzie brzeg piasczysty i płaski, a morze płytkie, jak nasze morze żmudzkie między Połągą a Świentą. Przypominając naszej młodzieży, jak to Stefan Czarniecki pławił konie polskie w Baltyku, wprowadziłem ich do oceanu, żeby pamiętali, i rodzinom swoim opowiadając przekazali: że i my polskie konie pławiliśmy w oceanie. Szczegół ten zda mi się ciekawym, bo może żaden oddział naszego pułku nie był w położeniu, podania swoim potomkom tej pamiątki, gdyż nasze oddziały zwykle nie zatrzymywały się w Bajonnie; a płaski brzeg *(la plage)* nad morzem jest nieco oddalony od miasta. Wszakże oddziały później wyszłe z Polski, a pełniące służbę przy obojgu cesarstwu pod Marrac, mogły zażyć tych samych pochlebnych odwiedzin oceanu.

Wkrótce jednak przybył marszałek Bessières, a za nim *à franc étrier*, to jest konno pocztą z Paryża do Bajonny, aż do Madrytu, pułkownik Wincenty Krasiński, kapitan Polereczki i porucznik 1 klasy Wincenty Szep-

tycki. Odbyliśmy rewią przed marszałkiem, który rozporządził, żeby kapitan Radzimiński ze szwadronem szedł zaraz do Hiszpanii; ażeby najmłodszego oficera zostawił w Bajonnie dla doczekania się furgonu pułkowego, dążącego z Paryża z zapasami dla oddziałów madryckich, i żeby ten oficer przyprowadził do Madrytu ludzi i konie pozostałych w tyle; tym zaś oficerem najmłodszym w randze, byłem ja, a Szeptycki starszy odemnie, objął dowództwo plutonu mego w drugiej kompanii oddziału Radzimińskiego. Gdy rzeczony furgon nadszedł i ludzie pozostałych w tyle oddziałów po większej części zgromadzili się, opuściłem Bajonnę, z moją niewielką i kłopotliwą, lecz niepodległą komendą, której cała odpowiedzialność polegała na mnie, ale dostarczała mi niezwyczajnego doświadczenia, w tak długim odrębnym pochodzie z Bajonny do Madrytu.

O dwa marsze od Bajonny jest granica hiszpańska; mała rzeczka Bidassoa stanowi ją. Nie można sobie wyobrazić jaką różnicę tak mała woda oznacza. Miasteczko Irun tuż za nią leży, w niczem niepodobne do żadnej osady Francyi, Niemiec, a tem mniej Polski. Domy, jeżeli nie ogólnie z ciosowych kamieni, to po większej części; ma się rozumieć, że wszystkie murowane, płaskim kamieniem lub ceglaną dachówką kryte, prawie wszystkie na jedno piętro wysokie, z wierzchu nie tynkowane, nie obielone, a żadnem oknem szklannem nie opatrzone, co takiemu budynkowi, a zatem i całemu miasteczku daje dziwnie ponurą postać; te budowle bez okien, tylko okiennicami zaopatrzone, dają domom postawę śpichrzów gdańskich.

Przymaszerowałem do Irun pod wieczór; pora roku była w marcu, czas już ciepły, ale drzewa w górach jeszcze nie rozwinięte. Z wielu domów odzywał się brzęk gitar. Nie znając Hiszpanii tylko z romansów o Gonzalwach, Abencerragach, Rolandach itp. dziwnie byłem wzruszony tą tak nagłą odmianą powierzchowności narodowej i romantycznie uniesiony.... Ale wkrótce to wrażenie poetyczne innemu miejsca ustąpiło, gdy ani dla ludzi, ani dla koni, żadnej nie było wygody, a kwatera moja w najlepszej *hosteryi*, mocno przypominała — nie

co do budowy — ale co do wygód i pożywienia — rodzinne nasze karczmy wiejskie. Znużonemu kilko-milowym marszem konnym, okazało się jawnie, że brzęk gitar, a nawet śpiew ciekawy bardzo, z akcentem nigdzie indziej niesłyszanym, hiszpańskim, nie mógł zastąpić wieczerzy, jaką byłbym dostał w każdem miasteczku francuskiem; tu zaś w ojczyznie Gonzalwów i Alonzów, trzeba pyło poprzestać — i to ledwie — na jajach. Nazajutrz po czokoladzie i obejrzeniu starożytnego miejscowego kościoła, puściłem się w marsz, z końmi niezadowolnionemi jęczmieniem o słomie bez siana, z ludźmi o winie i białym chlebie, ale bez mięsa, i przeciągnąłem po prześlicznej murowanej drodze, na nocleg do Hernani. Nazwa ta otrzymała rozgłos europejski przez dramat Wiktora Hugo, atoli nie przyszło mi zgłębić, czy nazwa tej mieściny jest także nazwiskiem jakiego rodu krajowego?

Hernani mało co różni się powierzchownością od Irun; zresztą ta jest prawie powszechną w Hiszpanii. Miasteczka różnią się tylko obszernością; mieścina ta czyli wieś, bo w północnej Hiszpanii i wsie są po większej części z ciosowego kamienia na piętro stawiane, leży pod wysoką skalistą górą. Posłyszawszy od mieszkańców, że to jest jedna z najwyższych gór pirenejskich, gdy wczesna jeszcze pora dnia pozwalała, wydrapałem się na jej szczyt, pomimo przeszkody ostróg, koło zachodu słońca, a widok tegoż, oraz spojrzenie na ocean i na dalekie w okrąg okolice, zachwycił mnie nowym poetycznym urokiem dla Hiszpanii. — W dalszym pochodzie, Toloza, Willafranka, Mondragon — miejsca w których później dość długo przebywaliśmy — przekonywały mnie coraz bardziej o starożytnej cywilizacyi tego kraju. Droga wzorowa, mosty poważne, zasługujące niemal każdy na rysunek, obie strony gościńca pracowicie — rzadko pługiem — ale bez najmniejszego opuszczenia próżnego kawałka ziemi, łopatą i motyką ręcznie uprawione, pokolenia ludzi dawnych Iberyjczyków, dziś Baskami zwanych, stanowiące ród piękny, wysoki, barczysty, dziwnej lekkości i siły; zwyczaje jakieś przedwieczne, południowe; mowa nie hiszpańska, ale odwie-

czna iberyjska, wszędzie ślady dawnej cywilizacyi i odszczególnionych przywilejów w tym przytułku chrześciaństwa przed najściem Maurów. Widać tu, jak zresztą w całej Hiszpanii, dawną cywilizacyą, która może się zatrzymała na XV lub XVI wieku, ale natenczas, była prócz Włoch na najwyższym szczeblu w Europie.

Miasteczka i wsie wyż wspomnione, wydawały nam się może korzystniej, bo wszędzie napotykaliśmy śpiewy, muzyki, uploty kwiatów, wieńce i tańce, wszystko dla nas nowe, zadziwiające, ujmujące, a były to uroczystości, z powodu oczekiwanych i ciągle przejeżdżających różnych znakomitych osób z Madrytu do Bajonny: obojga starych królestwa, ministra księcia pokoju, *vulgo* faworyta Godoj, różnych infantów, aż nakoniec i samego Ferdynanda VII.

Przybywszy do Vittoryi miasta znakomitego, wcale pięknego, i stolicy prowincyi Alavy, zastałem tam kapitana Radzimińskiego z plutonem szóstej kompanii, Antoniego Jankowskiego, porucznika II klasy, przeznaczonego na eskortę wysokich osób z dworu hiszpańskiego. Cały oddział Radzimińskiego był na ten cel wzdłuż gościńca rozłożony plutonami. Porucznik I klasy Szeptycki z plutonem drugiej kompanii, dawniej moim, w Pan-Corbo, Józef Jankowski porucznik I klasy z plutonem szóstej kompanii w Miranda; Brocki porucz. II klasy z plutonem II kompanii w Briviesca.

Gdy przybyłem do Miranda, miasta znacznego i ładnego nad Ebrem, zastałem tam porucznika Józefa Jankowskiego zatrudnionego z władzami krajowemi, śledztwem i sądem morderstwa popełnionego na dwóch naszych szwoleżerach, z szóstej kompanii z poprzedzającego oddziału pułku. Ci szeregowi nazywali się: jeden Rzędzian, drugi Ciesielski. Miawszy kwaterę razem, w młynie dość oddalonym od miasta nad Ebrem, nie stawili się do popisu, gdy pułk, czyli oddział gwardyi konnej wspólny opuszczał zrana Mirandę. — Obywatelskich synów, Polaków, nie można było posądzać o dezercyą, zostawiono zatem surowe rozkazy śledzenia tego wypadku, a gdy nadciągnął starszy Jaukowski na dłuższy pobyt do Mirandy, jemu ta sprawa poruczoną zo-

stała. Długo nie było najmniejszego śladu, aż żołnierze z plutonu Jankowskiego chodząc po nad Ebrem spostrzegli, że coś nakształt dwóch wężów czarnych uwija się bezprzestannie po wierzchu wody; gdy się temu zjawisku przypatrzyli bliżej, poznali, że to są harapy od cugli munsztukowych w lekkiej jazdzie francuskiej, a zatem i w naszym pułku używane. Jakoż pokazało się: że zabójcy Rzędziana i Ciesielskiego, obwinąwszy ciała w ich płaszcze, związali cały zwój rzemieniami munsztuków, obciążyli kamieniami, i tak wrzucili do Ebru, w miejsce głękokie. Trzeba było nadzwyczajnego wypadku, że woda wypłukując, obruszyła te harapy, mające mniej więcej sążeń długości, i tak się zbrodnia wykryła. Główną sprawczynią była młynarka, niewiasta olbrzymiej postaci i siły, umysłu zuchwałego; ona z pomocą czeladzi młynarskiej napadła uśpionych młodych żołnierzy, nie posądzających gospodarzy swoich o taką zdradę. Bronili się Polacy pałaszami, jakoż pokazało się, że kilku zbójców pokaleczyli, ale musieli uledz przemocy. Był to pierwszy przykład podobnego morderstwa w naszym pułku. Wieść ta rozeszła się prędko do granicy, ja sam już wcześnie przez Francuzów ostrzeżony, nie bez przezorności, zwłaszcza w nocy, postępowałem i swoim podwładnym postępować kazałem. Nie zatrzymując się w Mirandzie więcej jak nocleg wymagał, niewiem czy sprawców tego morderstwa było więcej osób nad te, które oglądałem. Ale okazało się, że nie chciwość rabunku, lecz nienawiść obcości, można mowić fanatyzm. patryotyczny, był młynarce pobudką. Mówię fanatyzm, bo jeszcze żadnej nie było ani czynnej, tem mniej wypowiedzianej wojny; przeciwnie, wchodziliśmy jako przyjaciele, lecz wprawdzie jak mówi historyk hiszpański o Kartagińczykach: *Entraren blandiendo, por salir mandando...* „Weszli schlebiając, żeby wyjść rozkazując..." Bezwątpienia ci zapaleńcy karani byli śmiercią, lecz ja nie widzawszy już potem Józefa Jankowskiego, aż późno w kilka miesięcy, i zajęci oba czynnościami wojny, nie przyszło mi pytać go o dalsze szczegóły tego wypadku.

Do Brivieski szedłem od Wittoryi pomiędzy kolegami, ale w Briviesce rozstałem się już z ostatnim oddziałem naszej gwardyi; aż dopiero w Burgos dowiedział się o mnie kapitan adjutant major Polereczki i zawezwał mnie do siebie. Zastałem go chorego leżącego, narzekał na jazdę *à franc étier*, na jaką go naraziła młodzieńcza i polska żarliwość pułkownika Krasińskiego, i dodał mi pamiętne słowa: „jak będziesz miał 25 lat służby jak ja, ciągłych wojen i kilkorakich ran, nie będziesz tak gorącym jak ciebie widzę i wszystkich naszych kochanych oficerów pułku... Na nieszczęście przeczuwam, że z wami kampanii odbywać nie będę, ta ostatnia jazda z Paryża do Hiszpanii ciągłym galopem, zabiła mnie, moje piersi tego nie zniosły i przewiduję mój bliski koniec"... Jakoż ten zacny oficer, wielki przyjaciel Polaków, ledwie dał się dowieść do Chantilly podczas kampanii r. 1808, i tamże umarł żałowany od całego pułku. Ten więc Polereczki, który mnie i innym kolegom wymawiał zbytek zapału do służby, sam dał przeciwny dowód, który mi się nie mało naprzykrzył; kazawszy sobie albowiem przywołać woźnicę Francuza od naszego furgonu, ten mu tyle nażalił się ze swoimi czterma końmi furgonowemi pułkowemi, że Polereczki wymógł na mnie, a wreszcie kazał, żebym wziął sześć mułów podwodowych za rekwizycyą urzędową, i tak z tym dla pułku potrzebnym transportem, nie za gościńcem na Valladolid i Seger, ale krótszą drogą puścił się na Lermę i Somo-sierrę. Trudno było sprzeciwić się starszemu, zwłaszcza tak gorliwemu nauczycielowi pułkowemu jakim był Polereczki; przebywszy zatem na pogadance z nim nauczającej dwadzieścia cztery godzin odpoczynku w Burgos, puściłem się z moim jeszcze nieco pomnożonym oddziałem, w tę drogę, którą w kilka miesięcy później bohater wojny miał uwiecznić w pamiętnikach wojskowych, a nasz pułk uczynić rozgłośnym w całej Europie.

Pierwszy zaprzęg sześciu mułów dostałem w Burgos należyty; na wszystkich innych stacyach doznawałem coraz więcej trudności w zaopatrzeniu furgonu mułami, i coraz więcej niechęci w mieszkańcach. To tylko

pamiętam, że w dzień soboty wielkotygodniowej, przybyłem z moimi kilkunastu jeźdzcami do Somo-sierry naprzód, a furgonu z eskortą ludzi bezkonnych, pod dowództwem podoficera Bośniackiego, doczekać się nie mogłem... który nakoniec nadciągnął, i powiedział mi, że doznał różnych zniewag na drodze, że go chłopcy po za wsie ścigali z przekleństwami i ciskając na naszych kamieniami. Jakoż w istocie od wnijścia do Hiszpanii widziałem, że naród przyjmował wszystkie oddziały Francuzów z nienawiścią i z niebezpieczeństwem dla ludzi pojedynczo się pozostających; poznać było można wyraźnie, z jaką radością się naśmiewano z niezgrabnych, niedołężnych, słabych młokosów, wlekących się się z narzekaniem za poprzedzającemi tak zwanemi oddziałami *de marche*. Jeżeli szły jakie komendy starych żołnierzy, z wyrazem siły i dumy, malowała się na twarzach hiszpańskich nienawiść. Taki to był korpus jenerała Dupont, srogo ukarany pod Baylen za nieoględność, czyli uprzedzenie Napoleona. Przyzwyczajony do zwycięstw łatwych w środkowej Europie, sądził on, — jak się to wielom zdarza — że samym odgłosem jego imienia i sławą wojsk jego, nieprzyjaciel da się zastraszyć... więc wpadł na tę myśl, tworzenia pułków, batalionów i szwadronów marszowych, gdzie zbieranina z różnych oddziałów, najczęściej młodych rekrutów pod dowództwem nadto starych oficerów, składała wojsko, nie mogące nawet pełnić zwyczajnej dziennej służby. Widziałem to pod Madrytem, że młodzi rekruci nie byli w stanie dotrzymać karabina na ramieniu, a zbyt letni oficerowie nie mogli ustać w szeregu. Oprócz oddziałów gwardyi, artyleryi i pułków zagranicznych, jako to: Szwajcarów, Irlandczyków i t. p. całe wojsko francuskie pocztąkowo do Hiszpanii wysłane, było tego rodzaju zbieraniny, pod nazwiskiem *Regiments de marche*. Temi to figurantami wojsk francuskich, głośnych zwycięstwami, chciał Napoleon zaimponować narodowi hiszpańskiemu, który mniemał być zniewieściałym. To fatalne uprzedzenie, było przyczyną całego zawiedzenia się jego w niepolitycznym zamachu na Hiszpanią i dalszych ztąd wynikłych niepowodzeń, a

zdatny i przywiązany jenerał Dupont padł ofiarą nie swojej winy.

Przybywszy jak powiedziałem w wilią Wielkiej Nocy 16 kwietnia 1808 r. do Somo-sierra, zastałem wszystkie stajnie i domy zajęte przez liczną służbę króla Ferdynanda VII, prowadzącą liczne konie i muły. Z trudnością wielką wywalczyłem miejsce na nocleg dla mego oddziału; co jednak udało mi się, chociaż nie bez trudności i oczywistych dowodów, że służba królewska nie więcej nam sprzyjała od ogólnego ludu. Ta zgraja, opuściła wkrótce Somo-sierrę, gdzie ja dla trudności dostania mułów pod furgon, święta wielkanocne przepędzić musiałem. Gdybym był mógł przewidzieć, że to miejsce będzie widownią czynu mającego wkrótce uświetnić nasz pułk, byłbym starannie uważał położenie tego miejsca, a zwłaszcza wąwozu doń od Arandy prowadzącego; ale będąc zajęty tylko drobnemi kłopotami mojego obowiązku, mało co pamiętam militarnych szczegółów miejsca, chociaż nikomu z naszych oficerów nie zdarzyło się tak jak mnie, dwa razy przebywać Somo-sierrę.

Stanąwszy we dwa dni po Wielkiej Nocy w Madrycie, przyjęty byłem przez pułkownika Krasińskiego, szefów Łubieńskiego Tomasza, Kozietulskiego i mego kapitana Jerzmanowskiego, z wielką uprzejmością, a przez cały oddział pułku powitany z uradowaniem. Przywoziłem albowiem różne zapasy odzieży i obuwia, których te oddziały, i w miarę wcześniejszego wyjścia z Warszawy i z Chantilly, niezmiernie potrzebowały.

Po mojem przybyciu do Madrytu, wzburzenie umysłów coraz wzmagało się w stolicy; musieliśmy zaniechać kwater w mieście i stołowania się po kuchniach oddaleńszych od koszar; ostrzegano nas, żeby nie wychodzić bez pałasza, zwłaszcza w teatrze być ostrożnymi. Ja sam, i prawie wszyscy oficerowie sprowadziliśmy się do koszar. Był to wielki niedokończony klasztor, z obszernym placem z tyłu na ogród jeszcze prawie pusty, przy ulicy Lleganitos.

W tym klasztorze byliśmy razem: Seweryn Fredro, Stanisław Roztworowski, Józef Kamieński i ja, współubiegający się i przesadzający akuratnością służby. —

Ponieważ w Madrycie bawiłem od Świąt wielkanocnych aż do 14 lipca, a zatem blisko trzy miesiące, przeciąg czasu rzadki na jednem miejscu w ciągu siedmiu lat służby naszego pułku przy Napoleonie, więc zamieszczę te kilka słów, tak dla przypomnienia żyjącym jeszcze kolegom, jak dla wiadomości potomstwa ich i łaskawych czytelników.

Zaraz po przybyciu mojem do Madrytu, zdarzyło się pewnego dnia, iż gdy oddział z naszego pułku uszykował się na pewnym placu, przystąpił do nas przed front jakiś człowiek ubrany jak Figaro w operze, i pozdrowił nas wyrazem: „Witam was obywatele Polacy.“ Zdziwieni i postacią i apostrofą witającego, dowiedzieliśmy się, że się zowie Szulc; że jest Kurlandczykiem; że służąc pod Kościuszką po różnych przygodach osiadł w Hiszpanii. Był to więc ziomek i pośrednik, *vulgo* faktor naszego pułku w Madrycie. Co się z nim stało później, nie wiem; tu tylko dodać mam, że słyszałem także o jednym księdzu Polaku, bawiącym od dawna w Hiszpanii, ale go nigdy nie widziałem; zaś w pułkach gwardyi Walonów szwajcarskich, było niemało Polaków, po największej części z wójsk cesarsko-austryackich, z niewoli francuskiej do służby hiszpańskiej zawerbowanych. — Jeszcze i ta drobniutka okoliczność niech tu będzie zapisaną, że gdy po ulicach Madrytu chłopcy roznoszą wodę lodem czyli śniegiem przechowanym oziębioną, i wołają: *Agua fria fresca!* żołnierze nasi nauczyli ich wołać: „Zimna woda dobra.“ i tak głos polski rozlegał się po ulicach stolicy Hiszpanii... jak długo? nie wiem.

Pierwszy raz połączyły się oddziały nasze, z Warszawy cząstkowo wyszłe, w Madrycie, stanowiące kompletne trzy szwadrony bojowe i więcej. Miłym to było dla nas widokiem, oglądać naszę linią po raz pierwszy w szyku rozwiniętym, gdzie strój polski i dobrane barwy narodowe nie tylko wźrok, ale i serca rozweselał, a tak Francuzom jak i Hiszpanom niepospolity przedstawiał widok. — Dowództwo nad całą jazdą gwardyi objął jenerał Lepic, major z pułku grenadyerów konnych gwardyi, weteran i postawą i uprzejmością a zwłaszcza znawstwem służby znamienity, wielki nasz przyja-

ciel, a którego — nawiasem powiedziawszy — w Kownie wracającego z wyprawy moskiewskiej, ja wówczas kapitan tylko pułku naszego, miałem szczęście na pół przemarzłego, z odmrożonemi palcami, ratować. Ten więc jenerał Lepic, tak dla naszej wprawy, jak dla pokazania Hiszpanom prawdziwej jazdy francuskiej, częste z nami odbywał manewra; to już pułkami osobno, to połączonem swojem dowództwem: żandarmów wyborczych, grenadyerów konnych, dragonów, strzelców konnych, mameluków i szwoleżerów polskich.

Podobnież czyniono z gwardyą pieszą, której był w Madrycie poważny i kilko-tysięczny oddział ze znakomitą artyleryą.

Te połączone gwardye, które odbywały służbę przy księciu de Berg, Joachimie Muracie, jak gdyby przy cesarzu, lustrował znowu tenże namiestnik cesarski, w stroju fantazyjnym, najwięcej jednak do dawnego polskiego podobnym. Nigdy ten nasz przyjaciel nie spuszczał z myśli korony naszej, atoli teraz byłby przyjął i hiszpańską, którą jak mu się zdawało, nastręczał mu dostojny szwagier.

W naszym, tak zwanym pierwszym regimencie pułku szwoleżerów, zostającym tu w Madrycie pod bezpośredniem dowództwem pułkownika Wincentego Krasińskiego, kształcił i rozwijał się codziennie ten duch narodowy, który był twórcą tej gwardyi Napoleona, a jaki to był zapał młodzieży tak w Warszawie, jak i w całym kraju, niech służą czytelnikom na dowód nazwiska rodzin, o ile takowe pamiętam; nazwiska okazujące, że cała młodzież cisnęła się do służby wojskowej. I tak było w naszym pułku: — Trzech Krasińskich: Wincenty pułkownik dowódzca; Piotr, kapitan 7mej kompanii, później szef szwadronu; Julian, porucznik II klasy, poległy pod Dreznem w r. 1813. — Podobnież Łubieńskich trzech: Tomasz, szef szwadronu; Franciszek, kapitan 1szej kompanii; Tadeusz, porucznik II klasy, dziś biskup rodopolitański. — Jordanów trzech: Hermelaus, porucznik I klasy w komp. I., później kapitan; Wincenty, por. I klasy w komp. 5éj; trzeci Jordan, podoficer, którego imienia nie pomnę. — Radziwiłłów trzech: Ks. Dominik,

były dowódzca 8 pułku ułanów księstwa warszawskiego, potem major w gwardyi naszej, poległ w Lauterecke po bitwie pod Hanau r. 1813; Konstanty, pełniący służbę w sztabie jenerała Krasińskiego; Alexander, brat pani Krasińskiej, adjutant jenerała Konopki majora pułku naszego, potem adjutant jenerała Krasińskiego. — Gotartowskich trzech braci: Floryan, który przesłużywszy wszelkie stopnie, był kapitanem; Marcelli, który poległ będąc por. II kl.; trzeci brat, którego imienia nie pomnę, równie odznaczony oficer, służył potem w strzelcach konnych gwardyi kongresowego królestwa. — Trzech braci Hemplów: Joachim i Stanisław, oba przechodząc wszystkie stopnie znakomici kapitanowie; najmłodszy, którego imienia nie pomnę, odznaczony oficer, a później słynny szef szwadronu czyli major w 1ym pułku ułanów w r. 1831. — Trzech Mierzejewskich, z których dwaj bracia Maciej i Mikołaj byli z Litwy z pod Nowogrodka, trzeci imiennik nie był ich bratem, ale dzielny żołnierz i podoficer. Trzech Romanów: Wiktor, odznaczony w różnych stopniach, w końcu kapitan; i dwóch Romanów, których imion nie wiem, ale walecznymi podoficerami dobrze pamiętam. — Skarżyńskich dwóch: Ambroży por. 1 kl. potem kapitan i szef szwadronu, w r. 1831 jenerał bdy; Felix, por. II kl., później kapitan w strzelcach konnych gwardyi królestwa. — Marskich dwóch braci bliźniąt, znacznych urodą i szczególnem do siebie podobieństwem walecznych młodzieńców. — Skalskich dwóch braci w pierwszym szwadronie. — Załuskich dwóch: Józef por. II kl. później kapitan i szef szwadronu; Adam, wprzód por. w 4tym pułku piechoty Felixa Potockiego, później por. II klasy w gwardyi, poległy na Litwie w r. 1812. — Roztworowskich dwóch braci: starszy Stanisław, z początku porucznik, później szef szwadronu w pułku; młodszy, którego imienia nie pomnę, wprzód szeregowy, podoficer i nakoniec porucznik w pułku. — Tedwenów dwóch: Wincenty, odznaczony podoficer, później kapitan; Tadeusz, porucznik II klasy, później szambelan dworu saskiego. — Zielonków trzech: Benedykt, kolega i przyjaciel mój, pułkownik, zmarły pod Krakowem we wsi Niegoszowice; brat jego i inny stryjeczny, wszyscy mniej

więcej czasowo w naszym pułku służyli. — Kamieńskich kilku: że wspomnę tylko Henryka, szefa szwadronu, który poległ jenerałem dywizyi pod Ostrołęką; Józefa porucznika, który zmarł jenerałem brygady w Szwajcaryi.— Mikułowskich dwóch braci: Wincentego od podoficera przez wszystkie stopnie przechodzącego, który był w r. 1831 pułkownikiem jazdy litewsko-ruskiej; Teofila, który wyszedł z awansem do pułku ułanów nadwiślańskich. — Sokołowskich dwóch braci, obu poległych pod Somo-sierrą.— Gadonów dwóch braci z Litwy, oba porucznikami II klasy....

Na doświadczenie wiekiem starganej pamięci, wypiszę tu jeszcze imiona oficerów jakich zastałem w Madrycie, i niektórych kolegów tamże, przy mnie awansowanych.

Obecnymi w Madrycie: Wincenty Krasiński pułkownik dowódzca, Tomasz Łubieński szef pierwszego szwadronu, Kozietulski szef 2go szwadronu, Paweł Jerzmanowski kapitan drugiej kompanii, Stanisław Gorajski kapitan 5tej kompanii, Franciszek Łubieński kapitan 1szej kompanii; porucznikowie: Jordan Hermelaus, Jordan Wincenty, Górski Franciszek, Olszewski, Wybicki, Roztworowski Stanisław, Łuszczewski, Fredro Seweryn, Kamieński Józef, Prażmowski Xawery, Zawidzki pełniący obowiązek płatnika.

Podoficerowie zaś przy mnie posunięci na oficerów w pułku byli: Mikułowski Wincenty, Mogielnicki, Żelazkowski, Bogucki.

Tyle jest co zdołałem pamiętać; żyjący jeszcze koledzy zechcą poprawić, a potomkowie ich, dla których pamiątki te szczegóły piszę, nie wezmą mi za złe piszącemu z pamięci po przeciągu pół-wieku.

Piękne to i ciekawe miasto Madryt: ale okoliczności nie były stósowne, żeby się zapoznać z jego skarbami, zabytkami i ciekawościami; tu więc kilka słów tylko.

Teatr narodowy hiszpański wiele się różni od francuskiego albo niemieckiego; jużto lubownicy dramaturgii mogą znać tę różnicę ze sztuk Cerwantesa, Lopez de Vega, Calderona, które się dość po Europie rozpo-

wszechniły. Wówczas był tragikiem ulubionym Cienfuegos, u nas podobno mniej znany; ale co znamionuje osobliwie teatr hiszpański, to są Seguidille i Sajnety, małe sztuczki jedno aktowe, które każdodziennie grywane bywają po trajedyi albo dramacie, kiedy niema baletu. *Seguidilla*, jest to rodzaj wodewillu, dający poznać całą oryginalność śpiewek hiszpańskich, czasem z tańcem połączony. *Sajneta*, jest to narodowa komedya, wystawiająca różne domowe rodzinne zdarzenia, narodowe i prowincyonalne. Balet, szczególniej z tańców się zwykle składający, był dla nas nader ciekawy. Tańce te nieporównanie z akcentem narodowym oddane były wówczas: *Fandango*, *Bolero*, *Zapateado*, *Zoronco*. Teatrów hiszpańskich oprócz włoskiego, było dwa: *del Principe* i *de la Cruz*.

Walki byków w Madrycie podczas naszego pobytu nie było. Najulubieńszem miejscem przechadzki i przejażdżki jest *Prado* (łąka), rodzaj parku w różne ulice i klomby założonego, który dał imie Praterowi wiedeńskiemu i jest w ten sam sposób w pojazdach i pieszo uczęszczany. Drugiem miejscem przypominającem wiedeński Schönbrun jest *el Buon Retiro*, zamek królewski z obszernym ogrodem i menażeryą, które pod względem botaniki i zoologicznego zbioru, nie mają równego w świecie. *Retiro* był później ufortyfikowany przez Francuzów i miał wiele ucierpieć, ale ja mówię o tych zakładach, tak jakeśmy je zastali przybywszy do Madrytu, i między innemi licznemi, kosztownemi i dawnością założenia znakomitemi zbiory wszelkiego rodzaju, pierwsze to także nieporównane miejsce zajmują mappy morskie. Są to owoce posiadłości monarchii hiszpańskiej, w której wówczas jeszcze nigdy słońce nie zachodziło.

Gdy rozkazy dzienne co raz więcej upominały nas o nieoddalanie się z koszar, a szczególniej wieczorami, nadszedł dzień 2go maja.

Dnia tego z rana, znajdowałem się w kwaterze pułkownika Krasińskiego, która była blisko pałacu królewskiego. Kiedy zajęci byliśmy rozmową, wszczął się hałas na ulicy, zaczęto bramy i okiennice zamykać gwałtownie, wszelkie były oznaki, że się powstanie rozpo-

czyna. Pułkownik kazał mi natychmiast udać się do koszar, kazać kulbaczyć i siadać na koń. Nie bez trudu i niebezpieczeństwa zdołałem przebyć tłumy ludu zbierającego się przy pałacu królewskim i zdzierające z gniewem proklamacye poprzylepiane Murata i rządu. Przybywszy do klasztoru stanowiącego nasze koszary, ledwie mi uwierzono, że się rozpoczyna rewolucya. Atoli strzały z razu z daleka słyszane, stwierdziły moje polecenie. Jakoż wszystkie oddziały stojące w tych koszarach, grenadyery konne, dragony i my siedliśmy na koń, uszykowaliśmy się w jednę linią na szerokiej ulicy tworzącej jakoby dworzec przed naszemi koszarami. Posłano oddział dla sprowadzenia pułkownika Krasińskiego i wkrótce przybył książę Joachim Murat i stanął przed frontem naszej jazdy, a piechocie gwardyi kazał oczyszczać domy i dachy, z których do nas powstańce strzelali; zaś strzelcy konni gwardyi z Mamelukami chcąc się przedzierać do nas i do księcia Murata, musieli już użyć natarcia i pałaszów, gdzie się nie lada we znaki dali powstańcom. Pan Thiers historyk nawet przez niektórych ziomków naszych pochwałami okrywany, jak zawsze tak i tu w Madrycie ignoruje bytność Polaków. Było nas jednakże trzy kompletne szwadrony i więcej, a patrole nasze prowadzone przez oficerów nieco już świadomych języka hiszpańskiego, najwięcej się przyczyniły do uspokojenia mieszkańców. Zresztą powstanie to, w sam dzień rozpoczęte, przez kolumny wojsk wszystkiemi bramami z artyleryą wkraczające, w parę godzin zostało stłumione. Książę Murat jednak wywarł tu niewłaściwą jemu srogość, i kto tylko był z bronią w ręku jakąkolwiek ujęty, został rozstrzelany. Prado mianowicie było miejscem tych exekucyj, których surowość miała służyć za postrach dla całej Hiszpanii, ale zamiast tego skutku, wywarła powszechne rozjątrzenie. Od tego dnia fatalnego, oddział nasz, jak wyżej powiedziałem, łącznie z gwardyą konną królewską, *Gvardia de Corps*, codziennie odbywając patrole po całym Madrycie, utrzymywał jaką taką spokojność.

Nie tu miejsce opisywać dalsze wypadki po całej Hiszpanii zaszłe, chcę tu tylko nadmienić, że wkrótce

po tem powstaniu Madrytu książę Murat widząc, że nie jemu dostanie się korona Hiszpanii, chory opuścił stolicę, a jenerał Savary miejsce jego zastąpił. Ten bacząc, że powstanie w całym kraju się rozszerza, troskliwy o całość flot francuskich będących w Kadyxie i w Lizbonie, wpadł na myśl osobliwszą, przesłać tym eskadron tajemne rozkazy, przez oficerów z naszego pułku, za rosyjskich przebranych. Rosya była natenczas w chwilowem porozumieniu z Francyą. Baron Strogonów był posłem rosyjskim w Madrycie. Jenerał Savary wyrobił więc dwa pasporty rosyjskie i kazał zrobić takież mundury, a zażądał od pułkownika Krasińskiego dwóch naszych oficerów, coby tę ryzykowną posyłkę odbyć podjęli się. My byliśmy tak młodzi i tak zapaleni do służby, że każdy miał sobie za szczęście taką misyą, ale Xawery Prażmowski i Józef Kamieński, oba porucznicy 1szej klasy, otrzymali pierwszeństwo, jako posiadający najwięcej język rosyjski, bo byli oba z Wołynia. Zostali więc wyprawieni, Kamieński do Lizbony a Prażmowski do Kadyxu. Pani Junot księżna d' Abrantes opisała tę awanturniczą misyą, ale niepoprawnie. Ja słyszałem te przygody z ust samych tych kolegów; szczegóły są rozwlekłe i po takim przeciągu czasu trudne do opisania, koniec ich jest ten: że oba ci oficerowie byli przez Hiszpanów przejęci; że po wielu prześladowaniach i próbach, czy są istotnie oficerami rosyjskimi, Kamieński nie dostał się do Lizbony, ale cudownym sposobem złączył się z Prażmowskim w Kadyxie; ten zaś, po wielu przygodach, został stawiony przed jenerała hiszpańskiego Castańos (Kastanjos). Jenerał rzekł do niego, te zaszczyt charakterowi hiszpańskiemu czyniące słowa: „Czy wpan jesteś rzetelnie rosyjskim oficerem czy francuskim, nie jest dla mnie przedmiotem godnym do rozbierania; dam wpanu eskortę, jedź sobie do Kadyxu.“ Ci dwaj oficerowie byli ciągle w takiem położeniu, zwłaszcza spotkawszy się, że musieli oficerów rosyjskich udawać, i jako tacy, dostali się na okręcie angielskim do Tryestu, ztamtąd pocztą udali się do Wiednia do ambasady francuskiej i pospieszyli do pułku do Hiszpanii, ale już przybyli po bitwie Somo-sierskiej.

Zanim były król neapolitański Józef Napoleon odbył swój smutny wjazd do Madrytu na króla hiszpańskiego, jenerał Savary wysłał cały nasz oddział pułku lekkokonnego gwardyi polskiej w pomoc marszałkowi Bessières, przywodzącemu w północnej Hiszpanii. Opuściliśmy 14go lipca w nocy Madryt, pod komendą pułkownika Krasińskiego, w sile trzech kompletnych szwadronów; został się tylko nieliczny zakład niezdolnych do boju pod dowództwem porucznika Zawidzkiego. — Wyszliśmy w nocy dla chłodu i przybyliśmy rano na szczyt góry Gvadarrama. Jest to wierzchołek pasma gór zasłaniających Madryt od północy. Góry te często bywają i w lecie pokryte śniegiem; niemal każdodziennie po południu, koło godziny trzeciej do czwartej, wieje wiatr ostry w Madrycie z tych gór pochodzący, sprawujący konwulsyjne cierpienie, zwane kolką madrycką; dla tego to Hiszpanie noszą pasy, a prócz tych płaszcze, które podczas ciepła i spokojnego powietrza zawieszają na lewem ramieniu. Tę Gvadarramę przebyliśmy w kilka miesięcy później wśród zimy: teraz nieznośne pragnienie dokuczało naszym żołnierzom. Na szczycie ujrzeliśmy monumentalnego lwa, oznaczającego granicę królestwa Leon, a na podstawie napis czarną barwą świeżo położony: *Viva de Espagna el Leon, peresca el Tirano Napoleon.*

Tego samego dnia 14go lipca, którego Madryt opuszczaliśmy, żeby posiłkować marszałkowi Bessières, tenże wygrał znakomitą bitwę pod Rioseco nad jenerałami hiszpańskimi Blake i Cuesta, w której szwadron Radzimińskiego kapitana 6tej kompanii miał świetny udział. P. Thiers historyk nie sądził być przedmiotem godnym jego dostojności, wspomnieć o jednym szwadronie młodych Polaczków gwardyi Napoleona; jednakże gdy mówi na str. 115 tomu IX: „Piechota hiszpańska sądziła się być zwycięską, ciskała kaszkietami w powietrze i wołała: *Viva el Rey.* Ale marszałek Bessières miał w rezerwie 300 koni, tak grenadierów jak strzelców konnych gwardyi cesarskiej, którzy poskoczywszy w galopie z okrzykiem: *Vive l' Empereur!* przewrócili w okamgnieniu gwardyą *du Corps* i karabinierów *del Rey*, ob-

chodząc się z nimi tak, jak pod Austerlitz obeszli się byli z kawaler-gardami imperatora Alexandra". — Kiedy więc p. Thiers tylko trzy szwadrony po 100 koni przyznaje marszałkowi Bessières, a był między nimi jeden szwoleżerów polskich, a zatem składał jednę trzecią część tej odwodowej kolumny która bitwę zdecydowała, więc tem bardziej powinien był o naszym oddziale wspomnieć, zwłaszcza, że to natarcie aż z owem Austerlickiem porównywa. Ale p. Thiers nie lubi nazwisk polskich, są zbyt trudne dla jego języka, tem trudniejsze dla jego pamięci. Nie byłem w bitwie pod Rioseco, bo jak powiedziałem wyżej, porucznik I klasy Szeptycki zajął moje miejsce w Bajonnie, i poszedł z moim plutonem 2giej kompanii, a ja pomaszerowałem prosto do Madrytu; ale ponieważ bitwa pod Rioseco jest mniej znaną od bitwy pod Somo-sierrą, i oprócz bezimiennego francuskiego dziełka przeciwko Thiersowi, Segurowi i Lamartinowi w Paryżu w r. 1855 wyszłego, jeszcze — o ile mi wiadomo — przez nikogo tkniętą nie była,— przeto miło nam jest ten artykuł zakończyć wzmianką o tej pierwszej sprawie naszego pułku w bitwie stanowczej, *bataille rangée*, przeciwko najlepszemu regularnemu wojsku hiszpańskiemu. W tej więc bitwie dowodził naszym szwadronem kapitan Wincenty Radzimiński; pod nim Wincenty Szeptycki prowadził 1szy pluton; Alexander Brocki 2gi pluton, oba 2ej kompanii; bracia Jankowscy, Józef i Antoni, prowadzili dwa plutony z 6tej kompanii. Nie umiem podać zabitych i rannych w tej bitwie. Z oficerów, o ile wiem, żaden nie był ranny. Oto jest wyjątek z pisma własnoręcznego kapitana Joachima Hempla, jednego z naszych najwaleczniejszych oficerów.

„W Hiszpanii 1808 r. pod Rio-seco rozbiliśmy pułk dragonów *de la Reyna*, a ja wtenczas jako niedoświadczony żołnierz i młody człowiek, pełen zapału, wpadłem z kilku żołnierzami na działa nieprzyjacielskie — konia mi ubito, zrąbano, i dostałem się do niewoli. Dopiero w dni dwadzieścia kilka, odbity przez wracający korpus z pod Leonu, dostałem się do swoich, dla tego pod Somo-sierrą nie znajdowałem się, a że tam byłeś, więc wiesz, co i jak się tam działo." — Kapitan Hempel,

który naówczas nie był jeszcze oficerem, pisze o dragonach, — p. Thiers pisze o karabinierach, lecz mnie się zdaje, że to jedno. Hempel skromnie pisze o sobie, ale mnie wiadomo, że był tak porąbany w głowę, iż wątpiono o jego wyleczeniu. Żyje jeszcze ten zacny kolega, bodajby czytał te nasze wspomnienia i przyczynił się do ich uzupełnienia, o co powtórnie wszystkich współtowarzyszów broni wzywam.

Pisałem w Jasienicy, w październiku 1857 r.

WSPOMNIENIE III

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA PIERWSZEGO.

Nim przystąpię do dalszych wspomnień wypraw naszych w Hiszpanii, winienem się uiścić kolegom i czytelnikom, którzy mi udzielili przyjaznych spostrzeżeń swoich, poprawiając pomyłki lub opuszczenia, które się wcisnęły w poprzednie dwa moje wspomnienia, a którzy to życzliwi cztelnicy, tym sposobem odpowiedzieli na moje kilkakrotne odezwy, czyli wezwania moje w poprzednich wspomnieniach zamieszczone.

Pierwszy bezimienny, ale przyjazny korrespondent gazety w. księstwa poznańskiego, w nrze 15tym z dnia 18go stycznia 1857 raczył mię zawiadomić o szczegółach śmierci mojego niegdy kolegi Wybickiego, syna zasłużonego posła, później wojewody Wybickiego. Nie powtarzając zatem szczegółów o zgonie tego walecznego współtowarzysza broni, składam tu rzeczonemu korespondentowi moje podziękowanie, odsyłając czytelników do powołanej gazety poznańskiej.

Następnie odpowiadam wezwaniu szacownego naszego kolegi Stanisława Dunina Wąsowicza, jenerała bry-

gady w r. 1831, uzupełniając wiadomość o nim: jako tenże bywszy pierwej adjutantem jenerała dywizyi Izydora Krasińskiego, w wojsku księstwa warszawskiego, wstąpił do pułku gwardyi polskiej i był porucznikiem w kompanii 1szej, której ja byłem wówczas kapitanem; w marszu przez Prusy w r. 1812 na kampanią do Rosyi, został powołany na oficera tłómacza do boku cesarza Napoleona, i wkrótce towarzyszył mu w objeżdżaniu brzegów Niemna, przed przejściem tej rzeki pod Kownem, tak dalece, że Napoleon przywdział furażerkę Wąsowicza, to jest czapkę polską karmazynową z czarnym barankiem, konfederatką zwaną, oraz wdział jego płaszcz oficerski, półkole granatowe, i w takiem to przebraniu bohater zwiedzał granicę państwa rosyjskiego. Okoliczność tę opowiada historyk Thiers w tomie XIII na stron. 570, w sposób właściwy sobie, to jest: nie robiąc wzmianki o Wąsowiczu, ani o nienawistnej mu czapce polskiej. Odtąd Wąsowicz był nieodstępnie przy osobie bohatera, przechodził przez różne stopnie, i z pod Smorgoni, aż do Paryża przeprowadzał Napoleona przez Warszawę; został jego adjutantem, tak zwanym *officier d' ordonnance* i pułkownikiem. Dodajemy i to, czegośmy nie umieścili w drugim oddziale naszych wspomnień: że w naszym pułku był drugi Stanisław Wąsowicz, rodem z Krakowskiego, wachmistrz odznaczony, w r. 1809 podany do orderu trzech run złotych połączonych, który jednak order, jak wiadomo, nie przyszedł do skutku.

Trzecia pomyłka wcisnęła się niepojętym sposobem do redakcyi naszego pierwszego oddziału wspomnień, a to w spisie szefów szwadronu opuszczony został Piotr Krasiński, jeden z bohaterów Somo-sierry, kolega, którego mam szczęście często widywać czerstwym jeszcze pomimo ciężkich ran odniesionych. Opuszczenie to, stać się tylko mogło błędem przepisywania; jakoż w innych miejscach jest o tym znakomitym naszym szefie szwadronu należyta wzmianka. Zostawszy on później pułkownikiem, był dowódzcą 5go pułku piechoty królestwa polskiego.

Kolega Józef Gorajski, uczynił mię uważnym na przemilczenie chlubnej śmierci porucznika Kruszewskiego,

który w pamiętnej bitwie pod Dreznem w r. 1813 nogę utraciwszy od kuli armatniej, wkrótce potem zmarł w tem mieście. Przytem upomniał się rzeczony kolega o jakoby suchą i bardzo krótką wzmiankę o pułku litewskiej gwardyi, w pierwszym artykule wspomnień moich. Istotnie, gdy pułk ten formowany był przez słynnego jenerała Konopkę w r. 1812, w ciągu kampanii mało mogliśmy wiedzieć o szczegółach tej formacyi, będąc wówczas w okolicach Kremlina carów, a później w ciągłych bojach i marszach, nim się z naszym pułkiem złączył oddział z Krakowa, co nastąpiło dopiero podczas zawieszenia broni w r. 1813 w Saxonii. Chętnie więc i skwapliwie zamieszczamy tu bliższą wiadomość o koleżeńskim pułku litewskim, który został do naszego wcielony, i z którego jeszcze wielu zacnych współtowarzyszów żyje. Wreszcie miłą jest koroniarzowi wszelka sposobność, dania dowodu serdecznych uczuć odziedziczonych po przodkach, dla dzielnych braci Litwinów. Oto jest treść szczegółów, dostarczonych nam przez kolegę Gorajskiego:

Pułk drugi lekkokonny gwardyi polskiej, zadekretowany był w Wilnie przez cesarza Napoleona pod dowództwem jenerała Konopki, wsławionego pierwej pułkownika ułanów nadwiślańskich, nr. 7 w armii francuskiej noszących. Po słynnych rozprawach tego pułku, a mianowicie po znakomitem natarciu na piechotę angielską pod Albuera dnia 16 maja 1811, *) pułkownik Konopka został mianowany jenerałem brygady w wojsku francuskiem, a następnie majorem w pułku gwardyi Krasińskiego. Ten więc jenerał Konopka zebrawszy poczet oficerów i pod-oficerów z Igo pułku gwardyi polskiej, udał się z ochotnikami najpiękniejszej młodzieży litewskiej do Warszawy, i tam formował pułk 2gi gwardyi polskiej. Skoro stanęły zdatne do boju dwa szwadrony

*) Rozróżnić trzeba *Albuerę* blisko fortecy Badajoz (Badachoz), gdzie Anglicy ucierpieli od ułanów nadwiślańskich, a *Albuferę* pod Valencyą, od której marszałek Suchet został mianowany księciem *Duc d' Albufera.* Pomyłkę tę popełniono już nieraz w pamiętnikach ogłoszonych jakoby przez oficerów polskich.

etatowe, mogące mieć mniej więcej 360 koni, wyruszył z niemi jenerał Konopka, mając z sobą szefów szwadronu: Adama Bierzyńskiego i Adama Sołtana, już dawniej odznaczonego oficera w artyleryi konnej księstwa warszawskiego, i przyciągnął w początku miesiąca października do Słonimia, gdzie na niego czekał zakład tegoż pułku pod dowództwem gros-majora, czyli podpułkownika Chłusowicza, wychodzącego z legii pierwszej nadwiślańskiej; zaś drugi zakład tegoż pułku pozostał w Warszawie, pod dowództwem szefa szwadronu kscia Wincentego Woronieckiego. W Słonimiu, jenerał Konopka kompletował dalej szwadrony z nim przybyłe, atoli d. 19go października o godzinie 7 rannej, zostały rzeczone dwa szwadrony przez pułk huzarów rosyjskich Pawłogradzkim zwany i przez pułk kozaków atakowane. Młodzież litewska pod naczelnictwem swego jenerała walczyła mężnie, uderzając po kilkakrotnie na nierównie przeważające siły nieprzyjaciela; lecz gdy nadciągnął cały korpus jenerała rosyjskiego Czaplica, (Polaka) wynoszący 7 tysięcy ludzi, otoczył tę szczupłą ilość walecznej młodzieży i po większej części zabrał ją do niewoli, a między innymi i jenerała Konopkę mocno rannego.

Porucznik Gorajski był tak szczęśliwy, że uniknął tego losu, a za pośrednictwem familii pp. Tyman, rodziców jenerała rosyjskiego tego nazwiska, dostał się do Wilna, gdzie zameldowawszy się szefowi szwadronu Piotrowi Krasińskiemu dowodzącemu zakładem Igo pułku polskiej gwardyi, następnie jenerałowi polskiemu Stefanowi Grabowskiemu, wezwany został przez księcia Bassano (Maret), ażeby zdał piśmienny raport o bitwie słonimskiej, celem przesłania takowego cesarzowi Napoleonowi. W połowie grudnia otrzymał porucznik Gorajski polecenie od marszałka Bessiéres *Duc d' Istrie*, dowódzcy całej gwardyi konnej, udania się pospiesznie do Warszawy z rozkazem do szefa szwadronu Ambrożego Skarżyńskiego, ażeby ile możności kompletował oddział litewskiej gwardyi pod jego dowództwem zostający. Jakoż w początku stycznia oddziały obu pułków polskich gwardyi, złączyły się w Krakowie pod dowództwem majora

Igo pułku, pułkownika Kozietulskiego, a następnie wyruszyły do wielkiej armii, pod naczelnictwem kscia Józefa Poniatowskiego. Oddział pułku litewskiego, został natenczas w zupełności wcielony do Igo pułku naszego, a zatem także i porucznik Gorajski, który jednak wkrótce za nominacyą kscia Poniatowskiego przeszedł na kapitana do wojska księstwa warszawskiego i został adjutantem jenerała Umińskiego. Tu jeszcze musimy uzupełnić trudne do opisania umundurowanie pułku polskiej gwardyi, które umieściliśmy w pierwszem naszem Wspomnieniu o tym pułku. Szczegół ten jest drobny, ale narodowość naszę obchodzący. Ponieważ nasz pułk, jako będący całkiem na żołdzie cesarza Francuzów, nosił kokardę francuską, przeto umieszczono na tej kokardzie krzyż kształtu tak zwanego maltańskiego, u czapek oficerów srebrny, u szeregowych pobielany, a to na pamiątkę dawnego zwyczaju narodowego, a mianowicie konfederacyi barskiej, której, jak wiadomo, ojciec jenerała Krasińskiego był marszałkiem, a stryj jego biskup Kamieniecki kierownikiem.

Po tych poprawkach przez dawnych kolegów i własną niepamięć spowodowanych, składamy tu podziękowanie szanownemu Kazimierzowi Władysławowi Wójcickiemu, i bezimiennemu paryskiemu korespondentowi „Czasu," z których pierwszy w III tomie „Cmentarza Powązkowskiego," drugi w nrze „Czasu" 60tym z dnia 14go marca 1858, podają mi przyjazną rękę na znak zgody w lekkich naszych zatargach o szczegóły sławy narodowej dotyczące. Oby ten przykład zaszczytny naśladowany był od wszystkich pisarzy, co w polskiej mowie nawzajem siebie w prasach drukarskich czernią!

Takim wstępem poprzedziwszy dalszy ciąg naszych wspomnień, wracamy do części pułku, którą zostawiliśmy w pochodzie z Madrytu ku Rioseco, z dniem 14tym lipca 1808 r.

Przebywszy Gwadarramę miasteczko i górę, szwadrony nasze kierowały swój pochód przez Villa-Castin, Arevalos, Medina del Campo, Tordesillas. Ciągnąc przez równiny, widywaliśmy tylko z daleka podjazdy hiszpańskie, które postrzegając z łatwością kolumnę naszą w bla-

sku słońca lipcowego, unikały spotkania się i z tumanem kurzawy uchodziły. Tak przybywszy do Rioseco, zastaliśmy w bliskości tego miasta marszałka Bessières z korpusem jego zwycięskim. Widoczne jeszcze były ślady boju świeżego i zniszczenia, dymiące pogorzeliska, znaczna ilość jeńców hiszpańskich i różna zdobycz artyleryi i pociągów, ale boju już nie było, nie mogliśmy więc brać udziału w zasłudze naszego szwadronu dowództwa kapitana Radzimińskiego, który pierwszy miał szczęście walczenia za Napoleona, a razem za sławę narodu polskiego. Złączył się więc cały tak nazwany nasz pierwszy regiment składający się z kompletnych kompanij 1szej i 5tej, 2 i 6tej, stanowiąc cztery szwadrony bojowe, czyli przeszło 400 koni pod dowództwem swego pułkownika Wincentego Krasińskiego. Gros-major 1szy, pułkownik Delaitre, który był z kolei dowódzcą tego pierwszego regimentu, jeszcze bawił we Francyi, gdzie się trudnił administracyą całego pułku, a miejsce jego zastępował pod pułkownikiem Krasińskim, najstarszy szef szwadronu Tomasz Łubieński. Marszałek Bessières, który przy sobie nie miał żadnego oddziału konnej gwardyi tak licznego, a razem chciał nam dać naukę doświadczenia pod wodzą znakomitego jenerała jazdy i w towarzystwie wsławionych pułków lekkiej konnicy, poruczył nas jenerałowi dywizyi Lassale, dawnemu i sławnemu towarzyszowi Bonapartego pod Rivoli, w Egipcie i w każdej wyprawie, który przy chlubnem mianie najśmielszego między śmiałymi, posiadał wysokie wykształcenie wojskowe, a nawet literackie; który, gdyby go kula karabinowa nie sprzątnęła pod Wagram, byłby niemylnie został marszałkiem i oddał większe posługi Napoleonowi, niż podobny jemu w odwadze i prowadzeniu jazdy, lecz o wiele mniej wykształcony Murat, później król neapolitański. Pod takim więc wodzem zaczął nasz pułk odbywać służbę lekkiej jazdy, w towarzystwie mianowicie dwóch sławnych regimentów strzelców konnych, 10go i 22go, którego ostatniego jenerał Lassale był niegdyś pułkownikiem.

Można sobie wystawić, jakie tam było nasze współubieganie i nasza nauka, w takiej szkole dzienno-no-

cnego doświadczenia, będąc zawsze w przedniej straży, od bitwy pod Rioseco, która się odbyła 14go lipca, aż po bitwie pod Burgos, którą można mówić wygrał jenerał Lassale d. 10 listopada 1808.

Jeżeli więc nauczyliśmy się porządku, karności, manewrów, owo zgoła służby, od starej gwardyi konnej,— wykształciliśmy się wojennie, między najdzielniejszą jazdą lekką i pod najpierwszym jenerałem tej broni, przez całe pięć miesięcy. Długą i drogą pamięć zachowaliśmy dla jenerała Lassala, który umiał w sobie łączyć przymioty wodza wyższego rzędu, i zalety towarzyskie znakomitego wychowania. Jakoż pułk cały śpiewał z zapałem piosnkę, którą on dla całego narodu polskiego, ma się rozumieć w francuskim języku, ułożył.

Z pod Rioseco marszałek Bessières ruszył z całym swym korpusem za uchodzącymi jenerałami hiszpańskimi Blake i Cuesta, którzy pomimo tego, że mieli wojska składające się prawie wyłącznie z regularnego żołnierza, jednak nigdzie nie zdołali stawiać oporu; bo te wojska hiszpańskie, po bitwie pod Rioseco prawie całkiem się rozproszyły na strony, i dopiero później na oddalonem miejscu połączyły się. Zresztą marszałek Bessières pobiwszy wojska regularne hiszpańskie, spodziewał się, że to jego zwycięstwo rozszerzy postrach w powstającym narodzie, i że on, zawsze skłonny do łagodnego postępowania, takowem uspokoi część północną Hiszpanii, jemu głównie przez Napoleona powierzoną. Postępowaliśmy zatem bez pośpiechu za cofającymi się jenerałami, idąc w przedniej straży pod dowództwem jenerała Lassale, i zajęliśmy bez oporu miasto Leon, stolicę niegdyś królestwa tego nazwiska. W tem mieście znakomitem, marszałek zatrzymał się dni kilka, starając się przywrócić porządek i powagę cesarza Francuzów.

Z pod Leonu posunął się nasz korpus aż w okolicę miasta Astorgi. Zdarzyło się, że w ostatnim marszu mnie wypadło być z plutonem na placówce, co Francuzi nazywają *Grand-Garde;* wedety moje rozstawione były po pagórkach, ja sam z placówką stałem w miejscu, z którego można było przejrzeć całą okolicę. Koło południa nietylko ujrzałem wielki ruch w obozie hiszpań-

skim pod miastem Astorgą, ale ogień karabinowy i armatni. Nie było widać żadnego boju, żadnej napaści naszego wojska na Hiszpanów z której bądź strony; dałem znać o tem osobliwszem zjawisku do mojej komendy, i czuwałem z podwójną bacznością, nie mogąc pojąć coby te ognie, formalne salwy, znaczyły? Tłómaczyłem je sobie jako mustrę odbywaną z ogniem, dla ćwiczenia rekrutów. Gdy zmierzch wieczorny nadszedł, otrzymałem rozkaz zachowania się na posterunkach jak najspokojniej, oczekując zupełnej nocy, a wtenczas, cofnienia się do wsi, z której wyszedłem był na straż obozową. Jakież było moje zadziwienie, kiedy wróciwszy do rzeczonej wioski, nikogo już z naszych tam nie zastałem! Udałem się więć za śladami naszej tylnej straży, i nareszcie dogoniwszy kolumny pułku swego, dowiedziałem się, że ognie o których byłem uczynił raport, były to strzelania radosne wojska hiszpańskiego z powodu odniesionego nad jenerałem Dupont zwycięstwa pod Baylen, i że nasze cofanie, aczkolwiek po zwycięstwie znakomitem, było skutkiem owej poniesionej klęski. Wypadki te były dla nas młodych Polaków niepojętemi; i głowy i serca mieliśmy zajęte tylko zwycięstwami, których cesarz był dał tyle dowodów pod Jeną, Eylau, Friedland. Zaufanie nasze w potędze Napoleona i w doświadczeniu wojennem naszych dowódzców francuskich było bez granic; czuliśmy w sobie przekonanie, że w razie starcia się z nieprzyjacielem, żadne wojsko, mianowicie żadna jazda, nam się oprzeć nie zdoła; należeliśmy do korpusu najlepszych wójsk francuskich, który świeżo odniósł był świetne zwycięstwo, co popłoch i przestraszenie szeroko po Hiszpanii zwłaszcza północnej rozniosło; nie pojmowaliśmy jak jenerał Dupont, który w tylu bitwach, mianowicie w roku 1805 pod Dierstein, tak się był odznaczył, mógł się dać zwyciężyć powstańcom nawet hiszpańskim; jak marszałek Bessières, wódz gwardyi, mógł się dać namówić do cofania się przed pobitym nieprzyjacielem! Ale wkrótce czekały nas daleko mocniejsze rozczarowania. Odwrót naszego korpusu, nieścigany, odbywał się w największym porządku, z powagą zwycięsców; kierowaliśmy się przez Leon, Palencyą na Burgos.

Zbliżając się do tego miasta, dowiedzieliśmy się o ustąpieniu króla Napoleona Józefa z Madrytu. Tu dopiero zadziwienie szwoleżerów polskich było bez miary. Jakiż to pośpiech, przerażenie, nieład, istna ucieczka... jak gdyby wszystkie wojska Hiszpanii nacierały na tego nowego króla, który ledwie się pokazał w swojej stolicy, uchodził, przez nikogo nie ścigany... Cała pociecha jaką z takiej nieszczęśliwej sprawy dla siebie osiągaliśmy, była ta, że nam się udało nie pozostać w Madrycie i brać udział w tak niepojętej ucieczce.

Za dni kilka, król Józef jako brat cesarza, odbywał rewie korpusów gwardyi; nasz pułk przejrzał w tych samych miejscach nad rzeką Arlanzon, z którycheśmy później świetne odnieść mieli zwycięstwo pod dowództwem marszałka Soult. Postawa króla pretendenta do korony hiszpańskiej, nie wydała nam się bynajmniej wojskową, i zdawało nam się, że Murat byłby lepiej odpowiedział widokom Napoleona i potrzebom samej Hiszpanii.

Po takowem ustąpieniu króla Józefa z Madrytu, wojska francuskie zewsząd cofały się, król udał się aż do Vittoryi, i tam w półkole otoczony różnemi korpusami, oczekiwał przybycia i posiłków swego bohaterskiego brata.

Nasz pierwszy pułk pod dowództwem pułkownika Krasińskiego zostający w tylnej straży pod jenerałem Lasale, zasłaniał łącznie z jego lekką jazdą pozycyą króla od Rejnozy z północy na prawem skrzydle, aż do Logronio z południa, na lewem. Wkrótce wojska hiszpańskie zajęły i Burgos, a nasza tylna straż cofnęła się aż w okolice Brivieski.

Przez ten czas, który do miesiąca listopada trwał, przybywała druga połowa naszego pułku oddziałami z Polski do Hiszpanii. Pierwszy oddział, 3go szwadronu pod dowództwem kapitana Dziewanowskiego, odbywszy już służbę przy cesarzu pod Bajonną i przy zamku Marrac, przekroczył Pireneje, a za tym oddziałem wkrótce i cała reszta pułku przybyła pod dowództwem grosmajora pułkownika Dautancourt. Wtenczas to pokazali się pierwsi oficerowie Francuzi naszym szwadronom star-

szym, adjutanci pułkowi Coulon i Deshayes, oba bardzo godni z pułku strzelców konnych gwardyi awansowani wachmistrze, co dziwniejsza, mający postawy nietylko polskie, ale jak nam malują Sobieskiego. Gdy się pierwszy zjawił Coulon, żołnierze nasi nie chcieli wierzyć, żeby to nie był Polak, aż się przekonali, że słowa nie umiał po polsku. W naszych szwadronach składających jakby pierwszy regiment, nie było dotąd żadnego oficera Francuza, prócz adjutanta majora Polereczkiego, o którym już była mowa, że w Burgos zasłabł i odjechał do Francyi, gdzie wkrótce umarł; zaś grosmajor pułkownik, później jenerał Dautancourt, był wielkim zwolennikiem sztabu francuskiego. Z nim przybył także drugi adjutant major kapitan Duvivier, Belgijczyk okazałej postaci, jasnowłosy, rumianej twarzy, oficer, który po kilka razy dał dowody swego zamiłowania i honorowego poświęcenia pułkowi. W Paryżu mieliśmy już przybyłego z Warszawy kapitana Rollin kwatermistrza, czyli płatnika pułku, atoli w pierwszej kampanii hiszpańskiej 1808 roku więcej oficerów francuskich przy pułku nie było nad wyż wyrażonych. Pierwszy major pułkownik Delaitre był z oddziałem trzeciego szwadronu pod Bajonną i Marrac przy cesarzu, ale nie przybył do Hiszpanii, wrócił do Paryża dla czynności administracyi pułku.

W roku 1808 nie mieliśmy także jeszcze doktorów i chirurgów Francuzów: takimi byli dotąd w pierwszych szwadronach pp. Gadowski i Kuszański, oba uczniowie akademii krakowskiej. Między trębaczami mieliśmy Francuzów, i to trzeba powiedzieć, wielkich zuchów. Już to trębacze nasi popisywali się odwagą i między sobą i szeregowymi. Blaise trębacz major, który z czasem został oficerem, w pewnej bitwie w Hiszpanii, podobno z Anglikami, mając konia zabitego, przyjechał na oślicy i tak stanął na czele orszaku trębaczów pod bateryą dział nieprzyjacielskich, twierdząc w głos, że chce dać dowód, iż natarcie jazdy nie zależy od dobroci koni, ale od serca nacierających. Jedni trębacze nasi Francuzi i Piemontczyki, co umieli przywdziewać czapkę po polsku nie na lewe ucho, jak się to czasem czytać daje w pisarzach naszych powieściowych, ale zawsze na prawe oko pochy-

loną, co się zowie na bakier. Mówią, że ten wyraz pochodzić ma od jakiegoś Bäkera, sławnego rębacza z dawniejszych czasów. Był i u nas tego nazwiska trębacz, godny tego zaszczytu; był to Sas, który młodym chłopięciem będąc, w r. 1813 przystał za trębacza, i odznaczył się tak śmiałością w boju, jak talentem w muzyce. Był on później sztabstrębaczem w gwardyi konnej królestwa kongresowego. Ten umiał nosić czapkę na bakier według własnego nazwiska; a że w tym akcencie (oznaku) jest coś narodowego, swojskiego, nie bez znaczenia, okazał to imperator Mikołaj na rewii pod Kaliszem r. 1834, strofując pułkownika od ułanów, że w jego regimencie żołnierze noszą czapki nadto na bakier.

Lecz wróćmy do Hiszpanii. Przed przybyciem Napoleona, jak się powiedziało wyżej, cały nasz pułk złączył się razem: to jest wszystkie cztery szwadrony etatowe po 250 koni, obejmujące ośm kompanij po 125 koni, co tworzyło ośm szwadronów bojowych, po cztery plutony dwunasto-rotowe, z oficerami i podoficerami mniej więcej po 100 koni. Taka linia 800 koni będąc za długą do manewrów, zwyczajem było w pułkach gwardyi konnej francuskiej, dzielić pułki na dwa regimenta, co też odpowiadało i godności dowódzców, którzy wszyscy byli jenerałami, prócz naszego wówczas jeszcze młodego pułkownika Krasińskiego. Ten więc w nieobecności grosmajora Delaitre został osobiście przy pierwszym regimencie, dowodzonym zastępczo przez najstarszego szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, i stanął obozem pod Santa-Maria de Cubo; zaś drugi regiment rozłożył się biwakiem w Briviesce, pod dowództwem drugiego gros-majora, wówczas jeszcze pułkownika Dautancourt.

Rzadko kiedy oba te regimenta występowały razem, ponieważ służba owoczesna ograniczała się na podjazdy i wycieczki małych oddziałów, oraz na placówki, patrole i zwykłą przedpocztową służbę, którą się odbywało z pułkami lekkiej jazdy jenerała Lassale, jak się wyżej o tem uczyniło wzmiankę, która służba nas bezustannie zajmowała i w wojskowości zaprawiała.

Zdarzył się wówczas bezprzykładny jeden w swoim rodzaju wypadek, że pod-oficer Żellizer z pod Brivieski uszedł, (zdezerterował) czy do nieprzyjaciela, czy w lasy i góry? nie było wiadomo. Pod-oficer ten odznaczał się służbowością i zapałem, bo będąc oficerem w 3cim pułku piechoty księstwa warszawskiego, wstąpił był na szeregowego do naszej gwardyi; ale zabójstwo spokojnego włościanina hiszpańskiego podczas gdy Żellizer dowodził placówką, przez jenerała francuskiego objeżdżającego przedpoczty odkryte, poddawało go pod sąd wojenny, czego Żellizer unikając, znikł w nocy, nie czekając aresztu; niewiadomo czy sobie odebrał życie, czy szukał gdzie przytułku. Wypadek ten zrobił w pułku bolesne wrażenie, bo podawał jenerałom francuskim powód posądzania nas, że byliśmy zdolni do dezercyi, co bynajmniej nie mogło być naszą wadą, ale przykład takiego pod-oficera, był bez odparcia.

Tymczasem świeże wojska francuskie, już nie ze zbieranych oddziałków marszowych złożone, ale korpusy weteranów, przez marszałków wsławionych prowadzone, zaczęły do Hiszpanii przybywać. Na linią od Vittoryi do Burgos przybył marszałek Soult, i założył swoją główną kwaterę w Briviesce. Dnia 8 listopada wysłał mnie pułkownik Krasiński z tego miasteczka konną pocztą *(à franc etrier)* do Vittoryi, z raportami marszałków Soult i Bessières, do świeżo przybyłego cesarza. Pocztowe konie były tak umęczone przez nieustanne jazdy kuryerów, że dwa razy musiałem odbywać stacye pocztowe na mułach, i dwa razy się w tej powolnie pośpiesznej jeździe przewróciłem; przybyłem więc do Vittoryi do sztabu cesarskiego w stanie ubrania, nie chlubnym dla umundurowania pułku gwardyi polskiej, i wahałem się, jak w tym stanie potłuczenia i obdarcia, stawię się przed cesarzem. Lecz lubo ten na takie drobności nie zwykł był uważać, nie dostąpiłem tego szczęścia i tylko byłem przyjęty przez księcia Neufchatelskiego, który widząc mój stan nadwerężenia, powiedział mi z uśmiechem, żebym nie tracił czasu, ale wypoczął i połatał się, bo niebawem będę expedyowany napowrót z pilnemi rozkazami. Tymczasem poczęstowano mnie z kuchni cesarskiej,

a pp. oficerowie sztabowi obarczali mię pytaniami o szczegóły wojny hiszpańskiej i działania na linii przed nieprzyjacielem. Istotnie, po niewielu godzinach, zostałem do kscia Neufchatelskiego wołany, i przez tegoż do marszałka Soulta nazad wyprawiony. Koło północy stanąłem w Briviesce i zostałem natychmiast wprowadzony do kwatery marszałka Soult, który razem z marszałkiem Bessières, oba w jednej izbie, jeden na łóżku, drugi na kanapie, całkowicie ubrani, w butach długich *(à l'ecuyère)* odpoczywali, w niczem od innych oficerów nie różniąc się w noclegu, tylko, że zamiast kapeluszów, mieli na głowie: m. Soult duchenkę jedwabną czarną, a m. Bessières chustkę fularową kolorową. — Przytaczam te drobne szczegóły, dla nauki czytelników młodych, jak to marszałkowie, diuki Dalmacyi i Istryi, pełnili służbę i czuwali na wojnie pod Napoleonem. Ponieważ świéca paliła się na stole obok łoża dowódzcy, jak to było zwyczajem w wojsku francuskiem, więc m. Soult rozpieczętował zaraz expedycyą i zwracając głos do m. Bessières, oświadczył: „Major jeneralny donosi mi o różnych potyczkach zwycięsko odbytych przez naszych kolegów; trzeba się spodziewać, że za kilka godzin i my dostąpimy takich samych korzyści, ponieważ oto odbieram rozkaz cesarski uderzenia na nieprzyjaciela." I zaraz wydał rozkaz do swojego sztabu, ażeby wszelkie oddziały pod jego dowództwem zostające, odebrały polecenie stawania bezzwłocznie pod bronią, ażeby rozprawę zacząć można z brzaskiem dnia.

Odbywszy się w ten sposób u mm. Soult i Bessières, udałem się do pułkownika Krasińskiego złożyć mu raport z posyłki mojej do Vittoryi. — O drugiej godzinie rano pułk nasz był na koniu, występując po raz pierwszy w całym komplecie do boju.

Sławny p. Thiers, który miał wszystkie dokumenta w ręku, opisuje bitwę pod Burgos nierównie lepiej niżbym ja mógł to wypełnić z pamięci; ale pomimo tych dokumentów, któremi się tak często szczyci, nie czyni najmniejszej wzmianki o pułku polskiej konnej gwardyi. Prawdą jest, że jazda jenerała Lassale i piechota marszałka Soult nie dały nam brać wielkiego udziału w bi-

twie, bo nimeśmy zdążyli za nimi, już byli rozbili w rozsypkę całe wojsko hiszpańskie. Posuwaliśmy się więc w różnych kierunkach pośpieszno za uchodzącymi, przebywając wytężonym kłusem miasto Burgos, zasłane przewróconemi armatami, lawetami, wozami bagażowemi i tak dalej po drodze; jednem słowem, ścigaliśmy wojsko uciekające z małą stratą własną, aż nam kazano się zatrzymać, a lekka jazda jenerała Lassale poszła w kierunku nieprzyjaciela ku Valladolid.

Gdy cesarz po tem zwycięstwie marszałków Soult i Bessières, przybył do Burgos, odkomenderowano do jego osobistej straży pluton pod dowództwem porucznika Wybickiego, syna znamienitego patryoty, którego Napoleon znał, kiedy jeszcze był Bonapartem. Cesarz zawsze dobry, zawsze uprzejmy dla Polaków, jak tylko usłyszał nazwisko Wybickiego, zaraz tego oficera przywołał do siebie, i pozdrowił go wyrazami uprzejmemi dla niego, dla jego ojca i dla narodu polskiego.— Wtenczas to Napoleon uważając w plutonie Wybickiego z II kompanii, szwoleżera nadzwyczajnego wzrostu Pomorskiego, kazał przywołać marszałka Mortier, będącego jak wiadomo bardzo wysokim, i zmierzyć się z nim. Tenże Pomorski w r. 1809 będąc już brygardyerem zgorzał na śmierć w miasteczku Lambach nad rzeką Ens w Austryi.

Wkrótce po bitwie burgoskiej, powziął cesarz zamiar opuszczenia swoją osobą głównego traktu na Valladolid i Segovię, a puścić się poboczną drogą na Lermę, Arandę, Somo-sierrę prosto do Madrytu. W tym kierunku nasz pułk wysłany był do Lermy, jednakże o ile pamiętam, oddziałami, nie razem. Żeby miasto Lerma miało być zrabowane, a zwłaszcza przez naszych szwoleżerów, jak to czytałem w kalendarzu krakowskim na r. 1856, na co odpisałem w I oddziale wspomnień moich pułkowych,— tego wcale nie pamiętam; przeciwnie, przypominam sobie, żeśmy wkroczyli pierwsi do miasta Lermy, i zastali takowe niemal zupełnie puste; ja sam, widząc w środku rynku ratusz okazały a bezludny, wstąpiłem do sali radnej, a zastawszy tam księgę sesyonal-

ną rozłożoną, wpisałem wiersz, nie Polakowi przyzwoity: *„Parcere subjectis et debellare superbos“*, ale ten szczegół tu zamieszczam dla pamiątki, jakie to było usposobienie naszej młodzieży dla Napoleona, jedynie z nadziei i zaufania w nim pochodzące. Oprócz tego gwałtu moralnego, żadnego rabunku w Lermie sobie nie przypominam. — Pamiętam tylko, że nasz oddział pierwszy przybywszy do tego miasta, koledzy moi Szeptycki, Brocki i inni, wysyłani byli w okolice na rozpoznawanie, a ja odkomenderowany z plutonem na służbę do osoby cesarza. Stanąłem więc w pałacu dawnych książąt Lermy i tam poznałem hrabiego Filipa de Segur, wówczas furyera cesarskiego, *Marèchal-des-logis du palais*, z rangą grosmajora — po polsku: podpułkownika, później jenerała w sztabie cesarskim i pisarza o „Wyprawie Napoleona i wielkiej armii w roku 1812 do Rosyi“. Będę miał później sposobność wzmiankować jeszcze o tym oficerze znamienitym, tu tylko tyle wspomnę, że zaproszony od niego na obiad marszałkowski, używałem rozmowy światłej i o polskich rzeczach dobrze świadomego syna posła, który przez długie lata sprawował ten urząd przy Katarzynie II przed ostatnim podziałem Polski. — Nie doczekawszy się cesarza w Lermie, pułk nasz, a raczej część ta w której ja się liczyłem, odbywaliśmy bezustanne podjazdy w różne okolice; i tak pamiętam mocne nasze rozpoznanie do miasta Osma na lewo leżącego, celem wywiedzenia się o armii hiszpańskiej rozbitej pod Tudela; to znowu pamiętam, żem był wysłany z Arandy sam z jednym plutonem, do wioski czyli miasteczka Olmedillo, w prawą stronę, a cały regiment nasz drugi, pod dowództwem pułkownika Dautancourt, do miasta Roa, z którym to podjazdem mocniejszym, miałem polecenie się spotkać, i zdać sprawę dowódzcy. Wkroczywszy już pod wieczór do Olmedillo, municypalność jakkolwiek niższego rzędu w tak małej mieścinie, przyjęła mnie uprzejmie, zapewniając o jak najlepszych i najspokojniejszych uczuciach. Gdy jednak posunąłem się dalej, celem skomunikowania się z większym podjazdem do Roa wysłanym, zaczęto do mnie z ostatnich domów strzelać, a ponieważ noc w miesiącu listopadzie zapa-

dała wcześnie, lękając się nocnej zasadzki, zmuszonym się widziałem zająć owczarnią wśród obszernego pola i zawarować się w niej, na przypadek napadu, ogniem karabinkowym. Powracając po spotkaniu się z majorem Dautancourt przez to samo Olmedillo, ująłem dwóch członków małej municypalności, Alcalda i Corregidora, a kazawszy im powsiadać na osiołki, poprowadziłem ich z sobą do Arandy, chcąc ich dla ukarania dostawić marszałkowi Bessières, który dla nas oficerów Polaków miał szczególną przychylność, i mnie samego był kilkakrotnie miał u swego stołu. Opowiedziałem mu z uniesieniem, jakiej byłem doznał zdrady w Olmedillo, i dodałem, że dwóch starszych miasteczka przyprowadziłem panu marszałkowi do ukarania. Jakież było moje zadziwienie, gdy mi Bessières odrzekł: „Młody człowieku! masz szczęście, żeś się nie dopuścił żadnej gwałtowności względem tych poczciwych ludzi, byłbyś mi za to odpowiedział osobiście; zawołaj ich do mnie.“ Przemówił do nich kilka słów dobrotliwych, których oni nie zrozumieli i kazał im wrócić do domu. Opisałem ten drobny wypadek, dla dania wyobrażenia, jak marszałek Bessières był usposobiony względem Hiszpanów i o trybie prowadzenia tej mojny: ale po takiem zelżeniu wszelkich uczuć narodowych, jakiego się Napoleon był dopuścił, ani dobrodziejstwa, ani kary, już nie mogły skutkować,

Z Arandy postępując ku Somo-Sierra pierwszy regiment naszego pułku, udał się jeszcze na lewo od naszej kolumny, a na prawo od pozycyi Somo-sierry, pod dowództwem szefa szwadronu Łubieńskiego, gdzie natarliśmy kilkakrotnie na oddziały wójsk hiszpańskich, a poniósłszy stratę kilku szeregowych i ująwszy nieco języka, przybyliśmy nakoniec pod Bocequillas.

Tu się zaczyna ta sławna rozprawa pod Somo-sierrą, od której zawołany historyk pan Thiers dał nazwę XXIII księdze dziejów rewolucyi, konsulatu i cesarstwa. Musiał więc ten znakomity pisarz uznawać ważność i cześć tej bitwy, torującej cesarzowi drogę do Madrytu, kiedy ją tym sposobem postawił na równi z najsławniejszemi bitwami, jakiemi pooznaczał różne księgi swej historyi. Ale ponieważ zwycięstwo nad 13 tysięcznym kor-

pusem nieprzyjacielskim i 16tu działami ostrzeliwającemi wąwóz niedostępny, wywalczone było przez jeden szwadronik młodzieży polskiej, pierwszy raz w takim boju nacierający, więc starał się pan Thiers, — prawda, że idąc za przykładem różnych poprzedników, a nawet Monitora,—przypisać to nadzwyczajne natarcie jazdy jenerałom i oficerom francuskim, i wystawić cały ten czyn w sposób odejmujący mu całą osobliwość i cześć. Ponieważ dziełko w języku francuskim w r 1855 w Paryżu wyszłe, pp. Thiersa, Segura i Lamartina imieniem narodu polskiego zbijające, już się odparciem p. Thiersa względem natarcia pod Somo-sierrą dostatecznie zajęło, więc tu tylko dla pamiątki zamieszczamy 13 buletyn wojska w Hiszpanii z Monitora paryskiego wyjęty, który tak dosłownie brzmi:

„Ś. Martin, blisko Madrytu. D. 2 grudnia 1808.

„Dnia 29 listopada, główna kwatera cesarza przeniesioną została do wsi Bocequillas. Dnia 30 o świcie książę Belluno (marszałek Victor) stanął u stóp Somosierry. — Dywizya trzynastu tysięcy armii rezerwowej hiszpańskiej, broniła przejść tej góry. Nieprzyjaciel sądził być to stanowisko niezdobytem. Oszańcował był cieśninę, którą Hiszpanie zowią: *puerto* i obsadził ją 16 działami. Dziesiąty pułk lekkiej piechoty uwieńczył prawą stronę drogi; 96 pułk udał się gościńcem *(chaussée)*, a 24ty postępował na lewo pod górę. Jenerał Sénarmont z sześciu działami posunął się gościńcem.

„Ogień ręcznej broni i armatni rozpoczęły się z obu stron.

„Natarcie, które wykonał jenerał Montbrun na czele szwoleżerów polskich, rozstrzygnęło los bitwy; natarcie świetne, jakie się kiedykolwiek odbyło *), w którem ten pułk okrył się sławą, i okazał się być godnym uczestniczyć w gwardyi cesarskiej. Działa, chorągwie, strzelby, żołnierze, wszystko to zostało zdobyte, odcięte, albo schwytane. Ośmiu szwoleżerów polskich zginęło na działach, szesnastu zostało rannych. Między tymi ostatnimi kapitan Dziewanowski tak ciężko został ranny, że zo-

*) *Charge brillante s' il en fut.*

staje prawie bez nadziei. — Major Ségur, furyer *(Maréchal des logis)* domu cesarskiego, nacierając między Polakami, odniósł kilka ran, z których jedna dość ważna. Owe szesnaście armat, dziesięć chorągwi, około trzydzieści wozów amunicyjnych, dwieście wozów różnych pociągów, kasy pułków, oto są owoce tej świetnej rozprawy. Pomiędzy jeńcami, którzy są bardzo liczni, znajdują się wszyscy pułkownicy i pod-pułkownicy korpusów dywizyi hiszpańskiej. — Wszyscy szeregowi byliby byli zabrani, gdyby nie byli porzucili broni, i nie rozpierzchli się po górach. Dnia 1go grudnia główna kwatera cesarska była w St. Augustin, a książę Istryi (marszałek Bessières) przybył z jazdą uwieńczyć pagórki madryckie. — Piechota nie będzie mogła przybyć aż 3go. — Wiadomości, które dotąd powzięto, każą sądzić, że miasto jest widowiskiem różnych nieporządków i że bramy są barykadowane.

„Powietrze jest bardzo piękne."

Otóż to jest text dosłownie tłómaczony, tego tak nazwanego urzędowego *(officiel)* buletynu, który ma podać do potomności świetną pamięć Polaków pod Somosierrą.

Nim zacznę zbijać i ten buletyn i część opowiadania p. Thiersa, przytoczę tu ustęp z pisma *Victoires et Conquètes des Français de 1792 à 1815.* Ustęp ten zawiera w krótkich słowach to wszystko, cobyśmy mieli do powiedzenia, a co mamy do wytknięcia w dwóch opisach buletynu i p. Thiersa.

Oto są słowa tego przytoczonego dzieła:

„Cesarz daje rozkaz szwadronowi szwoleżerów polskich będącemu przy nim na służbie, natarcia na artyleryą nieprzyjacielską, która z wierzchołka cieśniny ostrzeliwała gościniec. Waleczny ten oddział prowadzony przez szefa szwadronu Kozietulskiego, posunął się natychmiast w kolumnie czwórkami, ponieważ gościniec nie dozwalał szerszego rozwinięcia.

„Wybiedz na górę galopem pomimo najokropniejszego gradu kartaczów i krzyżowego ognia pieszej strzelby, przewrócić wszystko, cokolwiek się opierało natarciu, opanować niedostępne stanowisko nieprzyjaciela, było

dziełem jednej chwili, i wszystko, artylerya, piechota zostało zdobyte, zrąbane, rozproszone, odcięte lub zabrane.“

Ten artykuł jest tak zredagowany, że gdybyśmy sami jego redakcyą mieli poleconą, nie moglibyśmy się lepiej wyrazić. Otóż jest szczera i niewątpliwa prawda; jedna tylko okoliczność zachodzi mylnie wystawiona, jakoby 16 armat hiszpańskich stało w jednej bateryi na wierzchołku cieśniny czyli wąwozu, kiedy przeciwnie te 16 armat rozstawione były po zagięciach gościńca, i tym sposobem ostrzeliwały daleko skuteczniej cały wąwóz. Ale ta okoliczność nie ma znaczenia, istotą jest, że wszystkie 16 armat zostały zdobyte, a pytaniem: przez kogo? czy przez samych tylko Polaków, i w jakiej ich liczbie?...

Pan Thiers w tej mierze nietylko rzucił wątpliwość, ale z czynu zadziwiającego usiłował zrobić bardzo zwyczajną rozprawkę, a nawet z wyraźnem ubliżeniem właśnie temu szwadronowi, który sam jeden wszystko wykonał. — Oto jest część opisu p. Thiers, ale tycząca się rzeczonych kwestyj, dosłownie wytłómaczona:

„Świetny oficer jazdy jenerał Montbrun wystąpił na czele szwoleżerów polskich, młody hufiec wyborczy, który Napoleon utworzył sobie w Warszawie, ażeby miał w swojej gwardyi coś ze wszystkich narodów i ze wszystkich strojów. Jenerał Montbrun z tymi walecznymi młodzieńcami uderzył w galopie na 16 armat Hiszpanów, nie zważając na straszny ogień karabinowy i kartaczy. Pierwszy szwadron otrzymał ogień, który go wprawił w nieporządek, kładąc 30 — 40 jeźdźców w szeregach. Ale szwadrony, które za pierwszym postępowały, przeskakując przez rannych, dostały się do dział, zrąbały artylerzystów i zdobyły 16 armat. — Reszta jazdy puściła się w pogoń za Hiszpanami po za wąwozem i zeszła z nimi na odwrotnej stronie Gwadarramy...

„Wieczorem cała jazda była w Buytrago razem z kwaterą główną. Francuzi to, dali znać Hiszpanom o rozbiciu ich wojska, które się nazywało somo-sierskiem. Napoleon był bardzo uradowany, że dowiódł swoim jenerałom, jacy byli jego żołnierze, jak ich wypadało ce-

nić, a jak nieprzyjaciela, oraz, że z taką łatwością przebył zaporę, którą miano za niezdobytą.

„Polacy mieli mniej więcej pięćdziesiąt ludzi zabitych i rannych na armatach. Napoleon obsypał ich nagrodami, i policzył do rozdawnictwa swych łask pana Filipa de Sègur, który był w tem natarciu kilka postrzałów otrzymał. Przeznaczył go do odwiezienia ciału prawodawczemu chorągwi zdobytych pod Burgos i pod Somo-sierra."

Tak to więc według p. Thiersa, nie Kozietulski, ale jenerał Montbrun prowadził natarcie, i nie jednego szwadronu, ale całego pułku, to jest ośmiu szwadronów, i dobrze z tem było dla sprawy Napoleona i honoru Polaków; bo pierwszy szwadron — prawda, że tęgo przyjęty — pierzchnął haniebnie, i gdyby nie jenerał Montbrun, poczciwy p. furyer pałacowy de Segur, i zapewne kilku jeszcze oficerów sztabowych francuskich, owe zawołane zwycięstwo Polaków, byłoby się zamieniło w sromotną porażkę, a raczej ucieczkę. Bo co też to temu Napoleonowi było w głowie! do gwardyi swojej werbować w Warszawie jakichś tam studentów polskich, widocznie dla miłości własnej, że ma koło siebie wszystkie narody i przeróżne stroje: zawoje mameluków i czapki czworograniaste Polaków.

To tylko zadziwia nas, że ten historyk, taki przyjaciel dokumentów i dowodów, dopiero co powiedziawszy, że pierwszy szwadron od razu stracił 30 do 40 ludzi, po dokonanem jakoby natarciu przez cały pułk z ośmiu szwadronów, jak wiadomo, złożony, p. Thiers podaje ogólną stratę Polaków na mniej więcej pięciudziesiąt ludzi; równie jak to, że gdy Gwadarrama, miasto i pasmo gór od niego nazwane, leżą na północ od Madrytu, na drodze ku królestwu Leon,—p. Thiers nazywa Gwadarramą, to co jest pasmem Ayllon, i co leży na wschód Madrytu w kierunku do Burgos.

Nic więc dziwnego, że kolega nasz, teraz już ś. p. Niegolewski, który najwięcej się odznaczył w tej bitwie, upomniał się kilkakrotnie u p. Thiersa o sprostowanie i odwołanie jego twierdzeń, sławie Polaków i honorowi 3go szwadronu gwardyi szwoleżerów uwłaczających. Ko-

respondencye te kilkakrotnie drukiem ogłoszone, do nich więc czytelników odsyłamy, tu zaś wystawimy natarcie pod Somo-sierrą tak, jak z naocznego przekonania się i z wielokrotnej rozmowy o tym chlubnym dniu od kolegów powzięliśmy.

Trzy główne nieprawdy, które wynikają z buletynu 13go i z opisu p. Thiersa, są następujące:

1. Że jenerał Montbrun dowodził natarciem.

2. Że pierwszy nacierający szwadron cofnął się odparty.

3. Że resztujące szwadrony pułku naprawiły to, czego 1szy nacierający szwadron nie był dokazał.

Trzy te twierdzenia są w zupełnej sprzeczności z opisem najrzetelniejszym dzieła: „*Victoires et conquêtes.*“ To wymaga objaśnienia. Nie można zaprzeczyć, że Napoleon sam wpływał na redakcyą buletynów, lecz nie idzie za tem, żeby je redagował wszystkie, i żeby był sam redagował buletym 13ty o bitwie pod Somo-sierrą.— Usilność, z jaką ten buletyn wystawia zasługę p. Filipa Segura, i śmieszność twierdzenia, żeby 16 armat w takiem stanowisku, mogły być zdobyte ze stratą 8 ludzi zabitych a 16 rannych, sama nawet progresya arytmetyczna 8 i 16, odejmują temu buletynowi całe prawdopodobieństwo.

Gdyby sławny i znakomity jenerał jazdy Montbrun był sam osobiście prowadził to natarcie, cała onego zasługa należałaby jemu, a nie Polakom i Kozietulskiemu który nimi dowodził.

Gdyby pierwszy szwadron nacierający został był odparty, i dopiero inne i liczne szwadrony były armaty zdobyły, natarcie to nie miałoby w sobie nic nadzwyczajnego. Ale rzecz nie tak się ma.

Trzeci szwadron składający się z kompanii 3ciej kapitana Dziewanowskiego i z kompanii 7 kapitana Piotra Krasińskiego, był rano d. 30 listopada w obecności piszącego pod Bocequillas wykomenderowany przez adjutanta majora Duvivier, na służbę do cesarza, a ponieważ szef szwadronu 3go, Ignacy Stokowski, nie był jeszcze z Francyi nadjechał do pułku, a było obecnych tylko trzech szefów szwadronu: Łubieński, Kozietulski,

i Henryk Kamieński, więc Duvivier naznaczył z kolei Kozietulskiego, ażeby z trzecim szwadronem odmaszerował na służbę do cesarza. Tu zachodzi między mną a twierdzeniem ś. p. Niegolewskiego różność zdań: Niegolewski mniema, że szwadron rzeczony odłączył się od pułku z obiema kompaniami w całości; ja zaś sądzę, że szwadron na służbę do cesarza odkomenderowany, składał się tylko jak zwykle z czterech plutonów po 12 rot. Zdaje mi się nawet, że pamiętam jak Duvivier zwyczajem swoim formował te plutony, a że to był może pierwszy raz, co z naszego pułku w czasie boju szwadron był wysyłany na służbę do osoby Napoleona, może być, że adjutant major dobierał ludzi, i że dla tego dwa plutony składały się z oddziału kompanii 3ciej, a dwa z oddziału kompanii 7mej. Okoliczność ta nie jest mało znaczącą, bo jeżeli natarcie jednego szwadronu zdecydowało i wygrało bitwę, więc im mniejszym był ten szwadron, tem większa dla niego i dla narodu naszego chwała. Cześć niech będzie cieniom walecznego i cnotliwego Niegolewskiego, ale w jego opisach bitwy pod Somo-sierrą, tak polskim jak i francuskim, jest kilka szczegółów, które my lepiej pamiętamy od niego. I to rzecz bardzo naturalna. Bo on będąc od razu w natarciu, całkowicie tym bojem zajęty, a później zostawszy śmiertelnie rannym, wszystkiego widzieć i pamiętać nie mógł, jak to już w 1szem wspomnieniu naszem wyraziwszy, tu nie powtarzamy. Ponieważ Niegolewski był odkomenderowany w kilkanaście koni, a może z całym swoim plutonem, to jest 25 koni, na przyprowadzenie języka, a kiedy wrócił, już zastał szwadron idący do natarcia czwórkami, co tworzyło długą kolumnę, więc być może, a raczej tak być musi, że ten jego oddział nie był policzony przez adjutanta majora, i tym sposobem szwadron nacierający mógł obejmować pięć plutonów, to jest o jeden więcej, czyli 125 koni. Gdyby zaś całkowite obie kompanie 3cia i 7ma były nacierały, toby musiało być 8 plutonów, czyli 200 koni; co stanowi znaczną różnicę, ale nigdy taką, żeby ta większa lub mniejsza liczba mogła być stanowczą do zwalczenia korpusu 13 tysięcznego, i w takiem położeniu.

Tu znowu ś. p. Niegolewski opowiada ciekawą anegdotę, że szwoleżer nasz jeden zapaliwszy lulkę u ogniska przed Napoleonem rozpalonego, miał zamiast podziękowania mu wyrzec: „Ja jemu tam — wskazując na góry, podziękuję!“ Czyby takie słowo prostego żołnierza miało dać myśl Napoleonowi 'zdobycia wąwozu i armat przez mały oddział jazdy? Czy też to mniemanie, że zapał młodych Polaków z najmniejszym krwi rozlewem przełamie zaporę stawioną mu przez nieprzywykły do boju korpus hiszpański? rzecz ta nie mogłaby być rozstrzygniętą tylko w jakich poufnych pamiętnikach tego bohatera. Istotą jest: że Napoleon przez piechotę i tyralierów z niej, kazał rozpoznać pozycya nieprzyjaciela, a dowiedziawszy się, że gościniec był szerokiem rowem przekopany, kazał go piechocie chrustem i kamieniami zasypać; a skoro tak gościniec stał się dla jazdy i dla artyleryi dostępnym, przywołał Kozietulskiego i kazał mu ze swoim szwadronem służbowym uderzyć na armaty i starać się je zdobyć; a zaś piechota marszałka Victora postępowała z bronią w ramię bez wystrzału. Sam marszałek pieszo prowadził linią rozwiniętą pod górę prawą, a jenerał Semele, szef sztabu korpusu, prowadził podobnie linią pod górę w lewo, co ja mogę poświadczyć, żem na swoje oczy widz'ał.

Jak skoro Kozietulski otrzymał polecenie cesarza, rozkazał szwadronowi dobyć pałasza i z okrzykiem; Niech żyje cesarz! puścił się zaraz gościńcem pod górę w kolumnie marszowej czwórkami, ponieważ wąski trakt nie dozwolił nacierać plutonami. Jak tylko rozpoczęło się natarcie, trwało nieprzerwanie, zdobywając pół-baterye armat jedne po drugich. — Kozietulski mając zaraz z początku natarcia konia zabitego, nie mógł osobiście kończyć zwycięstwa, ale szwadron nie ustawał ani na chwilę, bo tym tylko sposobem armaty nieprzyjacielskie nie mogły nacierających powtórnie razić; wszystko to działo się ile możności w największym pędzie, i w krótkiej bardzo chwili. Ten co z rekonesansem powróciwszy Niegolewski, ostatni do natarcia przybył, pędząc z zapałem, straciwszy czapkę, a pomijając zabitych i mających konie poległe, wyprzedził wszystkich i padł pod

koniem zabitym przy ostatnich armatach zdobytych na szczycie nieprzyjacielskiej pozycyi, w poczcie już tylko kilku szwoleżerów, tak, że artylerzyści i inni żołnierze hiszpańscy, leżącemu pod koniem Niegolewskiemu zadali ran jedenaście, to jest: dwie kulami karabinowemi w głowę, a dziewięć bagnetami po karku. Tam zginął między innymi i wachmistrz Sokołowski. Natenczas Napoleon widząc cały szwadron Polaków mniej więcej poległy, i zwycięzców ostatniej bateryi w niebezpieczeństwie, kazał plutonowi strzelców konnych będącemu przy nim pospieszyć Polakom na pomoc. Ci odpędzili Hiszpanów pastwiących się nad zdobywcami ostatniej bateryi, a tymczasem, po tak impetycznem zdobyciu wszystkich 16 armat przez szwadron jazdy, gdy piechota posuwała się po obu stronach gościńca pod góry, jak się wyżej powiedziało, całe wojsko hiszpańskie zaczęło pierzchać. Wtenczas to gdy szasserów kilku nadbiegło Niegolewskiemu na pomoc, kazał Napoleon oddziałom szwoleżerów najbliżej będącym udać się czemprędzej w pogoń za Hiszpanami, co dopełnił szef szwadronu Łubieński, a za nim i cały pułk nasz pod dowództwem pułkownika Krasińskiego i majora Dautancourt. Napoleon zaś z całym swoim sztabem wielce zadowolony, postępował razem prawie z nami gościńcem okrytym zabitemi szwoleżerami i końmi, oraz rannymi leżącymi a wołającymi: *Vive l' Empereur!* tudzież armatami hiszpańskiemi, to przewróconemi, to zostawionemi przez pierzchających,—a podziwiając śmiałość, krótkość i skutek natarcia, powtarzał często, obracając się do swego sztabu: *Sont-ils braves ces Polonais!...* co po polsku może się da tak wytłómaczyć: „Co za śmiałość w tych Polakach!"

To jest proste i rzetelne opowiadanie naocznego świadka, który gotowy jest odpowiedzieć na wszelkie zarzuty pisarzów francuskich, a przyjmie chętnie uwagi jakieby mu żyjący jeszcze koledzy z pod Somo-sierry uczynić za potrzebne uznali: poniekąd oczekuje on takowych od przyjaciół kapitana Romana zmarłego, i od kapitana Wincentego Tedwena żyjącego; bo twierdzenia o jakich czyniliśmy wzmiankę w naszem pierwszym Wspomnieniu nie zgadzają się bynajmniej z na-

szem opowiadaniem tego sławnego czynu. Wiemy, że tak kolega Roman jak i Tedwen należeli do tego natarcia, ale nie pamiętamy czy, i jak dalece byli ranni. To nam wiadomo z pewnością, że natenczas jeszcze nie byli oficerami, i że Niegolewski porucznik ostatnim był w stopniu oficera, doprowadzający istotne natarcie do końca. Jeżeli więc koledzy Roman i Tedwen, chociaż nie będąc jeszcze oficerami, przybyli po upadku Niegolewskiego ścigać artylerzystów hiszpańskich, którzy się nad nim pastwili, temu nie mamy przyczyny zaprzeczać bynajmniej, ale to wcale co innego, jak żeby się jednemu z nich należała największa sława natarcia pod Somo-sierrą.

Lubo jak powiedzieliśmy, nie we wszystkich szczegółach zgadzamy się z relacyą Niegolewskiego drukowaną, wszakże wiemy z całym pułkiem, że Kozietulski natarcie rozpoczął, Dziewanowski kapitan, a Krzyżanowski, Rowicki i Rudowski porucznicy życiem przypłacili. Piotr Krasiński kapitan śmiertelnie był ranny, a Niegolewski porucznik padłszy z koniem zabitym przy ostatniej bateryi, otrzymał ran 11. Dla tego jego uważamy za celującego działacza w tem słynnem natarciu i prosiliśmy sławnej pamięci malarza ś. p. pana Piotra Michałowskiego, prezesa rady administracyjnej miasta Krakowa, żeby pędzlem swoim uwiecznił pamiątkę Niegolewskiego i podał obraz tej bitwy pokoleniom przyszłym. Odezwę tę podajemy poniżej w nocie *).

---

*) Pamiątka Niegolewskiemu. (Wiersz do Piotra Michałowskiego)

Bard Albionu spojrzał w polskie stepy,
I stworzył jeźdźca w obrazie Mazepy,
Co lotem wichru ma przedziały za nic,
I gna bez przerwy, aż do kraju granic.
Obraz ten cała Europa podziwia,
Pędzlem i rylcem myśl barda odżywia.

Lecz jakież dzieło przyszłego hetmana
Przekazał Bajron zdziwionemu światu?...

Opisawszy tak, sumiennie i jak się nam zdaje, sposobem wyczerpującym wystawienie tej wiekopomnej bitwy, wracamy się do odparcia twierdzeń buletynu i p. Thiersa: jakoby jenerał Montbrun był prowadził to natarcie. A najpierwej, gdyby tak było, dzieło całkiem francuskie i przez grono wojskowych tego narodu starannie wydane, nie byłoby opuściło wzmianki o jenerale tak odznaczonym, boby to było ubliżyć jego osobie. — Ja nie zaprzeczam, że jenerał Montbrun był obecny temu natarciu, tak jak cały sztab Napoleona i mnóstwo wojska co się na to natarcie patrzało, może nawet Na-

---

Czy myśl dostojna w ten obraz ubrana,
Sięga do szczytu cnoty majestatu?
Nie! bohater gna, bo musi — spętany—
Gna, gdzie go niesie traf, los przeznaczenie. .

O ileż wyżej ja Mazepę cenię:
Co Polak, będąc z ojczyzny wygnany,
Gdy poznał wartość dla Polski Karola,
Podziela bój z nim Pułtawskiego pola;

Mazepa *barda*, gna bez swojej woli,
Gna bez nadziei, śmiało umrzeć gotów:
Nasz — by ujść kraju — Mazepa niewoli,
Rzuca się z cnoty, w ostrze Piotra grotów,
Stawiając przykład następcom buławy
Jakiej się mają nadal trzymać sprawy.

Wieszcz Niemna, twórca nieśmiertelnych pieśni,
W swoim Farysie stawia nam wzór szczytny,

Jak z wytrwałością można z ziemskich cieśni
Unieść się duchem w niebios strop błękitny! . . .

Ale ten obraz — choć go cudnie kryśli,
Nie stał się czynem, został płodem myśli.

Ja ci przynoszę, polski Apellesie!
Wzór co Farysa z Mazepą przeniesie:

poleon nie sam ustnie dał rozkaz Kozietulskiemu do nacierania, ale przez jenerała Montbrun; sam Niegolewski w broszurach swoich pisze, że bardzo rano przed bitwą był posłany za językiem, z rozkazu jenerała Montbrun; ale to jest co innego, jako jenerał dowodzący całą jazdą w korpusie wojska przy cesarzu będącego, kierować posyłkami na zwiady, albo dysponować jaki ruch jazdy; a co innego, samemu prowadzić jeden tylko szwadron do ataku... to się ani zgadza z rangą jenerała dywizyi Montbrun, ani z tą okolicznością, że nie jenerał ten, ale marszałek Bessières obecny, był naszym dowódzcą jako komendant całej konnej gwardyi... Wreszcie nie potrzebujemy tak szczegółowego tłómaczenia się, wiemy dowodnie, że nikt tego ataku nie rozpoczął tylko Kozie-

---

Wystaw młodego jeźdźca narodowca,
Co hufca swoich mężnych towarzyszy
U skalistego dogania manowca,
I jeden okrzyk w całym hufcu słyszy...
A wśród poległych rycerzy i koni
Za poprzednimi niewstrzymany goni...
Z płomiennem okiem, z rozczochranym włosem,
Konia ostrogą, braci rzeźwiąc głosem:
„Dalej! a dalej!“ wśród kul i kartaczy
Tylko na paszcze dział morderczych baczy.

Gdy poprzednicy padli lub ustali:
On, co był zaczął natarcie ostatni,
Staje zwycięzcą... tam, gdzie strzał armatni
Na samym szczycie i jego powali.

To nie czyn musu, nie płód urojenia,
Lecz owoc istny polskiego natchnienia.
Zdobycz szesnastu armat Somo-sierry:
To jest nasz Farys: Jędrzej z Niegolewa...
Którego pamięć niech twój pędzel szczery
Nieśmiertelnemi barwy przyodziewa!

Lwów, w drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich 1855.

tulski i mamy na to świadectwa czynnych w tem natarciu: Piotra Krasińskiego, śp. Niegolewskiego, a wreszcie bylibyśmy sami widzieli jenerała Montbrun, co był prawie tak łatwy do rozpoznania jak Murat, którego zdawał się być naśladowcą w odwadze i prowadzeniu jazdy. Nie można pojąć zkąd się wzięło, że buletyn przypisuje to natarcia jenerałowi Montbrun? ale także robi odszczególnioną wzmiankę o majorze de Segur, którego udziału w tem natarciu nie mogę zaprzeczyć, bo istotnie tam był ranny, ale dla czego i kiedy? tego żaden z naszych oficerów nie wiedział... To tylko mi jest dobrze wiadomo, że po tej rozprawie każdy sztabowy francuski oficer się chlubił, jakoby do tego natarcia był należał... i że ja sam na swoje uszy słyszałem oficerów francuskich mówiących: „Jeżeli się marszałek o mnie pytać będzie, powiedz mu, że jestem z Polakami.“ Istotnie ten czyn jednego szwadronu, prawie w okamgnieniu powodujący ucieczkę całej armii; zacząwszy od Napoleona, zdał się zadziwiającym, i obudził żywe uniesienie we wszystkich obecnych Francuzach, najstarszych żołnierzach; cała piechota marszałka Viktora wykrzykiwała: „niech żyją Polacy“ — a oficerowie będący na koniach, nie mogli się dość nacieszyć towarzyszeniem nam w szeregach. Gdybym wiedział o którym oficerze francuskim, który brał udział w natarciu naszego szwadronu, tem bardziej któryby w niem był ranny, nie omieszkałbym podać ich imiona pamięci narodu polskiego, lecz ani we własnej, ani w kolegów moich pamięci, prócz majora de Segur o nikim nie wiedzieliśmy.

Nie mamy prawa wątpić, że gdyby jenerał Montbrun był którykolwiek szwadron jazdy francuskiej do natarcia w wąwozie na 16 dział prowadził, byłby je zdobył; ale jest czynem dokonanym, że nasz szwadron sam, prawie bez żadnej komendy natarcie i zdobycie wszystkich armat uskutecznił; bo pierwszy dowódzca Kozietulski miawszy konia zabitego, już osobiście musiał ustąpić; najstarszy po nim kapitan Dziewanowski, pomimo ran odniesionych pędził jeszcze nawet na koniu rannym, aż śmiertelnym postrzałem zwalony, musiał i on pozostać; podobnież jak drugi kapitan Piotr Krasiński

kartaczem tak zraniony, że dwa żebra miał złamane i w stanie omdlenia był przez ludzi co konie byli potracili odprowadzony. Porucznicy Krzyżanowski, oficer wielkich nadziei, Rowicki i Rudowski polegli, nie pozostał tylko jeden Niegolewski, co szczęśliwie, prócz straty czapki, nie otrzymał rany, aż dopiero u ostatniej bateryi, którą już w kilku tylko ludzi zdobył. Ztąd okazuje się, że Polacy pędzili, nie potrzebując żadnej komendy, bo pędzili bez przerwy, zagrzani sławą narodu i obecnością oka Napoleona, w którym pokładali całą swą nadzieję i jedyną przyczynę oddalenia się z kraju, żeby mu tym sposobem najlepiej, najskuteczniej służyć. Niewątpił zapewne Napoleon, że się to natarcie Polakom uda, a może chciał ich i doświadczyć... ale radość jego, powtarzane głośno pochwały, udział jaki brał nad rannym jedenaście razy Niegolewskim i innymi rannymi, okazywały jasno, że się takiego natarcia i takiego piorunującego skutku nie spodziewał. Z całego szwadronu mieliśmy 57 zabitych lub ciężko rannych, a reszta albo potraciła konie, albo była lekko ranną, prócz bardzo małej liczby, między którymi był Piotr Wasilewski brygadyer, który ciągle szedł na samym przodzie kolumny, nietknięty i mając konia trochę tylko w chrap odłamkiem granata draśniętego. — Cześć wieczna niech ci będzie polska młodzi! stanęłaś tym czynem na równi z Kirchholmem, na równi z najsłynniejszemi natarciami jazdy polskiej; zostawiłaś wzór jeździe wszystkich europejskich narodów; przykład twój służy za naukę we wszystkich szkołach wojskowych, a nieprzyjaciele sami w różnych językach wspominają o tobie z podziwem i uwielbieniem.

Jeszcze kilka słów o dziełach sztuki uwieczniających pamięć tej bitwy. Vernet wystawił ją w sposobie talentowi jego właściwym, lecz to dzieło nie może być uważanem za obraz bitwy, ale tylko za uwiecznienie pamiątki tego historycznego zdarzenia. Grono osób pamięci przekazanych, składa się: z Pułkownika Krasińskiego, majora Dautancourt, szefa szwadronu Kozietulskiego i czwartego oficera niższej rangi, którym ma być — jak słyszałem — kapitan Dziewanowski, a który wkrót-

ce po bitwie umarł z ran; co najlepiej dowodzi, że to nie jest obraz bitwy, bo bitwę każdą zwłaszcza taką trudno oddać rysunkiem, ale malowaniem artystycznem utrwalającem pamiątkę czynu całemu pułkowi cześć przynoszącego. Da się napomnieć: że nie historycznie pan Vernet wyobraził rzeczonych oficerów, w stroju parady, kiedy oni przeciwnie z d. 30 listopada mglistym i chłodnym, byli wszyscy w odzieży marszowej i po większej części w płaszczach. Nie mogę pominąć, że chirurg pułkowy, który przy armacie zdobytej jest wystawiony opatrujący rannego, jest to świeżo w Paryżu zmarły dr. medycyny Gadowski rodem z Uścia Solnego, uczeń akademii krakowskiej, którego Vernet z takim przedstawił talentem, że każdy znający go, z postaci poznać może... jednem słowem jest to malowanie prześliczne, czyniące Vernetowi chlubę, bardzo piękny od niego upominek narodowi polskiemu, ale nie wystawienie czynu takim jak się odbył. Zjawił się później inny obraz tej bitwy w Paryżu, przez p. Belangé, w którym malarz starał się uniknąć zarzutów czynionych Vernetowi, jakoby był spoetyzował bitwę; istotnie Belangé wystawił natarcie i położenie miejsca w podobniejszym składzie, ale popełnił znowu ten błąd — często powtarzamy — że wyobraża Polaków nacierających, jako ułanów *(Lanciers)* z proporcami, kiedy nasz pułk w r. 1808 jeszcze proporców nie miał, i nie był pułkiem ułanów *(Lanciers)* ale lekkokonnym *(Chevaux-Legers)* *).

Oddawszy tak hołd pamięci, współtowarzyszom poległym i czynowi cześć przynoszącemu narodowi polskiemu, przystępujemy do dalszego opowiadania.

Zaraz po zdobyciu armat przez szwadron służbowy, szef szwadronu Tomasz Łubieński, nastąpił z natarciem powtórnem czyli dalszem, z oddziałem z różnych komend pod ręką będących złożonym na prędce i z całym swoim szwadronem 1szym, czoło pułku składającym.

---

*) Ś. p. Piotr Michałowski byłby najwłaściwiej podał obraz bitwy pod Somo-sierrą ziomkom potomnym, gdyby mu śmierć nie była dzieła przerwała.

Ten oddział dość spory, zbierał jeńców, zabierał bagaże i różne podwody, zdobywał sztandary i kasę wojskową, jak to Niegolewski dostatecznie opisuje w swojej książeczce polskiej, o Somo-sierze w Poznaniu r. 1854 wydanej. Atoli w różnych szczegółach, mianowicie w nazwiskach się myli. I tak nam się zdaje, że z Jeruzalskiego na stron. 20 przerobił nazwisko Jeziołkowskiego... którą to drobną okoliczność wymieniamy jedynie, żeby żyjącym jeszcze kolegom dać sposobność poprawienia pomyłek naszych i przekazania pamiątki potomstwu i rodzinom Polaków co w Hiszpanii przelewali krew, za sławę i nadzieję.

Za szwadronem 1szym postępował cały pułk nasz a następnie i inna jazda francuska, i tak ścigając na prawo i na lewo gościeńca wszelkie ułamki wojska hiszpańskiego, i zabierając je prawie w zupełności do niewoli, zdążyliśmy na noc do Buytrago.

Napoleon pragnął wejść zwycięsko do Madrytu d. 2 grudnia jako w rocznicę koronacyi cesarskiej i bitwy pod Austerlitz. Dla tego zdążała jazda francuska pod dowództwem marszałka Bessières, żeby się jak najwięcej zbliżyć do Madrytu, i obsadziła, a mianowicie nasz pułk, pagórki otaczające to miasto od strony z której przybywaliśmy. W jesieni bywają w tej części Hiszpanii wielkie mgły, taka była poranku przed natarciem Somosierskiem, taka w nocy około Madrytu, do tego stopnia, że podjazdy nasze (patrole) mijały się z hiszpańskiemi nie widząc się wzajemnie.

Dnia 2 grudnia stał cały nasz pułk w szyku rozwiniętym, oczekując na cesarza, który gdy przybył, zatrzymał się na prawem skrzydle i zdawał się oczekiwać deputacyi z miasta. Wtem zjawił się bardzo młody małego wzrostu szwoleżer i prosto przypuściwszy konia do pułkownika Krasińskiego, żywo bardzo zaczął mu coś rozpowiadać. Napoleon zapytał: „Coby to było takiego?“ Pułkownik odrzekł: „że ten młody człowiek z kilkoma żandarmami, zdobył armatę pod samą bramą Madrytu, ale że Hiszpanie z końmi uciekli, on więc zostawiwszy żandarmów na straży tej zdobyczy, przybył czem prędzej prosić o uprząż, żeby tę armatę przy-

wieźć, i sam będąc ranny potrzebuje opatrzenia.“ Dodał przytem pułkownik Krasiński, że to był syn zacnego obywatela jeszcze konfederata barskiego, że z tego względu przyjął go do pułku pomimo zbyt młodych lat i niedostatecznego wzrostu, lecz że to jest młody chłopiec nadzwyczajnie ochoczy i odważny.

Napoleon kazał sobie bliżej przedstawić młodziankowego rycerza, kazał go ozdobić krzyżem legii honorowej i polecił go szczególniej pułkownikowi Krasińskiemu. Jakoż Wilczek odtąd zawsze się odznaczał, ile razy pułk lub oddział do którego on należał, były w boju, i prędko przechodząc od szeregowego przez wszystkie stopnie, doszedł do stopnia kapitana gwardyi. W roku 1815, gdy wojsko polskie już było zreorganizowane w królestwie kongresowem przez w. księcia rosyjskiego Konstantego Pawłowicza, był kapitan gwardyi Wilczek adjutantem jenerała Krasińskiego dowódzcy gwardyi królestwa. Młody jeszcze Wilczek widząc z upadkiem Napoleona przecięte wszystkie swoje nadzieje tak krajowe jak i osobiste, stetryczał, a nie mogąc się z zimną krwią zapatrywać na sposób mongolski w jaki wielki książę obchodził się z wojskiem polskiem, napisał do niego list w którym wyraził: „Że kilka razy był już bliski odjąć mu życie, żeby współziomków i siebie uwolnić od widoku takich zniewag, na które zasłużyć nie spodziewali się; ale że zważywszy, iż skrytobójstwo nie było w usposobieniu Polaków, a że zwłaszcza rodacy jego nigdy nie splamili się zabójstwem króla lub osoby do królewskiego rodu bliskiej, więc woli sam sobie odebrać życie; ale go ostrzega, że nie każdy żołnierz polski będzie tak względnym.“ Po zapisaniu i zapieczętowaniu tego listu, strzelił do siebie z pistoletu i poległ na miejscu.

Co było najsmutniejszem w tej tragicznej śmierci Wilczka, to uwaga, że on był piątym synem, którego tracili sędziwi rodzice i czcigodna siostra pani Mieroszewska Jackowa, żona sekretarza jeneralnego senatu krakowskiego, ponieważ czterech braci starszych było poległo w wyprawach Napoleońskich za sprawę ojczystą. Opisaliśmy dłużej epizod o Wilczku, bo przygodę pod Madrytem

wystawiali niektórzy ziomkowie w sposobie przesadnym. Wilczek był dzielny oficer, rodak gorliwy... ale nie miał nic zadziwiającego dla kolegów i współuczestników w pułku, w którym panowało ubieganie się o cześć i niebezpieczeństwa.

Nim się Madryt poddał, pułk nasz udał się w lewo pod dowództwem Marszałka Bessières, przeciwko hiszpańskiemu jenerałowi Pennas, jak o tem wzmiankuje biuletyn 14 armii. Szło o to, żeby rozbite przez marszałków Lannes i Neya korpusy ścigać, i nie dopuszczać im przystępu do Madrytu. Mieliśmy różne mniejsze i większe rozprawy; tak w nocy, pod Alcala de Henarez odbyliśmy potyczkę z kawaleryą hiszpańską, w której zginął Suryn szeregowy szwoleżer z 1szej kompanii, bardzo lubiony od kolegów, którzy mu nazajutrz usypali mogiłę i ozdobili ją według możności. To dało powód jednemu poecie, unosić się nad męstwem i zapałem naszych włościan, do liczby których z krakowskiego poczytywał Suryna, gdy ten przeciwnie był obywatelskim synem z województwa kijowskiego. Zdaniem naszem jest, że w obecnym stanie wojenności, nie można kampanii robić bez prostego żołnierza celującego siłą fizyczną, którą się znajdzie tylko na wsi; ale nie idzie za tem, żeby się unosić nad nazwiskiem dla tego, że się takowe mylnie brało za gminne; co tu się przydłużej wspomniało dla pociechy rodziny pp. Surynów.

Doszliśmy w kierunku na lewo wyż wyrażonym, aż do miasta Guadalaxara (Gwadalachara), do którego piszący miał zaszczyt pierwszy wkroczyć za uchodzącym nieprzyjacielem. Od tego miasta zwróciliśmy się w prawo na Sacedon i Tarancon, do Aranjuez (Aranchuez), a pod Sta Cruz mieliśmy dość znaczną utarczkę z piechotą hiszpańską, w której między innymi był ranny bagnetem Hermolaus Jordan wówczas porucznik.

Wypocząwszy parę dni w Aranjuez, tem może najpiękniejszem zabudowaniu Hiszpanii, przypominającem regularnością swoją miasto Carlsruhe w Badeńskiem, powołani zostaliśmy do Madrytu, gdzie Napoleon był wszedł od dni kilku. Pułk nasz został umieszczony w dwóch wsiach bliskich stolicy: *Carabanchel de ariva*, *Caraban-*

chel de avajo; to znaczy Karabanczel górny i dolny. Pod Madrytem na Prado odbył Napoleon rewią wszystkich wojsk obecnych, poczem dano nam zaraz rozkaz wyruszenia ku Gwadaramie w kierunku północnym, przeciwko armii angielskiej. Przybywszy pod górę Gwadaramę, którą przebyliśmy byli w lipcu w największe gorąca, doznaliśmy teraz w grudniu zadziwiającego zimna i orkanów zimy. Wicher mroźny, dął śniegiem i piaskiem w oczy i w usta, sposobem nieznośnym, konie się zawracały a jeźdzcy nie mogli sobie dać rady. Pułkownik Krasiński widząc to, zamierzył nocować w miasteczku Gwadaramie i zatrzymał kolumnę, ale jenerał Lefevre Desnouettes dowódzca pułku strzelców konnych gwardyi nadjechał z rozkazem od cesarza, żeby iść dalej i koniecznie przebyć górę. Pozsiadaliśmy więc z koni i plutonami trzymając się pod ręce a konie prowadząc za sobą, tak formując massę, szliśmy pod górę bitym szerokim gościeńcem, nie zważając na zaspy. Pan Thiers który strumieniem swojej wymowy, tę zimową scenę porównywa z zimą pod Eylau, podziwia przejście Napoleona przez Gwadaramę na czele strzelców konnych swej Gwardyi, wszelako nie ten pułk, ale nasz był na czele kolumny. Jeżeli więc była jaka zasługa w tem trudnem przejściu, nam się ona należy, bo my a nie kto inny otwieraliśmy i torowaliśmy drogę cesarzowi, i całemu jego wojsku. Słyszałem że z tyłu za nami wydarzyły się przypadki, iż całe wozy i niektórzy żołnierze z piechoty, porwani byli przez wicher w przepaści Gwadaramy. Jakkolwiek p. Thiers unosi się nad tą zimową zawieruchą, powinien był wiedzieć, że takie zimowe wichry i po innych pasmach gór południowych panują. W przejściu Apeninów od Bolonii do Florencyi, rząd toskański podawał mury zasłaniające podrożnych od gwałtowności wiatru, bez czego, to pasmo byłoby nie do przebycia, a której przezorności w owym czasie na Gwadaramie nie było.

Przebywszy tę górę postępowaliśmy spiesznie tą samą drogą, którąśmy—jak się wyżej powiedziało,—w lecie przechodzili przez Villa Castin, Arevalos, Medina del Campo, Tordesillas. W okolicy tego miasteczka, nasz pułk odłączony został na lewo, dla uważania ruchów ar-

mii angielskiej, do której już się Napoleon zbliżał. Jeżeli mnie stan służby szefa szwadronu Seweryna Fredra nie myli, to mieliśmy rozprawę z kawaleryą angielską, po większej części hanowerską w bliskości wsi Servinianos, której na mapie jaką mam, nie znajduję i nie pamiętam. Z tej wsi zostałem wysłany na patrol przez adjutanta majora Duvivier z plutonem mnie obcym z 5tej kompanii; zostałem wprowadzony przez przewodnika hiszpana w zasadzkę angielską; rozdzieliwszy mój pluton na dwa oddziały, pierwszy wyprawiłem na prawo pod dowództwem wachmistrza Waligórskiego świeżo dekorowanego legią honorową, jakoby za zdobyty sztandar pod Somosierrą, z drugim udałem się trochę na lewo, mając pod sobą wachmistrza Wojnarowskiego, niedekorowanego, ale starego żołnierza. Wkrótce zostaliśmy przez przewyższające siły jazdy angielskiej napadnięci i ścigani; w tem zamięszaniu młodemu Rzuchowskiemu, rodzonemu bratu słynnego pułkownika Krakusów, przekręciło się siodło, cudem prawie udało nam się dwom z Wojnarowskim uratować ślicznego młodzieńca od niewoli angielskiej. Wtem szef szwadronu Tomasz Łubieński z kapitanem Fredro przybyli nam na ratunek i odparli angielską jazdę, gdzie kapitan Fredro został ranny od angielskiego pałasza, a niepospolity szeregowiec Żwan został przez Anglików uprowadzony. Żwan zostawał długo w niewoli angielskiej. Widziałem go wiele lat później w Warszawie; — zajmujące byłyby szczegóły o jego niewoli, jeżeli żyje jeszcze, lub jeżeli takowe rodzinie swojej w piśmie zostawił.

Ledwie co ta utarczka ukończyła się z korzyścią i honorem dla nas, zostaliśmy usilnie powołani do głównej kwatery i na pomoc strzelcom konnym gwardyi, którzy pod dowództwem swego jenerała Lefevre Desnouëtes byli przy przeprawie rzeki „Esla“ nierówną bardzo walkę stoczyli z jazdą angielską, z wielkim swym uszczerbkiem i nauką cierpką, że w sześć lub siedm szwadronów, acz gwardyi konnej francuskiej, nie można się rzucić wpław przez rzekę, na ośmnaście szwadronów angielskich... Tó też jenerał Lefevre Desnouëtes rejterując przez tę samę rzekę, którą był tak zapędliwie przebył, został w niej schwytany przez Anglików i uratowany od utonienia.

Już za późno, czyli po tej potyczce i po cofnięciu się Anglików, przybyliśmy do głównej kwatery, podobno pod Puente de Castro; widzieliśmy tylko wielu dzielnych szasserów potężnie zrąbanych, a mianowicie też szwoleżerów bergskich z gwardyi przybocznej kscia Murata, który szwadronik jako siódmy, należał do zuchwałego natarcia sześciu szwadronów jenerała Lefevra. Strata tego ulubionego oficera mocno obeszła Napoleona, równie jak i to, że jego *Gvidy (Guides)* musiały pierzchać przed Anglikami... przed jazdą angielską!...

Po tej niepomyślnej dla Francuzów potyczce, Anglicy widząc, że mieli przed sobą Napoleona z wybornem wojskiem, rozpoczęli cofanie się do morza, ustępując nagle i niszcząc wszystko, coby za sobą zostawiać byli zmuszeni. Napoleon zaś następował za nimi natarczywie, lecz doznawał znowu wielkiej przeszkody od błot, które się przy zimowej odwilży i rozrobieniu dróg przez dwie armije tak utrudzającemi okazały, że je porównywano z pułtuskiemi błotami, a piechota gwardyi starej nawet ustawała.

Nasz pułk szedł w tym ruchu przodem. Zaraz przybywszy do Puente del Castro, popaśliśmy tylko konie i ruszyli za Anglikami, ku Benevente, przebyliśmy rzekę Eslę w nocy tak ciemnej, że nie mógłem rozeznać dostatecznie brzegu, i wyjeżdżając z wody na miejsce urwiste, przewróciłem się z koniem do rzeki, co nie miało innego skutku złego, jak że do Benewentu przybyłem zmoczony od stóp do głów, podobnie jak wielka część kolegów, bo rzeka w porze zimowej była nieco wezbrana.

Z pod Beneventu postępowaliśmy zawsze w przodzie za Anglikami, aż do Astorgi. Marszałek Bessières, spieszył ile mógł za zastępami Albionu na naszem czele, chciwy sam i z woli swego ukochanego monarchy pokazać dzielność jazdy z pod Marengo, i pomścić się wstydu swoich gvidów i niewoli swego ulubieńca dzielnego jenerała Lefevra Desnouëttes, ale to wszystko było na próżno; piechota zostawała daleko w tyle, a my jazda, nie mogliśmy zdążyć za Anglikami, mieliśmy tylko przykry widok połamanych na drodze wozów i lawet,

podobijanych koni najpiękniejszych, lub którym pałaszem podcięto żyły pod kolanami, żeby nie były do żadnego użytku, a nawet poodejmowano podkowy! Anglicy widać systematycznie odbywali ustępowanie do morza, nie z popłochu, ale z przekonania, że nie mogli sile Napoleona sprostać, więc ustępowali w porządku, z rozwagą, niechcąc nic a nic nieprzyjacielowi zostawić, ażeby nie miał się jakim trofeem angielskim poszczycić. To mi przypomina podobny szczegół animuszu polskiego, o którym nadmieniam, nie wiedząc, czy mi wiek i wźrok pozwoli dalsze wspomnienia o naszym pułku podać pamięci ziomków. W r. 1812, kiedy nasz szef szwadronu Paweł Jerzmanowski przyjął dowództwo tylnej straży pod Insterburgiem i takową tylną straż trzymał aż do Elby, nie dozwalał, żeby nieprzyjaciel najmniejszy szczątek po nim mógł zbierać, a gdy któremu z naszych czapka spadła, szwadron cały robił natarcie na przednią straż nieprzyjaciela, żeby tej czapki zdobyć i zabrać nie mógł. Tak to pułk nasz z gwardyi polskiej kończył osławioną kampanią moskiewską. Tak to wojska krajów cywilizowanych prowadzą wojnę. Do tego dodać należy, że w stosunkach wzajemnych, względem korespondencyi jeńców, zawsze rannych, panowało między Anglikami a Francuzami wzajemne współubieganie się uprzejmości i uczynności — a wszystkie kobiety odsyłano sobie wzajemnie bez żadnej opłaty.

Przybywszy do Astorgi po błotach niesłychanych, jako czoło kolumny odebraliśmy rozkaz równie pierwsi wracać nazad do Valladolid... nadeszły były wieści do Napoleona o zbrojeniu się nowej koalicyi przeciwko niemu, chcącej korzystać z jego tak oddalonego pobytu w Hiszpanii. Nie mogliśmy pojąć co znaczył ten rozkaz nam dany maszerowania spiesznie do Valladolid. Ale zagadka wkrótce się rozwiązała.

Pod Valladolid mieliśmy w każdym razie niejaki czas wypocząć. Na ten cel przeznaczono nam dużą wieś, czyli miasteczko Laguna zwane. Adjutant pułkowy porucznik Bogucki, wysłany został z furyerami ośmiu kompanij, dla przygotowania kwater w Lagunie. Wyprawiwszy furyerów, sam pozostał trochę w Valladolid dla ogo-

lenia brody, po tylu dniach fatyg i słoty. Wyjechawszy za miasto, w pewnem oddaleniu, lubo droga była prosta i szeroka w równinie, przyszło mu na myśl, spytać się o drogę dwóch chłopców hiszpańskich jadących na osiełkach. Wieśniak udał że nie dosłyszy. Bogucki sam wysokiego wzrostu i jadący na rosłym koniu pochylił się ku Hiszpanowi, a wtenczas tenże ugodził go nożem w bok, drugi chłop zajechał go z prawej strony i począł zrucać z konia, jednem słowem ci dwaj chłopi hiszpańscy zamordowali zacnego oficera, nie spodziewającego się takiej zdrady; zabrali konia jego, obdarli go ze wszystkiem, nie zostawiwszy w kałuży krwią zafarbowanej, tylko kawałek ceraty z czapki. W niewiele godzin potem pułk nadchodząc, poznał Boguckiego na środku drogi leżącego, obnażonego, krwią oblanego; można sobie wystawić rozjątrzenie pułku na ten widok! Ledwie że pułkownik Krasiński i major Delaitre co tylko do pułku z Francyi przybyły, zdołali wystawić naszym szwoleżerom, że mieszkańcy Leguny nie byli winnymi tego morderstwa; żołnierze chcieli koniecznie Lagunę spalić i mieszkańców śmiercią ukarać. Ale major Delaitre chcąc się pułkowi przypodobać, wziął z sobą dwieście koni ochotnika i póty w pobliskich wsiach krążył, póki dwóch zabójców porucznika Boguckiego nie ujął: z tych jeden został rozstrzelany w Lagunie, a drugi z rozkazu cesarza w Valladolid publicznie hiszpańskim sposobem tracony, to jest: siedzący pod pręgierzem duszony.

Wypocząwszy kilka dni w Lagunie dostaliśmy rozkaz udania się pospiesznego z Valladolid na drogę ku Francyi, i rozstawiono nas oddziałami do eskortowania cesarza. Wtenczas to zjawił się w pułku szef szwadronu 3go Ignacy Stokowski i wiadomość rozeszła się nowej wojny za Renem. Gdy Napoleon przyjechał do Francyi, pułk nasz zgromadził się znowu blisko granic francuskich, regiment drugi pod dowództwem gros-majora Dautancourt w Villa Franca za Vittorią, a regiment pierwszy pod dowództwem pułkownika Krasińskiego w Toloza. W tych dwóch leżach przebyliśmy aż do połowy lutego 1809, po czem szliśmy spokojnym pochodem do Paryża, wyprzedzając cały oddział czyli korpus gwardyi wraca-

jący z Hiszpanii. Napoleon przyjął nas w Paryżu ze zwykłą swoją dla Polaków gościnnością, kazał nam otworzyć koszary *de l' Ecole militaire* i rozgościć się w kwaterach ulubieńców swoich strzelców konnych gwardyi. Tam złączył się z nami przybyły z Polski szwadron ochotników i wyborowych żołnierzy do pokrycia strat, które nasz pułk poniósł w Hiszpanii, a mianowicie w trzecim szwadronie pod Somo-sierrą.

Szwadron ten przybył z Warszawy pod dowództwem kapitana Kozickiego z porucznikami Hajmansem i Jaraczewskim i rozebrany został po wszystkich ośmiu kompaniach pułku, mianowicie do 3ciej i do 7mej; — ja zaś odebrałem przeznaczenie do trzeciej kompanii, która była utraciła niemal wszystkich oficerów swoich, a Stanisław Roztworowski został jej kapitanem w miejsce Dziewanowskiego.

Po złączeniu się całego naszego pułku ze szwadronem z Polski przybyłym i uzupełnieniu w koszarach *Ecole militaire* naszego rynsztunku, umieszczeni zostaliśmy na przedmieściu Vaugirard, oczekując na rewią Napoleona, którą cały nasz pułk połączony odbył na podworzu *du Caroussel* przed Napoleonem, pieszo nas i poszczegółowo lustrującym, i do nagród zasłużonych zapisywać nakazującym.

Tak się zakończyła pierwsza wyprawa wojenna pułku lekkokonnego polskiego do Hiszpanii, w roku 1808 odbyta.

Pisałem w Siedliszowicach, w czerwcu 1858 r.

WSPOMNIENIE IV

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA PIERWSZEGO.

Kiedyśmy pierwsze wspomnienie nasze powierzali drukowi, powodowani bolesnem uczuciem, iż nam się zdarzyło czytać pojedyncze urywki, nietylko pułkowi polskiemu gwardyi Napoleona I sprawiedliwości należnej nie oddające, ale mylne i obraźliwe dla tego pułku wyobrażenia przekazujące; nie myśleliśmy, żeby nasz wiek sędziwy, wźrok i pamięć osłabione, narażone być miały jeszcze na dalsze zajmowanie czytelników dziejami pisanemi oschle, bez żadnej okrasy stylu, zalecającemi się tylko prawdą i sumiennością naocznego świadka. Lecz kiedy odbieramy ciągle odezwy żyjących jeszcze współtowarzyszów broni, dopominających się sprostowania lub dopełnienia, a korespondenci Czasu i innych dzienników zachęcają nas do dalszego i obfitszego dostarczania wiadomości z owych czasów świetnych, a mało znanych; gdy zwłaszcza uważamy, że w pamiętnym roku 1809 mało kto z ziomków brał udział w kampanii nad Dunajem, prócz oddziału

naszego 300 koni w bitwach pod Aspern i Esslingen, a całego pułku pod Wagram; zatem *quanquam animus... luctu... refugit*, po raz czwarty ponawiamy opowiadanie nasze.

A najprzód, kiedyśmy zamierzali zadość uczynić wezwaniu naszego byłego pułkownika, jenerała Wincentego Krasińskiego, doszła nas wiadomość o jego zgonie. Wypełniając więc jego polecenia, winniśmy zamieścić razem i wzmiankę o jego osobistości. Mianowanie Wincentego Krasińskiego pułkownikiem naszym, podaliśmy już w 1szem Wspomnieniu. Później został on stopniowo mianowany jenerałem bygady, dywizyi, aż w końcu w Fontainebleau naczelnym dowódzcą wszystkich wójsk polskich, do chwili ostatniej wiernemi Napoleonowi I pozostałych, na czele których wrócił zaszczytnie Krasiński do Warszawy, poniósłszy ciężką ranę od wójsk pruskich w Kotbus. — Wincenty Krasiński umiał zaprowadzić w pułku sobie powierzonym duch braterstwa koleżeńskiego; ożywiony najchlubniejszemi uczuciami honoru i poświęcenia dla sprawy narodowej, którą sprawiedliwość oddają mu wszyscy jego dawni podkomendni jeszcze żyjący; udział osobisty jaki brał w licznych bojach pułku, częścią już podaliśmy w opowiadaniu naszem, częścią będzie o nim stósowna wzmianka w dalszych opisach późniejszych kampanij. Będąc pokrewniony z linią podlaską imienia Załuskich, przyjął mię życzliwie do swego pułku zaraz przy formacyi w kwietniu 1807 roku i ciągle zaszczycał mnie swojemi względami. W r. 1813 w natarciach jazdy pod Reichenbach, nazajutrz po bitwie pod Bautzen, miałem szczęście oddać mu osobistą przysługę, jakoż zostawałem z nim w ścisłych stosunkach, aż do d. 29 listopada 1830 r. Po długiem wzajemnem milczeniu, gdy zacząłem pisać wspomnienia o pułku jego byłego dowództwa, przesłałem mu takowe za pośrednictwem mojej małżonki, na co pod 8 kwietnia 1853 r. otrzymała własnoręczne jenerała wyrazy następujące: „Z najwyższą wdzięcznością odebrałem list jej z przyłączoną książeczką, która mi błogie czasy przypomniała; dzięki mężowi jwpani Dobrdzki, że nie zapomina dawnych przyjaciół i towarzyszów broni;

przypisane do książeczki pieśni *), rozczuliły mnie i jemu winienem moment pociechy.“

Będąc ubiegłego lata nad Renem, wszedłem w korespondencyą tyczącą się pamiątki po księciu Dominiku Radziwille majorze naszego pułku, zmarłym nagle w Lauterecken, w skutek kontuzyi otrzymanej w bitwie pod Hanau r. 1813. Pierwszy raz zgłosiłem się tam do jenerała Krasińskiego w tej sprawie tyczącej się wspólnego pułku i honoru narodowego, dołączając mu kopią listu księdza proboszcza katolickiego w Lauterecken, z prośbą, żeby jenerał uczyniwszy już tyle dla pamięci księcia Dominika Radziwiłła, nie przestawał uwieńczyć swej fundacyi o ile możności — hojniejszem wsparciem, szczególniej za przyczynieniem się księcia Wilhelma Radziwiłła, swego siostrzana, a to z zapisów na cele dobroczynne zdziałanych przez pierwszą małżonkę jego ojca, z domu Morzkowskich.

Ponieważ ten przedmiot połącza razem ciekawe wspomnienie o księciu Dominiku Radziwille, oprócz tego własnoręczne upomnienie się jenerała Krasińskiego o sprostowanie pomyłki mojej zaszłej w wzmiance o jego familii, należącej do konfederacyi barskiej,—gdy więc mamy powód sądzenia, że te szczegóły z wielu względów obchodzić mogą czytelników, umieszczamy tu w całej rozciągłości tę dość obszerną korespondencyą. Oto jest dosłowny odpis listu jenerała Krasińskiego do mnie:

1) „Prócz fundacyi mej kościołowi w Lauterecken, zdaje mi się, żem zrobił równie municypalności. Ciało księcia Dominika przyprowadziłem do Warszawy i złożyłem u Kapucynów, serce w marmurowej trnmience w kościele w Krasnem, — wnętrzności są w Lauterecken.

2) „Znam księcia Wilhelma Radziwiłła, widziałem go w Dreznie, i napiszę do niego o fundacyi księżnej Radziwiłłowej pierwszej żony jego ojca księcia Alexandra, — sądzę, że spełni polecenie jwgo jenerała.

3) „Racz jw. jenerale kazać poprawić pomyłkę, że: marszałek konfederacyi był mym ojcem, a biskup kamieniecki stryjem; kiedy, pierwszy był ojcem mego

*) Pieśni w pułku śpiewane.

ojca zmarłego r. 1790, posłem na walnym sejmie, a biskup bratem rodzonym marszałka konfederacyi barskiej Michała Hieronima Krasińskiego podkomorzego rożańskiego.

4) „Jam złożył ciało księcia Dominika, sądząc że jego córka księżna Wittgenstein w Nieświeżu pochowa go między zwłokami jego naddziadów; lecz majątek strwonili, o nim zapomnieli. Jak tylko skończę kościół w Opinogórze, gdzie moja żona poczciwa *) jest w kaplicy pochowana, to ciało księcia Dominika złożone w ołowianej trumnie, tam sprowadzę, byśmy w jednem miejscu byli pochowani.

„Ośmielam się prosić, byś raczył złożyć me uszanowanie jwej jenerałowej, życzenia polepszenia zdrowia, i przyjął zaręczenie wysokiego poważania od dawnego towarzysza broni, przyjaciela i sługi. *Krasiński.*“

Jeżeli z tego listu okazuje się już życzliwe usposobienie jenerała Krasińskiego, dla przechowania pamiątki księcia Dominika Radziwiłła, udowodni się to jeszcze więcej z następującego listu do nas pisanego z dołączonemi alegatami.

Oto jest tłómaczenie listu w niemieckim języku skreślonego:

„Jwpanie! Przyjazne pismo pańskie było mi już przed tygodniem doręczone; bardzo przepraszam, że się tyle opóźniam z dostarczeniem jw. panu objaśnień żądanych o księciu Dominiku Radziwille.

„Po bitwie hanauskiej, w ktorej kula armatnia rozerwała czapkę księcia Radziwiłła, przybył tenże książę d. 10go listopada 1813 tu do Lautereeken jeszcze w dość dobrym stanie zdrowia, z korpusem zostającym pod dowództwem jw. jenerała Krasińskiego, i zajął kwaterę w oberży pod koroną; ale nazajutrz d. 11go zmarł książę nagle na apoplexyą. Jak dalece bolesnem musiało być przerażenie, którego doznali przyjaciele i towarzysze broni, z tego tak niespodziewanego zgonu księcia, po którym Polska tyle sobie obiecywać mogła, okazuje się z tej okoliczności, że podając na municypalności akt śmierci, zapomniano wyrazić wieku zmarłego. Z tego

*) Radziwiłłowna z domu. (P. A.)

co ja słyszałem, miał książę dopiero liczyć lat dwadzieścia.

„Jenerał hrabia Krasiński, który jak mi mówiono, miał być szwagrem księcia, poczynił rozporządzenia, mające na celu uwiecznienie pamięci zmarłego, a które oboje w odpisach mam zaszczyt jwpanu udzielić.“

Jm. ksiądz Katterfeld oczywiście nie był jeszcze proboszczem w Lauterecken w r. 1813, albowiem bierze księcia Alexandra Radziwiłła adjutanta i szwagra jenerała Krasińskiego, który mógł mieć wówczas lat 20, za księcia Dominika, o którym jest wiadomo dowodnie, że się rodził r. 1785, a zatem miał lat 28 gdy skończył żywot chwalebny w Lauterecken, skutkiem kontuzyi odniesionej w zaszczytnej szarży na czele znacznej części pułku pod Hanau.

Ksiądz Katterfeldt pisze dalej:

„Ciało zmarłego księcia zostało otwarte; wnętrzności w naczynie cynowe włożone i w tutejszym kościele pochowane. Ciało zaś nie było tu pogrzebione, miało być zabrane do Paryża, a serce do Polski. Ponieważ tylko wnętrzności zostały tu pochowane, z tego powodu i akt śmierci księcia nie jest w księgi kościelne wciągnięty; nie mogę więc jwpanu przesłać tylko akt w tej mierze w municypalności zeznany, który tu pod znakiem załączam; aniwersarz śmierci młodo zmarłego księcia odprawia się corocznie w tutejszym kościele dnia 11go listopada z rana i w południe, według przepisanego przez fundusz porządku; ale dziewczyna protestancka od tat kilku już nie przychodzi na uroczystość żałobną, ponieważ pastor protestancki mniema, że przez uczestnictwo w kościele katolickim do żałobnego nabożeństwa i do mszy świętej, popadłaby w niebezpieczeństwo i zaparcie swojej wiary; z tego powodu ma pastor obchodzić osobne nabożeństwo żałobne w swoim zborze.

„Owoczesne okoliczności wojenne, w których jenerał hrabia Krasiński może wystarczającym zapasem pieniężnym nie był zaopatrzony, może były przyczyną, że na utrwalenie pamiątki księcia Radziwiłła, żaden pomnik widzialny wystawiony nie został. Ale takowy i to znamienity, stał się usiłowaniem małej i ubogiej katolickiej

parafii Lauterecken. Ponieważ przed dwunastu laty zaszła potrzeba wymurowania nowego kościoła, udano się pismem uszanowania pełnem do jw. jenerała hr. Krasińskiego do Petersburga, w którem go proszono o łaskawe wsparcie budowy kościoła, wyrażając: że nowy kościół będzie dedykowany ś. Dominikowi patronowi zmarłego księcia Radziwiłła, a to, w celu uświetnienia tem więcej pamiątki tego księcia.

„Ale na to pismo nie otrzymano odpowiedzi. Wszelako budowa kościoła została przedsięwziętą, i kościół od r. 1853 stoi ukończony. Wielkie bardzo ofiary ponieśli tutejsi nieliczni parafianie, i przez długie lata będą jeszcze opłacać odsetki od zaciągniętych na ten cel kapitałów, a zwłaszcza na wystawienie organów i trzech nowych dzwonów, z których pośredni, będzie miał imie patrona ś. Dominika; co wszystko wymaga jeszcze wielkich kosztów. Najzbawienniejszą pamiątką dla nieboszczyka byłoby, gdyby wspaniałością jego familii i wysokich krewnych, dana mi była możność, poruczyć wychowanie i naukę młodzieży żeńskiej płci, zakonnicom albo siostrom szkolnym *(Schulschwestern)*, do czego daj Boże! błogosławieństwo.“

Tu się opuszcza część listu mniej zajmująca; kończy dalej piszący:

„Siebie i parafią moją łasce i względom jwpana poruczając i Pana Boga o zdrowie i powodzenie dla niego prosząc, pozostaję z głębokiem uszanowaniem, jw. pana najniższym sługą. Lauterecken d. 4 sierpnia 1358. Józef M. Katterfeld, Dziekan.“

Do tego listu alegat w niemieckim języku, którego tłómaczenie:

„Przez darowiznę Wincentego Korwina Krasińskiego, hrabiego cesarstwa, jenerała brygady, dowódzcy korpusu, podkomorzego jck. mości, komandora legii honorowej, kawalera różnych orderów, wielkiego krzyża orderu polskiego ś. Stanisława — z dnia 12 listopada 1813, przez dwóch w Lauterecken mieszkających notaryuszów przyjętą, zapisał tenże kościołowi katolickiemu w Lauterecken sumę pięciuset franków, którą tenże zaraz na terminie ś. Marcina, atoli w papierach zwanych: *traites*

cesarskiego skarbu, wyliczył, celem złożenia jej do wymienionego kościoła, który tej sumy kapitalnej pozbywać nie może, ale ma prawo administrować nią według przepisów kościelnych.

„Darowizna ta nastąpiła pod warunkami, których się kościół podejmuje:

1) „Że kościół w mowie będący, raz na zawsze każdego roku d. 11go listopada mszę i kazanie za duszę jo księcia dominika Radziwiłła, kawalera wielkiego krzyża orderu ś. Huberta, oficera legii honorowej, kawalera krzyża wojskowego polskiego i ś. Jana jerozolimskiego, książęcia na Nieświeżu i Ołyce, majora 1go pułku szwoleżerów ułanów polskich gwardyi cesarskiej — odprawiać będzie.

2) „Że tegoż samego dnia 11go listopada, każdego roku, w pół do trzeciej po południu, jako godzinie jego zgonu, psalm *De profundiis* i *Miserere* odprawionym być musi.

3) „Że w kazaniu o nieboszczyku zawsze powinna być mowa, który był synem jgo księcia Hieronima Radziwiłła, wielkiego podkomorzego w. ks. litewskiego, a matka jego była księżniczka rzeszy niemieckiej *Thurn et Taxis*; urodzony był w Nieświeżu w Polsce, a zmarł w Lauterecken na apoplexyą d. 11go lutego 1813 o godzinie 3ciej popołudniu, przybywszy tu dnia poprzedzającego tegoż samego miesiąca. Tenże książę straciwszy w 18m roku życia swego rodziców, objął zarząd swego majątku, który mu przynosił rocznych odsetków sześć milionów franków.

„Jako siostrzeniec imperatorowej rosyjskiej, został on u dworu St. petersburgskiego przedstawiony, gdzie go obsypano odznaczeniem i rangę militarną pierwszego rzędu obiecywano, czego on wszystkiego odmówił.

„W chwili kiedy na horyzoncie politycznym zajaśniała nadzieja wskrzeszenia Polski, wystawił pułk jazdy swoim nakładem, który sam prowadził z odznaczeniem na drodze honoru, w bitwach pod Witepskiem, w której był ranny od kuli karabinowej w piersi, pod Smoleńskiem, pod Możajskiem i Woronowem.

„Następnie został majorem w 1m pułku szwoleżerów ułanów polskich gwardyi cesarskiej, w którym się kilkakrotnie okrył sławą, a mianowicie w przeprawie pod Hanau, gdzie mu kula armatnia czapkę na głowie rozerwała.

„Ukończył tę kampanią z honorem i odznaczeniem.

„Postępki jego i prowadzenie się, są bez zarzutu i bez nagany; taką jest największa pochwała od przyjaciół opłakujących go.

„Takowy akt darowizny, przez notaryuszów Gerwinus i Martini przyjęty został.

„Za wierność odpisu.

„Lauterecken d. 3go sierpnia 1858.

(m. p.) *„Józef Maria Katterfeld*

katolicki pleban miejscowy, dziekan kapituły.“

Drugi alegat, tłómaczenie z niemieckiego:

„Przez darowiznę z d. 13 listopada 1813 przed notaryuszami zdziałaną, przeznaczył jw. jenerał hrabia Krasiński, że katolicka i luterska parafia w Lauterecken, każdą sumę dwóchset franków na korzyść dwóch ubogich dziewcząt posiadać mają, którą to sumę zaraz na terminie ś. Marcina wypłacił dla doręczenia takowych rachmistrzom obu fabryk, a to w 100 sztukach po 28 sztybrów holenderskich.

„Takowa darowizna nastąpiła pod warunkami nieodmiennemi:

1) „Że dnia 11go listopada r. 1814, na pamiątkę dawcy, i na ozdobę nabożeństwa żałobnego za duszę jo. księcia Radziwiłła, który zmarł w Lauterecken dnia 11go listopada 1813 roku, na przedstawienie miejscowego duchowieństwa i municypalności, dwoje dziewcząt najuboższych i najcnotliwszych, ale którychby i rodzice byli nienagannego życia, mają być wybrane, i do kościoła wprowadzone; gdzie pierwszego roku, przy zgromadzeniu wszystkich obywateli, mających prawo żądania, aby wybór dziewcząt sprawiedliwie był dopełniony, każda z tych dziewczyn otrzymała wieniec kwiatów nieśmiertelnikami i niezapominajkami zwanych upleciony, z szar-

fami ze wstęg granatowych i karmazynowych, które nakształt wstęgi orderowej od prawego ramienia do lewego boku zawiesić mają.

2) „Że obie te wybrane dziewczyny, każdego roku, aż do ich śmierci, pozostaną w panieńskim stanie lub za mąż pójdą, od rachmistrzów wyż wymienionych kościołów, każda z nich odsetki od kapitału właściwemu kościołowi zapisanego, w sumie 10 franków, jako dożywotni przychód (renta) pobierać ma, i aż dopiero po jej śmierci, do nowego wyboru przystąpiono być ma, pod warunkiem, żeby cnotliwemi pozostawały.

3) „Na przypadek zaś gdyby te obie dziewczyny, lub jedna z nich, odstąpiły od życia przykładnego, a miały się puścić na gorszące i bezecne, w takim razie odpadną od powyższego dobrodziejstwa i wybór nowy ma nastąpić.

4) „Że te obie tak obrane i uwieńczone dziewczyny, obowiązane są corocznie na d. 11go listopada do stawienia się w kościele lautereckim i towarzyszenia obrządkowi żałobnemu na pamiątkę jo. księcia Dominika Radziwiłła.

5) „Przytem jest uważane: że fabryki obu wyznań, mają obowiązek zarządu i czuwanie nad całością rzeczonych funduszów, i kapitałów tych w żadnym razie pozbywać nie mogą, i że gdyby w następności czasów rząd krajowy tę fundacyą chciał znieść, albo te sumy na swój użytek obrócić, w takim razie wymienione sumy do familii Krasińskich powrócić winny.

6) „Że te wieńce i te szarfy podawane być mają w czasie obrzędu żałobnego w imieniu jw. jenerała hrabi Krasińskiego i jo. księcia Dominika Radziwiłła, gdyż wolą dawcy jest: żeby ta uroczystość stała się wieczystą i służyła do rozkrzewienia cnoty.

„Darowizna jest podobnie przyjęta przez notaryuszów *Martini* i *Gerwinus*.

„Za wierność odpisu
w Lauterecken d. 3go sierpnia r. 1858.
(m. p.) „*Józef Maria Katterfeld*
„katolicki miejscowy pleban, dziekan kapituły.“

Alegat trzeci, Lauterecken, nr. 24, wyciąg, tłómaczenie z francuskiego:

„Z ksiąg zejścia w wójtowstwie *(mairie)* Lauterecken r. 1813.

„Roku tysiąc ośmset trzynastego, dnia trzynastego listopada, o godzinie drugiej popołudniowej, przed nami Henrykiem Müller wójtem *(maire)* w Lauterecken, urzędnikiem stanu cywilnego gminy Lauterecken, wójtowstwo, powiat *(canton)* Lauterecken, *departament du Mont Tonnerre*, — stawili się Bernhard Henrich austernik pod koroną złotą, wieku (24) dwudziestu czterech lat, i Piotr Fischer kupiec poszczególny, wieku trzydziestu pięciu lat, oba ani krewni, ani powinowaci, w Lauterecken zamieszkali, którzy zeznali przed nami: że jedenastego dnia, miesiąca listopada, tysiąc ośmset trzynastego roku, o godzinie trzeciej popołudniu, zmarł w Lauterecken w domu pod nr. 32, pod koroną złotą, jaśnie oświecony książę Dominik Radziwiłł, kawaler wielkiego krzyża orderu ś. Huberta, oficer legii honorowej, kawaler krzyża wojskowego polskiego i ś. Jana jerozolimskiego, książę na Nieświeżu i Ołyce, major 1go pułku lekkokonnego polskiego ułanów gwardyi cesarskiej, syn Hieronima księcia Radziwiłła wielkiego podkomorzego w. ks. litewskiego i nn. księżniczki rzeszy niemieckiej *Turn et Taxis*, i zeznawający podpisali z nami niniejszy akt po przeczytaniu im onego.

„Na akcie tym są podpisani: P. Fischer, B. Henrich i H. Müller.

Za rzetelność wyciągu.
Lauterecken d. 2go sierpnia 1858.
Urząd burmistrza
(m. p.) *Lehre.*

Tym sposobem podając do powszechnej wiadomości własnoręczny list zmarłego jenerała Krasińskiego, zawierający poprawkę zaszłej w przytoczeniu konfederacyi barskiej pomyłki i fundacye jego, ustalające pamięć naszego majora najmajętniejszego z rodaków, wywiązałem

się, jak mniemam, w sposób bezstronny a chlubny dla dowódzcy pułku niegdyś gwardyi Napoleona Igo.

Uczyniwszy temu obowiązkowi zadość, przystępujemy do oddania sprawiedliwości szanownemu koledze, byłemu kapitanowi w naszym pułku Wincentemu Tedwenowi, który się pismem do nas upomina, i słusznie. — Mniemamy, że i ten ustęp, acz przydłuższy, będzie z przyjemnością czytany, jako zawierający wyobrażenie czasów, nie tak bardzo oddalonych, a między rodakami mało znanych.

W pierwszem wspomnieniu naszem o pułku gwardyi polskiej zamieściliśmy rodzaj protestacyi przeciwko opowiadaniu o bitwie pod Somo-sierrą, jakoby nie pochodziło wprost z ust kapitana Tedwena; sądziliśmy albowiem, i powtarzamy jeszcze teraz to zdanie, że szanowny dawny kolega nie tak opowiadał o tem słynnem zdarzeniu, jak to wypisał literat, który jakoby był opowiadaniu obecny, i miał takowe do swych notat skreślić, a jakie było wydrukowane nr. XV Czasu z d. 19 kwietnia 1855. Ponieważ tu już nietyle chodzi o rzecz jak o osobistość dawnego kolegi, umieszczamy jego reklamacyą prawie całkiem i własnemi jego słowy, jak następuje:

„W wspomnieniach z pułku gwardyi polskiej stoi: choćby Tedwen i miał był kontrolę w czapce, to chyba swego plutonu, bo nigdy nie był wachmistrzem szefem, a choćby i był, toby był tylko jednej kompanii, a w texcie tygodnika stoi: kontrola szwadronu którą miałem w kaszkiecie.

Na to kapitan Tedwen tak odpisuje:

„Prawda, nie byłem wachmistrzem szefem, był nim w kompanii, to jest 7ej, Wincenty Dobiecki, ale ten na kilka dni przed bitwą Somo-sierry awansował na oficera, a ja, jako starszy po nim, robiłem służbę wachmistrza szefa, musiałem mieć kontrolę kompanii czyli szwadronu bojowego, a tę kontrolę miałem w czapce (zwyczajny magazyn żołnierza). W szarży tej byłem ranny, czapkę miałem postrzelaną, a w niej i kontrolę pociętą. Kiedy mnie i różnych rannych wzięto do ambulansu dla

odwiezienia do lazaretu, wachmistrz Dąbczewski*) w starszeństwie następujący, dopytał się do mnie, i żądał kontroli szwadronu (kompanii) odemnie. Odpowiadam mu: że mam, ale nie wiem czy z niej czego dojdzie; i od niego dowiedziałem się o poległych kolegach".

Tyle słów Tedwena co do tej części jego reklamacyi.

Dalej na stronicy 26 pierwszego wspomnienia naszego stoi: „również nie wypada nam zaprzeczać zupełnej możności, żeby kolega Tedwen, nie miał w kilka dni potem rozmowy z majorem jeneralnym marszałkiem księciem neufchatelskim itd. itd.".

Na te nasze wyrazy, tak odpisuje kapitan Tedwen: „Z marszałkiem Berthier nigdy nie mówiłem, ale z marszałkiem Bessières, i to dopiero w r. 1811.— Już byłem porucznikiem Iej klasy, odprowadzałem czyli eskortowałem marszałka z Valladolid do granicy Francyi; w której to eskorcie był batalion pieszej gwardyi i ja z oddziałem pułku naszego składającym się z przeszło 50 koni, był ze mną porucznik IIej klasy Fichnowski. Na pierwszym marszu z Valladolid, na pół stacyi gdzie miał być nocleg, kazał marszałek zatrzymać się całej kolumnie dla wypoczęcia. Ja z moim oddziałem maszerowałem zaraz za jego karetą; wysiadł marszałek, podano śniadanie, na które ja byłem zaproszony. Po śniadaniu marszałek przeszedł się pomiędzy szeregami żołnierzy; widząc, że moi żołnierze nie jedzą, zapytał mię: Dlaczego twoi żołnierze nie jedzą? Odpowiedziałem, że nie mają co; racye wczorajsze wczoraj zjedli; dziś co odbiorą, będą wieczorem jedli. Marszałek na to: Ja chcę żeby jedli, każ im dać podwójne racye, żeby na odpoczynku mieli się czem posilić. Stósownie do danego rozkazu, poleciłem dać racye podwójne, to jest: mięsa funtów dwa i dwie butelki wina na żołnierza, z rozkazem, żeby jednę racyą zjedli na kwaterze, a drugą żeby mieli przygotowaną na następny odpoczynek; co zostało wykonane. Na-

*) Miło nam tu wyrazić imie Dąbczewskiego dawnego kolegi, jednego z najwaleczniejszych, i podać go pamięci ziomków i rodziny jego. (P. A.).

zajutrz marsz podobny, odpoczynek na wpół drogi. Marszałek przeszedł się między szeregami, zastał żołnierzy jedzących, z czego był zadowolniony. Tego samego dnia przy obiedzie był w bardzo dobrym humorze, zaczął opowiadać obecnym jenerałom i szabs-oficerom składającym jego świtę, o waleczności naszego regimentu, mówiąc: że to są jego elewy, jego dzieci. Do mnie potem zwrócił mowę: Ja wam pokazałem wąwóz Somo-sierry, zrobiłem sławę waszemu narodowi i sobie.

„Jakoż istotnie marszałek Bessières przyjechał był przed front naszego szwadronu (3go), dał rozkaz szefowi Kozietulskiemu do szarży i sam poskoczył kilkadziesiąt kroków naprzód, dla wskazania co mamy robić. Dalej mówił do otaczającej go świty:

„Cesarz dał mi rozkaz wieczorem, abym nazajutrz o brzasku dnia rozpoznał pozycye Hiszpanów; co uskuteczniłem, i zdałem raport najskrupulatniej. Cesarz rozkazał: aby dać na służbę szwadron szwoleżerów polskich, i że ten zdobędzie pozycyą.— Pierwszy raz w życiu ośmieliłem się zrobić uwagę cesarzowi: że niepodobna by kawalerya wzięła tę pozycyą. Cesarz odpowiedział: *laissez faire aux Polonais!* (zostaw to Polakom!).

„Są to słowa marszałka Bessièra, który nie mnie ale oficerom francuskim składającym jego świtę, w przytomności mojej opowiadał. Te słowa wbiły się dobrze w moją pamięć, byłem młody, ledwo 23 lat liczący, chciwy sławy regimentu i sławy całego narodu. Nigdy w życiu nieprawdy nie mówiłem; dziś starzec zgrzybiały — bo przeszło 70 lat liczę—stoję nad grobem, nie śmiałbym splamić ust moich, zwłaszcza że mam dzieci,— niechciałbym im nieprawdy w puściźnie zostawić.“

Cierpki ten żal kolegi nie spadnie na nas; artykuł nasz, o którym kapitan Tedwen do nas pisze, nauczy jego i czytelników, przeczytany z uwagą, żeśmy sprzeczali się z literatem, co sobie przywłaszczył opowiadanie weterana z epoki bohaterskiej, a czyniąc takowe przesadnem i mylnem, obudził nasze pióro, właśnie w tym przedmiocie czci pułku i narodu, który ożywiał kolegę Tedwena, tak jak nas wszystkich wówczas współtowarzyszów broni..... Bezimienny literat, który bez wąt-

pienia w dobrej myśli chciał się powszechności przysłużyć artykułem o Somosierze, i o jednym z jej bohaterów Wincentym Tedwenie, nieobeznany z orszakiem pierwszych wojowników okolających Napoleona, zacytował marszałka Berthier zamiast Bessièra!..... i rozmowę jego z Tedwenem, już natenczas porucznikiem Iej klasy, dowódzcę jego eskorty z r. 1811, wydrukował, jakoby miała miejsce z marszałkiem Berthier, majorem jeneralnym, w kilka dni po bitwie pod Somo-siera.... To nas starych żołnierzy naucza, jak nam ostrożnymi trzeba być w opowiadaniu dziejów ówczesnych przed naszą młodzieżą, bo słowo źle dosłyszane, gorzej jeszcze zrozumiane, czyni czasem opowiadanie śmiesznem lub podejrzanem. Ale w obecnym razie, posłuży ta okoliczność czytelnikom na korzyść, że z pod pióra kolegi Tedwena dowiadują się o szczegółach, którychby od nas nie byli powzięli, a które noszą cechę naszego pułku. I tak kapitan Tedwen dalej pisze.

„Druga okoliczność w tym samym marszu. Nie pamiętam czy nazajutrz po powyższej rozmowie marszałka, czy dnia trzeciego, byliśmy zaatakowani przez Hiszpanów; marszałek kazał sobie podać konia,—ja młody chłopiec bez doświadczenia, a ośmielony dobrocią marszałka, zbliżam się do karety, i mówię: „Toby za wiele honoru było dla Hiszpanów, żeby marszałek cesarstwa siadał na koń; jest nas tu dość, Hiszpany nie ośmielą się zbliżyć do nas.“ Na to marszałek odpowiedział: „Tak mówisz?“ i spokojnie został w powozie. Porucznik Fichnowski wyjechał z plutonem rozpoznać nieprzyjaciela, Hiszpany się zaraz zrejterowały. My spokojnie ten marsz i dni następnych, aż do granic Francyi odbyliśmy. Kwatera moja na każdym noclegu była okok marszałka, żebym mógł być na każde jego zawołanie; często byłem wzywany przez marszałka na tłómacza języka hiszpańskiego. Odprowadziliśmy, to jest my Polacy, marszałka przeszło o jednę (*lieu*) pół mili w kraj francuski. — Piechota pozostała u granicy — pożegnał nas łaskawie; my wróciliśmy nazad do Hiszpanii, do naszego garnizonu owoczesnego, Rioseco. Opowiadałem kolegom tę podróż i słowa marszałka Bessières

wyrzeczone o naszym pułku. Pisałem dnia 28 marca 1858. Wincenty Tödwen."

Uczyniwszy zadość obowiązkowi memu względem kolegi Tedwena, mniemającego się być dotkniętym przez wątpliwość rzuconą, z powodu mylnej relacyi literata podającego naturalną bardzo rozmowę z marszałkiem Bessièrem z niedopuszczalną rozmową z majorem jeneralnym marszałkiem Berthier księciem neufchatelskim, i umieściwszy własnoręczne wyrazy dawnego kolegi, przytaczam teraz ciekawe szczegóły, które dawni i łaskawi towarzysze: pułkownik Wincenty Mikułowski i major Walenty Zwierkowski przysłali mi własnoręcznie pisane. Niektóre z tych szczegółów dopełniają wspomnień moich już poprzednich, nie ociągam się jednak z umieszczeniem takowych, raz dla okazania tym kolegom mojej wdzięczności za udział w mojej pobieżnej pracy; drugi raz, że te ich przypomnienia malują stosunki nasze w Hiszpanii, a mianowicie w Madrycie roku 1808, zaszczytne dla narodu polskiego. Oto tu mniej więcej słowa pułkownika Mikułowskiego.

„W dniu 2m maja (w Madrycie) cudownie obadwa z Mogielnickim, wśród rzezi przeszliśmy pieszo cały Madryt od *Puerta del sol* (rynek słynny) aż do *Plaza de la Cebada* (plac jęczmienia, to jest: zboża), na którym rynku kwaterowali: pułkownik Krasiński i szef szwadronu Tomasz Łubieński. My oba, świeżo mianowani oficerami, obstalowaliśmy u *Senora Pasamanero* (smuklerz) mieszkającego na *Plaza puerta del sol* dwie pary *charreteras* (czareteras, ślufy) i rano poszliśmy po ich odebranie. Mogielnicki już miał mundur oficera polskiego szwoleżerów, ja byłem w cywilnym surducie z kapeluszem oficerskim. Podczas naszej bytności w sklepie Hiszpana, dały się słyszeć pierwsze strzały, i zaraz na rynku rozpoczął się mord najokrutniejszy bezbronnych pojedynczych francuskich żołnierzy i kantynierek. *Senor Pasamanero* ofiarował nam schronienie w swym domu, aleśmy takowego przyjąć nie chcieli i wyszliśmy na plac, a on drzwi zamknął. — Szliśmy wśród tego istnego piekła, trzymając się za ręce, i co chwila oczekując najokropniejszej śmierci, jakiej ze wszystkich stron

mieliśmy widowisko. Raz nawet kupa rozjuszonych wieśniaków nie znająca naszego munduru, ku nam się rzuciła... gdy z pośrodku tłumu dał się słyszeć głos: *Deja los* (decha) *que son Polacos!* (zostaw ich bo to są Polacy). Na te słowa, opadły ręce tym mordercom i dalej postępowaliśmy wśród rzezi i scen najokropniejszych pastwień; a uszedłszy tak kilkadziesiąt kroków, ujrzeliśmy dwóch szwoleżerów naszych: Kowalskiego i Prędowskiego, niesionych dla ich obrony przez kilkunastu księży Dominikanów, którzy w moment znikli z naszych oczu i weszli w obwód murów kościelnych."

Kolega Walenty Zwierkowski pisze o tych samych wypadkach, co następuje:

„W czasie rewolucyi dnia 2 maja w Madrycie, byłem z Prędowskim i Kowalskim w gabinecie historyi naturalnej, i ledwie przebrałem się do koszar z pierwszym, gdyż drugi ledwo nazajutrz się do nas dostał."

Dalej pisze kolega Mikołowski:

„Opisuję ci ten epizod mało ważny, dla tego, że widno z niego, jaką sympatyą dla nas mieli z początku Hiszpanie; ta sympatya, po dniu 2 maja, przeszła w romansowe uczucia, bo ponieważ strzelcy konni gwardyi i mameluki, przerzynając się przez miasto ku Muratowi i naszym koszarom, musieli gdzieniegdzie użyć oręża, a my nie dobyliśmy go nigdzie, urosła opinia: jakobyśmy wyprosili się od działania przeciwko ludowi. Dla tego to hiszpańscy *gwardya de corps*, zastrzegli sobie: aby z nikim innym nie patrolować po mieście, tylko z nami. W parę dni po 2m maja byłem wykomenderowany na taki patrol, i przyjmowano nas, gdzieśmy się tylko ukazali, z uniesieniem radości i uwielbienia."

A kolega Zwierkowski dodaje:

„My to, całe nocy musieliśmy z gwardyą hiszpańską patrolować, a gdy się zdarzyło, żeśmy napotkali księdza z sakramentem, musiałem z konia zsiąść, czapkę z głowy zdjąć i księdzu asystować."

Czytelnicy zechcą porównać te dwa opisy stwierdzające się nawzajem z opowiadaniem naszem, a z tego porównania powezmą przekonanie, jaki to duch ożywiał korpus oficerów gwardyi polskiej Napoleona, kiedy my

dawni koledzy, rozdzieleni niezmierzonemi przestrzeniami miejsc i czasu, zgadzamy się w tych wszystkich szczegółach, które się dotyczą czci naszego pułku, a zatem i honoru imienia polskiego. Lubo zdania nasze mogą się różnić, zwłaszcza co do szczegółów wojennych, bo w licznym pułku mianowicie jazdy służąc, nie zawsze w jednych znajdowaliśmy się oddziałach, i nie z jednego stanowiska mogliśmy się zapatrywać na ruchy w bitwach i marszach,—lecz choć się następujący okres pióra kolegi Mikułowskiego nie zgadza z naszem wspomnieniem o mieście Rioseco, po zaszłej tam bitwie d. 14 lipca 1808, przytaczamy tu jednak wyrazy własne tego kolegi, bo mniemamy, że będą czytelnikom przyjemne. Oto są słowa pułkownika Mikułowskiego.

„Szliśmy z Madrytu do Rioseco w okropne upay, złączyliśmy się z Bessièrem, przyjął nas ten prawdziwy Bayard nowej epoki, z wrodzoną sobie dobrocią i wyraźnie już nam przychylną, z powodu odznaczenia się oddziału naszego co walczył pod Rioseco. — W kilka dni po złączeniu się naszem, komenderowany zostałem na służbę do marszałka, który mię zapytał: czy należę do oddziału który już dawniej był przy nim, czy do nowo przybyłego? Gdym oświadczył co było oczywiście, ponowił pytanie: w jakim stanie było miasteczko Rioseco podczas naszego przechodu, ubolewając nad nieszczęściem wojny. Kiedy zaś zaręczyłem mu, że śladu nie było widać bitwy, że mieszkańcy spokojnie zajęci byli swojemi zatrudnieniami, odpowiedział mi z wyraźną radością: *Ah mon cher! que vous me faites plaisir!* (ach mój kochany! jakże mnie uszczęśliwiłeś). Odtąd zaszczycał mnie szczególnemi dowodami swej łaskawości.“

Mikułowski mówi dalej:

„Opisuję ci ten szczegół dla uczczenia pamięci tego ukochanego wodza naszego, który z nieporównaną walecznością, łączył ledwo nie anielską dobroć i łagodność. Murat, książę Eugieniusz, Davoust, Kellermann, Lefebre, Suchet, Macdonald i Bessières, wszyscy mieli sympatyą dla Polski, a Bessières zginął od jednej kuli z ulubie-

nym swym ordynansem Jordanem *) z roku 1813 pod Weissenfels."

Tu mi daje przyjemność kolega dawny Zwierkowski, uzupełnienia wiadomości o potyczce z jazdą angielską pod Servinianos, w której oswobodzony zostałem od Anglików, a o której nadmieniłem już w poprzednich wspomnieniach. To uzupełnienie czynię tem chętniej, iż nie wiedziałem ile w tej potyczce winien byłem osobiście koledze Zwierkowskiemu. Oto są jego wyrazy:

„O drugim marszu przez Guadarramę dobrze pamiętam, bo śnieg mi mocno dokuczył. Jakoteż gdyśmy sami atakowali obóz angielski, a nazajutrz zrana Anglicy nas naszli; porucznik to Załuski pierwszy z patrolem spotkał nieprzyjaciela, a Łuszczewski był na grangardzie. Wtenczas, gdy z drugiego końca wsi wpadały huzary hanowerskie, kto był bliżej, ten śpieszył; był tam Tomasz Łubieński, Fredro, wielu innych, i ja też, i tam to ranny byłem w prawą rękę i kilkanaście cięć miałem po czapce i lederwerkach. — Gdyśmy przybyli nad rzekę, już nasze kamraty (strzelcy konni gwardyi) byli pobici i potopieni; wiele tam mameluki i białe hułany Murata jako księcia Bergu i Kliwii także ucierpiały. – Gdyśmy w nocy przez rzekę Esla wpław przechodzili, ledwiem nie utonął."

Dalej pisze tenże kolega „długom cierpiał na ranę w ręce" o czem będzie wzmianka w późniejszem miejscu.

Lecz czas już pożegnać Hiszpanią na rok 1809ty a z końcem tegoż znowu ją powitamy. Powiedzieliśmy w poprzedzającem wspomnieniu, że powróciwszy z Hiszpanii, nie w Chantilly garnizonie naszym zwyczajnym, ale w *Ecole Militaire* i kwaterach ulubieńców Napoleona strzelców konnych gwardyi umieszczeni zostaliśmy; tego jednak nie pamiętam, czy całemu pułkowi, czy tylko oddziałowi 300 koni, który miał pierwszy z pośpiechem wyruszyć w marsz ku Renowi, dane było to niełatwe i odznaczające chwilowe umieszczenie? Jakkolwiek bądź to tylko wiem z pewnością, że ja niedługo bawiłem w Paryżu, nie więcej jak

*) Miło nam umieścić tu pamięć dzielnego Jordana, o którym wzmiankowaliśmy już w wspomnieniu naszym drugim. (P. A.)

dni kilkanaście, że zostałem dowódzcą oddziału 30 koni trzeciej kompanii, bohaterów z pod Somosierry i że zajęci byliśmy całodziennie nowem mundurowaniem żołnierzy, i oporządzaniem nas samych oficerów po całorocznej kampanii, a nadewszystko rewizyą i wyj oczynkiem koni. Kolega Mikułowski przypomniał mi: że przed wyjściem naszego oddziału do którego i on należał, Napoleon kazał gwardyi swojej dać dla nas ucztę. Oto są słowa kolegi tego:

„Przed wyjściem na kampanią 1809 r. pułki starej gwardyi, kawaleryi i piechoty, wyprawiały dla nas świetną korpusową ucztę *à l'Ecole Militaire;* biesiada ta, z powodu swej serdeczności i wesołości, nigdy mi nie wyjdzie z pamięci. Spełniano toasty na honor tak pułku jako też i narodu naszego; po uczcie pobratymczej, nasze szwoleżery w bermycach, kaskach, kołpakach, a Francuzi w naszych czworograniastych czapkach, mnóstwem przygotowanych dorożek (kabryoletów) rozjechali się po Paryżu, dla pokazania stolicy skojarzonego koleżeństwa; zwiedzali teatra w takich przebraniach, a wszystko kosztem gospodarzy biesiady. Pamiętam, że to wszystko działo się bez żadnej najmniejszej nieprzyzwoitości, z salonową prawdziwie grzecznością."

Oddział pierwszy naszego pułku z którym pod dowództwem majora Delaitre opuściłem Paryż, nie liczył więcej jak mówiłem dopiero, nad 300 koni. Nie umiem oznaczyć dnia wymarszu, ale musiało to być w początkach marca; z oficerów tego oddziału przypominam sobie tylko: Szefów szwadronu Łubieńskiego i Paca—nowo ze sztabu marszałka Bessièra do naszego pułku z powszechnem zadowoleniem awansowanego; z kapitanów prócz Kozickiego świeżo z Polski przybyłego żadnego nie mogę sobie stanowczo przypomnieć, zdaje mi się jednak, że tam byli Franciszek Łubieński, Jerzmanowski, Stanisław Gorajski i Wincenty Radzimiński. Poruczników pamiętam: Szeptyckiego, Wybickiego, Prażmowskiego, Olszewskiego Brockiego, Mikułowskiego, Jankowskiego Antoniego, pełniącego służbę adjutanta korpusowego Jaraczewskiego, Hejmansa. Od Paryża aż do Strasburga szliśmy pośpiesznie ale nie nagle. Od miasta Nancy szliśmy drogą dla nas jeszcze nową przez Alzacyą, i niemało byłem zdziwiony,

widzieć tam wsie, gdzie nie umiano języka francuskiego, gdzie kraj zdawał się być całkiem niemiecki. Pewnego dnia już blisko Strasburga dogonił nas pocztą nasz pułkownik Krasiński, gdyśmy maszerowali spokojnie rotami po obu brzegach gościńca, siadł na konia i rozdawał własną ręką krzyże legii honorowej za kampanią hiszpańską, przemawiając do każdego dekorowanego stósownie, między innymi i do mnie; patent mój był z daty 5 kwietnia 1809.

Przybyliśmy wreszcie do Strasburga mając pułkownika Krasińskiego na naszem czele. Krótko bardzo, może tylko z wypoczynkiem 24 godzin, bawiliśmy w Strasburgu, dość jednak, żeby oprócz sławnej wieży Munster, którą się widzi zdaleka, oglądać także pomnik pogrobowy marszałka de Saxe, Maurycego syna króla polskiego Augusta II, bohatera, który waleczność nadzwyczajną nie w obronie Polski okazał. Ze Strasburga major Delaitre — jak mi się zdaje — powrócił na krótki czas do Paryża, dla zajęcia się rachunkowością regimentu, a pułkownik Krasiński poprowadził nas za Ren. Napoleon d. 12 kwietnia odebrał był w Paryżu telegraf o rozpoczęciu kroków wojennych ze strony arcyksięcia Karola w dniu 10tym; nie mogę oznaczyć której nocy i gdzie nas Napoleon wyminął, ale to musiało nastąpić przed 15m, bo 19go był już w Stuttgardzie a 17go w Donaverth. Zapewne to on dał rozkaz w przejeździe, żebyśmy, to jest co nas było gwardyi postępowali podwójnemi marszami za nim, i tak szliśmy od Strasburga czyli Renu, odbywając jazda jednę stacyą *(Etappe)* do południa, a drugą do wieczora; znaczna ilość koni zostawała się w tyle: piechota zaś gwardyi, jechała na wozach, które po stacyach odmieniała. My jazda odpoczywaliśmy koniom przez czas upału i popasaliśmy je na łąkach, polach, lub placach obszernych po miastach i miasteczkach; wszędzie zastawaliśmy przygotowane stosy siana, obroku, i stoły nakryte, opatrzone winem, piwem, chlebem i mięsiwem, wszędzie z podziwiającym porządkiem. Pod Sztutgartem książę Paweł Wirtemberski wyjechał konno na spotkanie nas, i cały korpus oficerów był proszony do stołu królewskiego, u którego

jednak król sam nie był obecny, ale książęta z familii zasiadali z księciem Pawłem na czele. Podczas noclegu w Sztutgardzie nadeszła pierwsza wiadomość o zaszłych bojach z korzyścią dla Napoleona. Postępowaliśmy więc z rosnącą niecierpliwością przez Ulm, Augsburg, pomijając Munich do Landshut, odbierając wszędzie po drodze doniesienia prawie o codziennych zwycięstwach, i potykając kolumny rannych, jeńców, oraz pociągi niezliczone różnych zdobytych rekwizytów i pontonów. W tej kampanii spotykaliśmy częste rzeki, na nich mosty drewniane, spalone albo popsute. Pod Burghausen przebyliśmy nie bez trudności bystrą rzekę Salzę, aż wreszcie w nocy zdążyliśmy do Braunau, gdzie dogoniliśmy Napoleona, szczęśliwi, że przecie tak zwycięzko rozpoczęta kampania nie zakończy się bez naszego udziału.

Jak tylko cesarz dowiedział się o naszem przybyciu, dał nam oznaki swej pamięci i łaski, a mianowicie porucznikowi Wybickiemu, którego do siebie kazał wezwać przez adjutanta swego *(Officier d' Ordonnance)*, Dezyderego Chłapowskiego. Maszerowaliśmy przez Wels i Lambach; w tem miasteczku wydarzył się naszemu oddziałowi bolesny wypadek. Trzech oficerów austryackich z pułku 3 ułanów arcyksięcia Karola, każdy mając trębacza lub szeregowego, poprzybywali byli jako parlamentarze; Cesarz poruczył ich naszemu oddziałowi jako rodakom. Nazwiska tych panów uszły mojej pamięci, wiem tylko, że jeden z nich zwał się Starzyński. Ci oficerowie razem z nami noclegowali na słomie w obszernej izbie na piętrze, gdy koło północy pożar objawił się w miasteczku Lambach; obudziwszy się z nienacka, uprzedziłem tych panów o grożącem niebezpieczeństwie, jakoż siedli na koń wraz z całym naszym oddziałem. Okazało się, że ogień wszczął się był na kwaterze naszego brygadyera Pokorskiego, tego samego, którego wzrost wysoki powodował był cesarza, kazać mu się mierzyć pod Burgos w Hiszpanii wzrostem z marszałkiem Mortier. Zaszczyt który później mógł się stać korzystnym w pamięci cesarza, nie uratował go od okropnej śmierci; postradał życie, można powiedzieć żywcem

spalony*). Panowie oficerowie ułanów cesarskich, jeżeli który z nich jeszcze jest przy życiu, nie mogą się żalić na brak gościnności z naszej strony; podejmowaliśmy ich uprzejmie według możności miejscowej; żołnierze nasi podobnież, nietylko z ich żołnierzami postępowali sobie po koleżeńsku, ale im opatrzyli kieszenie dukatami, żeby im dać poznać różnicę składu naszego pułku gwardyi polskiej, od ich kamratów.

Pierwszy bój większy który się odbył przy nas, było to straszne spotkanie marszałka Masseny z dzielnym jenerałem Hiller, d. 3go maja pod Ebersberg. Mało jest przykładów tak zaciętej i morderczej walki, o której Napoleon według twierdzenia kolegi Mikułowskiego miał powiedzieć: iż potomność nie da wiary, aby podobną pozycyą, bronioną jak najwaleczniej, zdobyto „*au pas de course.*“ Mało jest przykładów tak morderczej walki nawet w tych olbrzymich bojach Napoleońskich; most na rzece Traun sto sążni długi, górujące położenie miasteczka, pożar w niem powszechny, stanowiły trudności niezwykłe. Kawalerya gwardyi nie miała udziału w tym okropnym boju, będącym przedmiotem piechoty i artyleryi; ale byliśmy bliskiemi świadkami tego straszliwego spotkania, wszelkich jego ruchów i okropności. Znawcy, p. Thiers a nawet sam Napoleon, przypisują ten — może mniej potrzebny rozlew krwi, niecierpliwości Masseny i jenerała Cohorn, że jeszcze w tej wojnie nie byli dobyli szpady. Ci dwaj, oraz jenerałowie Claparede i Legrand, okryli się sławą. Miasteczko, most, wszystko dymiło się i tlało, droga przez którą postępowano zasłana była trupami podartemi, popieczonemi, konie nasze wzdrygały się kroczyć po tem błocie z ciał ludzkich zdruzgotanych kołami artyleryi; był to zaiste widok odrażający od wojny, ale ten bój przekazał nazwę miasteczka Ebersberg nieśmiertelności.

Kolega Mikułowski dodaje: „W kilka dni potem byłem na służbie przy cesarzu, kiedy przechodził rewią

*) Żałowaliśmy powszechnie tego dobrego i zdolnego podoficera.

korpusu Masseny pod St. Pölten. Nie zapomnę nigdy uniesienia w jakie był mnie wprawił widok bohatera bohaterów, rozdającego z ojcowską dobrocią pochwały i nagrody tym nieporównanym żołnierzom, ganiąc jedynie zbytek zapału jenerałowi Cohorn z dywizyi Claparéde, który z brygadą koryskańską samą, nie czekając pomocy, rzucił się na przewyższającą tylekroć siłę, po moście długim i na pół zniszczonym, a widząc przed sobą niepodobną do zdobycia pozycyą."

Od Ebersberga do Wiednia mało co mogliśmy być w awangardzie. Przyczyną tego była nasza mała liczba, bo jak wyżej powiedziano, nie było nas 300 koni spełna, gdyż niemało nie podochodziło, inne pułki konnej gwardyi były także przez oddziały reprezentowane, tak, że cały oddział czyli *Regiment de marche* konnéj gwardyi, nie wynosił jak 1000 koni, co wszystko stanowiło tylko orszak cesarski, a nie pozwalało brać czynnego udziału w utarczkach, jakie się codziennie odbywały z tylną strażą wojsk austryackich, a którą prawie ciągle utrzymywały pułki ułańskie, mianowicie 3ci arcyksięcia Karola. Jednego dnia zdarzył się wypadek osobliwy: W moim oddziale 3ej kompanii był brygadyer odznaczający się, z pułku 3go ułanów księstwa warszawskiego przybyły, nazwiskiem Zaorski; ten pewnego dnia w marszu, spotkał między jeńcami rannymi rodzonego brata swego starszego wiekiem, wiezionego na wozie, wachmistrza w pułku arcyksięcia Karola, mocno plejzerowanego; był to dla nas rzewny a razem rozdzierający widok: dwóch rodzonych braci przeciwko sobie walczących.

Z powodu żeśmy maszerowali w rezerwowym korpusie, albo raczej tam gdzie się znajdował cesarz swoją osobą, doznawaliśmy wielkiego głodu, chociaż przebywając kraj najpiękniejszy, starannie zabudowany i uprawiany; zastawaliśmy wszystko spożyte, tak dalece, że jeden ziemniak, kapka mleka, były rzadką zdobyczą; raz tylko główna kwatera była w opactwie, podobno w Mölk, gdzieśmy zastali niewyczerpane zasoby i niemal królewskie przyjęcie.

Nakoniec ujrzeliśmy Wiedeń d. 10go maja, w 27 dni od wyjazdu Napoleona z Tuilleryów; jechałem obok

kolegi mego Szeptyckiego, któremu Wiedeń był tak dobrze znany jak mnie; zgłodniali oba, cieszyliśmy się bliskością wielkiego miasta, po tak długim i nagłym pochodzie od Paryża, potrzebujący różnych oporządzeń i spoczynku. Szeptycki więcej odemnie unoszący się, zaprosił mnie do znanego traktyera schönbruńskiego Jana, na bażanta z kwaśną kapustą, potrawę specyalną wiedeńską. Przyjąłem zaproszenie, z uwagą, że tak smacznego kąska, nie tak łatwo w naszych mundurach dostąpimy teraz w Wiedniu, jakeśmy to mieli na zawołanie niegdyś w cywilnej sukni ... „Jakto? odrzekł mi: czy ty sądzisz ażeby się Wiedeń miał bronić?“ Ledwie te słowa wymówił, aż tu daje się słyszeć pierwszy strzał armatni od Wiednia; upadła nasza nadzieja łatwego posiłku, jednakże gdy cesarz miał zajmować zamek schönbruński, a my też zajęliśmy wioskę Hitzing, udaliśmy się oba z Szeptyckim do znanej nam traktyerni Jana, i znaleźliśmy domostwo w porządku, ale kuchnią pustą, i wszystkich mieszkańców do niej należących wyniosłszych się do miasta; i tak pomimo bliskości stolicy, mało więcej znaleźliśmy żywności, zwłaszcza w pierwszym razie, jak po wioskach w marszu. Konie zaś nasze ograniczone były na szczypanie niskich trawek po gazonach pięknych ogrodów wioski Hitzing, zaś kwatery im dane w poziemiu pałacyków najwykwintniejszych, nie więcej pocieszały je od głodu, jak nas ich panów *comfort* i *fashion* pierwszych pięter przez nas zajmowanych, bez kucharza i śpiżarni; jedna dogodność, której doznaliśmy, było opranie naszej bielizny za szczodrą opłatą.

Wkrótce, bo 11go w nocy, rozpoczęło się bombardowanie Wiednia, któremu z Szeptyckim i innymi oficerami znającymi Wiedeń przypatrywaliśmy się z glorietty schönbruńskiej ... Po tym smutnym ale wspaniałym widoku, niedługo czekaliśmy na kapitulacyą, a po tej, chociaż za drogim kosztem, można było dostać nietylko chleba, ale i zbytkowych posiłków. Rzemieślnicy wiedeńscy nie mogą się skarżyć na nas, kupowaliśmy cośmy zastali gotowe, dla nas oficerów, dla koni, dla sług naszych; bo nawiasem tu wspomnieć muszę, że w gwardyi konnej Napoleona nie wolno było, żeby żołnierz prowa-

dził nawet konia oficerskiego, każdy oficer musiał trzymać przynajmniej jednego służącego, który nosił barwę czyli ubranie przepisane stósownie do pułku. Towary wiedeńskie zdawały nam się tanie w porównaniu paryskich i francuskich, zwłaszcza przy niepojmowanym przez nas kursie bankocetlów; ale też przyznać należy, iż te tanie towary wiedeńskie nie miały ani tęgości, ani trwałości francuskich. Gdy konie nasze, po odbytej całej kampanii hiszpańskiej, bez wypoczynku do Wiednia iż tak powiem przybiegły, a przytem, jak się to później powie, służba gwardyi, zwłaszcza lekkokonnej, była przy Napoleonie zabijająca dla koni; przeto nie każdy co z Chantilly lub Paryża wyszedł, nastarczył do Madrytu a z Madrytu do Wiednia; nietylko żołnierze ustawali mając konie okulałe, ale i oficerowie, kiedy im, zwłaszcza w pierwszych latach, jeszcze skarb cesarski nie udzielił zapomogi, musieli się radzi nieradzi pozostawać w zakładach dla niedostatku koni; otóż i ja, przybywszy do Wiednia, starałem się kupić konia w tej stolicy, a że z końmi miałem w pułku szczęście z jakiem się nikt inny z moich kolegów pochwalić nie może, więc czytelnicy nie wezmą mi za złe, że ich zajmę tym epizodem.

Kiedy Xawery Prażmowski porucznik I klasy wysłany był z Madrytu do Kadyxu, kupiłem od niego ogiera andaluza znakomitej piękności, którego jeszcze w r. 1812 król neapolitański Joachim odkupił już od Wincentego Dobieckiego. Potem wyjechałem z Hiszpanii na koniu pięknym angielskim pochodzącym ze zdobyczy na Anglikach chroniących się na morzu do Koruni. W marszu od Stuttgardu do Wiednia nabyłem dwa konie zdobyte na ułanach, ale żaden z nich nie odpowiadał mojej potrzebie; teraz więc udałem się do miasta i kupiłem bardzo ładnego i doskonale wyjeżdżonego kasztana węgierskiego, od kawalera, który dziwiąc się może że mu konia płacą . . . sprzedał go tylko za 20 napoleondorów. Zaciągając o godzinie 11ej na paradę i służbę w Schönbrunie przed cesarzem, nie omieszkałem wystąpić na moim najlepszym koniu świeżo nabytym. Ledwie się parada odbyła i szwadron nasz stanął biwakiem

pod kasztanami, przybywa do mnie koniuszy cesarski, pytając imieniem Napoleona: czy mam tego konia na przedaż? Odpowiedziałem, że nie, ale że będę najszczęśliwszy ofiarować go monarsze. Tego ja decydować nie mogę, odrzekł koniuszy, koń wmpana podobał się cesarzowi, mnie do wmpana przysyła jenerał Savary, idźmy do niego. To samo powtarzam księciu Rovigo, ten mi odpowiada: „Cesarz wmpana daru przyjąć nie może, ale wmpan zażądaj za swego konia co chcesz, a ja ci zaraz zapłacę“... Cóż miał począć oficer polski? Zażądał, możnaby rzec krakowskim targiem: 40 napoleonów, i te zostały natychmiast wyliczone; a koledzy od strzelców konnych gwardyi onych guidów Bonapartego nie mogli mi wybaczyć, żem nie żądał przynajmniej sto napoleonów. Za kilka dni była przeprawa na lewy brzeg Dunaju przez wyspę Lobau, widziałem Napoleona dwa razy na moim koniu; pytałem się później o jego powodzeniu, odrzeczono mi, że zakulał... cóż dziwnego! kiedy i los jego pana zaczął chromać!

Dnia 20go maja przeszliśmy Dunaj, to jest dwa główne koryta, a stanęliśmy na wsławionej wyspie Lobau, którą oddziela od lewego brzegu koryto mniej więcej 60 sążni szerokie; cesarz stał nad niem, niecierpliwy przeprawy; skoro się dowiedział o przybyciu oddziału polskich szwoleżerów, kazał sobie przedstawić szwadron świeżo z Polski przybyły. Było to — jak już powiedziano — sto koni wyborowych z pułków księstwa warszawskiego, pod dowództwem kapitana Kozickiego, i rozdzielonych pomiędzy ośm kompanij naszego pułku. Dano rozkaz, kapitan Kozicki uszykował swój oddział i poprowadził do Napoleona, stojącego nad brzegiem ostatniego koryta Dunaju. Napoleon kazał natychmiast temu szwadronowi przeprawić się wpław; Kozicki zabiera się do stósownej komendy, lecz nie wiem kto? może pułkownik Krasiński, zaufany w łasce jaką miał u cesarza, ośmielił się przedstawić: że to być nie może! „Jakto! zawołał Napoleon, ja wiem dowodnie, że za Sobieskiego Tatarzy przebywali Dunaj wpław.“ Przedstawiono mu: że wówczas rynsztunek był całkiem inny, że Tatarzy nie mieli ciężkiego okulbaczenia jak my teraz na wzór

jazdy francuskiej, że ich konie były wprawne do przebywania rzek wpław itp.; te uwagi zdawały się Napoleonowi niepodobać, a obracając się do plutonu szasserów swoich przy nim w eskorcie będącego, zapytał: „Czy niema między nimi którego umiejącego dobrze pływać, coby podjął się to ramie Dunaju przebyć wpław na swoim koniu?“ Wyjeżdża z szeregu stary wiarus i rzuca się w Dunaj, lecz bystrość wody unosi jego konia, i sam Napoleon woła na niego żeby wrócił. Wtenczas to jeden z adjutantów marszałka Berthier, podobno pułkownik Lejeune, przystępuje do cesarza i mówi: — N. panie! ja dobrze pływam, widzę oto łódkę, czy tratwę niestrzeżoną na tamtej stronie, przyprowadzę ją, a na niej w. c. mość będziesz mógł oddział piechoty przeprawić. I tak pułkownik (pełen talentów) w bogatym mundurze huzarskim rzucił się w Dunaj, i wykonał co obiecał w oczach Napoleona. Przeprawiono mały oddział piechoty i tak następnie, i zaraz zaczęto stawiać most, a na nim jenerał Lasalle pierwszy przeprawił część swojej jazdy. Pytanie: czy nieprzyjaciel nie umyślnie zostawił brzeg Dunaju niestrzeżony, dla wciągnienia Francuzów na lewy brzeg Dunaju?..... bo nazajutrz przeszliśmy i my bez najmniejszej przeszkody. Staliśmy w szyku przy koniach kilka godzin, nie było słychać żadnego strzału armat, nawet karabinowego. Gdy południe się zbliżało w tej bezczynności, komendanci nasi, bez rozkazu, kazali wyprawić furażerów po zasiłek dla koni i ludzi ogłodzonych; tymczasem wojska francuskie przechodziły bez oporu ale powoli przez Dunaj, na którego odnogach większych były tylko pojedyncze mosty, a zatem przeprawa artyleryi, jazdy i piechoty nie mogła się odbywać tylko zwolna. Furażerowie nasi wrócili wkrótce z obfitego sąsiedztwa i przywieźli nadspodziewane zapasiki...ale szczęśliwy kto dopadł co gotowego na prędce, bo to nie na jednę dobę miał być ten zasiłek... albowiem ledwo rozłożono ognie i nastawiono kociołki, ozwały się razem armaty i karabinowe ognie, wszczął się alarm powszechny, zaczęto trąbić na koń. Trzeba było owe nastawione rosoły wylewać, i te różne dla głodnych tak ludzi jak i koni cenne zdobytki

porzucić. Dosiedliśmy więc koni i pod rozkazami jenerała Arrighi duc de Padoue, dowódzcy wszystkiej obecnej gwardyi konnej nie przenoszącej 1000 koni, zaczęliśmy manewrować po równinie w różnych kierunkach. Tymczasem już niektóre natarcia Francuzów, mianowicie kirysyerów, owych pogromców z pod Ratysbony, były się nie udały, i nie jeden jenerał z najsławniejszych był zginął lub ranny; przed wieczorem wytrzymywaliśmy silny ogień nieprzyjaciela zasłaniając słabość kolumn piechoty. Gdy się sciemniało, ustał bój, cofnęliśmy się za mały lasek, zdziwieni ruchem w tył, miasto zwycięskiego naprzód, do któregośmy przywykli. Tu nam się przypomniały te uczucia któreśmy mieli w Hiszpanii po owem zwycięstwie pod Rioseco, kiedyśmy musieli cofać się z pod Astorgi, w skutku klęski poniesionej przez jenerała Dupont pod Baylen. Noc była spokojna, wojska przechodziły bezustannie z prawego brzegu Dunaju na lewy, a gdy słońce ożywcze zaczęło pozłacać bagnety piechoty ciągle przybywającej, zdawało się nam chciwym zwycięstwa w naszej wyobraźni młodocianej i polskiej, że to zastępy nieprzeliczone wyrastają z ziemi; spodziewaliśmy się więc świetnego odwetu z dniem 22 maja, ale wkrótce miało się stać inaczej. Z początkiem dnia, bój się wznowił na wszystkich punktach; gwardya konna wysunęła się na równinę, i tam znowu pod dowództwem jenerała dywizyi Arrighi wykonaliśmy różne ruchy w ściśniętej kolumnie jako rezerwa, z daleka imponująca swoją iskrzącą się od słońca wspaniałą postawą; ale kiedy (jak się pokazało) mosty na Dunaju zostały przerwane przez fortele nieprzyjacielskie, i marszałek Davoust z najliczniejszym korpusem swoim, oraz liczne posiłki inne i amunicye nie mogły dostawać się na lewy brzeg Dunaju, okazało się że siły Napoleona nie były dostateczne, a kiedy marszałek Lannes i jenerał Oudinot komendanci dwóch korpusów zostali ranni, wszystkie nasze linie zaczęły się zwolna rejterować. Nie pojmowała tego moja głowa, nie wierzyłem swoim oczom... pytałem się starszych: czy to manewr? nie wiedziałem albowiem o zerwaniu mostów; aż wreszcie nasze co raz bliższe Dunaju stanowiska kazały mi wierzyć, żeśmy byli

odparci. Natenczas jenerał Arrighi uszykował całą swoję jazdę gwardyi w jednę linią, i w tej paradującej postawie odbieraliśmy strzały armatnie z frontu i z obu skrzydeł. Napoleon kazawszy swojej świcie pozostać na uboczu, przyjechał przed naszę linią, i wolnym stępem przejeżdżał się przed tą swoją rezerwą. Kule armatnie przelatywały koło niego z trzech stron, powalając ludzi rannych, cofających się po za naszę zasłonę, podpierających się karabinami; innych co unosili rannych na barkach. Cesarz stawał, przypatrywał się bojowi z lornety, posuwał się znowu o kilka kroków jak najwolniej, zażywał tabakę, przywoływał jakiego adjutanta, dawał rozkazy; był to poważny i wspaniały militarny widok. Wtenczas to kula armatnia sprzątnęła z konia kapitana naszego Kozickiego przed frontem oddziału, a druga uczyniła kaleką porucznika I klasy Olszewskiego: szeregowych naszych było kilkunastu zabitych i rannych, a tem więcej koni. Tu wprowadzamy Mikułowskiego tak piszącego do nas:

„Ja odkomenderowany byłem do jenerała Oudinot, przy którym jeden tylko pozostał się adjutant nietknięty, Polak Zenowicz, i przy mnie jenerał Oudinot otrzymał 16tą czyli 17tą ranę i zszedł z pola, oddając dowództwo swej heroicznej dywizyi (korpusu) połączonych grenadyerów jenerałowi Carra St. Cyr. Com się przez te kilka godzin napatrzył czynów waleczności i wytrwałości, opisać trudno. Powróciwszy do pułku (oddziału) zastałem go przy Cesarzu w ostatnim epizodzie bitwy, kiedy arcyksiążę Karol szczątki dywizyi Boudet wyparowawszy z palącej się wsi Enzersdorf, przecinał nam ostatnią komunikacyą z wyspą Lobau, idąc sam naprzód ze sztandarem, na czele grenadyerów węgierskich. Tamto Cesarz wyrzekł do jenerała Mouton (późniejszego Comte de Lobau) oddając mu fizylierów gwardyi: *faites leur gagner leurs chevrons*; (daj im sobie zarobić na szewrony; znak weteranów), co też wykonał w mgnieniu oka, i odparł silniejszego i zwycięstwem zapalonego nieprzyjaciela.“ Tyle Mikułowski; ja mam dodać, że się patrzyłem na ten atak, który jak słychać było, szczególniej miał się udać, z powodu, że jenerał prowadzący kolumnę grenadyerów węgierskich był zaraz zabity.

Po tem natarciu tak dzielnem piechoty młodej gwardyi, rozkazał cesarz naszej kawaleryi cofać się wolno w wspaniałym porządku na wyspę Lobau.

Teraz cesarz zdał komendę marszałkowi Massena, a sam po czułem pożegnaniu się z marszałkiem Lannes, wsiadł do łodzi i kazał Czerniszewowi siadać z sobą, mówiąc do niego — jak mi tenże w kilka lat później sam powiadał — „Siadaj wmpan, bo nie wypada żebym adjutanta imperatora Alexandra dał zabrać do niewoli.“ Pułkownik Krasiński, wiedząc że na prawym brzegu Dunaju już się znajduje większa część pułku pod dowództwem drugiego majora Dautancourt, przeprawił się także w łódce przez Dunaj, biorąc z sobą Antoniego Jankowskiego pełniącego służbę adjutanta pułkowego.

Kiedyśmy przeszli na wyspę Lobau, kolumna nasza się zatrzymała; ja nie mogąc pojąć przyczyny, zniecierpliwiony wysunąłem się na czoło oddziału, i tu dopiero dowiedziałem się od szefów Łubieńskiego i Paca, że mosty były zerwane. Ci dowódzcy byli zdziwieni tą moją niewiadomością, ta zaś pochodziła z owego ślepego zaufania jakie pokładałem w szczęściu i umiejętności Napoleona; zresztą nic dziwnego że o zerwaniu mostów i braku amunicyi nie wiedziałem, bo wśród bitwy nikt złych nowin nie głosi, a oficer jazdy nie może się oddalać od swego plutonu. Dopiero poznałem całą okropność naszego położenia; rozłożyliśmy się w lasku nad Dunajem, i ... rzecz prawdziwie niepojęta, słyszeliśmy coraz mniej strzałów i uciszającą się bitwę ... atoli można się było spodziewać nowego ataku po wypoczynku, albo nazajutrz podwójnego szturmu na wyspę Lobau.

Przekonawszy się o niemożności przebycia Dunaju, który wezbrany unosił różne odłamy, a czasem spłoszonego jelenia niemogącego się oprzeć wzburzonym falom, obrałem sobie łoże blisko brzegu nad drzewem, medytując jak owi Izraelici *Super flumina Babilonis*, jaką tu śmiercią zginąć? czy od kuli, czy utopić się dobrowolnie w Dunaju?... bo nam kawalerzystom w tem położeniu, boju spodziewać się nie było można. Najwięcej tych medytacyj odbywałem z kolegą Mikułowskim, nie mając do pokrzepienia się tylko wodę mętną Dunaju, znośną póki

jeszcze jaki kawałek suchara i cukru jawił się w naszych lekkich zapasach; z początku byli tacy co zabili parę zajęcy ... ale gdzież te biedne zwierzęta mogły starczyć na tysiące głodnych... Po nocy zaczęli się oficerowie od jazdy żalić, że im piechota w nocy zjadła konie... aż wkrótce i kawalerzyści rzucili się do tej strawy... Tu pierwszy raz byłem częstowany tem mięsem, nie znalazłem w niem nic odrażającego, ale nie byłem jeszcze dość zgłodniały, abym mógł jeść mięso jakiekolwiek, zamiast soli przyprawione prochem; o ile służba pozwalała starałem się zasypiać tę biedę; przebywszy tak noc, z dnia na dzień byliśmy coraz więcej zdziwieni naszem położeniem, pozbawieni wszelkiej komunikacyi z prawym brzegiem Dunaju, wystawieni na łup armii anstryackiej zajmującej brzeg lewy... Tymczasem nietylko nikt nie następował, lecz przeciwnie masy wojsk zwycięskich cofały się, a nakoniec i strzały dały się słyszeć tak armatnie jak i karabinowe... ale to były salwy przy obchodzonem nabożeństwie dziękczynnem za zwycięstwo nad Napoleonem. Ostatniego dnia naszego pobytu na wyspie Lobau,ku wieczorowi, gdy zgłodniały marzę bezsennie nad brzegiemDunaju, wezwany zostałem do szefa szwadronu Łubieńskiego; zastaję go z Pacem, proszą mnie na bankiet! Jankowski Antoni przypłynął na łodzi z Wiednia i przywiózł owym pp. pułkownikom wódki, bułek i gotowanego mięsa... Ci zaś częstują mnie najprzód wódką, wypiłem więc kieliszek na ich zdrowie, dostałem bułkę i kawałek mięsa... Gdybym był na tem poprzestał, możebym był radości żalem nie przypłacił; ale mnie namówiono po tem jedzeniu wypić drugi kieliszek wódki... i upiłem się tak, jak nigdy w życiu. Widać że żołądek czczy od kilku dni stał się nadzwyczajnie drażliwym... chorowałem całą noc, i byłem o dużo słabszy jak przed owym posiłkiem; tymczasem nazajutrz zrana wołają na koń! Siadam bezwładny, aż tu przechodzimy po nowym moście na prawy brzeg Dunaju i zastajemy nasz pułk pod majorem Dautancourt z Francyi przybyły uszykowany. Major na wszystkie strony pyta o wieś Saint Vite? nikt o niej nie wie. Niemcy odpowiadają że nigdy o takiej wsi nie słyszeli... dochodzi wreszcie ta zagadka do mnie, ledwie siedzącego na

koniu, ja odpowiadam: Sankt-Veit (Fajt) pod Schönbrunem! Zaraz się znajdują przewodnicy i tam ciągniemy od zwodniczego Dunaju, i od straszliwej wyspy Lobau. Odbywam ten marsz pod protekcyą kolegi Wincentego Mikułowskiego, i dostaję się do rozkosznej kwatery w St. Wicie, do mieszkania byłego posła francuskiego. Tam przespawszy kilka godzin na wonnej murawie w rozkwitłym ogrodzie, ozdrowiałem zupełnie. Pierwszem staraniem mojem było kupić konia od porucznika Olszewskiego, który jak się powiedziało, pod Essling miał stopę zgruchotaną od kuli armatniej, z której rany wykurował go nasz nieoszacowany doktor pułkowy baron Girardot. Olszewski już nie był zdatnym do służby, wrócił do kraju, i nie miałem później o nim wiadomości; był z lubelskiego. Odstąpiwszy konia pod Napoleona, jak to wyżej opisałem, był mi bardzo pożądany koń normandzki Olszewskiego, pojechałem więc do Wiednia odwiedzić rannego kolegę, i stargowałem od niego konia z łatwością, bo jemu było potrzeba pieniędzy na zdrowie i drogę, a mnie konia; lecz i tu traf osobliwszy: Olszewski miał kwaterę na Kohlmarku u osoby mnie znajomej, bankierowej pani Dickmann, urodzonej baronowny Sala; ta była chorą, może więcej od Olszewskiego, który prócz rany był zdrów; otóż ta dama wiedeńska była potem winna wyzdrowienie doktorowi Girardot; tak to wojna nie same klęski niesie za sobą, i wojna się przyczynia do cywilizacyi ludów, a stolica Wiedeń nie jedno polepszenie i zaprowadzenie zawdzięcza Francuzom z czasów ich tam pobytu w latach 1805 i 1809.

Pobyt nasz niedługi we wsi świętego Wita nie przypomina mi nic znaczniejszego, jak tylko surowy rozkaz dzienny Napoleona, o pewnym jenerale dywizyi od jazdy, którego on objeżdżając stanowiska wojsk zastał bez butów... Niech to posłuży młodym czytelnikom za naukę, ile to czujności i pilności wymaga każda służba, mianowicie służba wojskowa.

Wkrótce po wypoczęciu w St. Veit, wymaszerował cały nasz pułk ku Styryi, jeżeli się nie mylę, w komendzie jenerała Colbert, ktory z korpusem jazdy wysłany był dla komunikacyi z księciem Eugieniuszem idącym

z Włoch. Na górze Semering, gdzie teraz kolej żelazna podaje pamięci potomków kilka imion inżynierów Polaków, spotkaliśmy się z przednią strażą wice-króla, i tak było dopełnione polecenie nam dane.

Ztamtąd nasz pułk pod oddzielnem dowództwem pułkownika Krasińskiego udał się do Winerisch Neustadt, gdzie potrzeba było wypocząć naszym koniom, bo marsz z St. Veit aż do spotkania się z przednią strażą włoskiej armii przynajmniéj 12 mil wynoszący, odbył się dniem i nocą, można mówić bez wypoczynku.

Po kilku dniach wyprawiony byłem przez pułkownika Krasińskiego z podjazdem do Eisenstadt, dóbr księcia Esterhazego, już na Węgrach... W tem mieście a raczej w pałacu, zastaję garnizon w mundurach granatowych z ponsowemi wyłogami i spodniami, przypominający mi nawet krojem dawną piechotę polską, a na czele tej gwardyi księcia Esterhazego, kapitana Pawłowskiego dawnego konfederata barskiego! Można sobie wystawić nasze wzajemne zadziwienie; przyjął mnie ten weteran jak najgrzeczniej i cały mój oddział, zaopatrzył różnemi radami jak sobie mamy postępować w Węgrzech. Jakoż z Eisenstadt udałem się do Oedenburg, gdzie już zastałem szwadron szefa Łubieńskiego. W Oedenburgu byliśmy bardzo przyjaźnie przyjmowani, staliśmy jak gdyby w pokoju, do czego i uprzejmość Tomasza Łubieńskiego wiele się przyczyniała; jednakże gdy mnie raz wysłał z podjazdem do Günz, albo przynajmniej na drogę do Günz prowadzącą, nie mógłem daleko ujechać, bom się spotkał z mocnym oddziałem huzarów, i musiałem się cofnąć do Oedenburga, nie dopełniwszy zamierzonego zlecenia, ale i nieścigany przez huzarów, którzy zapewne wiedzieli że w tem mieście stoimy w znaczniejszej sile. W Oedenburgu zachorowałem tak dalece, że gdy nadszedł rozkaz opuszczenia tego miasta a udania się ku Wiedniowi na drugą przeprawę przez Dunaj, szef mój szwadronu Stokowski pożyczył mi swego koczyka do marszu, i w tym przyjechałem aż pod pamiętną wyspę Lobau, d. 4go lipca wieczorem. Ledwieśmy przyszli pod Dunaj i ja siadłem na konia, bo już wojska ze wszech stron zaczynały się zbliżać do mostów i nie wypadało się z tyłu

wlec w kolasie, aż tu spada deszcz i grad nadzwyczajny; schyliłem się na konia okryty płaszczem, a grad tak mnie wytrzepał po plecach, jak żeby kto bił laskami... Przyznam się, iż zrazu pomyślałem, że ta wyspa może zaczarowana przez gieniusze nieprzyjazne Napoleonowi, — lecz jakem ujrzał potrójne mosty na Dunaju, rzekę przepasaną owym łańcuchem ogromnym, zdobyczą Sobieskiego na tureckim wezyrze, flotyllę marynarki francuskiej pilnującą tego łańcucha i mostów, aż tu! przez wyspę Lobau gościniec sypany i rewerberami oświetlony, jak gdyby na bulwarach paryskich,— dziwiłem się przeciwnie szczęściu, które dozwoliło po 40 dniach przechodzić tę samę potężną rzekę w tem samem miejscu... Przybywszy wreszcie na wyspę Lobau, zastanowiliśmy się w bliskości namiotu cesarza, i zabrali się do noclegu. Tymczasem ja, jeszcze czując się słabym, udałem się do mojego ulubionego lekarstwa, snu, i opowiedziawszy moich podkomendnych, ułożyłem się w jakimś rowku, który sądziłem, że będzie dla mnie zaciszem pokrzepiającem... Aż tu mnie bndzą dwie kanonady; jedna niebieska, druga z 80 dział francuskich, a może i tyleż ze strony austryackiej, przytem ulewa! Zerwałem się na nogi, i z kolegami rozważaliśmy w pokorze, jak kanonada dwóch potęg ziemskich zdawała się być igraszką dziecinną w porównaniu z gromem niebieskim...

Wtenczas to Napoleon wśród tej burzy, wykonywał owe oskrzydlenie lewego boku pozycyi austryackiej, które miało w skutku, że armia ich zmuszona była zmienić front lewem skrzydłem w tył, i że odrazu, bez bitwy opuściła pozycyą frontową, którą była umocniła przez sześć niedziel. Gdy przyszła kolej marszu na nas, było już może blisko południa 5go lipca, słońce jaśniało w całym blasku, a ja zmoczone do pół ciała szaty z rozkoszą suszyłem na sobie przy ogniu lipcowego słońca, a z większą jeszcze rozkoszą umysłu przebywałem ostatnie koryto Dunaju na jednym z siedmiu mostów, rzuconych nań jeden blisko drugiego, tak że na raz siedm kolumn przechodziło Dunaj! Otóż to tak manewrować kochani rodacy! 80 armat w jednej bateryi, a debuszować siedmiu kolumnami... Ciągnęliśmy daleko, daleko,

udając się zawsze w prawo, a armia austryacka paradowała w blasku słonecznym, cała rozwinięta, prawem skrzydłem prostopadle do Dunaju. Nakoniec zatrzymano nas, rozwinięto w jednej linii, cały pułk wystąpiwszy w całym blasku naszej parady w czapkach odkrytych i piórach białych założonych.. ledwieśmy się uszykowali rozpoczął się bój — można sobie wystawić jaki to był ogień, kiedy z obu stron było do 400,000 wojska, a armat przynajmniej 1000. — Nie byłem w bitwie pod Lipskiem— jak może później zdążę opisać — lecz nigdy podobnego ognia nie słyszałem, jak w ten dzień pierwszy bitwy wagramskiej. Ogień ten może po części dla tego tak imponował słuchowi, że staliśmy opodal rozwinięci w nieruchomej linii, przez co sami nie byliśmy w ogniu, a zatem bliskie strzały nie ogłuszały ucha... Nieustanny po całej przestrzeni niezmierzonej równiny, nieprzerwanie trzeszczący karabinowy ogień — jeżeli małe obrazy wolno porównywać z wielkiemi, wzniosłemi, wrzał w ogromnym rozmiarze, tak jak wre woda kipiąca, a strzały armatnie wtorują tym organem jak bas w muzyce. Jakkolwiek już dnia pierwszego był tak ogromny i powszechny ogień, naszemu pułkowi nie przyszło zbliżyć się do niego, ciągleśmy z początku byli postępowali ku prawemu skrzydłu naszemu, potem zwracaliśmy się ku środkowi, i tak nas zastała noc oświetlona połyskiem kilku wsi palących się.

Kolega Mikułowski pisze do mnie: że piątego lipca flankierował ku prawemu skrzydłu z huzarami i dragonami, których po kilku wzięto w niewolę, i że w tem flankierowaniu porucznik Prażmowski o mało nie dostał się w ręce nieprzyjacielskie; ale ja o tym szczególe nie pamiętam. Jakoż było nas ośm szwadronów, trudno żeby oficer ograniczony do swego plutonu, wiedział co się dzieje po 30 innych. Wracam więc do tego, że przy zwolniałych, ale przez noc całą nieustających strzałach, tak dalece, że nawet piechota saska starła się z francuską przez nocną pomyłkę, pułk nasz rozłożył się do noclegu, mniej więcej w centralnej pozycyi, przy ogromnym parku artyleryi, a ja jako konwalescent przepędziłem noc pod armatą, która mi dostarczyła swej gościn-

ności. Musiała jednak wrzawa wojenna uciszyć się o późnej godzinie, gdyż pamiętam jak byłem raptownie obudzony nagłą kanonadą przy różanej zorzy... Zaledwie mój masztalerz wziął był mego ogiera Andaluza do napojenia, aż tu trąbią na koń! Wsiadam na owego od Olszewskiego kupionego Normanda, na siodło służącego z sakwami przewieszonemi, i bezwłocznie udajemy się w ogromnej kolumnie kawaleryi rozwiniętemi szwadronami, kłusem, ku naszemu lewemu skrzydłu; w kolumnie naszej były także saskie niebieskie huzary reputowane za bardzo dzielne. Ledwieśmy ruszyli, kapitan Jerztmanowski został ranny, aż wtem mój koń jakiś skok jaki daje, że myślałem iż jest nieochybnie od kuli armatniej trafiony; moi życzliwi żołnierze, zaraz w głos: nasz porucznik zginął! Ja się oglądam, sam nie wiedząc co się stało, ale nie czuję nic; aż patrzę tuż za mną koń kasztanowaty dzielnego żołnierza Lewandowskiego, z nim pada, a mój koń wciąż skacze; zdaje się, że kula przeleciała tak szczęśliwie pomiędzy nogi mojego konia, że tylko raziła go powietrzem albo piaskiem, którym ja sam cały byłem obsypany, ale z tego strzału nikt nie zginął tylko ów koń z mojego plutonu... Gdy się to dzieje, przybywa w czwał mój poczciwy masztalerz Jędrzej Iwończanin, i w takim ogniu odmienia mi konia... To cnota służącego! lubo się bym był obszedł bez tej przysługi, bo koń na którym siedziałem był doskonały, ale poczciwy mój „Rygiel“ nie mógł tego scierpieć, żeby porucznik miał zginąć na siodle i czapraku nie oficerskim! — Idziemy ciągle w kolumnie naprzód, poprzedzeni teraz przez ogromną bateryą, którą wieść podaje na sto armat, a kawaleryi tyle ile tylko było pod ręką. Skutek tego kolosalnego natarcia był ten, żeśmy odparli księcia Lichtensteina, który śmiałym i potężnym ruchem na lewe skrzydło nasze, co tylko że nie odciął nas od naszych mostów na Dunaju. Piękny to był widok dla nas Polaków, nacierać w kolumnie kilkunastu tysięcy jazdy w trop za bateryą kilkadziesiąt dział lekkokonnych w kierunku owych gór Kahlenberg i Bizamberg, ledwie nie u ich podnóża, z których szczytu Jan III przed 126 laty spuszczał swe pancerne chorągwie na

ratunek Wiednia i chrześciaństwa! W tej samej godzinie przy blasku tego samego słońca, zdawało nam się, że jego duch błogosławi nam prawnukom jego towarzyszów broni, a w każdym wznosił się umysł i chęć odpowiadania godnie takim pamiątkom...

Sam Napoleon kierował tym wspaniałym ruchem, który równie odparł zuchwałe natarcie z taką dzielnością i pomysłu i wykonania, z jaką było przeciwko niemu przedsięwzięte. Po usunięciu tego niebezpieczeństwa, które musiało się obrócić na korzyść Napoleona, on się oddalił od swego lewego skrzydła, i nasz pułk udawszy się w prawo ku środkowej stronie ogromnego pola bitwy, stanął rozwinięty w jednej linii, naszem lewem skrzydłem naprzód. W tem stanowisku służyliśmy bezwątpienia artyleryi przeciwnej za cel, ale też dla tego, w tym widocznym i imponującym szyku postawiono nas; kanonada do nas najwięcej od lewego sięgająca, aczkolwiek trwała kilka godzin, nie sprawiła nam znacznej straty, przynajmniej w korpusie oficerów nie przypominam sobie żadnej. Staliśmy tak, aż nam oświadczono imieniem cesarza, że bitwa będzie wygrana, że marszałek Davoust na naszem prawem skrzydle wygraną zdecydował... Po południu mieliśmy należeć do wielkiego ruchu jazdy, przeznaczonego na korzystanie z wygranej, i przełamanie linii środkowej armii przeciwnej, tak, żeby owe skrzydło jej prawe, które się było tak śmiało wysunęło, zostało odcięte. Atak ten połączonej jazdy, miał prowadzić marszałek Bessières, lecz kula armatnia poraziła go z koniem; objął po nim dowództwo tego zamierzonego ruchu jenerał Lassale, lecz kula karabinowa ugodziła go w czoło i położyła koniec zawodowi tego bohatera przyjaciela Polaków. Objął dowództwo jenerał Walter, lecz ten, ani rozkazów cesarza nie był otrzymał, ani talentu a raczej moralnej odwagi nie miał, ażeby na siebie przyjąć tak wielką ale świetną odpowiedzialność; skończyło się więc na tem, że jenerał Macdonald namówił naszego pułkownika Krasińskiego, żeby korzystał ze sposobności i otworzył czyli rozpoczął atak kawaleryi. Posuwaliśmy się po tych nieprzejrzanych równinach w zupełnem rozwinięciu pułku, atoli pułko-

wnik Krasiński exaltowany wezwaniem Macdonalda, rozpoczął zaraz natarcie z pierwszym szwadronem pułku, i oddalił się na czas dłuższy od naszej linii, która została na prawem naszem skrzydle pod dowództwem grosmajora Delaitre, zaś gros-major Dautancourt prowadził cztery szwadrony lewego skrzydła. — Tymczasem zjawił się pułk 2gi ułanów księcia Schwarzemberga.... Adjutant major Duvivier przypadł do naszego szwadronu i nie czekając dalekich komend p. majora Delaitre, zagrzał nas energicznie do rzucenia się natychmiast, obces na owych ułanów, co też nasz cały trzeci szwadron pod dowództwem szefa Stokowskiego natychmiast wykonał, jednakże gdy oba pułki nacierajace już do siebie się zbliżyły, pokazały się doły przez piechotę austryacką pokopane, które przeszkadzały tak ułanom Schwarzemberga jak i nam do porządnego frontowego natarcia. Tymczasem ułani widząc, że my nie mamy lanc, ale z pałaszami na nich nacieramy, zaczęli piki rzucać, a brać się do dobycia pałaszów; to było późno, i dowodem że nie mieli w sobie zaufania. Jakoż choć kupkami tylko wysuwając się z pomiędzy owych dołów pokopanych, prawie w okamgnieniu ich przewróciliśmy... Inne szwadrony ułanów Schwarzemberga przychodziły im na pomoc, pułki lekkiej jazdy austryackiej są albowiem bardzo liczne; wtenczas zaczęło się uganianie naszych z ułanami tymi, i dziwny a nieszczęsny wypadek, że obie strony wyzywały się najobelżywszemi wyrazami w mowie rodowitej... Gdy tak ucieramy się zawsze zwycięzko z tymi ułanami, przybywa im na pomoc pułk dragonów Rysza, nam zaś strzelce konni gwardyi; ustępują ułani i dragoni w rozsypce, nasz pułk zaś zbiera się i szykuje. Oto jest opowiadanie bitwy naszej pod Wagram z mego stanowiska, to jest drugiego plutonu w trzeciej kompanii, pomiędzy bracią Jankowskimi, z których starszy prowadził pierwszy pluton, a młodszy trzeci — zaś kapitan Roztworowski prowadził kompanią czyli szwadron bojowy pod szefem Stokowskim. To tylko mogę przyświadczyć co z bliska widziałem, że kapitan Duvivier, kapitan Roztworowski i Antoni Jankowski — jak wszędzie i zawsze — odznaczyli się w naszem natarciu.

Co się działo w innych szwadronach, tego dokładnie wiedzieć nie mogę, wiem tylko, że pierwszy szwadron którego najprzód poprowadził był pułkownik Krasiński, więcej razy nacierał jak nasz, tak dalece, że w Iej kompanii nie zostało żadnego oficera; ranni byli szef szwadronu Kozietulski, kapitan Łubieński Franciszek, porucznik Jaraczewski. Porucznik Śliwowski między innymi; zabici: porucznik Mogielnicki i dwóch świeżo awansowanych oficerów Marczyński i Wielhorski. Co się tyczy ognia armatniego którym nas nieprzyjaciel ostrzeliwał i liczby zdobytych przez nas armat, różne są zdania. Kolega Mikułowski nic mi o tej pamiętnej bitwie nie pisze odmiennego od moich własnych wspomnień; ś. p. kolega Niegolewski w swojem dziele wydrukował liczbę zdobytych przez nas armat 45, zaś Buletyn 26ty podaje, że szasery zdobyły 4 armat, a my dwie. — Buletyn pisze, że szasery same przewróciły trzy bataliony piechoty, a ja utrzymuję, że szasery tego dnia wielkiego, nigdzie nie ruszali bez nas, tylko nas posiłkowali... Czytając pana Thiersa i buletyn 26ty zdawałoby się: że malarz panoramy tej bitwy, był najlepiej informowany; tam my zajmujemy miejsce nam właściwe; jedno uchybienie, że nam malarz dał proporce, których jeszcze natenczas nie mieliśmy. Straciwszy tyle oficerów w zabitych i rannych, mieliśmy oczywiście znaczną stratę i w szeregowych; trofeem tej naszej szarży był rotmistrz książę Auersberg i kilku oficerów.

Kolega Walenty Zwierkowski przypomina mi, że miał konia jednego zabitego pod Essling, a drugiego pod Wagram, które dwa upadki i pchnięcie piką pod Wagram, przyczyniły się niemało do odnowienia jego rany od pałasza Anglików, i były powodem, że wkrótce potem wrócił do kraju.

Wielki to był dzień dla całej armii francuskiej, wielki dla nas, bośmy dopiero pierwszy raz pod Wagram, walczyli całym pułkiem w jedno połączonym, a to jak się wkrótce pokaże z niepospolitem zadowolnieniem Napoleona... Gdy nieprzyjaciel ustąpił a my się szykowali, pułkownik Krasiński oddał mi na placu bitwy komendę Iej kompanii, i dodał mi Antoniego Jankow-

skiego, o którym dopiero co wspomniałem, że się w moich oczach odznaczył.

Po zebraniu się pułku ruszyliśmy zaraz w pogoń za armią austryacką; ale kiedy nie były dopełnione owe ruchy jazdy, jakie mieli wykonywać marszałek Bessières i jenerał Lasalle, — więc armia rejterująca cofała się w wielkim porządku; wreszcie robiło się coraz ciemniej i przybyliśmy pod noc, jeśli się nie mylę do Wolkersdorf, gdzie była albo miała być główna kwatera cesarza. — Są autorowie co piszą, że tej nocy miał miejsce alarm i popłoch w bliskości głównej kwatery; tego nie pamiętam, ale to wiem, że ledwie trochę wypocząwszy, kazano Imu szwadronowi siadać na koń, i ja z moją nową komendą i z Jankowskim, puściłem się pod dowództwem szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, na zasłanianie armii od mniemanego ataku arcyksięcia Jana. Nie przypominam sobie, ale mi się zdaje, że i tam miałem towarzyszem kochanego kolegę Mikułowskiego; był rozkaz dotarcia aż do pierwszych pocztów arcyksięcia, chociażby aż do Marchek; w tym kierunku, dotarliśmy aż do rzeki March, nigdzie nie spotykając nieprzyjaciela, ale wszystkie wsie, wszystkie pola szerokiej równiny Marchfeld zwanej, przepełnione były rannymi ludźmi i końmi, oraz trupami ludzi i koni, w dniach 7, 8, 9 i 10 lipca! Można sobie wystawić, w jakiem powietrzu i w jakich mękach uczucia, spędziliśmy te cztery doby, nie wspominając już o głodzie i pragnieniu, kiedy pola niemal całe były spalone od ognia armat, które sobie przez zboża dojrzałe torowały czarne szerokie drogi, a w tym pożarze całych pól, ulegali spaleniu się ranni żołnierze. Było i wiele wsi, jedna koło drugiej spalonych, ale czy siedmnaście, jak mówiono, tego twierdzić nie mogę. Pod Raschdorf widziałem pagórki z amputowanych nóg i rąk... a te jeżeli przysypane zostały ziemią, łatwo utworzyły mogiły, jakich już kształt miały. Najgęściejsze pobojowisko zdało nam się być pod Aderklau; gdzie tylko była jaka najmniejsza woda, tam było widać mnóstwo rannych którzy się pościągali do wody, i tak zastaliśmy jednego żołnierza austryackiego, który sam jeden żył jeszcze, wśród mnóstwa pomarłych ota-

czających sadzaweczkę. W Wagram, gdzie była główna kwatera arcyksięcia Karola, zastaliśmy wielki konwoj, może tysiąca fiakrów i wozów wysłanych z Wiednia, dla zbierania rannych; daliśmy znać przełożonemu o tych nieszczęśliwych, którycheśmy napotykali w naszym marszu. Izba, w której nocował był arcyksiążę, była przestrzelona dwiema kulami armatniemi... było to miejsce i pole do rozpamiętywania głębokiego... Nieznośne to było położenie nasze, obserwacyjne arcyksięcia Jana; aż pewnego dnia, spotyka się nasz patrol z niemieckim, a ten że niemiecki, nie z Francuzami — nuże do ataku na siebie, aż tu nasi poznają czerwonych Sasów, a jako Polacy mówią wszelkiemi językami, więc zgoda, i spotkanie tem milsze, bo nas Sasi zluzowali, i mieliśmy właśnie rozkaz, póty na Marchfeld przebywać, aż nas kawalerya saska zastąpi.

A zatem w dniu 10m lipca opuściliśmy zapowietrzoną okolicę pobojowiska wagramskiego i przybyliśmy na nocleg do miasteczka Stadt-Laa; tu jak najkróciej zabawiwszy, śpieszyliśmy pod *Znajm*, spodziewając się tam walnej bitwy, ale przybyliśmy po już odbytych kilku rozprawach dzielnych a krwawych, z których ostatnia kończyła się właśnie, gdyśmy nadciągnęli pod Znajm, a lubo właśnie spodziewaliśmy się walnej bitwy za nadejściem marszałka Davousta oczekiwanego, rozeszła się nieoczekiwana wiadomość o zawieszeniu broni, za świeżem przybyciem księcia Lichtensteina jenerała austryackiego do głównej kwatery Napoleona. — Dostał zatem rozkaz cały nasz pułk ogodzinie 3ej z południa wybrać się na całą noc do Schönbrun, dla objęcia tam straży przy głównej kwaterze Napoleona, który tam miał stanąć niezawodnie nazajutrz. A więc nasz szwadron Iszy, to jest Isza i piąta kompania, nie wypocząwszy po bitwie wagramskiej, przebywszy cztery doby trudów, podsłuchów i podjazdów na Marchfeld, umaszerowawszy przynajmniej 12 mil z pod Wagram do Znajm,musiał znowu odbyć prawie bez zatrzymania się drugie mil 12 i więcej z pod Znajmu do Schönbrunn, a zatem w 60 godzinach ujechaliśmy blisko 30 mil, wszelako nie mieliśmy koni odpsutych, albo mało co. Najwięcej szkodzi koniom marsz

nocny, gdy jeźdźcy nie mogąc się wstrzymać od snu, drzymią na koniach. Tego też dowódzcy jazdy najbardziej przestrzegać powinni, zważając: że koń odpsuty, lub przez zaniedbanie okucia okulawiony, tyle znaczy na wojnie, co koń zabity, i że jazda więcej traci przez złe kulbaczenie i nieporządek, jak od ognia. Dla tego to przyjętą jest zasada: że jazda potrzebuje jeszcze więcej wprawy do wojny, niżeli piechota, u której także: nawyknienie do marszu, czyli do chodzenia, przy dobrem obuwiu, jest niemal pierwszym warunkiem zwycięzkiej kampanii. Czytelnicy raczą darować nam te przedłuższe uwagi nad marszami wojsk, jest albowiem obowiązkiem weterana, zwracać uwagę młodych lubowników wojskowości na szczegóły, o których w dalszych wojnach, zwłaszcza 1812 roku rozpaczliwie wspominać będziemy.

Z pod Znajmu kapitan Szeptycki, bez wezwania, ale wprost z narodowego natchnienia, wiedząc że dobra Frain należące do familii Mniszków, posiadały piękną holendernią, posłał tam brygadyera z 4ma szwoleżerami na załogę, żeby ten zawód pięknych krów nie popadł pod nóż zwycięzkiej piechoty, tak jak niektóre nasze konie oficerskie na wyspie Lobau. — Przybywszy pod Schönbrunn, zajęliśmy najbliższe pałacu wioski; Iszy szwadron stanął w Mejdling, a znużeni upałem, kurzawą, bezsennością, rzuciło nas się kilku oficerów na słomę dla odpoczynku. Wtem przybiega do naszej izby Niemiec, zaklinając, żeby który z nas poszedł rozpoznać gwałty jakie nasi żołnierze popełniają u jakiejś damy. Ja pełniłem obowiązki kapitana od pola bitwy wagramskiej, lecz widząc młodszych oficerów mocno śpiących po tak wielkiem znużeniu, przypasałem pałasz i kazałem Niemcowi prowadzić mnie na miejsce nadużycia. Pani owa, wybiega naprzeciwko mnie, i spotyka mnie w języku francuskim niemal temi słowy: „Ah! przybywaj pan ratować mnie nieszczęśliwą, bez niczyjej obrony zostawioną kobietę!.. żeby mi przynajmniej dano na kwaterę Francuzów, ale nie tych Polaków, na pół dzikich barbarzyńców i t. d.— Wtem ja poznawszy w oskarżonych ludzi z kompanii Iej mojego świeżego dowództwa, i takich, których miałem za lepszych, zapytuję ich groźno: jakie to są nadużycia,

których się dopuszczają?... Na to jeden z nich odpowiada: Panie! wiesz jakie my i konie nasze odbyliśmy marsze... ta pani nic nam jeść dać nie chce, a gniewa się, żeśmy konie puścili na paszę w jej sadzie, nie mając nic dla koni... Gdy ja tak z żołnierzami rozmawiam, mięsza się moja dama, i z zalęknieniem odzywa się do mnie: „Ah! w jakim to języku pan rozmawiasz z tymi ludźmi"?... — Po polsku, odrzekłem — Ah! to pan może Polak jesteś! — Tak jest — Ah ja nieszczęśliwa! a ja pana tak obraziłam! — Nie pani, owszem, jesteś szczęśliwa, że natrafiłaś na Polaków, bo gdybyś Francuzów tak była przyjęła, nie byłabyś miała nawet czasu i sposobności poskarżenia się... wcale się nie obrażam, że pani Polaków sądzisz być barbarzyńcami, to tylko dowodzi że ich nie znasz i wychowana jesteś w uprzedzeniu i nienawiści ku nam... ale ci ludzie od dwóch dni ciągle są w marszu, oni i konie ich nic nie jedli; nie możesz pani odmówić im posiłku, a jak go dasz dobrowolnie, nie doznasz od moich żołnierzy tylko grzeczności, za to ci ręczę. I tak się stało. Kobieta, puczuwając się, że Polaków obraziła, musiała potem starać się, udobruchać ich, dostarczając im co mogła.

Jak nadciągnęła gwardya cesarska piesza, pułk nasz został rozłożony w trzech wsiach noszących nazwę: *Lanzensdorf.*

Pierwszy szwadron, to jest kompania Isza mego dowództwa i 5ta kapitana Gorajskiego, stanęliśmy w najoddaleńszym punkcie, to jest górnem Lanzensdorf. Tę wieś zastaliśmy na pół zrabowaną i od mieszkańców prawie zupełnie opuszczoną; dopiero zaczęli powracać, poznawszy żeśmy nie Francuzi, za naszemi namowami i widząc nasze ludzkie postępowanie.

Tu straciliśmy wkrótce kochanego powszechnie Stanisława Gorajskiego kapitana 5tej kompanii, którego wątłe zdrowie nie mogło znieść tylu trudów. Atoli doktor Girardot, odbywszy sekcyą jego piersi, przekonał nas, że pacyent nie mógł żyć. Pochowaliśmy go z honorami wojskowemi, na jakie się w tych okolicznościach zdobyć mogliśmy — nie pamiętam, czy mu jaki pomnik w kościele, lub na cmentarzu został położony? Mam

zamiar będąc w Wiedniu, odwiedzić miesce spoczynku tego zacnego kolegi, którego patryotyzm naraził na ofiary nad siły, ciągle albowiem był cierpiącym — o ile go zapamiętam.

Napoleon powróciwszy do Schönbrunn, zaraz się zajął przeglądem swych wojsk, tak przybywających ciągle, jako też tych które zbierały dla niego wawrzyny na polach włoskich, węgierskich, austryackich i morawskich. Codziennie dziedziniec pałacu schönbruńskiego był napełniony wojskiem i różnemi oddziałami artyleryi, pociągów różnego rodzaju, oraz takiemi pułkami, które Napoleon chciał wynagradzać za bitwy odbyte. Przyszła kolej i na nasz pułk. Mieliśmy rozkaz wystąpienia w zupełnym komplecie ludzi i koni obecnych przy pułku, jak do lustracyi inspektora.

Oficerowie ranni, lecz mogący chodzić, jako to: szef Kozietulski i kapitan Iej kompani Franciszek Łubieński, oraz inni, pełni nadziei łask i nagród, przybyli z Wiednia. Kapitan Łubieński, którego ja zastępowałem, prosił mię żebym mu napisał jak najdokładniej sytuacyą kompanii, wiedząc że Napoleon od niej jako od prawego skrzydła zacznie swoję lustracyą. Pułk nasz ciągnął w całej paradzie, podzielony na dwa regimenta po 4 szwadrony bojowe; pierwszym dowodził major Delaitre, drugim Dautancourt, oboma niby brygadą pułkownik Krasiński. Szliśmy upojeni tryumfem, marząc tylko o pomyślnościach; tymczasem, żadnemu z tylu dowódzców nie przyszło na myśl, posłać adjutanta pułkowego naprzód: żeby się zapytał o miejsce szyku i zaprowadził pułk na takowe. Weterani majorowie sądzili, że ktoś ze sztabu cesarskiego w tym celu do nas przybędzie; po prostu stracili głowę, mając po raz pierwszy popisywać się z bliska przed samą osobą Napoleona... To niech młodym oficerom służy za naukę, że musi to nie tak łatwo być dowodzić armiami, kiedy ludzie tacy jak jenerałowie Delaitre i Dautancourt nie umieli dać rady, każdy tylko czterem i to małym bardzo szwadronom.

Przybyliśmy więc poza prawą oficynę pałacu, i po rozgłośnej pretensyonalnej komendzie pp. majorów, za-

czynamy się szykować z tyłu za oficyną. Wtem na głos donośny Dautancourta przybiega jenerał Durosnel adjutant cesarski, i woła na gwałt: dla Boga! Co Panowie robicie? gdzie się kryjecie! nie tu wasze miejsce, ale w pierwszej linii przed pałacem... Zmięszani tem bardziej nasi dowódzcy tym naglącym rozkazem, prowadzą nas do bramy dziedzińca, mijamy owe lwy u wnijścia spoczywające, i zastajemy cały dziedziniec przepełniony wojskami rozmaitemi, artyleryą, pociągami; nakoniec czoło naszej kolumny trafia na jakieś zapasy cegieł i wapna i rusztowania przysposobione do jakiejś reparacyi; majorowie i szef Łubieński wydają różne komendy chcąc wybrnąć z tego labiryntu; istotnie poruszenia nasze w tym tumulcie były trudne, i mogło się zdawać cesarzowi, że to skutek naszej nieznajomości obrotów wojskowych; w tem nadbiega jenerał Durosnel i woła: „Kto tu dowodzi Iszą kompanią?“ — Odpowiadam, ja— Wmp. jedź do cesarza, on wmp. żąda — Ja kieruję konia ku cesarzowi, aż tu przypadają do mnie pułkownik Krasiński, Delaitre, wołając: Co ty robisz! gdzie jedziesz! — Ja odpowiadam: że cesarz kazał mnie wołać — milczenie, zadziwienie — a ja stoję na koniu przed cesarzem i salutuję go pałaszem; on spogląda z dołu do góry na mnie, i głosem surowym pyta: *„Qui êtes Vous?“* (kto jesteś) Odpowiadam: dowódzca Iszej kompanii regimentu szwoleżerów — Na to cesarz: A! dobrze, — i dotykając się ziemi palcami prawej ręki, mówi do mnie: Pan tu, tu, uszykuj swoję kompanią przedemną — Ja wracam do pułku i komenderuję mojej kompanii: czwórkami marsz! — Przypadają do mnie szefowie szwadronu, Łubieński, Pac, myśląc, żem dostał pomięszania zmysłów. Co ty robisz! wołają—Ja do nich: pełnię rozkaz cesarza. Znowu milczenie i zadziwienie — Ja przyprowadzam kompanię i szykuję ją, nie bez migów cesarza, gdzie mam stanąć, i wyrównywam ją przyzwoicie; gdym uszykował kompanią Iszą, posyła znowu cesarz jenerała Durosnel po Szeptyckiego dowódzcę 5tej kompanii, od śmierci Gorajskiego. Gdy ten przybywa przed cesarza, wskazuje mu Napoleon na nas, i mówi: Widzisz kompanią pierwszą, uszykuj że się przy niej

w linii; co gdy Szeptycki uskutecznił, dał rozkaz przez jenerała adjutanta, żeby cały pułk stósownie do stanowiska Igo szwadronu uszykował się.

Siedzieliśmy na koniach oczywiście z dobytemi pałaszami; wtem Napoleon woła na pułkownika Krasińskiego: „Każ pułkowniku z koni zsiąść“ — Krasiński komenderuje pośpiesznie: „Z koni!“ nie kazawszy wprzód pochować pałaszy, co jest uchybieniem krzyczącem w regulaminie; dopiero my podwładni musieliśmy każdy osobno komenderować do schowania pałaszy, a potem, do zsiadania z koni. Ale nie dość na tem.... gdyśmy zsiedli z koni, pokazało się, że nie jesteśmy w szyku lustracyjnym, ale w bojowym... znowu gniew cesarza, znowu zwłoka... a Kozietulski, Franciszek Łubieński mój kapitan, i insi ranni oficerowie, widząc że się zanosi na burzę... gdzieś pochowali się i znikli. Ustawiłem więc kompanią czemprędzej w szyku lustracyjnym i stanąłem na samem onej prawem skrzydle, pieszo, trzymając za sobą konia w szeregu o cuglach przez lewe ramie na piersiach w lewej ręce według regulaminu, a prawą rękę przykładając do czapki.

Nadchodzi Napoleon, za nim jenerałowie służbowi, pułkownik Krasiński, major Delaitre, szef szwadronu Łubieński, — zaś z gradusów przedpałacowych przypatruje się świetny orszak sztabowy i mnóstwo jenerałów zagranicznych, bo było zawieszenie broni.

Napoleon idzie prosto na mnie i stanąwszy przedemną, pyta surowo: To wmp. dowodzisz kompanią? Tak jest naj. panie — Wiele ludzi przytomnych — 84 — Wiele zabitych? wskazałem liczbę — Wiele rannych — tyle — Wiele w marszu pozostałych? — tyle — Wiele w zakładzie we Francyi? — tyle — Jaki ogół ludzi i koni? — tyle. Te pytania następowały tak prędko jedno po drugiem, że trzeba było być dobrze przygotowanym, i posiadać język fraucuski, ażeby cesarza nie zniecierpliwić. Istotnie nie wiem coby się było stało, gdyby Franciszek Łubieński, który się jąkał, i nie był koniecznie mocny we francuszczyznie, był tak nagląco nagabany... Zdaje się, że cesarz był zadowolony moim sposobem odpowiadania, równie prędkim jak jego pytania, bo spozie-

rał na mnie z natężeniem, i jakiemś upodobaniem z którego wynikło, że w dobrym wcale humorze rzecze do mnie: *C'est bien, voyons les livrets!* — (to dobrze, zobaczmy teraz książki) — Na to ja: „Niema ich naj. panie!“ — Jak to, niema ich?“ — „Nigdy ich nie było naj. panie!“ — „Jak to Loubiński (Łubieński) to twój szwadron a niema książeczek?!“ — Na to Łubieński, którego Napoleon znał bliżej, a który nie był przyjacielem Krasińskiego, odpowiada: „Naj. panie! nie ja dowodzę regimentem.“ Tu Napoleon domyślając się, że chciano szkodzić Krasińskiemu, którego on lubił, przywołuje majora Delaitre, i już pełen gniewu, krzyczy na niego: „Cóż to, pułkowniku Delaitre! ja wmpanu poruczyłem formacyą tego regimentu i zostawiasz go bez książeczek?... cóż to wmpan sobie myślisz, że to ja chciałem mieć pułk Arabów? *(un poulk d' Arabes)*“. To powiedział Napoleon mięszając wyobrażenia kozackie z egipskiemi, dla tego że znał Delaitra adjutantem Klebera, i poruczył mu był dowództwo Mameluków, nim go awansował na majora do naszego pułku. Delaitre coś przebąknął na uniewinnienie się ze strony kosztów formacyi pułku i t. p. tak, że Napoleon opuściwszy go, zwrócił swój podwójny gniew na intendenta Daru, który był inspektorem jeneralnym gwardyi. Tego więc kazawszy w okamgnieniu do siebie przywołać — a był to pan orderowy z gwiazdą na piersiach — Napoleon tupając nogą, krzyknął na niego: „Czyto tak administruje jego wojskami, żeby regiment jego gwardyi był bez książeczek? i t. d.“ Daru chciał coś odpowiedzieć... ale uniesienie się Napoleona wzrastało coraz bardziej i krzyknął: „Odprowadzić tego nędznika z oczu moich! niech go nie widzę! *(qu' il disparaisse! que je ne le voye plus!)*“ a odwracając się rozgniewany ku naszemu pułkowi, te same słowa powtórzył: Precz z nimi, niech się na nich nie patrzę!... Ale wtem kiedyśmy dosiedli koni, i czwórkami w prawo galopem przez pierwszą boczną bramę wylecieli w okamgnieniu, Napoleon, ten dopiero tak srogi Napoleon — czyli raczej pan swoich zmysłów — widząc, że wielu zagranicznych mężów patrzało się z bliska na tę scenę, powraca ku pałacowi uśmie-

chając się cały i odzywa się do zagranicznych jenerałów: „*Ces gens là, ne savent que se battre!*“. (Ci ludzie tylko się bić umieją). Otóż to pochwała do zanotowania sobie każdemu potomkowi tych ochotników co służyli w gwardyi Napoleona, a którego słowa pamięci przekazuje czytelników moich żołnierskich wspomnień.

Napoleon istotnie sądził, czyli nikt mu wystawić nie śmiał, że nasze opóźnienie i nieforemne wystąpienie nie pochodziło z niewyćwiczenia w mustrze, ale z natłoku i ciasnoty na dziedzińcu schönbruńskim; dla tego zaraz nazajutrz, czy drugiego dnia zesłał do nas jenerała Durosnel jako inspektora i nauczyciela manewrów. Tenże z zadziwieniem postrzegł, że my pod względem manewrów nie mniej umiemy co każdy pułk inny gwardyi konnej. Zaś co się tyczy książeczek, rzecz się tak miała: Krasiński, gdy Napoleon w kampanii pruskiej za protekcyą księcia Alexandra Sapiehy, przeznaczył go na pułkownika mającego się tworzyć pułku gwardyi konnej polskiej, z chełpliwości jemu, a prawdę powiedziawszy, nadto wielu z nas właściwej, oświadczył: że ta formacya będzie kosztowała nic, albo bardzo mało, bo młodzież polska wezwana do gwardyi Napoleona, będzie ze wszech stron dawnej Polski garnęła się na wyścigi o swoim koszcie... Stósownie do tego, damy warszawskie zajęły się wzorami haftów dla naszych mundurów — jak to już opisaliśmy w pierwszym oddziale naszych wspomnień — i w skutku tej chełpliwości, powiedział Napoleon w dekrecie z d. 6go kwietnia 1807 w Finkenstein wydanym, w artykule szóstym: że szwoleżery polskie będą mieć tę samą płacę co strzelcy konne gwardyi — to jest 25 soldów francuskich dziennie, — zaś w wspomnieniu siódmem dodał: że koszt pierwszego ekwipowania, tym co nie mieli dostatecznych funduszów własnych, potrącony będzie aż do umorzenia z żołdu, licząc po 15 soldów dziennie.

Z tego powodu więc, majorowie organizatorowie pułku, Delaitre i Dautancourt, nie zaprowadzili książeczek z przyczyny, że żołnierzom nie 25 soldów, jak gaża powinna była wynosić, ale tylko 15 soldów wypłacali; a że od samego zawiązku organizacyi, oddziały pułku cią-

gle były w ruchu wojennym, tak dalece, że dopiero pod Wagram cały pułk wystąpił po raz pierwszy razem, i to jeszcze nie zupełnie — bo śp. kolega Niegolewski pisał do nas, że dopiero pod Wagram przybył, i że zakład pułku był w Chantilly; więc major Delaitre słusznie się wytłómaczył, dla czego cesarz nie znalazł książeczek na rewii. Musieliśmy zatem w stanowiskach w Lanzensdorf pisać książeczki dzień i noc, w czem mnie w kompanii Iej dopomagał mój naówczas wachmistrz szef Malinowski, późniejszy kapitan adjutant major pułku.

Gdy nakoniec jenerał Durosnel zdał raport cesarzowi najpochlebniejszy o pułku, że w nim znalazł duch najlepszy, umiejętność manewrów i porządek nic nie zostawujący do życzenia, — Napoleon kazał znowu całemu pułkowi wystąpić przed siebie na paradzie w Schönbrunn, w obec tych samych widzów swoich i zagranicznych, którzy byli świadkami naszego niby upokorzenia na poprzedniej rewii. Wystąpiliśmy więc w okazałej postawie, Napoleon wyszedł do nas uśmiechając się, i nie wdając się już w żadną inspekcyą kazał nam przed sobą defilować plutonami, i dawał oznaki swego zupełnego zadowolenia. Jakoż wkrótce otrzymaliśmy różne nagrody: krzyże legii honorowej i dotacye wieczyste; ja sam dostałem dotacyą 500 franków wieczystą na *Monte di Milano*, która mi skutkiem wypadków późniejszych przepadła; inni podostawali takowe na kanałach francuskich, które po dziś dzień istnieją.

Wkrótce potem Napoleon postanowił był utworzyć order: *Des Trois Toisons*, to jest: trzech run złotych połączonych; chciał żeby w każdym pułku był podany oficer i jeden szeregowy tylko do tego nowego orderu, a to za wyborem przez pułk najzasłużeńszych, — w naszym więc pułku byli podani do tego znamienitego zaszczytu: kapitan Seweryn Fredro i wachmistrz Stanisław Wąsowicz (z krakowskiego województwa), ale ten dekret cesarski nigdy nie przyszedł do skutku.

W czasie tego zawieszenia broni, przybyło wiele ziomków do głównej kwatery i do cesarza z Polski, jako to: pułkownik Malczewski kuryerem od księcia Józefa

Poniatowskiego, książę Alexander Sapieha, jenerał Wołodkiewicz, jenerał Bronikowski; a w deputacyi: Ignacy Potocki, Miączyński, Tadeusz Matuszewicz, i wielu innych. Obchodziliśmy też dzień 15go sierpnia urodzin cesarza z wielką okazałością, wojsko w ucztach korpusowych militarnie, cywilni i dyplomaci w illuminacyach i transparentach. Jenerał Bronikowski miał kwaterę w pałacu arcyksięcia Karola, książę Alexander Sapieha w pałacu księżnej Lubomirskiej, Czartoryskiej z domu.

Jenerał Bronikowski miał formować legią polską, kilku oficerów naszych i podoficerów przeszło do tej organizacyi z awansem; atoli skończyło się na utworzeniu jednego pułku piechoty i to w mieście Augsburg, który pułk przybrał miano 4go pułku legii nadwiślańskiej i otrzymał przeznaczenie do Hiszpanii.

Zawieszenie broni przedłużało się, umowy o pokój były trudne, Napoleon gromadził nieustannie przybywające posiłki, i chcąc pokazać armią swoję, odbył na równinach pod Penzing ogromną i wspaniałą rewią z manewrami w ogniu, na którą jak przynależało wystąpił nasz pułk w możebnym komplecie i w błyszczącej paradzie; był to widok dla nas zajmujący, a dla licznych widzów z Wiednia i okolic ciekawy.

Gdy nakoniec traktat pokoju został podpisany d. 14 padzierźnika, pułk nasz otrzymał rozkaz rozstawienia się po stacyach od Linz do granicy bawarskiej, celem eskortowania odjeżdżającego cesarza. Wtenczas to nastąpił w Schönbrunn wypadek, że student niemiecki nazwiskiem Stabs chciał Napoleona pozbawić życia, o czem się nadmienia jako o zdarzeniu wówczas głośnem, lubo to nie należy bynajmniej do wspomnień o naszym pułku. W Lincu nasz pułk był rozstawiony po stacyach według nrów kompanii, mnie się dostało eskortować cesarza z szefem szwądronu Tomaszem Łubieńskim, aż do pierwszej stacyi w Bawaryi. Cesarz jechał w poczwórnej wielkiej karecie zajmując tylne siedzenie po prawej, a jenerał Duroc po lewej ręce; przednie siedzenie pełne było stósów depesz przeczytanych i czytać się mających. Co chwila marszałek dworu Duroc rozpieczętował kopertę i wyrzucał ją oknem, a depeszę czytał cesarzowi...

Ja jechałem około drzwiczek lewych ze strony Duroca, szef Łubieński koło drzwiczek prawych. Napoleon miał głowę związaną kolorowym fularem, przypatrywałem mu się ciągle i dziwiłem nadzwyczajnej słodyczy, jaka była w jego ustach rozlana, słodycz ust która południowym mieszkańcom jest właściwa, owe *os rotundum* Horacyusza. Wszystkie rysy twarzy Napoleona zapowiadały dobroć, tylko oczy były nader bystre i zmieniające charakter całej twarzy dowolnie. Poznawszy Łubieńskiego, którego żona Konstancya z Ossolińskich, była niemal towarzyszką cesarzowej Józefiny — wychylił się prawie z okna i zapytał: „Nuż Łubieński, co tam nowego u was słychać?“ Łubieński na to: „Mnież to wasza ces. mość możesz pytać o nowiny!“ „Ja chcę mówić co tam u was Polaków słychać?“— Powiadają nam, że odzyskamy nową Galicyą.“...—„*Et Zamosk aussi*“ — (i Zamość także) odrzekł cesarz natychmiast. Na granicy Bawaryi przyjęto cesarza łukami tryumfalnemi i z wszelką oznaką uciechy i uszanowania. Cesarz podążył do Münich, zkąd d. 22go października otrzymawszy ratyfikacyą pokoju odjechał do Paryża.

Po odjeździe cesarza do Münich, pułk nasz połączywszy się, postąpił za nim do tej stolicy Bawaryi, już wtenczas świetnej, ale która później zasłynęła zbiorami ciekawości i sztuk pięknych — czego ja jednak od owego czasu jeszcze nie widziałem.

W Münich jako dowódzca kompanii miałem kwaterę w domu pięknym, zamożnym ale nie arystokratycznym. Przyjmowano nas z serdecznością i uprzejmością, zaproszonego od mojego gospodarstwa do licznego stołu, posadzono mnie na pierwszem miejscu, — gospodyni zasiadła blisko mnie po prawej ręce, i rozdawała rosół, gdy się odbyłem z tą potrawą, gospodyni wstaje i talerz mi odbiera... ja jako oficer polski drożę się, nie chcę przystać na taką przysługę... lecz gospodarz domu odzywa się: „Niech pan pozwoli, taki jest u nas obyczaj.“ Jakoż ta gospodyni, w pałacu, ubrana wykwintnie, nietylko mnie ale wszystkim u stołu farfurki poodmieniała; siadła znowu przy mnie, rozdawała następującą potrawę, znowu zbierała talerze i tak wciąż.

Nie ma ta drobna okoliczność związku z naszym pułkiem, ale niech posłuży za pamiątkę jakie były obyczaje w stolicy bawarskiej w r. 1809.

Przechodziliśmy wolnym marszem piekne kraje: Bawaryi, Witembergu i Baden, wszędzie dziwiąc się i zazdroszcząc uprawie rolnej i sadowniczej; aż nakoniec przebyliśmy Ren po moście łyżwowym. Na samym lewym brzegu Renu jako granicy Francyi, był wielki łuk tryumfalny, nie rozebrany jeszcze po przejeździe Napoleona; na tym łuku był napis łaciński: *Magnus bello, major pace!...* Jechali koło mnie jako na czele pułku major Delaitre i szef szwadronu Pac; — jeden z braci Skalskich szeregowców w mojej kompanii Iej, podjeżdża do mnie z lewego boku, i przyłożywszy prawą rękę do czapki, niby to melduje mi: „Panie poruczniku! — pokazując napis łuku tryumfalnego — widzisz pan jak to znają i szanują naszego majora z Pacem!“ Tak zakończamy wspomnienia nasze o roku 1809, nie pewni, czy wiek i oczy dozwolą nam jeszcze przedstawić czytelnikom dalsze lata i korzystać z uwag dość licznych przez dawnych kolegów nam dostarczonych.

Pisałem w Jasienicy w miesiącu styczniu r. 1859.

WSPOMNIENIE V

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA PIERWSZEGO,

mianowicie w latach 1810 i 1811.

Czytelnicy widzieli w poprzednich naszych wspomnieniach, że pułk gwardyi polskiej, liczny, prawie nigdy razem połączony nie działał; i tak, pierwszą kampanią roku 1809, obejmującą sławną bitwę pod Aspern i Essling, odbył tylko oddział pułku mniej więcej 300 koni wynoszący: to samo czytelnicy zobaczą w tych tu dalszych wspomnieniach z lat dwóch, poświęconych niemal wyłącznie oddziałowi podobnież mniej więcej 300 do 400 koni wynoszącemu, który od kampanii nad Dunajem, aż do wyprawy po za Moskwę, ciągle zostawał w Hiszpanii, wtenczas, kiedy większa daleko część pułku przebywała w Chantilly, i uczestniczyła w różnych uroczystościach i przejażdżkach Napoleona Igo, których piszący nie był świadkiem, a zatem bardzo mało o nich wspomina, zostawiając uzupełnienie o tych, może niemniej ciekawych szczegółach, współtowarzyszom broni,

póki jeszcze który z nich żyje; albowiem śmierć, co ich oszczędzała na tylu polach bitwy, dogania jednego po drugim w ich późnym wieku... Wszakże od zgonu syna naszego pułkownika, Zygmunta Krasińskiego, którego śmy uważali za dziecko regimentowe i jako takie kochali, nie doszła nas wiadomość o jakiej późniejszej stracie kolegi. Niech więc tu na pamiątkę zbyt wcześnie zgasłego nieodżałowanego naszego Zygmunta, wolno mi będzie obszerniejszą uczynić o nim wzmiankę. Kiedy matka jego Marya z Radziwiłłów, wychowanka Stanisława Małachowskiego, marszałka czteroletniego konstytucyjnego sejmu, bliską była połogu, piszący, niedawno przybyły z Hiszpanii, z łatwością skłonił rodziców, żeby syn spodziewany nosił imie Zygmunta, córka zaś Jadwigi, dwóch epok i wspomnień najświetniejszych w narodzie naszym; byłem obecny obrzędowi chrztu świętego, który się odbył dnia 19go lutego 1812 roku w parafii Notre Dame de Lorette; synek dostał imiona: Napoleon, Stanisław, Zygmunt; do chrztu świętego trzymali go: Ludwik Pac pułkownik wojsk polskich, były szef szwadronu naszego pułku, z Maryą z Łączyńskich Walewską, matką teraźniejszego ministra spraw zagranicznych państwa francuskiego; i Piotr Krasiński szef szwadronu naszego pułku, z księżną z Walewskich Jabłonowską. Zygmunt Krasiński był więc prawie równiennikiem Napoleona IIgo króla Rzymu, którego gdy cała Francya uznawała być swoim synem, pełna dla niego i dla siebie świetnych nadziei, my w pułku naszym podobnież uważaliśmy syna naszego dowódzcy, za dziecię pułku i wróżbę tak szczęśliwie poczynającego się roku, i długo z upragnieniem oczekiwanej kampanii... Gdy po skończonych wojnach, wojska polskie, nie z pomyślnością, ale z czcią i sławą wracały od Sekwany do Wisły, korpus oficerów pułku ofiarował jenerałowi Krasińskiemu, jako swemu od Napoleona samego naznaczonemu pułkownikowi, piękny pałasz na pamiątkę wzajemnych uczuć. Jenerał powierzył ten oręż młodemu Zygmuntowi do zabawy, żeby się na takiej pamiątce do podobnych uczuć zaprawiał, i kazał syna w dawnym narodowym stroju, bawiącego się owym pałaszem, odmalować, co

artysta bardzo zaletnie wykonał; a Kajetan Koźmian napisał na ten obraz wiersz następujący:

„Pogrom Trojan, a Greków walecznych nadzieja,
„Wiesz, czem się przed Ulissem wydał syn Peleja;
„Tak twój Zygmunt do zabaw szablę twą przyswoił,
„A czego nikt nie dopiął... ojca z niej rozbroił!“

Niech więc to wspomnienie, będzie od dawnego przyjaciela choć małym listkiem do wieńca wawrzynowego i dębowego, jaki *osobista zasługa* uwiła na nieśmiertelność Zygmuntowi Krasińskiemu!

Po trudach znamienitej kampanii, przeszedłszy Ren i wypocząwszy nieco w Strasburgu, podzieliwszy pułk na pochodowe kolumny, szliśmy jako jazda, częstokroć ubocznemi drogami, nie zajmując przepełnionej piechotą, artyleryą i pociągami pocztowej drogi, i prócz miast znaczniejszych, stawaliśmy w większej części po wioskach; sztab tylko pułku zostawał zwykle po miastach i miasteczkach. Już w marszu na wiosnę za Ren ku Dunajowi, uważaliśmy z zadziwieniem, idąc przez Alzacyą, że kraj ten niemówiący językiem francuskim, zdawał się nam być całkiem niemiecki; ale natenczas pośpiesznie maszerując, nie czyniliśmy nad narodowością Alzacyi dalszych uwag naszych; zdawało nam się, że ten kraj należący do Francyi od r. 1648, powinien był już stać się całkiem francuskim; tak to obcy sądzą o cudzych krajach; my, co Szląsk znaleźliśmy już niedość polskim, tu, byliśmy przeciwnego zdania względem krainy, która nas nie obchodziła. Niech nam to posłuży za naukę pobłażania jakiegokolwiek tym pisarzom zagranicznym, którzy nie ze złej woli, lecz tylko z niewinnej niewiadomości, piszą o Polsce, jakby o jakiej: *terra incognita*. Powiedzmy sobie, że wszędzie, tak w pojedyńczych osobach, jak i w zbiorowych narodowościach przebija się zawsze samoistność (egoizm), bądźmy więc wyrozumiałymi, póki ta niby niewiadomość nie przechodzi w wyraźne szkalowanie.

Wracając się do Alzacczyków, teraz kiedyśmy więcej zwiedzali ich wioski, mieliśmy sposobność uważać

zbieg okoliczności szczególnych, jakich może w innej krainie nigdzie niema. Wsie nie umiały języka francuskiego, były jakoby całkiem niemieckie; wszakże duchem i patryotyzmem nawet stały się francuskiemi. To przypisać należy licznym zaraz werbunkom w Alzacyi za Ludwika XIV; już pod tem panowaniem, pułk Alsace osiągnął ducha służby — *esprit de corps* — tak dalece, że gdy przy szturmie do Barcelony, marszałek Vendomme chciał ten pułk cofnąć od wyłomu przy którym był wiele ucierpiał, książę Bawarski de Birkenfeld, dowódzca pułku Alsace, odpowiedział mu: *Je tiens d' autant plus à rester à mon poste, que la brèche est défendue par les Allemands imperiaux; je veux leur montrer, que les Allemands de France, savent faire leur devoir*"—to jest po polsku: „Tem więcej pragnę pozostać na moim posterunku, że wyłomu bronią Niemcy cesarscy; chcę im pokazać, że Niemcy francuscy umieją dopełniać swej powinności." — Otóż to taki duch karności i punktu honoru wojskowego, rozszerzał się oddawna w pułkach alzackich, a cała prawie lekka kawalerya, mianowicie huzary, byli to Alzacczykowie. Do tego przyczyniły się reformy wewnętrzne od r. 1789. Alzacya spoglądała z dumą na swoich rodaków za Renem, trwających jeszcze w feudalizmie. Do tego ducha nowo francuskiego przyczyniła się także ta okoliczność: że w Alzacyi nie było owych dawnych rodzin arystokracyi francuskiej, która utrzymywała w właściwej Francyi partyą rojalizmu; przeciwnie, wojsko rzeczypospolitej, od początku rewolucyi aż do najświeższych czasów, zdobiło się imionami Alzacczyków, jako to: Luckner, Kellermann ojciec i syn, Krieg, Kleber, Klarke, Rapp, Ekselmans i tysiąc innych, tak, że gdy wówczas odbywaliśmy pochód nasz przez Alzacyą, mogła być uważaną za jednę z najżyczliwszych rządowi Francyi, a mienowicie też cesarzowi Napoleonowi. Jenerałowie francuscy, zwłaszcza kawaleryi, chociaż rodowici Francuzi, jak n. p. sławny Lasalle, przybierali obyczaje i wyrażenia Alzacczyków, tak dalece: iż jenerał Lasalle podpisywał się literami niemieckiemi; wzajemnie też Alzacczykowie przemawiali do ziomków za Renem:

„O Brüder! teutsches Blut, ihr noch bethörten Krieger!
„Sagt eurer Knechtschaft ab, seid ferner Freiheits-Sieger...
„Erkämpft euch dieses Recht, das man in Frankreich lehrt,
„Sterbt frei, lehrt, sucht und macht: dass euch die Nachwelt ehrt."

Co po polsku znaczy:

„Bracia! krwi niemiecka! o wy jeszcze obłąkani wojownicy
„Wyrzeczcie się waszej niewoli, bądźcie odtąd zwycięscami wolności,
„Zdobądźcie sobie te prawa, których Francya uczy,
„Umierajcie wolnymi, nauczajcie, szukajcie, i działajcie tak, żeby was potomność czciła."

Podobne do tych uwagi moglibyśmy czytelnikom podawać o tych prowincyach niemieckich, które później na lewym brzegu Renu należały do Francyi, lecz gdy te zwiedzaliśmy dopiero w latach 1813 i 1814, przeto wstrzymujemy się z temi szczegółami, do wspomnień dalszych o pobycie naszego pułku gwardyi polskiej nad Renem.

W przechodzie przez kraje Lotaryngii, byliśmy tak w Lunewilu jako i w Nancy witani przez tamecznych mieszkańców jakoby od pobratymców, z uczuciem i serdecznością. Lotaryngia cała zachowywała pamięć rządów filozofa dobroczynnego, Stanisława Leszczyńskiego. Ubiegano się pokazywać nam pamiątki po tym królu i małżonce jego Katarzynie z Opalińskich, a oprócz nagrobków w Lunewilu, było ich wiele, jako to: szpital i różne zaprowadzenia, wychowania młodzieży, nauk i bibliotek w Lunewilu; a w Nancy wiele pięknych budowl i zakładów z wielkim kosztem króla Stanisława wzniesionych. Zaiste! Lotaryngia jest to kraj wzywający Polaka do rozpamiętywania: Król Francyi ubiega się o rękę szlachcianki polskiej, otrzymuje z niej następcę tronu delfina, ulubieńca swego i całej Fracyi; królowa Marya żyje jeszcze i jest ozdobą dworu Francyi, a król Ludwik XV nie ma dość energii, żeby się sprzeciwiać upadkowi Polski, wtenczas kiedy Papież Klemens XIII pisze do niego d. 30go kwietnia 1767 list, z którego

wyjmujemy te słowa: „*Votre Majesté sait, que tous les peuples éclairés de la lumière de l' Evangile, ne forment qu'un seul Corps qui est l'Eglise Catholique, dont Jesus-Christ est le Chef. Aussi sommes nous surs d' avance, notre très cher fils en Jesus-Christ, que Vous n'aurez pas appris sans en être émus, les peines et les angoisses de nos frères de Pologne, et l' extrême danger ou se trouve en ce pays la Religion catholique. Les Dissidens ont mis tout en oeuvre... pour changer la constitution de la Republique, d' ou depend aussi le sort de la Religion catholique. Nous pensons notre très cher fils en Jesus-Christ, que quiconque comprendra les maux de ce Pays, et aura comme Vous un coeur dévoué à la foi Orthodoxe, n' hesitera pas d'employer tous ses soins pour écarter de l' Eglise cette calamité... Dieu Vous a donné tous ces biens notre très cher fils, principalement pour defendre sa cause... et pour eloigner par Votre autorité les violences qui menacent l' Eglise son Epouse et Votre bonne mère, C'est à Votre prudence de voir, par quelle voye il sera plus facile d' atteindre ce but: Quant à Nous, Nous croyons avoir rempli le devoir de Notre Charge, en Vous exhortant et cherchant à animer Votre ardeur pour que Vous saisissiez cette gloire qui paraît appartenir en propre au fils aîné de l' Eglise.*“ Takie było upominanie papieża do Ludwika XVgo, o którym tyle tylko wiemy, iż kiedy się oddał ministrowi Duc d' Aiguillon, i dowiedział się o postanowionym podziale Polski, wyrzekł boleśnie te słowa: „*Ah! si Choiseul eut été ici, le partage n'aurait pas eu lieu.*“ — Po Ludwiku XVtym nastąpił Ludwik XVIty. O wiele lat przed rewolucyą francuską i upadkiem tronu francuskiego, została podzieloną Polska r. 1772, a dopiero roku 1806 odezwał się monarcha Francyi do Polaków, z tem zdaniem: „że gdyby on był panował we Francyi za onych czasów, niezawodnie byłby na podział Polski nie pozwolił“.

Z takiemi to więc rozpamiętywaniami opuszczaliśmy Lotaryngią przesuwając się do coraz piękniejszych krain staro-francuskich. W okolicach Epernay zdarzyło nam się oficerom pierwszej kompanii, być na noclegu w wio-

sce niezamożnej, w której nie było austeryi, a w takich wioskach za pieniądze żadnych wiktuałów nie dostanie, bo Francuzi w takim razie albo odsyłają do karczmy, albo mówią: „nie jestem kupcem, nie mam nic na sprzedaż". Zostałem więc z dwoma oficerami moimi, bracią Hemplami Stanisławem i Joachimem, zakwaterowany do księdza plebana. Jakież było nasze zadziwienie, kiedy on nas przywitał złamaną polszczyzną! Był to ksiądz niegdy emigrant, który zachowując miłe wspomnienia gościnności polskiej, przyjął nas jak mógł, ubogo ale chędogo, i rozrzewniał wspomnieniami o kraju, do którego już od lat kilku tęskniliśmy.— Niedaleko ztamtąd w Chateau Thierry, miałem spotkanie innego rodzaju. W miasteczku tem, jako dowódzca kompanii, miałem kwaterę w domu zamożnym wdowy podeszłego wieku. Zwyczajem moim było, w podobnym przypadku, zgłosić się z wizytą do właścicielki; co uczyniwszy, zostałem dość etykietalnie przyjęty przez matronę, w pokojach przypominających czasy dawniejsze. Rzekła do mnie: „To jak widzę, pan nie jesteś Francuzem?" — Nie mam tego zaszczytu" — odpowiedziałem; — „A do jakiegoż to pan narodu należysz?"— „Jestem Polakiem"— „Pan jesteś Polakiem!... a to pan musisz być szlachcicem?" Odrzekłem obojętnie: —„W samej rzeczy jestem nim." — „Ach! pan jesteś szlachcicem! jakże ja jestem szczęśliwa, od tylu lat pierwszego szlachcica posiadać w moim domu!" i t. d. Dama ta, pokazując mi obrazki krewnych, ozdobione orderem ś. Ludwika, zaczęła się unosić nad instytucyą szlachectwa, sposobem odpowiednim zapatrywaniu kasty *de Ci-devant* we Francyi, ale wcale niestósownej do opinii w wojsku francuskiem, a zatem i w naszym pułku zaprowadzonej, o której dotknęliśmy już wyobrażenie w pierwszem wspomnieniu o pułku gwardyi polskiej, lecz której nie możemy dość powtarzać: że w pułku naszym — a jak z pociechą widzę po pamiętniku pułkownika Wojciecha Dobieckiego — i w pułku ułanów nadwiślańskich, co bezwątpienia się stosuje i do legionów, nie znano innej różnicy między towarzyszami broni, tylko tę, jaką daje: odznaczenie, zasługa, zdolność, nauka; nie pytano o ród, o majątek, wszyscyśmy

byli bracia, bo Polacy, z tą jednak różnicą: że byli bracia starsi i młodsi; wszyscyśmy się kochali jak bracia, tak Radziwiłły, jak prości wieśniacy lub mieszczanie i przedmieszczanie, a zasady jakieśmy powzięli w dzieciństwie od twórców konstytucyi r. 1791, utrwaliły się w nas nową ustawą księstwa warszawskiego: „że w obliczu prawa wszyscy ludzie są sobie równi, tak jak katolicy w kościele.“ — Batalion, szwadron, stojący w szyku, wyrównany, kilku oficerów przed frontem, a dowódzca na przodzie, to jest początek szlachty w Polsce; nieinaczej ją pojmują najdawniejsi dziejopisowie; szlachta, było to wojsko: przez swywolę i czas, przeszło w pospolite ruszenie; a jak czas wszystko niszczy, tak zniszczył i tę instytucyą, niegdy poważną, później stającą się ciężarem... bo jak mówiła dama w Chateau Thierry, *„noblesse oblige“*... Wszakże dożyliśmy i tego zmartwienia, którego źródło nie jest nam jeszcze zrozumiałe, że nam straszliwie uczeni nowocześni nasi chcą wyperswadować: że nie pochodzimy od Polaków! Otóż ja dla nich ten ustęp piszę: żeby sobie przeczytali historyą oblężenia Saragossy przez Mrozińskiego, zdobycie Somo-sierry przez Niegolewskiego, i Dobieckiego o pułku ułanów nadwiślańskich, a powiedzą nam potem: czy nasi szeregowcy, podoficerowie i dowódzcy byli szlachtą polską? lub nie? i czy pochodzą od Lecha Polaka? czy od Lecha Niemca!... jeżeli zaś nie znają ich za szlachecko urodzonych, to przecież będą musieli przyznać; że byli szlachetnie wychowani.

Gdyśmy się zwrócili z traktu paryskiego od miasta Meaux do Senlis, doszła wiadomość do czoła kolumny naszego pułku, że gmina Chantilli — jak wiadomo, miejsce naszego garnizonu — zbierała się przyjąć uroczyście nasz pułk powracający z wojny; nadjechał więc i nasz pułkownik Krasiński, a d. 5 grudnia 1809 przyjęty był przez radę municypalną z prezesem swoim na czele, która się była udała na spotkanie i powitanie pułku naszego, wręczając dowódzcy wieniec laurowy z pochlebnem przemówieniem do zwycięzców z pod Rio-Seco, Somo-sierry i Wagram, którzy po raz pierwszy połączonym pułkiem przybywają do nich do Chantilly na

leże. Cała ludność Chantilly była się wysypała na powitanie nas, i wprowadziła pułk do tej dawnej siedziby Kondeuszów z okrzykami: Niech żyją Polacy! Jest więc temu pół wieku, jak za granicą jazda nasza takiej doznała czci; daj Boże! by za drugie pół wieku, podobna jaka okoliczność podała imie i chwałę narodu naszego pamięci potomności.

Cesarz Napoleon wrócił był z Wiednia do Fontainebleau d. 26go października; natychmiast się zajął wysyłaniem posiłków do Hiszpanii; kiedyśmy zatem z początkiem grudnia stanęli w Chantilly, zastaliśmy już rozkaz, żeby 150 koni z pułku maszerowało niezwłocznie do Hiszpanii pod dowództwem 1go majora pułkownika Delaitre, z odpowiednim sztabem, ponieważ tenże wyższy oficer miał dowodzić regimentem złożonym z różnych pułków gwardyi konnej lekkiej jazdy. Każdy z nas oficerów, co wróciwszy na wiosnę z Hiszpanii, zaraz pospieszyliśmy z Paryża do Niemiec, życzyliśmy sobie choć przez chwilę wytchnąć w tej stolicy i odpocząć trochę w Chantilly — ale tak pułkownik Krasiński jak i mój szef szwadronu Tomasz Łubieński, wystawiali mi: że będąc dowódzcą 1ej kompanii jako porucznik pełniący obowiązki kapitana, będąc podany do krzyża wojskowego polskiego i do dotacyi dziedzicznej 500 franków rocznego dochodu, wypada mi podać się dobrowolnie do tego 1go oddziału hiszpańskiego; jakoż za moim przykładem poszli bracia Hemplowie Stanisław i Joachim, tudzież insi oficerowie, których jednak prócz wachmistrza szefa Kiełkiewicza w tym pierwszym oddziale nie mogę sobie przypomnieć; to tylko wiem, że ledwie zobaczywszy Paryż przez dni kilka, i przebywszy w Chantilly czas ściśle potrzebny do wybrania się w nowy tak daleki marsz 150 koni, wyruszyłem jeszcze przed nowym rokiem na czele tego oddziału, bo ani major Delaitre, ani kapitan Szeptycki nie byli jeszcze gotowi do marszu, a zatem sztab dla pułkownika Delaitra przeznaczony wymaszerował i dojeżdżał w drodze pod mojem dowództwem. — W Rembouillet, jeżeli się nie mylę, złączyliśmy się z oddziałem strzelców konnych gwardyi i mameluków, którym dowodził szef szwadronu Kirmann,

dowódzca korpusu mameluków; ten więc objął dowództwo połączonych oddziałów; nie pamiętam ich mocy — prócz naszego — tylko ztąd wnioskuję, że mamelucy prawie w całej możebnej liczbie wystąpili, że dowódzca ich sam był na czele, a przy nim płatnik korpusu mameluków porucznik Merat, pełnił ten obowiązek na cały regiment pochodowy lekkiej jazdy gwardyi.

Wkrótce złączyliśmy się w Tours z dywizyą piechoty gwardyi, którą prowadził jenerał Roguet, a który i naszej jazdy objął zwierzchne dowództwo.

Postępując dość wolnemi marszami i każdodziennie obcując z oficerami francuskimi, przyszło zaraz w tym marszu do częstych rozmów o projektowanym rozwodzie Napoleona z Józefiną; bolesne ta wiadomość sprawiła wrażenie na strzelcach konnych gwardyi, których pułkownikiem dowódzcą był wicekról włoski książę Eugeniusz Beauharnais, jak wiadomo, syn Józefiny. Strzelcy konni namiętnie kochali księcia Eugeniusza, uważali go jako syna i następcę tronu Napoleona, bo go był za takiego przybrał; weterani ci wspominali z zapałem dowództwo pułku tego księcia, nim się przeniósł do Medyolanu, a Józefinę kochali jako anioła stróża jenerała i 1go konsula Bonapartego; oni także po wielkiej części mile wspominali jenerała Moreau, i częste miewali wieści, jakoby cesarz z nim się był pogodził, i że mu powierzy naczelnictwo w wojnie hiszpańskiej... Z tych i podobnych rozmów owych dawnych żołnierzy rewolucyi wynikało, że projekt rozwodu był im bolesny — wkrótce gdy zamiar, ten już się potwierdził, nie upatrywali ci weterani innego związku za granicami Francyi możebnym, tylko z królewną saską, bo to był jeden dwór przyjazny Francyi, i którego sprzymierzenie bliższe rokować mogło co raz ściślejszy związek z Polską; — można sobie wystawić, ze takie samo było zdanie nasze, nikt zaś w obecnej kolumnie marszowej nie przypuszczał związku małżennego z dworami, z któremi się zostawało po kilkakrotnie, prawie ciągle i świeżo w zaciętych bojach. Tymczasem odbywały się dyplomatyczne negocyacye, które do nas nie dochodziły, a pó-

żniejsze wypadki dowiodły, że zdania dawnych guidów Bonapartego były szczere i rozsądne.

W dalszym pochodzie, przyszło nam po raz trzeci odwiedzić miasto Chattellerault, wsławione, jakoby porwaniem Sabinek przez Polaków.

Gdy pierwszy raz przechodziliśmy przez Chatellerault w pochodzie do Hiszpanii, w zimie r. 1807 na 8my, nie było jeszcze najmniejszej wzmianki o owem — iż tak powiem — mitologicznem zdarzeniu.... Kiedyśmy zaś wracali z Hiszpanii z początkiem r. 1809 już było się o tej wieści uciszyło, tem bardziej zatem teraz w zimie z r. 1809 na 10ty; ale ponieważ wzmianka o tem jakoby zdarzeniu, w nrze 8ym Czasu z d. 12go stycznia 1853, powodem była do reklamacyi naszej w nr. 22 z d. 28go stycznia tegoż roku, a następnie wezwani zostaliśmy d. 11go lutego 1853 do pisania w francuskim i polskim języku pamiątek naszych o owych czasach księstwa warszawskiego i owoczesnych wojnach Napoleona Igo; sądzimy więc, że tu jest miejsce jeszcze raz nadmienić o tym epizodzie w Chatellerault, żeby z takowego błahego ale rozpowszechnionego zarzutu, najzupełniej oczyścić imie gwardyi polskiej lekkokonnej Napoleona Igo, i przekazać dzieciom naszych towarzyszów broni wiadomość o tym wypadku, odpowiadającą istocie prawdy; rzecz tak się ma:

Gdy na początku roku 1809 wracałem z Hiszpanii, zdarzyło mi się w mieście Barsac, sławnem winami, mieć kwaterę w domu zamożnym przez damy zamieszkanym. Stósownie do mego zwyczaju, oświadczyłem służącej, że życzę sobie oddać wizytę właścicielce domu — po wielu trudnościach, zostałem nakoniec przyjęty. Przemówiwszy do dam obecnych kilka słów; rzekły do mnie: „Pan jesteś Francuzem?“— „Nie mam tego zaszczytu, odpowiedziałem, jestem Polakiem.“— „Czy to być może?! myśmy wszystkie obawiały się pana przyjąć, bo miałyśmy na kwaterze oficera Polaka, który nam wiele nieprzyjemności wyrządził.“ — Obeszło mnie to bardzo; nazwiska tego oficera, ani pułku do którego należał, nie umiały mi te damy powiedzieć, tylko poznałem z ich opowiadania, że to był jakiś oficer od piechoty; przed-

stawiłem więc tym damom: że w każdym narodzie, a nawet w każdym pułku, są ludzie niejednakowego wychowania; że mi jest wiadomo dowodnie, iż częstokroć oficerowie Francuzi bardzo się niegrzecznie i nad wszelki wyraz nieprzyzwoicie obchodzą po kwaterach we Francyi; starałem się sprostować opinią tych dam o naszym narodzie, trafiało się albowiem w tych przechodach armii francuskiej z Niemiec do Hiszpanii, że Francuzi będąc bardzo przykrymi dla gospodarzy swoich, straszyli ich Polakami, i różne niedorzeczności o nas — jakoby na postrach — wygadywali; taką też anegdotę puścili w obieg o mieście Chatellerault, które słynie z fabryk nożów, nożyczek i podobnych drobnych wyrobów. Prawda, że dziewczęta z naprzykrzeniem nadchodzą podróżnych, a także i wojskowych po kwaterach, żeby się pozbywać owych użytecznych drobiazgów, które w koszykach roznoszą; to mogło dać powód do wieści: jakoby pułk 7my piechoty księstwa warszawskiego, dowództwa pułkownika Sobolewskiego, był dla gorąca przedsięwziął wymaszerowanie z tego miasta wieczorem przy muzyce pułkowej, i jakoby po za miasto wiele panienek i różnych kobiet było pułk odprowadzało, i że za miastem, gdzie był spacer gęsto drzewami wysadzony, pułk się był zatrzymał, i rapt Sabinek przez Rzymian był naśladował... Trudno przypuścić, żeby pułkownik Sobolewski, rodzony brat Ignacego, znanego kilkokrotnego ministra, jeden z najznakomitszych wojskowych naszych, był pozwolił na taką niedorzeczność... Może co zaszło przy tylnej straży pułku, ale Francuzi częścią złośliwie, częścią z nieprzyzwoitą wesołością rozgłosili ten jakoby wypadek, który jak wszystkie podobnego rodzaju pogłoski, rósł z drobnostki do coraz większych rozmiarów. — Kiedy po raz drugi przechodziłem przez Chatellerault, słyszałem: że miasto zaniosło skargę do cesarza, lecz ten miał odpowiedzieć: „Iż jeśli się co stało, kobiety miasta Chatellerault same temu są winne, bo uczciwe kobiety i panny, nie powinny chodzić za żołnierzami, za ich muzyką po nocy.“— Powtarzam więc, że mniemany wypadek w Chatellerault, nie miał nic w sobie osobliwszego, ani honor wojska polskiego obrażającego, a tem mniej pułku gwar-

dyi lekkokonnej polskiej Napoleona Igo, ani pułku ułanów nadwiślańskich; bo jeżeli co zaszło, to zaszło w piechocie, a pp. oficerowie pułku 7go piechoty ks. warszawskiego, jeżeli jeszcze żyją, chwalebnieby uczynili, gdyby nam bliższą wiadomość o tej powiastce podali.

Postępując dalej ku Hiszpanii przeszliśmy miasto Angoulème, którego położenie zdawało nam się przypominać coś polskiego, niby Wawel skalisty, niby Kamieniec podolski... oba rzekami wieńczone, tak jak Angoulème rzeką Charante (Szarant).

W okolicy lesistej, niedaleko tego miasta, zdarzyło mi się mieć nocleg w domu, czyli raczej w folwarku wiejskim, porządnie i dostatnio zabudowanym, ale w miejscu odludnem, do którego przez znaczne lasy trzeba się było dostać. Gospodarz, był staruszek wiejskiego stanu, przy kominku w krześle przesiadujący; posadzka w pokoju ceglana, ale izba obszerna, porządna, w której widać było zamożność; proszono mnie do obiadu; nakryto mi w tym samym pokoju w którym gospodarz przebywał; bielizna stołowa świeża, czysta, sztućce srebrne, obiad niewykwintny, ale smaczny, gospodarski, wino domowe ale bardzo dobre, bo to już zbliżaliśmy się ku Bordeaux... zresztą cały ten dom był chłopski; kobiety i dziedzic już ożeniony, w sabotach. Czynię relacyą tych wszystkich drobnych okoliczności, żeby czytelnikom dać obraz o chłopku francuskim. — Po obiedzie, gdy przysiadłem się do mego gospodarza pod kominem, zaczął mnie staruszek badać: do jakiego pułku należę? kto jestem? i t. p. Gdy mu odpowiedziałem: że jestem *de la Garde de l'Empereur* — z gwardyi cesarza — zawołał na syna: „Fanfan! — Franusiu — cóż mi to ten pan mówi, że jest ze straży jakiegoś tam cesarza, cóż to ma znaczyć?“... Na to mu syn tłómaczył jak było, a staruszek obracając się do mnie, odzywa się: „Panie! już wiedziałem, żeśmy przestali mieć króla.... ale żebyśmy mieli cesarza... to pierwszy raz słyszę“. — I to się działo po kampanii wiedeńskiej w końcu r. 1809, właśnie wtenczas, kiedy nas dochodziły wieści o związku cesarza z domem Habsburgów!... Otóż to jest obraz z ustronia francuskiego, nie łatwy do pojęcia: żeby wie-

śniak tyle zamożny, tak mało wiedział o zmianach zachodzących w kraju; lecz to dowodzi, jak tam we Francyi fiskalność jest względna, czyli raczej: że są podatki, ale niema ducha fiskalności... bo gdzież u nas podobne zabudowanie folwarczne, mogłoby się ukryć przed bezustannemi odwiedzinami urzędników wszelkiego stopnia, a za ich bytnością, byłby dostatni gospodarz aż nadto poznał hierarchią swego kraju.

Od połączenia się naszego oddziału z kolumną szefa szwadronu Mameluków Kirmann, maszerowaliśmy zawsze w uprzejmej zgodzie, a ile razy oficerowie wspólnej kolumny byli razem na noclegu lub dniowym wypoczynku, zwyczajem wojska francuskiego jadali wszyscy oficerowie obecni u jednego stołu pod prezydencyą komendanta, którym tu był pułkownik Kirmann, prawdziwy typ Alzacczyka, jakeśmy tego rodu wojskowych francuskich powyżej skreślili. Mało co umiał po francusku i wymawiał sposobem, czasami trudnym do zrozumienia; ale rzadko i to tylko w poufałości, np. zemną, przemawiał po niemiecku, zwyczajnie używał tylko języka francuskiego, był zapalonym oficerem francuskim; od wstąpienia do wojska, słynął czynami nadzwyczajnej śmiałości i siły; później zostawszy oficerem, wreszcie kapitanem, wsławił się komendami partyzanckiemi. Jakoż, choć nie miał wyższego wykształcenia, posunął go cesarz na sztabsoficera swej gwardyi, ale uwzględniając jego niższe usposobienie osobiste, oddał mu komendę Mameluków. Był pułkownik Kirmann rzadkim obrazem w starej gwardyi: z natury Niemiec, z upodobania oficer francuski, ze stroju Turek, wysoki, suchy, byłby dla obcych widzów śmiesznym, ale reputacya wielkiej brawury, twarz naznaczona szramami od pałasza, czyniły go poważnym, a dobroć serca i uprzejmość umysłu powszechnie kochanym. Pod takim więc przewodnikiem obiadowaliśmy wspólnie, Szassery, Mamelucy i Polacy, w miasteczku St. André de Cubzac nad rzeką Dordogne, a prowadząc rozmowę koleżeńską o nowinach czasowych i o różnych przygodach wojennych, rozeszliśmy się dość późno w noc do kwater naszych. Ponieważ, chociaż tylko porucznik, byłem komendantem oddziału Polaków, którym miał być

nieobecny pułkownik Delaitre, doktor naszego pułku Deplace i inni sztabowi oficerowie kwaterowali przy mnie. Rozmawiałem jeszcze sam na sam z doktorem Deplace, kiedy nas dolatuje hałas z ulicy, pomięszane krzyki francuskie i polskie, wyraźnie bitwa Polaków z strzelcami konnymi gwardyi. Żywo mnie to obeszło, a poczciwy Deplace, jako Francuz jeszcze z expedycyi egipskiej, daje mi niby przestrogę: „niech się nasza młodzież nie porywa na francuskich wąsatych wiarusów! boby na tem źle wyszła“... Ja wybiegam z domu i pośpieszam do miejsca gdzie tumult... i cóż znajduję? strzelca konnego leżącego we krwi,... jak się pokazało, nieżywego, i kilku szwoleżerów naszych, spokojnych ludzi, ubolewających nad tym wypadkiem. Strzelec konny zabity, był kowalem w kompanii, miał przezwisko Rebelle; był to człowiek wielkiej siły, zuchwały, lubiący wszczynać kłótnie; w szynkowni więc, zaczepił Zielińskiego z Pragi pod Warszawą, który także wielkiej był siły; wszczęła się kłótnia między obecnymi obu pułków, ale Polacy wyparli Francuzów z szynku na dwór, okna i ruchomości zostały potłuczone, a zaraz za drzwiami domu szynkownego padł strzelec konny Francuz, cięty pałaszem w tył głowy tak mocno, że doktor Deplace, natychmiast przywołany, już w nim nie znalazł życia.

Pierwsze to było zajście tego rodzaju między pułkami stowarzyszonemi służbą i przychylnością. Jako czasowy dowódzca oddziału, w którym się zdarzył taki wypadek, mocno się lękałem odpowiedzialności i gniewu cesarza, któremu to zdarzenie bezwątpienia, a może i złośliwie, przesadnie doniesionem będzie. Rozżalenie i skargi mieszkańców, zagodziłem łatwo, płacąc im sowicie za podane szkody przez tę kłótnię wyrządzone; względem zaś kolegów strzelców konnych, wypadało się stawić obojętnie; jakoż oni sami przyznawali: że poległy był człowiekiem niespokojnym, co samo przezwisko jego *Rebelle* oznaczało.

Nazajutrz gdyśmy się uszykowali do marszu, pan szef szwadronu Mameluków, komendant kolumny Kirmann, zapytuje mnie z góry: „jak to ja trzymam mój oddział, że się takich dopuszcza excesów?“ Na to ja:

„Nie inaczej trzymam moich Polaków, jak pan szef trzymasz swoich szaserów; kłótnia była wzajemną, a zaczepka ze strony szasera, który poległ; obrażony jest przezemnie aresztowany, jeżeli p. szef jako dowódzca kolumny, chce go poddać pod sąd wojenny, nie mam nic przeciwko temu, ale przekonany jestem, że będzie od kary śmierci wolny, bo go nieboszczyk obraził, a miał reputacyą zaczepnika i kłótnika.“ — Na to poczciwy Kirmann: „Ja wpana znam, *foyez pien (voyez bien)* i bardzo żałuję, że się taki przypadek wydarzył, ale to już nie odemnie zależy, lecz od jenerała Roguet, który całą kolumną gwardyi dowodzi; radzę ci, pojedź sam do niego naprzód do Bordeaux, żeby nie był przez kogo złośliwie uprzedzony, *foyez pien.*“ — Takie miał przysłowie szanowny i poczciwy Kirmann, Alzacczyk, wielki patryota francuski, ale który niegodziwie mówił po francusku, jakeśmy powyżej zamieścili.

Udałem się więc naprzód do Bordeaux, lękając się jenerała dywizyi Roguet, którego nie znałem, a którego w piechocie gwardyi miano za bardzo surowego służbistę. — Zastałem jenerała u stołu, licznym sztabem otoczonego; gdy mu zameldowałem: „że jestem komendantem oddziału szwoleżerów polskich, i że mnie smutny wypadek śmierci jednego Francuza z gwardyi szaserów konnych do niego sprowadza,“ — odpowiedział przedewszystkiem: „Bardzom rad poznać wpana, siadaj pan obok mnie, pomówimy z sobą, ja bardzo szacuję i lubię Polaków; a co się tyczy wypadku jaki się u was w kawaleryi wydarzył, cesarz na to jest wyrozumiały; żołnierze zwłaszcza z różnych pułków, nie mogą się czasem nie pokłócić... Zresztą, jest to o jednego ladaco mniej... nie mówmy już o tem“.... Tak się uspokoiła moja obawa pomsty nad Polakami za śmierć jednego gwardzisty francuskiego, i poznałem w jenerale Roguet dowódzcę, który później w każdem spotkaniu okazywał się przyjacielem Polaków, i był wielkim wielbicielem Napoleona, i dzielnym wojownikiem.... żył długo i był zawsze jednym z pierwszych stronników bonapartyzmu; — i obecnie jest w służbie Napoleona III jenerał Roguet, ale wątpię żeby ten sam, i nie mia-

łem sposobności dowiedzieć się o jego osobistych stosunkach.

Oddział nasz wypoczywał przez dni kilkanaście w Bordeaux; tam zastałem list mego szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, mojego wówczas wielkiego przyjaciela; w którym liście pisze: „że pośpiesza donieść mi o moim awansie na kapitana, że on pragnie być pierwszym w doniesieniu mi tej nowiny“.... Na nieszczęście, polegając na tak poważnem zawiadomieniu, nie taiłem tego przed moimi oficerami podkomendnymi, którzy znowu udzielili tej wiadomości oficerom od szaserów i Mameluków. Przyszli więc do mnie ci oficerowie z życzeniami swemi, i odtąd tytułowano mnie kapitanem... aż później ta wiadomość nie potwierdziła się... okazało się, że wprawdzie byłem na kapitana podany, ale cesarz dopiero d. 17 lutego 1811 nominacyą podpisał, a mnie doręczoną została aż w marcu w Valladolid. Zawód ten był dla mnie tem boleśniejszy, że ja nigdy nie pobłażałem ani swojej ani niczyjej chełpliwości, i rad poprzestawałem na pełnieniu obowiązków kapitańskich od placu bitwy pod Wagram.

Atoli wówczas zastawszy w Bordeaux zakład pułków pieszych księstwa warszawskiego, 4, 7 i 9 pod dowództwem pułkownika Wierzbickiego, przy którym byli kapitanowie: Popiel i Wasilewski, oraz kilku oficerów z ran i chorób rekonwalescentów, gdy mnie ci wszyscy kapitaństwem pozdrawiali i tytułowali, umyśliłem dać obiad dla oficerów naszej kolumny jazdy gwardyi i pp. oficerów polskiej piechoty, celem zapoznania się tych towarzyszów broni między sobą... co naturalnie sprowadziło dość liczne zebranie i wesołe toasty, przy winach jakiemi Bordeaux słynie.

W tem pobrataniu się koleżeńskiem, pokazało się, że między stołownikami była znaczna liczba wolnych mularzy (*maçon*). Kapitan Wasilewski dawny mój znajomy z Warszawy, jako oficer ze sztabu księcia Józefa Poniatowskiego i siostrzan jenerałowej Zajączkowej, wiedząc, że się tłómaczę z łatwością w języku francuskim, namówił mnie i wielu obecnych, żeby odwiedzić lożę masońską w Bordeaux i afiliować się do niej.

W Warszawie krewny mój daleki, ale przyjaciel bliski Jan Kanty de Rivière-Załuski, wówczas sędzia pokoju, z czasem prezes sądu apelacyjnego w Warszawie, był wielkim zwolennikiem i wysokim urzędnikiem masoneryi; skoro więc uzyskałem w Finkenstein nominacyą na oficera, przedstawił mnie w loży Izys w Warszawie, odbywającej swe posiedzenia w domu czerwonym przy ulicy mazowieckiej; i zostałem masonem 1 stopnia, to jest uczniem... a później przed wymarszem z Warszawy już do Francyi, wyjednał mi przewielebny mistrz katedry Jan Kanty Załuski, drugi stopień masoński, to jest czeladnika... Ja zaś podzielając zapał mego krewnego i przewodnika w masońskiwie, w mowie pożegnalnej ofiarowałem do księgozbioru loży bilet mój prenumeracyjny na słownik Lindego, i zbiór map Polski pułkownika Perthes, z rozkazu cesarza Napoleona w małej ilości w Warszawie odbity; co tu nawiasem przytaczam, bo te mapy Perthesa są tak rzadkie, iż wielu o ich istnieniu powątpiewa, tak dalece, że gdy przed kilku laty pisałem do Wejmaru do wydawcy map p. Perthesa, pytając go o wiadomość o jego imienniku inżynierze Perthes pułkowniku w służbie polskiej za Stanisława Augusta, i czy nie posiada map jego Polski do zbycia? odpisał mi: „że lubo się podobnie nazywa, nigdy nie słyszał o pułkowniku inżynierze Perthes, a tem mniej o mapach Polski, jego roboty.“ — Niechże mi więc czytelnicy wybaczą ten ustęp, nie mający związku z pułkiem o którym piszę, prócz tego uczucia: że co tylko obchodziło i obchodzi Polaka, nic z tego nie było obcem sercu oficerów polskich gwardyi Napoleona I.

Wracając do opowiadania dalszego pobytu w Bordeaux, piszę dalej, że kapitan Wasilewski przedstawił mnie, jako aktualnego czeladnika wolno-mularskiego warszawskiego, do awansu na masona mistrza, a Dominika Kiełkiewicza *) mojego wachmistrza szefa 1ej kompanii, jako adepta do loży wolno-mularskiej w Bordeaux.

---

*) Pisząc to nie wiedział wydawca, że major Dominik Kiełkiewicz były kapitan gwardyi polskiej, świeżo umarł na Wołyniu.

Nie obeszło się bez tego, że miałem przemówienia do braci w tym sensie: „że jeżeli wszystkie narody wykształcone, coraz więcej połączają się braterstwem ludzkości, to wszelako dwa narody francuski i polski, już od wieków podzielały to wzajemne uczucie, które obecnie skojarzyły coraz ściślej wielkie dzieła Napoleona.“

Dominik Kiełkiewicz zaś przechodził mężnie — o czem nie można było wątpić — wszystkie najwykwintniejsze postrachy i próby zakonne. — Kiedy się mówi o masoneryi, a bezwątpienia po raz pierwszy i ostatni, niechaj mi wolno będzie w tem miejscu dodać: że gdy Antoniego Jankowskiego, 1go porucznika mojej kompanii, przyjmowano w Paryżu do zakonu Masonów, a on pytany był według formalności wolno-mularskich: „czyby się czuł sposobnym zabić nieprzyjaciela zakonu, gdyby mu nakazano?...“ Jankowski zamyśliwszy się nieco odrzekł głośno: „Mości panowie! jeżeli tu jest mowa o cesarzu, to nie!“ Można sobie wystawić, jaki popłoch sprawił ten polski wyraz w loży paryskiej... zewsząd odezwały się głosy: „Ależ, czyż pan możesz przypuszczać taką myśl!... to jest tylko pytanie naszego katechizmu... siadaj pan między nami... bez dalszych formalności“ i t. p. Ten to sam Jankowski który stracił życie w roku 1831 d. 15 sierpnia w Warszawie za niepobicie Rydygiera; był to jeden z oficerów naszych najzdolniejszych, odznaczony kilkakrotnie, ale nie wyżej szefa szwadronu. — Nie byłem nigdy zapalonym Masonem, ale nie mając nic przeciwko zasadzie ścisłego braterstwa, którego nas sama ewangelia uczy, owszem, ceniąc wysoko tę zasadę w organizacyi wojskowej, nie unikałem od wolno-mularstwa... jednakże od Warszawy w jesieni 1807 roku, nie znajdowałem się w loży, aż wówczas w Bordeaux... lecz i tu, jakież spotkało mnie rozczarowanie?... Kiedy okryty oklaskami usiadłem na ławie jako nowy i doskonały mistrz między mistrzami,.... aż tu wkrótce mój sąsiad z prawej strony, podaje mi swój adres... a następnie to samo mój sąsiad z lewej strony.... jeden był rękawi-

cznik a drugi pasamonik, oba zalecali mi swój towar jako bracia bratu.

Zdaje się, że gdy rewolucya francuska ostudziła wszelkie teoryc, czyli mody wieku 18go, a Napoleon ujął takowe w rygor szeregowy, korporacye Masonów pozostały tylko jakoby igraszki niewinne. — W Warszawie, po r. 1814 uczęszczaliśmy znowu do loży Izys, przeistoczonej na świątynią Kazimierza Wielkiego, a to z innych względów oprócz braterstwa ludzkości, — ale co jeszcze ciekawsze, że w Petersburgu, imieniem warszawskich braci, pozdrawiałem w mowie polskiej braci nadnewskich z loży orła białego. Jakiż to przeciąg czasu, i miejsc! i okoliczności!...

— Kiedyśmy po mniej więcej przedłużonym, ze wszech miar bardzo przyjemnym pobycie w pięknem Bordeaux, mieli już to miasto opuszczać, wydarzył się następujący wypadek:

Urzędnik, imieniem mera miasta (osoby w Bordeaux wysokiego znaczenia) przyprowadził do mojej kwatery starego Francuza zapłakanego, skarżącego: „że mu Polacy skradli skarb zakopany w nawozie stajni, w której kilkanaście koni polskich stoi, a te mają wychodzić w marsz.“

Przerażony skargą tak ochydną dla imienia polskiego, udaję się natychmiast osobiście do rzeczonej stajni... dopytuję się i słyszę: że niejaki Fareńko, były ułan austryacki, weteran, nietylko że stał w tej stajni, ale przez kilka dni, w zastępstwie za drugich, odbywał służbę stajenną, sam jeden zostając tam przy koniach przez kilka nocy... Wielkie podejrzenie padało na Fareńkę; ale Sobański młodzieniec odznaczający się wychowaniem, przystępuje do mnie i rzecze: „Panie kapitanie! ja ręczę, że nikt z nas tej kradzieży nie popełnił, a najmniej Fareńko... proszę pana kapitana nie brać tego wypadku za żywo, a ja obiecuję rzecz tę wykryć...“ Wracam stroskany na moją kwaterę, upewniając onego komisarza magistratu: „że wkrótce sprawa ta będzie wyjaśniona.“ Te moje słowa, ani komisarza, ani poszkodowanego właściciela, wcale nie zadowolniły... aż wkrótce nadbiega Sobański z workiem złota, i z radością wręcza mi ta-

kowy, mówiąc: „że był zakopany w nawozie, ale konie przez dni kilka stojąc na miejscu, skopały dawny nawóz tak, że staruszek, rewidując swoją kryjówkę, a widząc ją naruszoną, strach go ogarnął, i narobił wrzawy.“ — Otrzymawszy worek złota z rąk Sobańskiego, pytałem skarżącego: „wiele miał pieniędzy?“... Najprzód bał się wyrzec i przyznać do tak sporej sumy... nakoniec ją podał... przerachowałem, było znacznie więcej... Biorę więc z sobą szwoleżera Sobańskiego i Francuza skarżącego i udaję się w procesyi licznego ludu na ratusz do mera miasta... Tłum ludzi się wzmaga, zwabiony krzykiem staruszka: „O dobrzy ludzie! o poczciwe Polaki!“ — ja zaś korzystam z tej okoliczności, żeby w oczach maira miasta Bordeaux, męża tak znakomitego, i w obec tylu świadków, podnieść opinię o zacności polskiego narodu, i honorze polskiego żołnierza, i przemawiam uroczyście: „Oto mam zaszczyt przedstawić panu mairowi prostego szeregowego z pułku polskiej gwardyi konnej cesarza.... nietylko wraca właścicielowi pieniądze, ale wraca więcej, niżeli on podał... prosi tylko pana Maira, żeby temu mieszczaninowi dał naukę: na przyszłość skarbu w nawozie w stajni nie zakopywać, bo gdyby tam nie byli stali żołnierze polscy, ale jaki podróżny furman był to złoto naszedł, jest wielkie podobieństwo, żeby go właściciel nie odzyskał.“— Wypadek ten stał się w Bordeaux rozgłośnym, gdzie wszakże już od r. 1808 Polaków, to jest nasz pułk bardzo lubiono. Maire nie mógł się dość odchwalić i podziękować, odprowadzał mnie aż do schodów ratuszowych, lud zaś towarzyszył mnie i kolegom z pułku aż do mojej kwatery, z okrzykami: niech żyją Polacy!

Zaraz po tem zdarzeniu, oddział nasz opuścił Bordeaux i udał się w krainę zwaną: La Réole. — Nie wiem jaka zachodziła przyczyna, że wyprawiwszy nas z pośpiechem z Chantilly z pod Paryża do Hiszpanii, teraz zatrzymano nas w Bordeaux, i w rzeczonej okolicy, a jak to później zobaczymy, i przed granicą Hiszpanii.

Nie pomnę już, jak szef szwadronu Kirmann rozlokował całą swoją marszową kolumnę... i czy stał w samem miasteczku La Réole? To tylko wiem, że ja z ca-

łym oddziałem Polaków stałem we wsi dużej, od miasta La Réole może o milę polską oddalonej, której nazwiska jednak nie mogę sobie przypomnąć. Była to wieś podobna do miasteczka tak dalece, że miała oberżę, w której my wszyscy oficerowie stołowaliśmy się razem według przyjętego w wojsku francuskiem zwyczaju. Ja sam zaś miałem kwaterę na ustroniu, w domu który pałacykiem nazwać było można, i gdzie mnie gospodarstwo oboje raz na zawsze na obiad prosili. Atoli podziękowałem im, tłómacząc się, że będąc komendantem oddziału stojącego w tem miasteczku, nie mogę się oddalić od korpusu oficerów i z nimi stołować się powinienem, ale że wieczorami będę miał przyjemność uczęszczania do ich domu, a nawet niektórych z moich oficerów im przedstawię.

Gospodarza mego, poważnego starca, członka dawnego parlamentu, co mu dawało znaczenie, ceniono na 12 tysięcy franków rocznego dochodu. Prócz obojga — których nazwisk nie pomnę — byli w domu syn więcej jak dorosły, i córka dojrzała — cała ta familia z dobrem bardzo wychowaniem. W całym domu, a był to jak powiedziałem niemal pałac na piętro z ogrodem, była tylko jedna służąca i jeden służący, była para koni, bezwątpienia krowy i inny dobytek; na tę wszystko obsługa wystarczała i w domu i w stajni i w ogrodzie, a było wszędzie i czysto i porządne. Drobnostki te notuję dla naszych czytelników, którzy nie odwykli od zbytku trzymania źle płatnych próżniaków.— Otóż w tej wsi czyli miasteczku, wydarzył się znowu innego rodzaju jak w Bordeaux służbowy przypadek, malujący karność naszego pułku i księdza wiejskiego francuskiego. — Wkrótce po przybyciu naszego oddziału do tej wsi, zaniósł do mnie osobiście ks. wikary (może pleban) skargę na żołnierza Polaka, lecz umiejącego po francusku, „że z niego szydził i nieprzyzwoitemi żartami najgrawał się z niego, uwłaczając szczególnie charakterowi jego duchownemu.“ — Obżałowany był to syn znacznego kupca warszawskiego; a że znałem go jako wesołego i uszczypliwego, kazałem go więc natychmiast aresztować; a że innego miejsca nie było, wsadzić do pi-

wnicy i zamknąć. — Gdy tak gwardyak jowialista w piwnicy siedział, i o głodzie tylko okienkiem z kratą na świat spoglądał, zdarzyło się, że ks. wikary tamtędy przechodził, aż tu więzień do niego: „A widzisz pan coś swoją skargą zrobił! ja z wpana słowami żartowałem, a teraz pan widzisz, jak nasz komendant zartów nie rozumie... ja tu siedzę jak zbrodniarz, i Bóg wie jak długo tu siedzieć będę!“ — Ksiądz to zobaczywszy, dalej mnie szukać, przypada rozczulony: „Ale panie kapitanie, cóż to pan począłeś z tym nieszczęśliwym młodzieńcem? osadziłeś go w piwnicy, od wczoraj tam siedzi... a mógłżem ja się spodziewać, że pan tak surowo weźmiesz rzecz, którą ja w pierwszym żalu do niego zaniósłem?“ Ja na to: „Mości księże! mówiłeś mi, że żołnierz polski uchybił ci jako księdzu, ubliżył powadze jaką masz w tej wsi... występek ten, według mojego sposobu widzenia, jest niemały, mianowicie dla żołnierza Polaka, katolika; umyśliłem więc skarcić takowy surowo, i zrobić przykład.“ — Na to ksiądz, ledwie mnie po rękach nie całując: „Ah mości kapitanie! nie karaj mnie, nie zawstydzaj mnie! żeby ten młodzian dla mnie, miał tyle cierpieć“ i t. p. Na to ja, który rad byłem wypuścić biednego Warszawiaka, odrzekłem: „Siedziałby w tej piwnicy tak długo, jak nasz oddział tu stać będzie, żeby go nie naszła chętka pomszczenia się na wpanu... ale kiedy sam za nim prosisz... to co innego.“ Kazałem aresztanta przyprowadzić, i rzekłem do niego w obecności księdza: „Obraziłeś czcigodnego księdza, zgorszyłeś wieś francuską, naraziłeś sławę narodu naszego na zarzut bezbożności; zasłużyłeś więc na przykładną karę.... lecz kiedy ten sam kapłan zanosi za tobą błagania... uwolnię cię, lecz pod tym warunkiem: że tego księdza publicznie przeprosisz, tak, jakeś go publicznie obraził, i dalszem postępowaniem swojem — zwłaszcza, że mówisz po francusku, i masz wychowanie po temu, naprawisz u tutejszej ludności złe zdanie, jakieby mogła mieć o polskiej moralności.“

Tak się ta sprawa zakończyła, z wielką satysfakcyą księdza, a nawet z jego i parafian uwielbieniem. Jakoż to ksiądz był dziwnie przykładny, posuwający ślub

ubóstwa aż do ostateczności, bo żyjąc sam — można mówić — z jałmużny, udzielał wsparcia ubogim, przemawiał za nimi z wymową człowieka ukształconego, a sam był tak skromny i prosty, że się wydawało na pozór, jak gdyby był wieśniakiem bez wychowania; tak się umiał stosować do umysłu swoich parafian; to też był powszechnie kochany i słuchany.

Przebywając w tej wsi, doznaliśmy w okolicy La Réole, ja i oficerowie moi gościnności, którą się odznacza we Francyi Gaskonia, kraj jeden z najpiękniejszych.

Powiedziałem już, że odmówiwszy gospodarstwu mojemu zaproszenia na codzienne obiady, przychodziłem do nich wieczorem na pogadankę lub skromną partyjkę, biorąc z sobą zwykle którego z oficerów. Zaraz pierwszego dnia, gdy gospodarstwo poczęstowali mnie kolacyą, wymknęła mi się z ust pochwała ostryg tej okolicy, jakich my Polacy używaliśmy w Bordeaux, a którą, jako mieszkańcy kontynentu, niestety oddalonego od morza, poczytujemy za specyał, bo rzadkość wielką. — Nazajutrz przyszedłszy na wieczór, zastałem kosz ostryg... zawstydziłem się i przepraszałem mocno za ambaras, który moją niedyskrecyą sprawiłem gospodarstwu... Odrzekli „że ostrygi u nich ani są drogie, ani daleko jak w Polsce,“ i codziennie aż do naszego wymarszu, był zawsze kosz ostryg, ma się rozumieć: bezpłatnie. — Skutkiem tego zaznajomienia, ja i niektórzy oficerowie co umieli po francusku, byliśmy proszeni na obiady w okolicy, mianowicie z powtarzaniem, do pułkownika Menou, weterana jeszcze z królewskich czasów, który zdawał się brać żywy udział w rozmowie zemną o dawnych i teraźniejszych czasach Francyi i Polski. Bezwątpienia był on Burbonistą, ale że mnie widział Bonapartystą, więc rozmowy nasze miały cechę wzajemnej delikatności, bez obłudy.— Nie narzekał on na niekarność naszego pułku polskiego, bo jej nie doznał, ale był tego zdania: że w wojsku francuskiem karność się bardzo zmniejszyła, czyli osłabiła; — rozpowiadał, mi jak maszerując raz z swoim pułkiem piechoty od Renu do Paryża, zaszła między innemi okoli-

czność: że posiadacz jakiegoś sadu zaniósł skargę: „że żołnierze maszerujący po pod jego drzewa wiśniowe, sięgali w marszu po wiśnie.“ Kazałem zaraz— mówił pułkownik Menou — stanąć pułkowi, uszykowałem go, a naruszyciele cudzej własności ukarani zostali z wszelkim obrzędem, fuchtlami pałasza *(coups de plat de sabre)*. Taki sposób karania żołnierza, nie laską ale pałaszem, uważał szanowny staroetatowy pułkownik za honorowy; musiała ta opinia być wówczas i w Polsce, bo ja pamiętam jak w Krakowie w batalionach pułków piechoty Wodzickiego i Czapskiego, karano tak honorowo: n. p. podchorążych, podoficerów, fuchtlami pałaszowemi.... Słownik Lindego pisze: „fukiel“ ale ja słyszałem zawsze od braci Moczydłowskich, co byli podchorążymi w powyższych pułkach pod Racławicami, nie „fukle ale fuchtle.“ — Zacny pułkownik Menou, rozlubował się w tym rodzaju kary, który miał czas w pokoju pompatycznie administrować; zdaje się że on podzielał systema ministra wojny St. Germain, który za Ludwika XVI oburzał wojsko, zaprowadzając kary nadwerężające punkt honoru Francuzów.

Pytałem się pułkownika, czy był krewnym jenerała Menou, komendanta w Egipcie po Kleberze?... Odpowiedział skwapliwie: że nie. Zdaje się, że siebie uważał za *noble* (szlachcica) a tamtego za *roturier* (prostaka).

Podprefekt w mieście La Réole, przesadzał się także w grzeczności dla nas Polaków, i dawał dla nas oficerów obiad wykwintny, obfitujący w produkta krajowe: wina, trufle, oliwki. W tym pięknym kraju, mało co używają powozów. Damy przyjeżdżają na obiady konno lub na mułach. Po dwutygodniowym pobycie, pożegnałem moich gospodarzów ojca i syna: zapisali sobie moje nazwisko, jakoż wkrótce odebrałem od nich list w Hiszpanii, z adresem: á Mr. Jaoulqui.

Maszerując ku Bajonnie, przebywaliśmy okolice piasków, *les Landes* w Bazas albo w Dax widziałem mieszkańców z tamtych stron, których tam zowią Baskami— *des Basques* — chodzących na szczudłach takiej wysokości, że się równali z oknami pierwszych pięter domów miejskich. Szczudła te, są w tamecznych piaskach

powszechnie używane, a za ich pomocą, odbywają z łatwością szybkie i dość dalekie podróże. Baskowie używają ubiorów wcale odmiennych od zwykłego Francuzów stroju, odznaczają się nakryciem głowy okrągłem, płaskiem, zwanem: *bonnet basque*. W roku 1808 miał Murat w Madrycie gwardyą osobistą Basków, dziwnie pięknie umundurowaną w stroju narodowym. — Lubo naród Basków jest jeden po obu podgórzach Pirenejów, i język prawie jeden dawnych Kantabrów, znalazłem jednak po obu granicach strój wcale odmienny; w tem tylko Baskowie francuscy i hiszpańscy mają do siebie wielkie podobieństwo, że lud jest bardzo piękny, zwinny i silny.

W Bajonnie zastaliśmy znowu rozkaz zatrzymania się w marszu. Oddział Polaków cały udał się do miasteczka baskońskiego Ustaritz, pod samemi Pirenejami leżącego, nad rzeką Nive. Jest to ojczyzna Dominika Józefa Garat ministra sprawiedliwości w r. 1793, który Ludwikowi XVI czytał wyrok śmierci; w czasie cesarstwa był senatorem i hrabią państwa, zawsze więc znakomitością. Tenże opiekował się miejscem swego urodzenia i miał tam pałac; był wszelako i zamek okazalszy od domu Garata, ale bądź że trochę pustka, bądź że bez właściciela, więc furyer mojej kompanii Więckowski, ulokował mnie w pałacu Garata, a jako gorliwie do swego kapitana przywiązany, zajął się, przed nadejściem mojem, wyprowadzaniem ze stajni 4ch koni cugowych obecnej pani hrabiny Garat, chcąc zrobić miejsce dla moich. Nadjechałem, kiedy o ten postępek żarliwości mego furyera toczył się żywy spór: przeraziła mnie ta bezwzględność żołnierska na etykietę, i połajawszy furyera za zbytek jego służbistości, kazawszy zaraz konie hrabiny wprowadzić na swoje miejsce, pośpieszyłem do niej; nie łatwo udobruchałem jej rozdrażnienie: znalazłem damę Paryżankę, już nie pierwszej młodości, ale elegantkę w tonie pretensyonalnym; nie bez trudności wyperswadowałem jej, że podoficer polski nie znał tego uszanowania jakie się jej stopniowi należało, ale które mnie, jako i całej Europie jest znane. — Owo zgoła, po burzy nastąpiła pogoda... i doznawałem od

tej chwili, od mojej gospodyni Paryżanki wiele grzeczności — jednakże, nie prosiła prostego kapitana do stołu, tylko kazała mi nosić obiad do mojej kwatery. Ten ton górny był dla mnie wygodą, bo się nie potrzebowaliśmy wzajemnie żenować, ale jednego dnia znowu mnie to nabawiło kłopotu: kiedy moi porucznicy przyszedłszy do mnie w odwiedziny, a zastawszy u mnie desser-wety — jakich dawno nie widzieli i słoiki z konfiturami, wszystko, jak szarańcza tatarska znieśli do szczętu... Musiałem znowu wymawiać moich podkomendnych, tem: że oni nic nie mogąc dostać w Ustaritz, korzystali zbyt obcesowo z gościnności pani senatorowej.... ale i to było mile przyjęte, co dzień byłem w wyższych łaskach, aż zaproszony do spaceru wodnego na rzece Nive do Bajonny, towarzyszyłem pani hrabinie Garatowej. — Tymczasem nadjechał z Paryża, czyli z Chantilly, pocztą kapitan Szeptycki, objął dowództwo oddziału i kwaterę w zamku, gdzie nie było ani właściciela, ani kuchni. Za kapitanem Szeptyckim przybyły pocztą furgony z pikami i rymarzami. Lance te były więcej kozackie niż ułańskie, to jest za długie, źle okute; z drzewa miękkiego, czerwono malowane, bez chorągiewek. Proporzec ułański różni się od piki kozackiej w tem, że ta ostatnia jest dowolnie długą, i częstokroć kozak oburącz nią niedołężnie kieruje; zaś proporzec ułański, powinien być tyle tylko długi, żeby mógł być zwrócony w prawo w tył bez potrącenia grotem o ziemię. Rymarze musieli się natychmiast zająć opatrzeniem strzemion tulejkami na tylce lanc, a siodła trokami do przypasowania karabinków, po lewej stronie jeźdźca, ponieważ prawe ramie i cały bok prawy zajmowała kopia czyli lanca. Nie bardzo nam była na rękę ta broń nowa, bo oba szeregi zostały równo opatrzone lancami, nie porzucając karabinków, zachowując prócz tego po parze pistoletów, a ma się rozumieć i pałasze; nie dawno byliśmy pobili ułanów przeciwnych, nie mając lanc, tylko pałasze; ale przypomnienia usarzów starodawnych i kopijników Sobieskiego, zapaliły naszą młodzież do broni, którą zwaliśmy im narodową, i jakoś to poszło, żeśmy ją sobie należycie przyswoili.

Zaraz po rozebraniu tych lanc, ruszyliśmy do Hiszpanii, zdaje się nawet że nasz oddział dla tego się zatrzymał pod Bordeaux i pod Bajonną, iż cesarz chciał żebyśmy, do Hiszpanii weszli z proporcami, co też nastąpiło, bośmy się i o chorągiewki dwóch barw, czerwonej z białą, zaraz postarali.

Weszliśmy zatem do Hiszpanii, mniej więcej z początkiem r. 1810, staliśmy znowu niejaki czas w Salvatierra w górzystem położeniu na drodze z Vittoryi do Pampeluny, zawsze pod komendą szefa szwadronu Mameluków pułkownika Kirmann. Kapitan Szeptycki, który był dostąpił tego stopnia i dowództwa kompanii 5tej po Stanisławie Gorajskim pod Wiedniem, oznajmił mi, że ja istotnie byłem przedstawiony cesarzowi na kapitana, ale że to przedstawienie wiele nominacyj obejmujące, jeszcze podpisane nie zostało. — Konsystencya nasza w Salvatierra przedłużyła się, bo istotnie w górach Pirenejskich trudno było o tej porze roku jakie ruchy przedsiębrać. Śniegi zalegały całą przestrzeń naokoło, konie musiały być szeroko rozkwaterowane, bo nie było innych stajen tylko szczupłe po domach pojedynczych, które chociaż po większej części piątrowe i z ciosowego kamienia, nie dostarczały jednak wygody w zimie ani dla koni ani dla ludzi — były to albowiem budynki okazalsze nad zwykłe wiejskie, opatrzone herbami nad wchodowemi drzwiami, ale bez okien, okiennicami tylko zaopatrzone, a jeżeli gdzie niegdzie były okna, to w nich zamiast szkła, szyby z papieru oliwą napuszczanego. Urządzenie takie może być bardzo stósowne w czasie lata, ale w zimie okiennice zawiane śniegiem, bez kominów, tem mniej pieców, dostarczają bardzo niepociesznych kwater; do tego jednak dodać wypada, że w krajach tamtejszych na cały dom, bywa tylko jedno ognisko, to jest obszerna kuchnia na poziemiu, nad którą wisi kocioł na ciepłą wodę na łańcuchu; ognisko to otoczone jest z trzech stron ławkami, na których cała rodzina z gośćmi przesiaduje naokoło ognia czyli kuchni, przed którą się jakie takie pieczyste na mechanicznem przyrządzeniu rożna obraca. Ognisko domowe jest patryarchalnym środkiem zebrania rodziny,

nieróżniącej się od prostoty wieśniaków, pomimo herbu i tytułu hidalgo (szlachcic), który w północnej Hiszpanii w prowincyach: Asturya, Alava, Guipuscoa, Biskaja, jest niemal powszechny; w czasach albowiem kiedy Maurowie zawojowali większą część Hiszpanii, nie mogli się nigdy dostać w te północne strony, dla tego te prowincye mają swoje właściwe przywileje i mnóstwo dawnego rycerstwa uszlachconego, jak u nas w Polsce, tak że niemal nad każdym domem jest herb wyryty.

W Salvatierra staliśmy ciągle pod bezpośredniem dowództwem pułkownika Kirmann, i z tego miejsca mniej więcej z nim jak i bez niego, odbywaliśmy różne wyprawy na poskromienie snujących się coraz więcej po kraju guerillasów, których my nazwaliśmy brygantami. Nim się rozstanę na długo z szefem Kirmannem i z jego Mamelukami, nie mogę pominąć anegdoty którą miałem w jednej expedycyi odbytej pod tym komendantem Alzacczykiem z jego podwładnymi z Oryentu. Przenocowawszy w jakiejś wsi hiszpańskiej wspólnie, gdy zbieraliśmy się do wymarszu, nadbiegło kilku Hiszpanów zdesperowanych do siedzącego już na koniu szefa Kirmanna,żaląc się z płaczem, że zostali od Polaków zrabowani; oficerowie Mameluków, Abdala i Soliman, podburzyli swego dowódzcę przeciwko szwoleżerom polskim; ten kazał mnie przywołać, i pokazując mi skarżących Hiszpanów, rzekł do mnie: „*zest les Bulinais foyez pien!*“ — ja na to zapytuję się Hiszpanów: po czem poznają że to Polacy ich zrabowali?... „Bo ciągle nawoływali się: Polaco! Polaco!“ — A jakże byli ubrani? odrzekłem ja — „*Tenian calzones muy largos encarnados*“ — mieli szarawary bardzo szerokie czerwone.— Tu sam Kirmann nie mógł się wstrzymać od śmiechu, i obracając się do swoich Solimana i Abdali, rzekł do nich po swojemu: „*zest les Mamelik foyez pien!*“ a czytelnicy którym tę przygodę z Hiszpanii przekazuję, poznają, że i Turcy i Egipcyanie umieją dyplomatyzować przeciwko Polakom, kiedy im samolubny interes tak każe.

Z początkiem wiosny, to jest kiedy śniegi ustępując uwalniały komunikacye w Pirenejach, oddzieliliśmy

się od strzelców konnych i od bezpośredniego dowództwa szefa Mameluków Kirmanna; cały nasz oddział dotąd, jak wyżej powiedziałem, nie więcej jak 150 koni wynoszący, udał się pod komendą kapitana Wincentego Szeptyckiego do wsi Grannon (Granion) na drodze z Vittoryi do S. Domingo de la Calzada, tam czekaliśmy na przybycie pułkownika Delaitre, ćwicząc się przez ten czas w manewrach i mustrze z proporcami.

Nie mogę wyraźnie oznaczyć w jakiej liczbie i pod któremi datami oddziały naszego pułku z Francyi przybywały. Kolega Mikułowski podaje mi, że on dopiero z Saint-Quentin wyprawiony był przez marszałka Bessières do Paryża i do Chantilly z rozkazem wyprawienia nowego oddziału naszego do Hiszpanii; ale że cesarz dopiero 27go kwietnia 1810 udał się z cesarzową Maryą Ludwiką do Saint-Quentin, a kolega Mikułowski podaje, że udał się do Hiszpanii pod komendą kapitana Jerzmanowskiego, i zastał już w Hiszpanii pułkownika Delaitra, więc z tego wszystkiego wynika, że pułkownik Delaitre, z oddziałem nowym zaraz z wiosny przybył do Hiszpanii, jakoż z tego czasu pamiętam kilka wypraw do których należałem: do Logrono, do S. Domingo de la Calzada, a najdalsza do Calahorra, sławnego niegdyś Calagurris przez zaciętą Rzymianom obronę. W tem więc z dawna patryotycznem mieście zdarzyła mi się scena pocieszna; byłem proszony na tertulią, tak Hiszpanie nazywają wieczorną zabawę, gdzie się rozrywają rozmową, grą w karty (naypes), muzyką, częstują czekuladą (chocolate), wodą *con azucar rosado*, to jest z lekkim biszkoktem z cukru, olejkiem różanym zaprawnym itp. Były damy, kawalerów mało, grano na gitarach i śpiewano; koledzy moi i ja, byliśmy z naprzykrzeniem proszeni, żeby śpiewać; wymawialiśmy się że nie śpiewamy, tem mniej gramy na gitarze; gdy to nic nie pomagało, więc ja powiedziałem: „że chyba zaśpiewam co po hiszpańsku.“— Ach! jak to dobrze! — całe zgromadzenie nadstawia ucha, a ja zaczynam:

Puesque sois Espańoles valientes — es preciso lo days a intender
Al infame Opressor del Europa—que sus leyes os quizô impone',

A las armas corred patriotas — a lidiar, morir o vencer —
Guerra siempre al infame tirano—Odio eterno al impio Frances.

Te słowa znaczą po polsku:

Kiedy Hiszpanie jesteście waleczni — trzeba żebyście to dali poznać
Niegodziwemu ciemiężcy Europy — co swe prawa nam chciał narzucić —
Do broni śpieszcie patryoci — walczyć, umierać lub zwyciężyć—
Wojna zawsze niegodziwemu tyranowi! nienawiść wieczna bezbożnemu Francuzowi! —

Można sobie wystawić, jaki popłoch wszczął się w zgromadzeniu.... niechcieli mi dać dokończyć zwrotk... „Ach, zkądże to pan takie okropności powziąłeś?“ i t. p. Ja na to:—„ Widzicie panie, nie trzeba nas nieumiejących śpiewać na śpiewanie narażać.... zresztą, co do treści tego śpiewu, i wielu marszów waszych, jakże chcecie żeby nam były obce, kiedy po tylu dziennikach hiszpańskich je rozrzucone czytamy, równie jak i odezwę do naszego pułku: „Polacy! porzućcie barwy wasze, karmazyn i białe, honoru i bez plamy. Wy co sami wolności pozbawieni, nachodzicie obcy kraj, katolicki jak wasz, żeby go w niewolę pogrążyć“... Niechże panie będą spokojne; jest cokolwiek prawdy w tej odezwie narodu hiszpańskiego do nas Polaków, my nie jesteśmy Francuzi, możecie panie i przy nas śpiewać wasze patryotyczne pieśni.“ My zaś ten epizod tu przytaczamy, dla dania poznać czytelnikom naszym choć jednę piosnkę patryotyczną, jakiemi się wygłaszał duch Hiszpanów przeciwko mocarzowi, który się względem Hiszpanii tak niepojętym sposobem zapomniał.

Calahorra, która leży nad Ebrem, jest miejscem najdalszem na południowy wschód Hiszpanii do którego podjazdy naszego pułku dosiągły; czynności nasze były zawsze więcej ku północno-zachodniej stronie i ku Portugalii skierowane. Od Calahorry aż w okolice Leonu przechodziliśmy w różnych expedycyach, większych i mniejszych, wiele miejsc których pamięcią objąć nie

mogę, wszędzie wywiadując się o gierylasów i podjazdami takowych spędzając, albowiem ta wojna drobna ze strony Hiszpanów raz wraz się wzmagała i wszelkie ruchy większe wojsk francuskich tamowała. Najdalszym w tym samym co Calahorra kierunku był dla nas posterunek Riva-bellosa, miejsce pięknie położone nad Ebrem, godne swego nazwiska, w któremeśmy kilka dni stali, mianowicie z kapitanem Jerzmanowskim, ale którego na mapie znaleść nie mogę. — To tylko pamiętam, żeśmy złączeni pod dowództwem pułkownika Delaitre stanęli wkrótce na niejaki czas w miasteczku Bello-rado, które pomimo swego nazwiska położone było nad rzeczką wcale małą.

Tuśmy się połączyli z oddziałami z Francyi przybyłemi kapitana Jerzmanowskiego i szefa szwadronu Stokowskiego, z strzelcami konnymi gwardyi, którymi dowodził najstarszy szef szwadronu Martin, i z Mamelukami, jak już wiadomo, pod szefem Kirmannem. — Oddział naszego pułku tym sposobem wynosił do 400 koni, a cały regiment pochodowy pułkownika Delaitre więcej jak koni 800.

Wypocząwszy i zebrawszy się w Bello-rado, gdy już jenerał Dorsenne był objął komendę całego korpusu gwardyi i północnej Hiszpanii w głównej swojej kwaterze w Burgos, cała lekka kawalerya gwardyi pociągnęła do miasteczka Castroxeriz (Kastrocheryz) blisko rzeki Pisnergi, i w tem mieście oraz w okolicy się rozłożyła.

Ten ruch odbywał się w końcu maja lub początkach czerwca 1810 r.

Podtenczas znaczny oddział naszego pułku towarzyszył Napoleonowi i jego nowej małżonce od Paryża przez St. Quentin, Cambrai, Bruxellę, Antwerpią i inne miasta i porty północne; podobne wycieczki dworu powtarzały się przez cały rok 1810.

Nim jenerał Dorsenne zajął swoję główną kwaterę miasto Burgos, był w niem i okolicznej prowincyi gubernatorem jenerał dywizyi Solignac. Nad brzegiem rzeki Arlanzon, w tych samych miejscach, gdzie się biliśmy 10go listopada 1808, zastaliśmy nowy spacer, założony przez może zbyt żarliwego czasowego władzcę da-

wnej stolicy Kastylii, który zapominając o nietrwałości rzeczy i spraw ludzkich, wpadł na myśl przeniesienia nad rwisty brzeg rzeki Arlanzon, na upięknienie francuskiej promenady, zwłok bohaterskich Cyda i Ximeny (Chimeny), do umyślnie dość gustownie, ale tak niestósownie wymurowanego nagrobku, a to wszystko — jak się zdaje — jedynie dla tego, żeby w trzech językach podać potomności: że jenerał dywizyi Solignac, kości tak drogie pamięci Hiszpanów, z miejsca gdzie nie dość ozdobnie przechowane były, sprowadził etc. etc.

O tę uczynność patryoci hiszpańscy nietylko pana jenerała francuskiego nie prosili, ale boleśnie byli dotknięci tem świętokradztwem, którego się dopuścił na tak drogiej pamiątce bohatera Don Ruiz Dias de Vivar, przezwanego od Maurów el Cid, a od Hiszpanów Campeador, co jedno i drugie znaczy zwycięzcę. Mnie samego, choć nie jestem Hiszpanem, mocno obeszło to zarozumienie cudzoziemca, który poważne zwłoki dwóch osób narodowi tak drogich jak Cyd i Ximena, od roku 1099 spoczywające razem w świątobliwem miejscu w mieście S. Pedro de Cardena, przeniósł nad brzeg rwiącego potoku i zuchwale naraził może na zniszczenie! Sądzę, że Hiszpanie jak tylko się oswobodzili od jarzma francuskiego, z pobożną procesyą znowu zwłoki Cyda i Chimeny na miejsce dawnego spoczynku odprowadzili.

Korpus gwardyi pod dowództwem jenerała dywizyi Dorsenne pułkownika grenadyerów pieszych gwardyi wynosił według dzieła p. Thiersa od 15 do 18tu tysięcy, główną jego kwaterą było jak powiedzieliśmy miasto Burgos, ale Napoleon chciał, żeby ten korpus gwardyi stał w rezerwie na przypadek jego przybycia, a tymczasem, żeby utrzymywał spokojność na trakcie madryckim, od granic Francyi aż do Valladolid, gdzie była główna kwatera jenerała dywizyi Kellermanna, syna marszałka sławnego niegdy natarciem jazdy pod Marengo, które się dzielnie do tamecznego zwycięstwa przyczyniło. Oba ci jenerałowie zajęci byli ciągle poskromieniem, bo więcej powiedzieć nie można, gierylasów, którycheśmy na próżno przezywali tylko brygantami. Od Bajony do Madrytu, nietylko żaden pojedynczy żołnierz, ale ża-

den mały oddział, nie mógł się przemknąć bez napaści; wystawić sobie można, jak trudną i kosztowną była komunikacya kuryerów; według wyrazów jenerała Kellermanna do jenerała Berthier księcia de Neufchatel majora jeneralnego, trzebaby „głowy i ręki Herkulesa“ żeby tej wojnie hiszpańskiej dać radę! To mi przypomina konwersacyą jednego ministra hiszpańskiego z Napoleonem przed r. 1808, gdy mu Napoleon w złym humorze oświadczył: „że w razie doznanych trudności od rządu hiszpańskiego, gotów jest wyprawić do Hiszpanii korpus 30 tysięcy wojska.“—Tenże Hiszpan mu odrzekł: „Wcm. tak jesteś poważany przez naród mój, że i jednego żołnierza nie potrzebujesz użyć; dość jest pisma, tłómacza woli jego; ale przestrzegam wcm. ,że gdybyś chciał wbrew woli i praw narodu narzucić mu jakie jarzmo, i 300,000 wojsk jego na to nie wystarczy.“ Były to słowa wieszcze, które Napoleon lekceważył, bo nie znał narodu hiszpańskiego; jakoż prawdę mówiąc, żadnego narodu nie znał, prócz może Francuzów i Włochów. — Owo zgoła, wracając się do stanu Hiszpanii w r. 1810, kraj ten, a mianowicie te okolice w których nasze oddziały konsystowały i były czynne, był bezustannie przebiegany przez dowódzców partyzanckich hiszpańskich, jako to: El Pastor, Polier czyli Marquesito, Longa, Marino, El Cura, Amor, Empecinado, Mina, Don Julian i wielu innych.— Raz wraz z naszej strony chodziły oddziały przeciwko tym tak zwanym brygantom, którzy przynajmniej z kawaleryi nie bali się tylko Polaków, tak dalece, że ich wcale nie, albo rzadko zaczepiali; dla tego też nie było marszałka lub jenerała starszego, któryby nie chciał mieć przy sobie większego lub mniejszego oddziału ułanów nadwiślańskich, a ci z jenerałów, którzy przejeżdżali z Francyi na Valladolid, albo na Valladolid do Francyi wracali, starali się o eskortę naszego pułku. Jenerał Dorsenne lokując regiment marszowy pułkownika naszego Delaitre w Castroxeriz, miał zamiar zasłonić swoję główną kwaterę Burgos, od strony zachodnio-północnej, od źródeł rzeki Pisnergi, która płynie od Asturyi do Valladolid, jakoż w te strony północne odbywaliśmy najwięcej podjazdów. Ponieważ cały marszowy regiment

lekkiej jazdy gwardyi nie mógł się zrazu pomieścić w Castroxeriz, więc znaczna część oddziałów z każdej broni, zajęły czasowo wieś Sasamon dość znaczną, ale której nie znajduję na mapie Hiszpanii. — Pułkownik Delaitre założywszy główną kwaterę swoję w Castoxeriz, gdzie także powołaniem jego było sciągać z okolic w jak najobszerniejszym ile możności obszarze podatki i liwerunki, umyślił postanowić komendanta placu, któryby mu w tem zatrudnieniu pomagał; a jako daleko lepszy Francuz, niż gros-major pułku polskiego, powołał na ten niby urząd rodaka swego kapitana od szaserów gwardyi, Caire, wojskowego i oficera nierównie starszego od nas wszystkich Polaków, ale który zwyczajem Francuzów, nie umiał ani słowa po hiszpańsku. Nie szło to jakoś, i pułkownik Delaitre zamiast oczekiwanej pomocy, miał tylko kłopot i niecierpliwił się. Skończyło się na tem, że mnie zaszczycił swojem zaufaniem, tytułem: komendanta placu de Castroxeriz y de Sus Alrededores, to jest miasteczka i jego okolic.

Ale ponieważ gierylasy i znaczniejsze nawet siły zbrojne Hiszpanów, to zbliżały się, to zagrażały; więc odebraliśmy rozkaz przemienienia klasztoru, leżącego u stóp pagórka na którym stoi w długiej linii miasto, w koszary ufortyfikowane ile możności; klasztór ten był przez zakonników opuszczony, ale kościół choć podrujnowany istniał; przedsięwzięto więc z wszelką możliwą przyzwoitością oswobodzić kościół z ruchomości świętobliwych, jako to: ołtarzów, konfesyonałów, organów i t. p. co lubo nie odbyło się bez trudności i kłopotliwych zabiegów, to jednak w krótkim ile możności czasie, kościół i dolne korytarze klasztoru po większej części pomieściły konie, a cele i korytarze piątrowe, zamienione zostały w kos. ary dla ludzi.

Ponieważ w mieście Castroxeriz znajduje się dawny starożytny zamek hrabiów de Castro i wspaniała kolegiata opatrzona kilku kanonikami, więc ta zamiana przybytku poświęconego służbie b(żej na użytek wojenny, działa się tu z ciągłym udziałem duchowieństwa.

Cały obszar zabudowania klasztornego z kościołem, okolony został częstokołem czyli palisadą, tak, że mię-

dzy kołami były łuki czyli naturalne strzelnice, któremi jazda nasza zbrojna w karabinki, mogłaby się w razie napadu bronić, choć do czasu, ogniem strzelby. W obrębie tym był dzień i noc oddział konny gotowy do wycieczki. Służbowy kapitan i oficerowie mieli kwatery w celach. Refektarz był zamieniony w izbę dla chorych, a niektóre korytarze i obszerniejsze stancye, urządzone zostały jako koszary, z naśladowaniem możliwem *école militaire* w Paryżu i Chantilly, dla szaserów i naszych, z tą różnicą, że zamiast materaców były sienniki, zamiast dostatku stolicy Francyi, chędogie ubóstwo wojskowe; korytarze i izby nosiły według broni napisy imion poległych współtowarzyszów, których pamięć była drogą.

Gdy te koszary zostały ukończone, sprowadził pułkownik Delaitre cały pułk swego dowództwa do siebie, i ulokował stósownie, to jest: wszystkie konie ile możności w rzeczonych koszarach, a kwatery oficerów skoncentrowane; ponieważ zaś miasteczko składało się, jakeśmy już powiedzieli, z jednej długiej ulicy, więc u dwóch końców tejże stały mocne pikiety konne, strzegące we dnie i w nocy od niespodziewanego napadu.

Taki jest obraz naszego kilkomiesięcznego pobytu w Castroxeriz: wyprawy większe z rozporządzenia jenerała Dorsenne, mniejsze z polecenia pułkownika Delaitre, w miarę dochodzących go wieści o partyzantach hiszpańskich, a w miejscu bezustanne czuwanie, jak to Francuzi mówią: *sur le qui vive.*

Oto jest obrazek tego naszego położenia: blisko płynęła rzeka Pisnerga, sławiona w poezyach hiszpańskich z swego wdzięcznego koryta; gorąca letnie zachęcały do użycia kąpieli; za daleko płynął ten strumień żeby żołnierze szeregowi mogli z niego korzystać, prócz podbradzania koni z należytą eskortą; my zaś oficerowie za opowiedzeniem się starszym, na przemian używaliśmy kąpieli konno, to jest, że nasi służący trzymali nam konie u brzegu, żeby w razie napadu choć bez munduru, w stanie Hypocentaurów mogliśmy uchodzić do miasta.

Castroxeriz jest dawną bardzo, w mgle czasów ginącą pamiątką starożytności; na górze pod którą w wieniec rozłożone jest miasto, znajduje się płaszczyzna dość obszerna, staremi wałami jeszcze widnemi okopana; twierdzą, że tu Juliusz Cezar obozował, że ztąd pochodzi miano: Castroxeriz, jakoby w zepsuciu: *Castrum Caesaris*. W każdym razie jest tu poniżej góry Cezara, ale w miejscu dość podwyższonem, zamek czyli pałac z czasów bliższych, ale w stanie spustoszenia, znacznego rozmiaru i z obszernym dziedzińcem, w obrębie którego odbywały się nasze zaciąganie warty, parady i inne wojskowe zgromadzenia; zamek zaś zamieniliśmy po części w areszt; ponieważ jednem z zatrudnień naszej komendy było exekwować podatki i liwerunki, przeto można się domyśleć, ile ta operacya była trudną, pracowitą dla naszych żołnierzy i koni, a połączoną z wielkim i niepotrzebnym rygorem.

Gdy więc okazało się, że wysyłane na exekucye oddziały, wracały z drobnym pieniężnym okupem, ale bez istotnego uiszczenia podatków i bez liwerunków, więc jednę i drugą salę zamkową urządzono na areszt dla Hiszpanów znaczniejszych, jak się to mówi: *honoratiores*. Gdy zatem z wiosek okolicznych nie wpływały podatki i kontrybucye zboża i furażów, posprowadzaliśmy z każdej wsi: plebana, szlachcica, jeżeli jaki był, alkaldego czyli wójta, corregidora czyli podwójciego, słowem osoby znaczniejsze, jakich można było w której wsi dostać; tych osadzano w tych aresztowych celach, gdzie starano się z miasta dostarczać im wygód i wiktuałów, póki ich współsąsiedzi i przyjaciele nie zaopatrzyli, a czego im nasze warty nie broniły. Ci tak aresztowani zakładnicy, póty zostawali w tych salach zamku hrabiów de Castro, póki ich wsie nie wykupiły dostarczeniem należności rozpisanych, z pomnożeniem exekutnego dla oddziałów żołnierzy, tą przykrą dla nas służbą trudniących się.

Z początku poczytywali sobie Hiszpanie, zwłaszcza księża, te militarne aresztowania za wielki wstyd i nieszczęście; ale jak się przekonali, że to dopełniano, — prawda z nieprzełomnym rygorem — ale zresztą z obej-

ściem się ludzkiem, nawet z pewną grzecznością; gdy pojęli perswazyą: że to się dzieje z konieczności, i że lepiej było ich na krótki czas aresztować, niżeli wsie i dobytki ich na rabunek wojskowych narażać; tak się ci zakładnicy i wsie okoliczne przyzwyczaiły do tego systemu surowej bezstronności... że wszelkie zaległości i bieżące należytości, nietylko zostały pouiszczane, ale za wypuszczeniem zakładników z lekkiego aresztu, odtąd regularnie wpływały, tak dalece, że sale z aresztantów wypróżnione, za staraniem znakomitego naszego kolegi porucznika Józefa Hofmana, Lwowianina niepospolitej nauki, pełniącego przy pułkowniku Delaitre urząd oficera płatnika i jakoby szefa sztabu, te sale, miejsce aresztów, zamienione zostały... w sale balowe! Nie było tam sprzętów, elegancyi i wygody, ale ławki na około murów oczyszczonych, posadzki ceglane wygładzone, oświetlenie w zawieszonych improwizowanych pająkach, strojnych w wieńce i kwiaty, równie jak i ściany; kapela z trębaczów szaserskich i naszych, miedzy którymi byli i wirtuozy na różnych instrumentach. Otwarciem tych sal balowych, które nic podobnego od wieków niepamiętały, oył obchód imienin Karola Delaitre pułkownika, transparentem przez czcigodnego Hofmana ozdobiony. Tego dnia był nacisk wielki nietylko matron i dziewic hiszpańskich, ale i obywateli z miasta i okolic, na uczczenie pułkownika komendanta przybyłych, którego rządy polskie, acz surowe, nadto korzystnie odbijały od rządów, gdzieindziej przez Hiszpanów doznawanych.

Odtąd kiedy sale były już wolne od aresztantów, a wyczyszczone i odświeżone, bywały częste zabawy tańcowe, niedzielne i świąteczne, na które Hiszpanki, zwłaszcza młode, chętnie przybywały, przekładając nad Francuzów Polaków, którzy lepiej pojmowali język hiszpański, i młodsi byli od weteranów gwardyi Napoleona. Pomiędzy gośćmi bywali i księża, jednego muszę tu dla osobliwości wymienić: był to ksiądz ze wsi Sasamon, którego rzemiosłem zdawało się być tancmistrzostwo. Różnił się od współksięży strojem zupełnie świeckim, nosząc frak barwy tabaczkowej; do obu łydek przyczepiał dwa naprzeciw sobie sterczące noże (cuchillos), po-

rozkładał jaja w pewnych od siebie rozmiarach, jakby w szachownicę, zawiązał sobie oczy i tańcował po hiszpańsku z kastanietami (castanuelas), dając skoki gwałtowne tak zwane *entrechats,* żadnego jaja nie zgniótł i nie okaleczył się. Był to taniec sztuczny, ale bez żadnego wdzięku; tu się przytacza ten szczegół, jako odznaczający duchowieństwo krajów południowych. Tam gdzie jest księży bez liku, muszą być i nadużycia, w naszej Polsce nie ważyłby się duchowny popisywać takiem kuglarstwem skoczka.

Co do tańców hiszpańskich, te lubo mają wiele wdzięku, przypisać to wszakże należy kobietom, bo tancerze mężczyźni, zwłaszcza na teatrze, więcej ubiegają się za sztucznością jak za wdziękiem.

Jenerałowie Dorsenne w Burgos, Kellerman w Valladolid, dawali częste bale, zwłaszcza obchodząc różne uroczystości dworskie i polityczne, na które oficerowie nasi według wyboru pułkownika Delaitre jeździli. Nie pamiętam, która z dam pełniła obowiązek gospodyni balów jenerała Kellerman w Valladolid, ale mi się zdaje że Hiszpanka margrabina San Felices; zaś w Burgos przyjmowała pani jenerałowa Dorsenne, Paryżanka, z dworu cesarskiego, wspaniała i pełna wdzięku osoba, zachęcała ona towarzystwo do wesołości i zabawy, lecz mężczyźni hiszpańscy unikali ile możności od tych balów, składających się wprawdzie z licznego towarzystwa pań hiszpańskich z córkami, ale tancerze byli prawie wyłącznie wojskowi.

Ponieważ jenerał Dorsenne, o ile pamiętam, prócz nas nie miał innej kawaleryi, zatem często, żeby nie powiedzieć bezprzestannie, nakazywał większe i mniejsze wyprawy w różne strony, czasem z piechotą pod dowództwem jakiego jenerała lub wyższego oficera od piechoty, czasem tylko z samej jazdy. — Nieraz oddalał się z Castroxeris na podobne wyprawy sam pułkownik Delaitre; ja nie pamiętam, żebym z Castroxeriz był brał udział w takiej wyprawie, jak raz ze szefem szwadronu Stokowskim, aż do miasta Palencia, gdzie wszelako żadnego oddziału hiszpańskiego nie natrafiliśmy, bo od naszych proporców z daleka widocznych, Hiszpanie

radzi się usuwali. Kiedy pułkownik Delaitre opuszczał Castroxeriz, to ja musiałem zostawać na jego miejscu, bo na mnie polegał zarząd administracyjny tego miasta i jego okręgu.

Między wyprawami, które zapamiętam, zaszła bitwa pod tem samem Bello-rado, w któremeśmy, jak się wyżej mówiło, dość znaczny odbyli spoczynek; odznaczył się tam kapitan Szeptycki pod komendą jenerała piechoty Roguet, i był o tej potyczce artykuł w ówczesnym Monitorze.

W czasie tym różne przychodziły urządzenia króla Józefa za wczesne, obrażające zwyczaje narodu; między innemi zakaz chowania zmarłych w kościelnych grobach, i polecenie zakładania cmentarzów w polu. Zdarzyło się, że jakiś obywatel poważniejszy umarł, przyszła deputacya do mnie z prośbą, żeby tę szanowną osobę pozwolono było pochować w kościele, ofiarując za to zapłatę jakiejby żądano. Ja, który nie pojmowałem użyteczności takich reform, niepokojących lud hiszpański, pozwoliłem bez trudności i bez opłaty... odeszła deputacya uradowana, a gdy się potem ukazał pułkownik Delaitre, idący w niedzielę do kościoła, otoczony swym sztabem, towarzyszyły mu orszaki muzykantów i tańcujących z bukietami i kastanietami.

Jednakże nabożeństwa nasze nie podobały się Hiszpanom starszym, a zwłaszcza kanonikom, bo do mszy asystował oddział wojska z bronią, i lubo podczas podniesienia prezentowano broń, wszelako żołnierze zachowywali czapki na głowie, a oficer komenderujący paradą kościelną odzywał się głośno po kościele, co było według zwyczajów wojska francuskiego; prócz tego w korpusie oficerów towarzyszącym pułkownikowi, zasiadającemu w krześle przed wielkim ołtarzem, znajdowali się i Mamelucy; z tych powodów Hiszpanie zwali ten obrząd: *misa politica.*

Miałem więc takie zdarzenie i to z księdzem u którego sam stałem kwaterą: przyszliśmy do kościoła o godzinie naznaczonej, z paradą kościelną i pułkownikiem na czele; nie zastaliśmy księdza. Na zapytanie na kogo kolej mieć mszę? odpowiadają: że kanonik u którego

ja stoję — posyłam do niego, kazał odpowiedzieć: „że chory i leży.“ — Delaitre się rozgniewał, wyszedł z kościoła z całą paradą kościelną, i polecił mi ten wypadek sprawdzić, a w razie zmyślonej choroby ukarać.— Ja wiedząc i widząc, że ksiądz acz stary jest zdrów, ale nie chce odprawiać nabożeństwa, które uważał tylko za polityczne, kazałem mu w łóżku leżeć 24 godzin przynajmniej, żeby sił nabrał, a dostawiłem mu dwóch żołnierzy, coby siedzieli przy nim i pilnowali, żeby łóżka nie opuszczał; ci zaś zmieniali się co godzinę, a jmć ksiądz płacił każdemu po pesecie (*peceta* wartość i pierwszy typ cwancygiera). Po tej kuracyi ksiądz kanonik już nie chorował i mszę ś. odprawiał, gdy kolej na niego przychodziła.

Jakkolwiek powszechność hiszpańska była przeciwko Napoleonowi, a w skutku i przeciwko Francuzom uniesiona, miał w tem winę sam mocarz, który jak się tyle razy mówiło, niepotrzebnie i niegodziwie podszedł naród i rząd sąsiedni, nietylko przyjazny ale podziwiający go... Zdarzali się więc nawet i księża światli, ubolewający bezstronnie nad tem nieszczęściem... a byli i tacy co sprzyjali reformie, a tych nazywano Afrancezados. Takim był w Castroxeriz alcalda (wójt czyli burmistrz) nazwiskiem D. Manuel Cobo, u którego miał kwaterę pułkownik Delaitre. Ten Cobo rozżalony był na Hiszpanów, że ojca żony jego, jak twierdził niewinnie rozstrzelali; do tego zapaleńca jeszcze raz wrócimy, ale teraz jest na czasie wspomnieć o innym wypadku i onego następnościach.

Jakeśmy to już tyle razy powtórzyli, ani obecność króla, ani wielokrotne zwycięstwa nie pomagały; gierylla-sy czyli powstania, we wszystkich okolicach wzmagały się, komunikacye nasze coraz stawały się trudniejszemi. Zrazu posyłaliśmy z Castroxeriz raporta nasze do jenerała Dorsenne do Burgos, i korespondencye na pocztę przez dwóch konnych żołnierzy. Gdy ci częstokroć dojechać nie mogli, posyłaliśmy brygadyera z 4ma ludźmi; a gdy i takie małe oddziały nie były dostateczne, musieliśmy dla pojedynczego listu wyprawiać oficera z 25 końmi, co u nas stanowiło pluton, czyli czwartą część

szwadronu; była to korespondencya zbyt kosztowna; następujący wypadek spowodował jej zmianę.

Razu jednego porucznik Maciej Mierzejewski był komenderowany na taką korespondencyą do Burgos, a doktor pułkowy Deplace znękany słabością i tęsknotą za krajem, otrzymawszy pozwolenie, wracać miał do Francyi i w towarzystwie swego służącego miał rozpocząć swoję podróż pod zasłoną plutonu Mierzejewskiego. Ale gdy literat, filozof, dosiadł raz konia, niecierpliwy, nie chcąc czekać na zebranie się plutonu, zawoławszy swego służącego także konnego, puścił się w drogę ku Burgos, a oddaliwszy się tak, że go eskorta widzieć nie mogła, zostali oba zamordowani, a konie ich i wszelkie rzeczy zabrane, ciała zaś obnażone, porzucone. Mierzejewski nadciągnąwszy, przysłał zaraz parę ludzi z raportem o tem zdarzeniu, a sam podążył do Burgos upatrując nieprzyjaciela po drodze.

Nim do dalszego dochodzenia tego zabójstwa przystąpimy, mamy sobie za obowiązek podać pamięci czytających osobistość Dra medycyny Deplace: był to mąż wysokiej nauki, i jako taki miał udział w wyprawie egipskiej, w której się zaznajomił z pułkownikiem Delaitre, wówczas adjutantem jenerała Klebera. Deplace był charakteru najszlachetniejszego i najsłodszego, od wszystkich powszechnie szacowany i kochany. Wielki przyjaciel narodu naszego a zwłaszcza zdrowej krwi i urodziwości ludu polskiego; twierdził i opisał medycznie: że nigdzie podobnej urody, a mianowicie tak piękuych i zdrowych piersi nie widział jak w Polsce. Dzieło jego w tym przedmiocie wydane drukiem pod tytułem: *Sur l' alaitement maternel* — o karmieniu macierzyńskiem— nosi godło oddające zwięźle usposobienie autora: „*Incipe parve puer, risu cognoscere matrem!*“

Miałbym się za szczęśliwego, gdyby ta krótka wzmianka o doktorze Deplace i jednem z jego dzieł, posłużyła komu z rodaków do pocieszenia rodziny Deplace, o której z żalem naszym, nie mieliśmy nigdy bliższej wiadomości.

Po takim wypadku, gdy nas doszła wieść, że ten mord był popełniony przez bandę 13tu do 14tu ludzi,

na koniach czy mułach, która się zjawiła na drodze naszej do Burgos, wyruszyliśmy przededniem we dwa szwadrony polskie; ja prowadziłem jeden szwadron z lewej strony, kapitan Jordan Hermolaus drugi szwadron, z prawej strony, i mieliśmy się w wyznaczonym punkcie zejść. Przetrząsnąwszy całą okolicę... cóż się stało?.. nie nadybaliśmy nic... a gdy oba szwadrony razem wróciły, znużone ogromnym upałem, na który nam zachorował w marszu porucznik Wincenty Mikułowski, upewniali nas niektórzy Hiszpanie, że ta banda ścigana widziała nas przechodzących w odwrocie, ukryta w parowie... Taka to była wojna hiszpańska: wiele trudu, wiele straty pojedynczej, a skutku mało lub nic. — Po tym wypadku umyśliłem korespondencyą naszę urządzić w sposób coby nie utrudzał wojska, nikogo nie narażał, a był najpewniejszy. Wysyłałem po kolei wszystkich starszych księży z miasta; municypalność dostarczała muła z wygodnem siedzeniem i przewodnika na mule; przywoływałem kanonika lub plebana, i ofiarując mu pieniędzy na drogę — jeżeli chciał — doręczałem expedycyą do sztabu jenerała Dorsenne, oświadczając: że za całość i dostateczny pośpiech odpisu, odpowie mi cały majątek ruchomy jegomości, pozostający w Castroxeriz. Kolega Mikułowski podaje mi w swych notatkach, że pierwszym z księży których tym sposobem wyprawiałem do Burgos, był jego gospodarz D. Antonio Itero.

Z początku zdawało się to tym duchownym arcy twardem wymaganiem; ale gdy im przedstawiłem: że do tego jestem zmuszony przez zdarzające się często przelewania krwi niewinnej; że przez tę fatygę, którą podejmą wielebni ojcowie, oszczędzą tych krwawych ofiar nietylko francuskich ale i hiszpańskich; że wreszcie taki już jest rozkaz, który się zmienić nie może; zgodzili się ojcowie i sami między sobą kolej ułożyli, bo taka korespondencya odbywała się dwa razy na tydzień.

Oprócz rozkazów jenerała Dorsenne, odbieraliśmy przez Burgos wiadomości od naszego sztabu pułkowego z Chantilly, a nawet listy z Polski i gazety różne, mianowicie *Journal de l' Empire*. Wiedzieliśmy o zaślubieniu Napoleona z Maryą Ludwiką córką cesarza Austryi,

i paradach z tego powodu odbytych w Paryżu, na których po raz pierwszy wystąpił na czele naszego pułku pauker po staropolsku bijący w kotły, w stroju narodowym w kontuszu, który niepospolicie zajął widzów paryskich. Skutkiem tego aliansu z Austryą, coraz więcej odbieraliśmy nadziei wojny z Rosyą; razu jednego gdy expedycyą z Burgos przynosiłem pułkownikowi Delaitre, zapytał mnie, jak zwykle: coby tam było nowego?.... „Dobre nowiny panie pułkowniku — odpowiedziałem — wojna z Rosyą jest niewątpliwą“... — „I to wpan nazywasz dobrą nowiną! — odrzekł pułkownik — dla mnie ona jest najgorszą; naród polski bezwątpienia zasługuje na wszelką życzliwość, ale Francya nie może się poświęcać sama dla Polski. Od czasów cesarstwa wszystkie nasze wojny są niepolityczne, które nas pociągną do upadku... czegóż my możemy szukać w pustyniach Polski a dopieroż Rosyi?!...“ Takie było po wielkiej, może po większej części usposobienie starszyzny francuskiej. Panowie ci od młodości prowadzący wojny, mając zdrowie nadwerężone ranami i trudami... dostąpiwszy rang i majątków, wzdychali za odpoczynkiem i używaniem owocu swoich prac i zasług; insze były życzenia i uczucia nasze, inszy cel naszych poświęceń... dla tego zdania te francuskie zdawały nam się być po prostu egoizmem... a ztąd i wstręt nasz do wielu Francuzów nami dowodzących... a szczególniej do pułkownika Delaitre, który był gorącym patryotą francuskim i cesarza nie lubił.

Istotnie Napoleon nadużywał swego szczęścia...Zaledwie ukończywszy pół na pół wojnę pruską w Tylży, rozpoczął najbłędniej wojnę w Hiszpanii.... sprowadził tam Anglików... a zajęty znowu przygotowaniem wojny z Rosyą... nie przybył osobiście wyprzeć Wellingtona z półwyspu... nie znał lub nie chciał znać położenia rzeczy i sił obustronnych w Hiszpanii i Portugalii... w miejsce swoje przysłał Massenę... ale go nie zaopatrzył w siły dostateczne... a narobiwszy marszałków do zbytku, zaszczepił niesubordynacyą w dowódzcach... Co z tego wynikło, wiadomo światu... może nam wiek nasz podeszły pozwoli jeszcze podać o tem

nasze wspomnienia z r. 1812 w którym jako naoczny ciągle świadek, mamy pochlebną nadzieję, że ziomkom nie jedno spostrzeżenie przekazać możemy, któregośmy jeszcze nigdzie nie czytali. — Tymczasem sprawy wojenne szły najgorzej — można mówić w całej Hiszpanii; jenerał Dorsenne mimo rygoru, a można mówić i zbytniej surowości, dla czego Hiszpanie przezwali go: *Pedro el cruel,* bo mu było na imie Piotr, a niegdy panował w Hiszpanii tyran tego imienia i przydomku; jenerał Dorsenne, mówię, choć miał korpus wyborowy, bo gwardyi, nie mógł sobie dać rady i nastarczyć wojnie tylko partyzanckiej, bo innej w prowincyach jego wielkorządztwa nie było. Będąc zajęty różnemi wysyłkami, jako to do St. Ander, do Rejnosy, do Villafranca o której wspomina kolega Mikułowski, aż na krańcach Galicyi, musiał posiłkować jenerała Bonnet.

Te i tym podobne ciągle exkursye większych i mniejszych komend naszych na wszystkie strony wielkorządztwa powierzonego jenerałowi Dorsenne, zapaliły mściwy umysł naszego afrancesado alkalda Cobo, o którym już była wzmianka. Jednego razu przypada do mojej kwatery z pośpiechem, i melduje mi, że w pewnej wiosce, niezbyt oddalonej, przebywa dwóch Hiszpanów rannych; a miał pasyą mówienia po francusku, tę więc liczbę dwóch — *deux* — tak wymawiał z hiszpańska, u których *dos* znaczy dwa, że ja nie mógłem zrozumieć: czy dwunastu, czy dwóch jest rannych w owej wsi? Nakoniec p. Alcalde za pomocą dwóch palców przekonał mnie, że była mowa o dwóch. — Odzywam się więc do niego: „Cóż wpan chcesz, żebym ja z tymi dwoma rannymi robił?“— „Żebyś posłał oddział i kazał ich zabić“— „Ach! panie Cobo, my bezbronnych nie zabijamy, a cóż dopiero rannych.“— Na to p. Cobo: *„Mosu Commandane! Vous ne pas connetre Espagnol, si Vous ne pas le tuer, il Vous du.“* Co znaczy: „Panie komendancie, nie znasz Hiszpanów, Hiszpana trzeba zabić, inaczej on cię zabije.“— To nauka nie lada, przyznać trzeba, i dla tego się tu konsygnuje, ale ja jednak z wielkiem zgorszeniem pana alcaldego hiszpańskiego, nie wysłałem nikogo po owych rannych.

Już się zbliżało nam do opuszczenia stanowiska w Castroxeriz, kiedy jednego dnia pod wieczór stawa przed moją kwaterą oficer od piechoty polskiej 4go pułku, na małym koniku, a za nim służący towarzyszący mu pieszo. Schodzę rozpoznać tak nadzwyczajnego podróżnego; był to mój pokrewny Adam de Rivière Załuski powracający... z Malagi! gościńcem pocztowym; nie szedł bez eskorty, ale po zabójstwach jakie się codziennie zdarzały na uboczu, byłem radośnie zdziwiony, że mu się nic złego nie stało. Ponieważ wojownik z pod Almonacid, Ocańa i wielu innych pól bitwy, wracał w stanie garderoby bardzo smutnym, a był się podał do dymisyi z tęsknoty za krajem mimo rozkosznych okolic Granady i Malagi z których przybywał, — przebrałem go po cywilnemu i w stroju wcale paryskim przedstawiłem go pułkownikowi Delaitre, który znawszy w Warszawie jego ojca, pana Jana de Rivière Załuskiego, z którym niegdyś przy formacyi pułku byłem z wizytą u naszego 1go majora, widząc przytem młodzieńca tłómaczącego się wyborną francuszczyzną, przyjął go nader uprzejmie, i zaprosił go do swego stołu na cały czas pobytu jego w Castoxeriz. Jakoż u tego stołu przy którym cały sztab zasiadał, przekonywaliśmy się codziennie więcej o oczytaniu pana Adama, i słuchaliśmy jego opowiadań o kampanii pruskiej w której się odznaczył, i o wojnie hiszpańskiej podczas naszego pobytu nad Dunajem. Między innemi opowiadał nam o czynie szefa batalionu 4go pułku i kolegów swoich pod tegoż dowództwem, w obronie zamku nadmorskiego Fuengirola, gdzie nasi mieli do czynienia z Anglikami, odparli ich cudownie prawie, i jenerał angielski lord Blajney dowodzący całą expedycyą, został jeńcem szefa batalionu Młokosiewicza.

Gdy pan Adam Załuski miał już nas pożegnać, dałem mu pismo do pułkownika Krasińskiego, który go znał osobiście, jakoż mu wyrobił u cesarza patent porucznika 2ej klasy w swoim pułku. Nie przewidywałem wtenczas, że mu toruję drogę do smutnego końca, zginął albowiem tragicznie w r. 1812 w odwrocie na Litwie. O ile pamiętać mogę, zajmowała komenda pułko-

wnika Delaitre miasto Castroxeriz blisko ośm miesięcy, opuściliśmy owe koszary nasze, może jedyne tego rodzaju w Hiszpanii, za przybyciem marszałka Bessièra.

Bezwątpienia bytność korpusu 800 do 900 koni wynoszącego, po większej części w tem małem mieście skoncentrowanego, nie mogła się obejść bez uciemiężenia mieszkańców, ale ci wiadomi co się działo w innych miejscach gdzie nie polskie komendy stały, z żalem patrzyli na nas odchodzących; istotnie żegnali nas z rozczuleniem, pamiętali nieraz później że przebyli znaczny przeciąg czasu pod władzą sprawiedliwą, bezstronną, i która nigdy innego daru nie przyjęła, prócz kilku kuropatw żywych, o dzióbkach, oczach i nóżkach koralowych. Lekkokonny pułk polski gwardyi Napoleona, umiał sobie zjednać szacunek Hiszpanów w Castroxeriz, tak jak Francuzów w Chantilly.

Już się był zaczął rok 1811 kiedy zapowiedziane nam przybycie marszałka Bessières, przeniosło nasz oddział polskiej gwardyi z Castroxeriz (g, i, j i x przed e wymawiają się jak ch polskie), do Valladolid, — wprzód jeszcze nie jeden z komendy pułkownika Delaitre opuścił Hiszpanią, tak z przyczyn słabości zdrowia jak z powodów służby. I tak Napoleon chcąc pomnożyć swoją lekką jazdę a mianowicie ułanów, *lanciers*, postanowił stworzyć 8 nr. tej broni w służbie Francyi, ale z samych Polaków złożony; na pułkownika tego korpusu mianował naszego szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego; niemało naszych oficerów i podoficerów, powołanych czyli awansowanych było do tego pułku — z szaserów czyli raczej Mameluków nadmienimy szefa szwadronu Kirmann, który udał się do ich garnizonu z Melun, a kapitan Renno przybył w jego miejsce na dowódzcę tego szwadronu. Był to syn wschodu, nie wiem czy z Alexandryi, czy z Syryi, ale który jak się zdaje, otrzymał wychowanie europejskie, doskonale mówił i pisał po francusku, po włosku, i był tak uzdolniony, jak mało który z oficerów strzelców konnych gwardyi, do których Mamelucy należeli. Wkrótce potem gdy pułkownik Konopka dowódzca sławnego pułku ułanów nadwiślańskich, noszącego w armii francuskiéj nr. 7 lansyerów, został posu-

nięty na jenerała brygady, nasz szef szwadronu Ignacy Stokowski przeznaczony został na jego miejsce i odjechał do Sedan, gdzie był sztab i zakład tego pułku.

Jak tylko wiadomość nadeszła, że marszałek Bessières ma zjechać do Hiszpanii, żeby zająć miejsce jenerała Kellermanna w Valladolid z tytułem jeneralnego dowódzcy całej północnej Hiszpanii, opuścił cały nasz pułk Castroxeriz, a oddziały strzelców konnych, Mameluków i nasze rozesłane zostały do granic Francyi aż do Valladolid na posterunki, dla przeprowadzenia marszałka. Ja sam eskortowałem go między Burgos a Valladolid... zawsze jeden, niezmiernie dobry i ludzki, częstował nas — jeżeli się nie mylę — w *Torrequemada*, w miejscu wsławionem zwycięstwem jenerała Lassale w r. 1808 z oddziałem naszego pułku.

Kilku nas oficerów polskich, którzyśmy go w ciągu dnia eskortowali, siedzieliśmy u jego stołu; były między innemi potrawami kuropatwy na stole; marszałek wskazując na takowe mówił do nas: „Widzicie wwpp. ten dobry lud przysłużył mi się kuropatwami — przypomnieli mnie sobie ci dobrzy Hiszpanie, trzeba się z nimi obchodzić z pobłażaniem, nie z surowością, trzeba ich sobie ujmować.“ Już w trzeciem wspomnieniu mojem wzmiankowałem o tem usposobieniu m. Bessières dla Hiszpanów i względem prowadzenia tej wojny; ale szanowny, czcigodny i waleczny książę Istryi, unosił się przywiązaniem swojem do cesarza, zapominał że cały naród hiszpański był krwawo i boleśnie obrażony, że sposoby zwyczajne do rządzenia takim krajem były niedostateczne, że tu trzeba było zwycięstwa zupełnego i wypędzenia Anglików, ale nie urządzenia administracyjnego i starania się o ujmowanie rozjątrzonych umysłów. Miękkość rządów marszałka Bessières sprawiła to, że gierylasy wzmogły się po jego przybyciu tak jak nigdy pierwej; a jak się już powiedziało, zgoda między dowódzcami wójsk francuskich, po większej części marszałkami, coraz więcej słabła, a powaga Anglików i Wellingtona wzrastała. — Gdy m. Bessières założył swoję główną kwaterę w Valladolid, regiment marszowy pułkownika Delaitre opuściwszy Castroxeriz, zebrał się w Valladolid.

lid, i przeniósł swoje leże do Rioseco, miejsca miłego marszałkowi przez wspomnienie odniesionego tam przez niego zwycięstwa w d. 14go lipca 1808.

W Valladolid przebywał zawsze jeden szwadron po kolei, z oddziałów strzelców konnych gwardyi i naszego, jako eskorta marszałka. Ten zaszczyt trafiał mi się po kilka razy, i zawsze byłem, tak jak wszyscy oficerowie polscy, z szczególną życzliwością od niego przyjęty. Następująca okoliczność zwróciła jeszcze więcej może łaskawą uwagę marszałka ku mnie. Siedząc raz u stołu obok niego, sztab marszałka, między którymi jenerał Guilleminot szef, i różni cywilni panowie do kancelaryi księcia Istryi należący, skarżyli się przed nim, że ich konie a nawet konie marszałka nie mają furażu, ale że konie pp. Polaków obfitują. Nie była rozmowa przyjemną m. Bessierowi, a gdy się pytał, dlaczego jest ten niedostatek, odpowiedziano, że kraj cały zaraz za bramami miasta jest tak okryty gierylasami czyli brygantami, że nikt zboża ani paszy dostarczyć nie może. A jakże wy robicie Polacy? obraca się marszałek do mnie. — Staramy się mości książę i mamy, — a jeźli w. ks. mć pozwolisz, to ja jutro pójdę z szwadronem i zboża z paszą dostarczę. To przez pp. Francuzów było przyjęte za czczą fanfaronadę. . . i z urąganiem przemawiali: Da się to widzieć, prosimy, zobaczymy. — Marszałek zaś po prostu upoważnił mnie do zrobienia tej exkursyi. — Opowiedziawszy szwadron o rannym marszu, wyszedłem do dnia, biorąc kierunek w okolicę chlebną ku Palencyi, a przyszedłszy do wsi sporej, gdzie bytności wójsk śladu nie było, zastałem znaczne zapasy zboża i słomy, które zarekwirowałem i na wozy ładować kazałem. Ale wtem zdarza się okoliczność, że pies miał imię Napoleona... gniew i zawziętość straszna. Żołnierze moi chcą wieś palić, ledwie im wyperswadowałem, że gdy zabili psa, więc zgorszenie pomszczone; starszeństwu zaś wsi dałem groźną naukę, tak, że się skwapliwie zajęli dostarczeniem wszelkiego rodzaju wiktuałów i mieli się za szczęśliwych, że mściwości naszego żołnierza nie doznali, za płochość któregoś swojego mieszkańca. Wróciłem więc do Valladolid z szeregiem wozów

znacznym, naładowanych różnemi zapasami, co wielce ubawiło marszałka, a w zadziwienie i zazdrość wprawiło jego kamaryllę.

Po tym niedołężnym kierunku administracyi w samej bliskości naczelnika kraju, można miarkować jak szła sprawa ta na większe rozmiary, a mianowicie w celu dostarczania marszałkowi Massenie zasobów i posiłków różnego rodzaju, których on z wojskiem swojem domagał się i potrzebował usilnie. Biedny ten zwycięzca w tylu wojnach, nie mógł dać rady ani miłości własnej Marszałka Neya i diuka d' Abrantes Junota, którym się obu chciało dowodzić, ale nie zostawać w drugim rzędzie pod komendą — ani wątpliwemu bardzo współdziałaniu kolegi m. Soulta. Udawał się Massena ustawicznie pismem i wysłańcami do Napoleona o pomoc wszelkiego rodzaju, ale bezskutecznie; tyle tylko wyjednał, że Napoleon posłał Bessiera do Hiszpanii, i polecił mu posiłkować Massenę. Ale pp. jenerałowie francuscy przyzwyczajeni wojować we Włoszech i w Niemczech, gdzie miasta i wsie bogate, zapaśne, drogi doskonałe, cywilizacya a zatem zmiękczenie upowszechnione: tam szpitale, zapasy, pomoce wszelkiego rodzaju były nietylko na zawołaniu, ale przez magistraty i gminy przysposobione. Inaczej to szło w Hiszpanii, jak czytelnicy już z naszych uwag powziąść mogli; tu, trzeba było o głodzie i nieznośnych trudach, wszystkiego się krwawo dobijać, a o wygodzie dla rannych i chorych ani myśleć.— Więc książę Istryi wszystko obiecywał, i szczerze się starał, ale nie był w stanie dostarczyć Massenie tego, czego sam nie posiadał. Skutkiem tych przeróżnych przeszkód m. Massena zamiast wyprzeć Anglików z Portugalii, po nieznośnych stratach ludzi, koni i materyałów wojennych, musiał się z Portugalii cofać. Odbierał atoli raz wraz rozkazy z Paryża wyparcia na morze tej garstki Anglików, z dołączeniem dość uszczypliwych wyrazów, dla samego księcia d' Essling i wójsk (jakoby tak licznych) pod jego dowództwem zostających. . . . . Z tego wszystkiego wynikło, że Massena postanowił uderzyć znowu na Anglików, zwłaszcza że Wellington był się oddalił osobiście ku Badajoz (Badachoz).

Marszałek Bessières zbierał się więc osobiście posiłkować Massenę z całą jazdą i częścią artyleryi swojej, nie mogąc krain rozległych zostawić bez załog piechoty. W ciągu miesiąca kwietnia opuściliśmy Valladolid i Rioseco. Przytoczymy tu kilka słów z notat kolegi pułkownika Mikułowskiego: „Kiedy m. Massena cofnąwszy się z pod Lizbony aż pod Almeidę, zażądał pomocy, Bessières zabrawszy gwardye (konne) poszedł na Toro i Salamankę do Ciudad-Rodrigo. Przytoczę tu małą okoliczność na dowód, jaką już wówczas Bessières miał opinią o naszym pułku. Po dniowym spoczynku pod Ciudad-Rodrigo, cały korpus Bessiera przeszedł za fortecę i rzeczkę małą, której nazwiska nie pamiętam (Agneda), i postępował dla połączenia się z Massenę ku Fuentes de Onoro. Bessières zaś opatrywał fortecę, zostawiwszy tylko oddział nasz z dwóch plutonów któremi dowodziłem. Przegląd fortecy zabawił dość długo, tak dalece, że jenerałowie odprowadzający marszałka aż za rzeczkę, i ujrzawszy tak nieliczną eskortę, upraszali go najusilniej, aby dobrał dla bezpieczeństwa batalion piechoty, gdyż wiedzą dobrze, że partyzant Don Julian, w 700 koni krąży w okolicy. Wtenczas Bessières podziękowawszy jenerałom za ich troskliwość, wskazał im ręką na mój oddział, i z anielską uśmiechając się dobrocią, powiedział słowa (które do śmierci tkwić będą w mej pamięci) *avec 50 gaillards comme ceux là, je passerai partout.*. Z takimi 50 zuchami jak ci, przebiję się wszędzie. — Żołnierzom, którym wytłómaczyłem co powiedział marszałek, zaiskrzyły się oczy, i pewno w potrzebie, chybaby po ostatnim ich trupie nieprzyjaciel dostałby się do osoby ukochanego wodza. — Szczęśliwie też doszliśmy do korpusu, i na drugi czy trzeci dzień połączyliśmy się z Massenę, którego waleczna armia, lecz znękana trudami i niedostatkami, przyjęła nas jak otuchę zwycięstwa.“— Dalej pisze Mikułowski: „Drugi podobny poprzedniemu, spotkał nas zaszczyt od marszałka Masseny w wilią bitwy pod Fuentes de Onoro. Wieczorem, piechota armii portugalskiej kusiła się z Anglikami o wzięcie pozycyi. Nasza piechota zwycięsko odpierała ataki. Mar.

Bessières narażając się, jak zwykle, zanadto, wśród gęstego ognia dawał rozkazy, choć ta piechota co walczyła nie należała do jego korpusu; co widząc Massena, przysłał do niego z prośbą, aby raczył się mniej wystawiać na niebezpieczeństwo. Wtem okazał się od strony nieprzyjaciela parlamentarz. Był to pułkownik lord Gordon adjutant Wellingtona. Gdy go przedstawiono Massenie, ten z nim rozmawiając, jedną razą obrócił się i pokazując na mnie wyrzekł: *„demain Vous aurez à faire à ceux là“* (jutro będziecie mieli do czynienia z tymi oto). Lord Gordon wówczas zapytał pułkownika Briquevilla adjutanta Masseny: *quelle est cette troupe?* (co to za wojsko?) — Gdy Briqueville odpowiedział, że to mundur ułanów polskich gwardyi Napoleona, lord Gordon odrzekł: *Nous connaisons leurs compatriotes, ils sont braves, mais partrop téméraires.* — Znamy ich współrodaków, są waleczni, ale zbyt zapamiętali. Była to mowa o 7ym pułku ułanów, słynącym naówczas w armii południowej. Nazajutrz w bitwie pod Fuentes de Onoro, manewrowaliśmy ciągle, i już byliśmy gotowi do szarży, gdy przez jakieś nieporozumienie Bessièra z Masseną, kazano nam się wstrzymać. Cała armia żałowała tego wypadku, bo spodziewała się świetnego skutku szarży tak dzielnej kawaleryi gwardyi. Straciliśmy jednak od kul armatnich kilku żołnierzy.“ — Bardzo nam jest na rękę zastąpić nasze opowiadanie o bitwie pod Fuentes de Onoro, notatą kolegi Mikułowskiego, albowiem, niestety! niewiele więcej da się powiedzieć o tym tak szumnie a tak mozolnie przedsięwziętym ruchu marszałka Bessières, w pomoc Massenie.

Szliśmy mniej więcej 60 mil geograficznych, z wielkim trudem, przez kraj powiększej części, i to im dalej, tem bardziej zniszczony, opuszczony, lubośmy w znacznej części zjadali szczupłe dla Masseny przeznaczone zapasy, doznawaliśmy sami głodu, a konie nasze ustawały, — słońce wypaliło skaliste, suche okolice, wody był niedostatek, a baraki nasze przepełnione różnym gadem i jaszczurami nieznanej nam wielkości; ja sam kapitan dowódzca kompanii doznałem głodu, podobnego do tego

o którym opowiedziałem w wspomnieniu o wyspie Lobau na Dunaju.

Prawda jest co pisze Mikułowski, żeśmy byli gotowi do szarży, my i strzelce konni i Mamelucy .... ale marszałek Bessières nie dał nam popierać natarcia kawaleryi przez jenerała Montbrun, na któreśmy się patrzyli z bliska, a na czele jednego z tych ataków stracił nogę Septeuil świetny i ulubiony adjutant marszałka Berthier duc de Neufchatel, świeżo z Paryża przybyły. Dwie przyczyny mogły powodować mar. Bessières, że nam nie kazał nacierać: raz że wiedział jak konie nasze są znużone marszem od Valladolid bez wypoczynku i bez dostatecznej żywności; drugi raz, że partyzant D. Julian kręcił się po za frontem i po bokach naszej armii, a mar. Bessières chciał ją zasłaniać kawaleryą lekką swoją. Owo zgoła tyle mieliśmy w zysku my Polacy, żeśmy przez trzy dni przypatrywali się bojowi dwóch pierwszych narodów: Francuzów, których znaliśmy, i Anglików, których w takiej bitwie — *bataille rengée* — jeszcze nam widzieć nie zdarzyło się; zresztą nie był to bój ladajaki i łatwy ... cała tam okolica poprzerzynana jest okopami z kamieni, chcę mówić że każdy ogród, każde pólko, opasane jest płotem kamiennym, jak murem. Za takiem schronieniem, piechota ma niemal bezpieczne stanowisko, trudne i mordercze do zdobycia, a cóż dopiero mówić o nacieraniach konnicy? Dla tego, jak sądzę, Bessières nie chciał narażać bezowocnie swojej kawaleryi gwardyi, a miał jej może 700 do 800 tylko. W tej bitwie Anglików jednak, gdy nasze czapki polskie poznali zdaleka, przybiegło do nas 4 żołnierzy Polaków, i mówili, żeby ich przeszło więcej, gdybyśmy się zbliżyli; powiadali, że w armii angielnskiej jest batalion niegdyś francuskim zwany, w którym teraz wszyscy żołnierze są Polacy a oficerowie tylko Francuzi pozostali, jak się zdaje z emigracyi. — Tych 4 żołnierzy, którzy byli z lubelskiego, opatrzyliśmy obuwiem, paszportami i pieniędzmi, i odesłali do Warszawy.

Ale wracając się do pola bitwy, gdy mar. Massena formalnego zwycięstwa odnieść nie spodziewał się, a z Almeidą się porozumiał, zaczęliśmy odwrót, spokojny i za-

szczytny, bo Francuzi byli w tej batalii górą.— Ja zaś z mocną placówką kilkudziesiąt koni, stałem gdzieś na uboczu strażą, jak się domyślam od napaści owego D. Juliana, — noc była ciemna i głucha wszędzie, o północy robi się huk niesłychany i jakby trzęsienie ziemi! Placówka siada na koń i nie mogąc pojąć co to znaczy, czekamy rozkazów z podwojoną bacznością, nakoniec przybywa adjutant, z poleceniem wracania do tylnej straży kolumny, i oznajmuje, że to fortyfikacye Almeidy wysadzono w powietrze. Istotnie jenerał Brenier dowódzca twierdzy, wypełniając rozkaz Masseny, wysadził fortyfikacye i cudownie prawie przebił się z garnizonem przez armią angielską; czyn to był z jego strony bohaterski.... ależ jakiż owoc tylu strat, tylu trudów sławnego marszałka księcia d' Essling? Opuszczenie Portugali i cofanie się do Salamanki. Tymczasem Francuzi obwiniają Bessièra, że był tego tak zawiedzionego skutku przyczyną, nie że nam nie dał nacierać, ale że amunicyi nie był dostarczył, i że dla tego Massena musiał się ograniczać na pozbawieniu Anglików fortecy Almeidy.

Wrócił więc marszałek Bessières do Valladolid i my z nim do Rioseco, a służba odbywała się przy marszałku, jak wyżej powiedziano.

Nim przystąpię do kilku wspomnień o Valladolid i o Hiszpanii, nie mogę nie oddać hołdu pamięci urodzenia Napoleona II. Wiadomo jest że ten syn którego Napoleon tak pragnął, urodził się d. 20 marca 1811... byłem właśnie w Valladolid kiedy armaty zaczęły ogłaszać tę pomyślną wiadomość i rachowaliśmy z natężoną uwagą 101 strzałów, zwiastujących radość Francyi i całego wojska w Hiszpanii będącego.

Marszałek Bessières obchodził tę uroczystość z wszelką jak mógł świetnością, a prócz nabożeństwa, rewii, obiadów i balów, było także i ulubione widowisko hiszpańskie: *de los Toros*, to jest walki byków. Nie było to igrzysko na skalę tych jakie się odbywają w Madrycie, Sevilli i innych wielkich miastach Hiszpanii, ale odznaczało się w Valladolid tą osobliwością, że zamiast matadora była kobieta matadorką. Widziałem więc na swoje oczy, jak młoda Hiszpanka szczupła ale zwinna, je-

dnem uderzeniem noża (cuchillo) zwaliła pod swe nogi byka rozhukanego. Krytykarze europejscy ganią zwyczaj ten igrzysk byków jako barbarzyński, jakoby czyniący ujmę sercu Hiszpanów, — ci co tak piszą, pewnie nie mieli matek coby walczyły z bykami, ale też ani takich, coby broniły Saragossy tak zapamiętale, jak nam to opisał jenerał Mroziński. Dowiódł naród hiszpański Kartagińczykom, Rzymianom, Maurom i Frncuzom, że łatwiej wnijść do Hiszpanii, jak wycofać się z niej; a brzmią dotąd w ludzie hiszpańskim pieśni o *Viriato guerrero*, który z pasterza owiec, wniósłszy się aż do naczelnego dowództwa wójsk, 14 zwycięstw odniósł nad Rzymianami.— Wspomnąwszy o owczarzu, i pisząc o Hiszpanii, nie godzi się nie wspomnieć ziomkom o *Meście*. Mesta jest to urządzenie, któreśmy jeszcze w Hiszpanii zastali, że właściciele owiec z cienką wełną, połączali je na pasze wspólne całoroczne, to jest, przez pory roku ciepłe, w górach północnej Hiszpanii, a w czasie zimy, w Estramadurze. To hodowanie owiec z cienką wełną, było znamienitem bogactwem Hiszpanii, której podniebie i dawny obyczaj dozwalały takowego hodowania owiec, w ilości kilku milionowej, a z wełną, jakiej wówczas nigdzie nie było. Przemysł ten uważany za narodowy, zostawał zawsze pod kierunkiem którego z ministrów państwa, pod którego prezydencyą była junta, (chunta) to jest rada, zgromadzenie mające tytuł: *El honorado Consejo de la Mesta*. Nazwanie *mesty* pochodzi ztąd, że *mestal* znaczy pustynię nieuprawną, na pastwisko tylko użyteczną. Instytucya ta musiała niezmiernie ucierpieć przez wojnę, toczącą się przeciągiem lat sześciu, bo zapewne wojska angielskie nie więcej szanowały merynosy, od Francuzów; ztąd niewiadomo nam jest, czy jeszcze utrzymuje się mesta, to jest: zwyczaj wspólnej paszy merynosów? — Cesarz Napoleon kazał z tych stad wybrać najprzedniejsze i przeprowadzić do Rambouillet, ekonomii rządowej niedaleko Paryża, gdzie odtąd kwitnie gospodarstwo wełny. Marszałek Bessières od chwili objęcia zarządu w Valladolid, starał się pozyskać miłość i zaufanie mieszkańców tego miasta, utrzymywać surową karność między wojskami francuskiemi, i wymierzać sprawiedliwość Hi-

szpanom w każdym przypadku; jednem słowem, usiłował uzyskać ten naród dla swego cesarza i dla jego brata króla Józefa, — szczególniej zwracał uwagę i staranie swoje na szpitale, chorych i ubogich. — Na tem polu niesienia ulgi cierpiącej ludzkości, zjawił się rodak nasz lekarz 4go pułku legii nadwiślańskiej, nowo uformowanego w Augsburgu przez jenerała Bronikowskiego, doktór medycyny i chirurgii Lewkowicz, wychowaniec akademii wileńskiej, operator i okulista znakomity; ten pod protekcyą i kosztem marszałka odbył w Valladolid kilka operacyj szczęśliwych, zdejmując katarakty z oczu osobom podeszłego wieku i między innemi z wyższego duchowieństwa; ten doktór był później profesorem i operatorem w akademii Jagiellońskiej w Krakowie.

Przy tych szpitalach, bardzo znacznych, tak wojskowych jako i cywilnych, starannie urządzonych pod opieką marszałka, odznaczali się także naszego pułku lekarze: pp. Gadowski i Kuszański, oba Krakowianie i uczniowie akademi krakowskiej. — Wątpliwości nie podpada, że książe Istryi Bessières, zostawił nawet w Hiszpanii pamięć oddającą mu sprawiedliwość, ale ciagłe zmiany w jego powołaniu, nie dały mu długo wywierać tego wpływu na umysły i urządzenie prowincyj północnych Hiszpanii.

Nie mogę oznaczyć chwili w której marszałek Bessières opuścił znowu Hiszpanią; czy już był powołany na obrząd chrztu króla rzymskiego który się odbył 9go czerwca 1811 r., czy później powrócił do Francyi. Tylę tylko pamiętam, że po oddaleniu się Masseny, kiedy jenerał Voison dowodził interymalnie ostatkami armii portugalskiej, a marszałek Marmont nadciągał do niej, uczestniczyłem wyprawie jak się zdaje całego naszego oddziału, atoli szczegółów nie pamiętam.

Jeszcze później pułkownik Delaitre zrobił wyprawę z całą swoją komendą przeciw Anglikom, w której ja, złożony natenczas chorobą w Valladolid, nie znajdowałem się; kolega Mikułowski który do niej należał, nazywa ją wyprawą aż do Alfnatis, — tego miejsca ja na mapie nie znajduję, tem więcej zatem przytaczam wyrazy szanownego kolegi:

„Poszliśmy za Anglikami aż pod Alfnatis, w tym to pochodzie — gdy kapitanowie: Trzciński i Szeptycki zostali rannymi, Jankowski i ja wzięliśmy po nich dowództwo szwadronów, i mieliśmy obydwa szczęście zyskania pochwały i wzmiankę, za odpędzenie dragonów angielskich, którzy wciągnąwszy w zasadzkę pułk ułanów w. kscia de Berg i pobiwszy ich na głowę, bliscy już byli zabrania naszych armat. W tych dniach straciliśmy także kilku ludzi, a co pamiętam, dwóch z mego szwadronu, Loberta i Żylicza, obu Warszawianów. Towarzyszył nam w tej wyprawie pod Alfnatis pułk 4ty legii nadwiślańskiej, uformowany w 1809 r., w którym miałem brata mego ciotecznego Jagmińskiego kapitanem, a który był u nas dawniej podoficerem i za bitwę pod Rioseco otrzymał krzyż legii honorowej, razem z podoficerem Starzyńskim. Po tem wkroczeniu naszem w granice Portugalii, i cofnieniu się Wellingtona, powróciliśmy do Rioseco."

Podczas tej wyprawy naszego oddziału, ja z kapitanem Hermolausem Jordanem, oba chorzy, zostawaliśmy w Valladolid, i będąc już konwalescentami, uważaliśmy codziennie wieczorami na placu starożytnej katedry kometę sławnego r. 1811.

Po powrocie pułkownika Delaitre z całą swoją komendą do Rioseco, odbyłem ostatnią moję wyprawę z jenerałem piechoty Roguet, któremu dodanym zostałem z jednym szwadronem złożonym w połowie z naszych, a w połowie ze strzelców konnych gwardyi. Expedycya ta wyruszyła przez Villaloa ku górom na partyzanta osławionego pod przezwaniem: *el provedor*, coby znaczyło mnicha gospodarza klasztoru; atoli ja widziałem w potyczce człowieka ubranego od stóp do głów w axamicie koloru jasno czerwonego, który dowodził Hiszpanami. Potyczka ta była za wsią nazwiskiem Melgar, których jest wiele, atoli ja tego Melgar nie znajduję na mapie.

Podczas gdy jenerał Roguet zdobywał tę wieś, ja ze szwadronem starałem się odciąć Provedorowi rejteradę; to jednak w części tylko się powiodło, Provedor, czyli dowódzca pąsowy, uszedł straciwszy kilku ludzi. Kolega Mikułowski podaje mi, że był w wyprawie tej

pod jenerałem Roguet ze mną, ja zaś pamiętam, że porucznik mojej kompanii *Zawadzki* — podobno Stanisław — odznaczył się w tej potyczce, z której, przyjaciel Polaków jenerał Roguet był bardzo zadowolniony.

Powróciwszy do Rioseco, otrzymałem wkrótce rozkaz od jenerała Krasińskiego z pismem marszałka duc d' Istrie z Paryża z d. 14 września 1811 własnoręcznie przez Napoleona parafowanem (którą relikwią cudownym sposobem jeszcze posiadam, widać że jej nie miałem z sobą w wyprawie na Moskwę r. 1812); skutkiem powyższego rozkazu, ja kapitan, wróciłem do Francyi z 10ma porucznikami pułku, między którymi byli: Jankowski, Mikułowski, Dobiecki Wincenty, Mierzejewski Maciej, Łęski, Gotartowski Floryan i kilku innych, których już, łącznie z Mikułowskim nie pamiętamy.

Do Bajonny maszerowaliśmy razem, ztąd koledzy udali się do Chantilly, a ja z porucznikiem mojej kompanii Jankowskim Antonim, pojechaliśmy o swoim koszcie dyliżansami pocztowemi i wodnemi przez Pau, Tarbes, Toulouse, Carcassone, Cette, Montpellier, Nismes, Avignon, Lyon, Macon, do Paryża.

Opuściliśmy wszyscy Hiszpanią z radością, pewni, że nim koledzy zdążą za nami z Rioseco, my niezawodnie będziemy brać udział w pożądanej przez nas tak gorąco wojnie za Niemnem i Bugiem.

Spędziliśmy trzy lata naszej młodości na nauce wojny w Hiszpanii, 1808, 10, 11, wkroczyliśmy do tego kraju pełni zaufania w potęgę i szczęście naszego wskrzesiciela, opuszczaliśmy Hiszpanią dużo rozczarowani. Cóż się pozostało Francyi z zamierzonego podboju Hiszpanii?.... dym i popiół, te godła znikomości..... chcę mówić: cygarry! Do roku 1808 nie znał kontynent Europy tej namiętności hiszpańskiej, od tej chwili dopiero ta zdobycz Francyi rozeszła się po całej Europie.

Pisałem w Jasienicy w miesiącu październiku 1859.

WSPOMNIENIE VI

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA PIERWSZEGO,

Rok 1812.

Od chwili kiedyśmy kreślili ostatnie nasze Wspomnienie z lat 1810 i 11go, doszła nas wiadomość o stracie dwóch współtowarzyszów drogich i bliskich osobiście Dominika Kiełkiewicza na Wołyniu, i Walentego Zwierkowskiego w Paryżu, zmarłych. Kiełkiewicz wyszedł razem zemną z Warszawy w oddziale kapitana Wincentego Radzimińskiego, i szliśmy razem od Wisły aż do Bajony; tu Kiełkiewicz odłączył się odemnie, i d. 14go lipca 1808 odznaczył się pod Rioseco, — późniéj długi czas był wachmistrzem szefem w pierwszej kompanii pułku, zostającej przez lat kilka pod mojem dowództwem. Odznaczywszy się mianowicie w kampanii 1814 r. we Francyi, został kapitanem i ozdobiony krzyżem oficerskim legii honorowej. Powróciwszy do kraju, był przez krótki czas, jako kapitan w pułku 4ym ułanów królestwa kongresowego, dowództwa pułkownika Kozietul-

skiego. Wystąpiwszy ze służby wojskowej i ożeniwszy się, pozostawał przez wiele lat jako dawny kolega i przyjaciel, pomocnikiem moim w majętnościach które posiadałem w Królestwie, na Litwie, a mianowicie na Wołyniu; z tych w roku 1831 powitał przechodzącego dzielnego jenerała Dwernickiego, i został przez niego mianowany majorem; a po konfiskacie mojego majątku, udał się, do zatrudnień rolnych w okolicy Radziwiłłowa i tam zmarł w roku 1859.

Walentego Zwierkowskiego poznałem w Madrycie przed d. 2go maja r. 1808, — w kampanii zimowej przeciwko Anglikom z r.1808 na 9 w okolicy rzeki Esla i miasta Benevente. W potyczce z jazdą angielską pod wsią Servinianos, Zwierkowski obok kapitana Seweryna Fredro, ratował mnie z zagranicznej przewagi, i oba zostali ranni od angielskiego pałasza; następnie w walnej bitwie pod Wagram powtórnie ranny i przez zabicie konia stłuczony, opuścił nasz pułk i służbę wojskową, — później zasłużył się jako obywatel sprawie narodowej znakomicie, jako poseł na sejmy królestwa kongresowego, w roku 1831 został majorem Krakusów, i powszechnie znany i kochany zmarł w Paryżu w grudniu 1859.

Tu więc poświęcamy te słów kilka kolegom naszym: Kiełkiewiczowi i Zwierkowskiemu, w dowód wysokiego szacunku na pamiątkę ich rodzin.

Pozwól poważny cieniu! świeżo w Krakowie zgasłego Jana Skrzyneckiego, i o Tobie zamieścić tu wzmiankę: nie należałeś wprawdzie do szeregów gwardyi polskiej Napoleona, ale tylekrotnie walcząc blisko naszego pułku, któregoż z naszych zasłużeńszych oficerów nie znałeś? a od kogóż w całym pułku lekkokonnym ułanów gwardyi nie byłeś znany i kochany? Z naszym pułkiem razem broniłeś Napoleona pod Arcis sur Aube, z nim wspólnie dotrzymywałeś bohaterowi wierności do ostatniej chwili; z nim razem powracałeś do stron ojczystych. — Kiedy po bitwach grochowskich, w obozie powązkowskim zapowiadałeś osobiście wojsku uszykowanemu (czego byłem naocznym świadkiem) „że przyjąłeś wieniec cierniowy naczelnego dowództwa, w celu zwycięstwa lub śmierci," a wznosząc oczy ku niebu, oddałeś „wojsko i siebie

w opiekę tego Boga, który błogosławił orężowi Stefana Czarnieckiego" dodając, „że tego wojownika, stawiasz sobie i wojsku za wzór..." nie przewidywałeś dzielny rycerzu! że zgiełkliwe narady niewojskowych, nie dadzą ci dokończyć chlubnie rozpoczętego dzieła, i że nieprzyjaciel sam, upadek twej władzy poczytał sobie za pierwsze swoje zwycięstwo... a ja tu po twoim zgonie powtarzam, to com w Bolimowie wyrzekł o tobie do Wincentego Niemojewskiego:

Si Pergama dextra
Servari possent, etiam hac servata fuissent [1]).

Po tak bolesnem świeżem wspomnieniu, przystępujemy do niemniej bolesnego, kiedy podobnież ze szczytu nadziei, spadliśmy do głębi bezdennej przepaści, chcę mówić o roku 1812ym!

Przedewszystkiem jednak odzywam się do moich czytelników: że nie mam zarozumienia kreślić w krótkich wyrazach dziejów olbrzymiej wyprawy, której szczegóły tak niezgodnie opisane są przez autorów: Thiersa, Segura i Gourgaud; ten ostatni, jako nieodstępny osoby Napoleona i znawca, zasługuje na pierwszy wzgląd, atoli ja, zwyczajem od siebie przyjętym, nie opowiadam tylko to com widział, lub co mam od kolegów niewątpliwie podane, i nie zajmuję się historyą kampanii, tylko tyle ile w niej brał udział nasz pułk, nie przywłaszczając sobie prawa pisania o wojsku polskiem w ogólności, które odbywało tę wojnę aczkolwiek narodową, na różne korpusy rozdzielone.

Kiedy po pamiętnej bitwie pod Friedland w r. 1807 Napoleon zawarł pokój w Tylży, mocą którego nie Królestwo Polskie wskrzeszone, lecz Księstwo Warszawskie ogłoszone zostało, młodzież nasza z różnych stron dawnej Polski przybywająca już od miesiąca lutego r. 1807 do pułku gwardyi polskiej Napoleona zapisująca się, brała

[1]) Dla Polaków katolików, którzy nie posiadają mowy rzymskiej, mowy ojców naszych i ołtarza, zamieszczamy przepolszczenie częstochowskie tego wiersza Virgilego:
Gdyby mogła broń uratować naszę sprawę, byłaby ta dłoń ocaliła nam Warszawę.

rzewny udział w powszechnej boleści, na zawiedzioną nadzieję, jaką dzień *Jeny* w całej dawnej Polsce był obudził, a szereg zwycięstw od Wisły aż do Niemna potwierdził, — pocieszały nas zaufanie w politykę Napoleona, i dzieło Kołłątaja: *Nil desperandum*, jako też i to niezbite axyoma Rzymianina: *tantae molis erat romanam condere gentem!*

Szliśmy więc pełni ochoty i nadziei w bohaterze do Paryża, pochlebiając sobie, że przy nim będziemy naocznym bodźcem i reprezentacyą narodu zebraną ze wszystkich ziemic. W tej myśli, poszliśmy bez wachania się do Hiszpanii, nie żeby kraj niewinny nam podbijać, ale żeby nabierać doświadczenia, zwłaszcza w wojskowości tyle nam potrzebnej.

Rok 1809 ożywił jeszcze nasze nieosiągnięte nadzieje, a choć trudne dzieło odrodzenia i wtenczas jeszcze nie przyszło do pożądanego skutku, powiększenie jednak powstającego kraju nad Wisłą, utwierdziło nas w naszem niezłomnem oczekiwaniu.

Atoli powrót do Hiszpanii i dwuletni w niej powtórny pobyt, oraz niepowodzenie wójsk francuskich tak licznych, a wzrastająca siła zastępów angielskich, ćmiła niejedną chmurą naszę młodocianą wyobraźnią... niecierpliwiliśmy się nadewszystko obawą, żeby północna wyprawa nie odbyła się bez nas. Lecz jakaż radość ogarnęła nasze umysły, gdy razem wszystkie pułki polskie z Hiszpanii odwołane zostały; gdy mnie samemu z dziesięciu oficerami najprzód kazano spieszyć do Chantilly pod Paryżem, gdzie był garnizon stały pułku i gdzie większa część onego się znajdowała.

Stanąłem więc w Paryżu z końcem roku 1811, zostawiwszy troski w tyle za sobą w Hiszpanii, z promieniejącą nadzieją już niezawodną walczenia za kraj nad Dźwiną i Dnieprem!

Już pułkownik Krasiński został był posunięty na stopień jenerała brygady, a szefowie szwadronu: Tomasz Łubieński, Ignacy Stokowski, Ludwik Pac, Henryk Kamieński wystąpili z pułku; Łubieński na pułkownika 8go pułku ułanów w służbie francuskiej składającego się z samych Polaków, do formacyi którego nasz pułk naj-

więcej dostarczył oficerów i podoficerów; Stokowski na dowódzcę sławnego 7go pułku lansyerów nadwiślańskich w miejsce jenerała Konopki; Ludwik Pac na dowódzcę pułku kawaleryi; Henryk Kamieński pułku piechoty księstwa warszawskiego. W miejsce tych szefów szwadronu ubyłych, wstąpił do naszego pułku na szefa szwodronu Dezydery Chłapowski, były adjutant czyli tak zwany *officier d' ordonance* Napoleona, a z kapitanów awansowani zostali na szefów szwadronu: Jerzmanowski, Piotr Krasiński, Seweryn Fredro, Stanisław Roztworowski.

Nasz 1szy gros major Delaitre został awansowany do armii francuskiej na jenerała brygady, w miejsce jego słynny świeżo awansowany jenerał Konopka zajął miejsce majora w naszym pułku, a 2gi gros major Dautancourt posunięty został w pułku na 1go gros majora i jenerała brygady.

Wielką to było chlubą i radością w oczach naszych, że jenerał Konopka przybywał do nas na majora, i że tak wsławionego męża zyskiwaliśmy do pułku. Z tego powodu dawane były po dworach polskich w Paryżu różne uroczyste zabawy, a księżna z Walewskich Jabłonowska uprosiła jenerała Konopkę, żeby jej syna starszego Antoniego przyjął na swego adjutanta, co się też stało.

Kiedy tak w owacyach przyszłej kampanii spędzamy zimowe miesiące w Paryżu, zdarza się jednego wieczora, że z kapitanem Szeptyckim przejeżdżamy się w karecie z panią jenerałową Krasińską, nie pamiętam kto był czwartą osobą. Mowa była — jak zawsze — o bliskiej kampanii, o szczęściu jakie nam ona zapowiada, i t. p. Wtem pani Krasińska odzywa się smutna, nie dzieląca naszego zapału: „Moi panowie! byle tylko nasza gwiazda polska nie zaciemniła gwiazdy Napoleona!“ Nie mogliśmy się dość wydziwić przesądowi i melancholii Litwinki Radziwiłłówny, i wymogliśmy na wychowanicy Stanisława Małachowskiego wyznanie: „iż byłaby szczęśliwą, gdyby ją złowieszcze przeczucie omyliło; że tego dla kraju, dla męża, i dla nas życzy, ale że jej usposobienie jest tał kie, że naszego uniesienia i zaufania w szczęściu z nami podzielić nie może . . .“ Jakoż! — któżby przewidziawówczas? — Ta sama pani spotkawszy się ze mną od

owej chwili po raz pierwszy w Saxonii w roku 1813 podczas zawieszenia broni, jak tylko spostrzegła mnie z daleka, witała się ze mną tym wyrazem: „A cóż panie Załuski! nie chciałeś mi wierzyć że nasza gwiazda będzie fatalną Napoleonowi!..“ Skryte są sądy boskie... ale niemniej napisano jest: *Quoniam in me speravit liberabo eum.*

Kiedy oddział nasz nadciągnął z Hiszpanii, a pułk cały zaczął się zbierać do marszu, ja wziąwszy urlop, przejechałem pocztą przez Wiedeń, Kraków do Warszawy. Przybywszy do Strazburga, nie dopełniłem przepisanych formalności paszportowych, tak że na granicy u Renu nie chciano mnie przepuścić i żądano żebym nawrócił do miasta i tam dopełnił przepisów. Wysiadłem z powozu, kazałem się poprowadzić do komendanta i oświadczyłem mu, że jestem kapitanem gwardyi cesarza, jak widzi z mego paszportu, że jadąc w misyi sekretnej umyślnie nie jawię się do zwyczajnych formalności. Komendant z uśmiechem miłości własnej dał mi do zrozumienia, że pojmuje całą ważność mojego sekretu, i odprowadzając mnie najuprzejmiej do rogatki, kazał mi ją otworzyć.

W Wiedniu zastałem już kapitana Szeptyckiego, odwiedziliśmy razem ministra francuskiego Otto i obiadowaliśmy u księżnej z Czartoryskich Lubomirskiej marszałkowej wielkiej koronnej wdowy, i tam poznałem jej maleńką wnuczkę Izę, dziecinę odznaczonego wdzięku, dziś księżnę Władysławową Sanguszkową.

W miarę jak zbliżałem się do kraju, okolice ubożały. Kiedym w r. 1807 oddalał się z Warszawy ku Paryżowi, już w Szlązku doznawaliśmy uczucia patryotycznej zazdrości, widząc jak ta kraina, niegdyś nasza, górowała lepszym bytem nad okolicami Mazowsza i kaliskiego; teraz w roku 1812 działo się memu umysłowi przeciwnie: w miarę jak się oddalałem od środka Francyi, wszelkie prowincye i kraje, coraz mniej świetne, coraz uboższe mi się wydawały, ale najgorzej gdy już wjechałem do Galicyi; tu po raz pierwszy widziałem strzechy słomiane, częścią poobgryzane przez bydło, częścią dla tegoż przez mieszkańców obdzierane. Niemniej smu-

tny był widok dawnej naszej stolicy Krakowa, zwłaszcza w czasie odwilży zimowej, kiedy rynsztoki i przełomy lodu po ulicach, niemal nieprzebyte stanowiły przeszkody pojazdowi memu paryskiemu. Było to za rządu narodowego księstwa warszawskiego, pocieszała jednak nadzieja przyszłości: że przy urzędnikach ziomkach, Kraków choć powoli powracać będzie do dawnej świetności, a tymczasem do porządku i do jakiej takiej zamożności.

W Krakowie zjechałem się znowu z moim kolegą Szeptyckim, Rusinem, który nie znał Krakowa, i rad był za mojem przewodnictwem, acz na prędce, poznać choć część starożytnych pomników, i towarzystwa nowożytnego tego naszego miasta, tyle od Warszawy i Lwowa odmiennego. Wkrótce Szeptycki podążył do Lwowa a ja do Warszawy.

W tej stolicy zastałem naszego szefa szwadronu Roztworowskiego Stanisława, zarządzającego zakładem woluntaryuszów i koni dla pułku. Oficerem płatnikiem był porucznik Sikorski, dalszego składu oficerów oddziału tego nie przypominam sobie. Zająłem się niebawem kupnem koni za pomocą szefa Roztworowskiego i przybyłego mojego porucznika 1ej klasy Stanisława Hempla, i kupiłem koni cztery jako liczbę kapitanowi przepisaną. Nie omieszkałem jak najwcześniej przedstawić się księciu Józefowi Poniatowskiemu, a gdy byłem u niego na pierwszym obiedzie, jenerał Rautenstrauch zwrócił uwagę księcia na mój krzyż wojskowy polski paryskiej roboty, w którym na odwrotnej stronie z tyłu orła korony polskiej, zamiast napisu przez Fryderyka Augusta księcia warszawskiego danego *Rex et patria*, przywrócona była pogoń jako herb wielkiego księstwa litewskiego, według pierwiastkowego postanowienia krzyża *Virtuti militari*.

Jak się dorozumiewam, zdjęcie pogoni z tej dekoracyi, musiało być żądane przez imperatora, ale my oficerowie gwardyi Napoleona, właśnie dla tego przywróciliśmy na naszych krzyżach herb Litwy, bo bez niej umysły nasze Polski sobie wyobrazić nie umiały. Uśmiechnął się książę Józef na ten krok samowolny naszej młodzieży i podziwiał piękność roboty paryskiej.

Podczas mojej bytności w Warszawie, byłem obecnym na kilku rewiach wójsk polskich, a nawet saskich i westfalskich, i widziałem na tych rewiach króla Hieronima kilka razy. Można przyznać, że w zbiorze tych różnych wójsk jazda polska odznaczała się korzystnie. Między oficerami naszego pułku, którzy odwiedzili wtenczas Warszawę, był szef szwadronu Seweryn Fredro, który mnie zaznajomił z podpułkownikiem Franciszkiem Morawskim, już słynnym autorem, a później jenerałem i ministrem wojny. Gdy się już pułk nasz zbliżał do Poznania, powierzył mi szef szwadronu Roztworowski 100 ochotników i 300 koni dla pułku, i dodał mi chirurga majora doktora Girardot, który był także na urlopie w Warszawie, co dowodzi, że Roztworowski nie miał zbywających w komendzie oficerów, i że nas dwóch na urlopie będących użył do uciążliwego prowadzenia oddziału tak licznego i koni z Warszawy do Poznania. Natrafiliśmy wszędzie na gościnne, uprzejme i patryotyczne kwatery, u wszystkich stanów kraju, obywateli ziemskich, mieszczan i dawnych jeszcze Kościuszkowskich wojskowych; w Kutnie dostałem przyjemną kwaterę u ojca naszego oficera Łąckiego, w Sampolnie podobnież u rodziców wachmistrza naszego, tam obecnego, którego nazwiska nie podaję, żeby mylnie nie nazwać.

Przybywszy do Poznania zdałem moję komendę jenerałowi majorowi Dautancourt, a sam z kuryerem cesarskim pospieszyłem do głównej kwatery; po drodze napotkałem w Osterrode pułk, a mianowicie szwadron 1szy, do którego należałem i nowego majora szefa szwadronu Dezyderego Chłapowskiego, którego komendy jeszcze nie znałem. Byłem rozczulony jego prawdziwie koleżeńskiem przyjęciem, atoli niedługo cieszyłem się jego obecnością; nie pomnę jednak dokąd się czasowo oddalił od szwadronu. W korpusie oficerów mojej pierwszej kompanii zaszła była odmiana: zastałem przy niej dwóch poruczników I klasy, braci Stanisława i Joachima Hemplów, i porucznika II klasy Juliana Krasińskiego. Porucznik II klasy Stanisław Wąsowicz został bowiem powołany do osoby cesarza.

Ta rzecz tak się miała pod moją nieobecność: W okolicach Torunia cesarz zażądał, żeby mu z pułku naszego dostarczono oficera na tłómacza. Jenerał Krasiński wiedząc stosunki cesarza z rodziną Giedrojciów, i że mu nasz adjutant major kapitan książę Giedrojć osobiście był znany, tegoż wykomenderował; atoli Giedrojć — aczkolwiek odznaczony oficer — miał słuch tępy i wzrok krótki, więc Napoleon, choć go znał, nie przyjął go do swego sztabu. W miejsce więc Giedrojcia wysłał jenerał Krasiński porucznika II klasy Adama Załuskiego, który się odznaczał znajomością języka francuskiego i wykształceniem; atoli przekonano się, że najmniejszej wiadomości nie posiadał języka rosyjskiego, ani nawet ruskiego; zażądano więc oficera, któryby właśnie te narzecza znał, i został wybrany porucznik z mojej kompanii Stanisław Wąsowicz, o którym wspominaliśmy obszerniej w 3ciem naszem wspomnieniu, i tam wzmiankowaliśmy o rozpoznawaniu Niemna przez Napoleona, któremu Wąsowicz towarzyszył, i o przebraniu się cesarza na tym rekonesansie w płaszcz i czapkę Wąsowicza, o której, nie ważnej ale ciekawej okoliczności, historyk Thiers w tomie XIII na stronie 571, niedokładnie i z zatajeniem (jak zwykle) nazwiska polskiego Wąsowicza pisze.

Miejsce tego, zastąpił w mojej kompanii porucznik II klasy Zawadzki (podobno), oficer o którym wspomniałem w 5m wspomnieniu mojem, a mianowicie o rozprawie ostatniej, jaką miałem z gerylasami w Hiszpanii.

Wymaszerowawszy z Osterrode, złączyłem się wkrótce z głównym oddziałem pułku, oraz tak z jenerałem Krasińskim dowódzcą jak i z jenerałem Konopką majorem, od obu, a mianowicie od pierwszego mile przyjęty.

Nie byłem był jeszcze pod dowództwem jenerała Konopki, poznałem go był w Paryżu tylko, nie w służbie; ale miałem zaraz dotkliwe przeczucie, że wysoka opinia jaką uniesienie patryotyczne o zwycięzcy piechoty angielskiej wznieciło we mnie, niestety! się nie utrzyma. Jakoż — gdy jak dopiero powiedziałem — nie pamiętam co szefa Chłapowskiego naówczas oddaliło od pułku, — mnie się dostał zaszczyt maszerowania ciągle na czele kolumny, obok jenerała Konopki prowadzącego regiment;

a zatem całodzienna z nim rozmowa i obiady pod jego przewodnictwem, od Osterrody aż do Wiłkowiszek! — Wiele to rzeczy z ust jego słyszałem, których wolałbym był nie słyszeć; a prowadzenie w marszu było niemilitarne aż do oburzenia.

Jenerał Konopka, który był znakomicie urodziwym jeźdźcem, tak dalece że pod tym względem mógł był służyć za wzór pięknego polskiego oficera, siedział na rosłej sążnistego kroku angielskiej klaczy, i nie zważał na to, że gdy on na czele tysiąca koni, — według swego zdania, wolno szedł stępo, bliższe szwadrony już musiały kłusować, a dalsze i galopować. — Oczywiście nasi naczelnicy szwadronów takiego rozstroju nie dopuszczali, ale to sprawiało, że pułk nieprzychodził na stanowisko razem, a jw. jenerał gniewał się, nie uznawając, że sam był tego nieporządku przyczyną. Drugi dowód że jenerał Konopka musiał się w 1m pułku więcej spuszczać na swoich starszych oficerów, niżeli sam trudnić prowadzeniem pułku, był ten: iż znużony nieustannem spotykaniem się po drodze z parkami artyleryi i pociągów, kazał nam opuszczać gościniec a maszerować polami... Pięknie to w dzień bitwy, ale nie w marszu Klacz jw. jenerała przesuwała rowy na polach będące, ale z szeregowych wielu przewracało się z końmi, i siodła czyli terlice łamało. To znowu jenerał Konopka uszykowawszy pułk na łąkach, i wytknąwszy ozdobne linie proporców, kazał nam konie rozkulbaczać, pomiędzy proporce zatknięte tylcami w ziemi, siodła rzędami, — bardzo ładnie w teoryi, ale nie praktycznie w marszu układać. Napróżno przedstawialiśmy, że nasze konie nie są przyzwyczajone do rychłego rozkulbaczania, że przeciwnie regulamin nasz, każe jaknajpóźniej rozkulbaczać, żeby grzbiet konia całkiem wystygł . . . Obserwacye nie pomagały, jenerał Konopka stawiał swój pułk, od czasów legionów, za wzór, i skutkiem tego zyskał, z wielkiem swojem niezadowolnieniem przekonanie, że mnóstwo koni popuchło; tak więc bez wojny, bez najmniejszej przyczyny słusznej, mieliśmy w kilku dniach wielką liczbę siodeł i koni niezdatnych do służby. Przytem jw. jenerał przyzwyczajony z swoimi podwładnymi

używać wyrazów więcej jak niegrzecznych, dopuszczał się tej niewzględności, że zawsze swój pułk 7my wychwalał, a nasz ganił, co bardzo naturalnie nietylko niebyło naszym oficerom przyjemnem, ale wystawiało go na ich szyderstwo, tak dalece, że pan jenerał brygady radby się był jak najprędzej pozbyć u nas gwardyjskiego majorstwa. Jakoż niezadługo w Wilnie został dowódzcą nowego pułku gwardyi litewskiej, o czem będzie niżej.

U jenerała Krasińskiego zaś, powitaliśmy i poznali księcia Eustachego Sanguszkę byłego jenerała lejtnanta za czasów Kościuszkowskich, ukochanego i możnego pana na Wołyniu, który gorącym patryotyzmem powodowany, siedzibę swoję i wielkie majątki opuścił, i przybył do Napoleona. Uwielbialiśmy tę cnotę i rozpływali się nad przykładem księcia; wszakże skutek okazał, iż nierównie byłoby dla sprawy naszej pożyteczniej, gdyby książę Sanguszko zostawszy na Wołyniu, był tam organizował powstanie.

Przybyliśmy po długim marszu przez Prusy do księstwa warszawskiego; tu — z żalem wyznać trzeba — już nie zastaliśmy tak porządnego jak w Prusiech przygotowania do przyjęcia wójsk maszerujących, gdzie po miasteczkach gęstych, wsiach porządnych, czekały na nas stósy cheba i prowiantów dla koni. Inaczej było w księstwie warszawskiem; można mówić, że tu żadnego nie zastawaliśmy przygotowania; tyle tylko pamiętam, żeśmy szli na dobra jenerała Paca, Raczki i Dowspuda.

Pan Thiers w tomie XIII na stron. 557 czyni według zwyczaju swego niepochlebne porównanie ziem naszych ze staremi Prusami; wyrazy pana Thiers są przesadzone, i gdy mu będziemy w języku francuskim odpisywać, wytkniemy mu należycie tę przesadę; jednak dla wiadomości ziomków, podajemy tu tę okoliczność porządniejszego lub mniej porządnego przyjmowania wojska, ponieważ takowe nie tyle ubóstwu kraju, jak nieporządkowi przypisujemy; a gdyby w naszych ziemiach był taki porządek po miastach i wsiach panował, jaki wojska francuskie zastawały w nieprzyjacielskim kraju, w Niemczech, i w nieżyczliwym w Prusiech, nie byłaby

Litwa tyle ucierpiała, a wojska nie byłyby się tyle rozprzęgły, jak to na swojem miejscu zobaczymy.

Dnia 22go czerwca zdążyliśmy z główną kwaterą cesarską do Wiłkowiszek, dóbr rządowych zostających w zarządzie czyli dzierżawie obywatela Babeckiego, ojca naszego wachmistrza z 3ej kompanii, dekorowanego legią honorową za bitwę pod Somosierrą. Tu stanął nasz pułk w oczach naszych żołnierzy, jakoby na najwyższym szczeblu swej gwardyjskiej okazałości; wachmistrz nasz miał zaszczyt witać i przyjmować w domu, w rodzicielskim dworze, wskrzesiciela naszego, wielkiego Napoleona! Istotnie scena godna być kiedyś przedstawioną na widowisku, lub w księdze jakiego historycznego powieściopisarza.... Można sobie wystawić jak wachmistrz Babecki przesadzał się w przyjmowaniu swoich kolegów i swoich starszych; nie dostawało mu tylko lepszego wysłowienia się po francusku, żeby wzbudzić uniesienie sztabu cesarskiego, a ztąd może i dalszą uzyskać karyerę; atoli tego ostatniego skutku i dalszych kolei wachmistrza Babeckiego nie przypominamy sobie; Wiłkowiszki zaś zostaną nazawsze pamiętnemi, nietylko w historyi naszego pułku, ale i w dziejach, bo tu Napoleon wydał rozkaz dzienny wypowiadający wojnę.

„Żołnierze, mówił Napoleon w tej odezwie, zaczęła się druga wojna polska. Pierwsza skończyła się pod Friedland i w Tylży. Tam zaprzysięgła Rosya Francyi wieczne przymierze, Anglii wieczną wojnę. Dziś gwałci swoje przysięgi, i żadnego względem osobliwego postępowania swojego nie chce dać tłómaczenia, dopóki się orły francuskie za Ren nie wrócą, zostawując sprzymierzeńców naszych jej samowolności. Rosya pociągana jest złym losem swoim, jej przeznaczenie musi być spełnione! Miałażby rozumieć żeśmy się już zmienili? Mieliżbyśmy już nie być żołnierzami z pod Austerlitz? Stawia ona nas między hańbą a wojną; wybór nasz nie może być wątpliwym. Naprzód więc! przejdźmy Niemen, przenieśmy wojnę na rosyjską ziemię. Druga wojna polska równie będzie chlubną dla oręża francuskiego, jak pierwsza; lecz pokój, który po niej zawrzemy, w sobie samym rękojmią trwałości swojej mieć bę-

dzie i położy nieprzebytą tamę dawnemu wpływowi, jaki Rosya od lat pięćdziesięciu na stosunki europejskie wywierała“ [1]).

Odezwa ta, na pierwszy rzut oka, porywała nas Polaków do uniesienia; wyrazy jej: „*la seconde guerre de Pologne a commencée*“ (*druga* wojna polska, rozpoczęła się)— „*la seconde guerre de Pologne sera glorieuse aux armes françaises*“ (druga wojna polska będzie zaszczytną dla wojska francuskiego) — „*la paix que nous conclurons portera avec elle sa garantie, elle metra un terme à la funeste influence que la Russie exerce depuis 50 ans sur les affaires de l' Europe*“ (pokój który zawrzemy, przyniesie z sobą rękojmią, położy tamę zgubnemu wpływowi, jaki Rosya od lat 50 wywiera na sprawy Europy.)— Te wyrazy, nie zdawały się już zapowiadać, ale zapowiadały wskrzeszenie Polski. Naśladowanie Rzymu w naznaczaniu liczby wojnom o Polskę, tak jak Rzymianie oznaczali wojny swoje z Kartaginą,..... nie mogło, tak w naszych, jak i w francuskich szeregach, innego celu tej wojnie wskazywać, jak sprawę Polski; a powtórzenie tego samego wyrazu: wojna polska, który po raz pierwszy czytaliśmy w roku 1806 na 8my, potwierdzały stale powzięty zamiar Napoleona: wystawienia królestwa

---

[1]) „*Soldats! La seconde guerre de Pologne est commencée. La prémière s' est terminée à Friedland et à Tilsitt!*

A Tilsitt, la Russie a juré une éternelle alliance à la France et la guerre à l' Angleterre.

Elle viole aujourd' hui ses serments; elle ne veut donner aucune explication de son étrange conduite, que les aigles françaises n' aient repassé le Rhin, laissant par la nos aliés à sa discretion.. La Russie est entrainée par la fatalité; ses destinées doivent s' accomplir. Nous croit-elle donc dégénérés? Ne serions nous plus les soldats d' Austerlitz? Elle nous place entre le déshonneur, et la guerre: notre choix ne saurait etre douteux.

Marchons donc en avant, passons le Niemen, portons la guerre sur son territoire. La seconde guerre de Pologne sera glorieuse aux armes françaises. Mais la paix que nous conclurons portera avec elle sa garantie; elle mettra un terme à la funeste influence que la Russie exerce depuis cinquante ans sur les affaires de l' Europe.“

czyli państwa polskiego, jako zaporę dla Europy niedopuszczającej przystępu Rosyi. Mniemanie to nasze, tak naturalne, pokrzepiało się jeszcze broszurą w kancelaryi Mareta księcia Bassano, przez Nosarzewskiego wydaną, której brzmienie było: że Polska jest przeznaczoną być tylną strażą Europy przeciwko Azyi, albo przednią strażą Azyi przeciwko Europie.

Jakkolwiek jednak ta odezwa Napoleona zdawała się odpowiadać wszystkim naszym życzeniom, i uspakajać wszelkie możebne powątpiewania, wszelkie obawy, jednakże niemiłe na niektórych z nas czyniły wrażenie te zapapamiętałe wyrazy: los pociąga Rosyą za sobą.... przeznaczenie jej musi być spełnione: *La Russie est entrainée par la fatalité, ses destinées doivent s' accomplir.* Te wyrazy przechodzą zakres człowieka śmiertelnego, trącą bluźnierstwem, a przynajmniej pożałowania godną zarozumiałością... Widząc i wiedząc, z jakim tumultem nachodziliśmy północ, taka przechwałka wzniecała rodzaj obawy czyli złego przeczucia, podniesionego jeszcze przez to drugie wyrażenie: *passons le Niemen, portons la guerre sur son territoire* (przejdźmy Niemen, ponieśmy wojnę na ziemię Rosyi), te słowa nie stósowne do owych po dwakroć powtarzanych o wojnie polskiej, dawały powód żołdactwu różnych narodów uważania ziemi za Niemnem położonej za nieprzyjacielską, i jakoby upoważnienie postępowania sobie z nią po nieprzyjacielsku. Atoli urok jeniuszu Napoleona i jego potęgi, zagłuszały te wszystkie obawy serca, a wyobraźnia unosiła się coraz wyżej w przestworzu nadziei, i umysły nasze młodociane polskie upojone były szczęściem.

Dzień 24 czerwca, dzień ś. Jana, był dla mnie szczególnie świątecznym; po pierwszy raz w tej kampanii wykomenderowono służbowe szwadrony do cesarza, ja należałem do szwadronu z naszego pułku pod dowództwem naszego na teraz najstarszego szefa Kozietulskiego, wspólnie z moim kolegą kapitanem 5ej kompanii Wincentym Szeptyckim. Od świtu więc ubrałem się od stóp do głów w kompletnie nowy mundur świeżo w Paryżu sprawiony, układając sobie w głowie, że w mieście Kownie spędzę w bliskości kwatery cesarza wieczór w gronie jakich

dam litewskich, mogących się śmiało równać z Warszawiankami i Krakowiankami; pamiętałem albowiem że Kowno, nad rzeką spławną leżące, miało niegdyś w sobie kupiectwo Hanzy i angielskie.... atoli w tych mniej ważnych marzeniach doznałem za kilka godzin najzupełniejszego rozczarowania. Po południu ale w blasku słońca przekroczyłem Niemen po jednym z trzech rzuconych mostów, przypatrując się przeprawie kolumn piechoty i artyleryi po dwóch przyległych; z daleka widać było chorągiewki ułanów polskich szeroko rozwinięte na litewskim brzegu; były to pułki 6ty, 7my, 8my, 9ty, a podobno i 12ty ułańskie, zaś pułk 10ty huzarów Umińskiego; cudny był widok tej jazdy polskiej uświetniającej czoło wójsk Napoleona; jakież narodowe wzajemne powitanie i wrażenie nas Polaków towarzyszących bohaterowi, i bratnich pułków, po raz pierwszy widzianych w przelotnym przejeździe po przed frontem owych pułków, w których poznawali się wzajemnie dawni koledzy! Ale wkrótce zbliżając się z cesarzem do Kowna, dostaliśmy rozkaz założenia biwaku naszego w sośninie przyległej.... już jedno zawiedzenie oczekiwania mego owej wieczornej herbaty przy stoliku dam polskich; drugie zawiedzenie: że ledwieśmy zsiedli z koni w owej sośninie, deszcz nawalny, jaki w czerwcu około ś. Jana bywa, lunął na nas z grzmotem a poniekąd i gradem. Było to wydarzenie nieprzyjemne, nietylko nam wystrojonym do tryumfalnego wnijścia do Kowna, ale bezwątpienia i sztabowym pp. oficerom cesarskim; ale poszukiwać w tem zwyczajnem zdarzeniu jakiej złej wróżby dla Napoleona, jak to upatruje i opisuje p. Segur, jest to wystawić się na gorzką krytykę, jakiej ten autor doznał od jenerała Gourgaud. Istotnie, mógłże oficer wyższy, mający pretensyą, że nasz szwadron wiódł pod Somosierrą na baterye hiszpańskie, tak przesadnemi baśniami czytelników łatwowierności nadużywać, jak to uczynił p. Segur w opisaniu tej przelotnej nawalnicy i następującej przeprawy naszego szwadronu służbowego przez rzekę Wilią? Te dwie okoliczności rozpoczynające kampanią, wyświecone są w dziele: *La Pologne et les Polonais defendus*

contre MM. Thiers, Segur et la Martine [1]). My je tu podajemy bez najmniejszego przyozdobienia, prócz szczeréj prawdy jako naoczny i czynny świadek. Skoro zatem deszcz nas w owej sośninie pod Kownem niespodzianie zmoczył i zabieraliśmy się do suszenia się, do szałasów i noclegu, .. przypada ordynans galopem, i każe szwadronowi natychmiast do cesarza pośpieszać — siadamy więc na koń, i pędem udajemy się do Kowna, przebiegamy szerokie ale lichemi domkami zabudowane ulice, czerniące się żydostwem w przestrachu swoim zawsze przebiegłem i witającem mocniejszych, — nie dopatrujemy ani jednego domu któryby mógł zapowiadać ów wieczór patryotyczny między damami, i przeleciawszy miasto, zastajemy Napoleona nad rzeką Wilią, na której Rosyanie byli pokrycie mostu palowego zrzucili. — Jenerał Krasiński zapowiada szefowi Kozietulskiemu: że cesarz chce byśmy się przeprawili przez Wilią. Kozietulski komenderuje do schowania pałaszy, każe formować plutony i wykrzyknąwszy głośno: niech żyje cesarz! pierwszy z trębaczami rzuca się w rzekę;— ta była trochę przybrała, wreszcie bliska ujścia do Niemna, może w tem miejscu nigdy nie ma brodu; gdy więc byliśmy na środku koryta, konie niektóre zaczęły słabnąć; między temi którzy szwankowali, byłem i ja; kupiłem był w Warszawie klacz urodziwą na której umyśliłem wystąpić po raz pierwszy na służbie przy cesarzu i w wjeździe tryumfalnym do Kowna; klacz ta nie widząc przed sobą tylko cztery konie szefa Kozietulskiego i trzech trębaczów, a z tyłu za sobą sto koni, nie czując popędu, ale przeciwnie oglądając się za końmi, dała się unosić nurtowi ku palom mostu i pochylała się na bok lewy; byłoby źle ze mną gdybym się był dostał w taką ciemnotę; zawróciłem więc klacz do lewego brzegu nazad, i nie używszy, ani potrzebując niczyjej pomocy, siadłem na rzutniejszego konia, z którym stał pogotowiu mój masztalerz, i przebyłem z największą łatwością rzekę, bo koń mój śpie-

---

[1]) Wyszło w Paryżu roku 1855 i 1857 w księgarni Dumineraj, Rue Richelieu nr. 52.

szył za końmi szwadronu... tymczasem kilku żołnierzy tonęło. Cesarz patrzący się na to kazał ich ratować i napoleondory pływaczom ofiarować, jenerał Krasiński sam brnął w wodę po pas, żeby tych pływaczów zachęcić; ale szczególniej odznaczył się porucznik I klasy mojej kompanii pierwszej Joachim Hempel, który siedząc na dzielnym kasztanie, po kilka razy ratował tonących, na brzeg prawy, i wracał po drugich dowodząc niepospolitych męstwa, siły i zręczności. Owo zgoła, z całego szwadronu służbowego utonął tylko jeden młody szeregowy z mojej 1ej kompanii nazwiskiem Trzciński, młodzieniec wykształcony, najpiękniejszych nadziei, świeżo do pułku przybyły. Takie było przejście naszego służbowego szwadronu do przedmieścia kowieńskiego na prawy brzeg Wilii, o którem pp. Segur Gourgaud i Thiers każdy inaczej, a każdy mylnie piszą. Że jenerał Segur takowe dość zwyczajne zdarzenie, z tragicznem uniesieniem opisał, nie dziwi mnie, bo całe dzieło tego autora jest więcej romantyczną powieścią niż historyą, ale co mnie dziwi, to jest to, że Thiers, tak niby poważny historyk, który się nieustannie chełpi dokładnością i prawdziwością swoich wiadomości, ten mały wypadek przejścia naszego szwadronu przez Wilią, w następujący z sobą sprzeczny sposób opowiada:

„*Napoléon accompagné des lanciers polonais de sa garde, voulait être sur le champ maitre des deux bords de la Wilia.... prévenant ses désirs, les lanciers polonais se jetterent dans la rivière, en serrant leurs rangs et en nagent do toute la force de leurs chevaux — mais arivés au milieu du courant et vaincus par sa violence, ils commencerent à se désunir et à se laisser entrainer — on alla à leur secours dans des barques, et ou réussit à en sauver plusieurs. Malheureusement vingt ou trente, payerent de leur vie cet acte d' une obeissance enthousiaste* [1])

[1]) Napoleon w towarzystwie lansyerów polskich gwardyi, chciał zająć oba brzegi Wilii... Uprzedzając jego życzenie lansyery rzucili się w rzekę, pilnując szeregów i płynąc o ile mogły konie — W pośrodku rzeki atoli, zwalczeni prądem, rozdzielili się, i woda zaczęła ich unosić. Pośpieszono w łodziach na ich ratunek i uratowano kilku.

Czytelnik zechce się zastanowić nad sprzecznością tak bliskich siebie wyrazów: że Polacy „uprzedzając myśl Napoleona sami się rzucili w rzekę“, z temi ostatniemi: „że 20tu czy 30tu ich przypłaciło ten czyn uniesionego posłuszeństwa“; wreszcie, kiedy tylko jeden żołnierz utonął, pocóż pisać: 20tu lub 30tu? Nakoniec w całem tem zdarzeniu nie widziałem jednej łódki, i musiało ich nie być, bo w takim razie byłby Napoleon kazał woltyżerów łódkami przeprawiać przez Wilią, jak też uczynił po deskach kładzionych na pale mostu sterczące z pogorzeliska takowego. Dostawszy się na prawy brzeg Wilii, lubo zmoczony po pas i wyżej, musiałem się zająć rozpoznawaniem okolicy za przedmieściem, i rozstawieniem placówek, a podjazdy nasze na wszystkie strony rozesłane zostały, ale prócz małych patroli kozackich znikających w oddaleniu, nic nie widzieliśmy.

Wróciwszy z objazdu, zajęliśmy się przy wielkiem rozpalonem ognisku suszeniem obówia i odzieży, radzi ściągnąć kto mógł, nasze paryskie przemokłe elegancye. Było to dla nas obchodzenie ś. Jańskich Sobutek, nie bez wesołych śpiewek i krakowiaków. Zawsze weseli a upojeni szczęściem rozpoczęcia wojny dla nas świętej, pocieszaliśmy się przy fajeczce z zawiedzionej nadziei szyderczej, owej pierwszej zabawy wieczornej między pięknemi obywatelkami Kowna.

Nazajutrz dnia 25go czerwca połączone oddziały naszego pułku stanęły rozkosznym biwakiem po lewym brzegu Niewiaży, naprzeciwko zamku starożytnego Zabiełłów, Czerwony Dwór zwanego, na wzgórzu prawego brzegu Niewiaży malowniczo stojącego. Ludzie i konie używaliśmy gościnności Litwy, konie paszą po kwiecistej łące, my kąpielą w nadobnej Niewiaży, przypominającej pięknemi brzegami swojemi sławną u poetów hiszpańskich Pisuergę pod Castrocheryz i Valladolid.

Ale kiedy my Polacy tak się otrząsamy z pyłu długiego marszu i wczorajszego kału po przeprawie przez Wilią, Mazurki (tak zwaliśmy piechotę francuską) prze-

---

Niestety dwudziestu lub trzydziestu opłaciło życiem ten czyn posłuszeństwa exaltowanego.

prawiali się do Czerwonego Dworu, nie dla ciekawości archeologicznej, ale dla rabunku, pod pretextem szukania żywności. Przybiegł do nas Konstanty Zabiełło, częścią dla ratowania Czerwonego Dworu, a mianowicie dla zabezpieczenia siostry swojej, częścią dla zaciągnienia się do wojska polskiego. Daliśmy mu załogę i obdarzyłem go kapeluszem oficera gwardyi, jakich używaliśmy przy vice mundurach lub surdutach; był to jakoby zadatek na obowiązek służby. Jakoż Konstanty Zabiełło od owej chwili wszedł w krajową służbę.

Nazajutrz przybył do nas jenerał dywizyi Eustachy książę Sanguszko, z rozkazem w imieniu Napoleona, odbycia rozpoznania ku Kiejdanom, które — jak sądzono— jenerał rosyjski Bagawut miał zajmować.

Przy tej sposobności czynię uwagę, że podanie o ruchach korpusów armii rosyjskiej przez autorów: Segura, Thiersa a nawet jen. Gourgaud podane, wielokrotnie nie zgadzają się z tem cośmy sami widzieli, albo w miejscu z bliska słyszeli.

Z księciem Sanguszką poszedł nasz Kozietulski w 200 koni, szliśmy ciągle po lewym brzegu Niewiaży, zbierając nieco maroderów piechoty rosyjskiej; zresztą to rozpoznanie tyle tylko dowiodło, że korpusu nieprzyjacielskiego nie było blisko. — Przebywszy może dwie doby nad brzegiem Niewiaży, puściliśmy się z pośpiechem za główną kwaterą ku Wilnu. W tym marszu widzieliśmy z boleścią i oburzeniem, że wojsko tłumnie z różnych narodów zebrane, a w pułkach francuskich nadto wiele młodzieży niedoświadczonej liczące, coraz mniej karności i porządku zachowywało. Jazda, artylerya, pociągi, pasły konie bez żadnej uwagi starszych, albo takowe lekce ważąc, w żytach bujnych zielonych. Francuzi co byli Polskę w pierwszej kampanii widzieli śniegiem i lodem okrytą, nie mogli się nacieszyć bujnością naszego zboża; tymczasem konie padały, — nie z niedostatku, ale ze zbytku i niedozoru; żołnierze zaś wszystkiej broni, jakby ośmieleni wyrazem odezwy cesarskiej: ponieśmy wojnę w kraj Rosyi, nie mając już nic do zrabowania na trakcie, rozpierzchali się na boki

i dopuszczali wszelkich bezprawi, tak dalece, że nawet kościoły napadali . . . .

Złe to były, i zbyt wczesne złego początki; nietylko to nas Polaków, ale i oficerów francuskich bolało... Ale te twarde słowa: wojna, głód, nieludność, ubóstwo kraju, zamykały nam usta, a ufność w jeniusz i potęgę Napoleona, zwrot uwagi na nieprzeliczone zastępy, zresztą nadzieja napotkania dalej mniej piaszczystego i leśnego kraju, ożywiały nasze umysły, niezdolne przypuścić wątpliwości lub obawy względem odbudowania Polski.

Nam zaś oficerom polskim nie podobały się po dworach w bliskości traktu napotykanych ślady moskiewskiej obszczyzny, szczególniej w zaprzęgach i dorożkach. — Wojska francuskie, a mianowicie król neapolitański z jazdą polską z księciem Dominikiem Radziwiłłem na czele jego 8go pułku ułanów, wkroczyły do Wilna już d. 28 czerwca. Czy cesarz już tego dnia przybył do stolicy Litwy? czy ja z powodu owego rozeznania nad Niewiażą, pod dowództwem księcia Sanguszki, trochę później nadciągnąłem do Wilna? tego nie mogę sobie przypomnieć, tyle tylko pamiętam, że już zastałem w Wilnie część naszego pułku, a mianowicie szefa szwadronu Piotra Krasińskiego, który być może, iż dowodził szwadronem służbowym przy cesarzu.

Ostatniego marszu do Wilna był dzień nader gorący; gdyśmy dochodzili do stolicy, dosiągł nas deszcz ulewny; schroniwszy moję kompanią na prędce pod wystawy i szopy na przedmieściu, sam zgłodniały i dawno miasta nie widziawszy, pośpieszyłem do oberży pani Millerowej, wówczas najlepszej w Wilnie. Zastałem tam już kilku kolegów; od Wiłkowiszek nie jadłszy nic porządnego, a poczuwając się że mam sakiewkę dość opatrzoną w złoto, kazałem sobie przynieść dość spory kosz, i prócz pożytej kolacyi, nabrałem pieczywa, rozmaitego mięsa i bułek bez oszczędności; przyszło do płacenia, macam po kieszeniach... niema sakiewek!... Pokazało się, że na ostatniem stanowisku południowem, podczas upału myłem się w odosobnionej stodole, i tam gdy zatrąbiono na koń, w pośpiechu zapomniałem sakiewek w sło-

mie. Jest przysłowie, że Polak mądry po szkodzie *), ale mnie w ciągu mojej służby w pułku gwardyi, już drugi raz taka strata spotyka, a dopiero po tej drugiej poprawiłem się i odtąd chowałem pieniądze w pasie, który nosiłem i noszę od bytności w Madrycie.

Nazajutrz po przepędzonej na słocie pod szopą źle pobitą, dość biwakowej nocy, wachmistrz szef mojej kompanii Piotrowski, który był służył w wojsku rosyjskiem i bywał w Wilnie, z zacnym obywatelem wileńskim, piwowarem, którego niemieckiego nazwiska zapomniałem, ale którego polskie serce i gościnność narodową pamiętam, u tego to zacnego obywatela przebyłem krótki czas mego pobytu w Wilnie, a gospodarz widząc że wielu oficerów, między innymi szef Kozietulski, bywali u mnie, każdego z nich prosił na obiady, pomimo przedstawień moich, że mu niewinnie takie wydatki sprawiam. Otóż, ponieważ mam tylko kilka dni pobytu opisać w Wilnie, zacznę od najważniejszych okoliczności:

Jenerał Krasiński zaledwie przybył do Wilna, zajął się podpisaniem konfederacyi litewskiej na wzór tej co się odbywała w Warszawie. Zgromadziliśmy się w pa-

---

*) Korzystam z tego dawnego wydarzenia, żeby pocieszyć moich czytelników uwagą: że owe przysłowie o którem już wspomina Marcin Bielski około 1040 roku: „po szkodzie Polak mądry", wyraz ten Bielskiego: *„Polak"* ma znaczyć: *człowieka w ogólności* jakiego bądź narodu, śmiertelnika; zawsze mniej więcej u omnego, tylko przez doświadczenie mędrzejącego; a tak nierównie dawniejsze od naszego Bielskiego jest axioma łacińskie: *Felix quem faciunt, aliena pericula cautum!* . . . Podobne nauki i przysłowia znajdują się u wszystkich narodów, a mianowicie u Niemców, którzy mają swoich *grober Michel, dummer Michel, deutscher Michel*, (zobacz Adelungs Wörterbuch 3ter Theil) a jednak się te wyrazy nie stosują do tych chrześcian co noszą imie ś. Michała, ale jest to poprostu przysłowie w narodzie niemieckim. Nie tu jest miejsce rozpoczynać walkę o stopień dowcipu między narodami, ale Włosi którzy w tej mierze nie ustępują żadnej europejskiej narodowości, poznawszy legiony polskie, przyznawali im że są: *gente valiente et industriosa*, ja zaś zakończę sprzeczkę o to przysłowie, którego początek jest polityczny, na pocieszenie — jak wyżej powiedziałem — moich czytelników, uwagą i zapytaniem: czy nie licząc Anglii — znają na całym kontynencie Europy od Kadyxu po za Moskwę męża jednego, któregoby można nazwać: mądrym po szkodzie? . . .

łacu rodziców naszego kapitana adjutanta majora Gedrojcia, u jego ojca, dostojnego jenerała lejtnanta dawnych wojsk polskich, niegdyś emigranta w Paryżu i dobroczyńcy byłej Józefiny Beauharnais późniejszej cesarzowej Francuzów... Tam więc w obec poważnej księżnej i córek: jednej Kunegundy, damy pałacu tulleryjskiego, drugiej Łucyi, (później jenerałowej Rautensztrauchowej, podpisywaliśmy akt przystąpienia do konfederacyi całej dawnej Polski... Jenerał Wincenty Krasiński podpisał się z województwa podolskiego za Dunajowce— ja z Inflant, z majętności pod Dorpatem, których mi przypadało dziedzictwo... A przy tej sposobności spełnialiśmy toasty na cześć i pamięć króla Stefana, fundatora akademii w Dorpacie... Nie zawadzi o tej fundacyi Batorego przypomnieć, a razem zamieścić uwagę: że ani Segur, ani Gourgaud, ani Thiers, słowa nie wspominają o tem zawiązaniu konfederacyi w Wilnie... ale pisze o niej Skarbek autor nowego dzieła o księstwie warszawskiem.

Ja może w 48 godzin po tym akcie wyruszyłem z Wilna.

Jeszcze jednak za mojej bytności, jenerał Konopka nasz major, dostał nominacyą cesarza na dowództwo pułku 3go ułanów gwardyi, to jest gwardyi litewskiej; 1ym był nasz, 2im holenderski, 3im ten nowy litewski, w niczem się nie różniący mundurem od naszego, jak tylko tą dawno przyswojoną różnicą w wojskach narodowych, że polskie pułki miały ozdoby srebrne i białe, zaś pułki litewskie używały ozdób złotych i żółtych, (nadmieniłem o tem w pierwszem mojem wspomnieniu). Jenerał Konopka miał z naszego pułku dostać tak zwane kadry, to jest zawiązek oficerów i podoficerów, brygadyerów i instruktorów. Proponował między innymi kapitanowi Alexandrowi Brockiemu, mojemu dawnemu koledze w 2ej kompanii i przyjacielowi dozgonnemu, tudzież mnie stopnie szefów szwadronu... ale podziękowaliśmy jenerałowi Konopce za tę jego zaszczytną opinią, i woleliśmy pozostać kapitanami w starej gwardyi... o ile wiem, tylko Ambroży Skarżyński kapitan podobno 4tej kompanii, przyjął zaproszenie jenerała Konopki i dobrze na

tem wyszedł, bo zyskał tym sposobem starszeństwo w naszym pułku, gdy resztki litewskiego zostały do nas wcielone. Natenczas kapitan Szeptycki posunięty został na stopień szefa szwadronu w pułku — a kapitanowie Trzciński i Gedrojć przeszli na majorów do pułku jazdy nowej formacyi.

Lubo krótko bawiłem w Wilnie, wiem dobrze o nominacyi osób przez Napoleona wybranych do rządu a mianowicie profesora Jana Śniadeckiego, i o rozmowach Napoleona z tym uczonym matematykiem . . pozwalam sobie czynić osobistą — może bardzo niesmaczną moim czytelnikom uwagę: czy Napoleon po stracie swego adjutanta Sułkowskiego, natrafił kiedykolwiek na ziomka naszego, z którymby mógł *po swojemu* pomówić, prócz Jana Śniadeckiego? . . . . Bo jenerał Sokolnicki (NB. nauczyciel Sułkowskiego) choć posiadał nauki wojskowe i inne, i należał w r. 1812 do sztabu cesarskiego, nie miał śmiałości i przytomności umysłu potrzebnych do rozmowy z Napoleonem. Nie lada to na los nasz wpłynęło, że tak mało, albo raczej żadnego nie mieliśmy męża takiego, jak Napoleon wymagał i lubił: *un homme carré*.

Nie przy mnie, ale już po moim wymarszu z Wilna, przybyła deputacya z Warszawy od sejmu konfederacyjnego do Napoleona pod przewodnictwem wojewody Wybickiego; ale przemowa tych mężów i odpowiedź cesarza, były nam zaraz znane; my oficerowie Napoleońscy nie podzielaliśmy zdania jakie skryci nieprzyjaciele nasi szerzyli w narodzie: jakoby mocarz był ozięble przemówił i nic stanowczego nie wyrzekł.

Świeżo wydał szanowny i zasłużony Skarbek Dzieje księstwa warszawskiego w 2ch tomach w Poznaniu 1860; autor ten traktuje dzieje r. 1812 obszernie, jest on przedstawicielem opinii naszego stanu cywilnego; otóż my oficerowie wojsk powracających z Hiszpanii, a mianowicie pułku gwardyi polskiej, zapatrywaliśmy się ze względu wojskowego; nie było bynajmniej zdaniem naszem, żeby w kraju uporządkowanym, stan wojskowy miał brać przodek przed stanem cywilnym, ale w czasach wojny pakazały wypadki z lat: 1794, 1812, 1813, co więcej i dzieje rewolucyi francuskiej, a nawet po-

wstania hiszpańskiego, że tylko przez stan wojskowy i kierunek militarny, mogą narody wydobyć się z pod sił przemagających nieprzyjacielskich.

To samo wyrzekł Napoleon do deputacyi polskiej w Wilnie, to samo był mówił w r. 1806 w Poznaniu.... a Wielko-Polska i Mazowsze powstały!... Gdzież był ten zapał w Warszawie w roku 1812? pomimo konfederacyi gdzież był podobny na Litwie, na Rusi?... Były uchybienia ze strony Napoleona, to prawda; wybór księdza własnego nieprzyjaciela na reprezentanta swego a starca bez energii na marszałka konfederacyi; ale gdyby naród był przeszedł przez takie doświadczenia, jakicheśmy później doznali, byłby rozwinął taki zapał, jakiśmy widzieli w r. 1831; w takim razie, zachodzi wielkie pytanie: czybyśmy nie zdołali byli wstrzymać napaści hord północnych w Smoleńsku? Wojsko nasze było może dość poświęcone dla sprawy narodu, ale czy naród garnął się dość dostatecznie do wojska? Przykro i późno teraz o tem sądzić... Po wielkiej części sam Napoleon był winien upadkowi swemu, i sam to uznał na wyspie ś. Heleny, że nie użył należycie wojska polskiego... zresztą nie jeden raz jeszcze te uwagi będą się cisnąć do pióra naszego, w tej tak jaskrawo zaczętej a posępnie mającej się skończyć kampanii.

Tu nie przywłaszczając sobie sądu między Napoleonem a przeciwną opinią ziomków, — przytoczymy zdanie jenerała Gourgaud o przemówieniu Napoleona do deputacyi w odpowiedź Wybickiemu:

„Veut-on savoir pourquoi Napoleon ne dit pas: „le Royaume de Pologne existe“ comme le demandaient les deputés de la confederation de Pologne? Le voi-ci: l' Empéreur avait beaucoup d' intérêts à concilier, de devoirs à remplir. Son prèmier devoir êtait la paix, et son prémier intérêt, de ne prendre aucun engangement qui le subordonnat à d' autres intérêts qu' à ceux de la France. Si celui dont chaque parole ètait un décrèt, eu dit: „le Royaume de Pologne existe“, il n' aurait pas pu poser les armes, qu' il n' eut existé en effet. Si ce royaume devait son existence aux efforts unanimes d' une population qui couvre des contrées si éloignés et si

étendues, nul ni aurait pu lui imposer l' obligation de ne pas le reconnaitre, encore moins de le détruire. Autre chose était pour lui d' être engagé par les événements, ou par la libre volonté. Il n' avait lié l' Autriche à la cession d' une partie de la Galicie, que pour le cas, ou par suite de la guerre, le Royaume de Pologne viendrait à être retabli (termes du traité d' alliance). Et qu' avait-il entendu, par suite de la guerre? c' était la paix qui en la terminant aurait affranchi la Pologne. Ce ne pouvait pas être alors que la guerre était à peine commencée."

Tak się wyraża Gourgaud, pierwszy *officier d' ordonance* Napoleona, najbliższy militarny świadek jego codziennych czynności, powiernik jego na wyspie ś. Heleny. Jeżeli wolno oficerowi polskiemu, oficerowi gwardyi Napoleona w tak drażliwym przedmiocie przemówić jeszcze — kiedy sami uważaliśmy że konfederacya warszawska, że naród cały nie umiał naśladować Wielko-Polan i Mazurów z r. 1806, zapytamy się czytelników: W co by się były obróciły słowa Napoleona, gdyby był powtórzył słowa ministra Matuszewicza: „Jest Polska!" gdy po bitwie lipskiej trzeba było za Ren cofać się ... a w Fontainebleau abdykować ... Ale jeżeli który z czytelników naszych, pod wpływem żądła nieprzyjaciół naszych skrytych, karmi jeszcze w sobie żółciowe uczucie przeciw jenerałowi Sułkowskiemu, niech zechce rozważyć: że ten nasz z dawna systematycznie postępujący budownik, sam skonał na wyspie ś. Heleny.

Jużeśmy wspominali wyżej o formacyi pułku konnego gwardyi litewskiej i o awansach kilku naszych oficerów do nowej jazdy; lecz ponieważ tu była mowa o wysileniu, jakie tak księstwo warszawskie jak i Litwa na tę kampanią i w ciągu onej uczyniły, więc tu starać się będziemy rekapitulować: wiele Polaków było pod bronią roku 1812go? Oprócz artyleryi i korpusów mniejszej liczby, jako: saperów, pontonierów, których etatu pod ręką nie mamy! — miało księstwo warszawskie pułków piechoty siedmnaście, a na Litwie przybyły: 18ty 19ty, 20ty, 21szy, 22gi, zatem pułków 22, które po 3000 licząc, czyni piechoty 66000. Jazdy było pułków sze-

snaście, a na Litwie przybyły 17ty, 18ty, 19ty, 20ty, zatem pułków 20 po koni 800, czyni jazdy 16,000.— Legii nadwiślańskiej piechoty pułków 4 licząc po 2,000 dla wielkiego oddalenia zakładów, czyni piechoty 8,000. Jazdy dwa pułki ułańskie 7my i 8my po 1000 koni; a pułk gwardyi konnej 1250, nie licząc jeszcze gwardyi konnej litewskiej i żandarmeryi na Litwie formowanej.... tak że autor nasz piszący w języku francuskim obronę wojska polskiego przeciwko historykowi Thiersowi, na str. 126 tego pisma, słusznie liczbę Polaków w r. 1812 pod bronią będących, podaje na 96000.— Piękna to zaiste, i w Polsce rzadko widziana liczba! ale wypadki pokazały ją niedostateczną, zwłaszcza na przestrzeń po za Dźwinę i po za Dniepr, nie wspominając o Dniestrze.... ale przeszkodą w formowaniu liczniejszych zastępów, był niedostatek funduszów. Napoleon pragnął żeby 100 tysięcy Polaków siadło na koń, ale nie dostarczał pieniędzy a kraj nazbyt był wycieńczony.... Na nieszczęście! zaufanie w ogromnej sile, czyniło Napoleona mało względnym, a nasze cywilne władze niedość gorliwemi w tworzeniu liczniejszych sił wojennych. Dodać trzeba, że nagłość czasu nie dozwalała formować dostatecznie pułków regularnych, potrzebujących doświadczonych dowódców i wprawy, a nikt natenczas nie przewidywał nastąpić mającej rejterady, ani przypuszczano, żeby utworzenie lekkiej jazdy, jaką byli później Krakusy, miało być potrzebne do ratowania znękanych zimą i głodem zwycięzców.

Nim się rozstaniem z Wilnem, winniśmy jeszcze wspomnieć o balach dawanych dla Napoleona. Na jednym, panna Tyzenhaus, później zamężna Choiseuil, pokazała się z cyfrą imperatorowej jako panna dworu petersburgskiego, — całe zgromadzenie balowe mocno brało za złe tej pannie okazanie się w tej ozdobie; atoli Napoleon, którego to nie uszło uwagi, przybliżył się do niej i korzystając z tej okoliczności, dla dania swojej monarchicznej nauki, rzekł do niej głośno: „Bardzo dobrze wmpanna robisz, że nie wahasz się nosić swego odznaczenia, bo łaska monarsza jest zawsze zaszczytną“; wszelako na drugim balu, okazała się już księżniczka

Kunegunda Giedrojć, z cyfrą cesarzowej Francuzów jako dama pałacu des Tuilleries.

Napoleon opuścił Wilno dnia 16go lipca, ale na kilkanaśaie dni pierwej rozesłał był swoje lekkie ekwipaże wojenne na różne strony; częścią że nie wiedział istotnie gdzie będzie mógł Rosyan doścignąć i z nimi upragnioną bitwę stoczyć, częścią że zwykł był demonstracye na różne strony robić, dla ukrycia swoich prawdziwych zamiarów przed nieprzyjacielem. Mnie się dostało opuścić Wilno bardzo wcześnie pod przewodnictwem szefa szwadronu Seweryna Fredro, prowadzącego rzeczony jeden lekki wojenny ekwipaż cesarza, pod zasłoną pierwszego szwadronu naszego, i 1go strzelców konnych gwardyi, dążąc do głównej kwatery Joachima króla neapolitańskiego, który się udał ku Dźwinie.

Poszliśmy więc na Niemenczyn i Święciany i przyszliśmy do Daugieliszek, majętności poważnych rodziców Ludwika i Stanisława Platerów, tak zaszczytnie znanych w późniejszych kolejach naszego narodu, i licznej rodziny; zostaliśmy gościnnie przyjęci w tym patryarchalnym domu, z którym, mianowicie ja, miałem zaszczyt dawniejszej zagranicznej znajomości. — Maszerowaliśmy dalej na Widze i Opsę; w tych marszach od Wilna napotykaliśmy czasem konnopolców, ułanów rosyjskich przechodzących do nas, ale w małej liczbie. Różne oddziały wójsk francuskich postępowały za uchodzącymi w wielkim porządku Rosyanami; podziwialiśmy to ich cofanie się, nie zostawiające żadnych maroderów. Raz zdarzyło się nam zachwycić jednego starego podoficera z korpusu Doktorowa; był to człowiek rozsądny; badany przez nas: coby znaczyło to ich cofanie się, opuszając tyle miast i ziemi bez bitwy? odpowiedział nam bez bojaźni i junakieryi, że planem ich jest: wciągnąć nas jak najgłębiej w kraj, żeby nas potem osłabionych zewsząd otoczyć i nie wypuścić już na powrót. Cierpkie były te słowa weterana rosyjskiego, ale przypomniały mi i potwierdziły dawne jeszcze w dzieciństwie słyszane zdanie doktora medycyny krakowskiego Hasselquista. Irlandczyk ten, służywszy długo w wojsku rosyjskiem jako lekarz, ożenił się był w Polsce z Wesslówną i osiadł w Krakowie;

był on lekarzem babki mojej Maryanny z Dembińskich starościny ojcowskiej. Pewnego dnia przywiózł jej książeczkę zawierającą opis: jak jenerał Pichegrue używał środka korespondencyi wojennej, za pomocą kratek wycinanych w papierze, w których wśród obojętnego pisma stały treściwe wyrazy, podające mającemu klucz tego sekretu, rozkaz działania lub potrzebne wiadomości. Gdy ten dowcipny sposób korespondowania i szerzące się wieści o zwycięstwach Francuzów, zajmowały moją poważną babkę, zapytała się Hasselkwista: coby też przedsiębrali Moskale, gdyby ich z czasem naszli Francuzi? Na to odpowiedział doktor: „Cofaliby się jak najdalej, żeby wciągnąć nieprzyjaciela w głąb kraju, i tam go zniszczyć, jak zniszczyli Karola XIIgo.“

Nie był nam zatem przyjemnym tenże sam duch panujący w wojsku rosyjskiem, jaki nam objawiał podoficer Doktorowa; ale zarozumiałość nasza i zaufanie bez granic w gieniusz Napoleona, lekce ważyły te złowieszcze przestrogi. — Nakoniec przybyliśmy do Brasławia, a raczej do Belmontu rezydencyi pana Manuczego (Manucci) ożenionego z Platerówną, obywatela majętnego, wielką wstęgą orderu zagranicznego dekorowanego, w którego pałacu król neapolitański miał swoją główną kwaterę. Wszystkie miejscowosci tak w Belmoncie jak i w miasteczku Brasław były zajęte, rozłożyliśmy się zatem biwakiem jak najbliżej zamku pp. Manuczych.

Odwiedzając ten zamek, zastałem tam jenerała Axamitowskiego z adjutantem Kasperowskim, zostającego przy sztabie króla Murata. Pani Manuczyna przemawiała przy mnie do tegoż polskiego jenerała, prosząc o załogę dla swoich pięknych krów holenderskich; ale Axamitowski odrzekł, z wielkiem zadziwieniem obywatelki: „Oto jest kapitan Załuski dowódzca kompanii, ja prócz mego adjutanta nie mam ani jednego żołnierza pod komendą, on może pani dać załogę“. Jakoż ja taką lubo nie bez trudności, od szefa mego wyjednałem; był on albowiem znużony marszem, i zniechęcony, że obywatel polski p. Manuczy, widząc z okien swoich proporce polskie, otaczające niemal cały jego pałac, nie był jeszcze odwiedził dowódzcy gwardyi polskiej. Celem zaś

mojej wizyty w Belmoncie było wywiedzieć się o położenie miasteczka Drui, które matka moja trzymała zastawą od księcia Franciszka Sapiehy. ojca księcia Eustachego dziś we Francyi zamieszkałego,

Jakoż otrzymałem od szefa szwadronu Fredry pozwolenie udania się z jednym brygadyerem i 4 ułanami z mojej kompanii, do awangardy jenerałów Montbrun i Sebastiani, w zamiarze zwiedzenia Drui i przyprowadzenia ztamtąd jakich zapasów dla szwadronu, a mianowicie dla korpusu oficerów, którzy cierpieli niedostatek wszystkiego.

Udałem się więc do rzeczonej awangardy, i przekonałem się: że lubo jenerał Montbrun miał tytuł dowódzcy, jenerał Sebastiani istotnie nim powodował.

Zaraz nazajutrz brałem udział w okolicach Drui w potyczce jazdy z Kozakami. Jenerał Sebastiani z natarczywością jenerałom francuskim właściwą, spotykał się osobiście pomiędzy huzarami Umińskiego, a mianowicie w towarzystwie kapitanów: Bukowskiego i Kuszla z Kozakami. Nie mógł się odchwalić dzielności tych dwóch oficerów, a ja mianowicie przypatrywałem się z chlubą narodową, porządkowi jaki kapitan Bukowski umiał zaprowadzić w swojej kompanii, (jest to ten sam który zginął tak traicznie 15 sierpnia 1831 r.). Po cofnięciu się Kozaków za Dźwinę, jenerał Sebastiani, wiedząc o moim zamiarze zwiedzenia Drui, i rad może pokazać u Dźwiny ułanów polskich, których w jego komendzie nie było, wziął mnie z sobą do Drui. Zaczęło się od tego, że mi kazał spatrolować Druję, po lewym brzegu rzeki Dźwiny; leży albowiem miasteczko Druja po obu stronach tej rzeki.

Przekonawszy się, że w tej części nie było żadnej zasadzki, udał się ze mną naprzód do folwarku, gdzie mnie powitał z zadziwieniem rządca mojej matki Baniewicz, a potem udaliśmy się do pięknego klasztoru Dominikanów, fundacyi Sapiehów, których dom tyle czynił dla Drui, że to miasto zowie się także Sapieżynem. — Tu w klasztorze jenerał Sebastiani, zebrawszy co było można wiadomości o Rosyanach, mianowicie o jenerale Wittgenstein, kazał oficerom inżynieryi zdjąć na papier

położenie Drui i okolicy, a sam zostawiwszy mnie, odjechał do swego obozu. Ja poleciwszy Baniewiczowi dać znać mojej matce o mojej osobie, kazałem mu naładowac co mógł owsa i piwa dla naszego szwadronu, a sam odjechałem na noc do biwaku pułkownika Umińskiego, którego jeszcze nie znałem, a przyjęty byłem jako kapitan gwardyi, wracający z Hiszpanii i z kampanii 1809 roku, z wielką uprzejmością i wystawnością — widziałem w biwaku pułkownika polskiego zbytek i pretensyonalność, nam nieznane; przytem obchodzenie się z podkomendnymi, zwłaszcza z podoficerami, arystokratyczne, mnie oburzające; a przytem zaniedbanie forpocztów, które były pułkowi naszych huzarów powierzone.

Była za klasztorem Dominikanów w Drui wyspa na Dźwinie, lasem okryta, zasłaniająca zupełnie brzeg prawy rzeki, i ułatwiająca napad z tamtej strony, — punkt ten wymagał wielkiej ostrożności i naocznego strzeżenia; lękałem się, aby ztamtąd awangarda jazdy francuskiej a złożona z dwóch pułków szaserów pod komendą jenerała St. Genier, do którego należał i pułk Umińskiego, nie doznała napadu.

Nazajutrz przenocowawszy wykwintnie u pułkownika Umińskiego, oddaliłem się z nieprzyjemnem uczuciem, które nierównie wyżej wzrosło, gdy przybywszy do kwatery jenerała Sebastiani, zastałem go rozebranego do koszuli, spoczywającego na żelaznem podróżnem łożu, na środku izby karczemnej, pod zawieszonym na brązowem kole, zielonym kitajkowym pawilonem, głaszczącego obnażone golenie!... Struchlałem na ten widok, i zacząłem się na seryo lękać, nietylko o jego forpoczty, ale i o jego osobę; cóż dopiero gdy jenerał Sebastiani zaczął mnie rozpytywać: co widziałem? A gdym mu odpowiedział, że 40 tysięczny korpus Witgenstejna z liczną artyleryą, którą można policzyć, bo armaty polerowane świecą do słońca (co jest wielkiem uchybieniem militarnem), jenerał Sebastiani na wzmiankę o Witgenstejnie, przerwał mi wykrzyknikiem: *c' est un ignorant!* [1]) —

[1]) To jest głupiec.

Nie widziałem ja, w czemby ta opinia była uzasadniona, i coraz więcej zacząłem się lękać, żeby to twierdzenie zarozumiałe nie zostało ukaranem. — Tymczasem jenerał Sebastiani prosił mnie zostać u niego na śniadaniu, a że on wygotuje raport do króla neapolitańskiego, a oficerowie jego skreślenie pozycyi Drui dla króla. Wkrótce wprowadzono mnie powtórnie do jenerała Sebastianiego; zastałem stół okryty srebrem, śniadanie zastawione na srebrnych półmiskach; posadził mnie obok siebie, a niedawny poseł w Stambule i dyplomata, pozyskał moje uwielbienie i szacunek jako znawca dziejów i stosunków Polski. — Po skończonem śniadaniu, pożegnał mnie z rzadką uprzejmością, wręczając mi pismo do króla i zwitek rysunków okolic Drui.

Przybywszy do Belmontu, udałem się zaraz do króla — znałem go z Madrytu, często eskortowałem jego pojazd otwarty, jadąc koło drzwiczek, i na służbie bywałem w różnych pałacach, które pod Madrytem zajmował; ale prócz pozdrowienia ręką z uśmiechem łaskawym, nigdy nie doznałem rozmowy z ks. Muratem, ani nazwisko moje było mu znane. Znalazłem się teraz sam na sam z królem Joachimem, przyjął mnie jak gdyby dawnego poufnego przyjaciela, i rozgadawszy się on król z kapitanem nawet o wdziękach Polek, powiedział mi: że mu się przykrzy na tronie neapolitańskim, że tam prawda ma piękną stolicę i flotę morską, ale że dla niego to coby sobie życzył: to 100 tysięcy Polaków na koniu. — Pożegnał mnie jak najczulej i powiedział: „żebym ile razy będę czego potrzebował, udawał się do niego“ .... Odszedłem ukontentowany, że już mamy kandydata niewątpliwego do korony polskiej ... ale bynajmniej nie przeświadczony o jego wyższej polityce.

Nazajutrz, albo drugiego dnia, nadeszła wiadomość arcy nieprzyjemna, że Kulniew jenerał rosyjski, sławny u nich partyzant, w 5,000 jazdy i lekkiej piechoty przeprawił się przez Dźwinę, położywszy most za wyż powiedzianą bliską wyspą niepostrzeżony, i wpadł najprzód na przednią straż Umińskiego, którą zniósł zabrawszy

w niewolę (między innymi) oficera nazwiskiem Łoś; rozbił potem brygadę jen. St. Genier i jego samego pojmał. Czy jaka piechota przyszła na pomoc jeździe? czy tylko jen. Montbrun nadbiegł? tego nie umiem powiedzieć; dość że to była porażka pierwsza! tem przykrzejsza, że w niej jenerał francuski dostał się do niewoli. Według Segura, ta potyczka odbyła się 15 lipca rano. — Po tym przypadku naturalnie pilnowano się lepiej, i Rosyanie cofnąwszy się za Dźwinę tak jak byli przyszli, już więcej, przynajmniej na króla Murata nie tentowali napadu. Wkrótce potem doszliśmy z Muratem do Dzisny miasta powiatowego nad rzeką tej samej nazwy, która tu wpada do Dźwiny, w tem miejscu tak płytkiej — prawda że w lipcu — iż na swoje oczy widziałem artyleryą przeprawiającą się wbród przez Dźwinę; ztąd udaliśmy się pod Połock; nasze szwadrony gwardyi pozostały na lewym brzegu Dźwiny, ale ja przeprawiłem się na prawy dla oglądania tego kolegium jezuickiego i tego miasta, po większej części utworu i pamiątki Stefana Batorego.

Nakoniec przeszedłszy rzekę Ułę sławną w dawnych dziejach naszych wojennych, przybyliśmy do Bieszynkowic dziedzictwa Chreptowiczów, gdzie zastaliśmy jenerała Krasińskiego, i całą niemal armią Napoleona, który wkrótce i sam przybył.

Ztąd jenerał Krasiński odesłał szefa szwadronu Fredrę i kilku oficerów, między którymi Wincentego Mikułowskiego do Gdańska, gdzie miał się formować 5ty szwadron, to jest 9 i 10 kompanie z ochotników wileńskich, po większej części audytorów akademii.

Z tego miejsca tykże wysłany był pierwszy porucznik z mojej kompani Stanisław Hempel w 40 koni na przydłuższy rekonesans, jak się zdaje dla powzięcia wiadomości dokładnych o korpusach rosyjskich z południowej strony.

Maszerując ponad prawym brzegiem Dźwiny i Bieszynkowic samych, widać było ruchy armii Barklaja de Tolly, spodziewaliśmy się bitwy głównej, ale wojsko rosyjskie usunęło się pośpieszając pod Witebsk.

Nie braliśmy udziału w bitwach pod Ostrownem, lubo gdy blisko cesarza z pagórka przeglądającego poruszenia

sy — jak mówiono — z jener. Grabowskim. W każdym razie, całe wojsko i sam Napoleon, oddawali sprawiedliwość dzielności korpusu polskiego; dla tego nieprzyzwoity był buletyn 15 armii, wyrażający się o zadziwieniu Rosyan nad męstwem polskiem, co jest francuskiem powtórzeniem tego, co niegdyś napisali uszczypliwie o spotkaniu się Polaków z Rosyanami pod Trebią.

Zdobył więc Napoleon a raczej opuścili Rosyanie Smoleńsk — zdawało się nam, iż jeżeli w Witebsku mogło być jeszcze zawcześnie pozostać, teraz w Smoleńsku były do tego i historyczne i militarne powody. Z niespokojnym więc umysłem oczekiwaliśmy dalszego postanowienia Napoleona, zapatrując się nie bez obawy na to ciągłe ustępowanie armii moskiewskiej, a sądząc, że jeżeli przejdziemy pod Smoleńskiem za Dniepr, to będzie tylko celem przecięcia Bagrationowi komunikacyi z Barklajem, i tak sobie tłómaczyliśmy krwawą bitwę pod Walutynem. — Widok pobojowiska był jeden z najkrwawszych, jakie weterani pamiętają; zawsze co do liczby, na korzyść Francuzów, co tem więcej zadziwiało nas, że polegli Francuzi, byli powiększej części młodzi ludzie, postaci wykształconych, czysto ubranych i starannie ogolonych; kiedy Moskale przeciwnie byli po większej części grenadyery, chłopy ogromnej postaci, ale których głowy nisko strzyżone, więcej niewolników jak żołnierzy oznaczały.

Wieść była u nas, że Napoleon zapalony widokiem tak pięknego pobojowiska, miał wyrzec: „Z takiem wojskiem można iść na koniec świata!“ i że się natenczas dopiero zdecydował maszerować do Moskwy. Więcej militarne jest zdanie jenerała Gourgaud, codziennego towarzysza podkomendnego Napoleona, który lubo opisuje zadowolnienie cesarza z widoku pola bitwy pod Walutynem: „*voilàc omme j' aime un champ de bataille, quatre Russes pour un Français! Gérard c'est fort bien.*“ (Otóż to takie lubię pobojowisko, czterech Moskalów na jednego Francuza — *Gérard!* bardzo dobrze).

Jenerał Gourgaud powiada, że osobiście woził Junotowi duc d' Abrantes rozkaz posiłkowania Neya od lewego flanku Moskalów; że ten takowego nietylko nie

spełnił; ale spełnić nie chciał, a tym sposobem bitwa pod Walutynem nie miału skutku... że pod Dorogobużem Rosyanie zdawali się chcieć przyjąć walną bitwę, że w tej nadziei Napoleon nie mógł opuścić Smoleńska, gdyż jego potrzebą było pobić stanowczo armią nieprzyjacielską, i że to spowodowało dalszy pochód do Wiazmy, Dżacka i nakoniec do Moskwy, w nadziei rozstrzygającego zwycięstwa i pokoju. — Jakkolwiekbądź, my oficerowie młodzi, Polacy, cieszyliśmy się ze zdobycia Smoleńska, którego już nie lękaliśmy się utracić.... cieszyliśmy się z każdego spojrzenia na Dniepr, z Dorohobuża, z Wiazmy, i tych wszystkich miejsc, które nam przywodziły na pamięć drogie imiona: Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Władysława czwartego.... i postępowaliśmy ku Moskwie upojeni, nie już nadzieją, ale zaufaniem w niezawodne zwycięstwo i onego skutki.

Z prawem skrzydłem, to jest z wojskiem polskiem, nie mieliśmy stosunków służby, ale często spotykaliśmy się z oficerami polskimi, zwłaszcza przyjeżdżającymi do głównego sztabu cesarskiego, a ztąd rozmowy o przyczynach małej liczby korpusu narodowego i wypuszczeniu Bagrationa.... bo tak prawdę powiedziawszy, niedarowane było tak miękkie postępowanie księcia Józefa za tym korpusem moskiewskim.... powszechnie, i my sami, żałujemy, że wojsko polskie nie było powołane do tworzenia prawego skrzydła armii na Wołyniu i Podolu... ale kiedy było głównie przeznaczone na ściganie Bagrationa, powinno było tego dopiąć, bo któż nie widział, że od tego zawisł był najwięcej skutek całej wojny; okazało się z tych rozmów, że wojsko księstwa warszawskiego nowo uformowane, niezaprawione jeszcze w wojnach, nie było dość lekkie i tęgie do marszu — prawda że upały i piaski utrudniały pochód, ale marsze są podstawą zwycięstwa na wojnie, i pozostawało się, z tyłu wiele włóczęgów w piechocie, w jeździe zaś, wypadki pod Mirem i Romanowem tłómaczyły się niedoświadczeniem dowódzców pułków kawaleryi, którzy mając chęć popisywania się jeden bez drugiego, dali się pokonać Platonowi. Nie wątpię, że od Smoleńska do bitwy możajskiej czyli borodyńskiej wiele żołnierzy korpusu księ-

cia Józefa podochodziło, wszelako nigdzie nie mogę się doczytać liczby wojska polskiego w bitwie nad rzeką Moskwa.

Gdyśmy przyszli do Wiazmy, przypomnieliśmy sobie dawne przewagi i oglądali dawnych pamiątek szczątki — tu zaopatrzyliśmy się znacznie w różne zasoby pożywienia . . , ale piechota francuska używała tak dalece do zbytku, że ściągnęła zły humor Napoleona, bo w bliskości licznego nieprzyjaciela takie excesa napojów mogą być zgubne.

Nakoniec dnia 5 września uzyskaliśmy przekonanie o nastąpić mającej walnej bitwie: dnia tego przed wieczorem byliśmy świadkami, jak król Murat i dywizya piechoty Compan zdobyła pierwszy szaniec rosyjski nad wsią Szwardino, uzbrojony 12tu działami pozycyjnemi, miło nam było przypatrywać się, jak jedna dywizya piechoty zdobyła pozycyą wzgórzystą na tylnej straży rosyjskiej, którą do 15,000 piechoty szacowano. Dzień 6 września był dniem wypoczynku i przygotowania się do bitwy; był rozkaz jeneralny czyszczenia i przygotowania broni; nasz pułk uzbrojony po większej części w proporce, nie tyle się zajmował czyszczeniem strzelby jak siebie samych i munduru, tak że nazajutrz wystąpiliśmy w zupełnej paradzie, jak gdyby na placu *du Carrousel* pod Tuilleryami.

Wieczorem dnia 6go września widać było z obozowisk naszych obrząd religijny w armii rosyjskiej, procesyą ze światłem odbywającą się, przeciągającą szeroko po ich stanowiskach, i słychać było wznoszące się śpiewy błagalne. Szydziliśmy natenczas z odbywających to nabożeństwo; atoli więcej daleko powinniśmy byli ubolewać nad zupełnem zapomnieniem o religii w naszem wojsku. Nie można niestety! zaprzeczyć, że wojskowość francuska i zwycięstwa jej, były płodem i utworem rewolucyi francuskiej, i że w tej najważniejszej materyi, my Polacy nie mieliśmy przed oczyma ani wzoru, ani nauki do naśladowania; jakoż przez cały czas tej wyprawy na Moskwę, prócz zetknięcia się chwilowego z Dominikanami w Drui, a z Jezuitami w Połocku, Witebsku i Orszy, nie pamiętam u nas zastanowienia się religijnego, a na-

wet nie przypominam sobie uszanowania w Wilnie Ostro-Bramy, ani przy powitaniu, ani przy pożegnaniu stolicy Litwy. Zdaje się, że my koroniarze, nie znaliśmy natenczas, tej iż tak powiem — Częstochowej litewskiej. Już to pod względem religii wyznać musimy, że pomimo wychowania naszego katolickiego rodzinnego, wiek 18ty wywarł swój zgubny wpływ na nas, i że dopiero doznawszy klęsk po klęskach, zawołaliśmy skruszeni: *Domine! remitte iniquitatem plebis tuae!* . . . a czy już godni jesteśmy podnieść głos: *Dominus virtutum nobiscum!* i *benedixisti terram Tuam?* to nasze dalsze zachowanie się okaże [1]).

Przy tej sposobności zwracam uwagę czytelników na mapy które mamy o wojnie r. 1812, mianowicie wsławionego historyka p. Thiers. Najprzód nie wiem dla czego w krajach polskich używają Francuzi pisowni ułomnej nazwisk rosyjskich; i tak np. Nowoj Troki, Widzoy zamiast Widze, Gloubokoe zamiast Głębokie i t. p. Zaś w planie bitwy walnej pod Borodinem czyli Możajskiem, ta sama rzeka, którą p. Thiers na swej 55tej mapie zowie Protwa, na planie nr. 56 zowie się Kolocza . . . te i tym podobne nieregularności, tudzież sprzeczności między opisywaniem szczegółów bitwy przez p. Thiers a obecnego jenerała Gourgaud, stawiają trudności pamięci naszej po tak długim przeciągu lat. — Jeszcze jedną okoliczność rozczulającą przypomnę czytelnikom: dnia 6go września przywieziono Napoleonowi obrazek jego syna, pędzla Dawida; przyjął ten drogi upominek z rozczuleniem, może za dobrą wróżbę, w pośród okrzyków swoich żołnierzy; atoli nacieszywszy się widokiem tego ukochanego oblicza, wyrzekł do otaczających go: *retirez le, il voit trop de bonheur le champ de bataille*“ — schowajcie jego obraz, niech zbyt wcześnie nie widzi pola bitwy!

Dnia 7go września o godz. 2ej rano wsiedliśmy na koń, i maszerowali zająć nasze stanowisko, odczytaliśmy z uniesieniem rozkaz dzienny cesarski; oto jest:

---

[1]) Panie, odpuść niegodziwość ludu Twego — z nami jest Pan cnoty — pobłogosławiłeś Panie ziemi Twojej. . . .

Soldats! voila la bataille que vous avez tant desiré. Desormais la victoire depend de vous; elle nous est nécessaire, elle nous donnera l' abondance, de bons quartiers d' hiver et un prompt retour dans la patrie! Conduisez vous comme à Austerlitz, à Friedland, à Witepsk, a Smoleńsk et que la posterité la plus reculée cite Votre conduite dans cette journée; que l' on dise de Vous: il était à cette grande bataille sous les murs de Moskou".

„Żołnierze! otóż jest bitwa której sobie życzyliście. Teraz zwycięstwo zależy od was; potrzebne nam jest, przyniesie nam obfitość, dobre zimowe leże, i rychły powrót do ojczyzny! Sprawujcie się jak pod Austerlitz, pod Friedland, pod Witebskiem, pod Smoleńskiem; niech potomność najoddaleńsza wspomina wasze czyny w tym dniu; niech mówią o was: on był w tej wielkiej bitwie pod murami Moskwy".

Wkrótce zajaśniało słońce, które cesarz i my wszyscy pozdrowiliśmy przywitaniem słońca austerlickiego! P. Thiers podaje siły Francuzów w tej bitwie na 127 tysięcy i 580 armat, siły Rosyan według ich pisarza Danilewskiego na 113,000, a według obecnego tam jen. Hoffmana 140,000; liczby dział rosyjskich nie mógłem się doczytać, ale nie miała być mniejszą od francuskich, tem bardziej że Moskale tyle szańców armatami cięższego wagomiaru osadzili. Nasze stanowisko z początku bitwy, było jak zwykle niedaleko osoby cesarza, na równinie ku prawemu skrzydłu w kierunku wsi Semenowskojo i trzech szańców *flèches* (strzałczany) moskiewskich. Szwadrony służbowe naturalnie były bliżej przy samym cesarzu, nie pamiętam, który tego dnia był na służbie. Ale gdy w południowych godzinach kawalerya rosyjska gwardyi i kozacy ruch natarcia rozpoczęli na lewe skrzydło vice króla Eugeniusza, cały nasz pułk udał się w tamtę stronę, a część pułku — może tylko szwadron służbowy — ucierał się z gwardyą konną rosyjską; ja tylko tyle pamiętam, żem widział słynnego naszego Wilczka prowadzącego oficera od kirasyerów gwardyi petersburgskiej, i że niemało koni tej gwardyi z jej czaprakami w gwiazdy ozdobnemi, błąkało się w naszym pułku, za które nasi wymieniali swoje mniej zdatne konie,

a gwiazdziste czapraki, z pośmiewiskiem na różne posługi obracali; pp. Thiers, Segur a nawet Gourgaud nie wspominają o naszym ruchu, który jednak nie mógł być nieskuteczny, bo nasze proporce z daleka w groźnej i szybko postępującej postawie okazujące się, robiły skutek i bez natarcia — przeciwnie p. Thiers wspomina tylko o udziale lekkiej jazdy, nie wymieniając jakiej, a tak on, jak i Gourgaud, mówią o podobnym ruchu dywizyi Claparade to jest Chłopickiego, a milczą o boju naszej legii pod Możajskiem, nazajutrz albo trzeciego dnia po batalii, a więc ja nie wiem dowodnie, gdzie Chłopicki był ranny? dość że powszechnie mówiono, iż pod Możajskiem, po którem to zranieniu, już go nie widziano ani w dalszej kampanii 1812, ani w 1813, ani 1814, lecz nie tu miejsce o tem pisać.

Gdy jazda Uwarowa i kozacy cofnęli się, i my powróciliśmy na nasze stanowisko ku prawemu skrzydłu; ale już bitwa była postąpiła. Mogliśmy więc posunąć się naprzód i nieść jaką pomoc współziomkom naszym z jazdy, zalegającym pole ich walecznych natarć, a mianowicie 14go pułku kirysyerów Stanisława Małachowskiego; tu mieliśmy przyjemność witać się z wielu znajomymi z pułku jazdy polskiej, a mianowicie z pokrewnym moim Romanem Załuskim oficerem 11go pułku ułanów dodowództwa Adama Potockiego, którą przyjemność mieliśmy jeszcze i w dniach następnych, póki korpusy jazdy Latour Maubourg i Sebastianiego były w naszej bliskości. Wkrótce bitwa była stanowczo wygraną, lecz Napoleon nie chciał żeby gwardya jego brała czynny udział w rozbiciu i ściganiu nieprzyjaciela, z politycznych i militarnych powodów w kraju tak odległym; z zupełnym zmrokiem udaliśmy się na spoczynek do lasu na prawem skrzydle będącego; tu adjutant major, mnie jako kapitana z kolei komenderował na furażowanie. Nie było to lekkie zadanie w ciemnej nocy i miejscach nieznanych; udałem się na prawo i dostałem się do biwaków opuszczonych przez wojsko polskie; zastaliśmy tam ślady niemałej obfitości zboża w snopie, szczątkami temi obładowaliśmy nasze konie; ale nas zgorszyło mnóstwo powózek i różnego przy nich motłochu niepotrzebnego

na wojnie; był to niestety przykład tego, co wkrótce miało i całą armią obciążać przy bliskim odwrocie.

Powróciłem więc do naszego biwaku ze szczupłym posiłkiem dla koni a żadnym prawie dla ludzi, w późną noc, nie zsiadając prawie z konia od 2 porannej godziny.

Nazajutrz 8 września przejeżdżaliśmy srogie pobojowisko bitwy, nad którą krwawszej nie pamiętali weterani. P. Thiers podaje liczbę z obu stron zabitych i rannych na 90,000, z których przyznaje ze strony francuskiej 30,000 a na Moskalów liczy 60,000. Zdanie sprawy urzędowe nie wspomina dość słusznie o udziale wojska polskiego w tej bitwie, ani zwraca uwagi na szczupłość tak zwanego 5go korpusu księcia Poniatowskiego.

Kiedy armia posunęła się na Możajsk, większa część naszego pułku, pod dowództwem gros majora Dautancourt, a w komendzie starszej jenerała Colbert dowódzcy pułku lansyerów holenderskich gwardyi, posłani zostaliśmy na prawo, na starą drogę od Kaługi do Moskwy, celem śledzenia w tej stronie ruchów głównej armii Rosyan, a może i jakiego nadchodzącego jej posiłku. W tym kierunku przyszliśmy do Borowska; wtenczas to złączył się z nami pluton 7go pułku lansyerów w służbie Francyi, to jest ułanów nadwiślańskich, pod dowództwem porucznika Bogusławskiego i pozostał z nami, podobno aż do złączenia się z pułkiem w okolicach Oszmiany. Wojska rosyjskiego nie napotykaliśmy nigdzie w liczbie znaczniejszej, a patrole kozackie unikały nas, bo nasza kolumna jazdy wynosiła mniej więcej 2,000 jazdy. Wszelako jenerał Colbert zachowywał wzorową ostrożność; był to dowódzca rzadki, i w czasie cofania się z Rosyi, dawał dowody energii, której niestety! nie dostawało wielu jenerałom francuskim, jak to będziemy mieli sposobność wzmiankować niżej.

Pod Borowskiem, gdzie p. Thiers kładzie rzekę Protwę, którą na polu bitwy pod Borodinem nazywał Kolocza, doznaliśmy rzadkiego posiłku, to jest ryb ze stawu, a mój szef Chłapowski, ugościł mnie wyjątkową biesiadą, o jakiej już i pamięci nie miałem.

W tym przeglądzie kraju flankowego, natrafialiśmy na różne dla nas osobliwości: pałace z bibliotekami, szklarniami i ogrodami; szklarnie były zadziwiające, ale w ogrodach ledwie mizerne jabłuszka na drzewach; z ptastwa najwięcej wron, kawek i gawronów; podniebie widocznie północne, o wiele różniące się nawet od litewskiego. Zdarzyło się Antoniemu Jankowskiemu na pojeździe natrafić na cukrownię z buraków; pewnej nocy zostaliśmy zdziwieni przybyciem na wielu powózkach wielkiej ilości głów cukru; od tej chwili i ja zacząłem używać powózek czyli bryczek, których miałem z porucznikami mojemi bracią Hemplami dwie, a za niemi dwie krowy dojne i zapas cukru i różnych wiktuałów. Chociaż jenerał Colbert miał znaczną komendę jazdy, nie odbierał rozkazów, a jak się zdaje, i jego raporta nie dochodziły do głównego sztabu. Co noc widzieliśmy w kierunku Moskwy ogromne łony na niebie; czyniliśmy wnioski, że obie armie stoją na przeciwko siebie, sposobiąc się jeszcze do walnej bitwy przed Moskwą; korciło to niespokojność naszą, żeby nie należeć do tej bitwy... nakoniec, czy jenerał Colbert otrzymał rozkaz, czy sam to przyjął na swoję odpowiedzialność? ruszyliśmy na Fomińsko ku armii, czyli ku Moskwie... wreszcie przybywszy pod górę Woroblewską zwaną, zastaliśmy ją obsadzoną strażą naszych kolegów strzelców konnych gwardyi; poskoczyłem z niektórymi oficerami do naszych znajomych, pytając ich natychmiast o Moskwę? — Moskwy niema — Jak to?! — Spalona, patrzcie! i w samej rzeczy ujrzeliśmy ze szczytu tego pagórka dymiącą i gdzie niegdzie dogorywającą ogromną przestrzeń; małą tylko część i górujący Kremlin oszczędzono. Można sobie wystawić nasze przerażenie pod względem militarnym, politycznym i osobistym... byliśmy znużeni marszem od Kowna, obdarci, nieoprani, liczący na pomoce stołecznego miasta... Szaszery przerwały te nasze dumania, częstując nas winem dońskiem pieniącem się jak szampan, piliśmy więc na zdrowie cesarza, na spotkanie nasze szczęśliwe, na pomyślny skutek wyprawy, i pociągnęliśmy dalej nieco pocieszeni, rozłożyliśmy się na nocleg w przedmieściu przy trakcie od Kaługi,

a zaopatrzeni zaraz w różne spragnione od dawna zasiłki, mianowicie w tytuń turecki, odbyliśmy pierwszą noc w spoczynku i zapomnieniu troski, *jucunda sollicitae oblivia vitae.*

Nazajutrz otrzymaliśmy wiadomość, że przystęp do miasta był zbroniony i rozkaz udania się na wieś nam wyznaczoną . . . zdaje mi się, że tą była odrazu Woronowo, pod którą ja osobiście spędziłem prawie cały czas pobytu Napoleona w Moskwie . . . jakkolwiekbądź czy zaraz czy później przybyłem do Woronowa, zastałem tam pałac spalony, a na nim wielkiemi literami węglem ten napis: *Le comte Roztopczyn propriétaire de cette maison l' a brulée de sa propre main pour qu' aucun chien de Français ne puisse y démeurer.* Właściciel tego domu hrabia Roztopczyn spalił go własną ręką, żeby żaden pies Francuz nie mógł w nim mieszkać. — Piękne to przywitanie nie zrobiło na Polakach smutnego wrażenia, ale zapaliło nas gniewem; jak tylko było można, wyrobiłem sobie urlop od jenerała Krasińskiego przebywającego w Moskwie przy cesarzu i pojechałem do tej stolicy; z bólem wprawdzie, ale więcej z zawziętością, przejeżdżałem te popalone ulice — przypisując ten pożar wzajemnemu uczuciu tego narodu, który tyle pożarów szerzył po naszej ziemi od Baltyku do Krępaku, od Czarnego morza po za Wartę aż do Pomorza . . . a kiedy stanąłem na moście rzeki Moskwy pod Kremlinem, zatrzymałem się na tem stanowisku, z którego szeroko wzrok sięga na wszystkie strony, a rozpamiętywając wyrznięcie rodaków towarzyszów Dymitra, i rocznicę roku 1612go . . . i wyrznięcie Pragi, powiedziałem sobie, że teraz w r. 1812 pomszczona Praga i cień Jasińskiego i że już mogą zmazać z swoich grobowisk napis: *Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor* [1]).

---

[1]) Później kiedy stosunki królestwa kongresowego były bliższe z Rosyą, czytaliśmy wiersz czyli odę Dymitryewa na zdobycie Warszawy w roku 1794 przez Suwarowa — której że nie mamy pod ręką, mocno żałujemy, bo ciekawą jest zawzięć ość poety rosyjskiego na naród polski, i ubolewanie, że bohater Pragi nie postąpił sobie podo-

Udałem się następnie do jenerała Krasińskiego, gdzie przy gościnnych puharach, oglądaliśmy z rorzewnieniem klingę Radziwiłłowską, przez Dominika Radziwiłła już natenczas lub wkrótce majora naszego pułku, w Kremlinie znalezioną. Naznaczono mi kwaterę nie w pałacu, ale w bardzo porządnej kamienicy jakiegoś Sołtykowa... bynajmniej nie zrabowanej ani nawet tkniętej, gdzie Dworecki (tak nazywają Moskale marszałków dworów szlachty), przyjął mnie rozsądnie i należycie. Nazwisko Sołtykowa bardzo historyczne; byli to partyzanci Dymitra a zatem nasi, jakoż przesiedlili się w części rodu do Polski i dobrze się zasłużyli naszej ziemi . . . a w czasach nowszych, któż nie wie jak Sołtykowie podzielali z Poniatowskim przychylność Katarzyny, tej gwarantki całości Polski? . . . Oświadczyłem Dworeckiemu, że ja choć przyzwoicie przyjęty, chcę zrabować dom jego pana, i zabieram szkło do musztardy na szklankę do kieszeni, i łyżkę rogową do tabaki, także do kieszeni, na łyżkę obozową — i że życzę jemu i jego panu, żeby się nikt większego rabunku nie dopuścił. — Udałem się potem do Kremlinu, gdzie nie tyle Granitowa Pałata (odwieczna sala carów), arsenał i starożytne cerkwie zwracały moję uwagę — ile szeregi licznych śmigownic i dział polskich, znaczonych herbami królestwa i różnych rodzin polskich, które dla ciężaru swego a może i dla chluby, nietykalnie leżały jeszcze w Kremlinie na swojem miejscu, kiedym Kremlin po ostatni raz zwiedzał w r. 1825 na 26ty, przy zwłokach imperatora Alexandra Igo.

Po zaspokojeniu mojej narodowej ciekawości o Moskwie i Kremlinie, wróciłem do mojej kompanii i brałem odtąd udział w różnych podjazdach w okolicy Mo-

---

bnież i z Warszawą . . . a że to uczucie do roku 1827 nie zupełnie się odmieniło przez zbratanie się z carstwem polskiem, dowodzi to, iż sam na swoje uszy słyszałem jenerała senatora rosyjskiego przybyłego do Warszawy na komitet śledczy, odzywającego się do kolegów temi słowy: „Co tu rozprawiać! póki Warszawa nie będzie wyrzniętą, nie będzie spokojnie.“ — Wszakże dodać należy, że ten jenerał był podobno weteranem jeszcze z pod dowództwa Suwarowa.

skwy, spotykając się raz z 9ym pułkiem jazdy polskiej Przyszychowskiego, drugi raz z 12ym pułkiem tejże jazdy pod dowództwem majora Brzechwy, gdzie mi się zdarzyło w tej kampanii widzieć po raz pierwszy z bliska księcia Józefa Poniatowskiego . . . ale szczegółów tych wycieczek nie pamiętam, wiem tylko, że albo były mało znaczące, albo pomyślne, żadnej albowiem niedoświadczyłem klęski w Moskwie, o jednej tylko podobnej wiem w pułku naszym, i to przed ogólnym odwrotem — przyjaciel mój i dawny kolega kapitan Brocki, wysłany był na podjazd, napadnięty przez przemagającą siłę, skłuty pikami popadł w niewolę Miłoradowicza, — porucznik Roman bronił go ale nadaremnie, jako o tem wzmiankę uczyniliśmy w 1em naszem wspomnieniu o pułku, z powodu artykułu z IIIgo zeszytu cmentarza Powązkowskiego wydanego w Warszawie przez p. Wójcickiego roku 1855.

Ja, jak to już wyżej powiedziałem, najwięcej przebywałem w Woronowie pod namiotem moskiewskim, który niezmordowany porucznik Joachim Hempel był gdzieś zdobył — wielu oficerów starszych, jak Dautancourt, Kozietulski i inni bywali w Woronowie ale czasowo; ja tam stałem w przeznaczeniu na eskortę Napoleona w przypadku gdyby się tamtędy dokądbądź udał. — Śniadania nasze składały się najwięcej z polewki winnej lub z ryżu na mleku od naszych krów; obiady z wieprzów, pieczonych całkowicie, lub sztuki wołu na drewnianym rożnie, zrazami odkrawanych; zasiadaliśmy do czarnej kawy; markietanka czyli raczej kilka ich razem w kotle żelaznym, nad ogromnem ogniskiem na żerdzi utrzymywanej na dwóch kobylicach zawieszonym, bezustannie od rana do późnej nocy warzyły kawę — po czterech rogach ogniska, sterczały na kobiercach albo płótnach, stosy palonej i niepalonej kawy, urąbanego cukru i filiżanek, szklanek, kubków, od najprzedniejszych wyzłacanych porcelanowych aż do glinianych garnków, moskiewskich drewnianych czarek, i obozowych blaszanych manierek. Markietanka przyjąwszy metalowy pieniądz, obficie słodząc mokkę, dostarczała jej zgromadzonym wszelkiego stopnia gościom zwiedzającym w obszernem kole, na ka-

napach i sofach, atłasowych, adamaszkowych, wyzłacanych, safianowych mniej bogatych, aż do prostych desek położonych na dwóch pniakach lub beczkach; był to widok w swoim rodzaju jedyny, prawdziwa obozowość, towarzystwo przemieniające się bezustannie, z różnych rang i narodowości złożone, a zawsze ożywiane dowcipami wiarusów naśmiewających się ze wszystkiego, ale najwięcej z Moskalów i ich przywódców.

Nie mógłem się doczekać w Woronowie Napoleona, ale z zadziwieniem i żalem ujrzałem dwa razy jenerała Lauriston — przejeżdżającego do Kutuzowa; bolesno nam było widzieć Napoleona kompromitującego się okazaniem życzenia, a zatem i potrzeby pokoju, i narażającego się na coraz dłuższe przebywanie w Moskwie, w nadziei traktatu . . . Tak to Napoleon przesiedział w stolicy carów dni 34; żeby był poprzestał na 8 do 10 mniej więcej, a był uskutecznił odwrót zaczepny, zagrażający Petersburgowi, a cofający się istotnie na Witebsk, gdzieby się był złączył z marszałkiem Wiktorem, jest wielkie podobieństwo, że popłoch którym był zdjęty Petersburg, byłby wymógł traktowanie o pokój, a w każdym razie bylibyśmy uniknęli fatalnej rejterady, która li z naszej winy miała postać ucieczki; ale na ten północny, czy na południowy kierunek przez Kaługę i Mścisław, trzeba było opuścić Moskwę o blisko miesiąca pierwej.

Dnia 18go października Rosyanie zaatakowali Francuzów, a mianowicie Sebastianiego, którego poznaliśmy pod Drują, który się tu lepiej nie pilnował jak tam, i podobno odrazu 18 armat, nie zdobytych, ale przez niepilnowanie zabranych, utracił. Tego dnia już oddział nasz nie był w Woronowie; jak tylko za powrotem Laurystona od Kutuzowa okazało się, że już tamtędy Napoleon przejeżdżać nie będzie, pułk nasz skoncentrował się bliżej głównej kwatery; kiedy więc Murat i książę Poniatowski cofnęli się pod Woronowo, już nas tam nie było, dowiedzieliśmy się tylko z boku o zaszczytnej walce korpusu polskiego i o stracie jenerała Fiszera, tudzież o mocnem zranieniu Tadeusza Wyleżyńskiego krewnego

księcia Dominika Radziwiłła, którzy oba potem należeli do naszego pułku.

Dnia 19go Napoleon opuścił Moskwę i udał się na Borowsk ku Małemu Jarosławcowi, uprzedzając tym marszem Kutuzowa na drodze do Kaługi. Ten sam dzień 19go października był feralnym dla naszego pułku gwardyi konnej litewskiej, formowanej przez jenerała Konopkę. Ten niegdy wychowaniec Słonimia, chciał tam okazać się naczelnikiem świetnej młodzieży litewskiej, i pomimo przestróg jenerała rosyjskiego Czaplica Polaka, tak zarozumiale znalazł się w ojczystym swoim Słonimiu, iż tam prawie z całym swym pułkiem został rozbity i w niewolę zabrany — to co się z tego pułku pozostało, przydzielone zostało do naszego, jak już o tem w poprzednich naszych wspomnieniach pisaliśmy — tak więc mniej więcej od dnia 18go października rozpoczęło się pasmo niepowodzeń naszych. W dniach 23 i 24 zaszła krwawa i zaszczytna bitwa korpusu księcia Eugeniusza, w której Włochy dowiedli, że i oni tak jak Francuzi mogą się mierzyć na bagnety z grenadyerami moskiewskiemi; — tyle tylko wspomnimy o tej pamiętnej bitwie, że pułkownik Kobylański adjutant marszałka Davousta utraciwszy nogę po biodro, wytrzymał amputacyą i przez grenadyerów francuskich zrazu uniesiony, szczęśliwie dostał się do Polski, gdzie był później prezesem płockim.

Dnia 24 wieczorem czując się słabym nie chciałem należeć do świeżego szwadronu służbowego przy Napoleonie i udałem się na bok do szwadronu Jankowskiego, w którym był także Zielonka, gdzie między przyjaciołmi chciałem trochę wypocząć; moja kompania poszła na służbę pod bracią Hemplami a dowództwem szefa szwadronu Kozietulskiego. Cesarz przenocowawszy w wiosce zwanej Gorodnia, nazajutrz dnia 25 października siadł na koń jak najraniej, chcąc rozpoznać pozycyą Rosyan . . . tymczasem było w całej okolicy słychać z daleka pisk napadających kozaków, i krzyk uciekających przed nimi powózek i różnego motłochu. Joachim Hempel porucznik prowadzący szpicę, jednego naszego, drugiego szaserów gwardyi plutonów, widząc że tłum kozaków napada prosto na cesarza, korzysta z ciemności

i naciera na nich bez wahania, pluton szaserów naśladuje go, i tym sposobem kozacy nie wiedząc jaka to masa na nich się rzuca, zatrzymują się i dają czas cesarzowi i jego sztabowi cofnienia się cokolwiek . . . Ale kozacy zobaczywszy że z małą liczbą mieli do czynienia, rzucili się na nowo i rozpoczęła się utarczka z orszakiem cesarza, w którym kilku oficerów sztabu, a między innymi jenerał Rapp, wzięli udział, aż nadciągły szwadrony służbowe a na ich czele Kozietulski z naszym i odpędziły kozaków; wtenczas to w obronie, iż tak powiem samego Napoleona, Kozietulski został znacznie ranny piką, za co go mianował cesarz majorem naszego pułku. Jenerał Gourgaud naoczny świadek twierdzi, że w szpicy Joachima Hempla był trzeci pluton dragonów gwardyi; to może być, bo ja nie byłem tam naocznym świadkiem, ale się to nigdzie nie praktykowało, żeby pluton dragonów był w szpicy przed cesarzem, tylko tak jak ja opisałem. Także p. Thiers który nigdy o Polakach nie wie, pisze, lecz mylnie, że regiment dragonów gwardyi: „na szczęście spostrzegł niebezpieczeństwo cesarza i na pomoc mu galopem nadbiegł.“ Ta rzecz ma się inaczej, lecz to tak jakeśmy opisali; ale gdy my, Jankowski, Zielonka i ja, usłyszeliśmy i widzieliśmy tak nazwane hurra! kozaków, natychmiast siedliśmy na koń, a ja jako starszy objąłem dowództwo — i udaliśmy się ku tumultowi pod główną kwaterę — napotkaliśmy regiment dragonów rozwiniętych frontem i wolnym kłusem linią na kozaków szeroko posuwający się; zobaczyliśmy szwadron Mameluków nadbiegający; porozumiawszy się w okamgnieniu z Eliasem dowódzcą Mameluków, postanowiliśmy nacierać na kozaków przez luki szwadronów dragońskich, i tak ich pędziliśmy po nad rzeką Łużą, aż się znowu spotkaliśmy z pułkiem strzelców konnych gwardyi, i jenerał Guyot ich dowódzca dał mi pamiętną naukę. Gdy stanął przed moim szwadronem niewzruszenie, pod lasem obsadzonym piechotą rosyjską, strzelba zaczęła nam dokuczać bez żadnej potrzeby ni pożytku . . . ośmieliłem się zrobić mu uwagę, że tu nasi ludzie i konie cierpią na próżno, że możeby jenerał pozwolił się trochę odsunąć od lasku; na to francuski je-

nerał do mnie: „Albo co! czy to żołnierze na co innego stworzeni, jak tylko żeby ginęli?“ Pomiarkowałem żem się niepotrzebnie odezwał, i stałem z zimną krwią obok jenerała szaserów, póki może Moskale odeszli, i jemu się podobało z tego miejsca się oddalić.

W tym dniu, cały nasz pułk zostający pod rozkazem jenerała Dautancourt — oprócz dwóch szwadronów służbowych z dnia 24 i 25 — o których już wspomniałem — ucierał się cały dzień z kozakami . . . było to skutkiem, że Płatow dostał znaczne posiłki z Donu, i chełpił się zamiarem ułowienia Napoleona, jakoż tego dnia 25go całe okolice francuskiego wojska otoczył obławą, ale wszędzie zwycięsko odparty.

Niewiem, nie pojmuję, co po bitwie małojarosławskiej Napoleona nakłoniło opuścić zamiar udawania się na Kaługę, przynajmniej obrócenia się na Medynę, Juchnow, a choćby i na Jelnie do Smoleńska; ale wracać się do Możajska na tę samę drogę którąśmy tak spustoszoną przebyli . . . tego nasze umysły pojąć nie mogły, i dotąd nie możemy. — Dnia 28go przybywszy do Możajska, ujrzeliśmy to okropne pole bitwy pełne jeszcze bolesnych jej śladów. Już pod Możajskiem niedostawało żywności, moje dwie krowy jedna po drugiej poświęcone zostały regimentowi. My atoli wkrótce złączywszy się z pułkami nadwiślańskiej piechoty, urządziliśmy furażowanie osobne, i codziennie przed wieczorem, kompania piechoty, najwięcej 2go pułku dowództwa Malczewskiego i oddział jazdy naszej, zapuszczały się na ubocze i przywoziły mniej więcej różnej żywności dla koni i ludzi.

Pewnego dnia kiedy pułk nasz cały maszerował w porządku, a szef Chłapowski na czele mojej 1ej kompanii przy mnie z lewej strony, nadciągnął cesarz konno i podjechał pod lewy bok Chłapowskiego; przywitał się z nim poufale i zaczął z nim mówić; ja się usunąłem przez uszanowanie, i trwała ta konwersacya dość długo. Napoleon miał na sobie szubę zieloną axamitną sobolami podszytą i czapkę podobną, formy w Moskwie używanej.

Innego dnia, jenerał Krasiński szedł na czele pułku obok mnie; zobaczyliśmy drogę skrwawioną i tru-

pów żołnierzy rosyjskich świeżo zabitych; byli to jeńcy; zdjęci byliśmy zniewagą; jenerał Krasiński udał się galopem do tej kolumny; był to pułkownik portugalski; Krasiński wymawiał mu srogie jego i niczem nieusprawiedliwione okrucieństwo; Portugalczyk bardzo źle przyjął uwagi Krasińskiego, odpowiadał mu w tonie nieprzyzwoitym; nie był czas ani miejsce do sporu, jenerał Krasiński udał się pośpiesznie do sztabu cesarskiego, i tam doniósł o tem nadużyciu losu jeńców; cesarz dowiedziawszy się, wysłał zaraz adjutanta swego Gourgand dla rozpoznania tego wypadku, który tenże jenerał na stron. 200 swojej krytyki historyi Segura opisuje, oczyszczając nas z zarzutu p. Segura, jakoby między eskortą jeńców hiszpańską i portugalską byli także Polacy. A zatem najprzód to twierdzenie jest całkiem mylne, a powtóre, Polacy nigdy się okrucieństwa nad bezbronnymi nieprzyjaciołmi nie dopuszczali, i zawsze byli z jeńcami łagodni.

W Dorogobużu, w tem niegdyś nam nieobcem mieście, doszła Napoleona wiadomość o zaszłym w Paryżu spisku; co go najwięcej raziło, było to zapomnienie praw jego syna Napoleona II, powagi cesarzowej i konstytucyi cesarstwa. Ale prócz tej drażliwej wiadomości, zjawił się dnia 6go listopada mróz ze śniegiem — smutny dowód, żeśmy o miesiąc nadto późno wyszli z Moskwy — wojsko nieopatrzone w ubiór cieplejszy, konie tak od jazdy jak szczególniej od artyleryi nie kute na ocylach — przesąd Francuzów, nieobeznanych z zimą, stał się klęską; kiedy my Polacy na koniach ostro kutych mijaliśmy jenerałów fracuskich galopem, oni zazdroszcząc nie mogli się wydziwić, a działa ich pod każdym pagórkiem doznawały nieprzebytej trudności i tylko ramionami żołnierzy mogły być na pagórki wyciągane.

Ta mała na pozór okoliczność kucia koni, była jedną z najpowszechniejszych przyczyn straty koni, artyleryi i bagażów, a zatem głównej klęski armii.

Dnia 9go dochodziliśmy do Smoleńska, słyszeliśmy że to miasto było uporządkowane, zaopatrzone w zapasy wszelkie, wystawialiśmy sobie, że dość już zbliżyliśmy

się do zachodu, i że tam niezawodnie będą zimowe leże, jeżeli nie dla nas, czyli głównej kwatery dla cesarza, to dla jego stałej i niezłomnej aryergardy — ta błoga nadzieja potwierdziła się w nas, kiedyśmy widzieli Napoleona wkraczającego na czele swojej gwardyi do Smoleńska i wydającego surowe rozkazy porządku i karności . . . Niestety! niedługo trwała ta pocieszająca nadzieja; bezład, niesubordynacya prawie aż do buntu posunięta, wkrótce te długo i starannie nagromadzone zapasy rozszarpała; jedni brali do zbytku, drugim nie dostawało się nic . . . żeby wyobrazić co się działo, powiemy dla pamięci, że wina bordeaux i burgońskie rozprzedawano butelkami za pieniądze, żeby uniknąć ich poniewierki. Nasz pułk, zwłaszcza co do ludzi, wypoczął trochę w Smoleńsku i spędziliśmy kilka nocy pod dachem, czego nie doznawaliśmy od niepamiętnego czasu... Ale cóż to było w porównaniu z oczekiwanemi leżami zimowemi?! Atoli nadeszłe z południa niepomyślne wieści, zdaje się że wszelką chęć Napoleona zachowania Smoleńska zmieniły, tak, że wypocząwszy trochę, uporządkowawszy mianowicie artyleryą, opuścił z nami Smoleńsk dnia 14go listopada, śpiesząc na Orszę do Borysowa, to jest do linii Berezyny; marszałek Ney zaś miał sobie powierzoną tylną straż.

Wyszedłszy ze Smoleńska, zacząłem doświadczać, że pomimo dostatecznego zbioru, potrzebuję zaopatrzyć się w lepsze obuwie, jeżeli chcę zachować moje nogi; rzadkiem szczęściem napotkałem żołnierza Hiszpana, od którego kupiłem moskiewskie buty; tym byłem winien zachowanie mych stóp, ale musiałem zamienić strzemiona u moich siodeł na kirysyerskie, bo buty nie mieściły się w zwykłych moich strzemionach.

Dnia 17go listopada mieliśmy niespodziankę być atakowanymi przez większe siły Rosyan pod Krasnem. Pułk nasz liczniejszy od wszelkich innych jazdy, pod okiem Napoleona w różnych miejscach tego dnia był użyty, flankierując i stojąc pod armatami nieprzyjaciela, które nam niemało ubiły żołnierzy i koni, ale których szczegółów już pamięcią nie obejmuję. — Pod Ladami i Dombrowną mieliśmy jeszcze w nocach, w tej porzebar-

dzo długich, alarmowania kozaków czyli lekkiej jazdy rosyjskiej, do odpędzenia dla bezpieczeństwa głównej kwatery cesarza; aż przecie dostąpiliśmy Orszy, gdzie już zastaliśmy organizacyą polską, to jest nakształt ks. warszawskiego. Bezwątpienia Orsza i Dniepr, powinny były zatrzymać i uporządkować rejteradę francuską, ale oprócz gwardyi i Polaków, tak się była zakradła dezorganizacya do wszelkich korpusów, że i wypoczęcie w Orszy, nie lepiej skutkowało jak w Smoleńsku; do tego dodać należy, że coraz gorsze wiadomości od Mińska i od korpusów walczących z Wittgensteinem, nie pozwalały się dłużej zatrzymywać; chodziło o to, żeby nam nie przecięto komunikacyi przez Berezynę; dążyliśmy więc do Borysowa, i choć my Polacy umieliśmy sobie radzić na noclegach, jak to w Kochanowie, w Tołoczynie, u Francuzów nie widać było zwiększającego się porządku; wszystko to jednak nie dochodziło jeszcze do takiego rozprężenia, jakie nastało po Berezynie. Po doznanych mrozach i śniegach, zdawało się, że z tej strony Dniepru podniebie było łagodniejsze, ale za to nastąpiły rozciecz i błota; w takim to stanie temperatury dążyliśmy pod Borysów nad Berezynę. Nie mogę teraz twierdzić z pewnością, ale zdaje mi się, że major nasz książę Dominik Radziwiłł, wpłynął na wybór Napoleona przeprawy przez Berezynę pod Studzianką. Segur mówi w tomie II na stronie 240, że z[illegible]ek Stary Borysów w którym Napoleon nocował, na[illegible]ał do księcia Radziwiłła. Książę ten, którego Napolen szczególniej lubił, jako właściciel zamku albo był przywołany, albo się sam ofiarował z radą, żeby uskutecznił przejście Berezyny pod jego wsią Studzianką, gdzie on wskazywał bród; zajęliśmy więc naszym pułkiem Studziankę, i tam parę dni jeżeli nie kilka, przepędzili. Pierwszego brodu na Berezynie w oczach naszych doświadczał oficer 8go pułku Łubieńskiego z pomocą kilku ułanów; był to wsławiony później literat rosyjski Bułharyn! ale że pułk rzeczony należał do jenerała Corbineau, więc p. Thiers przypisuje całą zasługę wyboru przejścia Berezyny pod Studzianką, jenerałowi Corbineau i jego adjutantowi Jaqueminot, którego zowie: „*un envoyé du ciel qui a trouvé*

miraculeusement un point de passage," zesłańca niebios, który cudownie wynalazł miejsce przeprawy. — Znaliśmy jenerała Corbineau, męża zacnego, kiedy jeszcze był szefem szwadronu w pułku strzelców konnych gwardyi, a który miał w komendzie pułkownika Tomasza Łubieńskiego i cały pułk jazdy jego polskiej; nie sam jenerał ani adjutant jego Francuz, mogli rozpoznawać kraj polski i bieg Berezyny, a jeszcze zawsze zachodzi wielkie pytanie, czy to nie nasz Radziwiłł, według naszego pytania, przedstawił tę radę Napoleonowi, a ten ją dopiero polecił jenerałom Corbineau i Eble, temu ostatniemu jako mającemu budować mosty na Berezynie. P. Thiers nie był świadkiem tych czynów tak jak Gourgaud; w każdym razie, pierwsza zasługa wyprawy pod Studzianką należy się Polakom, którzy codziennie i nieustające przysługi wyrządzali Napoleonowi, jego marszałkom i jenerałom, służąc narodowej sprawie tem gorliwiej, im była trudniejszą i niebezpieczniejszą, a to bez przerwy i do końca.

Przyszliśmy, to jest pułk nasz, do Studzianki zgłodnieli; ja sam nie pamiętam w kampanii drugiego takiego tak głodnego dla mnie dnia, jak tylko w dzień bitwy możajskiej; ale w Studziance porucznikowie Hemple podratowali mnie i siebie na długo; kupiliśmy u naszego gospodarza wieprza, kilka gęsi, i upiekli 11 bochenków żytniego chleba; do tego można było dostać za sztukę złota, napoleona lub nawet dukata, kawał cukru, zwitek herbaty, kwaterkę rumu; w takie zapasy patrzeni byliśmy z pierwszych, którzyśmy przeszli Berezynę. Przybywszy na most, znaleźliśmy go otoczony ciżbą włóczęgów rozmaitych mundurów i rang, ale których nie można było rozpoznać z pod wszelkiego rodzaju ubiorów; most był wartą obsadzony, która nikogo nie puszczała . . . trzeba było robić rum; kazaliśmy lafy obrócić tylcami do góry, i tym sposobem rozdając razy nieszkodliwe na prawo i lewo, przeszedł pułk powoli w wielkim porządku, tego już nie pamiętam czy konno czy prowadząc konie pieszo. — Gdyśmy się uszykowali na prawym brzegu Berezyny, postrzegłem że moi dwaj służący z powodowemi końmi zostali za mostem; uda-

łem się więc za nimi pieszo, i choć nie bez trudności, przeprowadziłem ich całkowicie na brzeg prawy, ale przyczyny tego wypadku nie są mi wiadome. Na prawym brzegu dostąpiliśmy niezgorszej kwatery, gdzie nie zbywało na różnych zajściach z oficerami francuskimi i z natrętami różnego motłochu; ale te sceny odtąd coraz się pogorszały, jak o tem będzie jeszcze później. Tu tylko nadmieniam, że przejście Berezyny nie byłoby o wiele było tak straszne i w skutkach przerażające, gdyby oficerowie wszelkich broni byli więcej dbali o porządek. Nazajutrz 28go była chwalebna bitwa na prawym brzegu Berezyny. Pułk nasz stał na koniu gotów, atoli kirysyery jenerała Doumerc i lekka jazda jenerała Corbineau wydołały zwycięstwu, które było kompletne. W tej bitwie, tak polska jazda ks. war., jak i legia nadwiślańska okryły się zasługą, ale jenerałowie Zajączek, Dąbrowski, Kniaziewicz i Claparede, 4ch jenerałów dywizyi, zostali ranni. Kiedy tak Polacy się odznaczali na prawym brzegu Berezyny, na jej lewym walczyły równie zaszczytnie pułki ks. warszawskiego z Hiszpanii powracające pod jen. dywizyi Girard, w 9ym korpusie mar. Victor.

Dnia 29go opuściliśmy brzegi Berezyny, więcej nieszczęśliwej pamięci przez samowolną winę niesfornych włóczęgów, nie chcących ani w porządku czekać, ani w porządku przechodzić przez mosty, co ich klęski było przyczyną, — albowiem pod militarnym względem, tej przeprawy nie można było nazywać nieszczęsną, lecz przeciwie nadspodziewanie pomyślną i nader umiejętnie uzyskaną.

Cała ta kampania nosiła w sobie zaród niepowodzenia; najprzód, jak już w ostatnich wspomnieniach naszych o Hiszpanii powiedzieliśmy, z przyczyny niesprawiedliwie i niepolitycznie przedsięwziętej i niedokończonej wojny na półwyspie portugalskim i hiszpańskim, a rozpoczętej zawcześnie wojnie północnej, nie zapewniwszy sobie Turcyi i Szwecyi, z wojskiem nader licznem, ale rekrutami przepełnionem i z różnych narodowości złożonem, które w sobie przynosiło z daleka zaród niemocy, niesforności; co innego było jenerałowi Bonaparte

z małemi siłami wojować w krajach włoskich, ludnych i zamożnych; co innego z wojskami licznemi cesarzowi zwyciężać bitwami stanowczemi w Niemczech: a co innego zdobywać Polskę na Rosyi, ustępującej bez bitwy, z zamiarem bronienia się do ostatniego, w krajach bezludnych i klimacie nieznanym, albo raczej tak przez mocarza zapoznanym, jak był zapoznał narodowość hiszpańską. — Wszystkie te okoliczności umiejętnie i stanowczo rozwinął historyk Thiers; do niego odsyłamy naszych czytelników, założywszy sobie — jak powtarzamy — nie pisać historyi wojny rosyjskiej, ale tylko wspomnienie o naszym pułku. W skutku więc tych niespodziewanych klęsk, postanowił Napoleon udać się jak najprędzej do Paryża, by nie popaść w jeństwo Alexandra, albo nie stradać razem z wojskiem, tak mozolnie a niegruntownie przysposobionego sobie cesarstwa.

Marsz naszego pułku przez Zembin, Mołodeczno do Smorgoni, był coraz znośniejszy. Porządek, duch i język, ułatwiały nam stosunki w kraju bratnim, a zima, choć ostra, nie miała dla nas nic zadziwiającego, dla nas, cośmy sobie za wzór stawiali, wojny naszych Batorych, Zamojskich i Chodkiewiczów . . . Zwyczajem naszym, zwłaszcza w marszu wieczornym lub mroźnym, kiedy dla ulgi koniom, albo dla zagrzania ludzi, lub też dla chronienia ich od ospałości na koniach, szliśmy pieszo prowadząc za sobą konie, było, śpiewać marszowe pieśni a najwięcej krakowiaki; jest to albowiem powinnością oficerów, utrzymywać podkomendnych w duchu wesołości i ufności. Pewnego dnia gdyśmy tak szli przez poleku noclegowi w jakiejś wsi, a głośny krakowiak rozlegał się po śniegu, słyszymy z daleka głos polski nawołujący: kto to maszeruje? Na odpowiedź rezolutną, że to 1sza kompania mego dowództwa, zjawia się mój powinowaty Jan Załuski [1]) oficer artyleryi polskiej, i przybywa z zadziwieniem naszego dobrego humoru... przyjął moję gościnność przez parę dni, ale obowiązek służby odwołał go od nas... gdyby był z nami pozostał,

[1]) Syn Wincentego z Wodyń.

możeby zbyteczne trudy wojenne nie były go pozbawiły życia za powrotem do kraju. Ale nietylko my Polacy znosiliśmy z wytrwałością trudy wojenne, ale i Francuzi weterani znosili te trudy, nie mając je za nadzwyczajne na wojnie; maszerowałem nieraz obok znajomych szaserów, nie cieplej przyodzianych jak we Francyi, zadziwiających nawet wytrwałością, i cierpiących tylko na poniżenie armii i jej rozprężenie; a że to nie było nic tak nadzwyczajnego, przytoczymy z p. Segura przykład jenerała Narbonne, byłego ministra wojny za Ludwika XVI, który codziennie siedząc na przeddachu lub ławie kazał się fryzować i pudrować; przy tem zatrudnieniu bawił obecnych swojemi żartami i dowcipem; a który jak mówi Gourgaud: *fit la campagne de Russie avec l' activité et l' ardeur d' un jeune homme,* który odbywał tę wojnę z czynnością i zapałem młodego człowieka.

Dnia 5go grudnia byłem w szwadronie służbowym przy Napoleonie pod dowództwem szefa Szeptyckiego. Biwak nasz był między parkanem a wrotami otworzonemi, stanowiącemi trójkąt z parkanem; ognisko przed nami. Był przy mnie porucznik Adam Załuski należący do kompanii Jankowskiego, który prowadził z Zielonką kolumnę ludzi bezkonnych, — zażywaliśmy posiłku dostatecznego, tak dalece, że był i plaster miodu na wety — godzina była późna — wtem dają nam znać, żeby szwadron wsiadał na koń. Mniemając że się gdzie pokazali Kozacy, namówiłem Załuskiego żeby — jako nie będący na służbie — nie siadał z nami na koń, i pozostał z porucznikiem Zawadzkim, którego zostawiłem z częścią kompanii mniej zdolną do nowej wyprawy. Zbiera się więc szwadron i każą nam iść na dziedziniec pałacu, czyli raczej obszernego staroświeckiego drewnianego dworu, — zastajemy już prawe skrzydło podwórza zajęte przez szwadron strzelców konnych gwardyi; formujemy się więc na lewo, ciekawi co to będzie? Zajeżdżają dwie karety latarniami oświetlone, wychodzi cesarz na ganek domu, otoczony wielu osobami i wsiada do jednego pojazdu, kilka osób do drugiego. Strzelcy konne puszczają się w drogę przodem, nasz szwadron za pojazdami kłusem, i tak kłusując pędzimy aż do sta-

cyi ku Oszmianie, na której nas obluzowali lansyery gwardyi holenderskiej. Pan jenerał Segur, który codziennie widywał Wąsowicza i znał go pierwej i później, tak referuje o towarzyszach podróży Napoleona: *Lui et Caulincourt s' enfermèrent dans une voiture; son Mamelouck et Wukasowitch* [1]) *capitaine de la garde, en occupaient le siége, Duroc et Lobau le suivirent dans un traineau.*— On i Caulincourt zamknęli się w karecie, jego Mameluk i kapitan Wukasowitsch zajęli miejsce na koźle, Duroc i Lobau pojechali za nim w saniach. Thiers dodaje jeszcze: *Gener. Lefebre des Nouettes.* Czy za karetą Napoleona były sanie, czy druga kareta, jak ja podaję, nie chcę się sprzeczać, i ta okoliczność jest obojętną. Jakkolwiek cały sztab cesarski pochwalał jego odjazd, i król neapolitański ulubieniec walecznych objął dowództwo z pomocą majora jeneralnego Berthier, oraz wicekróla włoskiego i tylu obecnych marszałków, . . . nieporządek zakorzeniony wzmógł się jeszcze po odjeździe cesarza; codziennie doznawaliśmy sporów i sprzeczek z oficerami francuskimi wyższych stopni, nie mogących pojąć, żeby był jeszcze pułk wysyłający furyerów za kwaterami . . . czego my nigdy nie zaniedbaliśmy od Moskwy, bo tak chce służba i porządek . . . Jednego wieczora ja nie mogąc moich koni własnych pomieścić, mimo zapowiedzenia mego furyera, pozwoliłem sobie usunąć konie zawadzające, które należały do oficera francuskiego od dragonów; pan oficer przybiega obrażony i wyzywa mnie na pojedynek, (noc była, mróz i śnieg biały jaśniał pod blaskiem księżyca). Wzywam Macieja Mierzejewskiego na sekundanta, przeciwnik ma swego, dobywamy pałaszy, składamy się . . . Wtem Mierzejewski coś do mnie przemawia i nazwisko moje wymienia.... Mój antagonista słysząc moje nazwisko, zawołuje: Wmpan się nazywasz Załuski? . . . ja się z wmp. bić nie mogę.. i mówi dalej: Ja teraz wmpana poznaję, byłem u niego w Warszawie, z listem od jego stryja z Gostkowa gdzie-

[1]) Wukasowitsch, nazwisko Francuzom znane, bo takie nosił w kampaniach z Bonapartem jenerał korpusowy austryacki.

tyle doznałem przysługi i t. p. I tak, niewczesna walka zamieniła się w traktat przyjazny i nocleg wspólny.

W parę dni po owem nocnem eskortowaniu Napoleona ze Smorgoni, złączył się ze mną Zawadzki .... bez Adama Załuskiego! Biedny, zbyt do mnie przywiązany, padł ofiarą dla mnie — pomimo próśb i perswazyi doświadczonego Zawadzkiego, oddalił się od niego, chcąc mi się przysłużyć jakim lepszym kąskiem ... i został przez kozaków schwytany, czy zabity, nigdy pewności o tem nie było, doszła jednak wieść, że umarł w szpitalu w Mińsku ... Można sobie wystawić, ile ten wypadek przyczynił się do smutku, jakim mnie obarczał zawód wszelkich nadziei ... Pod Oszmianą spotkaliśmy się z pułkownikiem Stokowskim dowódcą pułku ułanów nadwiślańskich z Hiszpanii przybywającego, którzy eskortowali Napoleona w okolicy Oszmiany, gdzie kozacy byli bardzo blisko cesarza, o którym jednak wiedzieć nie mogli. Bliżej jeszcze Wilna, spotkaliśmy się i złączyli z szwadronem naszym 5ym nowo uformowanym i przybywającym z Gdańska pod dowództwem szefa Fredry; tam był kapitanem kolega Wincenty Mikułowski. Szwadron ten eskortował także Napoleona, ale że wybrany w paradzie i złożony z młodych ludzi jeszcze niedoświadczonych, dużo ucierpiał, był to albowiem mróz największy, jakiego doznaliśmy, 22 stopni Réaumura. Doktor nasz, nieoszacowany baron Girardot miał ciągle termometr przy sobie, prawie zawsze obok mnie maszerował, i codziennie oba na termometr patrzyliśmy. P. Thiers pisze o 30° mrozu; nie wiem wiele podawał stopni zasłużony i światły przyjaciel naszego pułku i naszych lekarzy, Dr. Larrey, który także termometr nosił przy sobie; ale to wiem, że w naszych polskich krajach, nie bywa mrozu nad 24 do 25°, i że na 30°, nawet w Petersburgu mróz nie bywa, albo kiedy się zdarza, wszelkie czynności ludzi ustają. Francuzi a mianowicie p. Thiers lubią przesadzić. Zdaje się że 22° mrozu, dla biwakujących, głodnych, źle odzianych i niesbałych o siebie, jest zimnem zabójczém ... ale nie jest takiem, żeby przy zachowanych przezornościach nie mógł odbywać zimowej kampanii; w czasie wojny pruskiéj

z r. 1806 na 7my, były takie same w okolicy Gdańska i Eylau a może i tęższe mrozy.

Nakoniec więc 9go grudnia zbliżaliśmy się do Wilna; już tu w naszej młodej a polskiej wyobraźni nie mogło się pomieścić, żebyśmy się nie mieli zatrzymać. W rzeczy samej, gdyby tak francuscy dowódzcy jako też i urzędnicy polscy, byli dopełnili swoich obowiązków, nie mogło było uledz wątpliwości, że armia w Wilnie zajmie zimowe leże . . . Przybywszy więc do stolicy Litwy, udałem się do łazienek, a oczyściwszy się należycie z pyłu marszowego, ubrałem się od stóp do głów w mundur nowy paryski, od owej przeprawy przez Niemen i Wilią, prócz może jednego razu w Moskwie, nie używany . . . Tak wystrojony wyszedłem na miasto szukać znajomych i szerzyć ducha wytrwałości; wielu napotkałem przyjaciół którzy mnie unikali, częścią ze wstydu, częścią z zazdrości dla gwardyi Napoleona, sądząc, że my winniśmy byli faworowi a nie własnemu staraniu, żeśmy mniej cierpieli niedostatku od tych, co się zaniedbali . . .

Gdy tak rozpatruję w tłumach snujących się po ulicach, wezwany zostaję do oficera płatnika, który nalega na mnie, żebym podnosił wszystkie moje zaległości, i chce mi je wypłacać w talarach holenderskich Albertusami zwanych . . . Ja pytam się dla czego tak nagli?.... On odpowiada, że Wilno będziemy ewakuować . . . bolesne z mojej strony zadziwienie! Ledwie się uprosiłem, żeby mi nie dawał srebrem ciężaru, bo by mi konia odpsuł — Jak tylko ztamtąd wróciłem, trąbią u nas na koń; składam mundur świeży, przywdziewam marszowy, z kożuchem i płaszczem, i staję na zbiorowisku . . . Dowiaduję się, że król Murat chce ruszać i nas z sobą bierze . . . Tak więc i tu w Wilnie, ostatnie nasze nadzieje spełzły, i musieliśmy wędrować za Niemen, a może i i dalej; nie mógłem tego pojmować, ale bo któż mógł wtenczas przewidzieć odstępstwo Prusaków i inne obroty wójsk od nas oddzielonych! Owo zgoła, zadziwieni, zmartwieni, musieliśmy pod wieczór na całą noc opuszczać to Wilno, do któregośmy z daleka tyle nadziei przywięzywali. Pomijam trudności jakich doznały armaty, bagaże, skarb Napoleona i t. p. pod ponarskiemi pagórkami;

słyszałem jakoby jenerał Krasiński i część pułku naszego brała była chwalebny udział w ratowaniu części skarbu . . . ale że ja się na to nie patrzyłem, i zawsze jako komendant 1ej kompanii prosto nie zatrzymując się naprzód maszerowałem, więc nic o górach ponarskich nie wzmiankuję, jak tylko, że ja z moim oddziałem przebyłem je tak łatwo, jak każdą inną przeprawę; co i dalej aż do okolic Kowna nie było inaczej . . . Wszakże będąc już w pobliżu Kowna, zameldowałem się szefowi Jerzmanowskiemu, że mam klacz na 3 nogi rozkutą od owej eskorty cesarza ze Smorgoni, i że proszę o pozwolenie jechania do Kowna naprzód, żeby tam klacz moją okuć. Nie odmówił mi tego Jerzmanowski, a ja wziąłem z sobą trębacza dobrze w Kownie zaznajomionego właśnie z kowalem; jakoż u tego wychowańca Tubalkaina, nietylkom klacz doskonale na 4 nogi okuł, ale dostąpiłem rosołu, pożywienia zdrowego i gościnnego noclegu, atoli nie bez nacisku różnego stopnia wojskowych, których mój trębacz odganiał z rzadkim przemysłem. Taki był mój nocleg na ustroniu od pułku, ale ranek nazajutrz był okropny. Zerwawszy się przededniem z kowalskiego łoża, nie mogłem wyjechać konno na rynek, bo cały był zasłany żołnierzami; gdy zsiadłem z konia i rozpatrzyłem się, poznałem że to byli ludzie częścią już zmarzli, częścią upojeni rumem; nędznicy byli rozbili magazyn rumu, z wielkim kosztem przez Napoleona sprowadzony . . . Kowno nie mogło być bronione tylko w razie gdyby król Joachim był się zatrzymał na linii Niemna; lecz ponieważ ta rzeka była zamarzła, więc i ta ostatnia nadzieja nasza zawiodła! Musiano więc porzucić, albo rozerwać te zapasy, które w znacznej ilości i z wielkiem staraniem były nagromadzone; uchwalono zatem, że ztąd, korpusy wójsk w różne miejsca wezmą kierunek, Polacy do Warszawy, a gwardye ku Królewcowi. — Następującego wieczora nasz pułk przeszedł Niemen, nocowaliśmy już w księstwie warszawskiem. Ja który byłem przebył tę rzekę w 4 konie, wracałem w pięć... czemuż wszystka jazda nie odbyła tej wojny w takiej proporcyi! Ale mnie czekało na granicy nieprzyjemne zdarzenie; w pierwszej nocy na prawym brze-

Niemna, oberżnięto mi mantelzak z owym mundurem, którym byłem się przed kilku dniami świecił po Wilnie; szkoda ta nie była mi wyrządzona przez kozaków, którzy nas unikali, — może nawet przez ziomka. . . .

Ostatki komendy króla neapolitańskiego zebrały się dnia 15go grudnia w Wierzbołowie. P. Thiers pisze o tem: *à dater de ce moment il n' y avait plus un seul corps d' armée.* — Tom XIV str. 668, *et la retraite s'acheva par petites bandes, fuyant à travers les plaines glacées de la Pologne devant les dernières courses des Cosaques.*"

Od tej chwili nie było już żadnego korpusu armii, i rejterada odbyła się małemi kupkami, uciekając przez lodowate równiny Polski, przed ostatniemi zapędami Kozaków.

Inaczej się wyraża jenerał Gourgaud str. 281: „*Troupes qui ont repassé le Niemen à Kowno, à l' epoque du 15 Decembre . . . 36,000 hommes, corps Polonais aux ordres du Prince Poniatowski 20,000* [1]). *Quand au corps de la Garde, a l' époque de la réunion (le 15 decembre) à Wirballen où elle sejourna le 16, elle était nombreuse de trente mille hommes. Dans la cavalerie, le regm. de chevaux-legers Polonais comptait seul un effectif de 412 hommes, et plus de 200 chevaux, tous très bons et de service . . . un grand nombre d' hommes du regmnt ayant perdu leurs chevaux s' etaient dirigés pendant la retraite, à travers les bois de Lithuanie sur Varsovie, ou ils arriverent protégés autant par les habitans, que par la connaissance de la langue du pays.*"

„Wojska jakie wróciły z za Niemna z pod Kowna z dniem 15 grudnia . . . 36,000 ludzi, korpus polski pod dowództwem księcia Poniatowskiego 20,000. Co się tyczy gwardyi, w czasie połączenia jej dnia 15go gru-

---

[1]) *Le prince Poniatowski est arrivé à Varsovie le 25 Décembre ramenant 30 pièces de canon avec son corps d' armée. Manuscript de 1813 par le baron Fain.* Tom 1 pag. 30.

Książę Poniatowski stanął w Warszawie dnia 25go grudnia, przyprowadzając z sobą i z korpusem swoim armat 30. Rękopis o roku 1813 przez barona Fain tom 1 str. 30.

dnia w Wierzbołowie, gdzie wypoczęła przez dzień szesnasty, była jeszcze liczną zwłaszcza w ludzi, — w jeździe sam pułk lekkokonny polski, liczył obecnych 412 ludzi i więcej jak 200 koni, wszystko w dobrym stanie i zdolne do służby. Wielka część tego pułku straciwszy konie, udała się przez lasy litewskie ku Warszawie, gdzie stanęli tak pod opieką ludności jak i mowy ojczystej."

Nie odrzeczy będzie porównać z tymi autorami francuskimi, angielskiego Wilsona, który mówi w *tableau de la puissance Russe: „il y avàit à cette époque dans l' armée d' Alexandre, plusieurs compagnies sans un seul homme, et un grand nombre de bataillons, qui n' en avaient pas cinquante."*

Angielczyk Wilson mówi w obrazie: o potędze Rosyi: Były w owym czasie w armii Alexandra kompanie bez jednego człowieka, a wielka ilość batalionów, co nie miały 50 ludzi.

I niemieckiego autora, ogłaszającego w Wejmar, że Moskalów nie doszło do Prus tylko 20,000, a że w Kaliszu nie zebrało ich się jeszcze tylko 30,000.

Niechże więc potomkowie owych rodaków co odbyli wyprawę do Moskwy, czerpią tę pociechę, że gdyby wszystkie wojska Napoleona były się tak w karności i porządku utrzymały jak my Polacy, mógł był zatrzymać pod Smoleńskiem, a gdyby był chciał, i pod Dorogobużem, cały nawał wójsk rosyjskich, które niewiele straszniejsze było dla nas (prócz licznej artyleryi) jak dla Czarnieckich, Lubomirskich i Potockich pod Połonką i Cudnowem. — Ale i tu względem naszego pułku pp. Thiers i Gourgaud, oba się mylą — pierwszy nieobecny, swym zwyczajem ignoruje, żeby nawet był jaki szczątek gwardyi polskiej lansyerów polskich gwardyi.... zaś jenerał Gourgaud myli się oczywiście, kiedy nam pod Wierzbołowem przypisuje tylko 200 koni... wszak niedaleko Wilna nadszedł nam 5ty szwadron Seweryna Fredra . . . więc 250 koni; możemy zatem śmiało twierdzić, że nas było jeszcze przeszło 400 koni, to jest konnych.

Jakoż, kiedy więcej z moralnego zmartwienia jak z fizycznych cierpień zasłabłem w Prusiech koło Gum-

bina, przyszedł do mnie na kwaterę szef ukochany Jerzmanowski pytając mnie, czy będę mógł należeć do tylnej straży (aryergardy) armii, którą on obejmuje? Odrzekłem, że z żalem wątpię, bo się czuję mocno słabym; jakoż moi masztalerze nabywszy gdzieś małe sanki, z moich 5 koni zaprzęgli dwa do nich, i Bartłomiej mój Warszawianin podjął się być woźnicą; zaś mój Jędrzej Iwończanin, wiódł trzy konie lepsze wierzchowe. Z tej szlichtady iwprowizowanej to się stało, żem przyjechał na kwaterę do Amtu pod Insterburgiem, kilka razy do śniegu wywrócony i w wysokim stopniu przeziębiony — wchodzę do dużego pokoju zaludnionego przez damy i ichmościów, ma się rozumieć Prusaków; widząc zgromadzenie wykształcone, chcę do niego coś przemówić . . . a ja niemy! usiłuję się odezwać . . . niepodobna . . . ja się trwożę . . . zgromadzenie się trwoży . . . Damy się pytają czy nie chcę czego rozgrzewającego . . . kawy? Odpowiadam skinieniem że proszę . . . siadam . . . istotnie pokrzepiwszy się czyli rozgrzawszy trochę czarną kawą, odzyskałem głos . . . można sobie wyobrazić mą radość... ale całą gościnność gospodarstwa skierowałem do tego, żeby mi jak najprędzej dano osobny pokój i łóżko w którebym się mógł położyć. Wieczorem gospodarz przybył do mnie: „Jak widzę pan jesteś dużo słaby, niech pan zostanie w moim domu, będę miał o nim największe staranie, pan nie możesz narazić się na marsz dalszy bez wyraźnego niebezpieczeństwa.“ Podziękowałem z czułością, bom widział człowieka światłego i nieobłudnego... ale odrzekłem, że pomimo jego najszlachetniejszych chęci musiałbym z czasem stać się jeńcem wojennym . . . że więc nie przyjmuję jego gościnnej ofiary i spuszczam się na łaskę Opatrzności. Wkrótce potem nawiedził mnie Wincenty Dobiecki jadący za kwaterami; prosiłem go tylko, żeby zawiadomił doktora Girardota o moim stanie i że pragnę spotkać się z nim. — Następnie zapadłem w taką niemoc, że ani wątpiłem o nadejściu chwili śmierci, byłem gotów i zrezygnowany, nie pierwszy raz i nieostatni [1]).

[1]) Trzykroć, czterykroć błogi zgon tych polskich synów, co polegli na polach ojczystych wawrzynów, co nieschylonych karków nie dali w poddaństwo . . .

Nazajutrz, o koniach chłopskich, dostałem się do Wielawy; tu złączył się zemną Dr. Girardot i na saniach jechał ciągle już zemną; nie odzyskałem przytomności aż w Elblągu, ztąd już na bryczkach odwiózł mnie Girardot aż do Bydgoszczy, gdzie z jenerałem Krasińskim razem chorowałem i do konwalescencyi przychodziłem, w kwaterze komendanta placu pułkownika Bardzkiego... Z Bydgoszczy, urlopem od marszałka Bessières opatrzony, udałem się do Warszawy, ztamtąd przez Kraków do Galicyi, gdzie zaopatrzywszy się w świeże konie, udałem się przed wiosną nad Ren, ale to już należy do roku 1813.

Tymczasem kolega mój Wincenty Mikułowski według swoich notat mnie udzielonych, złączył się z aryergardą Jerzmanowskiego pod Friedberg czyli pod Friedland, co jest prawie jedno — i potwierdził mi szczegóły tej pamiętnej tylnej straży, która od tych miejsc trwała nieprzerwanie aż do Elby. Pułkownik Jerzmanowski wiedząc jako weteran, że żaden żołnierz a tem samem kawalerzysta, nie może służby swej pełnić a zatem i walczyć, tylko tyle, ile jego komendanci dostarczają mu sposobności utrzymania sił fizycznych, a zapatrując się na klęski armii francuskiej z przyczyny zaniedbania przez starszych staranności o los podkomendnych, postanowił nocowywać we wsiach porządnych, wśród ilości nieprzyjaciela, to jest kozaczyzny lub innej jazdy... Zatarasował przystępy do wsi, i opatrywał je strażą z karabinkami, a zwracał wszelkie staranie, żeby konie przedewszystkiem miały strawę, a ludzie posiłek i wypoczynek. Po takim noclegu, z rana, sformowawszy oddział swój na koniu, wypadł ze wsi natarczywie na straż nieprzyjacielską, i przebiwszy się przez nią, cofał się za piechotą armii swojej, flankierując, i ucierając się z jazdą przeciwną. Gorliwość Jerzmanowskiego dochodziła do tego stopnia, że jeżeli się zdarzyło, iż w tych codziennych utarczkach tylnej straży, szwoleżer, jaki przedmiot mundurowy utracił, np. że mu czapka spadła, formowano szwadron i robiono szarżę dla odzyskania straconego przedmiotu, żeby się nieprzyjaciel tym jakoby trofeem poszczycić nie mógł. Ten sposób jędrnej rejterady ta-

ki miał skutek, że kozacy przestali dokuczać mężnym, od których zawsze bywali gromieni, i przednia straż rosyjska postępowała za naszą tylną strażą w rodzaju porozumienia, żeby się nawzajem bezowocnie nie niszczyć; tak więc nasz pułk zakrywał ostateczną kolumnę armii francuskiej aż do Elby, i kiedy Napoleon przybył z Francyi, książę Eugeniusz, który od 16go stycznia 1813 r. objął był komendę, przedstawił mu pułkownika Jerzmanowskiego, jako oficera nadzwyczajnego odznaczenia, któremu winien jest wiele, a szczególnie honoru armii.

Pisałem w miesiącu lutym 1860 r. w Krakowie.

WSPOMNIENIE VII I OSTATNIE

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA PIERWSZEGO,

w latach 1813 i 1814.

Od chwili kiedym podał do druku wspomnienie moje szóste o bolesno pamiętnym roku 1812, dowiedziałem się od dawnego dowódzcy mego, jenerała Chłapowskiego, że się zajmuje wydaniem historyi naszego pułku, w języku francuskim, napisanej przez niegdy organizatora polskiej gwardyi, jenerała Dautancourt; o którem to dziele kilkakrotnie w wspomnieniach naszych wzmiankowaliśmy, a którego wydanie zawdzięcza naród polski ostatniej woli nieodżałowanego Zygmunta Krasińskiego, uważającego się za dziecię rzeczonego pułku. — Wielce nas pociesza ta wiadomość, gdy to dzieło autora cudzoziemca, poda Europie szczegółową pamięć o poświęceniu młodzieży z całego obszaru dawnej Polski, i uzupełni to, czego nie wyraziliśmy w kilkokrotnych naszych wspomnieniach, mianowicie w pierwszem. Jenerał Chłapowski z pod Poznania, a były szef szwadronu gwar-

byi Wincenty Dobiecki z pod Warszawy, dostarczyli mi uprzejmie wiadomości, o zaszłych w pułku zdarzeniach od końca kampanii rosyjskiej, aż do bitwy pod Lützen włącznie; przez który przeciąg czasu — jak to już w ostatniem mojem wspomnieniu umieściłem, dla ciężkiej choroby, nie byłem w pułku obecny.

Nie powtarzam tu imion innych kolegów, których przypomnień już nieraz użyłem, alę w ciągu opowiadania przytoczę każdego nazwisko i zdanie według okoliczności.— W ciągu składania niniejszego artykułu, dało mi się czytać dwa dzieła o wojnie r. 1813, jenerała Sokolnickiego: *„Journal historique des operations militaires de la 7 division de cavalerie legère Polonaise. Paris 1814, imprimerie Baillent rue Ste Anne.* Nr. 71 — i w Bibliotece warszawskiej, z lat 1841 i 1844 opisy przez pułkownika Tadeusza Wyleżyńskiego, bitew pod Lipskiem, pod Hanau, a dopiero później początek o bitwach pod Lützen i Bautzen; atoli śmierć zaskoczyła zacnego Wyleżyńskiego w samem rozpoczęciu tej księgi.

Szczegóły pisma jenerała Sokolnickiego, jednego z najzdolniejszych naszych jenerałów, nie mogą być tylko ciekawe, lecz do szczegółów w naszym pułku gwardyi polskiej mało ściągające się; zaś chwalebne pisma Tadeusza Wyleżyńskiego, bardzo mało o pułku, ale wiele i w sposobie nauczającym o tej pamiętnej wojnie donoszą; ośmielamy się jednak wnosić, że szanowny autor, nie jako wszędzie widz przytomny, ale z pism zagranicznych, dla nauki ziomków, te obrazy wielkiej wojny czerpał. Niewiadomo nam, czy nie zostawił Wyleżyński dalszych pism pośmiertnych, a pamiętniki jego z lat 1830 i 31 byłyby najciekawsze. — W czasie i miejscu właściwych, nie omieszkamy podać ziomkom, cośmy z tej epoki, z własnych ust Wyleżyńskiego słyszeli.

Szukaliśmy jeszcze w cmentarzu Powązkowskim K. W. Wojcickiego objaśnień w niektórych szczegółach wątpliwych tych pamiętnych wojen, ale nie znaleźliśmy takowych dostatecznie; wszakże wzmianki nasze w swoich miejscach umieszczone, posłużą może komu z żyjących wojskowych do uzupełnienia wiadomości ciekawych

i zaszczytnych, których my dotąd dokładnie powziąść nie zdołaliśmy.

Niedawno doszła nas smutna wiadomość o zgonie szanownego kolegi byłego kapitana Wincentego Tedwena; nie mamy dotąd żadnych szczegółów o jego śmierci, tylę więc tylko możemy tu zamieścić, że był to jeden z najwaleczniejszych oficerów pułku i jeden z bohaterów Somo-Sierry; lubo nie w tak przesadnym stopniu pochwały czyli chwalby, jak to niektórzy przyjaciele nieboszczyków Romera i Tedwena do druku podali, a które przechwałki wywołały między innemi przyczynami, pierwszy artykuł nasz w r. 1856.

Oddawszy należytą cześć nadziei dzieła Dautankurowskiego i pamięci zacnego kolegi Tedwena, przystępujemy do skreślenia epoki, z początku pocieszającej, a później z zadziwiającym pędem pogrążającej wszelkie nasze oczekiwania.

Zaczynamy więc:

Pożegnawszy się z dowódzcą pułku w Bydgoszczy,— jak to wyrzekliśmy przy końcu wspomnienia z r. 1812, udałem się swojemi końmi, powolnemi stacyami do Warszawy, jadąc najwięcej wzdłuż lewego brzegu Wisły, nie bez obawy dostania się w ręce jakiego podjazdu kozackiego, ale razem trzymając się brzegu Wisły, dla powzięcia każdodziennie wiadomości o przeprawiających się oddziałach Rosyan. Przybywszy nakoniec do Warszawy, do mieszkania powinowatego i przyjaciela mego Jana Kantego de Rivière Załuskiego prezesa sądu apelacyjnego, przy ulicy śto Jerskiej na drugiem piętrze mieszkającego, nie byłem w stanie wydobyć się na wschody, i dwóch ludzi musiało mnie dźwigać ująwszy pod pachy. Parę tygodni pobytu mego w Warszawie poświęcałem staraniu o moje zdrowie, które za pomocą Dra Kinzla dawnego legionisty, wkrótce odzyskałem.

Były w stolicy oddziały obu pułków gwardyi polskiej, naszego pod dowództwem szefa szwadronu Roztworowskiego, litewskiego zaś pod szefem szwadronu Ambrożym Skarżyńskim; ale wkrótce te zakłady udały się do Krakowa, gdzie pod komendą grosmajora naszego Kozietulskiego, połączyły się, czyli raczej, że ostatki pułku litewskiej gwardyi wcielone zostały do naszego.

Co do mnie, przyszedłszy do sił i zaopatrzywszy mój urlop marszałka Bessières, podpisem księcia Schwarzenberga, przyszłego feldmarszałka austryackiego, udałem się pocztą do Krakowa. Po drodze trafiłem na osobliwsze zdarzenie w Żarnowcu, że tam poseł amerykański do Napoleona wysłany, pochowany został! Nie zanotowałem sobie jego nazwiska, i nie wiem, czy później rzadkie te zwłoki nie zostały zabrane z Żarnowca?

Z Krakowa udałem się do Galicyi do Iwonicza, gdzie zajmowałem się kupnem koni wierzchowych dla siebie, a udawszy się do Lwowa meldowałem się u gubernatora podobno grafa Goës, i u konsula francuskiego, a wróciwszy ze Lwowa opatrzony paszportami, wybrałem się bryczką własnemi końmi w marsz przez Szląsk cesarski, Morawę, Czechy i Bawaryą. Oprócz paszportu wojskowego, miałem i cywilny, będąc ubrany incognito, wiedziałem albowiem, że te kraje nie sprzyjały sprawie Napoleona. W Czechach brano mnie za koniuszego wielkiej księżnej oldenburgskiej Katarzyny, siostry imperatora Alexandra, późniejszej królowej wirtemberskiej. Nie przeczyłem temu mniemaniu, przejeżdżając przez miejsca gęsto zajmowane wojskami austryackiemi, już widocznie ściągającemi się ku granicom saskim z chęcią wojny koalicyjnej.

Doznawszy różnych, nawet najobelżywszych formalności w przejeździe moim przez Galicyą, z zadziwieniem postrzegłem, zacząwszy już od Bielska na Szląsku a dalej w Morawie, a zwłaszcza w Czechach, wcale innego, grzecznego, uprzejmego obejścia się władz rządowych; zdawałoby się, że Galicya, i te kraje dawniejsze monarchii, nie zostają pod jednym rządem. Takiego samego wrażenia doświadczałem później w podróżach moich przez kraje pruskie i rosyjskie; w. ks. poznańskie i prowincya Litwy i Rusi doznawały obejścia się krajów podbitych, kiedy w Szląsku pruskim, Brandeburgii, i w krajach starej Moskwy, obchodzenie było łagodne i porządkowe. Odbywałem te podróże w różnych czasach, już po traktacie wiedeńskim roku 1815. Jakież to pasmo uwag bolesnych dla Polaka! dodawszy jeszcze uwagę,

że te wszystkie późniejsze podróże odbywałem w charakterze pułkownika adjutanta imperatorów Alexandra i Mikołaja... ale w mundurze polskim — *inde irae* — o czem, jeżeli Bóg dobrotliwy użyczy sił i wzroku, nie jedno ciekawe wspomnienie zostawię ziomkom, lecz teraz wracajmy do naszego przedmiotu.

Zwiedziwszy Pragę po raz pierwszy w życiu, udałem się na Pilzno, Klattau i góry do Bawaryi. Tu przywdziałem mundur i kierowałem się przez Bamberg, Schmalkalden do Erfurtu, gdzie natrafiłem na oddział nasz pod dowództwem szefa szwadronu Seweryna Fredry, a to nazajutrz po walnej bitwie stoczonej dod Lützen dnia 2go maja; tu się dowiedziałem, że podług nowej reorganizacyi pułku, dostałem kompanią 3 w szwadronie 3.

Według wiadomości dostarczonych mi przez jenerała Chłapowskiego, byłego wówczas najstarszego szefa szwadronu i przez pułkownika Mikułowskiego walczącego w tylnej straży pod szefem szwadronu Jerzmanowskim, vice-król ks. Eugeniusz cofał się na Berlin, ostatnią utarczkę szwadrony Jerzmanowskiego miały blisko Berlina pod Köpnik, gdzie się jak wszędzie i zawsze odznaczyły; z Berlina cofał się vice-król na Magdeburg, gdzie cofanie się i następowanie nieprzyjaciół całkiem ustały. — Część pułku co była w tym odwrocie i zdolna była do boju, przepędziła resztę zimy w Grimma, o trzy mile od Lipska, a na wiosnę udały się te szwadrony do Hanau, a tam i w Frankfurcie nad Menem kompletowały się, zwłaszcza co do koni; — w połowie kwietnia, zostawując główny zakład w Friedenberg w pobliżu Frankfurtu, pod dowództwem jenerała Dautancourt, część czynna pułku w liczbie 450 koni udała się pod dowództwem jenerała Krasińskiego, to jest dwa szwadrony prowadzone przez szefa Chłapowskiego, a dwa przez szefa Jerzmanowskiego, przez Fuldę do Wejmaru, gdzie cesarz Napoleon stanął na czele armii. Te 450 koni składały się z żołnierzy doświadczonych w kampaniach hiszpańskich, naddunajskiej i moskiewskiej, ale konie w znacznej części nie były polskie, lecz skupowane w okolicach Renu, zatem mniej lekkie i zwrotne od polskich.

„Dnia 1go maja — mówi jenerał Chłapowski — spotkano się z nieprzyjacielem; jeden szwadron został wysłany w straży marszałka Bessières ks. Istryi dla rozpoznania pagórka zajętego przez nieprzyjaciela pod Weissenfels; padło trzy wystrzały armatnie z tej pozycyi, jeden z nich trafił marszałka śmiertelnie znajdującego się przed frontem szwadronu z perspektywką w dłoni; ta sama kula trafiła także śmiertelnie wachmistrza Jordana, zajmującego prawe skrzydło szwadronu.“

Marszałek Bessières był wielkim opiekunem naszego pułku i od tegoż powszechnie kochany i żałowany; Jordan był młodzieńcem odznaczonym dzielnością i dobrą konduitą. P. Thiers zwyczajem swoim, żadnej nie czyniąc wzmianki o towarzyszach śmierci Bessièra, opisuje to zdarzenie z właściwym sobie talentem, i wspomina, że Napoleon kazał marszałkowi pomnik wystawić . . . Dla tego o tem nadmieniamy, żeby ziomkowie podróżni mogli sprawdzić, czy tam się znajduje pomnik Bessièra? i uczcić pamięć tego przyjaciela Polaków.

Ważną, bardzo ważną była bitwa pod Lützen zwana; słusznie p. Thiers mówi o niej: „Jeżeli Prusakom zależało przywrócić wielkość swego państwa, równie naszych jenerałów, naszych oficerów zajmowało przywrócenie wielkości naszej ojczyzny.“ Istotnie od skutku tej bitwy zawisł był los dwuletniej wojny; dla tego nie bywszy świadkiem tego ważnego i świetnego dla młodzieży francuskiej boju, zatrzymamy się przy tej bitwie dłużej, cytując notaty naszych dwóch korespondentów, naocznych świadków, nie rozbierając już, jak dalece się między sobą różnią, i zgadzają lub nie, z poszczególnym i wymownym opisem p. Thiersa.

Oto są słowa jenerała Chłapowskiego: „Nazajutrz (to jest dnia 2 maja) odbyła się batalia pod Lützen; od rana 4 pułki jazdy gwardyi, stanowiąc razem 1500 koni, użyte zostały pod rozkazami jenerała Lefevre des Nouettes, a w ich liczbie pułk ułanów polskich pod dowództwem majora swego ks. Dominika Radziwiłła. Wszystkie te 4 pułki uszykowane zostały w linii przed wsią Kaja, która właśnie co tylko była zdobyta na korpusie marszałka Neya, złożonym z młodych ludzi będących pierw-

szy raz w ogniu, którzy byli ustąpili z tej wsi w nieporządku. Cesarz sam ustawił baterye gwardyi i kazał je strzedz czterem pułkom jazdy starej gwardyi; ogień tych bateryj i obecność tej jazdy, wstrzymały natychmiast natarczywość nieprzyjaciela, który już nie śmiał pokazywać się z tej wsi. Po całogodzinnej kanonadzie nadciągnęła przyśpieszonym krokiem młoda gwardya piesza (stara znajdowała się jeszcze znacznie w tyle), cesarz sformował tamte pułki w dwie kolumny do ataku, i stanął między niemi, dobył sam szpady i zakomenderował sam: „podwójnym krokiem!“ a potem: „do ataku broń!“ i bez wystrzału wszedł z niemi do wsi, gdzie nastąpiła okropna rzeź gwardyi pruskiej, która tej wsi broniła.

Przed nadejściem młodej pieszej gwardyi, upłynęła dobra godzina od porażki młodych żołnierzy Neya. Przez ten czas cztery pułki jazdy starej gwardyi wytrzymały z niewzruszoną stałością ogień nader żywy artyleryi i piechoty — ściskano luki gdy ludzie i konie padały; ale wytrwała stałość tej starej jazdy, przeszkodziła nieprzyjacielowi popierać swoich odniesionych korzyści i dała czas korpusowi marszałka Neya do uporządkowania się.

O dziesiątej w nocy jeden szwadron naszego pułku wysłany był z jenerałem Lefevre des Nouettes na zwiady. Ten podjazd był nader użytecznym, bo rozpoznał, że masa jazdy nieprzyjacielskiej zbliżyła się i stała pogotowiu, celem natarcia na piechotę francuską gdy ta zajmie biwaki po bitwie, i ustawi broń w kozły dla nocowania. Ponieważ w całem wojsku nie było jak 2,000 jazdy, ustawiono w pierwszej linii piechotę; gdyby ta była złożyła broń, a ludzie się byli rozbiegli za różnemi swemi potrzebami, takowy atak jazdy nieprzyjacielskiej byłby mógł mieć najgorsze skutki. — Cesarz więc zawiadomiony przez nasz podjazd, a może i przez swoich szpiegów, pozostał był sam przy pierwszej linii piechoty i uformował ją w czworoboki pułkowe, na mały odstęp strzału karabinowego między sobą. Rozkazał ażeby w tym szyku z bronią do nogi stali przez godzin trzy — po którym czasie druga linia wypocząwszy, miała obluzować pierwszą, i tak zostawać aż do dnia.

Trochę po północy, jazda nieprzyjacielska starała się w istocie napaść niespodziewanie na linią francuską, ale podsunąwszy się pod czworoboki piechoty, która ich oczekiwała spokojnie, została przyjętą ogniem rzęsistym i dobrze utrzymanym, który tę jazdę wprawił w nieład i ucieczkę; słychać było wprawdzie wiele hałasu i krzyku dowódzców, ale ten zgiełk się oddalał, i cała ta jazda prędzej znikała niż była przyszła.

Pułki gwardyi konnej stały jeszcze na koniach, w linii zaraz za cesarzem, który uformowawszy czworoboki pierwszej linii piechoty, wziął był stanowisko za drugą linią pieszą, spoczywającą na ziemi ale bez ognia. Z tego miejsca słyszeliśmy krzyki nieprzyjacielskiej jazdy, i komendy, których nie można było jednak rozróżnić języka; zdaje się jednak po ich chrapliwym akcencie, że to byli sami Prusacy. I w samej rzeczy nazajutrz rano, znajdywaliśmy jeszcze wielu kirysyerów pruskich ciężko rannych, którzy nie mogli dostać się za swoimi lżej rannymi; od nich dowiedzieliśmy się, że w tym ataku, który miał być dla nas niespodzianym, udział brali sami Prusacy."

Tyle wypisał o bitwie pod Lützen jenerał Chłapowski, dowodzący podówczas dwoma szwadronami pierwszemi pułku.

Oto są słowa pułkownika Mikułowskiego, wówczas kapitana 5 kompanii: „Pod Lützen było pierwsze nasze spotkanie z nieprzyjacielem, ale nas oszczędzano, bo był wielki niedostatek kawaleryi, i tylko użyci byliśmy do przyprowadzenia do porządku korpusu marszałka Neya, który zaatakowany przez siłę nieporównanie większą, wyparty został w nieładzie z wsiów, Kaja i Rahna. Tam jenerałowie Dulanloi (?) i Drouot artyleryą gwardyi, a marszałek Mortier piechotą młodej gwardyi wstrzymali zwyciężającego nieprzyjaciela, a jenerał Bertrand z korpusem marynarzy obszedł lewe jego skrzydło i zmusił do rejterady. — Po bitwie pod Lützen szliśmy ciągle w przedniej straży i wprowadzaliśmy do Drezna króla saskiego."

Zacytowawszy moich dawnych kolegów, którzy brali udział w pamiętnej bitwie pod Lützen, wracam do przy-

bycia mego w Erfurcie do oddziału szefa szwadronu Fredry. Dowiedziawszy się o tem tak pożądanem przez nas zwycięstwie Napoleona, ożywiającem nasze nadzieje, bezzwłocznie udaliśmy się pośpiesznym marszem za pułkiem i połączyli z nim wkrótce; tym sposobem już nasz pułk w przedniej straży Napoleona wynosił do 600 koni; czy cały pułk łącznie, czy oddziałami — jak zwykle — postępował, nie pamiętam, tyle tylko pomnę, że w okolicy Altenburga mieliśmy spotkania z korpusem rosyjskim Miłoradowicza, który spóźniwszy się, nie przybył na bitwę pod Lützen i chciał później upomnieć się o honor wojska rosyjskiego, ale mu się to, ani w większych ani w mniejszych tylnej straży potyczkach nie udawało, i niemały mu uszczerbek w pociągach sprawiliśmy. Maszerując dalej na Freyberg przyszliśmy pod Drezno dnia 7go maja, a dnia 8go ucieszywszy się pięknym widokiem stolicy Saxonii, weszliśmy do niej w całej paradzie z Napoleonem na czele, przyjmującym upokorzoną deputacyą miasta, które było Alexandrowi wyrządzało cześć, jaka się nie należała tylko swemu monarsze i jego opiekunowi cesarzowi Francuzów. — Dnia 12go maja przyjmowaliśmy uroczyście powracającego do nas króla saskiego księcia warszawskiego, z Napoleonem na czele wielkiej części wojska i całej swojej gwardyi. Całe wojsko saskie a mianowicie dość liczna i bardzo piękna kawalerya połączyła się z nami, wyjąwszy może jednego jenerała Thielmann, który przeszedł do imperatora Alexandra, i był pierwszem zarzewiem późniejszej defekcyi Sasów.

Bawiliśmy mniej więcej 10 dni w Dreznie i okolicy pod ten czas niezawodnie dochodziły oddziały naszego pułku, bo w bitwie pod Bautzen mieliśmy przynajmniej 8 szwadronów.

Opuściwszy Drezno, zdarzyło mi się nocować w jakiejś wsi na lewo od Bischofswerda, zamieszkałej jedynie przez Słowian, których nazywają Wendami, a którzy prawie nic po niemiecku jeszcze w r. 1813 nie umieli, co tu dla wiadomości podróżujących ziomków podaję. Nadmienię nawiasem, że Napoleon zastawszy miasto Bischofswerda spalone i zrabowane przez sprzymierzonych, prze-

znaczył ze swego osobistego skarbu znaczną sumę na odbudowanie i wspomożenie tej nieszczęśliwej ofiary animuszu Moskali i Prusaków; wysokie rządy tych późniejszych zwycięzców, nie wachały się nie dopuścić tej błogiej pamiątki po nienawistnym hohaterze . . . Przybywszy w okolicę Bautzen (które miasto zowie się po słowiańsku Budysin) można było z wyżyny na której staliśmy całą przestrzeń spodziewanej bitwy przejrzeć. Na prawem naszem a swojem lewem skrzydle, zajmowali Moskale pod dowództwem Miłoradowicza góry przytykające do granicy czeskiej; cała zaś nadzieja nasza polegała na marszałku Ney, który od Hoyerswerda, na ostatecznem naszem lewem skrzydle miał przez Kliks oskrzydlać ostateczne prawe skrzydło sprzymierzonych. Pierwszego dnia 20go maja o godzinie 12 w południe Napoleon dał znak powszechnego ataku, — najpierw zdobył marszałek Oudinot górę Treuberg na Miłoradowiczu, a Macdonald i Marmont z końcem dnia lewy brzeg Sprei i wszystkie pierwsze stanowiska nieprzyjacielskie były zdobyte, a o godzinie 8ej wieczornej Napoleon sam wkroczył do miasta Bautzen jako oswobodziciel znękanych i przerażonych mieszkańców; poczem cesarz kazał rozbić swój namiot, i na wyżynie, którą kawalerya gwardyi zajmowała przez cały dzień, nocował między czworobokami swej gwardyi pieszej.

Ale dopiero nazajutrz dnia 21go miała nastąpić stanowcza bitwa, którą miał zdecydować marszałek Ney, a któremu równie jak i wszystkim korpusom, wieża kościoła Hochkirch (miejsca pamiętnego bitwą Fryderyka II) wskazaną była za punkt dyrekcyi.

Ale i tego dnia 21, my z naszym pułkiem staliśmy niemal na tem samem miejscu co w przeddniu, to jest na wyżynie, z której nas rozwiniętych wprawdzie zewsząd było widzieć, a z którego wzgórza i my cały ruch obu armij widzieliśmy jak na dłoni.

Skoro działa marszałka Neya z lewego skrzydła słyszeć się dały, rozkazał Napoleon na wszystkich pozycyach atakować i wkrótce Termopile Niemiec, jak Prusacy je nazywali, zostały opuszczone przez ich bohatera

Blüchera, i przez tych samych Prusaków co tak głośni w słowie.

Przed wieczorem już cofanie się sprzymierzonych było powszechne ale w porządku; niecierpliwość nasza z przypatrywania się dwudziennego bitwie, bez udziału, bez korzystania z pogoni cofających się nieprzyjaciół, wzmagała się coraz więcej, atoli szefowie nasi, kazali nam się pocieszać zwycięstwem Napoleona i sprawy naszej i zakończyć dzień wesołemi okrzyki: Niech żyje cesarz!

Za to nazajutrz dnia 22go od samego świtu kazano nam iść za śladem nieprzyjaciół. Jakkolwiek cofali się w porządku, ustępowali nielada, bo od Bautzen do Reichenbach jest przynajmniej cztery mil geograficznych. W okolicy Lobau, pierwszy nasz szwadron pod dowództwem kapitana Jankowskiego zaalarmował dragonów rosyjskich tak dalece, że książę Trubecki jenerał, w kilka lat później mi się przyznał, że tam nieubrany, ledwie nie popadł w ręce naszych, i że się z swoją komendą tylko nagłą ucieczką ratował. Jakoż widzieliśmy wkrótce nasz 1 szwadron pędzący przed sobą zgrają dragonów, na których część naszego pułku wpadłszy z boku, znacznie ich poraziła; ale po tej zaczepce, zaczęło się z jednej i drugiej strony coraz więcej jazdy gromadzić; cała kawalerya francuska, której liczono 16000 była w boju, i to się nazywa bitwą kawaleryi pod Reichenbach. Nasz pułk kilkakrotnie nacierał, gdy przeciwnie linia rosyjskiej jazdy na nas nacierać zaczęła, a jenerał Krasiński przed moją 3 kompanią, ubrany w paradzie, prowadzić nas zamyślał na nich, odwrócił się do naszego frontu i przemawiał zachęcając. Wtem ułan ukraiński wysunąwszy się naprzód przypadł do jenerała, jak widać zachęcony jego blaskiem. Poskoczyłem pomiędzy jenerała i tego zuchwalca, a strąciwszy mu pikę z kierunku pałaszem, zadałem mu cięcia najstosowniejsze w jeździe, to jest po oczach; spadał ułan rosyjski z konia, kiedy porucznik Julian Krasiński z drugiej strony na obronę jenerała przybywający, miał jeszcze czas zwalić go do reszty strzałem z pistoletu. To wszystko działo się w okamgnieniu, tak że jenerał Krasiński prowadzący

całą linią pułku do natarcia, nawet o tym wypadku dopiero po ukończonym boju się dowiedział. Nacieraliśmy wielokrotnie, ale najwięcej częściowo, już nie całym pułkiem razem.

Jenerał Chłapowski tak wzmiankuje o bitwie pod Bautzen i o potyczkach pod Reichenbach: „Podczas bitwy pod Bautzen regiment cały zostawał w rezerwie, ale w spotkaniu aryerdardy sprzymierzonych pod Reichenbach, był pułk cały w boju i długo. Wszystkie cztery szwadrony (tu mowa o całkowitych szwadronach etatowych mających każdy po dwa bojowe), dwa pierwsze pod dowództwem szefa Chłapowskiego, dwa drugie pod szefem Jerzmanowskim, nacierały sześć razy, a zawsze na jazdę rosyjską, wysyłane dla wstrzymania pogoni; pierwsze i drugie natarcia wykonane były przez dwa pierwsze szwadrony na ułanów i dragonów, drugie zaraz i prędko następujące natarcia łącznie z szwadronami Jerzmanowskiego, odbywały się na linią kozaków regularnych, potem na huzarów, aż i na kirysyerów, którym się nie lepiej powiodło jak swym poprzednikom. Wszystkie te nasze natarcia były bardzo szczęśliwe, i zmusiły jenerała Miłoradowicza, który dowodził tylną strażą sprzymierzonych, do prędkiego cofania się pod protekcyą artyleryi, która była bardzo korzystnie ustawioną za rowem, którego nam nie kazano przebywać. Wszakże ta artylerya więcej nam szkody uczyniła od owych sześciu natarć; mieliśmy dużo zabitych i rannych, między innymi szef szwadronu Chłapowski został mocno skontuzyowany w ramie, co jednak nie zsadziło go z konia i dało mu dni następnych pełnić swoją służbę.“

Zaś pułkownik Mikułowski tak do mnie się wyraża: „Pod Bautzen figurowaliśmy manewrując jak pod Lützen, ale czynnie nie byliśmy użyci, dopiero na drugi dzień pod Reichenbach, idąc na czele całej armii pod dowództwem jenerała Lefevre des Nouettes, cztery razy czy pięć szarżowaliśmy na różne pułki kawaleryi rosyjskiej, a zawsze zwycięzko. Tam Jankowski idący z jednym szwadronem na przodzie dywizyi i gdy ta zaatakowaną została przez masę kawaleryi nieprzyjacielskiej, w momencie krytycznym, bo na przechodzie szerokich ro-

wów, rzucił się oślep na jej linią, zmięszał jej środek, i dał czas dywizyi uformowania się i przypuszczenia szarży w porządku. Mieliśmy tego dnia rannych, i ja dostałem uderzenie odłamku granatu w rękę, — zginął młody Beaumont, o którym wspominasz, ale jeńca ani jednego nam nie wzięto, myśmy zaś wzięli dużo jeńców huzarów, ułanów i kozaków. W ostatniej szarży na kozaków, którzy widząc nas zajętych z frontu ośmielili się napaść na nas z boku, szwolżer Leparski przebiegając koło mnie wykrzyknął, że mi daruje kozaka! i w mgnieniu oka rzetelnie to spełnił, bez rozlewu krwi, bo go za kark uchwycił i do mnie go przyprowadził i jego konia."

Darują czytelnicy, że o jednej bitwie kładę trzy opisy, ale że tam byłem naocznym świadkiem, więc mogę się pochwalić, że najlepiej pamiętam, i to com wyraził o rosyjskim jenerale księciu Trubeckim, żadnemu prócz mnie nie może być wiadome. Nie dwóch szefów szwadronu było tylko przy pułku, ale prócz starszych w randze Chłapowskiego i Jerzmanowskiego, byli jeszcze Piotr Krasiński, Seweryn Fredro i Wincenty Szeptycki; ja nie pamiętam pod którym z nich zostawałem w bitwach pod Bautzen i Reichenbach, ale mi się zdaje, że pod Piotrem Krasińskim.

Gdyśmy więc po tylu natarciach stanęli w szyku pod ogniem bateryi rosyjskiej na znacznej górze pod Reichenbach będącej ustawionej, zdarzyło się, że gdy stałem przed frontem mojej 3 kompanii, granat padł obok mnie i dość długo nie pękał; było to pytanie jaki skutek wywrze; otóż pękł i obsypał mnie piaskiem, ale tylko klacz moję przez kark przestrzelił odłamkiem; musiałem jednak z chwiejącej się klaczy zsiąść i wyprowadzić za front, szukając innego konia. Wtenczas Włostowski, który był szwoleżerem w naszym pułku a teraz wachmistrzem w 8 pułku ułanów polskich Łubieńskiego, dostarczył mi konia zdobytego kozackiego, którego w mój rząd okulbaczywszy, dojechałem przed front kompanii, ale błogo mi było, że już ustały szarże, bo koń ten nie odpowiadał bynajmniej mojej potrzebie i był albo kaleka, albo bardzo zmęczony. Stanąłem więc przed frontem i byłem świadkiem, jak kule zmiatały wielu znacznych

oficerów a między innymi jenerałowi Bruyère urwała kula jednę czy obie nogi — Tu znowu pułkownik Mikułowski pisze: „Pod jenerałem Lefevre granat wysadził w powietrze konia i zabił go, sądziłem że i jenerał zabity lub ranny, poskoczyłem ku niemu, a on w ten moment porwał się na nogi i wesoło do mnie rzekł: „*On tombe, mais on se relève*“ — „człowiek pada, ale się dźwiga.“ —

Wkrótce potem, kiedy już jazdy i artyleryi nieprzyjacielskiej widać nie było, a piechota francuska zajęła wzgórza reichenbachskie i tylko jeszcze strzały rzadkie padały, kula armatnia zabiła jenerała Kirgener i przyjaciela Napoleona marszałka dworu Duroc. Ta śmierć była wielce bolesną cesarzowi, i my wszyscy braliśmy udział w stracie powszechnie szacowanego i lubionego męża, którego niegdyś nasz Jerzmanowski był adjutantem z polecenia Kościuszki.

P. Thiers, który bitwę pod Bautzen z właściwym sobie urokiem słowa opisuje, tym razem wspomniał przecie o nas w bitwie konnicy pod Reichenbach, dzieląc swoją pochwałę skromnie między nas i ułanów czerwonych holenderskich, a zamilczając o innych pułkach jazdy gwardyi, które jednak wszystkie tam były, a mianowicie strzelcy, z którymi właśnie szliśmy zawsze razem aż pod Wrocław.

Dnia 23go ruszyliśmy w dalszy marsz; służba dzienna szwadronów z 4ch pułków starej gwardyi odbywała się przy cesarzu jak zwykle; miałem zaszczyt wkroczyć z nim do Gorlic miasteczka znaczniejszego, był przyjęty z podziwem, można powiedzieć z uwielbieniem tych Ślązaków, których obejście się z nami Polakami było nader uprzejme, a nasza mowność w niemieckim języku niemało wpływała na umysł tych mieszczan, którzy nie są ani Niemcami, tem mniej Prusakami, i którzyby łatwo to pojęli, że przyłączenie ich do Polski byłoby im ze wszech miar korzystne.

Cesarz oszczędzał swoję jazdę, przeciwnie Blücher popisywał się ze swoją i miał w niej nadzieję i zaufanie. Gdybyśmy Polacy byli szli w przedniej straży, może byłby rycerz Prus swoje zdanie odmienił, ale że widział zawsze piechotę francuską przed sobą, więc pod

Hajnau zrobił zasadzkę i piechotę czyli raczej marszałka Neya trochę za śmiałego, boleśnie wywiódł w pole, co tak rzec właściwie można, bo marszałek z dywizyą piechoty Maison, wyszedł nieostrożnie na pole i został przez zasadzoną jazdę napadnięty... może po tej nauczce szła kawalerya przodem, pamiętam przynajmniej, że pod Liegnitz, gdzie są po prawej stronie gościńca znaczne równiny, manewrowaliśmy dość długo, nimeśmy się dostali na nocleg do jakiegoś katolickiego klasztoru, w którym mianowicie nocowałem z szefem Jerzmanowskim.

W Neumarkt już blisko Wrocławia byłem znowu na służbie przy cesarzu, gdzie z szaserami gwardyi obchodziliśmy uroczystość podpisu zawieszenia broni, które nie osiągało naszych nadziei rychłego powrotu do Polski... ale dawało nam czas przymnożenia i uporządkowania sił Napoleona, a może i wzmocnienia onych garnizonami twierdz polskich...

Powróciliśmy więc do Saxonii z tryumfem, z ożywionemi nadziejami, tym głównym przedmiotem i celem naszego życia! W Dreźnie był codziennie na służbie szwadron przy cesarzu, ale pułk sam rozłożony był leżem od Stolpen do Schandau po nad Elbą, w tak zwanej Szwajcaryi saskiej.

Jenerał Krasiński i książę Radziwiłł nasz major, sprawiali nawzajem zachwycające fety, zwłaszcza wycieczki statkami po Elbie; oba brzegi tej rzeki oświetlone, statki ożywione muzyką i śpiewami narodowemi, ozdobione ogniami sztucznemi, utrzymywały w pułku wesołość, zaufanie i poświęcenie bez granic.

Atoli chociaż zawieszenie broni podpisane zostało 4 czerwca, wszelako sprzymierzeni nie spieszyli się z odwołaniem swoich partyzantów, którzy zwłaszcza po lewym brzegu Elby różne czynili wycieczki. Dla tego Napoleon wysłał jenerała Arrighi księcia Padwy, który z częścią dywizyi jenerała Dąbrowskiego oczyszczał północną Saxonią; wtenczasto zaszła pamiętna potyczka z Czerniszewem, w której szef szwadronu ułanów nadwiślańskich waleczny Kostanecki, a podobno i pułkownik piechoty Malczewski zginęli, — zaś szef batalionu

Skrzynecki się odznaczył. Wiele było naówczas słychać o tej potyczce, bardzo chlubnej dla oręża polskiego; wszakże obecnie, pomimo usilnego poszukiwania, nie udało mi się znaleść wzmianki o tem zdarzeniu, na które zwracam uwagę czytelnika, chociaż ta bitwa do czynności pułku o którym piszę, nie należy; lubo i nasz pułk był częściowo wysyłany na tropienie i ściganie partyzantów nieprzyjacielskich, lecz z przeciwnej strony w okolicach Altenburga. Ledwieśmy więc powrócili ze Szląska, odbywałem taką wyprawę pod szefem Jerzmanowskim, gdzie mianowicie pod Frejberg i pod Penig mieliśmy potyczki, aż przecie monarchowie sprzymierzeni partyzantów swych odwołali.

Po powrocie cesarza do Drezna nastąpiły różne nagrody i łaski dla pułku, i ja, lubo jeden ze starszych kapitanów, ale nie najstarszy z kolei, zostałem awansowany na szefa szwadronu dnia 17 lipca 1813.

Przez czas zawieszenia broni przybyli najpierw jenerał Dautancourt od Frankfortu z licznym oddziałem, a później major Kozietulski z Krakowa, z szefami szwadronu Roztworowskim i Skarżyńskim, z naszemi szwadronami 6m i 7ym uformowanemi pierwszy z pozostałych kolegów gwardyi litewskiej, drugi z ochotników nowozaciężnych krakowskich; tak więc uformowano siedm szwadronów, czyli 14 kompanij w naszym pułku, i dodano jeszcze kompanią 15tą Tatarów, —w stroju odrębnym na pół tureckim czyli tatarskim; dowódzcą ich był kapitan Ułan, oficerami: Jorahim i Assan; a ponieważ każda kompania tworzyła szwadron mniej więcej 100 koni bojowy, zatem na rewii odbytej pod Dreznem, jak to wspomnieliśmy w 1ym artykule naszym z miesiąca grudnia 1856, defilowaliśmy przed Napoleonem w liczbie pietnastu szwadronów czyli 1,500 koni, a ponieważ p. Thiers podaje całą jazdę gwardyi reorganizowaną w Dreznie, licząc w to i 1,500 koni naszych *gardes de corps* francuskich, na 12,000 koni, więc nasz pułk tworzył $^1/_8$ część tej massy. Nie mogę sobie przypomnieć ani wyczytać którego dnia odbyła się ta rewia pod Dreznem, na której także był swoją osobą książę Józef Poniatowski, ale mi się zdaje, że ona poprzedziła dzień 10 sier-

pnia, który dla bliskiego rozpoczęcia kroków wojennych był wyznaczonym na obchodzenie uroczystości urodzin cesarza, zwykle jak wiadomo 15 sierpnia odbywanej.

Tyle tylko tu dla wiadomości czytelników naszych podajemy, że ten dzień uroczysty uświetniony był towarzyskiemi bankietami u marszałków i pułków przy stołach pod gołem niebem, z obfitością wina i toastów na cześć Napoleona, wojska, pomyślność Francyi i kampanii; wieczorem zaś była iluminacya a zwłaszcza ognie sztuczne niewidziane, to jest fajerwerk wystrzeliwany z dwóchset armat przeciwko sobie obróconych po obu brzegach Elby, a przytem wzajemne ataki piechoty po lądach i na łodziach przy rzęsistych ogniach karabinowych, strzelających samemi ogniami sztucznemi. Widok prawdziwie zachwycający i nowy, a który Sasów wprawiał w osłupienie.

Wiadomo jest, że Napoleon, czy z poufnego zwyczaju, czy z politycznego badania zdań, zwykł był częstokroć radzić się albo pytać o zdanie znakomitszych osób otaczających go; to samo potwierdza p. Thiers. W czasie kiedy traktowano o pokój pod wpływem Austryi, słychać więc było, że gdy się zjawił książę Poniatowski (którego Napoleon dopiero istotnie polubił po doznanem zachowaniu się jego w Krakowie), zapytał go: Coby on na jego miejscu robił: wojnę? czy pokój? Poniatowski miał odpowiedzieć: „Zrobiłbym pokój, żeby później można lepiej prowadzić wojnę“... Na to miał Napoleon odrzec po chwili namysłu: „Masz może słuszność... ale ja będę prowadził wojnę.“ I tak więc Napoleon, który tylko dla tego zezwolił pod Wrocławiem na zawieszenie broni, żeby swe wojska, mianowicie kawaleryą miał czas uporządkować, doczekawszy się i przyjazdu Murata swego zaufanego dowódzcy jazdy, d. 15 sierpnia opuścił Drezno i udał się do wojska na Bautzen.

Jakkolwiek my Polacy życzyliśmy sobie wojny i nie mogliśmy tylko przez wojnę upatrywać skutku naszych nadziei, nie przypuszczaliśmy, żeby teść Napoleona miał się dać powodować intrydze Meternicha, i zamiast pomocy swojemu zięciowi, wydać mu wojnę; sądziliśmy, że Austrya zostanie przynajmniej neutralną, bo taką była

dla niej najkorzystniejsza polityka: nie osłabiać się, a zostawać medyatorką między Francyą a Rosyą, która ostatnia sąsiedztwem swojem, musiała zawsze pozostać dla niej groźniejszą. Więc powtarzam, że my Polacy, nie bez przykrego wrażenia powzięliśmy wiadomość, że Austrya wypowiada wojnę; wprawdzie gieniusz Napoleona zaspokajał nas... ale przypatrzywszy się złemu prowadzeniu wojny hiszpańskiej i niemal gorszemu jeszcze wojny na Moskwie, a przypatrując się rodzajowi wójsk francuskich z tak wielkiej części rekrutów złożonych, tudzież pozycyi tychże wójsk od Berlina ku Wrocławiowi, a z tyłu za niedostępnemi górami i za Elbą od Czech, zagrażającą naszej linii komunikacyjnej... lękaliśmy się, żeby gieniusz Napoleona nie uwodził go, a nawet zaczynaliśmy znowu powątpie ać o jego szczęściu, czyli, jak mówiono, o jego gwiaździe.

Dnia więc 15go sierpnia mniej więcej opuściliśmy Drezno i stanowiska nasze, udając się z cesarzem do Goerlitz, a ztamtąd już spotykając się z korpusem Blüchera składającym się z Prusaków powiększej części i i z nieco Moskali, a który zapaleniec nie szanując prawa narodów, rozpoczął był kroki wojenne przed wyjściem zawieszenia broni. Wypadało go ukarać, co też Napoleon zamierzył skoncentrowawszy 130 tysięcy wójsk przeciwko Blücherowi. Napotkaliśmy jego oddziały niedaleko za Goerlitz, a 21 była niemała bitwa pod i za miastem Lövenberg, w któréj braliśmy udział częścią jako eskorta wszędzie docierającego Napoleona, częścią jako lekka kawalerya gwardyi wyprzedzająca insze wojska w zaczepianiu i ściganiu napastliwego Blüchera... Po tej bitwie dość krwawej, Napoleon pod wieczór zwiedzał pobojowisko; był tam ranny w kolano jenerał bardzo znany i lubiony, należący do orszaku króla Joachima, którego nazwiska Thiers nie podaje. Gdy nazajutrz w Lövenberg z rana, zeszliśmy się czterej szefowie szwadronu, od eskort gwardyjskich Napoleona do jenerała Guiot który niemi komenderował, jeden z nas szef szwadronu od dragonii gwardyi, spytał się o zdrowie rzeczonego w dniu wczorajszym rannego jenerała? Guiot: „*C'est un homme perdu*“ — człowiek stracony. Jak to? zawołaj ze

wzruszeniem przyjaciel rannego Dragon, miałażby ta rana być tak niebezpieczną? „ale ja nie chcę przez to mówić „odrzeknie jenerał Guiot, żeby on był stracony dla rodzaju, *pour l'espece*, ale jest stracony dla służby wojennej, — *pour le service*". Ten to sam jenerał Guiot, który pod Małym Jarosławiem dał mi był nauczkę, że żołnierze są na to żeby ginęli...

Gdy d. 22 ścigamy nieprzyjaciela w dyrekcyi miasta Goldberg, a może nawet do tego miasta, odbiera Napoleon wiadomość, że główna armia kombinowana trzech monarchów: Rosyi, Prus i Austryi z Czech przez Peterswaldę debuszuje na Drezno i tej stolicy równie jak linii nad Elbą zagraża; każe więc Napoleon natychmiast ruchy korpusu marszałka Marmonta gwardyi pierwszej wstrzymać, i pochód pośpieszny odwrotny do Drezna przedsiębrać, a sam z nami i wszelką jazdą gwardyi oraz jazdą rezerwową, rozpoczyna bezzwłocznie marsz do Drezna, zostawiwszy marszałkowi Macdonald 80000. Już więc 23 odjechał Napoleon swoją osobą, a my maszerowaliśmy pośpiesznie z pod Goldberg do Drezna. Różne konsyderacye, skłoniły go do tego ostatniego, ale mniej skutecznego planu.

Nasz pułk idąc jak mi się zdaje w samej przedniej straży wielkiej kolumny, przybył koło południa d. 26 na wyżyny wieńczące Drezno z prawego brzegu Elby. Widzieliśmy z tych pagórków niezliczone bo dwakroćsto tysięcy wynoszące zastępy okrążające Drezno w półkole, i bitwę wrzącą, mianowicie pod zwierzyńcem zwanym Grossgarten i innemi ogrodami, jako to księcia Antoniego i Moszyńskiego. Nieprzyjaciel także widział nasze kolumny przybywające do Drezna, nasz pułk był jeżeli nie pierwszy, to jeden z pierwszych konnych, który przybył, ale kazano nam się zatrzymać na prawym brzegu Elby w części Drezna Neustadt zwanej. Podczas naszego wytchnięcia, kirysyery i inna jazda jenerała Latour Maubourg przybywała i defilowała przez most na Elbie i Drezno, a Napoleon przydał tę jazdę pod komendę Murata na swoje ostateczne prawe skrzydło.

Już całkiem wieczorem, jak gdyby nasz ruch chcia-

no ukryć przed nieprzyjacielem, przeszedłszy przez Drezno posuwaliśmy się pod zwierzchniem dowództwem jenerała Nansouty, przez przedmieście Pierneńskie na ostateczne lewe skrzydło, po za ogród Grossgarten zwany, w które miejsce także marszałek Ney całą piechotę gwardyi młodej prowadził.

Noc z d. 26 na 27 przepędziliśmy w bojowym szyku przy koniach, już nieco deszczem nawiedzeni; nazajutrz była słota powszechna, tak dalece, że karabiny nie dawały ognia, co niezmiernie posłużyło manewrowi króla neapolitańskiego na lewe skrzydło austryackie, które całkiem zniesione zostało przez kawaleryą Murata,— na naszem lewem skrzydle nie było, jak się zdaje, natarcia jazdy, tylko ciągłe manewrowanie i poruszanie się pod ogniem artyleryi. W ciągu tego dnia dżdżystego i mglistego, zaledwie Napoleon sam rozporządził kanonadę z środkowej pozycyi artyleryi swoiej, jeden z pierwszych strzałów wpadł w orszak imperatora Alexandra i zranił śmiertelnie jenerała Moreau! Wielki ten wypadek zrobił wrażenie w obu armiach, sprzymierzeni widzieli w tej karze niebios na syna podnoszącego broń przeciwko swojej ojczyznie, złą wróżbę dla nich, a Francuzi przeciwnie najpomyślniejszą, nikt albowiem z dawnych podwładnych jenerała Moreau nie mógł pojąć, jak on śmiał się dopuścić ochydy, noszenia broni przeciwko tej samej Francyi, której dawniej był bronił tak świetnie.

Co się tyczy naszego pułku doznaliśmy w tym dniu pamiętnym wiele moralnej pociechy, bo zdawała się koalicya trzech dworów, co podzieliły Polskę, pokonaną; ale straty fizycznej pułk od ognia armatniego doznał niemałej, kapitan Kruszewski był ranny śmiertelnie i umarł wkrótce w Dreźnie. Porucznikowie Stradomski i Julian Krasiński polegli, ten ostatni miał głowę urwaną przed frontem, z wielkim żalem pułku, który w nim tracił oficera znakomitych nadziei.

Z tego wypadku doznałem szczególniejszej niedogodności: ponieważ Julian Krasiński zginął nagle niedaleko mnie, znalazł się między nami świeżo z Polski do nas przybyły oficer, któremu nie z bliska patrzącemu, zdało

się, że to ja zginąłem od kuli armatniej, nie mógł więc nic lepszego wymyślić, jak udać się do moich służących i podwodowych koni, upominając ich, żeby sobie do Drezna jechali, bo mnie ich pana zabito; kiedy więc późno w noc po całogodzinnem staniu w ogniu armatnim, ogłodniały i do ostatniej nitki przemoczony, dostaję się do jakiejś wsi na nocleg i nawoływam moich służących, dowiaduję się że oni za poradą pana NN. odjechali do Drezna, opłakując mnie jako zabitego. Można sobie wystawić ukontentowanie moje z takiej plotki; ledwie wśród nocy nadjechali moi służący z Drezna przywołani i dostarczyli mi bielizny do przewdziania.

Świetne było zwycięstwo d. 27 sierpnia 1813 roku; trudno było przewidzieć, że sprzymierzeni z takiej klęski wyjdą tryumfalnie, a Napoleon że z tak świetnego zwycięstwa żadnej korzyści nie osiągnie; niech się nad tem dobrze zastanowią nasi czytelnicy, zwłaszcza ci co w sobie czują chęć militarnego zawodu, niech nie mniemają, że to jest rzecz pojedyńcza i łatwa.

O tej bitwie drezdeńskiej podają koledzy: Joachim Hempel pisze: „1go dnia razem z kirysyerami napadliśmy na piechotę austryacką i zabrali jej znaczną część w niewolę. Drugiego dnia po bitwie, wysłał cesarz Jerzmanowskiego za cofającymi się w nieładzie Austryakami, z dwoma szwadronami pułku, ja szedłem w przedniej straży w 40 koni, dogoniliśmy batalionu, który po kilkunastu z ich strony strzałach, rozbiliśmy, i 300 wzięli do niewoli.“ A kolega Mikułowski tak się wyraża: „Cała armia nasza stanęła na pozycyach i zaczął się ten nadzwyczajny deszcz, który w dniu następnym (27) przyczynił się do klęski sprzymierzeńców, zajmowaliśmy pozycye na lewem skrzydle odmieniając często miejsca, bo konie grzęzły w rozmoczonej ziemi. Dwa szwadrony nasze nazajutrz odebrały rozkaz oczyszczenia komunikacyi z Pirną i w pochodzie swoim zabrały mnóstwo jeńców i bagażów tak rosyjskich jak i pruskich.“

Podaję tu szczegółowe przypomnienia kolegów, bo jak to już nie raz oświadczyłem, lubię to tylko opisywać co sam widziałem; zaś pułk nasz liczny, nigdy prawie

w jednem miejscu nie działał, było więc wiele szczegółów, nam współtowarzyszom wzajemnie niewiadomych.

Nazajutrz d. 28 ale nie rano udałem się pod komendą księcia Dominika Radziwiłła w dwieście koni w awangardzie ku Pirnie i do Pirny, gdzie stanęliśmy szczęśliwie, pędząc przed sobą małe oddziały jazdy rosyjskiej, zasłaniającej tylną straż Wittgensteina. Koło południa przybył także Napoleon do Pirny; tu się urwało pasmo jego pomyślności i poczęła się osnowa niepomyślnych wypadków. Doszły go wiadomości niespodziewane od marszałka Macdonalda z nad rzeki Katzbach, nie lepsze a może gorsze od marszałka Oudinot z drogi na Berlin, a bardzo zawiłe i niełatwe położenie jenerała Vandamma; Napoleon wydawszy stosowne tyczące się Vandamma rozkazy, udał się do Drezna zajęty wielkim planem zajęcia Berlina i zbliżenia się może do Gdańska i Wisły, a tymczasem błędy ludzkie, czyli los ślepy, lecz niewątpliwie talent i odwaga pruskiego jenerała Kleista, stała się przyczyną klęski Vandamma. Czy więc Kleistowi należy się chwała zguby Vandamma, czy marszałka Mortier zimnej obojętności, czy marszałka St. Cyr de Gouvion opieszałości? to jeszcze nie jest wyjaśnione, lubo Thiers tego ostatniego obarcza.

Kiedy nasz pułk czyli oddział w którym ja się znajdowałem opuszczał Pyrnę zwracając się ku głównej kwaterze cesarskiej... napotkaliśmy po drodze różnych rozpierzchłych z korpusu jener. Vandamma i od nich dowiedzieliśmy się z bolesnem niedowierzaniem o jego klęsce; bo i jakże było można przypuścić, żeby tak świetnie pomyślany i nakazany przez cesarza manewr, miał się przez niedołężność jego podwładnych tak smutnie zakończyć....

Przybywszy pod Drezno, zostałem jako najmłodszy szef szwadronu w jeździe gwardyi przez jener. Nansouty wykomenderowany do odprowadzenia ku Renowi zakładu wszystkich pułków kawaleryi gwardyi, i udania się tam pod rozkazy marszałka Kellermana rezydującego w Moguncyi.

Przykro mi było opuszczać liniją bojową i bliskość osoby Napoleona, zwłaszcza że świeżo byłem nominowa-

ny baronem cesarstwa francuskiego, ale z drugiej strony pochlebiała mi myśl, że przeszło 2000 jazdy gwardyi prowadzić będę, zaszczyt który się jeszcze w naszym pułku nikomu nie był wydarzył. Opuszczałem więc pułk i główną kwaterę na dłuższy czas, zabierając z sobą z naszego pułku jak miarkuję z dwieście ludzi, w części bez koni. Pułk zaś nasz został odtąd rozdzielony na dwa regimenta starej i młodej gwardyi, pierwszy działający przy głównej kwaterze, drugi wysyłany pod różnemi jenerałami do podjazdowych wypraw lekkiej jazdy.

Miałem także polecenie zbierania po drodze różnych tak pojedyńczych ludzi, jako i małych oddzialików pozostałych z różnych pułków jazdy gwardyi... albowiem te pułki będąc zawsze przeznaczone być przy osobie Napoleona, nie tyle w boju, ile w ustawicznych gwałtownych marszach traciły dużo, i dla tego po drodze zostawiały wiele koni, a przy nich i ludzi za sobą.

Pierwsze stanowisko mego odwrotnego kierunku, miałem naznaczone pod *Meissen*, drugie pod *Torgau*; było mi poleconem w miarę możności oddziały z wyzdrowiałych koni wysyłać do głównej kwatery. Gdy byłem pod Torgau mniej więcej koło 7 września, zdarzyło mi się być w bliskości dywizyi jenera Dąbrowskiego, która bywszy w Magdeburgu, została przyłączona do korpusu marszałka Neya, co był równie jak Oudinot przed nim doznał niepomyślnych bitew od Bernadotta, na drodze do Berlina owego nam ulubionego kierunku i zamiaru zbliżania się do Wisły, ale który niestety nie powiódł się! Gdy więc pod Torgau stałem obozem, pewnej nocy wiele koni polskich rozpierzchnionych wpadło między nasze.... Za niemi przybyło niemało oficerów goniących za końmi, to szczęście, że się to działo pod zakryciem Elby, ale ci koledzy z księstwa warszawskiego narzekali na jenerała Krukowieckiego, który z pułkownika piechoty dostał brygadę jazdy i jakieś niepraktyczne rozkazy był wydał, skutkiem których konie nie były przyzwoicie lokowane i rozpierzchły się. Już to jest rzeczą doświadczoną: że kawalerzysta może dowodzić piechotą, ale niech Pan Bóg chroni jazdę od dowódzcy piechura, choćby był i najzdatniejszym infanterzystą. Tu

pod Torgau doznałem także pamiętnego dla mnie zetknięcia się z marszałkiem Neyem. Mając od niego otrzymać rozkaz udania się do Lipska, przybyłem do stolika u którego pisał. Na zapytanie, czego żądam, ja wiedząc że miał tytuł *Prince de la Moskova,* odezwałem się do niego wyrazem *Monseigneur!* Niechętnie Ney usłyszał ten tytuł, i przerwał mi żywo, że „ten tytuł mi nie przystoi, on się tylko należy książętom krwi cesarskiej“.... Po tym wstępie rozmowy dość żywym i nie okazującym dobrego humoru, wypytywał mnie się marszałek dość życzliwie o różne stosunki mojej służby, otrzymanych rozkazach i zalecił mi wiele ostrożności, bo lewy brzeg Elby był już polem napadem różnych partyzantów nieprzyjacielskich. Pierwszy to raz zdarzyło mi się rozmawiać z marszałkiem Neyem. Wpatrywałem się w twarz tego znakomitego męża; nie miała ona w sobie nic francuskiego, był to blondyn jasnej płci, wysokiego wzrostu, barczysty i silny, więcej wyglądał na Polaka niżeli na Francuza, ale pomimo znanej jego i przybranej widocznie energii, znać było, że ta, ze strony moralnej nie wyrównywała fizycznej, czego właśnie były dowody w odbytych z Prusakami i Szwedami bojach, a co późniejsze wypadki przed i pod Waterloo niestety sprawdziły.

Opatrzony upoważnieniem i przestrogami marszałka Neya, udałem się z długą moją a mało bojową kolumną do Lipska. Wszedłem w porządku przystojącym jeździe starej gwardyi Napoleona i założyłem w tej stolicy niemieckiej targowli, dzień odpoczynku. Tu mnie spotkał niespodziewany, ale nie bardzo pożądany zaszczyt, odbierania wizyty kilku pp. jenerałów polskich, między innymi których może już nie pamiętam, Gedrojcia, Żółtowskiego, Stefana Grabowskiego, Niemojowskiego i wielu pułkowników nowej nominacyi litewskiej.. . Ci wszyscy panowie z licznym orszakiem nawet dam, ale wcale żadnego zbrojnego orszaku, prosili mnie żebym ich przyjął do mojej kolomny i przeprowadził do Renu.... a przynajmniej tak daleko jak sam zechcę .... byleby mogli pod mojem zakryciem przebyć okolice zagrożone przez partyzantów.... Boleśnie mnie dotknęła ta tak zaszczy-

tna dla młodego sztabs-oficera propozycya, ponieważ odmówić jej byłoby się wystawić na zarzut zcudzoziemszczałości w służbie francuskiej .... a przyjąć; .... wiedziałem jaka następność, w kolumnie już i tak niezmiernie długiej i nie bojowej. Po długich targach grzeczności, zapytałem się pp. jenerałów czy się mogę spuścić na to: że tyle osób nierównie starszych rangą i wiekiem odemnie, zechcą przyjmować i wykonywać moje rozkazy, i zachować ściśle porządek marszu jaki im naznaczę?

Oppowiedziano w wyrazach najuprzejmiejszych a nawet uniżonych....

Wyszliśmy więc z Lipska w przyzwoitym porządku, a sztab towarzyszący mi, był nie mniej liczny jak Jana Skrzyneckiego w roku 1831, który tej liczbie niepotrzebnej, ale niezbędnej, tyle był winien, co ja w ówczas pod Lipskiem.

Maszerowaliśmy do Wejmaru; póki była bojaźń partyzantów, a mianowicie Czerniszewa, ziomkowie moi wszelkiego stopnia, bo byli i cywilni urzędnicy, szli ściśle na wskazanych sobie miejscach,... gdy nawet jeden marsz odbyłem całą nocą bez noclegu maszerując przy latarniach, a to dla uniknienia napadu, nie można było żądać przykładniejszego porządku; ale gdy zbliżając się już do Wejmaru po tej ciemnej nocy, uroniłem wspominek, że już niebezpieczeństwo przeszło, a wyszliśmy na równinę obfitującą w zające i kuropatwy... wszczął się ogień na obu flankach długiej kolumny, tem więcej zadziwiający, że flankiery moje z obu boków o żadnym nieprzyjacielu nie donosiły.... były to strzały szanownych ziomków do zwierzyny księcia wejmarskiego, zwłaszcza pp. Litwinów nowo nominowanych, z których niektórzy nawet charty zapuścili i za niemi uganiali. Objawiłem pp. jenerałom, jak dalece to uchybia i mnie i danym mi obietnicom, i że dalej z Wejmaru proszę ich uwolnić mnie od takowej nieprzyjemności. Przekładali mi pp. jenerałowie jak ich samych trapi ta niesubordynacya, ale wreszcie pocieszyli się z rozłączenia odemnie, bo z Wejmaru już nie obawiali się partyzantów; atoli przed wnijściem do Wejmaru, byli ci panowie świad-

kami sceny jaką miałem z młodszym księciem wejmarskim. Książę gdy się po równinie rozlegały strzały moich miłośników polowania, wyszedł na spotkanie mnie w orszaku żandarmów francuskich, i z góry sposobem najniedelikatniejszym przywitał mnie, jak ja szanuję prawa jego polowania i porządku należytego?... Przeczuwając kto jest ta osoba, a wiedząc że jest spokrewniony z imperatorem, udałem że nie wiem z kim mówię, i nie pytając się o to, odpowiedziałem tonem jeszcze wyższym i hardym, że to jest kolumna gwardyi Napoleona, że ja nie znam i nie słucham ani żandarmeryi, ani komendanta placu, i że zaniosę skargę do głównego sztabu, że byłem tak nieprzyzwoicie przyjęty u rogatek Wejmaru i t. d. Po tej scenie dostałem kwaterę u radzcy tajnego dworu wejmarskiego sławnego poety Göthe... o czem się dowiedziawszy, zaraz słynnego męża z uszanowaniem odwiedziłem, sam na sam z nim obiadowałem, zaszczyt dla oficera polskiego niepospolity! A gdy się Wolter niemiecki dowiedział, że prawie wszystkie jego płody były mi znane, że te są w Polsce rozpowszechnione, że wiele z nich są już tłómaczone, a inne w tłómaczeniu, kazał wieszcz niemiecki przynieść francuskiego kosmopolitę szampana, i piliśmy na zdrowie literatur i literatów obu narodów: niemieckiego i polskiego....

Po obiedzie zaprosił mię autor Werthera do loży w. książęcej imieniem księcia panującego, który tam wizyty gości przyjmuje.... udałem się więc na tę etykietalną wizytę, a stanąwszy twarz w twarz z tym księciem ubranym w ponsowy mundur, z którym miałem żywe spotkanie z południa.... udając że go nie znałem, jąłem go przepraszać, i stanęło między nami armisticium małe, podobne do wielu większych, uzasadnione na udaniu i wzajemnej bojaźni.

Podczas kiedy ja tak maszeruję na tyłach armii, pułk nasz podzielony na dwa regimenta, starszy i młodszy, zasługuje się i zdobywa zawsze sławę w różnych bojach, starszy pod wyższym rozkazem jener. Nansouty przy głównej kwaterze, młodszy pod dowództwem zwierzchnym jenerała Lefevra de Nouettes, w kolumnie ruchomej się-

gającej partyzantów nieprzyjacieiskich a mianowicie jenerała Thielmana, owego pierwszego Sasa przeszłego z naszej strony do nieprzyjaciela.

Dnia 15 września cesarz przedsięwziął ruch przeciwko armii sprzymierzonej posuwającej się z Czech, tam dnia 16 pod Peterswalde nasz szef szwadronu Fredro mając pod sobą kapitana Jankowskiego, we 200 koni rozbili pułk huzarów pruskich o pięciu szwadronach, a brygadyer Wojciechowski ujął ich pułkownika syna Blüchera, Fritza, (jako go ojciec nazywał). Wojciechowski, jak pisze do mnie pułk. Mikułowski, przyprowadził do cesarza swego jeńca rannego lancą w szyję. Mimo troskliwości Napoleona o danie opatrzenia rannemu, Blücher młody okazywał minę gburowatą i więcej rozgniewaną niż cierpiącą. Może miał do tego przyczynę, bo pułk jego huzarów nie dotrzymał boju i opuścił go. Tam między innymi odznaczył się porucznik Gotartowski Marcelli, który ranny został kulą karabinową w głowę, na pozór nawet nie ciężko, bo nie opuścił placu, jednakże drugiego dnia, mimo operacyi którą mu robił w Dreźnie sam Lasay, w ręku jego skonał; brygadyer Wojciechowski co ujął Blüchera, dostał krzyż.

Prawowierny p. Thiers w tomie XVI stron. 462 milczy o nas, a przypisuje rozbicie pułku i wzięcie młodego Blüchera ułanom czerwonym (to jest holenderskim) gwardyi, co jest oczywistym fałszem; mogły te ułany czerwone popisać się, czego nie wiem, ale Blüchera rozbiły i wzięły nasze dwa szwadrony, co jest wyraźnie opisane w stanie służby szefa szwadronu Seweryna Fredry, który mam przed sobą. Prócz tego znakomitego zdarzenia pod Peterswalde, potykały się oddziały naszego pierwszego regimentu pod Hochkirchen, Altenburgiem i wielu innych miejscach, różnie, jak i regiment drugi, który ciągle za partyzantami sprzymierzonych się uganiał, a co pułkownik Tadeusz Wyleżyński byłby w bibliotece warszawskiej niewątpliwie opisał, gdyby śmierć jego pisma nie była przerwała.

Z Wejmaru szedłem z moją kolumną zakładów jazdy gwardyi wolnym marszem aż do miasta Fulda, gdzie się zatrzymałem: byłem albowiem od marszałka Kellermana

odebrał rozkaz: „starania się wysłać pod dowództwem zdatnego kapitana, ilość możliwą z każdego pułku gwardyi, a to z Fuldy pod dyspozycyą jener. Rigaud, przeznaczonego na odsiecz stolicy króla westfalskiego Kassel, zagrożonej przez partyzanta rosyjs. Czerniszewa.“ Zatrzymałem się więc czas nieodbicie potrzebny w Fulda, sformowawszy 400 koni z wszelkiej jazdy gwardyi, w którym oddziale było naszych szwoleżerów 100 koni, tam objąłem dowództwo tej kolumny, a resztę zakładów dość jeszcze licznych oddałem pod dowództwo najstarszego kapitana z pułku dragonów; dałem mu dyrekcyą ku Moguncyi pod wyższe rozkazy marsz. Kellermanna, posłałem oraz raporta do jen. Nansouty dowódzcy gwardyi konnej i do mego jenerała pułku Wincentego Krasińskiego, tłómacząc się z odmiany mojego przeznaczenia, nagłością służby czyli zagrażającego niebezpieczeństwa. Wszędzie ten krok mój był mile przyjęty, bo partyzanci sprzymierzeńców niemal powszechnie zagrażali komunikacyi wójsk francuskich, cóż dopiero kiedy Bawarya i Wirtemberg przeszły do sprzymierzonych.

Jakkolwiek starałem się o możliwy pośpiech i dążyłem do jen. Rigaud mającego kolumnę ruchomą piechoty, nie zdarzyło mi się spotkać tylko małe oddziały kozaków lub innej lekkiej jazdy, a Czerniszew już był ubiegł Kassel, i król się (jak mówiono, bez potrzeby) przed nim ze swej stolicy oddalił, nie broniąc ani onej ani siebie; zaś Czerniszew nie mając tylko jazdę, nie byłby w stanie zdobyć miasta Kassel.

Jakoż, skoro nieprzyjaciel się o zbliżeniu jenerała Rigaud dowiedział, zaraz, i to na różne strony się rozpierzchł, my zaś, chcąc się za Czerniszewa pomścić, w różnej dyrekcyi staraliśmy się doścignąć go. Mnie się dostała dyrekcya do Eschwegen, a ztamtąd do Wanfried,— gdy tu byłem, zjawił się podoficer od ciężkiej jazdy austryackiej, jak się zdaje z niewoli zbiegły, i rozpowiada, że Napoleon dnia 16 października straszliwie pobił sprzymierzonych a mianowicie też Austryaków pod Lipskiem . . . Ten podoficer austryacki tyle opowiadał szczegółów, a wiadomośc była nam tyle pożądaną, że zaraz ogłosiłem ją rozkazem dziennym mojej ko-

lumnie i przesłałem sztafetę do jenerała. Atoli ledwie tą radością ucieszyliśmy się, odbieram list od jakiegoś partyzanta pruskiego z Langenwalza, donoszącą mi o zupełnej porażce Francuzów pod Lipskiem i śmierci ks. Poniatowskiego, z wezwaniem czyli radą, żebyśmy Polacy za przykładem Sasów opuścili Napoleona, nam już niemogącego być pomocnym. — W odpowiedzi na ten list oburzający, kazałem do dnia siąść na koń, i z całym oddziałem 400 koni puściłem się na spotkanie i ukaranie nieproszonego korespondenta, ale musiał być zawiadomiony o naszym ruchu, bo pomimo zasadzek na niego przygotowanych, nie mógłem go zwabić ani doścignąć.— Tymczasem aż nadto rychło nastąpiło rozczarowanie radości, jaką nam był sprawił przejęty strachem podoficer austryacki. Jenerał Rigaud w odpowiedzi na moję wesołą sztafetę, przysłał mi wiadomość o przegranej batalii pod Lipskiem i rozkaz złączenia się z nim czemprędzej.

W owej bolesnej pamiętnej bitwie pod Lipskiem, nasz pułk niemało oddał według swej możności przysługi Napoleonowi, i w smutnych jej następstwach aż do Renu. O tych przeważnych wypadkach, którym nie byłem obecny, przytaczam relacye kolegów, Tadeusza Wyleżyńskiego, Joachima Hempla, Wincentego Dobieckiego i Wincentego Mikułowskiego. Dnia 16go października cały pułk był czynny, stojąc w różnych miejscach w asekuracyi armat pod niewidzianą nigdzie pierwej podobną kanonadą i nacierając częściowo w różnych miejscach, mianowicie w pomocy księciu Poniatowskiemu zajmującemu prawe skrzydło, gdzie jak wiadomo, jenerał cesarsko austryacki Mirfeld był wzięty w niewolą przez kawaleryą polską, jednakże nie wiem z pewnością czy przez gwardyą polską, czy przez jazdę księstwa warszawskiego. — Dnia 16go w wielu punktach mieliśmy powodzenie i wzięliśmy dużo niewolników, tak pisze Mikułowski; o dniu 18ym zaś wspomina Dobiecki: byłem na flankierach w miejscu gdzie Sasi nasze szeregi opuścili; z początku sądziliśmy, że idą do ataku, ale jak zaczęli strzelać do nas, ze zgrozą poznaliśmy naszę pomyłkę. Joachim Hempel dodaje: kiedy korpus saski stojący obok

nas przeszedł do nieprzyjaciela, musieliśmy wytrzymać całodzienny krzyżowy ogień, stojąc w asekuracyi artyleryi gwardyi, a ogień był tak gęsty, że były płutony, co połowę ludzi utraciły; z przyczyny leżących koni i ludzi musieliśmy kilkanaście razy zmieniać miejsce szyku, bo niepodobna było szlusować. Drugiego dnia bitwy, mówi Hempel, posunęliśmy się ku prawemu skrzydłu, to jest cała dywizya kawaleryi gwardyi (Nansouty). Skrzynecki stał z piechotą przed nami; resztki kawaleryi legii nadwiślańskiej obok nas na prawo; naprzeciwko piechota nieprzyjacielska rosyjska i kawalerya austryacka z działami, między którą pułk kirysyerów, który się posuwał do ataku na Skrzyneckiego; ale ten zamknął dwa czworoboki, a kirasyery przeszły luką chcąc uderzyć na nas, lecz później wzięli się wpół lewo i uderzyli na legią, którą z łatwością złamali, będąc w daleko przeważającej sile. Nasz pułk korzystając z przychylnej chwili, zrobił poruszenia szwadronami w prawo i uderzyliśmy na nich z flanku, a że mieli kirysy tylko z przodu, wielka dogodność dla ułanów, znieśliśmy pułk zupełnie; koni co zdążyli połapać szwoleżery przeszło 200; reszta koni uciekła z niedobitkami w tę samę lukę którędy przyszli byli, a wtenczas Skrzynecki przepuścił ich przez rózgi, ogniem z obydwóch czworoboków.

Dnia 18go, pisze Mikułowski, raz już tylko koło południa kirysyery francuskie pod dowództwem jenerała Latour Maubourg przełamali linią nieprzyjacielską, co o mało nie wzięli w niewolą cesarzów i króla pruskiego; tam gdy Latour Maubourg stracił nogę a jego kirysyery zatrzymali się, z tego powodu, kozaki gwardyi Alexandra zdążyli na pomoc monarchom.

Koło godziny 2ej z południa, w moment gdy korpus saski przechodził na stronę nieprzyjaciela, odebraliśmy rozkaz uderzenia na nich, lecz idąc do szarży napotkaliśmy tak wielkie rowy, że nim je przebyliśmy, korpus saski już był w linii nieprzyjacielskiej.

Później przeszedłszy ze środka ku prawemu skrzydłu, gdzie walczyli Polacy księcia Poniatowskiego, odpieraliśmy nieprzyjaciela silnie nacierającego, i pułk austryacki kirysyerów Sommerira, który zapamiętale prze-

szedł w odstępach czworoboków polskich i wpadł na ich armaty, pobiliśmy na miazgę i przepędziliśmy ich na błota, gdzie ich do szczętu wyzbierała piechota polska. — Pod noc przeszliśmy znowu do środka naszej linii i tam zasłanialiśmy armaty aż do zmierzchu, i pierwszy raz poznaliśmy się z racami kongrewskiemi. W tych dniach straciliśmy porucznika Komarnickiego, a porucznicy Mierzejewski, Nowicki, Roszkiewicz i Kujawski zostali ranni. Liczby zabitych i rannych podoficerów i żołnierzy nie wiem, ale była znaczna."

Z opisu bitwy lipskiej przez Tadeusza Wyleżyńskiego w Bibliotece warszawskiej, (zeszyt z miesiąca maja 1841) tyle tylko widać, że nasz pułk był rozdzielony i czynny w korpusie jenerała Nansouty i Walter przy starej gwardyi konnej, a w korpusach jenerała Lefevre de Nouettes i Ornano przy gwardyi konnej młodej, i że jenerał Dautancourt i nasz major miał także pod swą komendą pułki gwardyj honorowych francuskich *(Gardes d' honneurs)*. Może pamiętniki tego jenerała które ma ogłosić jenerał Chłapowski, wyświecą nam wiele tych szczegółów, a mianowicie ten, przez kogo jenerał austryacki komendant korpusu Merveldt był wzięty w niewolą? Ja słyszałem że przez nasz pułk, a mianowicie jednego szwoleżera był ujęty; słyszałem, atoli także jakoby przez jeźdźca polskiego z korpusu ks. Poniatowskiego. Tego ciekawego szczegółu nie mogę się doczytać, a szanowny i wysoko usposobiony jenerał dywizyi Sokolnicki, w dziełku swojem w Paryżu 1814, drukiem Bailleul ulica Ste Anne Nr. 71 wydanem: *Journal historique des operations militaires de la 7me division de Cavalerie Légère Polonaise en 1813* — lubo wspomina o walce z korpusem jenerała Merveldt, jednakże o wzięciu onego w niewolą nic nie wspomina. O dalszych wypadkach i skutkach bitwy lipskiej pisze Wyleżyński:

„Kiedy wszystkie korpusy tak morderczo walczyły na prawym brzegu Elstry pod Lipskiem, jenerał Bertrand zrana dnia 18 października wyruszył był z Lindenau do Weissenfels, w czem mu jenerał Giulaj chciał przeszkodzić; ale Bertrand żwawo natarłszy z dodaną mu dywizyą jazdy gwardyi jen. Lefevre de Nouettes,

stanął tego dnia w Weissenfels i osadził mosty na Sali; tam jenerał Wincenty Krasiński na czele pułku swego (części młodszej) atak szczęśliwie wykonał na strzelców pieszych austryackich, i odbił prowadzonych jeńców, potem ta jazda zakrywała piechotę i tabory idące już z Lipska, i ucierała się przez dzień cały z jazdą ks. Lichtenstein, i kozakami Thielmanna."

Pomimo tego chlubnego szczegółu tyczącego się 2go czyli młodszego pułku gwardyi, pod dowództwem samego jenerała Krasińskiego, koledzy Wincenty Dobiecki i Joachim Hempel opisują inne szczegóły zaszłe w oddziale, czyli pułku starszym, wówczas najwięcej przez gros majora ks. Dominika Radziwiłła prowadzonym; oto jest co mówi Dobiecki:

„Rano dnia 19go, jak tylko brzask, przeszliśmy spokojnie most na Elstrze, ale zatrzymał nas wkrótce ogień kartaczowy, z drugiej strony rzeki (Elstry?) na szosę wymierzony, gdzie Austryacy nas ubiegłszy, czterma armatami nas razili. Gdy cesarz nadjechał ze służbowym naszym szwadronem Jankowskiego, dał mu rozkaz do wzięcia tych armat; uskutecznił to dokładnie, bo przeprawiwszy się przez rzekę (?) niespodzianie napadł na piechoty 300, która miała broń w kozłach, zabrał ich i armaty, on zaś armaty i broń w rzece potopił a piechotę rozpuścił."

Kolega Joachim Hempel zaś ten wypadek, lub inny powtórny, tak opisuje:

„W odwrocie z pod Lipska ku Hanau, byłem w szwadronie służbowym cesarza pod komendą Jankowskiego; uszedłszy kilka mil (?), pokazuje się na naszej prawej za rzeką (?) na wzgórzach piechota w dość znacznej liczbie uformowana, i rozpoczęła ogień karabinowy do nas. Cesarz zatrzymuje kolumnę, wysyła kompanią saperów gwardyi dla zreparowania mostu, sapery rozebrawszy kilka domów, naprawili most. Cesarz niespokojny czy to nie jest jaki znaczny korpus, poleca Jankowskiemu przejść rzekę i wziąść niewolnika; ten wypełnia rozkaz, lubo trudne zadanie, atakować piechotę kawaleryą za rzeką; Jankowski przechodzi most elastyczny, który się uginał pod nami, zatrzymuje się w wio-

sce pod górą, a mnie (Hemplowi) poleca z jednym plutonem przejść wąwozem w bok, tak, żebym z flanku wpadł na piechotę, i koniecznie przyprowadził niewolnika (język); co szczęśliwie wykonałem, bo tak niespodzianie na nich napadłem, żem porwał między konie dwóch piechurów i cofnąłem się pod ogniem karabinowym, nie straciwszy tylko dwa konie i dwóch ludzi zostało rannych; a nawet ludzi co mieli konie zabite uprowadziłem. Cesarz dowiedziawszy się od jeńców że to tylko był jeden batalion posunięty naprzód, dał rozkaz do dalszego marszu, a Jankowskiego sam ozdobił krzyżem oficerskim legii honorowej."

Przerywając te szczegółowe opisy kolegów, zwracam się do końca pamiętnej bitwy lipskiej i straty ks. Józefa Poniatowskiego.

P. Thiers, którego dzieło ciągle mamy pod ręką, nie wspomina wprawdzie poszczególnie w bitwach lipskich o naszym pułku, ale wzmiankuje o ruchach gwardyi konnej, do której należał liczbą swoją niemal przeważnie, a tę sprawiedliwość musimy oddać p. Thiersowi, że w tej wielkiej bitwie uznaje znakomite zasługi jenerała Dąbrowskiego i jego dywizyi, tudzież szczupłego korpusu polskiego pod dowództwem księcia Józefa, oraz że tego zgon bohaterski nie parcyalnie opisuje. Wyraz p. Thiersa o zgonie Poniatowskiego wart przepolszczenia:

„*Il disparut dans les eaux, ensevéli dans sa gloire la chute de sa patrie et la notre.*"

Znikł w głębinie wody, pochowany w swojej chwale, w upadku swojej ojczyzny... i naszej.

Tu musimy zamieścić pytanie, którego dnia Poniatowski został marszałkiem państwa francuskiego? Thiers, który nie może być tej daty niewiadomym, pisze o dniu śmierci naszego naczelnego wodza 19go października, jakoby był został marszałkiem dniem pierwej, a więc 18go; zaś jenerał Sokolnicki, naoczny świadek, pisze w dziełku wyżej wspomnionem, że 15go. Tadeusz Wyleżyński naznacza dzień 16go; mała to różnica i nie jeden z czytelników naszych zna bezwątpienia ten dzień honoru narodowego, tymczasem my, nie mając pod ręką

innych dowodów, zostajemy w wątpliwości i tę tu wyrażamy.

Godzi się wspomnieć tu jeszcze o pożegnaniu Napoleona z królem saskim a naszym elektem sejmu konstytucyjnego, następnie księciem warszawskim; pięknie się o tej chwili wysłowia p. Thiers:

„*Napoleon lui avait rendu un moment le rève de ses ancètres en lui donnant la couronne de Pologne, mais à ce prix il l'avait perdue, sans le vouloir du reste comme il s'était perdu lui même! Et par surcroit de misère, de la seule chose impérissable en lui, la gloire, il ne laissait rien à cette malheureuse famille tendis, qu'aux Polonais, qu'il avait perdus aussi, il laissait du moins une part d'honneur immortel!*“ To po polsku:

„Napoleon był królowi saskiemu na chwilę przywrócił marzenie przodków, dając mu koronę polską, ale za tę cenę zgubił go — wszakże niechcący — tak jak i siebie samego zgubił! I w nadmiar niedoli, z jedynego skarbu, który w nim nie mógł być straconym — chwały — z tego nic nie zostawił tej nieszczęśliwej rodzinie — kiedy przynajmniej Polakom, których także zgubił, zostawiał udział w sławie nieśmiertelnej!“

Powracamy do smutnego pochodu pułku i ziomków naszych ku Renowi.

Podamy kolejno wspomnienia Wyleżyńskiego, Mikułowskiego, Hempla i Dobieckiego, opisujące udział, jaki nasz pułk brał w tych ciężkich okolicznościach; oto jest co Tadeusz Wyleżyński wyraża w opisaniu swojem działań wojennych po bitwie pod Lipskiem aż do bitwy pod Hanau, w Bibliotece warszawskiej miesiącu grudniu 1841, zacząwszy od str. 508 i dalszych.

„Jazda lekka sprzymierzonych posuwała się naprzód daleko, oskrzydlała armią francuską; cesarz Napoleon który szedł na Eskartsberg i Buttelstädt do Erfurtu, dowiaduje się, że hetman Płatow spieszy ubiedz Wejmar. Wysyła zatem jenerał Lefevre des Nouettes z drugą dywizyą gwardyi konnej i z dywizyą jazdy jenerała Piré, dla zakrycia tego miasta. Lefevre w 2000 koni przychodzi 22go października popołudniu pod Wejmar, i nie wiedząc kto jest w mieście, podczas gęstej mgły,

wchodzi tam niepostrzeżony z dywizyą jenerała Piré, ale napadnięty ze wszystkich stron przez kozaków Płatowa, musi uchodzić w nieładzie. Kozacy i szwadrony lekkiej jazdy austryackiej wysuwają się z miasta, pędzą jazdę jenerała Piré i rzucają się na jenerała Wincentego Krasińskiego, stojącego przed miastem z dywizyą jazdy gwardyi; ta przepuszcza przez swoje odstępy i za siebie jazdę liniową, a razem odpiera mężnie natarcie przeciwników, a potem uszykowawszy się w kolumny, otoczone chmarą kozaków strzelających ze swych janczarek, porządny odwrót uskutecznia pod Erfurt, gdzie cesarz przybył d. 23go.

Dnia 27 jenerał rosyjski Sacken natrafił między Eisenach i Vach na dywizyą gwardyi konnej jen. Wincentego Krasińskiego; chociaż w trudnem położeniu i wezwana do poddania się, utrzymała swe stanowiska do nocy i doszła bez żadnego szwanku do Vach.

Pod Hanau jenerał Krasiński z 3ma dywizyami pod swoją komendą, spędziwszy co mu stało na przeszkodzie, oskrzydlił Wredego i zajmował ciągle prawy flank armii zasłaniając Napoleona.

Kiedy się to działo na głównym trakcie od Lipska do Hanau, już 29go oddziały rosyjskie jenerała Woroncowa zajęły Kassel, a jenerałowie Czerniszew, Benkendorf, Naryszkin, oraz kozacy księcia Łopuchina i Iłowajskiego dążyły ku Holandyi, zaś jenerał Witzingerode wyszedł dnia 2 listopada z Kassel, dążąc za kolumną francuską jen. Rigaud (tą w której był piszący); jenerał Rigaud przeszedł Ren pod Düsseldorf, a jazda rosyjska zajęła to miasto d. 12 listopada."

Tyle przytaczamy z dzieła Tadeusza Wyleżyńskiego, przechodzimy teraz do pojedyńczych opisów innych kolegów:

Oto jest co pisze dalej kolega Wincenty Dobiecki:

„W odwrocie Napoleona, ciągle zasłanialiśmy główną kwaterę, nie jedząc prawie i nie śpiąc, tak że żołnierze na koniach utrzymać się nie mogli. Przeszedłszy Erfurt, między tem miastem a Fuldą, ja (Dobiecki) byłem na służbie i jechałem za cesarzem; wtem nadjechał jenerał Krukowiecki i wypytywał się mnie: „czy można

mówić z cesarzem?“ Udałem się więc do jenerała Flahaut, a gdy ten kazał jenerałowi przystąpić, ten głośno oświadczył: że całe wojsko polskie, straciwszy księcia Poniatowskiego, pragnie mieć za dowódzcę księcia Sułkowskiego. Na to cesarz przystał i zaraz kazał wydać stosowne rozkazy. Na drugi dzień przybył książę Sułkowski i oznajmił cesarzowi: że Polacy nie przejdą Renu; do czego miał go jenerał Krukowiecki namówić. W ten moment zatrzymał się cesarz, i kazał mi (Dobieckiemu) zebrać ile tylko będę mógł Polaków. A gdy ich była spora liczba, wjechawszy na wzgórek miał do nich znaną przemowę. Stałem obok Krukowieckiego, więc słyszałem jak pierwszy krzyknął: *Vive l'Empéreur! nous irons partout...* potem książę Sułkowski przybył i zaczął mówić: *Puisque l'armée de Pologne...* cesarz mu nie dał dokończyć, i przerwał temi słowy: *Allez vous en! je n'ai pas besoin...* Bolesna, (mówi Dobiecki) była mi ta scena, bom naocznie widział intrygę która poczciwego Sułkowskiego wciągnęła w tę przepaść, po której z adjutantem swoim prosto pojechał do sprzymierzonych.

Do tej sceny, opisanej przez Dobieckiego, dodaje Mikułowski:

„Gdy w resztkach korpusu polskiego objawiło się wahanie, cesarz zwołał jenerałów i dowódzców korpusów i przemówił do nich: „Że Polska odstąpioną mu będąc przez traktaty, odebraną być nie może, jak tylko traktatem, że jej los zawsze go obchodzić nie przestanie, — że ceni waleczność i poświęcenie Polaków, — zwróciwszy się zaś do naszego Dominika Radziwiłła, rzekł: „*Et vous! voulez vous me quitter?* — a ty chcesz mię także opuścić?“ na co Radziwił ze łzami odpowiedział: „*Ah! sire! pour qui me prenez vous!* ach panie! za kogóż mię masz!“..Cesarz na to z łagodnym uśmiechem: „*Je m'attandais à cette reponse*“ takiej po tobie spodziewałem się odpowiedzi!— Po tej rozmowie z Polakami pokrzepił się duch w tych walecznych szczątkach.“

Dalej pisze Mikułowski:

„Rejterada odbywała się w porządku, lecz momentu spoczynku nie mieliśmy, i od bitwy pod Lipskiem, aż

do przejścia Renu, aniśmy się rozbierali, a rzadko kiedy mogli zjeść co ciepłego."

Jeżeli taki był nacisk wojsk cofających się w kraju tak bogatym, tak ludnym, jak niemiecki od Lipska do Renu... może sobie czytelnik wyobrazić, jaki to był głód i niedostatek w r. 1812, w Rosyi a nawet i w Litwie i W. Ks. Warszawskiem....

W trzecim dniu cofania się naszego, — pisze dalej Mikułowski, gdy dał znać cesarzowi jenerał Hulot, strzegący po naszej prawej stronie przejścia małej rzeki, że zagraża nieprzyjaciel w znacznej sile, rozkazał cesarz czterem szwadronom służbowym gwardyi, pójść z pośpiechem na pomoc. Trafiło się że w tych szwadronach nie było sztabs-oficera, a ja znajdując się najstarszym kapitanem, miałem zaszczyt komenderować oddziałem jakim wówczas mało który jenerał mógł się pochwalić. Jednakże nie przyszło do rozprawy, bo nieprzyjaciel za rozwinięciem się naszem zaniechał swego zamiaru i cofnął się.

Kolega Joachim Hempel pisze:

„Pod Hanau, kiedy Bawarczyki łącznie z Austryakami chcieli Napoleonowi zamknąć drogę, pułk wykonał kilka świetnych szarży w których odznaczyło się wielu oficerów, a mianowicie kapitanowie Korycki i Mierzejewski, obydwaj ranni; tam zginął obok mnie, mówi Joachim Hempel, od kuli karabinowej młodzieniec pełen nadziei, młody Giełgud, brat późniejszego jenerała, a Dominik Radziwiłł z odniesionej tam armatniej kontuzyi w głowę, za dni kilka umarł w Lauterecken; między innemi zrobiliśmy szarżę na dragonów bawarskich, którzy byli wpadli na bateryą pozycyjną gwardyi jenerała Drouot i już rąbali kanonierów chowających się pod działa, kiedy nasz pułk przybył w samą porę, bateryą odbił, dragonów wykłuł, a baterya ocalona, na nowo rozpoczęła ogień."

Mikułowski mówi:

„Dochodząc do Hanau, nasza awangarda spotkała Bawarczyków i Austryaków zajmujących wielką drogę i lesistą pozycyą po obydwu jej stronach. Liniowe wojska bój rozpoczęły. Lecz gdy nieprzyjaciel uporczywie bro-

nił przejścia, cesarz sam przybył z gwardyami. Rozkazał kilku batalionom starej gwardyi wyrugować z lasu dywizyą bawarską, a nam oczyścić wielką drogę na której były armaty austryackie pod protekcyą swej kawaleryi. Za pokazaniem się naszem ucichła nieprzyjacielska artylerya dawszy kilka strzałów, a natomiast kawalerya, mając ubezpieczone boki przez piechotę bawarską, posunęła się ku nam. Przyszło do szarży, przepędziliśmy Austryaków, lecz gonić ich nie mogliśmy, bo las był pełen piechoty. Nadeszła nasza artylerya i stanęła na drodze, ognia dając do artyleryi austryackiej; kawalerya ich wzmocniona, rzuciła się na nasze armaty, lecz w ten sam moment silny na nich przypuściliśmy atak, a ponieważ piechota gwardyi wyparowała już z lasu Bawarczyków, przepędziliśmy o podal kawaleryą austryacką i rzuciliśmy się na dywizyą piechoty bawarskiej wyparowaną z lasu, i w niej okropną rzeź sprawiliśmy. Cała ta dywizya bawarska byłaby się nam dostała w niewolę, lecz kawalerya austryacka przyszła jej na pomoc w wielkiej sile, przymusiła nas do wypuszczenia Bawarów z naszych rąk. Jednakże od tej chwili cała linia nieprzyjacielska spiesznie cofać się zaczęła, otwierając naszej armii wolną drogę do Hanau. W tych powtarzanych szarżach, straciliśmy w zabitych i rannych niemało ludzi, zginął Giełgud porucznik, ranni byli Wąsowicz porucznik ciężko, Korycki,— ja (Mikułowski) dostałem lancą w twarz i straciłem dwa zęby. Major Radziwiłł kontuzyą z cząstki kuli armatniej odurzony i zwalony z konia, z pośród Bawarów, przez kochających go jak brata szwoleżerów, wyratowany został. Ale daliśmy się tą razą we znaki przeniewierczym Niemcom, bo drogę i pola usłaliśmy ich trupami. Pasowałem się już z oficerem bawarskim unoszącym sztandar, ale się niepotrzebnie wmięszał do tego ułan austryacki i powitał mię swoją lancą. Po tej bitwie odprawiono mię do Paryża z rannymi i nie byłem przy pułku kiedyśmy stracili najukochańszego naszego majora Dominika Radziwiłła, który od początku poznania się ze mną, a szczególniej od bitwy pod Reichenbach, był moim najserdeczniejszym przyjacielem. Krzyż oficerski Leg. Hon. odebrałem zaraz

po bitwie pod Hanau, w której komenderowałem szwadron niemal w połowie złożony z oficerów i podoficerów.“

Wincenty Dobiecki dodaje: „Pod Hanau od rana (dnia 30) zaczęła się kanonada z obu stron. Grenadyery gwardyi wypędzili Bawarów z lasu, w którymeśmy także stali; gałęzie dębowe od kul na nas spadały, dopiero około południa przybył przed mój szwadron jen. Nansouty, starzec 80letni w najparadniejszym mundurze i gwiazdami zdobny, i dał rozkaz ataku. Piechota bawarska już była wypartą z lasu, ale gdyśmy się pokazali, razem wystrzeliwszy, nie była już w stanie broni nabić, wpadliśmy więc na nią, a razem z nami jen. Nansouty; drugi batalion bawarski był wzięty równocześnie przez nasz drugi oddział, a trzeci przez dragonów gwardyi. Po tej sprawie, jenerał dobył pugilaresu i zapytał się o moje nazwisko i gdy sobie dyktował: Sobieski, jam mu tego zaprzeczył; oddał mi więc ołówek, a jam mu wyraźnie wpisał: Dobiecki. Na prawem zaś naszem skrzydle był nasz szwadron, z luźnych samych oficerów i podoficerów złożony, dowodzony przez kscia Dominika Radziwiłła, ten dostał rozkaz zdobycia armat. Trudno sobie wystawić z jaką odwagą ci koledzy takowy atak wykonali, dużo ich zginęło, kszę Radziwił dostał kartaczem w samo słońce czapki; tam zginął także porucznik Giełgud wielkich nadziei młodzieniec. Jenerał Nansouty podał mię do krzyża ofic. legii i ten mnie doszedł, gdyśmy byli pod Bergopzoom (gdzie byliśmy razem). Gdy się zmierzchło, przybył do nas jen. Flahaut z rozkazem od cesarza do jenerała Dautancourt (bo jen. Krasiński prowadził drugi nasz regiment młodszy), żebyśmy szli do miasta, a gdy się Dautancourt zapytał: czy już nieprzyjaciel ustąpił? tenże odpowiedział: *je n'en sais rien, c'est l'ordre de l'Empereur.*

Szliśmy więc na oślep całą linią do miasta, a uszedłszy 500 kroków, usłyszałem gwar niemieckiej mowy i o tem zawiadomiłem jenerała Dautancourt, obok mnie jadącego; zaledwie co to wyrzekłem, zawołano: halt! werda? i całą linią dano do nas ognia, musieliśmy się więc cofnąć do drugiego naszego oddziału kscia Radziwiłła, co się zbierał pod lasem; nocowaliśmy na pobojo-

wisku między trupami bawarskiemi, tak, że ich trzeba było usuwać żeby sobie miejsce zrobić.

Nazajutrz dostałem się na służbę do cesarza; chorągiewki od lanc tak mieliśmy zakrwawione, że je musiałem kazać w Menie płukać. Doszedłszy do Moguncyi, minąwszy Frankfurt przy moście w Kiel, kazał mi cesarz pozostać i rozdawać bilety Polakom do klasztoru śgo Mikołaja, gdzie mieli pożywienie i odzież gotową zastać; rozpuściłem więc szwadron na kwatery i stanąłem na moście dla upatrywania ziomków, a wykonawszy polecenie cesarza, udałem się do Moguncyi."

Na tem kończę relacyą kolegów o powrocie pułku z pod Drezna do Francyi, a cieszę się, że obiecane przez jenerała Chłapowskiego pamiętniki Dautancourta wkrótce te różne tu powołane szczegóły pułków uzupełnią. Tyle tylko tu dodamy, że kiedy szwadron jeden musiał być złożony po większej części z oficerów i podoficerów, to dostatecznie oznacza jakie straty poniósł nasz pułk w kampanii 1813 roku, a że w tej liczbie ani jednego nie było dezertera, to więcej jak pewna.

Wracam się do mojego zawodu w tej kampanii. Po nieszczęśliwej bitwie lipskiej odwołany przez jenerała Rigaud od mego zamiaru ścigania partyzanta pruskiego, udałem się na Eschwagen do jenerała będącego w Kassel, ztamtąd odbywaliśmy różne ruchy, mające więcej na celu nasze bezpieczeństwo jak pożytek jaki dla armii, starał się atoli jenerał zbierać wiadomości: co się działo z innemi korpusami na tyłach armii, a mianowicie z marsz. Davoust. Udaliśmy się więc przez Lipstadt aż do miasta Paderborn; okolice te błotniste, zwłaszcza w jesieni, przypominały nam Polskę i Litwę; od miasta Paderborn zwróciliśmy się na Hanau do Elberfeld ... powiatu może najpiękniejszego w całych Niemczech, co dało pochop jener. Sokolnickiemu opisać tę okolicę, — ztąd zostałem wysłany przez jen. Rigaud do Solingen, żeby tam zniszczyć wszelkie fabrykacye broni; wolno mi było i spalić to miasto... marsz na ten cel z moją kolumną gwardyi konnej miałem odbyć nocą, żeby najść miasto Solingen niespodzianie .... atoli uszykowawszy moje cztery szwadrony w nocy w rynku, wyszła do mnie

deputacya miasta, zapytując o przyczynę takiej nocnej niezapowiedzianej wizyty; gdy oświadczyłem miany rozkaz, zaczęto mi przedstawiać, że Francya nie ma lepszych patryotów jak w Solingen, że od początku rewolucyi miasto Solingen wzrosło w reputácyą i zamożność przez Francyą, że obecnie mają tysiące szpad, pałaszów, i różnej broni w komunach rządu francuskiego, owo zgoła po długich targach stanęło na tem: żem kazał spędzić wozów ilość możliwą, i na te wozy ładować wszelką broń gotową lub na ukończeniu będącą, żem dozwolił fabrykantom siadać na wozy każdy przy swoim fabrykacie, i tak zabrawszy w mieście Solingen co tylko było wyrobionego żelaziwa, z tym skarbem udałem się do Düsseldorf. Obywatele miasta Solingen widząc, że te warunki otrzymali bezinteresownie, że pogróżka ognia i niszczenia ich fabryk nie pochodziła z interesu, bo czynioną mi propozycyą pieniężną odrzuciłem z urazą, prosili mię o mój pałasz, i z tego wyjąwszy moją klingę starożytną, wprawili mi taką, jaką mieli najpiękniejszą w swoich fabrykatach, z żądaniem, żebym ją przyjął na pamiątkę, zaś na wozach ładownych rozmaitą bronią, pojechali właściciele fabrykanci z moją kolumną do Düsseldorf i sami się stawili jenerałowi Rigaud, — który ucieszony, że kilkanaście wozów różnej broni uzyskał dla Francyi, pochwalił mi mój sposób niewykonania jego słownego rozkazu i pokwapił się przeprawić tę broń na prawy brzeg Renu. Tu się rozstałem z jen. Rigaud, a przeprawiwszy się na lewy brzeg Renu pod Neuss, udałem się na Kolonią, Bonne, Coblenz, w okolice Moguncyi. W Kolonnii zastałem marsz. Macdonald, w Coblenz jen. Sebastiani, oba przyjęli mię mile i podziwiali mój powrót przez Ren w stanie tak pomyślnym. Przymaszerowawszy do stanowisk naszego pułku byłem powitany przez jenerała Krasińskiego i dowódzcę całej konnej gwardyi jenerała Nansouty z nadzwyczajną radością, przyprowadziłem albowiem sto koni naszego pułku w dobrym stanie, a trzysta z różnych pułków konnej gwardyi, które oddziały były poczytywane za stracone. Nazwiska oficerów, którzy towarzyszyli mi w tej wyprawie, były — o ile spamiętać mogę: Horaczko, Felix

Skarżyński, Cichocki, Chodakowski, Paszkiewicz, Gadon, Rymgałło. Nie pomnę nazwisk tych miejsc w których nasz pułk konsystował, ale zdaje się że sztab był jeszcze w Lauterecken, gdzie był nagle życie zakończył kszę Dominik Radziwiłł, którego już nie zastałem.

Jak tylko pułk się zreorganizował, wymaszerowaliśmy pod dowództwem majora Kozietulskiego, przez Trèves, (Trier, Trevirium) Luxemburg, Namur, Bruxelles, Malines do Antwerpii; tu weszliśmy pod rozkazy jenerała Maison; pierwsza wyprawa moja była do Berganopzoom, fortecy której pod moją eskortą dostarczano amunicyi i żywności. Ponieważ Anglicy zajmowali się obsaczeniem tego miejsca, miałem polecenie maszerować nocą z wielką ostrożnością, co szczęśliwie wykonałem; ztamtąd udał się nasz pułk do Turnhut pod komendę jenerała kawaleryi Castex, i przez niejaki czas ciągle ucieraliśmy się z różnemi oddziałami sprzymierzonych, zajmującemi Bredę. W jednym z tych podjazdów mojego dowództwa, natrafiłem na znaczny oddział kawaleryi pruskiej, która widząc nas ułanów, śmiało na nas jakoby niespodzianie znienacka nacierała, — tu według notaty Winc. Dobieckiego „trudne było wyjście z takiego położenia, ale szef szwadronu Józef Załuski donośnie zakomenderował, żeby drugi szereg dał ognia z karabinków, co gdy nastąpiło, a my uderzyliśmy z lancami na nich, w okamgnieniu nieprzyjaciel tył podał; utracił do 200 koni, bo potem konie biegały jak na pastwisku bez jeźdźców, my zaś w tem natarciu ani jednego nie straciliśmy żołnierza,“

Lubo tę okoliczność i kilka podobnych dobrze pamiętam, przytaczam tu własne słowa dawnego kolegi, dla przekonania czytelników, jak dalece może być skuteczny dawny system polski zbrojenia lancami tylko 1szy szereg, a drugi mieć zbrojny w karabinki i pałasze.

Służba ta nasza w Holandyi, dość niebezpieczna, bo coraz większe przybywały siły sprzymierzonych i wśród zimy, niedługo trwała, albowiem skoro sprzymieni do Renu się zbliżyli i przechodzić go zaczęli, zostaliśmy nagle odwołani z Holandyi i spieszyliśmy nazad przez Belgią i różne okolice północne Francyi, kierując

się najprostszą dyrekcyą do stolicy Szampanii Reims. Tu wypocząwszy trochę, odebraliśmy już rozkaz od jenerała Krasińskiego zdążającego z Napoleonem z Paryża w dyrekcyi do Chalons sur Marne, i złączyliśmy się z oddziałem naszym z Chantilly przybywającym mniej więcej koło 25go z okolicy miasteczka Vitry, a dnia 26go weszliśmy po utarczce z jazdą po większej części rosyjską, pod dowództwem jenerała Krasińskiego do St. Dizier, przyjęci przez mieszkańców z zapałem, jako wybawiciele od bardzo uciążliwych gości. Nieszczęśni nie przeczuwali ci obywatele miasta St. Dizier, że pobyt nasz nie miał być długi, i że wkrótce znowu powrócą do nich hordy najezdnicze. Opuściliśmy to miasto udając się przez Eclaron i Montierander ku Brienne, gdzie miał być Blücher. Dnia 29go maszerując z Montierander w tej dyrekcyi, przez na pół zamarzłe lesiste i dla kawaleryi bardzo trudne drogi, gdy szedłem na czele pułku, nadjechał Napoleon, i pytając mnie: „kto jestem? i kto prowadzi pułk?“ Na moją odpowiedź: że jenerał Krasiński,— odrzekł: „Czemu idziecie stępem? Komenderuj wp. kłusem!“ i sam pośpiesznie pojechał dalej,— na moję komendę: Kłusem! nadjeżdża jenerał Krasiński, i pyta mnie: Jak możesz komenderować kłusem! na takiej drodze? — Cesarz mi kazał.— Konie połamią nogi, to być nie może, i zakomenderował: Stępo! a sam pośpieszył za cesarzem wytłómaczyć mu tę okoliczność.

Prawda że droga była fatalna, ale Napoleon wiedział czego chciał: napaść z boku na Blüchera, a to jak najprędzej, kiedy się go z lasu d'Ażu (d'Ajou) nie spodziewał; i jakkolwiek droga była zła, pułk nasz i brygada, a może i dywizya dragnów z Hiszpanii przybyłych, wypadliśmy na równinę pod Brienne tak niespodzianie, że zaledwie kolumy nieprzyjacielskie piechoty i jazdy mogły zdążyć dla zakrycia zamku Brienne, gdzie była główna kwatera Blüchera, a miasto, gdzie był park rezerwowy artyleryi pruskiej. Wtenczas kiedy my zajęliśmy pozycyą flankową jazdy nieprzyjacielskiej, a dragony po przed front nasz nacierały na jazdę sprzymierzonych, kula karabinowa zraniła obok mnie stojącego Wincentego Mikułowskiego, która rana pozbawiła go

możności kontynuowania dalej kampanii, ale pomimo tego dała mu sposobność służenia Napoleonowi, jak o tem wspomnimy później. Kiedy się to dzieje na równinie między lasem d'Ajou a miastem Brienne, w spotkaniu jazdy, brygada piechoty marszałka Victor, tak szczęśliwie obiegła zamek Brienne, że ledwie samego Blüchera u stołu nie zabrała, zdobywszy cały jego kredens i wielu Prusaków z jego przybocznych,— atoli Blücher lękając się o park rezerwowy swojej artyleryi, starał się usilnie bronić miasta Brienne, w którem walka trwała do późnej nocy, i przez które nasz pułk pocieszony zwycięstwem przeciągał nie bez strzałów piechoty nieprzyjacielskiej koło 11tej godziny w nocy. Pan Thiers pisze, że w tej nocnej rozprawie Napoleon i Berthier byli w niebezpieczeństwie dostania się w ręce kozaków, czego ja miałem wkrótce doznać niemal tym samym sposobem.

Jakkolwiek bądź, zwycięstwo było świetne. Napoleon z małą bardzo armią napadł i pobił nierównie większą i dał naukę sprzymierzonym: że nie tak łatwo dostaną się do Paryża, jak im się mogło zdawać nie napotkawszy dotąd oporu. W pułku naszym zebrawszym się z różnych stron, panowała radość i nadzieja, a jenerał Krasiński wielu żołnierzy i brygadyerów odznaczonych, na moje podanie awansował.

Tymczasem kiedy ten zwycięski wypadek pod Brienne, rzucał wrażenie na konferencye w Chatillon, feldmarszałek Schwarzenberg postanowił podążyć w pomoc Blücherowi. Gdy więc Blücher nie był się przed Napoleonem dalej cofnął jak mało co za wieś La Rothière pod Tranes, zajęli sprzymierzeni częścią swoich licznych korpusów oba brzegi rzeki Aube. Nie pamiętam którą wieś nasz pułk zajmował, ale było to bez mała *Brienne la vieile*, tu tylko to chcę nadmienić, że gdy zapadł wieczór 31 stycznia, widać było szeroko rozłożone ogniska sprzymierzonych zajmujące wielki przestwór przed nami, od prawego do naszego lewego skrzydła, jak tylko okiem zasięgnąć było można. Według pana Thiersa miał Napoleon pod ręką 32, sprzymierzeni 170 tysięcy... Dnia 1 lutego rozpoczęli sprzymierzeni atak na Napoleona. Wsiedliśmy na koń kiedy ruchy ich już były widoczne,

i pułk nasz stanął we dwóch liniach w równinie między la Rothière i la Giberie. Ledwiem stanął przed frontem pułku, koń mój dzielny zaczął się pokładać; nieprzyjemne to sprawiło wrażenie na żołnierzach i może zadziwiło, atoli kazałem sobie inszego konia podać, i obracałem w żart niemiłą jakoby wróżbę. Około godziny drugiej rozpoczął Blücher żywy atak na wieś la Rothière, który trwał nieustannie z odmiennym wzajemnie skutkiem, aż do późnej nocy. Tymczasem widać było ze wszech stron przybywające i bój rozpoczynające kolumny. O godzinie 4tej wysunęła się na nas liczna kawalerya pruska; pułk nasz dwa razy na Prusaków natarł, obiema naszemi liniami, za każdem natarciem zwycięzko, ale gdy się nasi zapędzają za rozbitymi Prusakami, przyskakuje do mnie jenerał Nansouty i pokazując mi z tyłu pod lasem bateryą broniącą się przeciwko napadowi, każe mi zebrać co można na prędce i dążyć na pomoc tej bateryi. Zebrałem kompanie kapitanów Dobieckiego i Romana, i pośpieszyłem w dyrekcyi wskazanej mi przez jenerała Nansouty, ale gdy już zbliżałem się do bateryi, a śnieg zaciemniał nadchodzący wieczór, ujrzałem kolumnę jazdy, chcącą mnie attakować z flanku prawego; odłączyłem więc kapitana Dobieckiego na odparcie tej jazdy, a sam z kapitanem Romanem dążyłem do bateryi którą dowodził pułkownik Marin od artyleryi gwardyi; już była zupełna noc, oświetlona tylko wystrzałami armat; zaledwie się rozmówiłem z pułkownikiem Marin, gdy oddział jazdy, podobny do szaserów francuskich, zaczął nacierać na mnie z okrzykiem *avance! avance!* Ten okrzyk mnie zwiódł, wysunąłem się trochę naprzód i zacząłem strofować owych szaserów, że nas brali za nieprzyjaciół... lecz w ten moment zostałem obskoczony i ściągnięty z konia... Byli to Wirtemberczycy, świeżo jeszcze w szeregach francuskich walczący, którzy sobie przyswoili to niby francuskie nawoływanie, a jakiego ja padłem ofiarą oraz nocy. Kompania kapitana Romana nie zdołała mnie odbić, i baterya o ile miarkować mógłem, także zdobytą została.

P. Thiers w T. XVII. str. 253 opisując zajadłą bi-

twę o wieś la Rothière tak opisuje tę katastrofę, w której mnie spotkała niewola:

„*Pour remplire l'éspace compris entre la Rothière et la Giberie, la cavalerie de la Garde, suivie de son artillerie attelée, se jeta sur la cavalerie de Pahlen et de Wassilczyków* (byli to po większej części Prusacy), *et la culbuta sur l' infanterie de Scherbatów. Mais arretée par l'infanterie russe, chargée en flanc par un corps de dragons, elle perdit dans cette échauffourée une partie de ses canons, qu'elle n'eut plus le tems de ramener. Le prince de Würtemberg, soutenu par les gardes russes, pénétra dans la Giberie.*"

„Żeby zapełnić przestrzeń między Rothière i la Giberie, kawalerya gwardyi mając za sobą swoję artyleryą zaprzężoną, rzuciła się na jazdę Pahlena i Wassilczykowa... i przewróciła ją na piechotę Szczerbatowa. Ale zatrzymana przez piechotę rosyjską, i atakowana z boku przez dragonów, straciła w tej trudnej przeprawie część swoich armat, których nie zdążyła uprowadzić, a książę wirtemberski poparty gwardyą rosyjską, opanował la Giberie."

Zaraz zostałem zaprowadzony do królewicza wirtemberskiego,— dzisiejszego króla,— przy którym zastałem jenerała rosyjskiego Toll. Królewicz poznawszy mój mundur, zaczepił mnie gniewliwie: A to wpan jesteś z pułku tego fanfarona Krasińskiego! graliście wpp. wysoką rolę w kampanii polskiej i t. p. Trzeba wiedzieć, że jenerał Krasiński widząc w Księstwie Warszawskiem koło Poznania jakich się gwałtów dopuszczali Wirtemberczycy, skarżył ich przed Napoleonem, który z tego powodu zrobił przykrą scenę królewiczowi. Na odebrane obelgi, odpowiedziałem królewiczowi: że gdy jestem przed nim jeńcem bezbronnym, nie mnie hańbią wyrazy jego gniewu i t. p. Do tej już dość żywej rozmowy, wmięszał się jenerał Toll i rzekł niemal ze wściekłością: Widzisz mości książę! jaki to jest duch tych Polaków! a zobaczysz w. kcia mość, że nasz imperator nie każe tego pana rozstrzelać, ale go ułaskawi i przyjmie łagodnie.... Po tych i podobnych nieprzyzwoitych pogróżkach i odpowiedziach na nie, których pamięć tak

król wirtemberski jak i jenerał Toll długo jeszcze później zachowali przy niejednem ze mną spotkaniu się, zostałem odprowadzony daleko, żeby mnie może koledzy gdzie nie odbili, bo bitwa wrzała pod La Rothière i późno w noc słychać było kanonadę. Nazajutrz w jakiejś gospodzie, gdzie nam oficerom jeńcom pozwolono się posilić, zdarzyło mi się spotkać z kilku Francuzami mającymi przy kapeluszach kokardę białą i gotującymi adres do imperatora Alexandra; ostrzegłem ich żeby pamiętali na los Polski, jaki miało skutek u nas udawanie się do protekcyi obcej, i przedstawiając: że Anglia, Hiszpania, a po ścianie Renu wielu pretendentów znalazłoby się do indemnizacyi i podziału kraju który się wszystkim tyle dał we znaki... Niemałe wrażenie zrobiły te moje słowa na słuchaczach, ale nadzieja w Burbonach przemogła. Istotnie nie zwycięstwa koalicyi, ale rozdwojenie umysłów, zwłaszcza w Paryżu, było przyczyną upadku Napoleona. Nie będąc już obecnym w tych świetnych dniach pod: Champaubert, Montmirail, Chateau-Thierry, Vauchamps, Mormant, Villeneuve, Montereau, Mèry, Berry au Bac, Craonne, Laon, Reims, Fère Champenoise, Arcis sur Aube, St. Dizier, ani w tych dniach opłakanych w Fontainebleau, udaję się do wspomnień kolegów i takowych czytelnikom dziejów pułku naszego udzielam.

Oto co pisze Wincenty Dobiecki:

„Gdy pod Brienne zostałeś z bólem serca nas wszystkich jeńcem, my wytrzymawszy w rejteradzie okropny ogień, będąc w ostatniej aryergardzie, straciliśmy dużo ludzi, lecz przyszedłszy pod małe miasteczko Lesmont, oswobodzeni zostaliśmy od pogoni, bo 20 armat ciężkiej artyleryi gwardyi, przyjęło nacierających na nas, a mianowicie kawaleryą nieprzyjaciół, która nam tył brać chciała. Tak bijąc się co dzień, raz wraz z innym korpusem, nadeszła batalia pod Montmirail. Tam będąc przy cesarzu na służbie, gdy batalion pruski gnał piechotę francuską z nowo zaciężnych złożoną, i gdy mi już dwóch ludzi ubito, cesarz dał mi rozkaz atakować nieprzyjaciela; tak było blisko, żem z miejsca galopem ruszył na niego; Prusacy niespodzianie napadnięci, ra-

zem wystrzelili, i tylko trzy konie i dwóch ludzi mi ranili, a jednego zabili. Potem rzucili broń i poddali się, było ich przeszło 400.

Gdym ich prowadził, przysłał mi cesarz przez jen. Guyot zawiadomienie, że mi daje krzyż legii honorowej, a gdym temu jenerałowi pokazał, że jestem oficerem legii, powiedział mi: „*allez parler à l' Empéreur*“— idź rozmów się z cesarzem. Przyszedłem więc z boku do cesarza,—gdym kilka razy powtórzył: *Sire!* obrócił się i zapytał: „*Que me voulez vous?*“ – czego chcesz odemnie? Odpowiedziałem mu więc, że jestem kapitanem który zabrał batalion pruski.— „A więc daję ci krzyż,“ — Już mam krzyż oficerski n. panie! —„A jakiż stopień masz młodzieńcze?“(jeune homme).—Jestem kapitanem. „A więc mianuję cię szefem szwadronu.“ W tej chwili takem osłupiał, żem stał jak wryty; dopiero jenerał pociągnął mnie na stronę, bo nie miałem mocy odejść. Pułkownik od żandarmeryi wyborczej, założył mi zaraz szlifę z bulionami. W tej chwili przybył Jankowski, a dowiedziawszy się o tem co zaszło, prosił mnie, żebym to opowiedział jenerałowi Krasińskiemu, bo on i Zielonka przy pułku, tego samego dokazali co ja. Jakoż jenerał wyrobił podobne nominacye dla Jankowskiego i Zielonki. Tu trzeba nadmienić, że Jankowski gdy wpadł w środek batalionu, miał swego dzielnego konia skłótego przez Prusaków.

To wszystko możesz czytać w naszych stanach służby.

Poszliśmy potem pod Reims, gdzieśmy w nocy miasto obeszli, i na uchodzących Prusaków napadli i 300 piechoty zabrali. Stanąwszy nad samym gościńcem, gdy tak ciemno było, że o krok nie można było nikogo rozeznać, komendant pruski o dwa kroki stanął i zawołał: „Halt! wer da?“ a gdy z nas nikt się nie odezwał, zakomenderował: „Gwer ab,“ i ruszył dalej,— dopiero my z krzykiem na niego uderzyli i zabrali całą jego komendę i jaszczyków mnóstwo pruskich z amunicyą, ale że noc była ciemna, więc woźnice konie poodrzynali i uciekli z niemi.

Udała nam się ta gratka przewybornie, a cesarz na-

zajutrz ciągle powtarzał: „*Sont ils braves ces Polonais!*“ co to za zuchy z tych Polaków!

Dwie okoliczności mi są jeszcze pamiętne z tego dnia: pierwsza, że wiązka siana zapaliła się na jaszczyku tuż obok cesarza, wszyscy struchleli, ale woźnica nie stracił przytomności, zrucił siano i zadeptał, a cesarz w naszej przytomności dał mu za to krzyż legii honorowej. Druga: że taka była trudność o broń, że dla piechoty odebrano karabiny dragonom i grenadyerom gwardyi konnej, a zatem mile były widziane karabiny pruskie przez nas zdobyte.“

Przerywając dalsze wspomnienia kolegi Dobieckiego, przytaczam takowe Joachima Hempla, który mówi:

„Po przejściu Renu, trudno już wszystkie szczegóły opisać, bośmy się prawie codziennie z nieprzyjacielem ucierali; najlepszy tego dowód, że kiedy po abdykacyi Napoleona, imperator Alexander robił przegląd naszych resztek pod Paryżem, przyjechawszy przed front, zapytał: wiele jest takich pułków, bo codzień prawie na przodzie ten pułk widział?“ A gdy mu jenerał Krasiński odpowiedział: „że tylko jeden jest taki pułk“ zadziwił się Alexander nad niezmordowaną czynnością i wytrwałością naszego pułku.

Tu jednak wymienię tylko, mówi kolega Hempel,— znakomitsze wypadki. Tak np. sławne rozbicie jednym naszym pułkiem masy kawaleryi, poruszającej się ku nam w ściśnionej kolumnie bez odstępów pod Brienne,— szczegółów nie piszę, boś tam był sam świadkiem naocznym; szarżę Skarżyńskiego pod Béri au Bac, gdzie jednym szwadronem rozbił daleko większą liczbę jazdy nieprzyjacielskiej, zdobył most, i otworzył przejście całej kawaleryi gwardyi, która na drugiej stronie rzeki wykonała świetną szarżę, a pułk nasz jak zawsze szedł w pierwszej linii do ataku, i pierwszy uderzył na nieprzyjaciela, i wielką poniosła klęskę kawalerya nieprzyjacielska; bo pułk seledynowych huzarów dawniej Baurowski zwany, prawie zupełnie został zniszczony, a pułkownik tego pułku kszę Gagaryn, z wielu oficerami i 300 szeregowych dostał się do niewoli.

Pod Laon dywizya — dwa szwadrony pułku, stała w asekuracyi armat gwardyi; a chociaż nieprzyjaciel tylokrotnie poniósł był klęskę formując się w kolumny ściśnione bez odstępów, tym razem chciał jeszcze spróbować szczęścia i posuwał się do atakowania na nasze działa w kolumnie ściśniętej uformowanej z pułków dragońskich; widząc to, przeszliśmy lukami między działami, sformowaliśmy się przed frontem bateryi, i zaraz uderzyli na nich, rozbili pierwszą linią,—wiesz zatem co się z resztą stało; przepędziwszy jednak tylko paręset kroków i wysadziwszy z siodeł kilkadziesiąt ludzi, musieliśmy wrócić na swoje stanowisko, dla zabezpieczenia dział które nam były powierzone, a baterya na nowo rozpoczęła ogień.

Pod Reims kiedy Krasiński jenerał, z gwardyami honorowemi, *Gardes d'honneurs*, szalonym napadem wyparł batalion pruski z miasta, i ci cofnęli się za miasto, a że byli odcięci od swego korpusu, chcieli korzystać z nadchodzącej nocy, i uchodzić ku korpusowi,—z rozkazu Napoleona ludzie miejscowi przeprowadzili nas manowcami, tak, żeśmy ich okrążyli, nie będąc od nich spostrzeżeni; my zaś mogliśmy ku zorzy batalion w pochodzie dostrzedz; na dane hasło przez szefa szwadronu Dobieckiego, razem wystrzeliliśmy, krzyknęli hura, i strwożonych tak niespodziewanym napadem, zabraliśmy bez ich wystrzału.

Przy rozbiciu Blüchera pod Van Champs, był nasz pułk pod rozkazami jenerała Grouchy; tam rozbiliśmy dwa czworoboki pruskie, które zasłaniały odwrót ich korpusu i zabraliśmy do niewoli co pod proporcem i pałaszem nie legło.

Pod Arcis sur Aube, przy przejściu tej rzeki Napoleon był źle zainformowany przez oficera służbowego, którego był wysłał naprzód z małym oddziałem dla obserwowania nieprzyjaciela; bo ten doniósł o małych siłach, a to była armia Schwarzenberga silna przeszło sto tysięcy; przeszedłszy więc z bardzo małą siłą na drugi brzeg rzeki, zajmuje Arcis; wtem posunięte naprzód oddziały kawaleryi napadnięte przez przewyższające siły, odparte, w nieładzie cofnęły się pod piechotę, która w ma-

łej dopiero ilości przeszła była rzekę, a masy nieprzyjacielskie jazdy i piechoty posuwały się ku nam. Napoleon każe sformować piechotę w czworobok, a działa jakie miał pod ręką posunąć naprzód i dawać żywo ognia. Sam zsiadając z konia, wstępuje w czworobok Skrzyneckiego, oświadczając komendantowi i żołnierzom: „że tu jest pewny, bo w czworoboku Polaków.“ Szwadrony służbowe jenerał dyżurny rozesłał w różne punkta więcej zagrożone; mnie (Hempel) z moim szwadronem i szwadron guidów pod dowództwem mężnego szefa szwadronu Zielonki, na lewe skrzydło, gdzie młodą gwardya piesza wieś po dwa kroć odbierała, i na odwrót była wyparta przez piechotę bawarską korpusu Wredego, i polecił abyśmy korzystali ze sposobności, gdy wyjdą na czyste pole, tych atakowali i rozbili, co też szczęśliwie wykonaliśmy; bo kiedy po trzeci raz wyparłszy piechotę gwardyi z bagnetem w ręku w nieładzie gonili, dopiero postrzegłszy nas stojących za pagórkiem z spuszczonemi proporcami, zaczęli się formować, ale my nie czekając żeby się uformowali, uderzyliśmy na nich i rozbili, i do samej wsi goniąc trupem kładli, tak, że mało co uszło chroniących się za budynki; lecz doszedłszy do wsi, przywitano nas kartaczami i ogniem karabinowym, musieliśmy się więc cofnąć na powrót i uformować za pagórkiem, ocaliwszy batalion młodej gwardyi. W ciągu tego nadchodziły nam posiłki z za rzeki, i bój na całej linii rozpoczął się, na nasze szczęście z wielką niedołężnością przez Szwarzenberga, jak w ciągu całej kampanii, prowadzony, bo ten mając dwa razy przewyższającą siłę, mógł nas rzucić na rzekę Aubę. To trwało do godziny 6 wieczór; znudzony swojem niepowodzeniem, nakazuje o godzinie 6 ogólny i podwójny atak, posuwając wszystkie baterye i masy kawaleryi naprzód. Wszystkie jego usiłowania były nadaremne, bo siły nasze wtenczas powiększyły się, i mimo ciągłych ataków, wśród ciemnej nocy, przy świetle palącego się Arcis, do godziny 11 bój trwał, w ciągu którego czasu odparliśmy kilka razy w obec Napoleona kawaleryą nieprzyjacielską. Widząc Szwarzenberg niemożność złamania nas, ani oskrzydlenia, bo w tem miejscu rzeka robi załom, wstrzymał atak

i kolumny cofnął, a my przebyliśmy noc na pobojowisku. W nocy dowiedziawszy się cesarz że reszta armii koalicyjnej posuwa się ku Paryżowi, nakazał odwrót w chęci przybycia do Paryża przed nieprzyjacielem; ruszyliśmy więc ku Paryżowi, i stanęli jednym dniem, podwójnym marszem w Fontainebleau."

Tyle kolega Hempel; nim jeszcze pozostające nam wspomnienia kolegów Dobieckiego i Mikułowskiego przytoczymy, musimy tu podać do wiadomości czytelników ciekawe szczegóły o czworoboku polskim pod Arcis sur Aube i o moście pod Berri au bac.

Poważne jest dopiero co przytoczone świadectwo. Joachima Hempla o schronieniu się Napoleona do czworoboku Skrzyneckiego, i historyk Thiers zgadza sir z twierdzeniem Hempla powszechnie przyjętem, i na stę 528 tomu XVII tak mówi:

„*Entre le Grand Torcy et Arcis il y avait tout au plus trois ou quatre bataillons, au nombre desquels l'en trouvait un, polonais de nation, et commendé par le Chef de bataillon Skrzynecki, le même qui en 1830 a si noblement et si habilement defendu comme Géneral en Chef la Pologne expirante. Ce bataillon n'eut que le tems de se former en carré pour recueillir Napoleon, et le soustraire au torrent de la Cavalerie ennemie. Les Polonais fiers du précieux depôt, confié à leurs bayonnettes, tinrent ferme sous une pluye d'obus, sous les attaques répétés d'innombrables escadrons.*"

Między Grand Torcy i Arcis, nie było jak trzy, najwięcej cztery bataliony, między temi jeden polski dowodzony przez szefa batalionu Skrzyneckiego, tego samego który w roku 1830 jako wódz naczelny, tak szlachetnie i tak umiejętnie bronił sprawy polskiej konającej. Ten batalion ledwie mógł zdążyć w czworobok, i przyjąć w środek swój Napoleona, chroniąc go przed nawałem jazdy nieprzyjacielskiej. Polacy pyszni z powierzonego ich bagnetom zakładu, stali niewzruszeni pod gradem granatów, i przed powtarzanemi natarciami niezliczonych szwadronów.

Nie ubliżając bynajmniej zasłudze ś. p. jenerała Skrzyneckiego, winniśmy wyświeceniu prawdy i dalszym ba-

daniom wojskowych naszych przytoczyć: iż podano nam dowodnie, że w czworoboku czyli raczej w czworobokach polskich, w których pod Arcis sur Aube szukał schronienia Napoleon, znajdował się także dzisiaj żyjący jeszcze jenerał Muchowski, dawny legionista, jako szef batalionu; nie mając pod ręką dowodu, zostawiamy późniejszemu wyjaśnieniu: któremu z tych mężów według rangi służyło dowództwo w tych batalionach polskich: czy Muchowskiemu? czy Skrzyneckiemu? jak jest upowszechnione mniemanie. — Inna okoliczność jest ta: że wyszła w Paryżu wcale ładna rycina Martinet'a, u Jazet r. de Lancry No. 7, i u Aumont r. Jean Jacques Rousseau No. 10, wystawiająca Napoleona pod Arcis sur Aube nie wpośród piechoty polskiej, ale wpośród jazdy, mianowicie naszego pułku gwardyi — z podpisem: że szef szwadronu Skrzynecki formuje czworobok lansyerów gwardyi w około Napoleona. Ta naiwność artystów francuskich dała pochop jenerałowi Ambrożemu Skarżyńskiemu, napisania listu do ś. p. pułkownika Niegolewskiego, z Poznania 2 lutego 1855, z którego tu treść zamieszczamy, a który list wydrukowany się znajduje w dziele Niegolewskiego: *Les Polonais à Sommo-Sierra*, wydanem w Paryżu i Berlinie r. 1855 na str. 52, w przypiskach pod No. 3.

Oto są wyrazy jenerała Ambrożego Skarżyńskiego: „*Comme les noms polonais sont difficiles à prononcer pour les Français, cela leur est égal pourvu qu'ils finissent par ski. La même erreur a été commise sur la gravure de la bataille d'Arcis sur Aube, où à la place de mon nom d'Ambroise Skarżyński, on a gravé celui de Jean Skrzynecki, faisant la charge de flanc et arrêtant l'ennemi; preuve que c'est moi, et non Skrzynecki, car il n'y avait pas d'officier supérieur ni inferieur de ce nom dans le régiment, ce que vous savez le mieux en m'invitant á l'époque où a paru la gravure de redresser cette erreur par une reclamation. Les Chevaux Légérs polonais ne sont pas non plus mentionnés dans aucune description des campagnes sur l'affaire de Béri au Bac, deux jours avant la bataille de Craonne, où l'Empéreur, auprès de qui j'étais alors de service, m'envoya avec*

mon Escadron, et un Escadron de Chasseurs à Cheval de la Garde, pour enlever le Pont devant la ville. Non seulement j'ai enlevé le pont, mais j'ai tellement enfoncé l'ennemi, que je l'ai mis en deroute et poursuivi à une lieu et demie. Le resultat de la charge a été la prise du Prince Gagarine, commandant le corps des Partisans, deux pièces de canon et près de six cent chevaux, que la cavalerie du Général Pac s'est donné la peine de prendre, car nous étions occupés de poursuivire l'ennemi et de le désarçonner.

„L'Empéreur m'a nommé Baron de l'Empire pour cette charge, et a accordé pour mon escadron la croix d'officier pour le Capitaine Kiełkiewicz, deux croix de la Légion d'honneur et deux croix de chevalier de l'Ordre de la Réunion pour les Officiers, et quatre croix de la Légion d'honneur pour les Sous-officiers et Soldats.

„Combien d'autres faits d'Armes, que notre Regiment a faits sans qu'on en ait fait aucune mention! Ce qui nous console, c'est que nous avons fait notre devoir, et que nous seuls sommes restés fidèles à la cause de l'Empereur, jusqu'à Son Abdication. Votre devoué Ami et Camarade... Le Général Ambroise Skarżyński Baron de l'Empire Français, officier de la Légion d'honneur, chevalier de l'Orde militaire de Pologne et de l'Ordre de la Réunion.

Tłómaczenie wypisu z listu Ambrożego Skarżyńskiego

Gniezno z lutego 1855.

....Ponieważ nazwiska polskie dla Francuzów są trudne do wymówienia, więc mało na nie zwracają uwagi, byle się kończyły na ski. Taki sam błąd (jak Łubieńskiego z Kozietulskim) popełniono na rycinie bitwy pod Arcis sur Aube, gdzie zamiast mego nazwiska: Ambrożego Skarżyńskiego, położono: Jan Skrzynecki... wystawiając go nacierającego z boku i zatrzymującego nieprzyjaciela. Dowód, że to byłem ja, a nie Skrzynecki, jest ten: że nie było w pułku ani wyższego, ani niższego oficera tego nazwiska, o czem wiesz najlepiej, boś mnie sam namawiał do upomnienia się w czasie kiedy ta rycina się okazała.

Szwoleżery polskie nie są także wspominane w żadnym opisie rozprawy pod Berri au Bac, na dwa dni przed bitwą pod Craonne, kiedy cesarz, przy którym byłem natenczas od służby, posłał mnie z moim szwadronem i drugim szwadronem strzelców konnych gwardyi na zdobycie mostu przed miastem. Nietylko zdobyłem most, ale tak rozbiłem nieprzyjaciela, że go wprawiłem w rozsypkę i ścigałem go przez półtory mili francuskiej. Skutkiem tego natarcia było wzięcie księcia Gagaryna, dowodzącego korpusem partyzantów, dwóch armat i blisko 600 koni, które jazda jenerała Paca brała sobie dowoli, podczas kiedy my (gwardya polska) zajmowaliśmy się ściganiem nieprzyjaciela i zsadzaniem go pikami z koni.

Cesarz mianował mnie baronem państwa francuskiego za to, i udzielił na mój szwadron: krzyż oficerski dla kapitana Kiełkiewicza, dwa krzyże legii honorowej i dwie dekoracye orderu połączenia (holenderskie) dla oficerów, i cztery krzyże legii honorowej dla podoficerów i żołnierzy.

Lecz to innych czynów przez nasz pułk dopełnionych, pozostało bez najmniejszej wzmianki! Lecz co nas pociesza, jest wypełnienie naszej powinności, i że my jedni zostaliśmy wiernymi cesarzowi aż do jego abdykacyi. Przywiązany twój kolega i przyjaciel,

Jenerał Ambroży Skarżyński,
baron państwa francuskiego, oficer legii honorowej, kawaler krzyża wojskowego polskiego i orderu połączenia.

Podając to pismo jenerała Ambrożego Skarżyńskiego do powtórnej wiadomości, miło nam uzupełnić szczegóły owego sławnego zdobycia mostu pod Beri au Bac, nad którem p. Thiers na stron. 451 i 452 T. XVII się rozpływa, i czyni wzmiankę o jeździe gwardyi polskiej i jenerała Paca, ale wszystko przypisuje jenerałowi Nansouty, nie wspominając bynajmniej o Skarżyńskim, podczas kiedy kolega Joachim Hempel, — jak wyżej — całą sprawiedliwość oddaje Ambrożemu Skarżyńskiemu, — co wreszcie nikomu w pułku nie było tajnem.

Opisawszy poniekąd czynności wojenne pułku w r. 1814, i pragnąc żeby takowe były uzupełnione w dziele z druku wyjść mającem jenarała Dautancourt, lub przez kogo, więcej od nas świadomego, a jeszcze żyjącego kolegę, przystępujemy do notat kolegów Dobieckiego i Mikułowskiego tyczących się ostatnich chwil cesarza w Fontainebleau i pożegnania Francyi przez nasz pułk.

Oto jest co pisze Dobiecki:

„Cesarz dowiedziawszy się pod Vitry le Français, że cała armia nieprzyjacielska udała się do Paryża, zaraz zwrócił się ku Fontainebleau, a my dniem i nocą za nim; ale pomimo jego pośpiechu, sprzymierzeni już go ubiegli i Paryż kapitulował. Gotowaliśmy się iść na Paryż, ale to wszystko na niczem się skończyło. Cesarz abdykował a my byliśmy świadkami jak wszyscy jego jenerałowie i adjutanci uciekali do Paryża i odstępowali go ohydnie!— Gdy się to działo, dowiedzieliśmy się że Kościuszko jest o milę od Fontainebleau u Zeltnera; zmówiło się nas czterdziestu i udaliśmy się do niego; zastaliśmy tam załogę rosyjską, i ze 2000 chłopstwa pod jego opiekę się udających. Przyjął nas serdecznie, częstował nas chlebem i winem czerwonem, powtarzając, że niema niczem więcej! Zapytywał się każdego o nazwisko, a gdym mu moje powiedział, zapytał mnie: „Czy nie z Łopuszna? bo tam się z panem podkomorzym Dobieckim upić musiałem“... Madalińskiego podpułkownika także uściskał, jako syna sławnego jenerała... na pożegnanie darowaliśmy Kościuszce konia, złożywszy się na kupno od naszego oficera Vandernota siwego polskiego konika, który się był Kościuszce spodobał...

Wróciwszy z tych rozrzewniających odwiedzin, dostaliśmy rozkaz wybrania 120 koni i ochotników z naszego pułku, którzy mieli iść z cesarzem na wyspę Elbę. Już byłem stanął przed tym szwadronem z Jerzmanowskim, ale wspomniawszy na ukochany nasz kraj... i tyle do niego wiążących mnie uczuć... zawróciłem galopem do pułku.

Żeby zaś mieć jakąś pewność losu, a przynajmniej nie dostać się do niewoli... posłał jenerał Krasiński, któremu Napoleon zdał dowództwo nad wszystkiemi Po-

lakami, do imperatora Alexandra Szeptyckiego i Zielonkę; imperator przyjął ich jaknajlepiej i opiekę zapewnił; potem Kurnatowski przywiózł urzędowne potwierdzenie imperatora, i na tem się wszystko skończyło...“

Oto relacya zacnego kolegi Wincentego Dobieckiego, którego wyrazów ostatnich łzy mu obszerniej kreślić nie dozwoliły; przejdźmy do wspomnień nie mniej zacnego kolegi Mikułowskiego; oto są jego słowa: „W pierwszem spotkaniu pod Brienne, — jak pamiętasz, — stojąc obok ciebie przed frontem, dostałem postrzał w lewe udo, który mi się do dnia dzisiejszego boleśnie przypomina. Opatrzony przez naszego nieocenionego Girardota, lecz nie mogący być prowadzony za naszą armią, odesłany byłem ku Vitry, i w drodze obdarty przez maroderów północy, aż dostałem się w pewnej małej wiosce do zacnych obywateli pp. Duyretz, gdzie leżałem aż do bitwy pod Arcis sur Aube, której odgłos do łóżka mego dochodził. Znajdując się w kraju zajętym przez nieprzyjaciela, i nie mogąc jeszcze stać na nogach, doczekałem się wzięcia Paryża i katastrofy fonteneblowskiej! i z Vitry le Français zabrałem się w drogę do Paryża, z rannym pułkownikiem pruskim od dragonów p. Unruh. Od upadku Napoleona, nienawiść rojalistów wywarła się przeciwko Polakom. Niestworzone rzeczy rozgłaszali o nas i pisali jakby o rozbójnikach jakich, fanatycznie przywiązanych do swego herszta... Nie mogli nam przebaczyć naszej dla niego wierności; nikczemna ta fakcya, ciesząc się z nieszczęść kraju własnego, urągała się z naszego smutku, i gdy sprzymierzone wojska z szacunkiem na nas patrzały, oni tchnęli nienawiścią, i udawali dla nas pogardę*).

Wracałem więc do Paryża na los szczęścia i z rozpaczą w sercu, nie wiedząc co począć, jeżeli, jak chodziły pogłoski, prawdą się okaże, że Polacy wszyscy

---

*) Te to uczucia dyktowały panu Lamartine owe obyźne Polakom wyrzuty w jego dziele: *Histoire de la Restauration. Paris 1854,* na które odpowiedzieliśmy w piśmie: *La Pologne et les Polonais defendus contre MMr. Thiers, Segur, et Lamartine. Paris 1855.*

pobrani już są w niewolę, i jak bydło rozdani na kurę pomiędzy trzech swoich panów. Kiedym się zatrzymał przy ulicy St. Denis, przy mieszkaniu Pfeifra (naszego oficera ubiorczego konsystayjącego ciągle w Paryżu) by się dowiedzieć, co się z nim stało, bo w nim była jedyna nadzieja dostania kawałka chleba, byłem jakby obłąkany, tak, że poczciwy Prusak litował się nademną. Lecz jak raptownej doznałem odmiany wysiadłszy z powózki i spotkawszy kilku sług naszych oficerów powracających z Paryża do Argenteuil, i gdy ci mi oznajmili: że pułk w całości zostaje, że rozkazana jest na dzień jutrzejszy rewia przez imperatora Alexandra i naszego pułku i całego korpusu polskiego. Uściskaliśmy się z panem Umruhem jakby z bratem, i zawiózłem go do naszego hotelu Place des Victoires. Ztamtąd nie zważając na moją osobliwszą toaletę, bo byłem przybrany w odzież krótką i ciasną p. Duyretz, pojechałem do restauracyi Very, i tam zastałem kilkunastu kolegów, którzy mnie jak upiora, z podziwieniem ale najczulej i najserdeczniej powitali.

Pamiętasz szanowny mój kolego! jakie było nasze pobratymstwo, jakie między nami rodzinne przywiązanie, więc łatwo sobie wystawisz radość naszę wzajemną. Tegoż samego dnia zawieźli mnie koledzy do jenerała Krasińskiego, który ubolewał nademną, że rana moja i niepewność życia były przyczyną, że koledzy młodsi odemnie kapitanowie, Dobiecki, Zielonka, zostali szefami szwadronu. Obadwaj ci koledzy warci byli tej nagrody, a ja przestałem na swojem i przyjąłem za nagrodę miłość i współczucie ogółu drogich naszych towarzyszów broni. Nazajutrz figurowałem na tej świetnej rewii, w której wspaniałomyślny zwycięzca, przyjmował z takim zaszczytem resztki walczących przeciwko niemu Polaków. Nie wziął imperator na tę rewią z sobą żadnego cudzoziemca przez delikatność, otoczony był tylko Rosyanami i Polakami, prócz kilku Anglików...

Zaczął rewizją od nas rannych, których ustawiono pieszo na prawem skrzydle. Zsiadł z konia i każdego z nas pytał: „czego żądamy“ a ks. Wołkoński notował nasze prośby. Ja prosiłem o paszport do wód, i otrzy-

znałem go dnia następnego i chowam go dotąd. Potem imperator wsiadł na konia i zbliżył się do naszego pułku, do którego wyrzekł pochlebne słowa, przypominając że nas nie dawno z bliska widział pod Arcis sur Aube. Przejechawszy następnie przed wszystkiemi szeregami naszego połączonego polskiego korpusu, udał się cesarz do kwatery jenerała Krasińskiego, gdzie przyjął śniadanie.

Nie wiem czy pamiętasz ten szczegół? że z rozkazu wyraźnego Alexandra, polecono nam było nosić przy czapkach gałązki laurowe, co nas niezmiernie zadziwiło, bo to było niby znamię zwycięstwa ..*)

Ale o Boże! po tych latach tryumfu i chwały, do czego dzisiaj zeszliśmy! Za powrotem do Paryża dowiedziałem się od kolegów o ostatnich czynnościach pułku, który w tej genialnej i rozpaczliwej kampanii, ciągle towarzyszył nieporównanemu bohaterowi, w ustawicznych marszach i kontra marszach wszędzie był czynny i zawsze zwycięzko."

Te czynności pułku przez Mikułowskiego opisane powtarzają to co już przytoczyliśmy, dodając tylko imiennie śmierć porucznika Fichrowskiego i zranienie porucznika Żółkiewicza.

Wzmiankuje jeszcze kolega Mikułowski, że oddział naszego pułku w obronie Paryża w gazetach był cytowany, to samo słyszałem i od jenerała Dwernickiego. Wiadomo także iż jenerał Sokolnicki z szczególną, czyli raczej z przykładną ale obowiązkową gorliwością zajmował się tą nieszczęsną i tak niedołężną obroną. Nie mało mi ś. p. jenerał Dwernicki rozpowiadał o tej opłakanej obronie; zgłaszał on się pismem do pana exministra i historyka Thiersa, reklamując, żeby w dziele swojem oddał sprawiedliwość Polakom, którzy za Francuzów walczyli pod Paryżem, i oto jest odpis sławnego dziejopisa:

„*Paris le 26 octobre 1856. — Mon Général, Vous avez bien voulu m'adresser quelques pages de notes sur*

*) Kolega mocno się mylił; to było oznaką, że wojsko polskie już się poddało, bo przyjęło godło używane przez całą koalicyą.

ce qui s'est passé à l'armée où Vous Vous trouviez pendant les deux journées qui ont précédé l'entrée des Etrangers à Paris — Une absence assez prolongée m'a empêché de Vous accuser plutôt reception de Votre envoy — Veuillez agréer mes remercimens pour la communication de cet intéressent document, dont je prendrai du nouveau lecture au moment ou je livrerai à l'impréssion le recit des évenemens de 1814.

Je me félicite Monsieur le général d'avoir laissé dans Votre memoire un souvenir qui ne me soit défavorable; le vif intéret que je n'ai cessé de porter aux nobles débris de la malheureuse Pologne m'a toujours guidé, lorsque j'ai eu à prendre des décisions concernent Vos compatriotes, pendant ma présence au pouvoir.

Recevez je Vous prie Monsieur le général l'assurance de ma considération la plus distinguée. A Thiers.

A Monsieur le général Dwernicki à Léopol.

Tłómaczenie listu p. Thiersa do jenerała Dwernickiego,
Paryż 26 października 1856.

Mości jenerale! Raczyłeś mi przesłać kilka stronnic wspomnień o wypadkach zaszłych w korpusie wojska w którym się znajdowałeś przez dwa dni poprzedzające wejście cudzoziemców do Paryża. Oddalenie dość przedłużone, niedozwoliło mi przyznać jenerałowi otrzymania jego posyłki.

Chciej przyjąć moje podziękowanie za udzielenie mi tego cennego dokumentu, z którego powezmę użytek w chwili gdy oddam do druku opowiadanie wypadków roku 1814.

Mam sobie za szczęście panie jenerale! że zachowałeś pamięć moją korzystną dla mnie. Zawsze mną powodował czuły udział dla szlachetnych szczątków nieszczęśliwej Polski, przez czas mojego zostawania przy władzy.

Przyjmij panie jenerale
zapewnienie mego najwyższego szacunku,
A. Thiers.

Do p. jenerała Dwernickiego we Lwowie.

Otóż miodosłowny p. Thiers, nie więcej wspomniał o Dwernickim i o Polakach w bitwach pod Paryżem, niżeli o Somo-Sierze, jak był także listownie obiecał Niegolewskiemu. Nie mamy powodów zaprzeczenia żeby p. Thiers jako minister nie był użyczył jakiej pomocy emigracyi polskiej, ale co się tyczy politycznej strony jego historyi, widoczną jest, że upadek Francyi skutkiem wojny 1812 roku przebrał miarę uczuć pana Thiersa, i że niesprawiedliwy ma żal do Polaków, jakoby oni byli przyczyną upadku Napoleona a następnie Francyi. Nie tu jest miejsce rozbierać tę kwestyą i walczyć z historykiem Napoleona... czekamy na to jego ostatniego tomu obejmującego klęskę pod Waterloo, zobaczymy wreszcie czy może tam pan Thiers dotrzyma słowa danego Dwernickiemu i Niegolewskiemu? Kiedy Francuzi jeden po drugim opuszczali zbawcę ojczyzny i swego dobroczyńcę tak dalece, że nawet nieodstępny kolega wszystkich zwycięstw Berthier, i pieszczony satellita Rustan, go odstąpili.... Polacy starali się dawać dowody rzetelnej wdzięczności, dawnemu jenerałowi nieodżałowanego Józefa Sułkowskiego, twórcy legionów, Annibalowi dwóch wojen polskich, nieszczęśliwemu w końcu jak ten zwycięzca Rzymu... Starali się Polacy jedni, dawać mu dowody niezmiennej miłości, jak szef szwadronu Paweł Jerzmanowski, kapitan Baliński, porucznikowie: Koch, Fiutowski, Skowroński, (nie pamiętamy wszystkich) którzy towarzyszyli mu na wyspę Elbę; drudzy rozstać się z nim, ze łzami w oczach a z dopełnieniem wszelkich obowiązków czci i honoru.

Nie wiemy gdzie był natenczas najgodniejszy jenerał Dąbrowski? Zdaje się że odniesione w boju rany, oddaliły go od Fontainebleau, a tak Napoleon powierzył naczelne dowództwo wszystkich szczątków wojska polskiego, nieodstępnemu towarzyszowi swoich trudów jenerałowi dywizyi Wincentemu Krasińskiemu.

Pożegnali zaś bohatera aż w ostatniej chwili rozstania się jenerałowie: Sokolnicki, Pac, Kurnatowski i pułkownik Stanisław Wąsowicz, ten towarzysz jego podróży od Smorgoni do Paryża i nieodstępny do końca

officier d'ordonnance, trzeci tego zaszczytnego urzędu po Falkowskim i Chłapowskim z naszego narodu.

Wracając się do mnie, po owem spotkaniu się z legitymistami może w Bar sur-Aube albo w Chaumont, zostałem wcielony do kolumny jeńców gdzie zastałem pułkownika od gwardyi pieszej i dwóch szwoleżerów z naszego pułku; to oboje było wielką pomocą w nieszczęściu: towarzystwo znakomitego oficera i przysługa dwóch znajomych rodaków; żałuję mocno że notaty ich nazwisk straciłem i przypomnieć sobie nie mogę, ale od tego miejsca już oddalonego od pól bitwy aż do Bazylei we Szwajcaryi, nie doznałem nigdzie tej nieżyczliwości dla Napoleona i dla Polaków, o jakiej pisze kolega Mikułowski. Uczucia Francuzów dla Napoleona i jego przyjaciół, nie były we Francyi jednakowe; prowincye które poznały mniemane dobrodziejstwa koalicyi, były przeciwnego zdania legitymistom, i wszędzie nas przyjmowano z udziałem i ubiegano się o sposobność dawania nam ulgi, zwłaszcza podwód do transportu. W Bazylei jako Polak zostałem zaopatrzony pasportem do Drezna, gdzie zastałem niemało Polaków, a między innymi ministra Staniława Potockiego. Jenerał rosyjski Guryew opatrzył mnie pasportem do Warszawy, dokąd się przez Poznań dostałem. Kolumna wojska polskiego wracała tymczasem pod dowództwem jenerała Krasińskiego z Francyi. Zdarzył się w tym pochodzie wypadek dla jenerała Krasińskiego zaszczytny, który obecny Mikułowski tak opisuje:

„Wiesz zapewne o kastrofie w *Kotbus*, której świadkiem byłem, gdyż jako jeszcze cierpiący na ranę, wracałem w powozie jenerała Krasińskiego. Swawola i podłość brygady pruskiej i jej dowódzcy Szlązaka Blendowskiego, o mało nas nie pozbawiły kochanego naczelnika, który dał dowód wysokiego umiarkowania, wstrzymując zemstę całego korpusu, chcącego w pień wyciąć podłych napastników, za sromotne i tak ciężkie zranienie jenerała Krasińskiego cięciem pałasza w czoło, kiedy ten wyszedł do nich i w złamanej niemczyznie starał się ich uspokoić. Scena ta mogła sprowadzić ważne konsekwen-

cye, jednakże Prusacy, widząc że korpus polski ze wszech stron przybiegał nam w pomoc do Kotbus, kapitulowali z nami, i uwolnili nas tego dnia samego od nienawistnej swej przytomności."

Kiedy Poznań i każda osada księstwa warszawskiego przyjmowała powracających z pól chwały braci z rozrzewnieniem, wyjechałem i ja z Warszawy do Łowicza na spotkanie pułku, i zostałem od niego i od jenerała dowódzcy miłe przyjęty, towarzyszyłem mu więc w tryumfalnym marszu do Warszawy, o którym wspomina Niemcewicz, w śpiewie: Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego:

„Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

Skoro lud postrzegł, jak wzdęte wiatrami,
Białe z czerwonem proporce migają,
Wstrzęsło się miasto radości głosami:
Nasi wracają!"

Ten to był ostatni akt pułku gwardyi polskiej Napoleona I., jego to proporce pozdrawiały Warszawę, i oddawały cześć ostatnią naczelnemu wodzowi Polaków, marszałkowi cesarstwa Francyi, Poniatowskiemu. Tu się kończy opowiadanie moje, urywkowe, niedokładne, o ile pamięć nie tyle obciążona wiekiem, jak przygodami ciągłej żałoby, skojarzyć podołała. Kończę ten obraz świetny ale posępny, zwróceniem uwagi czytelników na rycinę szwoleżera polskiego wyobrażonego na kuli ziemskiej, z tym podpisem:

„Po całej prawie ziemi, pod obcemi znaki,
„Dla swego tylko kraju walczył żołnierz taki."

i powtarzam z mężnym Joachimem Hemplem tę jego uwagę:

„Dowód najlepszy że nasz pułk był czynny, jest ten, że podług kontroli u dowódzcy pułku istniejącej, można się przekonać, że pułk spotrzebował do kompletowania się w przeciągu niespełna lat 8, dziesięć tysięcy ludzi.“

Siedliszowice dnia 24 września 1860.

Józef Załuski.

DODATEK

DO

WSPOMNIEN

O PUŁKU GWARDYI POLSKIEJ

NAPOLEONA I.

I.

WITANIE NAPOLEONA

w roku 1806.

nieznajomego Autora.

Co za opatrzność nad nami!
Ojczyzna ma być dźwigniona,
Witajmy czułości łzami
Wielkiego Napolaona!

Dni szczęśliwe odtąd liczym...
Jak Stworzyciela rzekł słowy:
„Lat dwanaście byłaś niczem:
„Polsko! nadam ci byt nowy,“

Już w brzegach Warty i Wisły
Błysnął miecz Jego zwycięzki,
Zjednoczmy nasze umysły,
Pamiętni na dawne klęski.

Tak Bóstwo, pełne dobroci,
Co się nędznym opiekuje,
Dumę najeźdźców ukróci
I więzy nasze rozkuje.

Złóżmy mu wdzięczności pienia,
Niech żyje Polski obrona!
Niech czczą późne pokolenia
Wielkiego Napoleona!

II.

MARSZ

dla pułku gwardyi w roku 1807,
przez
porucznika Załuskiego.
(Nóta była porucznika Brockiego).

Zajaśniał dzień pożądany!
Znak marszu trąba wydała:
bis Niech żyje Cesarz kochany!
Niech go wielbi ziemia cała!...

Gdy Polak, krusząc swe pęta,
Wzywał swych braci do pracy,
bis Każdemu śmierć była święta,
Wszyscyśmy byli Polacy!...

Teraz, gdy wolność szczęśliwa
Znowu Polsce przywrócona,
bis Wdzięczna Ojczyzna nas wzywa,
Walczyć za Napoleona.

Ciągnąc przez nowe krainy...
Męstwo naszem hasłem będzie,
bis Niech znają ziem obcych syny,
Że Polak: Polakiem wszędzie!

Uczestnicy wspólnej pracy,
Pod jednym żyjąc rozkazem,
bis Wszyscy bracia, bo Polacy,
Kochajmy się wszyscy razem!

Wodzu, od wszystkich kochany!
Co idziesz przód krwawym śladem,
bis Tyś nam od zbawcy nadany...
Za twoim pójdziem przykładem.

III.

MARSZ

dla pułku gwardyi polskiej w roku 1808,

przez

Ludwika Osińskiego.

(Na nótę z opery *Przerwana ofiara:*)

„Powracajcie cni rycerze“

Idźmy, gdzie mąż wielki wzywa,
Idźmy odwagą zagrzani;
Już i ztąd chwały przybywa,
Żeśmy od niego wezwani.

Ojczyzna w ręce swych synów
Drogie nadzieje powierza...
Cóż silniej do mężnych czynów
Może zapalić żołnierza?

Poniesiem na dzielne sprawy
Dwa wielkie cnoty natchnienia:
Hasło dawnej przodków sławy,
I braci naszych życzenia.

Ta droga nas nie omyli,
Pójdziemy ubitym torem;
Bracia go nasi znaczyli
Krwią, odwagą i honorem.

Któreż już nie znają kraje
Oręża naszego mocy,
I tam, gdzie słońce powstaje,
I wśród głębokiej północy?

Odwiedźmy nasze ozdoby,
Zabytki Sarmatów męztwa,
A... rozrzucone ich groby
Uczyć nas będą zwycięstwa.

Ty Boże! coś ojcom sprzyjał,
Coś wsławiał Sarmacką ziemię,
Czemużbyś wnuków omijał?
Wszakżeśmy to samo plemie.

Plemie, co w świetnej ozdobie
Niosąc ci ofiar tysiące,
Z przybytków, poświętnych Tobie,
Harde ztrącało miesiące.

Idźmy!... lecz na cóż te żale?...
Nie możnaż się czuciu wzbronić?
Przebóg! w tak smutnym rozdziale
Wolno rycerzom łzy ronić!

Już trąba wyjazd ogłasza,
Nadchodzi przykre rozstanie...
Zostań tu zdrowa krwi nasza,
Zostań: przyjaźni, kochanie!

Nie płaczmy nad naszym losem,
Do chwały nam trzeba spieszyć,
I raczej sławy odgłosem
Stęsknione serca pocieszyć.

Nie będziecie nas płakały
Matki, siostry i kochanki!
Bo sama śmierć, w polu chwały,
Szczęściem jest prawej Słowianki.

Gdziekolwiek na obce brzegi,
Wezwane marszu rozkazem,
Pójdą te męzkie szeregi,
Ojczyzno! ty znami razem.

Twój orzeł leci przed nami,
Ku słońcu lot swój kieruje,
Ztamtąd wziętemi ogniami
Piersi Lechitów zajmuje.

Biegniemy: — W ojczystą stronę
Zwracając troskliwe oczy:
Serca, miejscem podzielone,
Braterska miłość jedneczy.

Przyjdzie czas, gdy na tej ziemi,
Wśród świetnych zwycięztwa znaków,
Ujrzymy się szczęśliwymi:
Polacy... w pośród Polaków.

IV.

Śpiew żołnierski
dla gwardyi Napoleona,

w biwaku pod Brywiecką roku 1808,

por. Załuskiego.

(Obejmujący szczegóły, jak się ten pułk formował).

Bodaj Bóg dzień błogosławił,
W którym żołnierzem zostałem!
U pułkownikam się stawił
I w kontrol się zapisałem.

Pamiętam, tego wieczora,
Z kamratami na teatrze,
Głośniej już wołałem: fora!
I śmielej po lożach patrzę.

Po balecie do Szyllera
Nowych kolegów prosiłem,
Dobrze mi szła karyera...
Razem się z nimi upiłem.

Nazajutrz, o siódmej z rana,
Na apel do koszar spieszę...
Witam, w myśli kapitana,
I już się awansem cieszę...

Fraczek miałem granatowy,
U butów sztylpy angielskie.
Zdejmując kapelusz z głowy,
Witam grono przyjacielskie.

W tem, wachmistrz z boku nadchodzi,
I, „co ja za jeden?“ pyta...
— Dowiesz się wacpan dobrodziej,
Niech pan tę kartkę przeczyta! —

„Czemuś wacpan nie ubrany?
Czy się tam chcesz ekwipować?
Jużeś w kontrol zapisany,
Potrzeba służby pilnować,“

Zdziwił mnie ton jegomości...
Coś mu odpowiedzieć chciałem,
On odszedł — a ja ze złości
Ledwie, że nie oniemiałem!

Jeszcze stałem odurzony..
Kiedy trębacz apel głosi,
Wachmistrz krzyczy najerzony,
Każdy fuka, nikt nie prosi...

Stoi pierwsza, stoi druga,
A ja, o nie wielki dystans....
Kiedy każdy na mnie mruga,
Stoję sobie en subsistans.

Dopierom poznał żołnierkę,
Gdy po tej ceremonii,
Wziąwszy szpencer, furażerkę,
Poszedłem do kompanii.

Zaraz.. kolegów gromada..
Obstąpiwszy mnie łaskawie,
„Czy drwi ze mnie? czy mi rada?
Myślę, — poznam to na kawie.

Jako chłopiec, co żyć umie,
Nie bacząc, czy starczą grosze?
Wesoły w kolegów tłumie,
Po kawie na obiad proszę...

Obiad jemy Rozengarta,
A po nim lody Lesslowskie...
Wypadła nam z głowy warta,
A z nią koszary mirowskie...

Trwał ten bankiet przez dzień cały,
Rozstajem się po północy...
Dryndułki się rozjechały...
Nie sposób stać o swej mocy...

Próżno do dom iść próbuję...
Przespałem się na kanapie...
Trębacz apel wytrębuje,
A ja sobie jeszcze chrapię...

Sen był tak smaczny i długi,
Żem nie wstał, jak koło trzeciej...
A tak już na apel drugi
Pan gardzista co tchu leci...

Miałem się tam po co spieszyć!
Przez prędkość... żem kozę kupił...
Lecz mnie to może pocieszyć,
Żem się w niej drugi raz upił.

Bracia! koza was nauczy:
Nie znać biedy, ni frasunku;
Mnie kiedy bieda dokuczy...
Natychmiast ją topię w trunku!

Czy dyżury, czy szyldwachy
Odbywać mi przychodziło,
Nigdym nie opuszczał flachy,
Wino me rany goiło.

Teraz, czy to na wedecie
Stać przyjdzie, czy spać na słocie,
Jam wesół i śpiewam przecie,
Tylko flaszka jest w robocie.

Bodaj Bóg dzień błogosławił,
W którym żołnierzem zostałem,
U pułkownikam się stawił,
I w kontrol się zapisałem!

(Nóta była porucznika Alexandra Brockiego).

V.

Marsz
kapitana Załuskiego,
dla Polaków powracających z Hiszpanii w roku 1812.

(Nóta znanego marszu żołnierskiego).

Żołnierze Napoleona,
Polskich ojców, polskie syny,
bis { Pójdziemy z ojczyzny łona
Zbierać zwycięztwa wawrzyny!

Czujmy wielkość przeznaczenia,
Jakie nam niebo zesłało,

bis { A pewni Polski zbawienia,
Walczyć za nią idźmy śmiało!

Szczęśliwy! kto śmiercią chwały
Legł, gdzie Tag lub Dunaj płyną,
bis { Szczęśliwszemu niebo dało
Poledz nad Dnieprem, lub Dźwiną!

Dniu radośny! dniu szczęśliwy!
Gdy utęsknione źrenice
bis { Ujrzą pierwsze polskie niwy,
I święte kraju granice!

Witaj! ziemi o ulubiona,
Serc naszych przedmiocie drogi!
bis { Witajcie! polskie znamiona
I ojcowskich domów progi!

Przyjmujcie nas, siostry! matki!
Przyjmujcie bracia życzliwi!
bis { Weselcie się młode dziatki!
Błogosławcie nas sędziwi!

A wy towarzysze broni,
Sławni krajowym orężem!
bis { Dajcie rękę naszej dłoni,
Pójdziem razem i zwyciężym!

Jednym zagrzani zapałem,
Jednym podźwignieni losem,
bis { Jedni duszą, jedni ciałem,
Wykrzyknijmy jednym głosem:

Żołnierze Napoleona, – – – –
Polskich ojców, polskie syny,
bis { Pójdziemy z ojczyzny łona
Wygnać hydne Moskwiciny!!

VI.

MARSZ

trębacza pułku gwardyi polskiej,

w latach 1813 i 1814, gdy wkraczano do miast i wsi na kwatery.

Witamy was,
Witamy was!
Jeżeliście nasi, kochajcie nas!
Kochajcie nas!

Witamy was,
Witamy was!
Jeżeliście wrogi, szanujcie nas,
Szanujcie nas!

Do zwycięztw przywykli wkraczamy do was!
Obejścia względnego żądamy po was —
A wy się nic złego,
A wy się nic złego
Nie bójcie od nas.
Do zwycięztw przywykli wkraczamy do was,
Polacy po świecie wojujemy was,
My za Polskę naszą
I za sławę naszą
Wojujemy was;
Ale nas nie wiedzie zysku chęć do was;
Obejścia względnego żądamy po was.

Do jenerała Józefa Załuskiego,

mojego towarzysza broni.

Nad grobem braci, przyjaciół, kolegów,
Męztwa i sławy zawiesiłeś wianek,
Przed nim uklękną ostatki szeregów,
W nim, dla nich życia zawoni poranek.

Jak głos, rzucony w bezludne zwaliska,
Wraca samotny, obiegłszy do koła,
Tak, kiedy serce kolegów zawoła,
Pamięć już tylko powtarza nazwiska.

Już za granicą wspomnień i pamiątek
Co raz nam ciszej, co raz puściej w życiu,
Gdzie niegdzie tylko, jak kłos w gradobiciu,
Z proporcem w ręku stoi jeszcze szczątek.

Lecz w kłosie ziarno—nie może pójść marnie:
Padnie powoli na ojczystą ziemię —
A w Bogu wiara, i w ziemi i w ziarnie,
Polskich ułanów nie zaginie plemie.

Lwów dnia 12 czerwca 1857.

Alexander Fredro.

Pomyłki druku

w dziele

Wspomnienia o pułku lekko-konnym polskim

GWARDYI NAPOLEONA I^go.

Str. 9 wiersz 6 z dołu zamiast: *d ans* czytaj: *dans.*
Str. 16 wiersz 16 z góry zamiast: *jeździe* czytaj: *jeździe.*
wiersz 13 z dołu zamiast: *Cheveau* czytaj: *Chevaux.*
wiersz 19 z góry zamiast: *de gardes* czytaj: *des gardes.*
Str. 20 wiersz 12 z dołu zamiast: *Dreźnie* czytaj: *Dreźnie.*
Str. 27 wiersz 9 z góry zamiast: *ce qui* czytaj: *ce qui.*
Str. 33 wiersz 10 z dołu po: *Piotr Krasiński* dodaj:: *były kapitan pułku.*
Str. 34 wiersz 22 z góry zamiast: *Peleretzki* czytaj: *Poleretzki.*
wiersz 14 z dołu zamiast: *Marczewski* czytaj: *Marczyński.*
Str. 35 wiersz 13 z góry zamiast: *sta nych* czytaj: *sławnych.*
Str. 36 wiersz 15 z dołu zamiast: *hnzarską* czytaj: *huzarską.*
Str. 40 wiersz 6 z góry zamiast: *z tej szarży* czytaj: *w tej szarży.*
wiersz 11 z góry zamiast: *drzewa* czytaj: *drzewca.*

Str. 41 wiersz 8 z góry zamiast: *żytnim* czytaj: *żytnim.*
wiersz 21 z góry zamiast: *książe* czytaj: *książę.*
wiersz 17 z dołu zamiast: *najwyższe* czytaj: *najwyższe.*

Str. 42 wiersz 12 z góry zamiast: *z jego pułku* czytaj: *w jego pułku.*

Str. 43 wiersz 3 z dołu zamiast: *Mozajskiem* czytaj: *Możajskiem.*

Str. 44 wiersz 4 z dołu zamiast: *sciągnęło* czytaj: *ściągnęło.*

Str. 45 wiersz 9 z góry zamiast: *ô arte* czytaj: *o arte*; w tym samym i następnym wierszu zamiast: *cuatesquier* czytaj: *cualespuier.*
wiersz 15 i 16 z góry zamiast: *Compendeo* czytaj: *Compendio.*

Str. 48 wiersz 15 z góry zamiast: *żyją* czytaj: *żyjący.*

Str. 49 wiersz 12 i 13 z dołu jest błędny podział zgłoski; być powinno *Jerz-manowskiego* nie *Je-rzmanowskiego.*

Str. 50 wiersz 3 z dołu zamiast: *zostaliśmy* czytaj: *zastaliśmy.*

Str. 51 wiersz 18 z góry zamiast: *przyjętemi* czytaj: *przyjętymi.*

Str. 52 w przypisku wiersz ostatni zamiast: *odu,* czytaj: *rodu.*

Str. 53 wiersz 19 z dołu zamiast: *Franeais* czytaj: *Français.*
wiersz 17 z dołu zamiast: *że* czytaj: *że.*

Str. 58 wiersz 2 z dołu zamiast: *Jaukowski* czytaj: *Jankowski.*

Str. 60 wiersz 19 z dołu zamiast: *ze swoimi* czytaj: *za swoimi.*
wiersz 14 z dołu zamiast: *Seger* czytaj: *Segovię.*

Str. 64 wiersz 1 z dołu po: *nie pomnę* dołóż: *poległ w r. 1813 pod Weissenfels.*

Str. 65 wiersz 7 z dołu zamiast: *którego imienia nie pomnę* czytaj: *Mikołaj.*

Str. 67 wiersz 11 z dołu zamiast: *to także* czytaj: *tu także.*

Str. 68 wiersz 9 z dołu zamiast: *excekucyi* czytaj: *exekucyi.*

Str. 69 wiersz 6 z góry zamiast: *eskadron* czytaj: *eskadrom.*

Str. 81 wiersz 13 z góry zamiast: *z którycheśmy* czytaj: *w którycheśmy.*
Str. 82 wiersz 23 z dołu zamiast: *Rollin* czytaj: *Raulet.*
Str. 100 wiersz 19 z góry zamiast: *żywe* czytaj: *żywe.*
Str. 102 wiersz 3 z góry zamiast: *ale* czytaj: *lubo.*
Str. 105 wiersz 8 z góry zamiast: *Pennas* czytaj: *Peñas.* *)
Str. 112 po tytuliku rozdziału dodaj: *1809.*
Str. 128 wiersz 15 z góry zamiast: *upay* czytaj: *upały.*
Str. 132 wiersz 6 z dołu zamiast: *Pokorskiego* czytaj: *Pomorskiego.*
Str. 134 wiersz 6 z góry zamiast: *koryskańską* czytaj: *korsykańską.*
Str. 141 wiersz 7 z dołu zamiast: *nad drzewem* czytaj: *pod drzewem.*
Str. 144 wiersz 3 z dołu zamiast: *pod Dunaj* czytaj: *nad Dunaj.*
Str. 146 wiersz 20 z góry zamiast: *organem* czytaj: *organom.*
Str. 147 wiersz 13 z góry zamiast: *jaki daje* czytaj: *taki daje.*
wiersz 4 z dołu zamiast: *kilkadziesiąt* czytaj: *kilkudziesiąt.*
Str. 519 wiersz 9 i 10 z dołu zamiast: *w wspomnieniu siódmem* czytaj: *w §fie siódmym.*
Str. 161 wiersz 9 z dołu zamiast: *W Lincu* czytaj: *Od Lincu.*
Str. 163 wiersz 5 z góry zamiast: *Witembergu* czytaj: *Wirtembergu.*
Str. 175 wiersz 14 z góry zamiast: *nadchodzą* czytaj: *nachodzą.*
Str. 179 wiersz 16 i 15 z dołu zamiast: *odpowiedział przedewszystkiem*: *Bardzom* czytaj: *odpowiedział*: *„Przedewszystkiem bardzom.*
Str. 193 wiersz 1 z dołu zamiast: *impone* czytaj: *imponer.*
Str. 195, 197, 199 wiersz 14 z dołu zamiast: *Pisnergi* czytaj: *Pisuergi.*

---

*) *Peñas* czyta się polsku *Penias.*

Str. 197 wiersz 17 z dołu zamiast: *Polier* czytaj: *Porlier.*
Str. 199 wiersz 1 z góry zamiast: *łuki* czytaj: *luki.*
Str. 204 wiersz 18 z dołu zamiast: *alcalda* czytaj: *alcalde.*
Str. 209 wiersz 19 z dołu zamiast: *Casroxeriz* czytaj: *Castroxeriz.*
Str. 212 wiersz 12 z góry zamiast: *różni* czytaj: *różni.*
Str. 213 wiersz 5 z góry zamiast: *można* czytaj: *można.*
Str. 219 wiersz 11 z dołu zamiast: *Voison* czytaj: *Loison.*
wiersz 3 z dołu zamiast: *Alfnatis* czytaj: *Alfuatis.*
Str. 220 wiersz 12 z dołu zamiast: *Villaloa* czytaj: *Villalon.*
Str. 230 wiersz 16 z dołu po: *podobno* dołóż: *Stanisław.*
Str. 231 wiersz 7 z góry zamiast: *jeźdźcem* czytaj: *jeźdźcem.*
Str. 234 wiersz 12 z dołu zamiast: *aliés* czytaj: *alliés.*
Str. 237 wiersz 5 z dołu zamiast: *ciemnotę* czytaj: *ciasnotę.*
Str. 246 wiersz 15 z dołu zamiast: *Sułkowskiemu* czytaj: *Sułkowskiego* i dodaj: *(ma się rozumieć Bonapartemu).*
Str. 248 wiersz 13 z góry zamiast: *pierwszego szwadronu* czytaj: *jednego szwadronu.*
Str. 249 wiersz 2 z góry pp: *pewnego dnia,* dodaj: *jeszcze przed powstaniem Kościuszki.*
Str. 255 wiersz 13 z góry zamiast: *księcia* czytaj: *króla;*
w przypisku zamiast: *Henau* czytaj: *Hanau.*
Str. 256 wiersz 7 z dołu zamiast: *Voilac omme* czytaj: *voilà comme.*
Str. 257 wiersz 2 z góry zamiast: *miału* czytaj: *miała.*
wiersz 4 z góry zamiast: *nie mógł opuścić* czytaj: *nie mógł nie opuścić.*
wiersz 6 z dołu po słowie: *w piechocie* domieść: znak pisarski;
wiersz 2 z dołu zamiast: *Platonowi* czytaj: *Platowowi.*
Str. 259 wiersz 5 z dołu zamiast: *de bonnheur* czytaj: *de bonne heure.*
Str. 260 wiersz 14 z dołu zamiast: *Semenowskojo* czytaj: *Semenowskoje.*

Str. 262 wiersz 10 z dołu zamiast: *jazdy* czytaj: *koni.*
Str. 263 wiersz 8 z góry zamiast: *pojeździe* czytaj: *podjeździe.*
Str. 263 wiersz 2 z dołu po słowie: *dalej* domieść: znak pisarski,
Str. 265 wiersz 17 z góry zamiast: *do* czytaj: *od.*
Str. 268 wiersz 2 z góry zamiast: *pułka* czytaj: *pułku.*
Str. 271 wiersz 3 z góry po słowie: *galopem* dołóż: *do dowódzcy.*
wiersz 6 z góry po słowie: *Krasińskiego* dołóż: *i.*
wiersz 18 z góry domieść od dołu przypisek: *) *O tem zdarzeniu wzmiankowałem w Obronie Polski i Polaków przeciwko pp. Thiers, Ségur i Lamartine;* (po francuzku) *Paryż 1855.*
Str. 272 wiersz 10 z góry zamiast: *s ę* czytaj: *się.*
wiersz 1 z dołu zamiast: *porzebardzo* czytaj: *porze bardzo.*
wiersz 2 z dołu zamiast: *u orządkowane* czytaj: *uporządkowane.*
Str. 273 wiersz 13 z góry zamiast: *Napolen* czytaj: *Napoleon.*
wiersz 18 z góry zamiast: *rozprężeniu* czytaj: *rozprzężeniu.*
Str. 274 wiersz 9 z góry zamiast: *dotania* czytaj: *podania.*
Str. 275 wiersz 2 z góry po słowach: *na brzeg prawy* powinno być: *o ile pamiętam, kolega Wincenty Dobiecki doznał trudnej przez Berezynę w pław przeprawy.*
Str. 279 wiersz 14 z góry zam.: *dowódcą* czytaj: *dowódzcą.*
Str. 280 wiersz 7 i 8 z dołu po słowie: *może* opuścić *i.*
Str. 282 wiersz 8 z dołu zamiast: *regmnt* czytaj: *regiment.*
Str. 283 wiersz 16 z dołu zamiast: *zatrzymać* czytaj: *zatrzymać się.*
Str. 286 wiersz 10 z góry po słowach: *a szczególnie* dodaj: *zachowanie.*
Str. 288 wiersz 1 z góry zamiast: *byi* czytaj: *dyi.*
Str. 301 wiersz 22 i 23 z góry zamiast: *leżem* czytaj: *leżami.*
Str. 302 wiersz 6 z dołu zamiast: *gardes de corps* czytaj: *gardes d'honneur.*

Str. 305 wiersz 6 z góry zamiast: *Jarosławiem* czytaj: *Jarosławcem.*

Str. 305 wiersz 14 z góry zamiast: *gwardyi pierwszej* czytaj: *gwardyi pieszej.*

Str. 308 wiersz 18 z góry zamiast: *zajęcie* czytaj; *zdobycie.*

Str. 310 wiersz 12 z góry zamiast: *polem napadem* czytaj: *napadów.*

wiersz 4 z dołu zamiast: *kolomny* czytaj: *kolumny.*

Str. 313 wiersz 20 z dołu zamiast *Lasay* czytaj: *Laray.*

Str. 314 wiersz 9 z góry zamiast: *tam* czytaj: *sam.*

Str. 315 wiersz 3 z góry zamiast: *Langenzalza* czytaj: *Langensalza.*

wiersz 10 z dołu zamiast: *Mirfeld* czytaj *Merfeldt.*

Str. 316 wiersz 18 z dołu zamiast: *poruszenia* czytaj: *poruszenie.*

wiersz 1 z dołu zamiast: *Sommerira* czytaj: *Sommariva.*

Str. 317 wiersz 8 z dołu zamiast: *wspomina* czytaj: *wyraża.*

wiersz 17 z góry po słowie: *Dautancourt* ma być: *a* zamiast *i.*

Str. 320 wiersz 7 z dołu zamiast: *Eskartsberg* czytaj: *Eckartsberg.*

Str. 322 wiersz 1 z góry zamiast: *Flanot* czytaj: *Flahault.*

Str. 326 wiersz 9 od dołu zamiast: *Hanau* czytaj: *Hamm.*

Str. 327 wiersz 7 z góry zamiast: *w komunach* czytaj: *w kommissach.*

Str. 328 wiersz 11 z góry zamiast: *Berganopzoom* czytaj: *Bergenopzoom.*

Str. 329 wiersz 6 z góry zamiast: *z okolicy* czytaj: *w okolicy.*

Str. 331 wiersz 4 z góry zamiast: *może* czytaj: *mnię.*

Str. 336 wiersz 15 z dołu zamiast: *Van Champs* czytaj: *Vau.*

Str. 338 wiersz 14 z góry zamiast: *sir* czytaj: *się.*

Str. 345 wiersz 16 z dołu zamiast: *Fichrowskiemu* czytaj: *Fichnowskiemu.*

Str. 348 wiersz 11 z dołu zamiast: *kastrofie* czytaj: *katastrofie.*

Str. 353 wiersz 5 z góry zamiast: *liczym* czytaj: *liczem.*
Str. 355 wiersz 2 z góry zamiast: *przód krwawym* czytaj: *przodków swych.*
Str. 357 wiersz 15 z góry zamiast: *szczęśliwymi* czytaj: *szczęśliwemi.*
wiersz 18 z góry zamiast: *Brywiecką* czytaj: *Brywieską.*
Str. 358 wiersz 18 z góry zamiast: *czy się tam* czytaj: *sam.*
Str. 359 wiersz 7 z dołu zamiast: *trzeciej* czytaj: *trzeciéj.*
wiersz 3 z dołu zamiast: *prędkość .. żem* czytaj: *prędkośćem.*
Str. 361 wiersz 5 z góry zamiast: *niebo dało* czytaj: *nieba dały.*
Str. 360 wiersz 3 z dołu zamiast: *zwycięztwa* czytaj: *zwycięzkie.*
Str. 362 (wiersz napisowy) zamiast: *Marsz trębacza pułku gwardyi polskiej* czytaj: *Marsz pułku gwardyi polskiej na nótę marszu trąb.*
przy końcu powinno być: „*Witamy Was* (*da capo*).

☞ **Uwaga.** *Mniejsze pomyłki raczy szanowny czytelnik poprawić.*

Ostrzeżenie:

W tych wspomnieniach są liczne przytoczenia wyrazów i imion hiszpańskich; trzeba więc wiedzieć, że w tym języku równie jak w polskim jest *n* i *ń*, które drugie znaczą Hiszpanie *ñ* i tak: *España* wymawia się *Espania.*

Litery: *g, j, x* wymawiają się jak polskie *ch;* przeciwnie *ch* wymawia się jak polskie *cz;* zaś *c* wymawia się po większej części jak *s;* *z* w środku słów wymawia się jak *s,* w końcu jak *z.*

3 2044 013 647 417